



Titania Hardie

# Dom wiatru

Porywając powieść autorki  
światowego bestsellera *Różany labirynt*



Titania Hardie

Dom  
wiatru

Z języka angielskiego przełożyła  
Ewa Penksyk-Kluczkowska



Dla Samantha i Zephyrine oraz dla Amandy i Jane  
z wyrazami prawdziwej miłości i z głębokim szacunkiem

TH

*Nie widzisz, że świat bólu i problemów jest niezbędny  
do ćwiczenia inteligencji i przekuwania jej w charakter?*

JOHN KEATS, 1819

# Prolog

Droga zbiegająca wzgórzem z majestatycznej Volterry do maleńkiej osady La Chiostra znika na tokańskim horyzoncie – pod koniec dnia przybierającym odcień magenty – między gładkimi wypiętrzeniami strumieni lawy. Widok po obu stronach wąskiej szosy o każdej porze dnia i roku zapiera dech w piersi: w jednym kierunku rozpościerają się piękne, wielobarwne pola, w drugim pradawny krajobraz księżycowy osobliwej geologii, gdzie zmysłowe fałdy wzgórz nagle ustępują graniom – *balze* – stworzonym przez tysiąclecia lawin błotnych. Jeśli należysz do pasjonatów historii, może szukasz miejsca, gdzie erozja zniszczyła najstarsze etruskie nekropolie. A może zaciekaw cię zrujnowana jedenastowieczna *badia*? Albo opactwo, albo świątynie pierwszych chrześcijan, wszystko setki lat temu pochłonięte przez przyrodę. Jeśli jednak masz duszę romantyczną czy też interesują cię zagadki, udaj się w ustronne miejsce jakąś milę dalej – gdzieś pomiędzy nowoczesnym domem ze szczekającymi psami a zabytkową farmą z rzędami winorośli i słoneczników. Wobec braku drogowskazu niedoinformowany podróżnik niechybnie minie ten przybytek i pojedzie dalej, nieświadom tajemnicy.

Tutaj, jeśli ich szukasz, znajdziesz ruiny domu na zboczu, postawionego w miejscu idealnym, by oglądać się na wzgórze, na imponujące, smagane wiatrem etruskie miasto. Legenda mówi, że to wszystko, co teraz pozostało z małej posiadłości z końca trzynastego czy początku czternastego wieku, która kiedyś była domem dość zamożnej rodziny z czarującą córką. Bez jej imienia powinniśmy – może nawet musimy – się obyć, jako że gobelin powieści rozrósł się właśnie wokół niej, a prawda o jej imieniu stanowi część zagadki. Wystarczy nadmienić, że w dobie chrześcijaństwa była wyznawczynią Natury. Wolała towarzystwo zwierząt i ptaków, a modliła się do Diany, bogini księżyca i patronki

jednej ze starożytnych świątyń, które wznosiły się nad Velathri, bo tak wówczas zwało się miasto.

Zanim dom stał się opuszczoną ruiną, skrywał tajemnice. Kiedyś był to dom jej dzieciństwa i tu ją osadzono, uwięzioną przez biskupa Volterry na skutek usilnych błagań jej rodziców. Może mniej tu chodziło o jej wiarę, a bardziej o to, że nie podporządkowała się woli rodziców, którzy chcieli, by wstąpiła do klasztoru i cnotliwie służyła Bogu. Pozostała wierna swojej starożytnej bogini i chciała poślubić mężczyznę, którego kochała. Za taki bunt i bezbożność została uwięziona i ukarana, a teraz miała być osądzona i torturowana, pomimo swojej młodości i uroku, a także inteligencji i urody.

Ale wieczorem w wigilię dnia, w którym miał się dokonać jej straszliwy los, wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Dziewczynie pozwolono spacerować tylko po ogrodzie, gdzie pilnie jej strzeżono; mogła tam zanosić ostatnie modły do swojego bóstwa. Nagle zerwała się niesamowita burza, która przetoczyła się przez zbocze, chwytając okolicę w srogą garść i zrównując dom z ziemią. Może ta sama burza pochłonęła maleńki kościółek niecałą milę dalej.

Ale dziewczyna, ukryta w wejściu do szopy, uszła z życiem. I tylko ona! Mogła umknąć do ukochanego, w środku nocy, pośród burzy. Ów stary dom, teren wokół niego i wszystko, co z czasem wyrosło na starych ruinach, odtąd zwano *Casa al Vento* – Dom Wiatru.

# **CZEŚĆ PIERWSZA**

# 1

20 STYCZNIA 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

Patronem pierwszego miesiąca w roku jest Janus: opiekun drzwi i bram, oglądania się za siebie i wypatrywania tego, co nadejdzie. Oglądania się na to, co nas doprowadziło do obecnego punktu, wypatrywania tego, co ewentualnie wymarzymy na przyszłe dni.

Może dzisiaj, śmiejąc się i jaskrawym mazakiem otaczając kółkiem datę w swoim kalendarzu, Madeline Moretti poświęciła tej kwestii jakąś myśl, choćby przelotnie. Na pewno przeglądała w myślach ulubione potrawy Christophera – który uwielbia sałatki i owoce morza, woli bogate w bukiecie czerwone wina od szampana, jak na Brytyjczyka przystało, przedkłada drożdżowe bułeczki (z dżemem pigwowym!) nad croissanty i darzy zabawnym uczuciem różane tureckie łakocie oraz daktyle w ciemnej czekoladzie – tak aby po otwarciu kredensu w jego pierwszy poranek w San Francisco zdołała bez wysiłku spełnić jego najbardziej wyszukane życzenie dzięki smakołykom, które dostarczano wszędzie od Maine po Napa Valley, od Londynu po Prowansję, od jedwabnej Samarkandy po cedrowy Liban.

Długo zastanawiała się nad pościelą, pamiętając, jak Christopher we wrześnie skomentował bladozielony komplet w luksusowym weneckim hotelu i że woli rzeczy gładkie niż we wzorki. Z tą myślą wczoraj po długim dniu pracy wsiadła do tramwaju w pobliżu Ferry Building i pojechała przez dzielnicę finansową na Union Square – pomimo zimna i tłumów szukających okazji na wyprzedażach – żeby kupić coś luksusowego. Scheuer idealnie zaspokoił jej zapotrzebowanie – znalazła pościel z tkaniny gładkiej, grubo tkanej, o przygaszonej kolorystyce. Kosztowała ją tygodniowy zarobek. Jakie znaczenie miały wydatki? Nie widziała go od czterech miesięcy i wszystko musiało być doskonałe.



I będzie.

Madeline wspominała różne rzeczy związane z Christopherem, ale w zasadzie nie miała dzisiaj na to czasu. W wyśmienitym nastroju, który leżał w jej naturze, wybudziła się z lekkiego snu o siódmej i przez cały dzień ani na chwilę nie zwolniła. Była to zwyczajna sobota z nadzwyczajnym obciążeniem: odebrać pranie chemiczne, złożyć rower do ćwiczeń, sprzątnąć nuty z pianina i schować w stołku, naprawić uszkodzoną taśmę przy zasłonce prysznicowej, zatankować auto, kupić u Jimeny białe tulipany na stół. Pomoc domowa była wczoraj, pozamiatała, poodkurzała i wypolerowała każdy cal niewielkiego mieszkania, nic więc już nie zostało do zrobienia. Ale Madeline w wielu miejscach posprzątała jeszcze raz. Kiedy zadzwoniła komórka, zdała się na pocztę głosową, że spławi jej przyjaciółki, a tymczasem sama zapalała świece zapachowe w salonie, spulchniała poduszki na sofie i wkładała do szafy resztę służbowych ubrań.

Czas na lunch nadszedł i minął, ale Madeline nie miała apetytu. Musiała w godzinę załatwić robotę papierkową dla swojej kancelarii, a wiedziała, że nie zdoła się odprężyć, dopóki nie odeśle tego mailem do swojej szefowej, dobrodusznej, ale bardzo dokładnej Samantha. Jej matka i siostra wpadną około trzeciej, a chciała wcześniej umyć włosy.

Uważała, że jej twarz nie jest jakoś specjalnie atrakcyjna, a szczupła sylwetka przy wysokim wzroście wręcz nie należy do ponętnych, ale gęsta grzywa ciemnych loków budziła zachwyt Christophera. Nikt nie miał pojęcia, ile wysiłku wymaga rozplątanie ich i że potrzebuje godziny, żeby dopilnować, by każdy spiralny lok był błyszczący i doskonały. To będzie ostatnia okazja, żeby o nie odpowiednio zadbać, skoro samolot z Londynu przylatywał późnym wieczorem.

Zostało już jednak tylko pięć minut do trzeciej, gdy wcisnęła guzik „wyślij” w swoim Vaio, wstała od przesadnie uporządkowanego biurka w rogu części salonowej i przeszła do okna wychodzącego na ulicę. Sprawdziła, czy na obsadzonej drzewami alei w dole widać gdzieś

samochód matki. Ponieważ pominęła zarówno śniadanie, jak i lunch, teraz była lekko zamoczona, a do tego zdenerwowana, że jeszcze nie wzięła prysznic. Niemniej czuła tę pogodną przyjemność, która przychodzi, gdy wszystko jest w niemal idealnym porządku, gdy trudy podejmowane dla drugiej osoby stają się niemal niewidoczne i gdy można zapomnieć o pracy, by czekać na deszcz towarzyszący powitaniu kogoś, kogo się dosłownie uwielbia, i to nie w bliżej nieokreślonej przyszłości, lecz za kilka godzin.

Jej niewiarygodnie drogie mieszkanie na Broadwayu, na niższym końcu Pacific Heights, było maleńkie, z dala od wody i wychodziło na niewłaściwą stronę, czyli nie na ocean. Madeline czuła jednak, że jest warte takiej części jej zarobków, ponieważ dzięki niezbyt wysokiemu sąsiedniemu budynkowi ze swojego maleńkiego balkonika mogła ujrzeć zaskakująco cudowny widok na zatokę San Francisco. Stąd parę tygodni temu w bezmgiełną noc miała okazję dojrzeć deszcz meteorów ledwie widoczny ponad ciemnym przestworem oceanu na północno-zachodniej części czystego kalifornijskiego nieba.

Teraz zauważyła, że jak na trzecią jest dziwnie ciemno. Na horyzoncie widziała kilka kolorów: chropawe gołębioszare chmury, ciemnografitowe wzgórza i bladocytrynowe gasnące światło pomiędzy nimi, niemal rozpuszczające się w przyćmionej stali, w którą zamieniła się woda. Miasto utknęło pomiędzy dwoma frontami atmosferycznymi. Ranek dawał jeszcze nadzieję na niemal nieskalane słońce z poprzedniego tygodnia – kalifornijską zimę, która była łagodna, rześka, jasna – ale teraz Madeline widziała, że nadchodzi zmiana. Nadciągnie mgła i zacznie się nowy cykl pogodowy. Jaka szkoda, skoro Chris miał przyjechać za kilka godzin. Uśmiechem skwitowała pełną ironii konkluzję, że jej ukochany przybywa do Kalifornii wprost w objęcia angielskiej pogody.

Spóźniały się. Jakie to do nich niepodobne. To na pewno przez Barbarę. Jej starsza siostra była szalenie bystra, zwykle dobrze zorganizowana i doskonale umiała ocenić czyjś charakter. Maddie delectowała się perspektywą słuchania jej dowcipów, którymi na pewno skwituje pierwsze

wrażenia na temat przyszłego szwagra. Barbara nie czuła żadnego oporu przed egzekwowaniem w razie konieczności prawa do własnego życia i realizacji potrzeb. Można było na niej polegać, że straci poczucie czasu w tę najważniejszą sobotę, że zapali ukradkiem papierosa, z dała od oczu matki, albo podzieli się plotkami o najnowszym skandalu z udziałem Castro i Drew, swoich gejowskich sąsiadów. Kolacja w domu rodzinnym jutrzejszego wieczoru to inna sprawa, ale z tego, że przyjeżdżają dzisiaj, bezczeszcząc nastrój świętości, który chciała stworzyć w oczekiwaniu na przyjazd Christophera, Madeline wcale się nie cieszyła. Nie chciała z nikim rozmawiać. Wolała się skupić wyłącznie na ukochanym. Jej sprawiedliwsza strona uznawała natomiast, że to naturalne, iż matka nie może się doczekać poznania Anglika, który przez jeden krótki rok studiów Madeline za granicą tak gruntownie zmienił życie jej córki.

A może nawet w jeden krótki wieczór? Bo dosłownie w jeden wieczór oceniła jego umysł, wrażliwość i wesołość. Potem już tylko nabierała pewności, że jej ocena była słuszna.

W tamten styczniowy wieczór rok temu (naprawdę minął dopiero rok?) poszła rozmarzona na kolację do Oxford Union, w szycowej czarnej sukience i paszminie, w najlepszych czarnych szpilkach, pomimo zimna i odrobiny lodu na bruku. Kto, na miłość boską, chodzi w louboutinach po średniowiecznym bruku Oksfordu? Najpierw duma, potem upadek, ostrzegłaby ją babcia. No i oczywiście już kilka godzin później piękne, nieprzewidziane płatki śniegu malowały baśniowy krajobraz, tworząc na ziemi białą zamarzną powłokę. Choć studiowała na Wschodnim Wybrzeżu, śnieg nigdy jej nie spowszedniał, przecież była kalifornijską dziewczyną, która roześmiała się na głos, oczarowana różnorodnością kształtów śnieżynek i ich wirującym ruchem. Ale do domu nie było już jak iść. Za późno, by bez trudu złapać taksówkę; za daleko, by w takich warunkach ruszyć na postój przy Gloucester Green. Krzyknęła do przyjaciółki w grupie idącej za nią, by zadzwoniła po taryfę, i przy tym niemal straciła równowagę. To był sygnał dla mężczyzny w białym

krawacie i tradycyjnym szalu wieczorowym, który nagle pojawił się u jej boku. Uśmiechał się szeroko, najwyraźniej ubawiony jej prostoduszną reakcją na pogodę. Przedstawivszy się za pomocą niezbędnego minimum słów, student ostatniego roku medycyny Christopher Taylor porwał damę na ręce i po śliskim bruku odniósł ją, na oczach ubawionych woźnych, prosto na schody New College.

Później doszła do wniosku, że chociaż trudno uznać tę podróż za jej najdłuższą, to na pewno zaliczała się do najbardziej znaczących.

W myślach ciągle się śmiała, strzepując śnieg z butów, gdy terażniejszość wdarła się nieproszona w jej świadomość krzykiem mew, krążących po niebie i uciekających pod okapy paru budynków nieopodal. Wiatr nad zatoką musiał niestrudzenie przybierać na sile. Zerknęła na zegar ścienny i chociaż jego wskazówki ledwie się poruszyły, poczuła irytację. Z natury była cicha i pokorna, ale czas się jej kończył, a włosy nadal miała nieumyte. Musiała czekać, aż zjawią się matka z siostrą, pochwalą porządek w mieszkaniu, wypiją kawę, zjedzą cantucci i zostawią ją w spokoju, by mogła się oddać swoim rytuałom i przygotowaniom.

W jej myśli wdarł się brzęczyk domofonu. Dojechały i zaparkowały niepostrzeżenie. Wcisnęła guzik, by je wpuścić, odblokowała zamek i poleciała do kuchni włączyć gaggie. Powitanie rzucone przez ramię gościom w progu mieszkania mieszało się z tym wypowiedzianym do słuchawki telefonu, który w tym samym momencie zadzwonił w kuchni. Mówiła lekko – i tylko to pół zdania zapamięta z tego dnia – nawet się nie odwracając do matki, która ją ucałowała na dzień dobry.

A potem drzwi się zamknęły.

Dotkliwy chłód znad zatoki towarzyszył Madeline Moretti, gdy kładła się do łóżka w najdelikatniejszą świeżą pościel. Ani słowa nie zamieniła z Barbarą, gdy ta odpinała siostrze kołnierzyk, by uwolnić ją z prostej kremowej wełnianej sukienki, która opadła na podłogę, i gdy rozpuszczała jej włosy. Madeline na pewno nie była świadoma, że tego dnia z ponurą ironią powtarza ruchy tyłu młodych kobiet, które wykonywały je przez

tyle wcześniejszych stuleci: nie mogła się odwrócić, nie mogła mówić ani spojrzeć w żadną stronę – jej oczy patrzyły prosto przed siebie, niewidzące – aż jej głowa spoczęła na poduszce, a podkrążone oczy się zamknęły, w preludium do narkotycznego snu pełnego udręczonych obrazów. Wszystko inne na świecie przestało istnieć, była martwa.

Rozmowa telefoniczna, która zaczęła się tuż po piętnastej – po dwudziestej trzeciej w Anglii – zarygłowała drzwi do jej przyszłości i uczyniła z niej więźnia przeszłości; niewypowiedzianie zmieniła jej życie. Nie wyjdzie już dziś wieczorem na żaden samolot, nie ucieszy się w niedzielę brunchem, nie zacznie tygodniowego urlopu. Nie odbierze Christophera. Bo go nie ma.

W łóżku czuła się jak w całunie, jej umysł otępiał w półśnie. Ciągłe słyszała łagodny angielski głos jego matki, otępiały i dziwnie nie na miejscu, pęknięty dzwon, słowa połączone bez sensu. Mówiły o jego ostatnim nocnym dyżurze w roli najmłodszego lekarza w John Radcliffe Hospital w Oksfordzie przed podróżą, którą miał odbyć, by spotkać się z nią i jej rodziną; o samochodzie pełnym nastolatków wracających z całonocnej imprezy w mieście, o pijanym kierowcy, który wyprzedzał inny samochód na obwodnicy, przeleciał przez barierę, zderzył się czołowo z Chrisem wracającym do domu wczesnym rankiem do college'u, by przespać się parę godzin, zanim się spakuje i polecą do Maddie. Ten zbiór zdań dla niej był słowami bez dźwięku i treści w racjonalnym świecie; słowami, po których nie oczekiwała, że nabiorą kiedykolwiek dla niej znaczenia, a których jednocześnie nigdy nie miała zapomnieć.

Zaszedł księżyc świętej Agnieszki.

## 2

### 20 STYCZNIA 1347 ROKU, SANTO PIETRO IN CELLOLE, NIEOPODAL CHIUSDINO W TOSKANII

Teraz, po godzinie trzeciej, w powietrzu czuło się śnieg. Spiesząc z opactwa ścieżką nadrzeczną, Mia tuż przed sobą zobaczyła kulejącego zająca, który zmarznięty uciekał w liche schronienie nagich wierzb i grusz wierzbolistnych. Ale jeśli wiatr się utrzyma, a śnieg dalej będzie padał, wkrótce zapewnią stworzeniu dobrą kryjówkę.

Nie było to zwyczajne, nawet w styczniowy dzień. Ich dom przycupnął w dolinie tak pięknej i zacisznej, że doczekała się nazwy Valle Serena – Dolina Spokoju. O ile dumne miasto na wzgórzu Chiusdino parę mil dalej na zachód często nakrywało się śniegiem nakłutym w pikowane wzory przez tokańskie dachówki, o tyle w ich świecie poniżej wszystko było łagodne. Zima była miłsza, codzienna krzątanina cichsza. Ale nie tego dnia, gdy z powodu zmiany pogody willa napełniła się po brzegi pielgrzymami oraz gośćmi przeczekującymi trudne warunki, by ruszyć dalej na południe.

Chłód przeszył dziewczynę dreszczem. Zastanawiała się, czy w taki dzień można zobaczyć jednorożca albo jakieś inne dzikie i mistyczne stworzenie w magicznym lesie otaczającym jej dom. Ciotka Jacquetta mogła sobie myśleć, że tylko dziki i jelenie, i niekiedy wilki, zamieszkiwały las, ale ciotka Jacquetta nie wiedziała wszystkiego.

Mia wepchnęła ciemny warkocz pod kaptur i ciasno zawinęła się w oponcę, chroniąc delikatne strużyny plantana, które były powodem jej wyprawy. Kilka dni wcześniej przybył do nich pielgrzym i poprosił o schronienie, nie mogąc pokonać ostatnich mil do słynnego opactwa cystersów, a stamtąd w górę zboczem Montesiepi do sanktuarium Galgana Guidottiego, miejscowego rycerza, który został świętym. Stopa pielgrzyma

była straszliwie posiniaczona i opuchnięta. Przybył aż z Via Francigena, jak wielu przed nim; mężczyzna o bladych oczach i takiej samej skórze, włosach w kolorze słomkowym i eleganckich szatach zdecydowanie pochodzących z północy. Ów człowiek, który niechybnie szukał odkupienia i oczyszczenia duszy, ani na chwilę nie stracił nic ze swych rycerskich manier, chociaż cierpiał w sposób widoczny. Ciotka Jacquetta uznała, że do leczenia trzeba jej strużyn rzadkiej odmiany plantana rosnącego u mnichów. Miały one zatrzymywać stan zapalny i leczyć siniaki, które zmieniały kolor skóry nie do poznania. W ten sposób Mia zyskała okazję, by w ramach misji do Fra Silvestra odetchnąć świeżym powietrzem w drodze do klasztoru. Miała go poprosić o odrobinę zioła, wraz z jego dziwnym nitkowatym listowiem. Chociaż braciszkanie, zajęci przygotowaniami do uroczystości z okazji święta Agnieszki, na pewno nie chcieli, by im przeszkadzano, nikt lepiej od Fra Silvestra nie wiedział, jak hodować najzdrowsze rośliny w ogrodzie ziołowym.

Wyznał on kiedyś Mii, że tajemnica polega na sadzeniu roślin zgodnie z fazami Księżyca. „Pierwsza kwadra rosnącego Księżyca, moje dziecko, dla ziół liściastych i roślin, które nie rodzą nasion w owocach”. I rzeczywiście, metoda ta niechybnie działała, skoro w ciepłe miesiące zawsze zbierał obfite plony, a następnie suszył starannie rośliny do zimowego użytku. Suszone liście kryły w sobie taką potęgę, że już po kilkudziesięciu godzinach pielgrzym powinien wydobrzeć i ruszyć w dalszą drogę.

Chodaki Mii zaczęły się ślizgać po oblodzonym szlaku, gdy dostrzegła willę Santo Pietro, dom prostej urody i nieskalanej czystości, o którą dbała jej ciotka. Czasami plotki wśród służby kazały jej wierzyć, że dom musiał należeć do jej ojca, człowieka, którego nie pamiętała. Niekiedy wyglądało na to, że dom jest własnością Kościoła, a jej ciotka jest tylko jego strażniczką. Tak czy inaczej Maria Maddalena mieszkała tu, odkąd skończyła lat sześć, i innego domu nie pamiętała. Od ponad siedmiu lat kształtowały ją tutejszy duch i rytmy. Pachniało tu, nawet zimą, pięknymi

irysami, które rosły całą masą na toskańskich wzgórzach: ich delikatna woń unosiła się z bieliźniarki i pralni, kuchni, skrzyń z ubraniami i kadzi z mydłem przygotowywanym w budynku gospodarczym z mielonych kłaczy i czystego krowiego mleka, i nawet z destylarni, gdzie używane było w ciotczynej preskrypcji na *aqua vitae*. I Mia знаła go dobrze jako własne lekarstwo, które pomagało jej, gdy czasami walczyła o oddech.

Przeszła przez drzwi pomywalni i znalazła łagodną Albę – najładniejszą i najmłodszą ze służek – która nieustannie grzała gościom wodę na kąpiel. Gestem spytała, czy może trochę, i dla wyjaśnienia pokazała jej plantan. Alba i jej ciotka były dwiema drogimi istotami, które zawsze rozumiały Mię najlepiej i przy których nigdy nie czuła się niezręcznie czy naiwnie. Albowiem Mia nie mówiła, i to nigdy, odkąd przybyła do Santo Pietro. Słuch miała znakomity, i nikt nie wiedział, czy jej niemota jest niedolą od Boga czy wyborem dobrowolnie sobie narzuconym, ale dziewczyna wynalazła doskonały sposób komunikowania się z dwiema ulubionymi osobami, a zwłaszcza z Fra Silvestrem w opactwie.

– Jak mam to przygotować, Mario? – spytała cierpliwie Alba.

Mia pokazała, żeby użyć tylko trzech liści, w najmniejszej ilości wody, potem wskazała płótno i zaprezentowała, jak je zwinąć.

– To żeby zrobić silny roztwór dla okładu na stopę signora? – spytała. – I nie za dużo wody?

Mia żywo kiwnęła głową i poklepała ją po nadgarstku, jeszcze raz pokazując na liście. Udała, że bierze liście z misy, i potem ponownie uczyniła gest w kierunku płóciennego bandaża, a następnie wykonała ruch, jakby chciała je owinąć.

– Mam zachować liście i umieścić je spodem w gorącym wilgotnym opatrunku, żeby pozostały na opuchliznie – powiedziała Alba. – I taka jest rada człowieka z tonsurą! – Uśmiechnęła się, doskonale interpretując poklepywanie Mii ręki po czubku głowy, żeby wskazać Fra Silvestra.

Mia roześmiała się bezgłośnie i uściskała ją.



– Nie zapomnij, że to wigilia świętej Agnieszki, Mario Maddaleno. – Głos Alby podążył za nią, gdy przez drzwi pomywalni wymknęła się do kuchni. – Dzisiaj idziesz do łóżka bez kolacji; nie odwracaj się, za nic w świecie!

Mia uśmiechnęła się do niej i uszczypnęła się w usta.

– Właśnie – zgodziła się Alba. – Żadnego gadania! – I obie się roześmiały, jedna ciepło, druga bezgłośnie.

O rytuale świętej Agnieszki Alba powiedziała Mii po raz pierwszy w tym roku, bo skoro ta miała niemal czternaście lat, była może gotowa myśleć o mężu. Wszystkie służebne wiedziały, że dziewczę – jeśli wytrzyma w milczeniu cały dzień i pójdzie spać bez kolacji, nie oglądając się za siebie – niechybnie zostanie przez świętą Agnieszkę nagrodzone snem o przyszłym wybranku. Miał on się ukazać we śnie i zaproponować ucztę, przyrzekając dozgonną miłość. Ale jeśli dziewczynie wymknie się choć jedno słowo albo zapomni o rytuale i obejrzy się, cały urok pryśnie, święta Agnieszka zaś pozostanie głucha na wszelkie błagania. Nie pojawi się żadna wizja! Mia nie miała pojęcia, czy w ogóle istnieje jakiś mężczyzna jej przeznaczony – kto by poślubił dziewczynę niemą i nieznaną własnego ojca? – ale zamierzała odprawić rytuał, choćby dla uciechy Alby.

Bicie dzwonów z opactwa niosło się w nieruchomym powietrzu. Razem ze słabnącym światłem powiedziało Mii, że dochodzi czwarta. Musiała zapalić świece, a potem znaleźć ciotkę Jacquettę i usiąść z nią do lekcji. Dzisiaj czekało ją liczydło, za którym nie przepadała. O wiele chętniej czytała albo tłumaczyła z łaciny. Ale skoro w willi gościło tylu ludzi – jedna para nawet chciała zatrzymać się w pokojach ogrodowych, używanych tylko w miesiącach letnich – ona pomoże przy posiłku i wykona jakieś prace domowe, zamiast się uczyć.

Ruszyła korytarzem na poszukiwania ciotki, gdy z przeciwnej strony usłyszała swoje imię wołane od drzwi na poddasze.

– Maria Maddalena! Mam nadzieję, że idziesz prosto z kuchni

Loredany, gdzie pomogłaś jej myć kapłony? A wcześniej też szukała cię Giulietta, żebyś jej pomogła z praniem. Tak długo siedziałaś w tym swoim klasztorze, że nie zdążyłaś na robienie chleba. Czy ty całe popołudnie spędziłaś w świecie swojej wyobraźni, *ma donna mia*?

W głosie ciotki pobrzmiwała wesołość, choć treść jej wypowiedzi wskazywała na nastrój wręcz przeciwny. Mia zorientowała się, że ciotka dworuje, gdy tylko wspomniała o kapłonach. Ta jej lista obowiązków domowych dłuższa niż pasmo przędzy stanowiła ulubiony żart z siostrzenicy. Pochodziła z poradnika signora Certalda, zalecającego właściwe traktowanie żon i córek. Od tkania sakiewek, poprzez wyszywanie jedwabiem, przesiewanie, gotowanie i cerowanie skarpet, młoda kobieta miała być łagodna i zawsze gotowa zakasać rękawy. Chłopców należało dobrze karmić, nikogo jednak nie obchodziło, jak są karmione dziewczęta, póki nie przymierały głodem, a jednocześnie nie tyły. Ale młoda ciotka Mii, sama niezłomnie niezależna, siostrzenicę wychowywała w podobnym duchu. Stroniąca od sztuczek, nienaciskana przez rodziców skupionych na tym, by dobrze ją zaręczyć, nie była też zainteresowana realizowaniem sugestii z poradnika. Silnie do siebie przywiązane, żyły prosto, dobrym życiem, miłe dla innych. I tylko taką radę ciotka Jacquetta chciała Mii przekazać. Wyciągnęła ręce, by uściskać dziewczynę.

– Przyniosłaś *plantago* od mnichów?

Ręce Mii powiedziały ciotce, że zioło zostało u Alby, skąd po przygotowaniu trafi na górę do izby gościa.

– Pójdę więc teraz do niego. Ale przynieś z pralni do siebie trochę czystych płócien i swoje ubrania, żeby odciążyć nieco Giuliettę, skoro w domu tyle ludzi. – Uśmiechnęła się do niej, wiedząc o rytuale, zgodnie z którym zamierzała postępować potajemnie jej siostrzenica w wigilię świętej Agnieszki. – Ja poproszę Chiare, żeby przyniosła ci zaraz gorącej wody do mycia, a potem musimy wszyscy pomóc w kuchni przed dzisiejszą kolacją. Nie każdy pości tak jak ty!

Późną porą w cienistym świetle rzucanym przez jasny, pełny księżyc biedna dziewczyna – opadająca z sił po wielu godzinach nieoczekiwanej pracy i zamętu wywołanego przez nadmiar ludzi – w końcu zapaliła świecę i ruszyła schodami do swojego pokoju na poddaszu, z którego okien rozciągał się widok na drogę pielgrzymów w dole. Światło zabarwiło się czerwienią ze szkła na półpiętrze i Mia, której umysł zajęły myśli o słodkiej świętej Agnieszce, jej owieczkach i obietnicach subtelnych czarów, zapomniała o głodzie i chłodnym wietrze. Chwyciwszy rąbek koszuli, dotarła na szczyt schodów, a jej usta milcząco poruszały się w suplikacji do świętej. Dotknęła już zasuw w drzwiach, oddech się jej uspokoił, w szacunku dla Agnieszki, gdy dobiegł ją stukot końskich kopyt na dole. Przypomniała sobie słowa Alby: „...cały czar pryśnie”. Ale gdy tak się wahała, zapukano do drzwi wejściowych. Co mogła zrobić, skoro nieliczna służba zajmowała się innymi obowiązkami, a ciotka doglądała pielgrzyma? Nie chcąc się odwracać, zsunęła się tyłem ze schodów, z dłonią na poręczy i krokiem zdumiewająco pewnym.

Dotarła do wejścia, nim po raz drugi niepewnie załomotano kołatką. Zsunęła sztabę z wrzeciędza i wtedy dołączył do niej odźwierny, Cesaré, który pomógł jej odsunąć ciężkie drzwi. Wolną ręką osłoniła przed nocnym wichrem płomień świecy i zmrużyła oczy przed zadziwiająco jasnym światłem. Przed nią na tle jasności stała para: młody mężczyzna w modnym stroju, brudny od drogi, i dziewczyna, której twarz wydała się Mii zagadkowa, podświetlona od tyłu jakby przez wielki księżyc i pochodnie wycofujące się ścieżką do bramy willi.

Mia zastanawiała się tylko chwilę, kto im ją otworzył. Wszystkie jej zmysły przyciągnęła młoda kobieta obramowana światłem. W zimnej ciemności tej godziny można było odnieść wrażenie, że podróżniczka wypięła jasność: *Una raggia*, pomyślała Mia, pani wykuta z promienia światła. I bez krztyny strachu, nie pytając Cesarégo, przesunęła świecę, by zaprosić ich do środka.

### 3

#### KONIEC STYCZNIA 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

Perfekcyjnie ubrana w czarny płaszcz i taki sam kostium, z szacunku dla straty kogoś, kogo nigdy nie poznała, ale kto znaczył wszystko dla osoby jej bliskiej, Isabella Moretti wyszła z mieszkania Madeline. Wzięła na siebie wszystkie błahe obowiązki w postaci robienia kawy dla nawałnicy wstrząśniętych gości oraz wstawiania nadesłanych kwiatów do wazonów i jedzenia do przeładowanej lodówki. Pośród nedorzecznej woni rajy lilii, hiacyntów i białych narcyzów, które kradły powietrze w ograniczonej przestrzeni, przyglądała się swojej upiornie milczącej wnuczce. Czasami zamieniały kilka słów. Głównie po prostu siedziały.

Od tygodnia pogoda była zmienna jak morze: silne burze i deszcze mniej więcej przez dzień, przerywane chłodną, bezchmurną pogodą i wieczorami prezentującymi nieziemskie piękno białego pióropusza mgły oświetlonej przez zapierający dech zachód słońca; potem znowu burze. Jakby pogoda mogła wyrazić powagę i emocje, których jej wnuczka wysłować nie umiała. Isabella mimowolnie wracała myślami do chwili sprzed niemal dwudziestu pięciu lat.

Kiedy Madeline się urodziła, Isabella zamówiła dla nowej wnuczki horoskop urodzinowy. Sama by może o tym nie pomyślała, ale zachęciły ją roztrząsania kwestii, czy dziecko urodziło się pod znakiem Byka czy Bliźniąt. Większość gazet twierdziła, że Byka, ale ze dwa dzienniki opowiadały się za Bliźniętami. Dwudziesty pierwszy maja wydawał się dniem w rozkroku, aż Isabella uznała, że powinien ustalić to jakiś profesjonalista. Skierowała się więc do starszawej signory Angeli, szanowanej modystki, której kapelusze zdobiły wiele zamożnych głów z okazji świąt kościelnych, komunii i ślubów. W ramach ożywionej działalności dodatkowej signora z talentem kreśliła diagramy

astrologiczne, a mówiła, że tę zdolność odziedziczyła po etruskich przodkach! Wiele osób postrzegało ją jako ekscentryczkę, inne jako dobrego anioła, jeszcze inne jako mądrą starą wiedźmę, a w końcu kilka osób jako stregę, czyli czarownicę. Paru sceptyków posunęło się do nazwania jej słabą na ciele i umyśle. Ale to była twarda starsza pani charakteryzująca się osobliwą elegancją i energią. Mieszkała przy jednej z alejek w rejonie North Beach – włoska imigrantka od pokoleń, jak sama Isabella – tak więc *nonna* Moretti poszła do signory ze szczegółami narodzin Madeline, w tym jej wagą i długością, i z osobliwym, acz interesującym szczegółem, że urodziła się ona z prawdziwym węzłem na pępowninie. Signora zapewniła ją, że data i godzina wystarczą.

Kiedy po siedmiu dniach wróciła odebrać horoskop, starsza dama spojrziała na swoją klientkę z taką powagą, że Isabella omal się nie roześmiała.

– Dziecko urodziło się pod znakiem Plejad – powiedziała, sadzając ją przy stole usłanym filcem, szpilkami i tkaniną usztywniającą. – Leżą one w gwiazdozbiornie Byka, chociaż moim zdaniem dziecko bardziej znajduje się pod wpływem łagodnej Mai niż ambitnej Alkione. Księżyc również znajduje się w Byku, stary księżyc, bo następnego dnia odrodził się w Bliźniętach.

Ciekawość Isabelli została zaspokojona. Wstała, by odejść, uśmiechając się mile i czując, że ustało całe jej zainteresowanie tematem. Ale palec signory, powleczony kredą krawiecką, zawisł w powietrzu, jej twarz ożyła wyrazem, który zdumiał Isabellę. Wyglądała jak ktoś, kto podejmuje decyzję, czy otworzyć cudowną księgę zagadek czy nie. I po chwili coś dodała:

– Stary księżyc to stara dusza z obietnicami, których należy dotrzymać. Ale na szczęście jej księżyc nie znajduje się w Algolu, głowie Meduzy. Wszystkie jej planety za ognistym Marsem wędrują *retrograde* – w kierunku przeciwnym. Cały jej horoskop nawiązuje do przeszłości, rozumie pani.

Isabella nie rozumiała ani trochę, a wzmianka o Meduzie nie skojarzyła się jej z niczym uroczym, ale kobieta mówiła dalej, niczego nie wyjaśniając.

– Plejady to bardzo znaczące skupisko gwiazd, signora Moretti. Mówią na nie żeglujące albo gołębnice, jak również strażniczki zbiorów. Ale są też znane jako płaczące niewiasty. Dziewczynka będzie postępową, z olśniewającą osobowością – na pewno najbystrzejsza w klasie – stanowcza, ale przy tym kobieca. Będzie pani patrzeć, jak lekko skacze przez życie, bez trosk, ledwie przystając, by baczniej w coś wejrzeć, i nigdy się za siebie nie ogląda, aż nadejdzie dzień, wcześniej w jej młodym życiu, kiedy dozna straszliwej utraty, i wtedy tylko będzie się oglądać. Przez jakiś czas będzie jak kobieta zaklęta w kamieniu. Dopiero wówczas rozpocznie podróż, by zrozumieć, jaką jest zagadką. Uda się w przeszłość i stanie się pielgrzymem, a dojść musi daleko.

Tu signora Angela dała Isabelli horoskop urodzeniowy dziewczynki, zaklejony w staromodnej brązowej kopercie, z poradą, by przechowała go dla wnuczki i wyjawiała dopiero we właściwym momencie.

Za drzwiami modystki Isabella Moretti stwierdziła, że czuje zmieszanie, a nawet lekki niepokój. Nie była specjalnie przesądna. Z szacunku przestrzegała obrządków religijnych wymaganych przez wiarę katolicką, a i tak bardziej z racji tradycji знаła święta ważnych świętych, ale nie zaliczyłyby siebie do pobożnych. A jednak na przekór bardziej racjonalnej swej stronie nigdy do końca nie zdołała usunąć z pamięci tej dziwnej informacji, częściowo ze względu na zdecydowanie poważny ton, którym została podana. Nie umiała powiedzieć, czy to wydarzenie kiedykolwiek nieświadomie złożyło się na jej specjalny związek z Maddie, na to, że postrzegała ją jako swoją poniekąd ulubienicę. Tak czy owak dziewczynka sobie na to zasłużyła – witalnością, ciekawością i radością życia. Madeline była dzieckiem, które nigdy nie chodziło, jeśli mogło biegać; nigdy nie trzeba było jej uczyć, że odpowiednio dobrane słowa mogą wpływać na rozwój wydarzeń. Promieniała entuzjazmem i podnosiła

na duchu innych. Nawet w wersji najbardziej stanowczej i lekkomyślnej – kiedy było jasne, że jest jeszcze młoda i trzeba nią trochę pokierować – Maddie należała do istot olśniewających i łatwych do kochania.

Nagle jednak wspomnienie tamtego dnia wróciło do Isabelli z całkowitą jasnością. Trzymała się więc jak najbliżej Madeline, dzięki czemu paplająca w nieskończoność matka dziewczyny musiała zachować pewien dystans. Synowa Isabelli, choć dobry człowiek, była całkowicie niezdolna do odczytywania znaków czy rozumienia potrzeb. Jako osoba nadmiernie córkę rozpieszczająca i hałaśliwa nie pomagała swemu dziecku podczas żałoby. Może po raz pierwszy w swoim życiu Maddie potrzebowała trochę ciszy, by przepracować to, co się stało. Biedactwo oniemiało. Płaczące niewiasty, rzeczywiście – pomyślała z ironią Isabella, bo gdyby jej wnuczka zdołała uronić kilka łez, na pewno poczułaby ulgę.

Ten pierwszy tydzień – który miał być urlopem Maddie – zbliżał się do końca. W całkowitym odrętwieniu opuściła mieszkanie na siedemdziesiąt dwie godziny, by wbrew poradam wszystkich prócz *nonny* Isabelli udać się do Londynu na pogrzeb, w którym nie miała ochoty uczestniczyć. Postanowiła jechać ze względu na zdruzgotanych rodziców Chrisa, ale odrzuciła zaproszenie, by zostać z nimi na kilka dni. Madeline rozumiała, że potrzebują jej, bo kojarzy im się z utraconym synem, ale po prostu nie mogła im pomóc. Teraz i przedtem stały się dwoma osobnymi światami: tamtych kilka cudownych weekendów wiosną i na początku lata, gdy wraz z Chrisem ruszali pociągiem z Oksfordu, kiedy jego rodzice otworzyli przed nią drzwi swojego eleganckiego domu w południowo-zachodnim Londynie i zadbali, by poczuła się swobodnie. Codziennie jadali lunch na trawniku, jeszcze kilka miesięcy temu; ale każda godzina tego tygodnia byłaby tym, czym nigdy nie będzie. Maddie musiała czym prędzej uciekać z Londynu.

Nigdzie jednak nie znajdowała wytchnienia. Podczas gdy pozostali drzemali w czasie całonocnego lotu do San Francisco, jej umysł krwawił wspomnieniami. Próbowwała sobie przypomnieć rysy twarzy Christophera.

Ciemne niesforne włosy, które jak zapewniał, są tak genetycznie „zaprogramowane”, że nie da się ich uporządkować, ale i nigdy się nie przerzedzą. Kanciastą szczękę i dołeczek w brodzie; dziwnie długie rzęsy, z których ona sobie żartowała, powtarzając, że każda dziewczyna by takie chciała! I oczywiście blizna w miejscu, w którym jako dziecko przegryzł dolną wargę. Widziała jego atletyczne ramiona i kark, świetnie umięśnione po latach wiosłowania w college’u. I figlarne brązowe oczy, które zdradzały serdeczność i poczucie humoru. Widziała te detale, ale jakoś nie składały się na pełen wizerunek. Zakochała się w jego inteligencji, nie w jego twarzy. Istnienie Chrisa wyrażało się bardziej w emocjonalnym poczuciu jego całkowitej obecności niż w jakiegokolwiek konkretnej cesze. Słyszała go, czuła jego zapach. Ale jak wyglądał na kilku ostatnich ich spotkaniach, nie mogła sobie przypomnieć. Wyraz jego twarzy jej umykał. Nie mogła go ściągnąć z powrotem żadną miarą. A przez jakieś przewrotne zrządzenie losu zdjęcia, które miała, także okazały się trochę niewyraźne: robione pod kątem albo ze zbyt dużej odległości. Miał zwyczaj podnosić rękę, gdy go fotografowano, przez co zawsze był trochę przysłonięty. Tak więc przez większość tygodnia czuła się niewidoma – albo przynajmniej niezdolna zobaczyć tego, co chciała widzieć. Musiała żyć z ostrym bólem, chociaż sama była zamroczona.

Do soboty, tydzień po otrzymaniu wiadomości i dzień po powrocie z Londynu, Maddie osiągnęła etap paralizującej samotności. Wydawała się ona o wiele dotkliwsza pośród nadmiaru gości, którzy dyżurowali przy niej w uświęconym tradycją włoskim zwyczaju składania kondolencji rodzinie i znajomym. Pomijając dyskretną troskę *nonny* Isabelli i mocny uścisk Barbary, która przychodziła codziennie, żeby bez słowa utulić siostrę, Maddie wiedziała, że jeśli ma przeżyć tę dziwną gehennę, musi stworzyć chociaż pozory normalności. To, co tu się działo, przypominało przedwczesne wdowieństwo; pokój przybrany przez współczujących gości niczym alkowa panny młodej wydawał jej się irytująco sterylny. Musiała uciec na powietrze.



Skupiła się na pomyśle, że dobrym rozwiązaniem będzie ciężka praca, że dzięki niej przetrwa najbliższe dni, jeden po drugim. Sądząc, że pomimo weekendu Samantha pracuje w biurze, zmobilizowała wszystkie siły i oznajmiła, że w poniedziałek chce przyjść normalnie do pracy.

– Hmm. Myślę, że mogłabyś z tydzień poczekać. – Szefowa ostrożnie powiedziała „mogłabyś”, a nie „powinnaś”, ale chociaż jej pracownica niewiele ujawniała ze swoich uczuć, Samantha zdawała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich siedmiu dni zniosła zbyt wiele ciosów, żeby kierować się rozsądkiem, a nawet dla silnej osoby praca bywa zarówno druzgocąca, jak i stresująca.

Ale Maddie miała własne potrzeby i ubiegła jej odpowiedź. W głosie szefowej usłyszała nutę rozsądku, ale nie chciała się jej podporządkować.

Samantha po części się tego domyśliła i nacisnęła trochę mocniej.

– Jesteś jakby w stanie wojny, Maddie. Jak naprawdę się czujesz? Jesz coś?

Maddie uśmiechnęła się słabo do telefonu, ale zaraz zdała sobie sprawę, że musi użyć słów.

– Niewiele. Ale oddycham – odpowiedziała cicho. – Po prostu cały czas się koncentruję na oddychaniu. Z chęcią zajęłabym czymś umysł.

Samantha zrozumiała ten ból. Szanowała zdecydowanie Maddie i wahała się już tylko chwilę.

– W poniedziałek mamy ważne spotkanie. Osiągnęliśmy interesujący etap i ucieszę się, jeśli tu będziesz.

– A więc do zobaczenia – rzuciła Maddie już opanowanym tonem.

## 4

29 STYCZNIA 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

Madeline Moretti pamiętała aż za dobrze dzień rozmowy o pracę w Harden Hammond Cohen. Na tydzień poszukiwania zajęcia zatrzymała się u siostry, i to z jej mieszkania wyruszyła w ów wrześniey dzień na rozmowę z takim zapasem czasu, żeby bez pośpiechu znaleźć właściwy adres. Sprawiała wrażenie doskonale przygotowanej. Padał lekki deszcz, ale szybko okazał się bardziej intensywny, a nim dotarła do Embarcadero, jesienna bryza zmieniła się w wiatr z prawdziwego zdarzenia, nadciągający znad wody. Przypomniała sobie falę paniki, kiedy odwróciła się jej parasolka, a włosy uciekły spod grzebieni – nie taki wizerunek chciała prezentować na profesjonalnym spotkaniu. Przed budynkiem ochlapała ją taksówka, która właśnie parkowała przy krawężniku w kałuży, i poczuła, że może los jest przeciwko niej. Samantha od razu zrobiła jednak na niej wrażenie miłej osoby i Maddie szybko się odprężyła, lawirując między trudnymi kwestiami moralnymi jak zwinny bokser i przymilając się swojej przyszłej chlebodawczyni. Maddie nie była arogancka, ale już po dziesięciu minutach żywej dyskusji o poglądach na karzącą sprawiedliwość wiedziała, że zdobyła tę posadę. Wydawała się idealna.

Trzy tygodnie później przysłała do pracy po raz pierwszy, z kacem po licznych margaritach spożytych z Barbarą poprzedniego wieczoru, spędziwszy pół nocy we własnej łazience, a potem pół poranka wymiotując w wygodnej toalecie kancelarii Harden Hammond Cohen. Jakoś jednak zdołała oczarować trudnego nowego partnera, Davida Cohena, zmyślną oceną dzieł sztuki w jego gabinecie, a następnie przekonała do swojej bezcenneści adwokata pochodzącego z Nowej Anglii, Charlesa Hammonda, kończąc za niego artykuł do „New York Timesa”, gdy nagle starszy

partner został wezwany do sądu. Znaczące pasmo zwycięstw pomimo migreny – a od tego czasu każdy dzień był bułką z masłem.

Do dzisiaj. Dzisiaj czuła się pusta. Odepchnęła wszystkich, odmawiając dzielenia się emocjami z przyjaciółmi i płakania przy ludziach. Może nawet nie zaczęła jeszcze żałoby. Dzisiaj była wyczerpana. A musiała się skupić i udowodnić, że może nadal wykonywać swoją pracę równie niezłomnie jak Samantha.

W tej kancelarii nikt nie kończył pracy przed szóstą, nikt nie chciał. Choć szefowie nie należeli do skąpców, ekstremalnie wysokie zarobki byłyby tu postrzegane jako niemoralne. Firma Samantha zajmowała się prawami człowieka i zaliczała się niewątpliwie do najlepszych na Zachodnim Wybrzeżu, budząc niechętny podziw nawet u najbardziej zaciętych konkurentów. Każdy, kto doświadczył ewidentnego seksizmu albo maltretowania w miejscu pracy, albo padł ofiarą poważnego zaniedbania korporacyjnego, albo zasłużył na odszkodowanie pracownicze, lecz go nie dostał, pukał do ich drzwi. Samantha, pochodząca z New Jersey córka społeczników, wykształcona na Harvardzie, choć z pozoru delikatna, jeśli w coś zaangażowała się całą duszą i rozbudziło się w niej poczucie, że komuś dzieje się krzywda, zamieniała się w teriera, który walczył na śmierć i życie. Słyszała z tego, że ma posłuch w Waszyngtonie, i polegała na swoim zespole młodych geniuszy, którzy sprawowali pieczę nad wszystkim, podczas gdy ona wyjeżdżała na posiedzenia komisji doradczych albo lobbować na rzecz zmian prawa pracowniczego.

Każdy, komu zależało na karierze, pracowałby tu bez wynagrodzenia, nie oczekując korzyści finansowych, byle tylko patrzeć i się uczyć. Ta firma decydowała o całym życiu zawodowym, słyszała z oddania dla walki w imieniu zwykłych ludzi. Chris powiedział kiedyś do Madeline, że „sprawiają oni wrażenie niebezpiecznych lewaków” z miasta, które dało światu ONZ. Ale jej wiara w jego zalety okazała się uzasadniona, bo oznajmił, że jest gotów zwinąć manatki i zamieszkać z nią w tym mieście – jej mieście – z jej niebezpiecznymi lewackimi kolegami. Intrygował go

widok na ocean z jej balkonu, jej życie i jej kancelaria, więc Maddie zaczęła życie zawodowe optymistycznie, i każdego dnia, odkąd Samantha ją przyjęła, było coraz lepiej.

Ale dzisiaj już nie. Maddie utknęła w ciemnym tunelu i nie widziała żadnego światełka.

Kiedy w poniedziałkowy poranek wychodziła ze swojej pięknej pościeli, zrobiło się jej słabo na myśl o spotkaniu z ludźmi. Nie do końca rozumiała to pólszalenie przygniatające ją w milczącym bólu. Mogła tylko sobie obiecać, że postara się nie dopuścić, by jej świat rozpadł się jeszcze bardziej. Skoncentruje się na przetrwaniu, pójdzie gdzie ją oczy poniosą i zobaczy, gdzie dotrze. Nie miała żadnych innych projektów, żadnych planów na przyszłość.

Poranny telefon wybudził ją z pólśnu.

– Dokumenty ze Stormtree, na które czekamy – mówiła Samantha w pośpiechu i z podnieceniem, którego Maddie jej zazdrościła – jadą do naszego biura w San Jose. Dotrą jutro rano. Dzisiaj o dziewiątej jest spotkanie, żeby wszystkich pogonić i zrobić burzę mózgow nad paroma aspektami sprawy, więc trzymam cię za słowo, że jesteś gotowa wziąć się do roboty.

Bez przerwy na oddech. Maddie zdała sobie sprawę, że Samantha dzwoni z tymi wiadomościami, żeby ją zarazić entuzjazmem – i jeszcze dwa tygodnie temu by zaraziła – ale dzisiaj musiała się postarać o wiele bardziej, żeby jej pracownica w ogóle się czymś przejęła.

Świadoma, że powiedziała „jasne” bez zapału – miała nadzieję, że Samantha złoży to na karb zmęczenia – odłożyła słuchawkę i zabrała się do nic nieznaczących rytuałów: picia kawy, brania prysznic, ścielenia łóżka, ubierania się do biura, a wszystko to robiła w jakimś otumanieniu. Za oknem zobaczyła mgłę i mżawkę, więc wygrzebała odpowiednie buty, starając się nie reagować emocjonalnie na widok czarnych louboutinów ustawionych na przedzie szafy. Odsunęła je na bok, chwyciła sportowe buty, a elegantsze czekoladowe czółenka wsadziła do torby, wzięła dużą

aktówkę, parasolkę i torebkę, i po chwili zamknęła za sobą drzwi szklarni pełnej kwiatów.

Jeszcze było na tyle wcześnie, że ulice spowijała szara mgła. Maddie przemieszczała się niejako wraz z nią, gdy za rogiem ruszyła w dół w stronę Union Street, nie widząc morza za mleczną ścianą. Pobiegła na autobus z Cow Hollow, który miał ją zawieźć na Union Square, i zastanowiła się, gdzie miała głowę, gdy autobus nagle skończył trasę i musiała przesiąść się w tramwaj, żeby dotrzeć do biura. W ładny dzień ruszyłaby piechotą: nie dzisiaj, kiedy sił jej ledwie wystarczało, żeby wystać w zatłoczonym pojeździe.

W trakcie krótkiego spaceru przez Embarcadero próbowała ogarnąć informacje, które przekazała jej Samantha. Sąd Okręgowy Kalifornii najpewniej wreszcie zmusił Stormtree Components Inc., żeby wydało dokumenty z niemal dziesięciu lat – w tym wewnętrzne okólniki o decydującym znaczeniu – o które wnioskowano kilka miesięcy temu. Świadome zagrożenia, które wiąże się z ujawnieniem tych papierów, Stormtree grało na zwłokę, odkąd tylko Maddie dołączyła do firmy. Samantha pewnie się cieszyła, że po wielu miesiącach akrobatycznych popisów ze strony prawników Stormtree sąd wreszcie stracił cierpliwość i nakazał im dostarczyć materiały – pod groźbą zarzutu lekceważenia sądu.

Ale gdy już przebrną przez wszystkie szczegóły tej tony papieru, czy znajdą w niej tę jedną jedyną informację, której szukają? Czy istniało coś, co mogło bezdyskusyjnie udowodnić, że Stormtree wiedziało o toksyczności swoich materiałów, ale nie zrobiło w związku z tym nic, żeby chronić swoich pracowników? Zakładając, że taki papierowy ślad w ogóle istnieje, czy coś tak drażliwego mogło nie trafić do niszcarki? To właśnie myśl, że firma musiała co najmniej częściowo być świadoma swojego zaniedbania, rozpałała w Samancie ogień walki, całe lata przed tym, jak Maddie dołączyła do zespołu. Samantha i David nie mieli wątpliwości, że rozmaite ciężkie choroby i liczne ofiary śmiertelne wśród prawie dwustu

pracowników zatrudnionych przez Stormtree w całych Stanach Zjednoczonych do produkcji elektroniki i płyt głównych do komputerów były dla korporacji czymś więcej niż tylko kłopotliwą sytuacją. Uważali, że poszkodowani zasługują na o wiele więcej niż wymuszone przeprosiny i zapewnienie o niewiedzy na temat trujących chemikaliów używanych podczas produkcji. Zdaniem Samantha Stormtree wiedziało. Niemożliwe, żeby przeoczyli – lub żeby się nie zainteresowali – rosnącą liczbą zachorowań wśród swoich pracowników. Teraz jednak wyniki badań i zaleceń od badaczy Stormtree trafią na ich stół, a oni przejdą długą drogę do potwierdzenia, albo wręcz przeciwnie, przeczyć Samantha. Co to wszystko da?

Maddie weszła w cień pięknych szklanych budynków, które gościły jej szefów, odkąd po trzęsieniu ziemi z roku 1989 przenieśli się ze stylowego biura wieków w Bay Area. Samantha żartowała, że unowocześnienie i odporność na trzęsienie ziemi może być błogosławieństwem, jeśli wziąć pod uwagę wybuchową naturę spraw, które tak często prowadzili, ale pomimo luksusowego wyglądu nowych pomieszczeń serce starej firmy pozostało dumne na wietrze – niemal dosłownie obecnym na ich wysokim piętrze – gdy dalej podejmowali się swoich niezwykłych, niedochodowych spraw. To właśnie musiało przemówić silnie do Maddie idealistki.

Maddie czuła, że mgła lgnie do jej ubrania i wydawała się podążać za nią do holu, a nawet do windy, gdzie zmieniła tenisówki na czółenka, wznosząc się na szczyt wieży z kości słoniowej. Przygotowała się na nieskazitelnie uszmiukowany uśmiech Jacinty Collins – grymas tak doskonale uformowany, że Maddie nieraz na własne oczy widziała, jak bez szwanku przetrwał uroczyste lunche złożone z linguini z truflami albo spaghetti marinara. Jedna z niewielu blondynek w biurze o przewadze ciemnowłosych kobiet o różnym stopniu atrakcyjności. Jacinta miała być asystentką obojga starszych wspólników, chociaż każde z nich miało również osobistą sekretarkę, ale Maddie zawsze czuła, że zasięg Jacinty jest o wiele szerszy i że lubi ona sprawować kontrolę nad wszystkim, co

się dzieje w Harden Hammond Cohen. Takich jak ona należało szanować bardziej, niżby się chciało.

W tej właśnie chwili doskonałe wargi zacisnęły się w wyrazie współczucia.

– Och, tak mi przykro, Madeline. Myślałam, że nie zobaczymy cię jeszcze przez dłuższy czas. – Bez powodzenia usiłowała usunąć z twarzy wyraz niechęci na widok skromnego brązowego kostiumu Maddie. – Spójrz tylko na siebie! Widać, jak cierpisz. Jesteś dzielna, że w ogóle wróciłaś.

Maddie trochę się zatoczyła, gdy rozpostarte ramiona ruszyły do niej w szyku uściskowym.

– Dzięki – odpowiedziała rozkojarzonym głosem, którego ton nie zachęcał do dalszej konwersacji.

Od fizycznego kontaktu wybawiło ją pojawienie się jej koleżanki, Yamuny Choudhury, która dołączyła do firmy jako podwładna Charlesa Hammonda ledwie kilka tygodni przed Maddie. Była najlepsza na roku w Stanfordzie i emanowała wyrafinowaniem dziewczyny dość świadomej swojej niezwyklej urody. Dorastała pomiędzy Kalifornią a Dżajpurem, który bodajże w części należał do jej ojca. Maddie podziwiała ją za zdolność wnikliwego myślenia połączoną ze zwyczajem odzywania się wyłącznie w chwilach, gdy miała do powiedzenia coś ważnego. Współczujący uśmiech Yamuny był bardziej wymowny niż słowa, gdy podawała Maddie cienki plik dokumentów, dokładnie taki sam jak jej.

– Ostatnie zeznania i kilka innych dokumentów, żebyś była na bieżąco. Cieszę się, że przyszłaś. Obawiam się, że wszyscy już czekają w sali, żeby zacząć spotkanie punktualnie o dziewiątej! – Skuteczność Yamuny nie wykluczała humoru i zrozumienia dla ogromu zadania, które stoi przed jej kolegami: wybudzić ją ze wstrząsu i być czujnym na dramatyzm najbliższej godziny.

– Co do minuty. – Maddie kiwnęła głową, trochę mało przekonująco.

Recepcjonistka o oczach łani, Teresa Suarez, wyglądająca na

siedemnastolatkę, a w rzeczywistości licząca sobie ze dwadzieścia pięć lat, machnęła do Maddie spokojnie, zanim podniosła tacę z kawą. Bezgłośnie „hej” miało przekazać szacunek dla jej straty bez wdzierania się do jej osobistych myśli. Maddie podziękowała uśmiechem, przyspieszając nagle, by przytrzymać jej wielkie szklane drzwi prowadzące do wewnętrznego sanktuarium. Wielką salę konferencyjną za nimi z czułością nazywali *plaza de toros*, bardziej ze względu na ekwilibrystyczne posunięcia godne matadora, które tam planowali przeciw swym adwersarzom, niż ze względu na kształt czy wielkość.

Mijając ją, Teresa powiedziała:

– Położyłam ci w gabinecie stos korespondencji. I bardzo mi przykro, ale twoja śliczna roślinka nie wygląda najlepiej. Próbowałam ją podlewać, kiedy cię nie było, ale chyba bardziej jej zaszkodziłam, niż pomogłam.

– Nic się nie martw – odparła Maddie. – To miło z twojej strony. Zerknę na nią.

Minęła róg i dotarła do swojego maleńkiego gabinetu. Spojrzała na niewielką grafikę z widoczką Oksfordu wiszącą na ścianie, starannie ustawione te czki w kolorach przez nią dobranych, zdjęcie w ramce na półce za jej biurkiem. Zastanowiła się, kto zamieszkuje tę przestrzeń. Ktoś, kogo teraz prawie nie pamiętała: daleka krewna, kuzynka. Zapragnęła sięgnąć po zdjęcie Christophera, by spojrzeć na nie, zanim pójdzie na spotkanie, ale jednocześnie nie chciała w tej chwili o nim myśleć. Zerknęła więc tylko na biurko i pomimo ostrzeżenia zobaczyła korespondencję ułożoną w wysoki stos obok jej niegdyś pięknej białej orchidei. Usychające, woskowe liście pogrążyły się w martwicy od nadmiaru wody, która zebrała się u ich podstawy. Nie winiła Teresy. Niewielu ludzi wiedziało, że orchidee mają skromne wymagania w kwestii wody, a wyglądało na to, że jej kwiat został utopiony w chybionym geście dobrej woli. Wyglądał jednak bardzo smutno – dumny dwułodyżkowy *phalaenopsis*, który Chris przysłał jej w pierwszym dniu pracy cztery miesiące temu, a który od tego czasu kwitł nieustannie. Teraz pnącza



zwisały żałośnie. Odstawiła swoją teczkę i zastanowiła się, czy jednak może się rozplakać, ale przełknęła głośno ślinę, odłożyła płaszcz na krzesło i wrzuciła roślinę do kosza na śmieci. Potem z rozwągą się odwróciła i wraz z otrzymanymi przed chwilą dokumentami, chwyciwszy świeżo zatemperowane ołówki i żółty notatnik, ruszyła do sali konferencyjnej.

Wchodząc do owalnego pomieszczenia, z pięknym widokiem na wewnętrzne ogrody i pasażę w dole, Maddie stwierdziła, że ożywiona rozmowa kolegów urwała się nagle na jej widok. Znalazła sobie wolne miejsce obok Samantha pod oknem i udawała, że to nieprawda, iż wszyscy unikają jej wzroku.

– Dzień dobry – powiedziała jak najmniej emocjonalnie. Zastanowiła się, jak powinna zareagować na ciche współczucie obcych. Czego oczekiwali? Nikt nie napisał poradnika dla tych, którzy padli ofiarą nieudanej bajki, których świat jakby żałował, ale nie wiedział, jak ich traktować.

Ciszę przerwała Samantha, która wpadła przez szklane drzwi. Wydawało się, że ma w zanadrzu dobry dowcip, gdy rzuciła na środek stołu egzemplarz magazynu „San Francisco”. Zanim siadła na swoim miejscu, już mówiąc, lekko położyła dłoń na ramieniu Maddie.

– Na wypadek gdyby ktoś z was miał wątpliwości co do charakteru postaci, z którą mamy do czynienia w Stormtree, oto on! Spójrzcie na świetlaną postać pana Pierce’a Graya, fundatora nowo wyremontowanego skrzydła galerii sztuki i oczywiście prezesa rodzinnej firmy Stormtree Components!

– *Incorporation!* – dodał żartobliwie przystojny Tyler Washington, najlepszy praktykant w firmie. Ze wzrostem zawodnika Harlem Globetrotters dominował przy stole. – Ten Gray to znakomity specjalista od prasy i public relations! Żaden sąd w życiu nie uwierzy, że on nie jest typowym przykładem amerykańskiego marzenia, facetem o złotym sercu i z portfelem otwartym dla bliźniego.

– Pod warunkiem że bliźni nie jest jego pracownikiem. – Samantha

spojrzała krzywo.

Charles Hammond uśmiechał się w milczeniu pod nosem z drugiej strony kręgu. Nieskazitelnym w swoich ubraniach od Brooks Brothers i ze staromodnymi manierami, obrócił do siebie zdjęcie mężczyzny w ciuchach szytych na miarę, może przedwcześnie siwiejącego jak na trzydzieści dziewięć, czterdzieści lat.

– Ach – powiedział do swojej partnerki – czy zaproszono cię do tej pięknej wiejskiej chaty, jak ją nazywa, w samym sercu winiarskiego rejonu Kalifornii, byś skosztowała szumnie zapowiadanego nowego rocznika sauvignon? Bo muszę wyznać, że mnie zaproszono.

Samantha udała, że rozdziawia usta w zdumieniu.

– Charles, kolacja z diabłem? W Château Pierce?!

– Wydaje mi się, że swój nowy produkt, The Gray Lady, nazwał na cześć ducha jakiegoś przedwojennego błyskotliwego francuskiego Château Cabernet Sauvignon – odpowiedział Charles. – Przypomina w ten sposób swoim kontaktom z Bordeaux, że kilka własnych szczepów zawdzięczają uprawie winorośli jego dziadka, od czasu gdy przed laty francuską winorośl zniszczyła filoksera. W tej chwili posunęli się już tak daleko, że dają mu pod uprawę trochę swojej świętej francuskiej ziemi.

Tyler się roześmiał.

– Cały francuski przemysł winiarski musi być świadom zalet pana Pierce'a Graya z Napa Valley. Nie ma on nic na sumieniu!

– A może jednak sami sprawdzimy, co? – odezwała się poważnym tonem Samantha. – Tyler, macie z Charlotte coś nowego w sprawie raportów medycznych?

Smukła blondynka siedząca obok Tylera Washingtona była fiołkowooką pięknoscią z Indiany, a także jego dziewczyną. Charlotte Baxter i jej przystojny współpracownik zeszli się tydzień po tym, jak ona dołączyła do Harden Hammond Cohen przed kilku laty, i zasadniczo zdołali zachować swoje osobiste życie w stanie niezmiennym. To Charlotte – czująca się swobodnie w koronkowej bluzce i z włosami gładko zebranymi w kok –

przejęła podsumowanie ich wysiłków.

– Oczywiście, Samantha. Mamy niemal czterysta wniosków pracowników albo byłych pracowników Stormtree, którzy zapadli na poważne choroby ich zdaniem zawinione przez firmę. Każdy uważa, że to pewne roszczenie, ale kiedy przyjrzelśmy się im szczegółowo, widać, że niektóre nie mają nic wspólnego ze sprawą. Jeden to na przykład wypadek drogowy w drodze do domu...

Maddie oderwała wzrok od okładki magazynu, by spojrzeć na piękną, klasyczną twarz Charlotte, podziwiać jej sumienność, gdy przedstawiała historie ludzi, którzy ucierpieli z powodu zaniedbań Stormtree. Czy może niewiedzy? Wydawała się taka płomienna. Jak to możliwe, że ktoś się tak przejmuje, a jednocześnie funkcjonuje tak klinicznie? Maddie słuchała, jak Charlotte opisuje kogoś, kto warunki panujące w „czystym pomieszczeniu” wini za to, że apatyczny i rozkojarzony, nękany migrenami wjechał w tył ciężarówki. Maddie się zastanawiała, czy to wymówka.

– Więc on chce, żeby Stormtree wypłaciło mu rekompensatę za obrażenia. Ale powiem brutalnie: nie wchodzimy w to. – Samantha potrząsnęła głową. – Może to i po części prawda, ale potrzebujemy spraw absolutnie pewnych. Jakie mamy najsilniejsze przystawki, Charlotte?

Maddie nie sądziła, że będzie musiała tak się skupić, ale bardzo się starała nadać za Charlotte, gdy ta przedstawiła podsumowanie pełne numerów spraw i statystyk. Zebrali jakieś sto pięćdziesiąt osób, niektóre ze stanów innych niż Kalifornia. Kilka na Wschodnim Wybrzeżu, w pobliżu Bostonu i z Maine, sprawy bardzo podobne do tutejszych. Czy Samantha chciała się skupić tylko na tych najbliższych?

– Ja bym je zachował w pamięci – powiedział Charles. – Nigdy nie wiadomo, jak się sprawy potoczą. Mogą się przydać, jeśli natrafimy na jakąś nieustępliwość sędziów kalifornijskich...

Maddie przesunęła niewidzącym wzrokiem po pokoju, po czym wróciła do twarzy Stormtree na środku stołu. Usłyszała, jak Samantha zgadza się z Charlesem, potem głos Tylera. I znowu Charlotte. I Samantha. Teraz

Tyler mówił z ożywieniem, a Maddie się skupiła na jego słowach.

– Mamy też dwadzieścia pięć „prawdopodobnych” tutaj, w Kalifornii. Założę się o wszystko, że zostali otruci przez Stormtree Inc. To znaczy owszem, możemy udowodnić toksyczność używanych substancji, bo w zamówionych przez nas raportach specjaliści jednoznacznie twierdzą, że z tymi substancjami należy się obchodzić z maksymalną ostrożnością. Ale trzeba by udowodnić, że Stormtree wiedziało dokładnie, co powinno robić. Musimy wykazać, że z oszczędności postanowiło tego nie robić.

Możesz wykazać, że firma świadomie ryzykowała życie ludzi? – zastanawiała się Maddie. Udowodnić, że nie przestali myśleć o tym, iż ich działania mogą położyć kres czyimś marzeniom? Wydrzeć nadzieje i szczęście, zniszczyć rodziny, skazać na codzienne cierpienie? Chciała coś powiedzieć, ale nagle Yamuna odłożyła ołówek, którym się bawiła, a on stuknął tak głośno o blat, że Maddie aż podskoczyła. To ona miała przemówić.

– Tyler, chcę, żeby to było jasne. Na pewno powinnam znać odpowiedź. Ale jeśli toksyczność metali ciężkich stosowanych przy produkcji płyt głównych i chipów nie budzi wątpliwości, a ci ludzie chorują z powodu wykonywania pracy w tych miejscach, chociaż pracowali w sterylnych pomieszczeniach, to dlaczego to takie ważne, żeby udowodnić, że Stormtree wiedziało wcześniej? Na pewno są winni, nawet jeśli nie wiedzieli, że to zabija ich pracowników. Czy jedyną ważną kwestią, którą musimy udowodnić, nie jest to, że choroba powstała w miejscu pracy?

Samantha w milczeniu i władczo podniosła rękę.

– Wyjaśnijmy to. To nie metale są winne.

Spojrzała na wszystkich po kolei, a Maddie poczuła, jak porywa ją prąd. Popatrzyła szefowej prosto w oczy, jakby to jej bezpośrednio postawiono pytanie, i odpowiedziała:

– Toksyny ulatniają się z eterów glikolu etylowego, benzenu i jego pochodnych, żywic epoksydowych i tak dalej, to są rozpuszczalniki, które mogą być kancerogenne.

Zastanawiała się, skąd wzięła tę wiedzę, gdy zauważyła, że Samantha kiwa jej głową.

– Zgadza się. Wszystko to od dziesięcioleci jest podstawą nowoczesnego przemysłu. Ale – zwróciła się do Yamuny – ty też masz rację. Jedna część naszego zadania, wielka część, to udowodnienie ponad wszelką wątpliwość, że nowotwory i inne ciężkie zachorowania są związane z warunkami pracy, co nie jest proste. Mogę się założyć, że prawnicy Stormtree będą twierdzili, że choroby, na które cierpią pracownicy firmy, są absolutnie naturalne, zgadzają się z danymi demograficznymi.

– Wszyscy twierdzą, że u pracowników latynoskich, czy w jakiegokolwiek innej grupie, w której imieniu tu występujemy, jest wyższe niż wśród bogatszych białych prawdopodobieństwo zapadalności na raka wątroby, niewydolność oddechową albo samorzutnego poronienia czy też występowania białaczki u dzieci! – rzuciła sfrustrowana Charlotte.

– Ale kwestia, że oni to wszystko wcześniej wiedzieli, jest decydująca, Yamuno – ciągnęła Samantha. – Odszkodowanie za zwykłe wykroczenie, „Ojej, o Boże, przykro nam, naprawdę nie mieliśmy pojęcia, że toksyczne opary mogą wyrządzić naszym pracownikom jakąkolwiek krzywdę”, będzie znacznie niższe, niemal będzie to gest dobrej woli ze strony Stormtree wobec jego pracowników. Przypomną sądowi, że w ramach umowy opłacają pracownikom ubezpieczenie zdrowotne, więc w oczach niektórych osób już będą wyglądać lepiej. Ale jeśli redukuje koszty albo dopuszczają się zaniedbania, albo choćby ociągają się z nadzorem, do takiego stopnia, że ryzykują życie i zdrowie swoich pracowników, a także ich rodzin – to już mówimy o poważnych szkodach.

– Nie wspominając o aspekcie moralnym – dodała cicho Maddie, nie odrywając oczu od zdjęcia w „San Francisco”. Podniosła wzrok i stwierdziła, że wszyscy na nią patrzą.

– To też, tak. – Samantha kiwnęła głową. – I dlatego właśnie musimy dołożyć starań, by zebrać od naszych klientów dokładne zeznania. Musimy mieć pewność, że to, co nam mówią o dołączeniu do firmy, o warunkach,

które musieli znosić, o charakterze ich chorób, i wszystko inne, co pamiętają na temat pracy w Stormtree, jest jasne, dokładne i ani trochę nieupiększone. Musi się trzymać kupy w sądzie i przekonać ławę przysięgłych.

– Nikt nie musi nic upiększać. W sądzie często mniej znaczy więcej – zasugerował Charles.

Tyler podniósł pismo przewodnie ze swojego stosu i podał je Samancie.

– Nasi ludzie raz jeszcze dokładnie przejrzeni raporty medyczne i pośród pracowników Stormtree znaleźli chyba ze sto pięćdziesiąt kolejnych przypadków raka różnego rodzaju na tysiąc osób, to sporo więcej niż średnia w populacji. Raporty toksykologiczne są...

Oczy Samantha spoczęły na Tylerze.

– Możemy udowodnić to ostatecznie? – spytała.

– Potrzebne nam dokładniejsze śledztwo. Właśnie nawiązuję współpracę z pierwszorzędnym epidemiologiem z Princeton. Mnóstwo ludzi ze Stormtree umierających na raka zostało uznanych za pechowców, którzy po prostu pochodzą z uboższych warstw społecznych. Poprosiliśmy ich więc, by przeprowadzono w firmie badania w czystych pomieszczeniach, żeby wyeliminować źródło zagrożenia. Ale oni odparli, że nie ma dowodów naukowych, że czyste pomieszczenia nie są czyste. Na naszą prośbę odpowiedzieli więc, że nie ma potrzeby prowadzenia badań!

Charles oczywiście orientował się w pozwie Samantha, ale szczegółowiej miał się z nim zapoznać w chwili rozpoczęcia procesu, bo to on miał występować na sali sądowej. Poprosił więc o wyjaśnienie.

– Określenie „czyste pomieszczenie” oznacza, że pracuje się tam w warunkach sterylnych, tak?

Charlotte potrząsnęła głową.

– Są tak czyste, że pracownicy muszą używać rękawiczek i nakryć głowy oraz kombinezonów, żeby chronić układy scalone, które wytwarzają. Jeśli na przykład na mikroprocesor spadnie pyłek kurzu, nie będzie on działał. Ale to służy ochronie procesu produkcyjnego, nie

pracowników.

– Oni tym oddychają, Charles – dodała Samantha.

– Ale jeśli ich czyste pomieszczenia są bez skazy – upierała się Yamuna – czy nie lepiej byłoby to udowodnić? Walka z nami w sądzie jest o wiele kosztowniejsza.

– I mogliby też dokonać własnych odkryć i zawrzeć ugodę – myślał na głos Charles.

– Pierce Gray nie należy do ludzi, którzy konfrontują się ze swoimi brakami czy też przyznają się do jakiegokolwiek naganego postępowania.

– To powiedziała spokojna młoda kobieta około trzydziestki, siedząca po prawej stronie Maddie. Daisy Chang, której prapradziadek przyjechał do Kalifornii z pustymi kieszeniami w czasach gorączki złota, była błyskotliwą młodą prawniczką towarzyszącą. Pracowała dla Davida Cohena, który w tym tygodniu przebywał za granicą, a ona siedziała i słuchała za dwóch.

– On na pewno ma też miłe oblicze – powiedziała Marni Van Roon bezbarwnym głosem, tak że nikt nie miał pewności, czy to ironia. Studentka ostatniego roku prawa międzynarodowego z Rotterdamu spędzała go na wymianie na Berkeley i odbywała kilkutygodniowy staż w Harden Hammond Cohen, ale nie przydzielono jej do nikogo konkretnego. Czasami na lunch chodziła z Jacintą, która wydawała się być pod wrażeniem czarującego pana Graya, i to Jacinty zdanie wyraziła teraz głośno: – Mówiąc uczciwie: możecie nie dowieść, że oni wiedzieli o rakotwórczym działaniu chemikaliów.

Maddie wbiła w nią wzrok, ale powstrzymała się od komentarza.

Samantha uśmiechnęła się smętnie.

– To prawda – przyznała. – Ale miejmy nadzieję, że zdołamy dokopać się prawdy, dla dobra ludzi, którzy umierają w szpitalach pozbawieni nadziei. Czas działa na ich niekorzyść. A swoją drogą, Maddie – spojrzała na swoją sąsiadkę – chciałabym, żebyś odwiedziła naszych najmocniejszych klientów i zebrała od nich wszystkie zeznania. Tyler?

Wywołany podał szczegóły.

– Tak, ta miła pani około sześćdziesiątki, Maddie. Już ją poznałaś: Marilu Moreno. Mieszka w San Jose, poznałyście się jakiś miesiąc temu i bardzo się jej spodobałaś. Rak piersi. Pamiętasz?

Maddie kiwnęła głową z niejasnym wyrazem twarzy. Tak, pamiętała nadzwyczajną, pełną werwy kobietę. Ale musieć teraz się z nią spotykać... Dlaczego ja? – pomyślała.

Samantha odpowiedziała nieświadomie:

– Masz świetny kontakt z ludźmi, Maddie, a z Marilu trzeba się obchodzić delikatnie. Jest błyskotliwa i twarda, i wkurzona na te wszystkie opóźnienia i sztuczki ze strony prawników Stormtree. I jest jeszcze ta nowa dziewczyna, prawda, Tyler?

– Rdzenna Amerykanka, lat jakieś trzydzieści pięć. Jej ojciec mieszka w Nevadzie, a ona walczy też o wsparcie dla niego, ponieważ on zajmuje się jej dzieckiem. Jest bardzo dobrze wykształcona i ma dziesięcioletniego syna. Zdaje się, że jest dość poważnie chora. Ma nieoperacyjnego raka mózgu, między innymi, a oprócz tego najśłodsze usposobienie na świecie, i nie traci nadziei. Też w Jose. Te spotkania pewnie można odbyć za jednym razem, Maddie, a ja chętnie z tobą pojedę.

Położył przed nią kolejną kartkę i uśmiechnął się zachęcająco. Osobiście nie zazdrościł nikomu, kto musiał iść na rozmowę z tą biedną dziewczyną. Z pewnością zostało jej niewiele czasu.

Do Maddie, wciąż z trudem odrywającej wzrok od twarzy na stole, ledwie dotarł ruch w pomieszczeniu. Samantha kończyła spotkanie, przydzielając zadania i ustalając ponowne spotkanie na za tydzień. Maddie pograżyła się we własnych myślach, zastanawiając się nad Pierce'em Grayem i nad tym, jak ona może komukolwiek pomóc. Czuła się w środku wręcz pusta, jakby w jakiś sposób straciła nadzieję na życie. Ale może o to chodziło. Mogła wejść między pokrzywdzonych i nadal czuć tę samą odporność, otępienie, które czuła teraz.

Niemal bezmyślnie podniosła magazyn z uśmiechniętym obliczem



Graya, wróciła korytarzem do swojego gabinetu, kiedy już pozostali opuścili salę, i o dziwo zastała tam Samanthę czekającą na spokojne podsumowanie. Patrzyła na storczyk w koszu na śmieci, ale gdy tylko usłyszała kroki Maddie, błyskawicznie się do niej odwróciła.

– Współczuję ci bardziej, niż umiem to wyrazić, moja droga. Ale przypominasz sobie, dlaczego cię zatrudniłam?

Maddie trochę odwróciła wzrok, nie do końca pewna, co odpowiedzieć.

Samantha patrzyła na cień dziewczyny, która na rozmowie kwalifikacyjnej wydawała się jak powiew świeżego powietrza. Przyćmiła wszystkich pozostałych kandydatów.

– Powiedziałam tak: „Zatrudnię cię, Madeline. Nie z racji twojego doświadczenia, które dopiero nadejdzie, ale dlatego, że coś w tobie widzę. Twoją energię, zdolność elastycznego myślenia, rozumienia złożoności ludzi. Myślę, że z kimś takim jak ty ludzie będą chcieli rozmawiać”. Pamiętasz?

Maddie kiwnęła głową, przyciskając swoje papiery, żółty notatnik i magazyn do piersi.

– Wiem, że teraz jesteś zraniona i obolała – ciągnęła Samantha. – Wiem, że twoje życie jest mało radosne. Ale ja potrzebuję twoich specjalnych umiejętności, Maddie. Masz szansę odmienić życie tych dwóch kobiet, naprawdę, a one toczą nierówną walkę z czasem. Musisz więc znaleźć jakiś sposób, by znowu uwierzyć w sprawę i przygotować się na starcie z Pierce’em Grayem. Proszę, nie machnij na nas teraz ręką. – Uśmiechnęła się do niej łagodnie.

Nagle schyliła się do kosza, wyjęła storczyk, podała go swojej walczącej o uznanie prawniczce i wyszła.

Maddie wzięła roślinę, ustawiła ją z powrotem na biurku, podejmując decyzję. Ale jej myśli pozostały przy mężczyźnie na zdjęciu – ludzkim obliczu Stormtree Components Inc.

Widziała go, zgadza się, z bliska osobiście, raz czy dwa razy wcześniej. Coś ich łączyło, coś, co Maddie bardzo starała się zapomnieć.



## 5

### KONIEC STYCZNIA 1347 ROKU, SANTO PIETRO IN CELLOLE, CHIUSDINO, TOSKANIA

Noc nie przyniosła jej snu; Maria Maddalena obudziła się wcześniej, choć z ciężkimi powiekami. W ostatniej chwili, idąc do łóżka poprzedniego wieczoru, musiała przenieść rzeczy ze swojego pokoju, żeby zrobić miejsce dla przybyszów, i udać się na spoczynek z ciotką do jej łóżka. Nadal szalejąc z ciekawości, całymi godzinami nie mogła uspokoić myśli. Wiatr nadciągający od opactwa przyniósł bicie dzwonów na kompletę, ale dawno już umilkły, nim Mia wreszcie zapadła w płytki sen.

Teraz była całkiem rozbudzona i czuła słodki zapach wawrzynu niczym kadzidło wzbogacający dym porannego paleniska. Dopiero wtedy przypomniała sobie o święcie Agnieszki. Ach! Patronka narzeczonych!

Umyła się, ubrała szybko i pognęła przez sień poszukać ciotki Jacquetty. Spodziewała się, że zastanie ją w bibliotece, pracującą od świtu, ale znalazła ją w kuchni. Spisywała dyspozycje na cały dzień, przepisy na posiłki i gładko kierowała gospodarstwem. Dzisiaj co prawda wypadało święto, ale w tej części Toskanii uroczej Agnieszki nie zaliczano ani do wystarczająco wymagających, ani do dość znaczących, by przerywać codzienne prace i powinności ludzi. Sądów dla niej nie zamykano ani nie spodziewano się po rzemieślnikach, że na jej cześć oderwą się od pracy. W każdym razie nikt w Santo Pietro nie musiał się bać kary grzywny stu soldów za podjęcie pracy w dzień święty. Rzeźnicy, kupcy korzenni, piekarze i oberżyści mogli swobodnie zajmować się swoimi powinnościami i świadczyć usługi niezbędne do życia nawet w najważniejsze święta, z wyjątkiem świętego Szczepana, w które to święto należało się wstrzymać od wszelkiej pracy pod groźbą braku czystej wody i opadów gradu.

Mia położyła nagle dłoń na ramieniu ciotki, a w stronę drzwi wejściowych wysunęła dwa palce, patrząc pytająco.

– Ciągłe śpią. Ta para z nocy – odpowiedziała Jacquetta. – Ale my niedługo musimy iść do wioski do kościoła, więc bierz opończę i sakiewkę i przygotuj się do wyjścia.

Mia wyglądała na rozczarowaną, tak że aż ciotka się uśmiechnęła.

– Będą tu, jak wrócimy. I może do tego czasu wstaną. Wczoraj odbyli długą podróż i muszą solidnie wypocząć, zanim zasypimy ich pytaniami. A jeśli – dodała w reakcji na sfrustrowany wyraz twarzy siostrzenicy – będą woleli zachować milczenie i nam nie powiedzą, dlaczego przybyli tak późno i skąd, to trudno, takie mają prawo.

Ciotka Jacquetta stanowczo odmówiła dalszych odpowiedzi, nawet pod naciskiem kucharki, właśnie podnoszącej brwi na znak, że również jest ciekawa wędrowców, którzy tak zdecydowanie nie podali swoich imion, ale późną nocą obudzili większość gości i cały dom postawili na nogi.

– A tam. Nic od nich nie usłyszymy ani też nie zobaczymy złamanego florena – rzekła stanowczo.

Z jej miny Mia wywnioskowała, że spodziewa się po przybyszach, iż wstaną i odejdą równie tajemniczo, jak się pojawili, prawdopodobnie bez podziękowań za dach nad głową i poczęstunek. Pielgrzymi tak właśnie się pojawiali i odchodzili, a ich opowieści o podróży i wieści z dalekich miejsc często wystarczały za zapłatę. To była druga najlepsza rzecz po osobistym odbyciu pielgrzymki – służyć łaskawą gościnną tym, którzy się z pielgrzymką udają. Ale ci lepsi zostawiali coś dla domu i służby, a wielu okazywało się szczodrych w swej wdzięczności. Willa Jacquetty była o wiele wygodniejsza dla świeckich podróżników od skromnych pokoiów zarezerwowanych dla pielgrzymów w klasztorze. Pomieszczenia były tu czyste, ciepłe i dobrze wyposażone – niektóre niemal okazałe, jakby w oczekiwaniu na niezapowiedzianą wizytę jakichś *signori* – a jedzenie lepsze (podawano nawet jaja na śniadanie!) niż proste wyżywienie, które oferowali mnisi. W gospodarstwie tej wielkości, znajdującym się nieopodal

sanktuarium Galgana i opactwa, które wyrosło ku jego chwale, dającym zakwaterowanie pielgrzymom i podróżnym zdążającym w interesach do samego opactwa, opłaty od nocujących uzupełniały dochody z ziemi i na pewno gospodyni na nich zależało. Ale jeśli ktoś przewinął się bez zapłaty ni rozmowy, ciotka Jacquetta nie przywiązywała do tego wagi: wiedziała, na czym polega jej powinność, kimkolwiek był przechodzień, skądkolwiek przybywał, jakkolwiek miał sprawę do Boga.

Niemniej, ku radości Mii i niemal niezłomnej wierze w ludzi, kiedy wróciły z ciotką z mszy, zastały tajemniczą parę w przedsionku przy izbie chlebowej, w towarzystwie jedynie blondwłosego pielgrzyma i małego dziecka praczki. Młoda kobieta miała na sobie kremową prostą suknię z modną tuniką z zielonego jedwabiu, co dowodziło jej dość wysokiego urodzenia, chociaż szata nie była przesadnie ozdobna. Mia pomyślała, że to ta sama suknia, którą nieznajoma miała na sobie w nocy, tylko że wtedy zakrywał ją płaszcz. Nie mogła spakować dużo ubrań na zmianę. Mii rzuciły się w oczy delikatne rękawy ze starannym podszyciem, fartuch na sukni i narzędzia leżące obok na dębowym stoliku. Całą uwagę kobieta poświęciła stopie pielgrzyma, więc to młody mąż z nimi rozmawiał.

Mia usłyszała, jak pięknymi słowami mężczyzna przeprosza za zakłócenie w nocy spokoju. Głosem, w którym ledwie słyhać było toskańskie rytmy, wyjaśnił, że w terenie położonym wyżej wolniej pokonywali drogę z powodu zalegającego śniegu. Musieli ostrożnie prowadzić konie przez Casole d'Elsa, i nie byli w stanie dotrzeć do Chiusdino, żeby tam poszukać kwatery, ponieważ drogi stały się nieprzebyte i wcześniej zapadły ciemności. Nie mając nadziei na dotarcie do Sieny, musieli podążać drogą tam, gdzie panowały łagodniejsze warunki – czyli do tej doliny.

Nowożeńcy, pomyślała Mia, i zastanowiła się, czy akcent mężczyzny nie sugeruje, że początkiem ich drogi jest Lukka. Trasa tamtejszych pielgrzymów biegła przez Via Francigena aż do Francji i z powrotem, albo dalej, do Rzymu i Ziemi Świętej. Ale jeśli tak, nie obrali najlepszej ani

najkrótszej drogi, by dostać się do Sieny. Z San Gimignano droga pielgrzymów biegła przez Colle di Val d'Elsa, nie Casole, zdecydowanie nie przez okolice Chiusdino. W Sienie podróżnicy zdążający do Rzymu podejmowali decyzję, czy włączyć do marszruty sanktuarium Galgana, z jego mieczem wbitym w posadzkę kaplicy. To nie był główny trakt, chociaż wielu go obierało, zbaczając z drogi, żeby zobaczyć sanktuarium, a także znamienite opactwo, gdzie podobno wydarzały się cuda. Czy tych dwoje zupełnie zgubiło trasę czy po prostu nie podają celu podróży?

Ale przez całą rozmowę pomiędzy jej ciotką, która słuchała uprzejmie, nie zadając zbyt wielu pytań, a młodym mężczyzną – który nadal się nie przedstawił – Mia nie odrywała wzroku od młodej kobiety. Jej twarz, jej ruchy fascynowały dziewczynę. Miała nietypowo wysokie czoło i w przeciwieństwie do Mii była blondynką – taką jaśniejszą barwą, której malarze użyli do przedstawienia świętych i Najświętszej Pani w Duomo w Sienie. I jej włosy kręciły się trochę, chociaż zdecydowanie nie tak jak Mii. Na twarzy próżno było szukać uległości i wymuszonej skromności, z którymi obnosi się wiele młodych żon. Choć niewiele starsza od niej, ta młoda żona naprawdę miała w oczach życie.

To, co robiła, co tak fascynowało Mię, wymagało mocnych nerwów. Podczas gdy mężczyzna rozmawiał, ona jedną z najdłuższych igieł do cerowania Chiary zamoczyła w *aqua vitae* z ich spiżarni, po czym przytrzymała ją jakiś czas w płomieniu świecy, aż musiała odczuwać gorąc w palcach. Z tym ruszyła do stopy pielgrzyma, na której – jak właśnie zauważyła Mia – wielkie zaognienie przemieniło się w ropiejącą ranę, pewnie od wielodniowego pocierania o sfatygowany but. Otwarta rana wyglądała paskudnie i Mia odwróciłaby wzrok, gdyby nie zafascynowały jej poczynania młodej kobiety.

– Odwagi! – powiedziała do pielgrzyma z otuchą i uśmiechnęła się.

Rozgrzana igła zanurzyła się w ropiejącej ranie, aż trysnęła z niej biała substancja. Pielgrzym się skrzywił, ale nic nie powiedział, i ułamek sekundy później młoda kobieta przemywała stopę, nałożyła na nią własną

maść, po czym zawinęła w płótna z korzeniem irysa i kilkoma liśćmi plantana, które Mia wczoraj przyniosła. Nikt nic nie mówił, ale wszyscy się przyglądali. W jej ruchach nie było widać ani odrobiny wahania.

– To maść z korzenia tutejszego białego irysa i kwiatów dzikiego tymianku, żeby zabić truciznę, która zatruwa waszą krew – wyjaśniła pacjentowi, gdy skończyła. – I poza tym, jak mądrze wcześniej zdecydowała signora – z szacunkiem kiwnęła głową Jacquetcie – dołożyłam liści plantana. Ich wpływ na gojenie takich ran nie jest powszechnie znany. Mieliście tu najlepszą opiekę, skoro je zdobyto. Teraz musicie odpoczywać i pić napar, który zrobiłam z dzikiego tymianku, żeby zabić gorączkę. Dzisiaj wieczorem muszę powtórzyć zabieg, jeśli – spojrzała na swoją gospodynię – signora pozwoli nam zostać dzień czy dwa.

– Oczywiście, że musicie zostać – odrzekła Jacquetta. – I z waszych poczynań widzę, że musicie być dzieckiem cyrulika albo medyka z dobrego szpitala. Na pewno kogoś lepszego niż zwykły nastawiacz kości.

– Uczyła mnie córka kogoś takiego – odpowiedziała kobieta.

I przez kilka dni niczego więcej się nie dowiedziały.

Mia analizowała dziwną drogę, którą obrali, a także dźwięczny głos kobiety, przypominający szemranie wody, i fakt, że mówiła niewątpliwie, jakby pochodziła z Toskanii. Może wyruszyła z San Gimignano? I każdego dnia rozmyślała nad niewielkimi zmianami w garderobie pięknej młodej nieznanym. Zauważyła, że jej mąż rzadko chodzi do miasteczka na mszę. A młoda żona nigdy. Inni goście odchodzili, nowi goście przychodzili wraz z lepszą pogodą, a para została do końca tygodnia. Młoda żona zawsze się jednak stawiała, by zająć się raną pielgrzyma, który jak się okazało, rozpoczął podróż z południowej Anglii. Musiał pozostać z nimi do wyzdrowienia. Młoda żona – nadal bez imienia – pomagała w domostwie w każdy możliwy sposób, zbierając i układając skromne zimowe kwiaty i zieleń w pokojach, naprawiając ubrania i pościel, i ani na chwilę nie przestawała być słodka w stosunku do młodego męża. Czy małżeńskie życie długo może tak wytrwać? – zastanawiała się Mia.

Podczas gdy zastanawiała się nad tymi pytaniami, nie miała pojęcia, że sama również budzi zainteresowanie młodej nieznajomej, którą nazywała *la bella pellegrina*, i zapisała też to imię swojej ciotce: „piękna pątniczka”.

Temat Mii po raz pierwszy pojawił się w rozmowie pod koniec tamtego pierwszego tygodnia, kiedy dwie kobiety siadły na słońcu. Mąż poszedł z zarządcą do lasu sprawdzić wnyki i złapać kilka zajęcy. Kobieta suszyła na prześcieradle pestki zjedzonego granatu, by je zasiać wiosną. Jacquetta, przygotowując pomandery, poczuła się na tyle swobodnie, by podpytać ją trochę.

– Chyba nie jesteście zwyczajnymi pielgrzymami?

– Wszyscy jesteśmy: podróżujemy przez życie w poszukiwaniu piękna i prawdy. – Nie podniosła głowy, bawiąc się pestkami, ale uśmiechnęła się niemal niedostrzegalnie.

– Nie sądzę, żebyście zamierzali dotrzeć do Via Francigena albo przeoczyli drogę do Sieny. – W głosie Jacquetty nie było nic niepokojącego, lecz przechyliła głowę na bok, patrząc na swego gościa.

– Na pewno nie jesteśmy cudzoziemcami – odparła dziewczyna szczerze. W ten sposób zasugerowała, że są pątnikami, bo to słowo oznaczało „cudzoziemców” w najściślejszym znaczeniu.

– Może kierujecie się z mężem do Bagni di Petriolo, kilka mil na południe?

Jacquetta widziała wiele par, które przychodziły do niej, wybierając się w trasę do tego innego celu pielgrzymek. Jednak większość par podróżujących tą drogą była znacznie starsza od nich. Jeśli małżeństwo nie zostało jeszcze pobłogosławione dziećmi, pobyt u wód był zalecany zarówno przez Kościół, jak i medyków, a cudowne gorące źródła Bagni di Petriolo zasłużenie słynęły ze swoich uzdrawiających mocy, zwłaszcza ze zdolności pomagania nieplodnym parom w poczęciu dzieci. Ale Jacquetta wiedziała, że jeśli o tę parę chodzi, pielgrzymka w sprawie poczęcia byłaby osobliwie wczesna.

A jednak na wzmiankę o tym miejscu dziewczyna podniosła wzrok.



– Bagni di Petriolo? To niedaleko? – spytała. – Moja matka tam podróżowała, zanim ja się urodziłam. – Na chwilę jakby pogрузyła się w rozmyślaniach, po czym dodała: – Czekali na mnie bardzo długo, a nie mieli dziedzica, któremu przypadłby dom ojca.

Jacquetta zastanowiła się bardzo sumiennie, po czym zadała poważne pytanie.

– Czy wasi rodzice, signora, nie aprobuja waszego wyboru meża?

Znała aż za dobrze ból, którym można skrzywdzić młodych zakochanych, kiedy prawo cywilne tyłu włoskich miast chroni zazdrość i prawa rodziców – a nawet starszego rodzeństwa czy innych krewnych – do decydowania, kto ma kogo poślubić. Potajemne małżeństwa były zdecydowanie zakazane, choć prawo kanoniczne wymagało do ślubu tylko zgody młodych. Oczywiście musieli sobie ślubować w miejscu publicznym, ale zgodnie z literą prawa kanonicznego nie można im było w tym przeszkadzać. Jacquetta uznawała za zniewagę Boga i Jego praw, że narzucona przez obywateli konieczność posiadania zgody rodziców mogła zniweczyć szczęście dwojga ludzi. Każdy, kto był prawnym świadkiem takiego małżeństwa – bez zgody rodziców – każdy świadek i notariusz, poza samą parą, karany był dużą grzywną. Czasami sięgającą aż stu liwrów. Zatem – zastanawiała się ze współczuciem – czy taki był powód ich milczenia i czy dlatego ruszyli w drogę? Ona byłaby zapewne córką gibelińskiej rodziny, dawniej osadzonej szlachty, która ciągle deklarowała posłuszeństwo cesarzowi, a nie ufała synowi nowomiejskiej rodziny handlowej, która utrzymywała się z handlu i wspierała stronnictwo papieskie. Jacquetta wiedziała aż za dobrze, że takie rozłamy powodowały straszliwe cierpienie i rozlew krwi w każdym mieście Toskanii i na północy. Czy zatem tych dwoje pobrało się i uciekło bez wiedzy i zgody rodziców dziewczyny?

– Nie aprobuja... – powiedziała pątniczka tonem, który trudno było rozszyfrować.

Jacquetta się zastanawiała, czy tamta powtórzyła jej pytanie, czy

zaczęła odpowiadać, gdy dziewczyna podjęła:

– Nikt z nas nie może być jednostką, signora. Wszystko, każdy wybór, podejmujemy ze względu na Kościół, miasto albo rodzinę. Nisko oceniamy swoje zdolności czy prawa do zmiany przeznaczenia ludzkich istnień.

Jej słowa, niespodziane i szczerze, zaskoczyły Jacquettę. Historia własnej rodziny ją samą skłaniała do głębokiego namysłu nad tą kwestią.

– Ale gdybyśmy mogli...? – Dziewczyna niemal myślała na głos. Spojrzała na Jacquettę współczująco. – Dlaczego wasza córka nie mówi, signora, skoro słyszy tak doskonale?

Jacquetta z powagą popatrzyła na swojego młodego gościa. Pytanie ją zaskoczyło, ale nie uraziło. Odpowiedziała dopiero po chwili.

– Maria Maddalena, choć w każdym calu jest dla mnie niczym córka, jest moją siostrzenicą. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie o jej mowę. To się wiąże z jej dzieciństwem i mrocznymi okolicznościami, w których straciła matkę.

Dwie kobiety patrzyły na siebie. Wydawało się, że każda myśli i zastanawia się, co teraz rzec.

– W zamian za mowę, jak myślę – odezwała się Jacquetta – Bóg uznał za stosowne dać jej inne dary w większym wymiarze.

– Tak, widziałam. Ale czy ona w niemowlęctwie płakała? – spytała delikatnie młoda kobieta.

– O tak. – Jacquetta kiwnęła głową. – I jeszcze jako małe dziecko mówiła.

– Chciałabym spróbować... czy raczej wierzę, że zdołałabym wydobyć jej głos z mroku.

## 6

29 STYCZNIA 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

Wraz z zakończeniem pracy Maddie ściągnęła biurowe buty i wyszła.

Nie chciała dokonywać zwyczajowej autopsji dnia z kolegami w którejś z knajp przy Embarcadero. Ruszyła natomiast na piechotę, niosąc nieszczęsny storczyk w płóciennej torbie, do tramwaju na Montgomery, ale nogi ją zaprowadziły na Trzecią ulicę. Nie do końca zauważyła, że przybyła do drzwi kwiaciarni Jimeny. Dzisiaj fiołkowosłodki zapach irysów, który powitał ją w otwartych drzwiach, zabrał ją gdzieś daleko, gdzie ciągle było jeszcze szczęście.

– *Hola, chica, que tal!* – dobiegł ją głos zza rzędu wielkich wazonów wypełnionych kwiatami. – Zaraz do pani dołączę!

Głos Jimeny miał lekki, wesoły zaśpiew. Maddie nie posiadała się ze zdumienia nad jej radością życia i nadzieją.

Jimena wyszła zza ekspozycji kwiatów, niosąc kilka luksusowo opakowanych bukietów.

– *Madre de Dios, señorita Maddie.* – Jimena uśmiechnęła się smutno. – Nie wiem, które z was gorzej wygląda, storczyk czy pani. Złamanego serca nie umiem uleczyć, ale storczyk chyba ożywie. Myślę, że dobrze biedakowi zrobi trochę przyjaznego sąsiedztwa.

Wyjęła orchideę z torby Maddie i postawiła ją na ławie, a potem przeszła szybko do drzwi, przekręciła zamek, powiesiła tabliczkę z napisem „Zamknięte” do szyby i opuściła żaluzję.

– *Carita,* właśnie zamykałam. Mam nadzieję, że znajdziemy dla siebie chwilkę, zanim po mnie przyjadą. Pani siądzie na chwilę, a ja dokończę pakować zamówienia, a potem pogadamy?

Znowu zniknęła, ale jej głos dobiegał zza kwiatów.

– Ach, ten pani bogaty wielbiciel, ten z okładki magazynu, ten, który

wysłał pani największy bukiet kwiatów z wyrazami współczucia... pan Gray? – z zadowoleniem przyjęła, że pamięta nazwisko. – Był tu dzisiaj.

– O, no proszę – powiedziała Maddie, nie chcąc zdradzać ciekawości. Był tutaj człowiek, o którym myślała przez większość dnia. Usiadła na taborecie przy stole do pakowania i rozejrzała się. – Od dawna już nie jest moim wielbicielem, pani Jimeno – oznajmiła grzecznie, ale twardo.

– *Si?* – odparła tamta wystarczająco frywolnie. Zlekceważyła zdanie Maddie, bo wiedziała doskonale, że nikt nie wysyła jej na urodziny większych bukietów ani nie śledzi bacznie, co się z nią dzieje. Niemniej to była sprawa Maddie, a ona wyraźnie wolała milczeć na ten temat w tej chwili. – Och, dobra, tak czy owak pytał, czy dostała pani kwiaty, które zamówił. A ja powiedziałam: „*Si, seguro, ponieważ osobiście je dostarczyłam*”.

Chociaż temat Pierce’a Graya mógł budzić w niej teraz dyskomfort, Maddie była pod wrażeniem uroku młodej kobiety, a nie skupiała się na jej opowieści. Nawet w tej chwili, tak udręczona wydarzeniami, odnosiła wrażenie, że niewielka kwaciarnia Jimeny w magiczny sposób podnosi ją na duchu. Uwielbiała ten przybytek, odkąd go znalazła pewnego słonecznego dnia, gdy piechotą wracała z pracy do domu. Wszystko tu zawsze było świeże i po prostu inne. Oprócz tradycyjnych bukietów, ziół i rzadkich oraz dziwnych kwiatów, które często znajdowały się na wystawie, Jimena miała tu przedmioty, które czyniły piękno piękniejszym: małe wozy z kremowymi emaliowanymi garnkami, dzięki którym człowiekowi wydawało się, że jest na wsi gdzieś pod Paryżem; zwykłą ceramikę o każdej porze roku kwitnącą różowymi różami i groszkiem pachnącym, zamieniającą dom w angielską chałupę; i dzbany pełne żonkili, niebieskich stokrotek i łądyg przetacznika, jak na obrazach dawnych holenderskich mistrzów. Skąd pochodziły i jak tu dotarły – to dla Maddie pozostawało zagadką.

Kiedy powiedziała babci Isabelli o sklepie, ta jej wyjaśniła, że rodzina Jimeny hodowała i sprzedawała kwiaty w San Francisco od zawsze. Ona

sama pamiętała dziadka Jimeny, Gonzala, sprzedającego kwiaty i zioła w North Beach jeszcze z wozu konnego, przed wojną. Poza tym zdaniem ojca Maddie rodzina mogła pochodzić od zielarzy z pierwszej misji w San Jose w latach dziewięćdziesiątych osiemnastego wieku. A potem z misji Dolores. „Przed gorączką złota – wyjaśniła Isabella Maddie – zanim nadeszli *gringos*, kiedy miasto nazywało się Yerba Buena”.

Dobre zioła, pomyślała Maddie. To było wtedy. Teraz zioła rosły w szklarniach i były sprzedawane tutaj, w lśniącym nowoczesnym kiosku, który stał na chodniku przed lśniącym nowoczesnym budynkiem.

Nagle stanęła przed nią Jimena. Chwyliła dłonie Maddie w swoje, a intensywnie brązowymi oczami spojrzała w duszę prawniczki tak głęboko, że niemal doprowadziła je obie do łez.

– Uratuję storczyk od pana Chrisa, Maddie, a z czasem stanie się pani kimś nowym. Ale teraz nie czas o tym myśleć.

Seria szybkich uderzeń w klakson przerwała ciszę.

– *Dios, Enrique!* Już tak późno? *Mi hermano*. On przyjechał odebrać zamówienie, ale jeśli postoi za długo, policja się zrobi *muy feo* – wie pani, señorita Maddie... bardzo niemiła!

Jej pośpiech był tak spokojny i słodki, że Maddie uległa zauroczeniu.

– Niech pani weźmie te, a ja resztę – zaordynowała Jimena, otwierając drzwi i wypychając Maddie na ulicę z naręczem kwiatów. – Śmiało! *Vete!* Zaraz przyjedzie policja.

Walcząc z kwietnym bagażem, Maddie ruszyła wykonać zadanie. Lawirując w słabnącym strumieniu spieszących do domu przechodniów, dotarła do pikapa Enrique. Wydawało się jej, że ludzkie morze wciągnie ją z powrotem, ale Enrique ją zobaczył i wyskoczył, by otworzyć drzwi pasażera, po czym chwycił kwiaty i położył je na siedzeniu.

– Dzięki – wydyszała Maddie. – Jimena idzie za mną. Niech ją pan ucałuje i powie, że musiałam lecieć. I że wpadnę w tygodniu.

Potem Maddie dała się unieść ludzkiemu morzu, nie tracąc nadziei, że Jimena zdoła uratować ostatni żywy ślad po Chrisie.



# 7

## 1 LUTEGO 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

W pierwszych dniach w biurze – i w jej życiu w ogóle, po utracie Chrisa – życie Maddie wydawało się surrealistyczne. Tkwiła w zawieszeniu pomiędzy cyklami ciężkich chmur i słoneczności pejzażu fizycznego a melancholią nokturnów Chopina i *Requiem* Mozarta płynącymi nad pejzażem psychicznym. Wszystkich unikała, odrzucała zaproszenia na kolacje, na których przyjaciele przez wzgląd na nią stawali się smutni i wylewni albo, broń Boże, namawiali ją, by była silna i patrzyła w przyszłość. Bo sądząc z maili i kart z wyrazami współczucia, była ona osobą z natury tak pozytywną i miała „całe życie przed sobą”.

Naprawdę?

Co oni wiedzieli? Przyjaciółka, którą kilka tygodni temu rzucił chłopak, bo uznał, że „robi się za poważnie”. Czy inna, która zerwała z chłopakiem, bo „jakoś nie wydawał się dobrym kandydatem na ojca”... Ich troski dotyczyły tego, co mogłoby być. Ale Maddie wiedziała, co było z Christopherem... co powinno być. Nie miała czasu na frazesy. Dorobiła się pęcherzy na piętach, chodząc całe mile, wszędzie, nigdzie, z iPodem, żeby się zmęczyć i zagłuszyć uczucia. Nie interesowało jej nadejście „całego życia”.

Przez dwa dni ślęczała nad pracą, którą mogła wykonać każda dobra sekretarka: wnioski i informacje od specjalistów, kompilowanie akt ze spraw podobnych, nadrabianie własnej papierkowej roboty. Przerazała ją podróż do San Jose w czwartek. Jak podoła wyzwaniu? Rozmowa z ludźmi nieuleczalnie chorymi to nie wyjazd integracyjny. Na początku, przed kilkoma tygodniami, pół karata osadzone w białym złocie na jej palcu wydawało się metaforą jej niezatapialnej wiary w coś jasnego i pięknego na tym świecie, talizmanem chroniącym ją przed ciemnością. Wielu ludzi,

z którymi rozmawiała, straciło nadzieję, wypalił się też ich gniew, niektórzy byli smutni, inni zrezygnowani. Ale Maddie miała energię dla nich wszystkich i obiecała być głosem, którego im brakowało, protestować przeciwko ich wykluczeniu. Wiedziała, jak dobierać szczegóły, które chwycą za serce poważną ławę przysięgłych. Gdzieś pomiędzy obiektywizmem a empatią trzeba ukształtować zaufanie do ofiar, a jednocześnie pozostać skupionym i nie pozwolić, by sentymenty zaburzyły trzeźwy osąd. Ale to wymagało wytrwałości i niezachwianej wiary, że można coś zmienić. Ona teraz nie miała ani takiego hartu ducha, ani tej pewności. Dziesięć dni temu świat zmienił swoje oblicze.

We wtorkowe popołudnie chciała porozmawiać z Samanthą, żeby się wykręcić od wyjazdu, ale nie zdecydowała się na to. A już w środę w południe zrozumiała, że przez taką prośbę wydałaby się słaba. Potem, jakoś tak nagle, nastał czwartek – pierwszy dzień nowego miesiąca – i oto z samego rana obarczony kawą Tyler odebrał ją z domu i ruszyli z miasta spowitego nisko wiszącą gęstą mgłą, która spowalniała ruch. Gdy w końcu mleczna powłoka zaczęła się podnosić, znacznie przyspieszyli.

Kiedy już opuścili centrum, jej towarzysz zaczął gawędzić tonem maskującym powagę słów. Maddie zastanawiała się, czy jest zdenerwowany tym, co ma jej powiedzieć, ponieważ wszyscy ostatnio wydawali się zdenerwowani, starannie unikając tematu śmierci Chrisa i podejmując po prostu pustawą konwersację, od której czuła się jeszcze bardziej odosobniona. Tyler robił to samo, omawiał materiał, który oboje świetnie znali: że Stormtree ma własny wewnętrzny plan ubezpieczeniowy dla pracowników; że był on wychwalany pod niebiosa jako świetna umowa dla pracowników, ponieważ pokrywał rachunki szpitalne w kraju, gdzie opieka zdrowotna i rozgrywki polityczne zawsze stanowiły gorący temat. Tyler mówił, że większość pracowników nie mogłaby sobie w przeciwnym razie pozwolić na ubezpieczenie zdrowotne.

– Dla nas może być interesujący fakt – ciągnął – że Stormtree to znaczący donator grupy szpitali St Catherine's, w tym dwóch szpitali



tutaj, w San Jose. Firma wpłaca hojne datki, ale dostaje za to spore odpisy podatkowe.

– Coś mi się wydaje, że nie chcesz podkreślić ich altruizmu, co, Tyler?

Maddie zwinęła włosy w węzeł, który trzymał się dzięki paśmie loków. Tyler co prawda wyczuł zachętę do wnikliwszych wyjaśnień, ale miał swój styl i nie spieszył się.

– Jest też cudowne ustronie, jak to oni mówią, którym dyrektorzy szpitali mogą się rozkoszować nad jeziorem w Gray Pines, niedaleko Tahoe. Gościniec w stylu nowoangielskim, wiesz, Maddie, gonty, okiennice i strome dachy. Kiedyś był tam ośrodek odwykowy. Gray ich wykupił i podniósł standard na użytek szpitala. – Tyler uśmiechnął się szeroko.

Tylera nie dało się nie lubić. Żywił przekonanie, że każdy haust powietrza znaczy dla niego coś więcej niż dla innych ludzi. Obwieścił swoją odrazę dla podejmowanych przez Pierce'a Graya prób przeniesienia namiastki blichtru Nowej Anglii i podrobienia listów uwierzytelniających. Maddie musiała się uśmiechnąć.

– To dość okreźne, Tyler – powiedziała Maddie sucho – ale pojmuję sugestię, że Stormtree i szpitale są tak ściśle powiązane – albo szpital jest tak uzależniony od tej pomocy powierniczej – że nie powinniśmy się spodziewać krytyki Stormtree z ust któregokolwiek przedstawiciela personelu?

Tyler wzruszył ramionami.

– Powiesz, że jestem cyniczny... tak, może. – Obejrzał się na nią. – Ale, skarbie, to świat wielkich korporacji, bardziej skomplikowany, niż ci się wydaje, a Pierce to geniusz zabezpieczeń. Jak to możliwe, że taki koleś ogłupił tylu bystrych ludzi?

I Maddie ciągle zastanawiała się nad tym pytaniem, gdy wjechali w płataninę ulic tworzących bezładne miejskie skupisko hrabstwa Santa Clara w Dolinie Krzemowej.

Marilu, czyli Maria Luisa Moreno, kiedyś była bardzo ładna. Twarzy w kształcie serca i wąskiej talii ciągle nie powstydziałaby się młoda kobieta.

Zostawiła im otwartą białą żelazną bramę, a teraz z ganku swego drewniano-stukowego domu z lat pięćdziesiątych na South White Road patrzyła, jak Tyler wjeżdża chevroletem na betonowy podjazd pod noliną. Jakąś godzinę wcześniej przestał padać deszcz, a gospodyni ich wypatrywała.

Marilu z szacunkiem kiwnęła głową Tylerowi, a Maddie uściskała, ale zdziwiło ją pełne rezerwy zachowanie młodej kobiety. Kiedy się poznały, uderzył ją bezpośredni urok Maddie i przede wszystkim całkowity brak protekcyjności. Marilu całe życie przeżyła ze świadomością, że większość białej populacji traktuje ją i jej rodzinę jako obywateli drugiej kategorii, na ogół zresztą zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Ale Maddie była zupełnie inna. Miała energię i ciepło, których ktoś taki jak Marilu nie doświadczał często; a ona nagrodziła tę otwartość wyjątkowym zaufaniem. Dzisiaj jednak zasady chyba się zmieniły, a Maddie zachowywała dystans wyraźnie kontrastujący z jej poprzednim zachowaniem.

Marilu spojrzała na nią i wyraźnie zmieniła nastawienie, ale Tyler to zauważył i cicho wyjaśnił starszej pani:

– Maddie straciła właśnie bliską osobę, pani Moreno. Kogoś młodego i bardzo dla niej ważnego.

Marilu wprowadziła ich do środka.

– Tak mi przykro, panno Maddie – powiedziała łagodnie. – Chyba nie jest pani sobą. To coś bardzo strasznego, tak?

– Mój narzeczoną zginął niedawno w Anglii. W jego samochód uderzył pijany kierowca.

W jej głosie Marilu usłyszała raczej napięcie niż zdruzgotanie. Teraz zauważyła też, że Maddie straciła na wadze, że skórę ma cienką jak papier, wyczuła jej niemal namacalne zdenerwowanie – coś zrodzonego po dniach wyparcia i niemożności konfrontacji z bólem. Sama tak kiedyś robiła.

Usadziła gości w jaskrawym salonie – ozdobionym barwną ceramiką,

tkaninami i wizerunkiem Maryi Dziewicy – a sama poszła po kawę.

Maddie przy pierwszej wizycie dostrzegła, jak bardzo dumna ze swego domu jest Marilu. Tłumaczyła im, jaki to wielki awans przejść z przyczepy kempingowej, w której mieszkała z mężem dwadzieścia lat temu, do tego sporego domu z trzema sypialniami i niemałą łazienką, na którą mogła sobie pozwolić dzięki pracy dla Stormtree. Jedna godzina tu, w jej domu, pomyślała Maddie, i paradoksy się wyjaśniały.

Tyler wyjmował sprzęt do nagrywania i ustawiał go na stole, kiedy pojawiły się różowe filizanki i ciasteczka.

– Wiem, że w pani odczuciu wszystko już omówiliśmy, pani Moreno, ale chcielibyśmy raz jeszcze to przerobić, na wypadek gdyby jakiś szczegół pani umknął, a może dopiero teraz pani sobie coś przypomni.

Maddie próbowała się uśmiechnąć.

– Może pani na początek podać nam nazwisko i datę urodzin? Miejsce pracy? Potem spytamy o parę rzeczy.

Maddie usłyszała, jak Marilu powtarza te szczegóły, po czym postawiła kilka pytań, które jak podejrzewała, rozwiążą jej język. Doskonale pamiętała historię Marilu Moreno.

Była córką meksykańskich rolników, którzy nie mieli prawie nic. Tę odrobinę, którą mieli, oddali, żeby Marilu zdobyła wykształcenie. Była bystra i ambitna, i wierzyła w zalety twardego życia. Pisane jej były studia, a ciągnęło ją do dziennikarstwa. Ale jej życie zmieniło się na zawsze w ostatniej klasie liceum. U ojca rozwinęła się choroba płuc spowodowana wieloletnim wdychaniem związków fosforoorganicznych używanych od lat jako pestycydy przy uprawie owoców. Rodzice chcieli, by Marilu kontynuowała naukę, ale ona wiedziała, że rodzina nie ma szans na przeżycie bez zarobków ojca. W wieku siedemnastu lat zajęła więc jego miejsce na polach.

Brzoskwinie były twardsze niż winogrona, a migdały z kolei łatwiejsze do zbierania od jednych i drugich. Ale ona pracowała ciężko, a przy jej optymistycznym spojrzeniu na świat życie wydawało się uśmiechać do

nich wszystkich. W San Jose upadło rolnictwo, a pojawiły się sławne firmy związane z przemysłem komputerowym. A Marilu – zawsze ochoczej i sympatycznej z natury – dopisało szczęście. Miała wystarczające wykształcenie – i nad wyraz rozwinięty apetyt na lepsze życie – by zdobyć pracę na montażowni w nowej fabryce Stormtree Components, która wyrosła tam, gdzie niegdyś owocowały drzewka cytrynowe.

Wierzyła, że Bóg im pobłogosławił. I tak się wydawało. Szybko się uczyła, ręce miała wyćwiczone do delikatnej pracy, prędko więc została kierownikiem działu, wyszła za mąż i wraz z mężem mogła kupić domek – niewielki, ale należący do nich, a także do banku. Z czasem rozbudowali go tak, by stworzyć dodatkowy pokój dla owdowiałej matki Marilu.

Mieli trójkę dzieci, z czego najstarszy syn zdołał zrealizować marzenia matki i poszedł na uniwersytet stanowy San Jose. Tam studiował inżynierię. Ostatnie dziecko, niestety, nie miało tyle szczęścia. Urodzony z wadą serca Jorge nie dożył dwóch lat. Relacjonując nagie fakty, Marilu miała w głosie pustkę, którą cały czas czuła. Ale jej smutna opowieść nie dobiegła końca. Dwa lata po śmierci synka sama zachorowała na raka piersi. Wtedy myślała, że firma jest wspaniała: nie zwolniła jej z pracy, ubezpieczenie pokrywało koszty leczenia, rodzina dawała sobie radę. Nie to, czego doświadczył jej biedny ojciec.

Powróciwszy do pracy na stanowisku kierownika, stopniowo uświadamiała sobie, że niewspółmierna liczba jej kolegów z czystych pomieszczeń zapada na poważne choroby – o wiele więcej niż w innych działach. Dyskusje z kolegami przy lunchu w firmowej stołówce utwierdziły ją w słuszności spostrzeżenia. W trakcie rutynowego badania kontrolnego spytała o te choroby lekarza zakładowego. On zapewnił, że to z powodu jej pochodzenia społecznego i ze względu na wystawienie takich ludzi jak ona na działanie czynników rakotwórczych obecnych w pestycydach. Bardzo to smutne, ale tego należało się spodziewać. Czyż nie dopisało jej szczęście, że teraz ma wsparcie firmy?

Ale innego dnia, w innym nastroju minęła go na korytarzu. Powiedział,

że zastanowił się nad pytaniami, które mu zadała na temat choroby. I przyznał nerwowo, że rzeczywiście coś w tym może być. Jakiś tydzień później jednak, gdy chciała go dokładniej przepytac, dowiedziała się, że lekarza przeniesiono do innej placówki na Wschodnim Wybrzeżu. Zdusiła wątpliwości, przyjmując jego pierwsze wyjaśnienie. Teraz nawet nie pamiętała jego nazwiska.

Ale po dziesięciu latach rak wrócił. Nie była zła. Raczej oburzona niesprawiedliwością. Kiedy jej zastępczyni też zachorowała na raka piersi i znowu wzrosła liczba chorych na nowotwory w jej otoczeniu, postanowiła dowiedzieć się dlaczego i narobić trochę szumu.

– W końcu ktoś powinien – powiedziała beznamiętnie do Maddie i Tylera.

Maddie wyciągnęła rękę i wyłączyła magnetofon. Tyler Washington uśmiechnął się do niej. Najwyraźniej w tych zeznaniach dostrzegł coś, co mogło im się przydać, a co Maddie umknęło. Ona widziała tylko chorą kobietę, przepelnioną gniewem na tyle, by podnieść raban. Maddie niemal poczuła, że jej strata Chrisa to nic w porównaniu z nieustannym cierpieniem tej kobiety. Podziwiała zdolność Marilu do oderwania się od życia osoby, którą opisywała na nagraniu. Jak to możliwe, że ktoś patrzy na siebie tak z zewnątrz?

Kiedy Marilu przytrzymała dla nich drzwi przeciwwłamaniowe, spytała, jak postępuje sprawa. Maddie wiedziała, że to wszystko wydaje się ciągnąć w nieskończoność, ale Tyler miał nastawienie bardziej optymistyczne.

– Dzisiaj dała nam pani coś, co może bardzo pomóc. Coś bardzo przydatnego. – Uścisnął jej dłoń w geście, który miał jej dodać odwagi. – Dziękuję, że poświęciła nam pani tyle czasu, pani Moreno. Pomożemy pani narobić szumu!

Kiwnęła mu głową, ale odezwała się do Maddie:

– Niech pani da sobie czas. Smutek to straszliwy towarzysz. Jak weźmie człowieka w posiadanie, zje go od środka, zezre wszystkie pani

nadzieje i szczęście, panno Madeline. – Uścisnęła jej obie dłonie. – To gorsze niż rak – dodała stanowczo. Później pomachała im na pożegnanie.

– Boże, słabo z tobą, Maddie. Gdzie jesteś? – narzekał Tyler, kiedy wsiadali do wozu. Pomachał Marilu i odjechali.

– Słucham?

– Umknęło ci? – Tyler niemal warknął, ale trochę się przywołał do porządku, przypominając sobie, że prawdziwa Maddie zagubiła się we wdowiej sukni. – Słuchaj, mamy w dokumentach kopie raportów medycznych. Gdzieś wśród nich znajdziemy nazwisko lekarza. Gdybyśmy go odszukali, moglibyśmy go spytać, co miał na myśli, kiedy rozmawiał z Marilu. To punkt wyjścia. Nie rozumiesz?

Gdyby, pomyślała Maddie. „Gdyby” – słowo, które niekontrolowane uciekało w stracone lata.

– Chyba mnie przekonywałaś – powiedziała tylko – że w życiu nie powie złego słowa na koncert. Gdybyśmy go znaleźli.

Tyler odruchowo chciał odpowiedzieć ostro – jakąś dosadną uwagą skierowaną do imponującej mu młodej kobiety, którą kiedyś zatrudniła Samantha – ale na jej miejscu siedział ktoś bez wyrazu i zrezygnowany. Lata świetlne dzieliły go od tamtej dziewczyny. Rozumiał. Ale to nie mogło tak trwać. Wyjechał z enklawy Marilu i spróbował inaczej.

– Henry Ford... wiesz, Maddie? Jak byłem mały, mama wbijała mi do głowy jego filozofię. Czy myślisz, że potrafisz, czy myślisz, że nie potrafisz, na pewno masz rację. I to się zawsze sprawdza. – I już nie odrywał spojrzenia od drogi.

W milczeniu, pogrążeni w rozmyślaniach, minęli zielony park wokół ultranowoczesnej fabryki Stormtree w San Jose, która pochłonęła tereny wiejskie. Przez kolejne kwartały firma jakby obwieszczała feudalną dominację nad ludzkimi drobinami w krajobrazie. Nagle, po kolejnym kwadransie jazdy, zobaczyli groźny z wyglądu bliźniaczy szpital St Catherine's, Mater Misericordiae. Choć czysty i sterylny, skrywał się w cieniu kępy nieoczekiwanie pięknych śródziemnomorskich pinii, których

widok bardzo Maddie zaskoczył.

Tyler wjechał na parking dla gości, po czym w milczeniu podeszli do recepcji. Wyciągniętym palcem wskazano im, gdzie znajdują młodą kobietę, której żadne z nich nie znało. Na końcu korytarza, w pokoju wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec z wielkim cyprysem, spokojnym i dostojnym nawet od spodu, czekała na nich Neva Walker.

Ciemne, jedwabiste, związane luźno włosy okalały twarz, która uśmiechnęła się do nich na powitanie. Nie musiała nic mówić, by zrozumieli, że muszą zostawić za drzwiami swoje napięcia, i hałas, i przyziemność, i zmartwienia – to było jej królestwo. Maddie zobaczyła od razu, że kobieta ani trochę nie jest gniewna – a w każdym razie nie w taki sposób, w jaki wydawała się Marilu. Marilu sił dodawało poczucie walki. Neva wydawała się zupełnie inną istotą.

– Tak bardzo wam dziękuję, że przyjechaliście – powiedziała z prostotą.

Maddie usłyszała coś śpiewnego w głosie Nevy i zdziwiła się, że głos tak silny dobywa się z tak kruchego ciała. Już wkrótce miała się jednak przekonać, że Neva wcale nie jest krucha.

– Możecie usiąść? – spytała. – A ja wam opowiem swoją historię.

Tylera tak zaskoczyła ta piękna, łagodna kobieta, która nie wyglądała nawet na trzydzieści lat, że zapomniał włączyć nagrywanie. Siedli tylko i słuchali opowieści.

– W San Francisco piątego lutego tego roku, gdy się urodziłam, padał śnieg. Ojciec uznał to za znak. Nazwał mnie, swoją pierwszą córkę, na cześć tej zaskakującej pogody, ale także na cześć miejsca, z którego pochodził, a pochodził z Nevady, ziemi śniegu.

Moja matka była Indianką z plemienia Muwekma Ohlone. Opowiedziała ojcu, że jej babcia urodziła się w taki dzień, to była ta sama data. Przypomniała sobie rodzinną legendę, że piątego lutego roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego siódmego matka jej ojca urodziła się w dniu ze śniegiem po kostki! Była mądrą kobietą, znaną z chłodnej głowy i gorącego

serca. Dano jej na imię Nevie, to imię hiszpańskie oczywiście, ale tyle języków i imion ludu Costanoan zaginęło, że z niego czerpiemy. Musicie zrozumieć, panno Moretti, panie Washington, to był taki mały cud dla mojego ojca. Dwie kobiety, dwa opady śniegu na upalnej ziemi, i jedna data. Poczul się błogosławiony.

Maddie siedziała z rękoma złożonymi na kolanach i po prostu słuchała głosu Nevy, który działał na nią jak balsam. Szczegóły przyprawiały ją o dziwnie przyjemne drżenie. Neva powiedziała, że lud jej ojca w ten sposób nadawał imiona od tysiącleci, żeby zaznaczyć wydarzenia towarzyszące narodzinom, by powiązać je z czymś więcej niż osoba, połączyć z momentem w czasie.

Jego lud to pierwsi Amerykanie. Chociaż nad dokładną chronologią ciągle dyskutowano, ostrożne szacunki zakładały, że przybyli do Ameryki Północnej co najmniej dwadzieścia tysięcy lat przed powstaniem Biblii. Niespełna jedna dziesiąta tego ludu przeżyła kolonizację, najpierw Hiszpanów w osiemnastym wieku, później innych Europejczyków w wieku dziewiętnastym. Ale bez względu na to, czy wierzysz, że świat został stworzony sześć tysięcy lat temu przez Boga czy też trochę dawniej – kiedy przodkowie Nevy ze strony matki uprawiali ziemię nad zatoką i łowili ryby w wielkim oceanie – prawda była taka, że usunięto jej zmiany w mózgu, ale ciągle walczyła z rakiem okrężnicy i przerzutami do wątroby. Była młoda, urocza i przepiękna. I Maddie pomyślała, że obok śmierci Chrisa to największa niesprawiedliwość na świecie.

Jak to możliwe, że ta piękna istota leżąca w otoczeniu aparatury medycznej i rurek akceptuje te okoliczności z takim spokojem? I Tyler, zauważyła Maddie, wpadł w ten sam nastrój milczącego zdumienia. Uśmiech Nevy był tak ciepły i serdeczny, że po półgodzinie musiała przyjść pielęgniarka i wygonić gości, przypomnieć im, że obiecali nie siedzieć długo. Wstali, zakłopotani, ale Neva sięgnęła po szczupłą dłoń Maddie, żeby ich powstrzymać od wyjścia. Maddie poczuła zaskakującą siłę jej uchwytu.



– Dziękuję. Cieszę się, że do mnie przyjechaliście. – Uśmiechnęła się. – Czasami, panno Moretti, nic nie można zaradzić na to, co nieuniknione. Ale proszę nie myśleć, że jestem ofiarą. Jeszcze mi trochę czasu zostało na tym padole. Znajdę sposób, by cieszyć się słońcem na wzgórzach, księżycem, a mój syn rośnie i uczy się nowych rzeczy. Nadejdą dni bólu, ale też przyjemności. Po co się złościć? To by mnie okradło ze wszystkiego, co dla mnie cenne. Martwię się, tak, oczywiście.

Oczy Nevy wydawały się tak ogromne na jej drobnej twarzy, że Maddie nie mogła oderwać od nich wzroku, ale jednocześnie zabrakło jej słów. Neva dalej mówiła, jakby się zwierzała najbliższej przyjaciółce.

– Co się stanie z moim ojcem i z moim synem, kiedy nadejdzie czas, bym udała się do przodków? Moja matka już tam jest, więc ta droga nie napełnia mnie strachem. Jeśli chodzi o mojego ojca, mówi on, że jest na tym świecie bardzo długo; wciąż może wozić drewno przez granice stanów; zna stare drogi i może się troszczyć o siebie i wnuka. Wierzy niezachwianie, że nic im nie będzie, więc nie powinnam się martwić. Ale...

Neva trochę zwolniła uścisk na dłoni Maddie, a jej oczy patrzyły intensywnie, jakby bardzo chciała przekazać Maddie coś, czego nie dało się wyrazić słowami.

– ...tak, martwię się o nich. Wierzę, że może pani coś zrobić, panno Moretti. Trafiała pani w sztorm na pełne morze, prawda? Ale przetrwała pani. To pani dopilnuje, że kiedy dojdzie do ugody, mojej rodziny nikt nie pominie tylko dlatego, że jeden z jej członków jest dzieckiem, a drugi starcem.

Maddie te słowa trochę wytrąciły z równowagi, ale też głęboko poruszyły. I nagle bezwiednie kiwnęła głową.

Neva się roześmiała, rozumiejąc chyba rozchwiane emocje Maddie.

– Skoro więc pani złożyła obietnicę – dodała – i ja coś obiecuję. Jak najdłużej będę się trzymać z dala od przodków. Zaczekam na ten dzień.

Maddie nie mogła mówić. A zwykle droczący się i gawędzący Tyler ucichł trzy kwadransy temu. Pielęgniarka ich obeszła, delikatnie ujęła

Maddie za ramię, głową wskazując wyjście.

– Ta to ma cierpliwość świętej Finy – powiedziała do prawników z lekkim irlandzkim akcentem. Potem wyprowadziła ich na korytarz i stanowczo zamknęła drzwi. Neva i jej cyprys znowu zostali sami.

Tyler spojrzał na Maddie, gdy stanęli przy wejściu do szpitala, nieświadomie pokonawszy całą drogę. Wyglądali na tak samo wykończonych. Wziął koleżankę za rękę, by zaprowadzić ją do szpitalnej kawiarenki. Poruszając się jak automat, postawił przed nią ciepły napój, po czym siadł dziwnie blisko niej. Ona westchnęła. On kiwnął głową. Żadne nic nie mówiło. Ale zanim ruszyli do samochodu, by udać się w podróż powrotną, minęło pół godziny.

## 8

### LUTY 1347, SANTO PIETRO IN CELLOLE, CHIUSDINO, TOSKANIA

Jakże inaczej w ten poranek wyglądał jej umiłowany pejzaż tajemniczości i dziwnej mocy! Chuchnąwszy na oprawioną w ołów szybę okna, a potem przetarłszy ją rękawem, Mia przyjrzała się zamrożonym połaciom na dole – biały dywan jak okiem sięgnąć. Tylko ślady zwierząt naznaczyły nieskalaną jedwabistość śniegu. Z tej wysokości uznała, że to zapewne ślady jelenia. Śnieg padał od wielu dni, co tutaj, w dolinie nad rzeką, należało do rzadkości. Miasteczka na wzgórzach często tego doświadczały, ale w Villa Santo Pietro rzadko robiło się na tyle zimno, żeby śnieg tak długo utrzymał się na ziemi. Niedaleko stąd, w Chiusdino – albo jeszcze dalej, we wspaniałej Sienie – życie płynęło niemal normalnie: na piekarza można było nakrzyczeć za wyprzedawanie gorącego chleba, bankierzy i sędziowie z trudem zmierzali do swoich kantorów po oblodzonych stromych ulicach, urzędnicy przechodzili przez Campo Santo do Palazzo Pubblico, gdzie zarządzali, skutecznie bądź nie, mieszkańcami miasta i jego okolic, na dobre i na złe – pomimo słynnych, wyrażonych malarskimi alegoriami błagań maestra Lorenzettiego, by walczyć o dobre rządy.

Tutaj, w wiejskim *contado* Sieny, opady śniegu uniemożliwiały wszelki ruch. Od kilku dni nikt nie docierał do willi ani nikt jej nie opuszczał. Jasnowłosy młody szlachcic z chorą nogą oddalił się jako ostatni jakiś tydzień temu, szedł wyprostowany i pewny siebie po wielodniowej kuracji pięknej pątniczki.

Teraz byli zasypani całkowicie, jakby ktoś zarzucił pogodowy całun niedostępności, tak aby nikt nie zakłócał im spokoju. To znaczyło również niemożność pokonania półmilowej drogi na mszę do Palazzetto. Kiedyś

sami mieli piękną kaplicę, tutaj w willi, na potrzeby rodziny i służby. Ale niemal sto lat temu przestała istnieć: trzeba było ustąpić mnichom, którzy chcieli powiększyć opactwo San Galgano, a biskup Ranieri w Volterze zrezygnował z niej za namową Rinalda, zachłannego rektora niedziałającego obecnie kościoła w Sorciano. Rinaldo był potężnym i ambitnym lokalnym duchownym, który zawsze szukał sposobów, by wkupić się w łaski hierarchów Kościoła i państwa. A jakież znaczenie miały potrzeby wieśniaków – ile zważano na ich głosy – w zestawieniu z okazją do powiększenia opactwa i przyciągnięcia gości oraz datków od podróżujących do Rzymu i z powrotem? To była szansa na zbawienie dla nerwowych bogaczy i na wzrost dochodów Kościoła. Ofiary dla opactwa gwarantowały miejsce w niebie, a bracia cystersi stali na straży bardzo popularnego świętego. Każdy, kto powracał z wyprawy krzyżowej, wiedział o Galganie, człowieku, który odrzucił szlachetne urodzenie i uprzywilejowane życie, by podążyć za krzyżem. Aby Galgano poręczył, że zrezygnuje z waśni i podąży za Panem, Archanioł Michał rozkazał mu wbić miecz głęboko w skałę w Monte Siepi, zostawiając ponad jej powierzchnią tylko rękojeść w kształcie krzyża, tak aby oddawano cześć jej, a nie materialnym stronom życia.

I tam pozostał do dzisiaj, strzeżony przez mnichów, cud, który wszyscy musieli zobaczyć: miecz zatopiony w potężnej litej skale, działający na wyobraźnię tych, którzy mają nadzieję na cuda.

Ciotka Jacquetta zabrała kiedyś Mię do Ciciano, kawałek drogi od domu, w miejsce gdzie koń Galgana ukląkł na widok archanioła. Pozostał po tym ślad w kamieniu, delikatny niczym wrażenie, jakby odcisnięty w piasku – jakby to się wydarzyło wczoraj! Anioł pomsty był mniej więcej milę od willi, tu pośród nich, w błogosławionej okolicy doliny Merse. Stąd właśnie Mia wiedziała, że jednorożce mogą żyć w lesie koło jej domu. Ta okolica była świadkiem objawienia świętości, duch poruszył ją do głębi. Mia rozumiała, że sam pobyt tutaj otwiera cały świat możliwości – dlatego właśnie przybywali tu pielgrzymi.

Na kaprysy aury byli dobrze przygotowani, zgromadzone na zimę zapasy mogły w razie potrzeby wystarczyć na miesiąc, i to pomimo nie najlepszych zbiorów zboża ostatniej jesieni, po których w Sienie wystąpiły znaczne braki zaopatrzenia. Mia mogła się skupić na swoich jednorożcach i na pani ze światłem w oczach i włosach. Przyglądała się jej niemal od trzech tygodni, starając się zrozumieć jej historię.

Wiele rzeczy wydawało się dziwnych. Skoro zwykle panny wychodziły za wyswatanych młodzieńców, na cud zakrawało oczywiste uczucie pomiędzy młodą kobietą a jej mężem, którego imię Mia wreszcie poznała. To imię stanowiło kolejną niezwykłość. Parę dni temu usłyszała, jak pątniczka woła „Porphyrius” – łacińskie imię pochodzenia greckiego – zamiast tokańskiego „Porfirio” na cześć świętego. Może pochodził ze starego rodu – bo czasami takie formy zachowywały się wśród przedstawicieli klasy wyższej. Mia wiedziała, że jego imię oznacza „purpurowy”, nawiązując do barwy szat szlachetnie urodzonych i krwi jego rodziny. Ale odzież pielgrzyma, chociaż znakomita, była znoszona i poplamiona od podróży. A może rodzice obdarzyli go imieniem na cześć uczonego filozofa Porfiriusza? Jego tekst z logiki nawet Mia przestudiowała, zmuszona przez ciotkę, choć kształcenie dziewcząt nie należało do zwyczajnych zachowań. A może tym imieniem wyłącznie pątniczka się do niego zwracała? Ciotka Jacquetta też do niej mówiła „Mia” – nie tylko dla skrócenia pełnego imienia: ciotka w ten sposób mówiła, że uznaje ją za swoją, za własne dziecko, bo *mia* znaczy „moja”. Z jakiegokolwiek jednak powodu gość nosił takie, a nie inne imię, dawało ono do myślenia.

Inne rzeczy podsycaly ciekawość Mii. Piękna pątniczka nadal nic o sobie nie powiedziała.

W zimowym świetle, okolona jasnymi włosami, wydawała się spowita światłem słonecznym, a nocą jej obecność w ogóle roztaczała niezwykłą aurę blasku, zupełnie jakby była córką słońca i księżycą, nie zaś śmiertelników. Było to takie eteryczne, że Mia zastanawiała się, czy aby

kobieta nie jest święta albo błogosławiona. Toskania ze swoim krajobrazem siarkowych wzgórz i dramatycznych otchłani wydawała się idealna do rodzenia świętych. Przeciwno tej koncepcji przemawiał natomiast fakt, że pątniczka nie wydawała się ani trochę święta. Ani razu nie udała się do miejscowego kościoła, nie odwiedziła sanktuarium Galgana czy opactwa. Wychodziła z domu, nawet w najokropniejszy ziąb, i pół godziny spędzała zupełnie sama w ogrodzie. Kiedy wracała do ciepłego wnętrza, wydawała się dotknięta czymś wyjątkowym – jakąś boskością. Miała aurę świętej. Niewykluczone, że jak Klara z Asyżu miała własny, prosty sposób modlitwy.

Pozostawała jeszcze kwestia obrączki. Nie nosiła nic, by zademonstrować swój małżeński stan, chociaż to nie było aż tak niezwykle. Obrączkę zwyczajowo dawano podczas zaręczyn i ślubów, ale nie była bezwzględnie wymagana. Nadal najwyraźniejszym znakiem małżeństwa było publiczne wprowadzenie żony do domu rodziców męża, dokonane przez tego ostatniego. Pątniczka nie miała też prawie odzieży na zmianę ani nie niosła żadnego tobołka. Mąż niósł wszystkie ich rzeczy. Mia pomyślała, że wyruszali w drogę w pośpiechu, bez większych przygotowań. Pewnie zawarli małżeństwo z miłości, uznała Mia, a nie zgodnie z życzeniem *pater familias*. To byłoby gorsze niż herezja.

Zszedłszy do kuchni, zastała Loredanę czekającą na nią z chlebem prosto z pieca i jajkiem już ugotowanym.

– Zjedz to szybko, Mario – powiedziała. – Ciotka od jakiegoś czasu czeka na ciebie w solarze.

Mia przerzucała gorący chleb z ręki do ręki, by go ostudzić, potem zjadła jak najszybciej. Zostawiwszy jajko, wytarła ręce i usta i pospieszyła z kuchni do ciotki, którą znalazła nie w solarze, lecz w wielkim pomieszczeniu używanym do słuchania muzyki i czytania. Nie znać po niej było ani odrobiny zniecierpliwienia. Ogień płonął, właśnie rozsypano świeże cyprysowe strużyny i miętę, by odstraszyć szkodniki, które w co sroższą zimę mogły się wedrzeć do domu. Mia uśmiechnęła się,

spozregłszy, że z ciotką siedzi pątniczka. Jasne włosy miała luźno zebrane sznurkiem jak młoda dziewczyna, a włożyła dzisiaj świeżą suknię z jasnego jedwabiu. Mia pomyślała, że ten strój wyjaśnia zapewne wyprawę signora Porphyriusa do Sieny w straszliwą pogodę kilka dni temu. Niechybnie wybrał się po kupon tkaniny, świetnego adamaszku, który musiał kosztować kilka florenów.

– Długo spałaś, Mia – stwierdziła ciotka Jacquetta z lekko drwiącym ubawieniem. – Późno się położyłaś? Czytałaś?

Mia nie wiedziała, czy ma spojrzeć ze skruchą, ale z zakłopotania wybawiła ją młoda signora.

– To cisza towarzysząca opadom śniegu i poczucie spokoju w domu. – Wstała ze swojego niskiego stołka nieopodal paleniska i wyciągnęła do Mii dłoń. – Ja sama nie spałam tak dobrze od dawna. Ten dom ma jakąś władzę nad duszą.

Mia przyjęła dłoń i usadowiła się obok niej, naprzeciwko ciotki Jacquetty. Zauważyła, że kobiety wymieniają porozumiewawczy uśmiech.

– Rodzina męża signory, Mia, sprzedaje воск i rzadkie korzenie do Francji w zamian za flandryjskie sukno. Właśnie otrzymałyśmy podarek, którego nigdy jeszcze nie próbowałyśmy. – Głos Jacquetty wypełniał zwykle ciepło i entuzjazm.

Młoda kobieta podniosła z podłogi niewielkie naczynie i zwróciła się do Mii najdelikatniejszym głosem:

– Zmieszałam trochę tych korzeni dla signory Jacquetty, Mario, aby dzisiaj wieczorem użyć ich do drobiu. Podobno jednak masz zdecydowane upodobania i twoja ciotka boi się, że moja potrawa nie będzie ci smakować. Pewnie znasz goździki, kwiaty cynamonu oraz imbir. I szafran na specjalne okazje. Ale mam tu coś o nazwie „rajskie ziarna” i gałkę muszkatołową, i kubebę – której to korzenie mają podobno właściwości magiczne. Zechciałabyś, proszę, spróbować tej mieszanki?

Mia zerknęła na ciotkę, a potem znowu na pątniczkę. Uważała, że to sprawdzian dojrzałości – ma wykazać, czy wyrasta z dziecięcych

grymasów. Ostrożnie wsadziła palec do naczynia pełnego kolorowych ziaren, tak aby kilka przykleiło się do opuszki. Sprawiały wrażenie niegroźnych, więc przytknęła koniuszek palca do języka.

Ależ doznanie! Ciepło i obfitość – coś o wiele więcej niż sama słoność czy słodycz. Małe ziarenka zabrały jej język w podróż w nieznane i nie mogła znaleźć słów, by opisać to doświadczenie. Wzięła jeszcze trochę ziarenek, dając językowi trochę czasu, by pobawił się doznaniem, a potem przełknęła. Ale coś utknęło jej w gardle: podobne do pieprzu, ale o wiele silniejsze. Zaskoczona Mia zakaszła ostro, przełknęła ślinę i potem zakaszła jeszcze raz.

Młoda kobieta poklepała ją po plecach, po czym wstała, by podać jej kubek wody ze stołu, przy którym siedziała Jacquetta. Ale Mia zauważyła kątem oka, że obie panie uśmiechnęły się do siebie.

– Signora Toscano pytała mnie o twój głos, Mia – zagaiła ciotka łagodnie. Nigdy wcześniej o tym nie rozmawiały i wiedziała, że siostrzenica może być przewrażliwiona na tym punkcie.

Mię najbardziej zaskoczyło użycie nazwiska ich gościa: „signora Toscano”. Czy należało ono do młodej żony kupca korzennego czy nie, było to na pewno ogólne miano, nie prawdziwe nazwisko. Ona już wcześniej wskazywała im, że jest *di Toscana*, miejscowa. Nazwisko po prostu to podkreśliło. To było nazwisko kogoś, kto nic o sobie nie ujawnia, pozostaje w ukryciu. Owa dama znowu położyła pocieszająco dłoń na jej ramieniu i podjęła rozmowę, jakby nie miała nic do ukrycia.

– Zakaszłaś na głos – powiedziała. – Moim zdaniem to oznacza, że twoje struny głosowe nadal pracują i że na pewno mogłabyś mówić. Gdybyś chciała. Gdybyś musiała coś wypowiedzieć. Może – dodała łagodnie – straciłaś po prostu ten nawyk. Często zdarza się tak, że nie chcemy o czymś mówić, a wtedy milkniemy na jakiś czas.

Mia wyglądała na bardzo zaskoczoną. Namyslała się chwilę. Nie zastanawiała się nad używaniem swojego głosu. Od lat się nie zastanawiała. To było konieczne? Dlaczego? Ci, co trzeba, rozumieli ją,



i prostsza była taka sytuacja, gdy nie oczekiwano od niej, by wyrażała na głos swoje myśli. Dlaczego miałyby teraz tego chcieć?

Licznymi wzruszeniami ramion i spojrzeniem pełnym konsternacji Mia oznajmiła to ciotce. Ale młoda signora nie ustawała.

– Nadejdzie czas – podjęła łagodnie, ale dobitnie – kiedy będziesz chciała znaleźć słowa, ważne słowa, by powiedzieć, co ci leży na sercu. To akurat wiem na pewno.

Brązowe oczy Mii spojrzały na signorę badawczo. Owszem, trochę ją ten temat krępował, ale młoda kobieta budziła w niej szacunek. Było w niej coś całkowicie niezgłębionego. Niepokoiło Mię, że tak mało o niej wie, ale i tak jej ufała.

– Gdybyś zgodziła się, bym popracowała z tobą, Mario Maddaleno, żeby wzmocnić twoje gardło i poćwiczyć struny głosowe przed dniem, w którym będziesz chciała ich użyć, uznałabym to za zaszczyt.

– Zechciałabyś spróbować, Mia? – spytała Jacquetta niemal szeptem. Nie chciała wywierać na dziewczynę żadnego nacisku, zwłaszcza że już trochę ją oszukały, nie chciała jej spłoszyć.

Mia miała w głowie pustkę, oddech jej zwolnił. Chciała uniknąć poczucia, że ktoś jej się bacznie przygląda, czekając na odpowiedź. Skierowała wzrok na okno i skupiła go na pięknym *monacordo* – czarownym nowym instrumencie, który uderzał w struny maleńkimi młoteczkami z brązu, by wydać słodkie dźwięki. Kilka tygodni przed świętami dostała go od swojego dobroczyńcy. Mężczyzny, którego nigdy nie poznała, nie pamiętała z żadnego spotkania; ale służba plotkowała, że może on być jej ojcem. Podarkowi towarzyszył list wyrażający nadzieję, że ten delikatny instrument wytworzy muzykę, która będzie „towarzyszyć jej głosowi”. Zorientowała się, że ów szlachetny pan ani chybi nie ma pojęcia o jej przypadłości, nie wie, że ona nie mówi, a co dopiero śpiewa. Smutno jej się zrobiło z tego powodu. Spędziła wiele godzin nad ślicznymi klawiszami, ucząc się, jak pracują, opanowując uderzanie w nie jak najlepiej się dało w tak krótkim czasie. Bardzo się różnił od *organetto*, na

którym uczyła się grać razem z konwersem w opactwie. Umiała już na nim wykonywać urocze pasaże, przeskakując wprawnie palcami nad klawiszami, ale czy rozczarowałyby tego szlachetnie urodzonego pana przy ewentualnym spotkaniu, bo nie śpiewa?

Myślała czasami, w chwilach głębokiej zadumy, że niewielkie ma znaczenie, co chciałbyś zrobić, gdybyś wiedział, że nie poniesiesz klęski. Ważne, by stawić czoło swoim strachom, czegokolwiek dotyczą. Jeśli nie masz odwagi tego zrobić, dobre pomysły i życzliwe zamiary to za mało.

Spojrzała na ciotkę, potem chwyciła drobne dłonie signory Toscano. „Tak” – jej kiwnięcie głową było zdecydowane.

W ten oto sposób Mia zaczęła wiele dni spędzać w towarzystwie młodej kobiety. W najzimniejszy z tych dni ciotka Jacquetta zaproponowała im ustronie w ciepłym pokoju muzycznym. Później – kiedy opady śniegu zaczęły maleć, a niekiedy pojawiało się słońce – wprowadziły się do jasno oświetlonego solaru, podczas gdy Jacquetta pracowała w niewielkim pomieszczeniu wychodzącym na ogród, nazywanym przez nią jej kantorem. Młody mąż znowu je opuścił, tym razem na trzy dni, a jego żona, którą Mia wciąż nazywała *un' raggio di sola* – promień słońca – całą swoją uwagę poświęcała dziewczynie.

Pierwszego dnia udały się do destylarni obok mleczarni i wybrały trochę ziół. Młoda signora lepiej sobie w tym pomieszczeniu radziła niż Alba, lepiej niż Mia, lepiej niż sama ciotka Jacquetta. Mię zdumiała jej wiedza o ziołach i balsamach i pomyślała, że pewnie nawet ojca Silvestra mogłaby ona nauczyć czegoś nowego. Wzięła ze słojów łądygi i kwiaty rzepiku, trochę złocienia wonnego, utarła odrobinę kłącza imbiru, które dał im jej mąż. Ale chciała czegoś jeszcze, czego nie mogła znaleźć – zioła, o którym Mia z ciotką nigdy nie słyszały. Opisała, że ma długie, spiczaste fioletowe kwiaty i charakterystyczny zapach. Kiedy wszyscy patrzyli na nią wzrokiem bez wyrazu, signora Toscano poprosiła męża, by przed swoją wyprawą udał się do mnichów. I zgodnie z planem powrócił ze zdobyczą, a żona w obecności wszystkich ucałowała go ciepło.

– Krwawnica! – zachwyciła się.

Zmieszała zioło z innymi na patelni stojącej na wolnym ogniu. Na koniec dorzuciła trochę jagód zimowych. Wszystko zostawiła na godzinę do przestygnięcia, po czym odcedziła miksturę o dziwnej barwie przez cieniutkie płótno do niewielkiej kadzi „wyłącznie do użytku Mii” – jak wszystkim oznajmiła.

Tego pierwszego dnia poprosiła Mię, by pottrzymała płyn kilka chwil w gardle, a potem przełknęła. Ta spełniła prośbę bez marudzenia: mikstura okazała się zadziwiająco smaczna. Następnego dnia ogrzała nieco i poprosiła, by Mia tym razem przepłukała nią gardło, jak najdłużej, dopóki wytrzyma. Każdego dnia wydłużały czas zabiegu, a signora poprosiła Mię, żeby przepłukiwała też gardło słoną wodą, nie tylko tynkturą krwawnicy. Po pięciu dniach Mia weszła do solaru i stwierdziła, że signora Toscano czeka na nią z niewielkim lusterkiem z polerowanego srebra.

– Chodź, usiądź twarzą do światła – poprosiła Mię. – Chciałabym zajrzeć ci do gardła, zobaczyć, jaką ma barwę.

Mia podporządkowała się sumiennie. Signora przechyliła zwierciadło, tak by odbiło światło słońca, i skierowała ten promień w szeroko otwarte usta Mii. Dziewczyna siedziała jakiś czas spokojnie, a signora wydała kilka zagadkowych dźwięków. Mia, nie ruszając się, usłyszała szelest sukni ciotki Jacquetty i jej charakterystyczny krok, gdy wchodziła do pokoju, by do nich dołączyć.

– Jest rozognione i czerwone? – spytała ciotka.

– Trochę – padła odpowiedź. – Ale obawiałam się, że wygląda o wiele, wiele gorzej.

Signora wyciągnęła lusterko i pozwoliła Mii się odprężyć, potem spojrzała na każdą z nich po kolei.

– Tak, raczej zaróżowione niż czerwone i o wiele zdrowsze, niż się spodziewałam. Dzisiaj możemy umilić sobie czas kilkoma nowymi ćwiczeniami.

Zaprezentowała wiele bardzo przesadzonych układów warg, bezgłośnie wypowiadając samogłoski tak komicznie, że obie słuchaczki się roześmiały – jedna bezgłośnie, druga głośno. Signora roześmiała się wraz z nimi.

– A potem, signora Jacquetta, tak sobie myślę, czy mogłybyśmy z Marią Maddaleną wziąć papier i farbę i za pani pozwoleniem zaprojektować cichy ogród leczniczy na jej użytek, by mogła w nim dalej dbać o swój głos z nastaniem wiosny?

Mia spojrzała na ciotkę z lekkim zdziwieniem, zakładając, że obie panie już omówiły zagadnienie na osobności. Ale twarz Jacquetty była równie zdumiona jak jej własna.

– Widziałam jej rysunekczki – ciągnęła – i uważam, że są przepiękne. Mogłybyśmy razem coś narysować, stworzyć miejsce czarów i cudów?

– Ma pani na myśli święty ogród, signora Toscano? – spytała Jacquetta. – Już go kiedyś zakładałyśmy, tam gdzie niegdyś stała nasza kaplica pod wezwaniem Świętego Piotra.

Ale młodsza z kobiet spojrzała na Mię z innym światłem w oku i z humorem pokręciła głową.

– Myślałam... – zaryzykowała – biorąc pod uwagę specjalne przymioty waszej siostrzenicy, raczej o ogrodzie jednoroźca...

## 9

27 LUTEGO 2007, SAN FRANCISCO

Wtorkowy poranek. Budzik zadzwonił jak zwykle o siódmej, a Maddie otworzyła jedno oko i ze znużeniem stwierdziła, że dzień jest raczej szary. Potem powoli siadła w łóżku, niezdolna pojąć, dlaczego pokój wydaje się taki mroczny. Zupełnie jakby na zewnątrz nadal była noc, a budzik błędnie wskazywał godzinę. Zadrzała lekko, spuściła stopy na podłogę i pokonała krótką odległość od łóżka do częściowo zaciągniętych zasłon. W dni powszednie tak właśnie je zostawiała, by pomogły jej rano wyjść z łóżka. Z wielkim trudem rozpoznała znaczenie widoku, na który patrzyła przez szparę w zasłonach. Rozsunęła je zmieszana. Potem błyskawicznie przeniosła się z sypialni do salonu, prosto do drzwi prowadzących na maleńki balkon.

Nadzwyczajne!

Świat wyglądał jak szare i mgliste połyskujące prześcieradło, które rozciągało się od balkonu do miejsca, w którym powinien się rozpościerać widok na zatokę. Tyle że zamiast widoku rozpościerał się zwodniczy całun mgły. Otworzyła drzwi i wystawiła na zewnątrz palec u nogi, by stwierdzić, że jest zdecydowanie bardzo zimno, ale to nie chłód przyprawił ją o wstrząs. Można było odnieść wrażenie, że jakaś gigantyczna maszyna do kruszenia lodu została włączona na stałe i tryskała swoją zawartością na San Francisco. Otworzyła drzwi na oścież i ostrożnie wyciągnęła rękę w nierealny świat – i w nagrodę dostała lśniące kryształki lodu miękkie jak gipsówka. W rzeczywistości był to grad, tyle że drobny jak śnieg.

– Neva! – wyszeptała Maddie.

Spojrzała na swoją dłoń. W jej głowie myśl, że to się nie mogło zdarzyć w San Francisco, walczyła z absolutną pewnością, że na pewno już nie śpi, więc włączyła telewizor, by obejrzeć poranne wiadomości. I oto, co

zobaczyła: dzieci rzucające się śnieżkami o konsystencji granity; zdjęcia z drobnej stłuczki samochodowej; ktoś zgarniający ręką z szyb samochodu papkowaty grad; bezradne autobusy ślizgające się na oblodzonych nawierzchniach – wszystko w szybkich ujęciach. Pogoda zdominowała wiadomości, a prezenterka w dziecięcym uniesieniu donosiła widzom, że zjawisko ma chyba zasięg miejscowy. Maddie była w szoku, ale mimowolnie się uśmiechnęła – dopóki nie dotarło do niej w pełni, co to oznacza dla jej planów na ten dzień.

Nim zaparzyła kawę w ekspresie, jej umysł zaczął analizować plan. Wieczorem miała zjeść kolację z rodziną po drugiej stronie zatoki. Zamierzała pojechać do pracy samochodem, tak aby prosto stamtąd udać się przez Bay Bridge. Obiecała matce, że po drodze odbierze ojca z kampusu Uniwersytetu Berkeley, gdzie wykładał na Wydziale Fitobiologii i Mikrobiologii.

– Och – westchnęła głośno. W takich warunkach na pewno nie mogła wziąć auta do pracy. Jeśli spróbuję, pomyślała, zjadę z góry prosto do zatoki. Na tę myśl niemal znowu się uśmiechnęła.

– Bardzo śmieszne, Nevo – usłyszała swój głos.

Ale dzisiaj rano nie do końca! Postanowiła opracować plan B. Gdy jednak znad kubka z kawą zerknęła na wiadomości, uznała, że komunikacja miejska też chyba słabo sobie radzi.

Wzięła prysznic, ubrała się, a wciąż nie rozwiązała problemu, ale gdy wyjrzała na zewnątrz, zobaczyła, że dziwny kruszony lód ciągle leży na ziemi, a z nieba intensywnie pada lodowy deszcz. Pomyślała, że to spowoduje kolejne problemy, pospiesznie więc skleciła plan C. Najlepszym rozwiązaniem wydawał się spacer. Po południu może wrócić po samochód. Będzie musiała w tym celu wcześniej wyjść z biura, ale wczoraj wróciła z San Jose nocą, więc Samantha raczej nie będzie miała obiekcji.

Sięgnęła po pilota i akurat trafiła na komentarz, że taka pogoda jest „swoistą zagadką” – zderzają się dwa fronty atmosferyczne i wywołują anomalie.

– Tego nie dało się przewidzieć – świergotała nieznośnie śliczna pogodynka w obcisłym kaszmirze. Maddie wcisnęła „off”.

Aby wprowadzić w życie plan C, chwyciła jedyną rzecz, która mogła ją uchronić przed zamarzeniem w pieszej drodze do biura: ogromniaste, kudłate sztuczne futro, które mama jej podarowała na oksfordzką zimę. Zdołała je zostawić w domu i już wiele miesięcy temu zamierzała je oddać organizacji charytatywnej. Nie znosiła go, ale gdy zatopiła w nim swoją wątłą osobę, musiała przyznać, że w tych dziwnych okolicznościach skutecznie zakrywa ją całą od stóp do głów. Wręcz ją zasłania – tylko stopy wystawały na dole jak łapy pingwina. Czując pewność, że dzisiaj rano nie zostanie okrzyknięta ikoną stylu, zajęła się problemem obuwia. Kilka chwil później paradowała w wielkich gumowych kaloszach, które też mama jej podarowała z okazji wyjazdu do Anglii. Mama, jak wiele osób jej pokolenia, wyobrażała sobie, że ów kraj nieustannie tkwi w powojennej pętli czasu. Nie miała pojęcia, że ludzie w wieku Maddie nie znają słowa „kalosze”, a co dopiero mówić o chodzeniu w nich. Maddie do tej pory nie wyjęła ich nawet z opakowania i nie miała pojęcia, dlaczego je przywiozła z Anglii do domu. Nie lubiła ich tak samo jak futra. Wyglądało jednak na to, że to jej mama będzie się śmiała ostatnia. Chociaż nie tylko ona, pomyślała Maddie, zerkając na całą swoją sylwetkę w lustrze w korytarzu.

Do biura Maddie dotarła późno, ale stosunkowo mało mokra i zmarznięta. Jacinta wykonała swoje najlepsze uniesienie brwi i roześmiała się niemiło.

– Powiedziałabym, że wyglądasz jak yeti – rzuciła z ironicznym uśmiechem – ale one chyba mają więcej wdzięku.

Maddie zbiła ją z tropu, dobrze przyjmując docinki i w duchu uznając ich trafność. W każdym razie przynajmniej dotarła do biura, a pozostali nie. Że wygląda śmiesznie, wiedziała i bez Jacinty, która musiała wpłynąć do biura w swoich pantofelkach od Jim my’ego Choo niczym nowoczesny posąg Skrzydlatej Wenus, nie dotykając gradu, który zebrał się grubo

w tylu miejscach na ulicach. W Jacincie jest coś nienaturalnego, pomyślała Maddie, strzepując lód z czapki i nurkując do szatni, by zdjąć futro.

Wszedłszy do swojego gabinetu, przede wszystkim zauważyła karteczkę przyklepioną do monitora. Sięgnęła po nią i odczytała notkę skreśloną czarnym pisakiem:

Wybacz, nie mogę znaleźć  
doktora (E jak Elroy?) Macfaddena  
T jak Tyler

Maddie miała ochotę wetknąć głowę do jego pokoju i powiedzieć, że tyle to ona zgadła pierwszego dnia, ale to byłoby małoduszne. Z ostatnich rozmów wynikało, że cała kancelaria jest pewna, iż zdołają zidentyfikować lekarza, o którym wspomniała Marilu. Maddie wykazywała najmniej optymizmu, ale przetrząsnęła stos notatek medycznych i zauważyła hieroglif czyjegoś nazwiska na jednym z raportów klinicznych w materiale, który niedawno uzyskali od Stormtree.

Wczoraj w San Jose pokazała ten dokument Marilu i zasugerowała, że bazgroł należy odcyfrować jako „dr E. Macfadden”. Twarz Marilu się rozjaśniła, gdy najwyraźniej uruchomiła się jej pamięć. „E” jej zdaniem oznaczało Elroya. Maddie od razu zadzwoniła do Tylera, aby usiadł przy telefonie i zaczął polowanie na lekarza. Ale dzisiaj, po dwudziestu czterech godzinach, wydawało się, że to kolejny ślepy zaulek.

Wiedziała, że to zbyt piękne, by było prawdziwe, pomyślała, zgniatając żółtą karteczkę i wrzucając ją do śmieci. Nagle poczuła się przygnębiona i wyczerpana. Dlaczego ludzie muszą cierpieć z powodu cudzych zaniedbań? Czy na tym świecie nie ma sprawiedliwości? Co takiego zrobiła Marilu, która była dobrą matką, ciężko pracowała na rodzinę i wykazywała się ambicją akurat taką, że pracodawcy uznali ją za nieocenioną? Dlaczego nie mogli wykazać tyle uczciwości, by zapewnić jej bezpieczne miejsce do wykonania ciężkiej pracy?

Z tej myśli zrodziła się następna, która ją nękała bez ustanku od tygodni.



Co to za Bóg na to pozwala? Jak ludzie mogą Go wielbić? Przypomniała sobie, że to jej ojciec pomimo katolickiego wychowania – a może właśnie z powodu katolickiego wychowania – gdy dorosła na tyle, by myśleć, przedłożył jej filozoficzne pytanie postawione dwa tysiące lat temu przez Epikura. To pytanie teraz głośno zabrzmiało w jej głowie: pytanie o Boga, na które chyba nikt nie umiał odpowiedzieć.

– Czy Bóg chce zapobiec złu, ale nie może? – powtórzyła na głos te słowa z pamięci. – W takim razie jest bezsilny. Czy może, ale nie chce? W takim razie jest zły. Czy może i chce? W takim razie skąd zło?

Westchnęła.

– No ale zło jest – dodała cicho.

Spojrzała na stos dokumentów na biurku i zaczęła ustalać zadania na dzisiaj. Najważniejsze wydawało się skreślone na czerwono pytanie Samanthy na kopii okólnika Stormtree Medical Department. Szefowa pytała, co jej zdaniem znaczy notka u dołu strony. Wypisane na maszynie słowa były oznaczone gwiazdką sporządzoną ołówkiem – „wzmiankowane – zob. także STC/LCZ/425.272”.

Pod gwiazdką Samantha dołożyła swojego post-ita: „Możesz przeanalizować ten odsyłacz?”.

Maddie wiedziała, że do tego musi się zabrać w pierwszej kolejności. Przed wyjściem będzie musiała Samancie przedstawić coś w rodzaju odpowiedzi, a wiedziała też, że szukanie igły w stogu siana przyniesie pewnie wytchnienie jej umysłowi, który w tej chwili był przeciążony. Ona sama niewiele widziała w przypisie, ale w świecie prawniczym Samantha słynęła z niesamowitej pamięci do szczegółów. Mogła zobaczyć coś na kartce i po wielu dniach pamiętała, gdzie to było i co dokładnie. Dzięki tej zdolności dostarczała ekipie materiału z gatunku, który przeciwników przyprawiał o prawdziwy wstrząs. Z tego powodu ich przeciwnicy nalegali, by każdy wniosek przedprocesowy był dopięty na amen, zanim trafi do sądu. Bali się, że Harden Hammond Cohen w ostatniej chwili wyczaruje jakiś zabójczy szczegół, który przesądzi sprawę. Na tym polu drobna

Samantha przewyższała przeciwnika.

Dochodziła piętnasta, gdy Maddie otworzyła drzwi do gabinetu Samanthy. Ta, ubrana raczej na ziąb niż do pracy, spojrzała pytająco.

– Nie zdołałam znaleźć nic więcej na temat tego odnośnika – wyznała Maddie ze skruchą. – Zadzwoiłam do wydziału wymienionego na okólniku w Stormtree Medical Centre, tak na wszelki wypadek.

– I?

– Złapałam lekarza, który powiedział, że pewnie nie powinien mi tego mówić, a ja go nie zacytuję, ale chodzi o spis wszystkich znanych zgonów wśród pracowników Stormtree od początku działania firmy. LCZ to Lista Ciężkich Zachorowań, ale nic więcej nie powie.

– Naprawdę? – spytała Samantha zamyślona, nie okazując entuzjazmu. – To coś w rodzaju ewidencji zgonów?

– Tak myślę. Dołożyłam to do listy zagadnień do drążenia. Do listy materiałów, których musimy sędownie zażądać od Stormtree.

– Grzeczna dziewczynka. – Samantha zaczęła notować.

– Powinam jechać do Orindy na kolację z rodziną – wyznała Maddie zmęczonym głosem. – Ponieważ w nocy była ta dziwna pogoda, czy mogę wyjść wcześniej?

Samantha dała znać, że tak. Obie wiedziały, że nawet przy dobrej pogodzie podróż przez most i Berkeley może zająć ponad godzinę.

– Jasne, powodzenia – rzuciła. – Mam nadzieję, że ci się uda. Zresztą zdaje się, że większość lodu już się stopiła. – Znowu podniosła wzrok na Maddie, uśmiechając się szeroko i dziewczęco. – To było naprawdę dziwne, co nie? Takie głośnie, aż się obudziłam nad ranem. Słyszałam, że to jakaś anomalia pogodowa, która nagle po prostu nadpłynęła gdzieś znad Sierry.

Wróciła do przeglądania dokumentów Stormtree, ale Maddie zawahała się w drzwiach na sekundę.

– Wczoraj miałam bardzo... hm... nadzwyczajną rozmowę z Nevą – powiedziała w końcu bardzo niepewnie.

– Z tą Indianką. – Samantha kiwnęła głową, ale niemal nie podniosła

wzroku. – Nadzwyczajną?

– Kiedy jej powiedziałam, że naprawdę potrzebujemy w sądzie jej zeznań, ona mnie ponownie zapewniła, że będzie żyła tak długo, jak trzeba. Jest absolutnie pewna, że sama o tym decyduje.

– To ta umierająca dziewczyna? – spytała Samantha.

Maddie kiwnęła głową, a Samantha zdjęła okulary, by całkowicie poświęcić uwagę swojej pracownicy.

– To cię uderzyło. Rozumiem. Ale – powiedziała z ożywieniem – słyszałaś kiedyś, żeby ktoś powiedział, że ma za dużo do zrobienia, by chorować?

– Pasuje mi to do ciebie! – Obie się uśmiechnęły. – Ale ona mi powiedziała, że... Samantha, nie miałam pojęcia, że dzisiaj żyje niespełna dziesięć procent jej plemienia. Pojawienie się Europejczyków z ich chorobami zmiotło niemal osiemdziesiąt procent populacji niektórych plemion. Spośród reszty wielu stało się niewolnikami, zastrzelono ich albo wypędzono z ich ziemi.

– O matko! – Samantha gwałtownie odchyliła się na oparcie. – Przeżywalność w czasie pandemii czarnej śmierci w tysiąc trzysta czterdziestym ósmym była wyższa! Zmarła tylko połowa mieszkańców Europy.

Maddie siadła.

– Ale – jej głos nabrał mocy – ona ma świadomość, że ona i jej syn, i jej ojciec reprezentują ród, która sięga początków ich plemienia, na przekór wszystkiemu. Skoro lud Nevy zniósł cały ten niewyobrażalny ból i niesprawiedliwość, którą wyrządził mu świat, co jeszcze może ją przerazić? I teraz mi mówi, że zostanie na świecie, by pomóc doprowadzić sprawę do końca. Wie na pewno, że jej syn dorośnie i zostanie ojcem; i uważa, że ja też muszę się przygotować na starcie ze swoim przeciwnikiem. W ogóle tego nie rozumiem.

Samantha przyglądała się jej bacznie.

– Ta rozmowa, w której wzięłaś udział, to wielki przywilej, Maddie.

Historia Nevy jest dla niej wyjątkowa, ale podobne historie opowiada się na całym świecie, opowiadają je przedstawiciele różnych ras. Każdy z nas jest w to zaangażowany. Historia ludzkości to nieustanne okrucieństwo i jestem pewna, że nasi przodkowie w swoim czasie stosowali przemoc albo i gorzej. Za wymówkę wystarczała im domniemana wyższość religii albo kultury. Może dlatego teraz powinniśmy poprawiać sytuację za każdym razem, gdy możemy. David Cohen stracił większość rodziny. Jego dziadek jakimś cudem przeżył Dachau. David uważa, że to go do czegoś zobowiązuje, że ma dług do spłacenia. Zawsze mówi, że nie możemy zmienić przeszłości, ale możemy zmienić przyszłość. Nie musimy być rozgoryczeni ani odcinać się od ludzi, prawda?

Maddie odczekała, odwracając wzrok, by uniknąć pytania, które wydawało się podejrzenie bezpośrednie.

– Najdziwniejszy moment w naszym spotkaniu – podjęła, znowu patrząc na Samanthę, nie wiedząc, jak ta w swoim racjonalizmie zareaguje na jej słowa – to ten, gdy ją spytałam, jakim cudem jest taka skupiona i pozytywnie nastawiona, skoro życie ją potraktowało tak niesprawiedliwie. I jak ja bym mogła znaleźć taką wiarę? Spojrzała na mnie z irytacją – ale nie niezyczliwie – wzięła mnie za rękę i powiedziała: „Ja ci pomogę”.

Maddie czuła się zakłopotana, ale chciała o tym porozmawiać, i Samantha najwyraźniej to dostrzegła. Musiała tylko zachęcająco kiwnąć głową.

– Neva wyjaśniła: „Moje ciało znajduje się tutaj, w tym szpitalu, i mówią mi, że umieram. Nie mogę tego w żaden sposób zmienić. Zabieram więc swój umysł i duszę w jakieś inne miejsce, w którym chciałabym się znajdować, gdzieś, gdzie byłam bez reszty szczęśliwa – żeby czerpać siłę. Twój umysł jest zawsze wolny, Maddie. Nigdy nie jest uwięziony, chyba że na to pozwolisz. Więc mój umysł i ja udajemy się w piękne miejsca, które mam na myśli, i czuję, że naprawdę tam jestem. To mi daje dzikie pragnienie życia! Mogę dokonywać cudów! Słyszę, jak

mój syn uczy się matematyki, słyszę dźwięki z domu ojca. Wszystko staje się możliwe. Dla mojego syna mogę pozostać przy życiu o wiele dłużej”.

Maddie przerwała, a Samantha czekała na dalszy ciąg.

– Neva powiedziała, że bym zamknęła oczy i sama pomyślała o takim miejscu. „Nie myśl, że tam jedziesz – nakazała mi stanowczo. – Myśl, że tam jesteś, że stanowisz jego część, czujesz zapach tamtejszego powietrza, czujesz powiew tego miejsca na swojej twarzy. Spójrz na swoje stopy, jak stykają się z tamtą ziemią”. Siedziałyśmy tak jakiś czas, a ona trzymała mnie mocno za rękę. Weszłam w to, Samantho. Zrobiłam to, o co mnie prosiła. Przeniosłam się w miejsce w moim umyśle, które jest najżywsze w mojej pamięci, gdzie byłam bez reszty szczęśliwa i gdzie chciałabym się ponownie znaleźć choćby na pięć minut.

O dziwo, gdy otworzyłam oczy, Neva spała całkowicie spokojnie, pomimo bólu, który przecież czuje. Nie wiem, jak traktować to, co ona podobno widzi – dokończyła Maddie. – Ale podążyłam za jej wytycznymi i udałam się w swoje specjalne miejsce. I naprawdę czułam swoje chłodne stopy i rzęsy. Potem całą noc padał śnieg – no, może coś na kształt śniegu, ale padał. Komu by to przyszło do głowy?

Samantha uśmiechnęła się i przyjrzała bacznie Maddie.

– Jedni mówią, że świat znajdzie swój kres w ogniu, inni, że w lodzie. Może cuda się zdarzają. Niektórym.

Nie takich słów Maddie oczekiwała. Wstała i skierowała się do drzwi, po czym wyszła, słysząc jeszcze głos Samantha:

– Miłego wieczoru.

Nawet na dolnym poziomie mostu na otwartej przestrzeni wiatru rezonował w linach Bay Bridge z nieziemskim alikwotem. Przypomniawszy jej się dźwięk wiatru grającego na maszcie i wantach żaglówek.

W oddali, na wodach zatoki San Francisco, Maddie widziała samotny biały żagiel na wzburzonej morzu. Wyglądało na to, że łódka ma kłopoty – nagle przechyliła się ostro i pognęła przez niebieskoszare fale, by już po chwili przystanąć gwałtownie, gdy wiatr bez skrępowań zmienił kierunek.

Wreszcie chyba umknęła podmuchom i uciekła przed frontem atmosferycznym, zostawiając za rufą ślad rozprysków i piany. Maddie wyobrażała sobie, jak załoga walczy w panice, by nie dopuścić do wywrotki. Aż dreszcz ją przeszedł na ten widok, bo przypomniała sobie o zajściu, do którego doszło dawno temu, a które pogrzebała w zakamarkach pamięci. I które nie dawało jej spokoju.

Gwałtownie zmieniła pas i przycisnęła gaz. Wiedziała, że musi zdążyć przed falą wyjeżdżających z miasta, która w każdej chwili mogła wezbrać. Po drugiej stronie mostu, już w Oakland, skierowała mercury'ego cougara autostradą Eastshore w stronę Berkeley. Jej umysł pracował na autopilocie. Ile razy pokonywała tę trasę? Pamiętała co najmniej kilkadziesiąt. Ojciec rzadko sam jeździł do pracy. Nie widział potrzeby, żeby samochód stał bezużyteczny cały dzień. Latem zwykle wsiadał na rower, a w razie potrzeby zajeżdżał po niego ktoś z rodziny, nie nakładając dużo drogi. Gdy zrobiła prawo jazdy, zwykle sama proponowała, że przyjedzie, dzięki czemu spędzała godzinę za kółkiem. Ale dzisiaj podróż niewiele miała wspólnego z tamtą przyjemnością z przeszłości.

Wydział Fitobiologii i Mikrobiologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley znajdował się za Koshland Hall, który stał tyłem do Hearst Avenue. Maddie skręciła w znajomą drogę, tuż przed zielonymi pastwiskami kampusu uniwersyteckiego, zalanego absurdalnym popołudniowym słońcem. Wjechała do zatoczki na poboczu.

Wysoki, elegancki mężczyzna stojący w jasnym słońcu, ubrany w kurtkę w kolorze ciepłej czekolady i szalik, miał gęstą grzywę kręconych, przyprószonych siwizną włosów. W rękę trzymał mocno zniszczoną aktówkę z czerwonej skóry, którą Maddie przywiozła mu z Florencji przed laty, z wakacji. Uśmiechnął się do niej, gdy otworzyła mu szeroko drzwi pasażera.

– Cześć, tato. Cieszę się, że już jesteś.

– Uznałem, że w takie piękne popołudnie stanę sobie na słońcu

i pomyślę chwilę, czekając na ciebie. Zerknąwszy na wiadomości w necie, uznałbym, że pogoda tutaj kontrastuje z aurą po drugiej stronie zatoki, to prawda? Słyszałem, że w kilku miejscach doszło nawet do obsunięcia ziemi.

Wszystko to zostało wypowiedziane tonem swobodnym, charakterystycznym dla Enza Morettiego, zwanego Lauriem, a przez matkę niezmiennie Lorenzem. Tylko nie Larry, pomyślała Maddie. Znała tylko jedną osobę, która tak się do jej ojca zwracała. I tą osobą był Pierce Gray.

– Bardzo kontrastuje – przyznała.

Enzo wcisnął swoje długie ciało na fotel obok niej, a ona przechyliła się, by cmoknąć go w policzek.

– Co u ciebie, Madeline? – spytał. Pełna forma jej imienia w jego wydaniu oznaczała raczej czułość niż formalność.

– Ha, tato, nie jestem pewna. Chodzę do pracy, robię swoje, chyba. Ale... no cóż... właśnie „robię”. Nie wiem, co czuję czy myślę.

*I zapomniała gwiazd, księżycy, słońca,*

*I zapomniała błękitu nad drzewami,*

*I zapomniała dolin, przez które płynie woda.*

Enzo wyrecytował te wersy i uśmiechnął się do niej smutno.

– Tak jakby – powiedziała, po czym zarzuciła mu ramiona na szyję, by pocałować go po raz wtóry. Wrzuciła bieg i włączyła się do ruchu. – To prawdziwe i boli w każdej sekundzie – dodała, zerkając w lusterko przy zmianie pasa.

Enzo kiwnął głową i popatrzył na córkę.

– Nie wątpię i dlatego nie podrzucę ci wiersza o tym, jak czas leczy rany. Ale myślę, że to prawda.

Odpowiedziała mu niepewnym skinieniem głową i w spokojnej ciszy pokonali pozostałe piętnaście minut do domu w Wild Cat Canyon Drive, domu, w którym Maddie spędziła dzieciństwo.

Kiedy wjeżdżali na podwórko, minęła szósta, a światło powoli gasło, ale

dojrzałe drewno domu pokrytego cedrowym gontem sprawiało przyjazne wrażenie. Parterowy budynek, z przeszkloną werandą wychodzącą na ogród, warzywnikiem i różnymi szopami, stał na wzniesieniu w otoczeniu nierównego trawnika. Ze względów przeciwpożarowych wokół budynków szerokim łukiem bezwzględnie wycięto naturalny las – niemal niebieskawy w wieczornym świetle. Maddie zaparkowała obok nowego nissana Barbary na wielkim parkingu, obramowanym wonnymi krzewami, na lewo od domu.

Wszystko wyglądało jak zawsze. Chociaż nie było ciemno, czekały na nich włączone światła na werandzie, a okna domu lśniły jak punkty sygnalizacyjne na całej długości ściany. Dawny pokój Maddie znajdował się na samym końcu, obok pokoju Barbary. To tutaj trajkotały do późnej nocy przez siatki w oknach. Następny był salon ze starym fortepianem, potem jadalnia, sypialnia rodziców i pokój gościnny. W każdym pomieszczeniu dwa okna wychodziły na dziki, górzysty teren porośnięty lasem sosny żółtej i dębowych chaszczki. Długi korytarz biegł środkiem, a wielka kuchnia – która stanowiła centralny punkt domu – miała drzwi prowadzące na drugi koniec litery L. Tu znajdował się wyłożony boazerią pokój z otwartym kominkiem i z tego pomieszczenia najczęściej korzystał ojciec. Okna dwóch łazienek na tyłach wychodziły na trawnik po drugiej stronie.

Bezpieczeństwo i przytulność, nieodłącznie kojarzące się domem rodzinnym, powinny teraz wywołać radość Maddie, podobnie jak widok ogrodu jak zawsze z miłością pielęgnowanego przez jej ojca i matkę. Pomyślała o zbliżających się barbecue na podwórku, kąpielach w jeziorze Anza w parku regionalnym Tilden, ledwie kilka minut drogi samochodem, i o dniach spędzonych na plaży. Na myśl o zwodniczo pięknych dniach – które zawsze przywoływały śmiech z przeszłości i obiecywały podobnie piękne chwile w przyszłości – Maddie poczuła teraz głęboki smutek i samotność. W tym momencie nie należała do świata ludzi szczęśliwych.

Stała w gasnącym świetle i patrzyła, jak ojciec wydostaje się



z samochodu. Uświadomiła sobie, że od śmierci Chrisa nie pojawiła się w domu rodzinnym.

– Idź i przywitaj się z mamą. Ucieszy się. Oczywiście chce pogadać – powiedział z lekką nutą współczucia. – Ale przyjechała Barbara, więc mama nie będzie ci długo zawracać głowy.

Maddie uśmiechnęła się szeroko.

– Powiedz im, że jestem w gabinecie. Mam trochę roboty, ale przyjdę wkrótce. – Enzo spojrział na Maddie, wyczuwając, że wolałaby, by poszedł z nią od razu i wybawił ją od matczynej nadopiekuńczości. Ale wówczas miałby do czynienia z gniewem swojej żony. – Mam fajne wino – dorzucił zachęcająco. – Białe, włoskie. Świetne, jak z własnej uprawy twojego dziadka. Wypijemy po kieliszku przed obiadem, dobrze? – Zniknął za rogiem domu.

Maddie skinieniem głowy pogodziła się z jego odejściem. Wiedziała, że taki jest i zawsze był sposób życia jej ojca, poza wakacjami albo weekendami, a i to niekoniecznie. Niezmiennie był całkowicie pochłonięty pracą. Ta pracowitość uczyniła zeń światową sławę w dziedzinie chorób roślin, ale niewykluczone, że jednocześnie wyrwała go z uścisku jej uroczej, lecz dominującej matki. A teraz, gdy dzieci wyfrunęły z gniazda, matce zapewne doskwierała samotność.

Maddie odetchnęła głęboko, krocząc ścieżką. Co prawda bardzo kochała matkę, ale rozumiała, dlaczego tak długo odwlekała przyjazd do domu. Jakiś cień przeciął światło padające z okna salonu, padł na nią i przyciągnął jej uwagę. To jej matka, Carol, ale na szczęście również Barbara, która ożywiona jak zawsze uśmiechała się do niej i gorączkowo wymachując rękami, ponaglała siostrę.

Wszyscy wiedzieli, że *nonna* Isabella upewniła się, niemal w ramach umowy ślubnej z przyszłą synową, że Carol dobrze gotuje. Jej ukochany Lorenzo codziennie musiał spożywać dobre włoskie domowe posiłki. Carol stała na wysokości zadania, dobrze się uczyła, a nie wiedziała, że teściowa w swojej zapobiegliwości zadbała, by jej syn sam również

doskonale gotował. Większość dzieciństwa spędził w rodzinnej kuchni, gdzie chętnie pomagał mamie. Tak więc obiad – bez względu na okoliczności – zawsze był dobry i suty, często wzbogacony produktami własnymi i w stosownym momencie nawet własnym winem, o dziwo wyśmienitym.

Po dość krótkiej, na szczęście, przerwie Barbara wybawiła siostrę od pytań matki i zawołała ojca, by do nich dołączył. Rodzina zebrała się wokół owalnego klonowego stołu, z kieliszkami w dłoniach.

– Miałam wariacki telefon od *nonny* Isabelli – powiedziała Carol, gdy już wznieśli toast. – Mówiła, że dzisiaj nie dotrze, bo musi znaleźć jakąś starszą panią, która kiedyś robiła kapelusze czy coś takiego.

– Dokąd ona się wybiera, że potrzebny jej kapelusz?! – spytał Enzo ubawiony. Ze stojącej przed nim misy zaczął nakładać *crema di fagioli*, danie z fasoli, jego i Maddie ulubiona potrawa na spotkaniach rodzinnych.

Jego żona zignorowała to pytanie, zaczęła natomiast zadawać własne, które Barbara odpierała już godzinę przed kolacją, by choć trochę wspomóc siostrę.

– Maddie, masz jakieś wieści z Anglii? Aresztowali już tego człowieka, który zabił Christophera? – Matka rozpędziła się, nie robiąc nawet przerwy na nabranie oddechu. – Wyrok już chyba zapadł, prawda?

Zarówno ojciec, jak i Barbara spojrzeli na Maddie pokrzepiająco, ona zaś opuściła głowę.

– Nie, mamó – odpowiedziała w końcu cicho. – Nie miałam żadnych wiadomości. Proces sądowy trwa długo.

– Och, mamó – wtrąciła się stanowczym tonem Barbara – Maddie na pewno nam powie, jeśli dostanie jakieś informacje albo jeśli będzie chciała się czymś z nami podzielić. – Próbowała przekazać matce ostrzeżenie, które najwyraźniej do niej nie dotarło. Zmieniła więc taktykę i zwróciła się do ojca: – Tato?

Barbara zawsze tak się zwracała do ojca. Maddie wolała „papa” od czasu rodzinnej podróży do Włoch, kiedy miała dwanaście lat. Albo „pa”.

– Tato – powtórzyła Barbara – dowiaduję się z gazet, że uniwersytet należy do wszechstanowych oddziałów specjalnych walczących z chorobą Pierce’a.

Ta iście desperacka próba miała przekierować konwersację na inny temat. Barbara nie miała pojęcia, co chce jeszcze na ten temat powiedzieć. Ojciec jednak pomógł, pochwytyjąc sugestię.

– Och, zgadza się, Barbaro – odrzekł. – Zdaje się, że PR działa. Tak, wydział jest dość mocno zaangażowany w to przedsięwzięcie.

Maddie zdumiona spojrzała na ojca.

– To taka poważna sprawa? Co to jest choroba Pierce’a? – spytała, zastanawiając się, czy aby ojciec z siostrą nie żartują.

– Jeśli naprawdę cię to interesuje – odrzekł Enzo z uśmiechem – wyjaśnię najprościej, jak umiem.

– Przy czym ani najprościej, ani nawet prosto nie wchodzi w grę. – Barbara wiedziała, że ojciec rzadko rozmawia o pracy przy kolacji. Ale skoro już zaczął, zatopi się w swojej nauce, zapominając o bożym świecie.

– Prosto rzecz ujmując – spojrzał z uśmiechem na nią, a następnie na drugą córkę – choroba Pierce’a to śmiertelna choroba bakteryjna winorośli. Po raz pierwszy rozpoznano ją w Kalifornii pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy w stanowych winnicach spowodowała straty wysokości milionów dolarów. Dwadzieścia lat temu naukowcy z Berkeley potwierdzili, że chorobę powoduje bakteria *Xylella fastidiosa*. Roznoszą ją pewnego gatunku skoczki znane pod nazwą strzelcy wyborowi. To problem zarówno stanowy, jak i krajowy. – Posłał Barbarze ubawione spojrzenie. – Tak prosto wystarczy, panienko?

– Tak, tato. Przestań natychmiast! – Roześmiała się.

– Doradzam, ale nie należę do zespołu. Robię coś innego.

– A kim jest ten Pierce? – Carol znalazła coś, co ją zainteresowało, i dołączyła do rozmowy, pomijając kontekst. – Czy to ma coś wspólnego z twoim kolegą Pierce’em Grayem?

– Nie, kochanie, absolutnie nie. – Enzo z trudem powstrzymał się od

śmiechu. – W tym wypadku to nazwisko, nie imię, badacza z lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. N. B. Pierce. Na jego cześć nazwano to schorzenie, bo on je odkrył. Ale – ciągnął – Pierce Gray rzeczywiście pomaga finansować część prac zespołu do spraw choroby Pierce’a, jak również badania, nad którymi ja pracuję. To ważne dla hodowców winorośli w Napa. Gray ponosi ogromną część kosztów, wraz z innymi hodowcami. To jego osobiste zainteresowanie oczywiście.

– On zawsze sprawia wrażenie interesującego mężczyzny, taki przystojny i potężny – zachwycała się Carol, mówiąc niemal do siebie. – Czy wyście z nim nie pływały na jego jachcie, dziewczęta? Tak mi się coś wydaje. Wszyscy mówią, że on wydaje takie piękne przyjęcia. Wasz ojciec w przeszłości w kilku uczestniczył, aczkolwiek mnie nigdy nie zaproszono.

– To były zawsze imprezy związane z pracą, Carol – odpowiedział jej Enzo, nie połknąwszy haczyka. Z czysto towarzyskich względów kilkakrotnie zapraszano go z żoną, ale nie był jakoś zainteresowany i zawsze się wymawiał, nie skonsultowawszy się z nią.

– Nieważne, mamó – dodała Barbara, trochę się orientując w temacie. – Nic nie straciłaś. Z tego co widziałam na „Imprezach Graya”, albo są to imprezy wielkie i hałaśliwe, albo bardzo prywatne i kameralne do przesady.

– Wiesz, on bardzo dużo robi dla społeczeństwa – szarżowała Carol. – Spójrzcie tylko, co choćby ostatnio zrobił dla City’s Art Gallery. A to wpływa na twoją pracę, Barbaro. Ty wynajdujesz te wszystkie dzieła sztuki, ale ktoś musi być mecenasem i płacić za nie.

Maddie odłożyła widelec, którym bawiła się fasolkami. I pomyśleć, co dał swoim pracownikom w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Oczywiście w życiu by nie podjęła tego tematu poza kancelarią. Nagle jednak poczuła, że chce porozmawiać pomimo polityki zachowania milczenia. Chciała powiedzieć, co wie o Stormtree, skonfrontować to z opinią rodziców i zobaczyć, jak zareaguje jej zawsze mądry ojciec. Ciekawe, co on naprawdę myśli o Piersie Grayu. I w tym właśnie momencie z rozmyślań

wyrwał ją ojcowski głos.

– Ilekroć miałem z tym człowiekiem do czynienia, wydawał mi się interesujący. Muszę przyznać, że darzę go sympatią. – Zupełnie jakby ją słyszał. – W układach z uniwersytetem i ze mną zawsze był co najmniej szczodry. Pamiętam, jak przed laty prowadziłaś z nim wywiad do gazetki uniwersyteckiej, jeszcze na licencjacie, Maddie, i wtedy zrobił na tobie wielkie wrażenie.

– Byłam dzieckiem, papo – powiedziała niemal tonem protestu. – Nic nie wiedziałam o ludziach ani o świecie.

Enzo ukazał zęby w szerokim uśmiechu.

– Cóż, on produkuje jedno z niezmiennie najlepszych win w Napa i musi dbać o renomę. Jego wielkie zaangażowanie zdumiałoby kogoś, kto uważa, że winorośl to tylko hobby. Ilekroć rozmawiamy, on jest doskonale zorientowany w uprawie winorośli i winach. Budzi się w nim taka pasja... Można by uznać, że mówi o kobietach.

Barbara dość się już nasłuchiwała tych pochwał.

– W tym temacie jest o wiele lepiej zorientowany – rzuciła z ironicznym uśmiechem. – Może się pochwalić całymi stadami kobiet i ciągle zmienia nałożnice, jak jakiś włoski średniowieczny magnat.

– Masz na myśli jego reprezentacyjne żony? – wtrąciła Maddie.

– Wstrząsająco reprezentacyjne – roześmiała się Barbara.

– Sama mogłabyś do nich należeć, niemądra – wtrąciła matka – i nie byłoby to najgorsze rozwiązanie. Kiedyś miałaś szansę. A jestem pewna, że bardzo o nie dba. Nie ma to jak korzystna ugoda rozwodowa.

– Pod warunkiem że nie było rozdzielności majątkowej – zażartowała ponuro Maddie.

Enzo zastanawiał się na głos, czy rola włoskiego księcia odpowiadałaby Pierce'owi Grayowi.

– Miałby styl i pasję – mówił. – Pamiętajcie, kiedy bankierzy przejęli kolekcję sztuki Medyceuszy we Florencji, Lorenzo powiedział im, że świat zapamięta ich na zawsze z tej sztuki, a nie z pieniędzy, które stracili.

– Raczej chodziło mi o poemat Browninga, *Moja ostatnia księżna* – ta, którą uśmierca mąż! – Barbara się roześmiała. – Poeta miał na myśli chyba księcia Ferrary, który zenił się wiele razy, a po raz ostatni z Lukrecją Borgia. Gigant wśród mecenasów, nie da się ukryć, ale bezwzględny potwór o nieograniczonej władzy, niedbający, kogo krzywdzi. Pierce, gdyby mógł, też by tak postępował.

– *Jak to wspaniale, mieć siły olbrzyma! Jaką tyranią jest, gdy ktoś używa sił tych jak olbrzym*<sup>[1]</sup> – podsunął Enzo.

To właśnie Pierce Gray powinien sobie zakarbować, pomyślała Maddie, coraz bardziej zła. Miała przed oczami cierpliwą twarz Nevy, zdjęcia dzieci Marilu, ale zmięła tylko w garści serwetkę, tak żeby nikt nie widział, i nic nie powiedziała.

Nagle dobiegł ich łomot od tylnych drzwi, a Maddie aż podskoczyła.

Enzo wstał.

– Musiałem znowu zostawić otwarte okno i zrobił się przeciąg. Zaraz się tym zajmę.

Barbara też wstała.

– Zostaw, tato, ja je zamknę. Po drodze zaniosę to do kuchni. – Zaczęła sprzątać po pierwszym daniu. Maddie wstała, by jej pomóc, ale Barbara ją powstrzymała. – Wezmę gęsiarkę i *contorni*. Usiądź.

Maddie odwróciła się do Enza.

– Papo, co ty robisz dla Pierce’a Graya?

– Badam DNA i allelopatię roślin – odrzekł, wiedząc, że ona tego słowa nie zrozumie. W odpowiedzi na jej zdumiony wzrok spróbował wyjaśnić, nie wdając się w szczegóły techniczne: – Chodzi o to, jak rośliny wpływają na siebie wzajemnie, o to, czy istnieje długoterminowa współzależność pomiędzy efektem allelopatycznym a wcześniejszymi odmianami rośliny, co można by zastosować w fitobiologii winorośli. Allelopatia to...

– Ratunku! Maddie, potrzebuję pomocy! – dobiegł głos Barbary zza drzwi wahadłowych prowadzących do kuchni.

– Idę. – Maddie wstała. – Ale dokończysz, jak wrócę? – spytała,

ruszając do kuchni z kilkoma talerzami. Dotarłszy do Barbary, szepnęła: – Nie siliłaś się na subtelność, Bee. Bałaś się, że to potrwa?

Siostra podała jej półmisek do wyniesienia.

– Ja wiem, że to by długo potrwało. Na twoim miejscu bym w to nie brnęła, chyba że masz zamiar zostać na noc i może na jutro. Ja wychodzę wcześniej, bo muszę otworzyć galerię, zanim dojedzie kurier.

– No dobra, niech ci będzie – zgodziła się Maddie. Nagle zamilkła. Na kuchennej ścianie od lat wisiał dziecięcy rysunek. Dzisiaj przyciągnął jej wzrok. Był ambitny, i jak na małą dziewczynkę dobrze wykonany. Przyjrzała się dokładnie oprawionej w ramki akwareli przedstawiającej kobietę, która z rozwianym włosom, w dzikiej okolicy walczy, by nie zmiotł jej porywisty wiatr. Na pierwszym planie widniał tył głowy i ramiona dziecka, które chroniło się w drzwiach przed pogodą i patrzyło na matkę. Kręcone włosy dziecka zwiało na jedną stronę obrazu, a złudzenie optyczne sprawiało, że zdawały się wychodzić poza ramę. Dzięki temu oglądający obraz stawał się dzieckiem.

Barbara podeszła do siostry.

– To jest niezłe. Bardzo realistycznie przedstawia mamę, a jej zdaniem uchwyciłaś tu chwilę z taką wrażliwością, że dała to oprawić. Pamiętasz? Namalowałaś to, jak miałaś mniej więcej osiem lat, i leżałaś strasznie na coś chora, chyba na ospę wietrzną. Mówię ci, dziewczyno, masz talent. No i proszę, ja pracuję w sztuce, a ty jesteś prawnikiem.

– Zabawne, nie pamiętam, żebym to malowała, ale pamiętam, jak słuchałam wiatru – odparła Maddie ledwie słyszalnie. – A swoją drogą, Bee – wyszeptała, bo musiała to wyznać siostrze – moja kancelaria jest zaangażowana w wielką sprawę przeciwko firmie Graya. Lepiej nie mówić tego papie.

– Och. – Barbara uniosła brwi. – Pewnie, że nie powiem. To nie moja sprawa. Moje stosunki z nim wyglądają zupełnie inaczej. Ilekroć sprzedajemy mu obraz, usiłuje renegocjować cenę tuż przed zamknięciem. To stawia nas w bardzo trudnej sytuacji wobec sprzedających, którzy

czują się zmanipulowani. I są. Straciliśmy z tego powodu kilka prestiżowych transakcji. I wiem, co mówię o tym jego nastawieniu do kobiet.

Maddie znacząco uniosła parujący półmisek, który trzymała w dłoniach.

– Lepiej zaniosę to na stół – powiedziała i pchnęła drzwi. – Wygląda nieźle, mamó – oznajmiła, wchodząc do jadalni.

Przez pół godziny ojciec opowiadał o swoich pomysłach, kończąc stwierdzeniem, że rośliny emitują niezwykle złożone sygnały chemiczne, które odpychają lub przyciągają inne rośliny zgodnie z ich indywidualnymi zainteresowaniami.

– Glony mogą wpływać na tworzenie się chmur, a zatem na pogodę – rzekł, dopijając ostatnie krople ze swego kieliszka. – Ale to dłuższa historia, musiałabyś zostać na noc. – Zauważył, że córka jeszcze nigdy nie okazała tyle zainteresowania jego pracą.

– Obawiam się, że nie mogę, tato – przeprosiła Barbara. – Posprzątam za ciebie, mamó, ale potem muszę wracać.

– Ja też. – Maddie uśmiechnęła się łagodnie. – W pracy jesteśmy urobieni po łokcie, więc nie chcę za późno dotrzeć do domu.

Pomogła siostrze przy sprzątanii, ale gdy drzwi wahadłowe się zamknęły, zadała Barbarze pytanie, które przyszło jej do głowy w czasie kolacji.

– Co w zasadzie papa robi z Pierce'em Grayem? Wiem, że zawsze mieli pobieżne powiązania, ale w tej chwili chyba łączy ich większa zażyłość.

Barbara miała własne zdanie. Mówiła cicho, ładując zmywarkę.

– Może się mylę, ale chyba Pierce widzi w tym, co robi tata, pieniądze i prestiż. Dlatego organizuje sobie takie zyskowe zajęcia uboczne, korzystając z reputacji i wiedzy taty. Finansuje prywatny projekt badawczy i przekonał tatę, że to dla dobra Ameryki, Kalifornii i przemysłu winiarskiego.

– Papa chociaż sobie uświadamia, że to w interesie wszystkich



hodowców winorośli w Napa, co oczywiście obejmuje Pierce'a Greya.

Barbara kiwnęła głową.

– Te badania zapewnią też tacie stałe miejsce w panteonie biologów. Nie żeby już go nie miał.

– Podejrzewam, że Pierce jest bezwzględny w interesach i myśli tylko o swojej korzyści – dodała Maddie. – Ale papa chyba potrafi o siebie zadbać, nie sądzisz?

– Dobrze, że nie jest kobietą! – dorzuciła Barbara kąśliwie. – Bo przy każdej kobiecie, która się nawinie, Pierce czuje, że może kupić wszystko, co mu wpadnie w oko. Kolejna do kolekcji, i tym lepiej, jeśli jest nietypowym kąskiem. Uważa, że ma prawo do wszystkiego, jak autokrata.

– Bee, czy ty się ze mną dzielisz osobistym doświadczeniem? – spytała Maddie. – Pamiętam, jak próbował zaprosić cię na wystawny obiad przed żoną numer dwa, ale myślałam, że to było dawno temu, a ty nie byłaś zainteresowana? – Oplukała ostatni talerz i podała siostrze.

– Och, umiem o sobie zadbać, skarbie. Nigdy mnie nie kusił. Ale moją przyjaciółkę potraktował jak ostatni łajdak.

Maddie nie chciała już tego słuchać. Na dzisiaj miała Pierce'a Graya po dziurki w nosie. Uściskała więc siostrę, wzięła torebkę i płaszcz i ruszyła pożegnać się z rodzicami.

– Nie jesz – stwierdziła Barbara, zanim Maddie otworzyła drzwi. – Widziałam, jak się dzisiaj bawiłaś jedzeniem. Wiem, że każdy kolejny dzień to dla ciebie cholerne wyzwanie, ale musisz jeść. Głodówka ci go nie przywróci.

Maddie kiwnęła głową.

– Po prostu nie jestem głodna. Nie czuję głodu.

Barbara objęła ramieniem siostrzyczkę i powiedziała tylko:

– Wiem.

Enzo wyszedł na dwór odprowadzić córki. Ucałował je, zamknął za nimi drzwi auta, pomachał i patrzył, jak odjeżdżają z podwórka w stronę

Bay Bridge. Doskonale wiedział, jak cierpi jego młodsze dziecko. Maddie zawsze była inna. Urodziła się z węzłem na pępowninie i cudem przeżyła. Zawsze uważał, że to dowodzi jej instynktu przetrwania, ale... los ją wyjątkowo doświadczył. Nie miał pojęcia, co może dla niej zrobić, ale gdy patrzył, jak światła jej wozu nikną w mroku, poczuł przypływ nadziei.

Niebo było czyste i wypełnione milionami gwiazd. Tuż nad wzgórzem za domem, na północnym wschodzie, dostrzegł wyjątkowo jasne skupisko. Uśmiechnął się.

– *Noc niejedną na Plejadach wypoczywał wzrok ten mój, Lśniąc cich w mgłę, jak robaczków w srebrnej sieci złoty rój*<sup>[2]</sup>.

O tak, złoty rój, i owszem, pomyślał. Potem wyłączył lampy na zewnątrz i wcisnął dłonie w kieszenie.

---

[1] W. Shakespeare, *Miarka za miarkę*, przeł. M. Słomczyński.

[2] A. Tennyson, *Zamek Locksley*, przeł. J. Kasprowicz.

# 10

28 LUTEGO 2007, SAN FRANCISCO

Nonna Isabella nigdy nie uważała siebie za przesadną. Może i nie kusiła losu, jak to ludzie ujmowali: na przykład nie przeszłaby pod drabiną ani nie położyłaby butów na stole, ani nie otworzyłaby parasolki w mieszkaniu. To wydawało się po prostu rozsądne, nie musiało oznaczać zapobiegania nieszczęściu. Drabiny stoją niepewne, a buty... no, z butami może nie chodzić o kuszenie losu. Już jednak piątek trzynastego uważała za dzień taki sam jak inne i zostawiłaby na chodniku szpilkę, gdyby jakąś zauważyła, pomimo ostrzeżenia „nigdy nie zostawiaj”, jeśli chcesz mieć szczęście. Tak jak Neva, pochodziła z długiej linii kobiet, których dziedzictwa była mocno świadoma, sięgającej do mieszkańców Toskanii co najmniej z czasów rzymskich, albo i dalej, kiedy Ziemia ciągle jeszcze stanowiła środek wszechświata. *Nonna* Isabella była jednak szczęśliwa, że jest bardzo nowoczesną kobietą, pomimo całego swego rodowodu.

W noc burzy lodowej wreszcie znalazła panią, która robiła kapelusze. Już dwadzieścia siedem lat temu była stara: zdaniem Isabelli teraz musiała być po dziewięćdziesiątce, o ile nie odeszła na łono Abrahama. Tymczasem sprawiała wrażenie bardzo żywej, i gdy Isabella przez telefon powiedziała signorze Angeli, co się przydarzyło Maddie, ta wyraziła chęć spotkania z dawną klientką. Umówiły się na następny wieczór, przy czym starsza pani zasugerowała zrobienie wcześniej kilku rzeczy.

Isabella musiała przestudiować zawartość szuflad starego rodzinnego biurka, dumnego nabytku jej dziadka do pierwszego domu, który kupili w San Francisco. Tam właśnie znalazła wybór dokumentów rodzinnych jeszcze z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, a także parę starych rodzinnych fotografii. W końcu trafiła na horoskop Maddie w pierwotnym opakowaniu z brązowego papieru i wciąż

nieodpieczętowany.

To wszystko przyniosła do czcigodnej modystki, gdy siadły w tym samym domku signory w North Beach nad kawą, kawałkiem *torta caprese* i kieliszeczkiem zmrożonej stregi.

– Dziwną mieliśmy pogodę wczoraj rano – powiedziała gospodyni do Isabelli, obrzucając ją płomiennym spojrzeniem. – Można by powiedzieć, że apokaliptyczną. – Głos miała cichy i czysty, zwłaszcza jak na swój wiek.

Isabella tylko połowicznie jej słuchała, chociaż zgodziła się, że to wysoce niezwykle w mieście o pięknej pogodzie. Grzecznie przeszła jednak do powodów, dla których zadzwoniła, i przedmioty, do których odszukania została nakłoniona, położyła na stole w pracowni signory. O dziwo, wyglądało w niej tak, jakby od czasu do czasu nadal powstawały tam kapelusze.

Signora Angela najpierw położyła rękę na pakiecie w brązowym papierze, zawiązanym jej własnymi rękoma tyle lat temu, a potem przemówiła. I tego, co signora Angela musiała powiedzieć tym razem, jej gość wysłuchał uważniej niż przed dwudziestu pięciu laty.

– Nie muszę tego otwierać – powiedziała, nie odrywając wzroku od Isabelli. – Doskonale znam zawartość.

Isabella popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Widzi pani, signora Moretti – odezwała się Angela w odpowiedzi na to spojrzenie – przez dziewięćdziesiąt jeden lat swego życia narysowałam horoskopy dla setek, może i tysięcy ludzi. Nadal używam własnego równania matematycznego. Nadal mam książkę z tabelami ruchów planet. Nie ułatwiam sobie pracy komputerami i teraz jestem równie zajęta jak zawsze. Młode pokolenie też darzy szacunkiem i zainteresowaniem mądrość etruskich przodków. Etruskowie oczywiście przepowiadali dla swoich rzymskich zdobywców i dzięki swej wiedzy tajemnej zyskiwali sobie głębokie poważanie.

Głos Angeli rozbrzmiewał w niewielkim pomieszczeniu. Isabella

uznałaby całą sytuację za teatralną, gdyby słowa staruszki nie magnetyzowały jej bez reszty.

– W całym swoim życiu widziałam tylko trzy horoskopy, których nigdy nie zapomniałam. Zwykle wykresy urodzeniowe zawierają to, czego można oczekiwać: miłość, umowy, narodziny, podróż i rozpacz. Przypominają palimpsesty: ktoś je pisze, potem zamazuje, potem pisze kolejne na starych woskowych odbitkach. Są wypisane na piasku. Ale te trzy, które dobrze pamiętam? – ciągnęła łagodnie. – Jeden należał do mężczyzny, który został biskupem, i to dobrym, miej, Panie, w opiece jego duszę. – Napila się i dołała do kieliszków z butelki, nim podjęła opowieść: – Drugi do kobiety o nadzwyczajnych zdolnościach i wrażliwości. Niestety, odebrała sobie życie, gdy pierwiastek boski okazał się dla niej brzemieniem ponad siły. Gdyby tylko zdołała wytrzymać jeszcze trochę, jej życie by się zmieniło. Myślę, że straciła nadzieję. Jej niezwykle zachłanny syn czerpie korzyści z tego, co powinno należeć do niej. Życie zbyt często jest niesprawiedliwe.

W tym momencie starsza pani zamilkła. Isabella zastanawiała się, czy powinna wygłosić jakąś filozoficzną myśl. Zauważyła jednak, że signora Angela przebywa gdzieś w swoim świecie, swoich myślach, nie tutaj. Potem jej wzrok ponownie skupił się na Isabelli.

– I horoskop pani wnuczki. Madeline Moretti, urodzona dwudziestego pierwszego maja, dziecko Plejad. Jest posiadaczką trzeciego horoskopu utrwalonego na zawsze w mojej pamięci. Przypominam sobie główne szczegóły jej wykresu i zastanawiałam się, co się wydarzyło w jej życiu. Wie pani, wykresy to tylko niebiańskie przewodniki, signora Moretti. To mapy pogody sugerujące pewien sposób prowadzenia życia. Wskazują drogę, ale nią samą nie są. Droga pozostaje w rękach podróżnika. Każdy ma w życiu swoje wyzwania. Problem w tym, jak je podejmuje, co z nimi robi: to jest to, co je rozdziela na wykresie. To się liczy. Tak więc – rozsiadła się w swoim niskim fotelu – jak Madeline radzi sobie z tą stratą?

Isabellę uderzyła informacja o wyjątkowej naturze horoskopu Maddie.

Wcześniej, gdy rozmawiały przez telefon i starsza pani powiedziała, że pamięta jej wnuczkę, uznała to za uprzejmość albo udawane zainteresowanie. Teraz, słuchając jej, poczuła, że to szczere.

– Madeline jest, powiedziała bym *meno male*. Radzi sobie może nie najgorzej, ale straciła całą radość życia. Je, ale jest chuda; mówi, ale nic od serca. Była takim żywym dzieckiem, pełnym pasji. Spośród swoich rówieśniczek wyróżniała się czystym ogniem. Teraz wygląda na to, że ten wielki duch ją opuścił.

Signora Angela kiwnęła głową.

– Nie byłam pewna, co to będzie dokładnie. To jak zaćmienie słońca, wszystko w jej życiu staje się nagle zimne i ponure. Musimy uważać albo stanie się *ombra della sera*, wieczornym cieniem.

Zbierając myśli, signora poprosiła Isabellę o zdjęcia jej babki, która przed wielu laty przyjechała do San Francisco z młodym mężem, i dokumenty podrózne rodziny. Kiedy je wzięła do ręki, patrzyła na nie przez jakiś czas, chociaż Isabella nie miała pojęcia, czego tamta szuka. Twarz kobiety, w prostych wiktoriańskich ubraniach, broszka pod szyją w koronkowej bluzce, przyciągnęła uwagę starszej pani na długo.

– To Mimi, czarodziejka – powiedziała signora Angela, kiwając głową, i to nie było pytanie. – Zawsze uważałam, że pani słynna babka pochodziła z Lukki, tak jak moja rodzina, signora Moretti, ale widzę teraz, że jestem w błędzie – powiedziała dość enigmatycznie. – Jak jednak pokonać tę żalobę pani wnuczki? Teraz jestem niemal pewna. Zna pani takie powiedzenie, że dobry rodzic musi dać dziecku dwie rzeczy. Korzenie, by rosło, i skrzydła, by latało. Madeline Moretti musi wreszcie dokopać się do swoich korzeni, by znaleźć ponownie swe skrzydła. Może już pani mówiłam – dodała po chwili – że musi dotrzymać pewnych obietnic.

– Chce pani powiedzieć, że powinniśmy wysłać ją w podróż? Na takie jakby wakacje?

– Pyta pani, po jaki fortel sięgnąć? To nie ma w gruncie rzeczy znaczenia. Dokądkolwiek chce pani ją wysłać, ona i tak dotrze do miejsca,

w którym powinna być, czy zamierzenie, czy nie. – Signora Angela oddała Isabelli zdjęcie i powiedziała stanowczo: – Trzeba ją przeprowadzić wąskim mostem z powrotem w czas jej przodków. Wówczas odkryje, że Plejady już na nią czekają.

# 11

28 LUTEGO 1347 ROKU,  
SANTO PIETRO IN CELLOLE, TOSKANIA

W ciągu pięciu tygodni od przybycia signora Toscano i jego żony Jacquetta co nieco się o nich dowiedziała. Orientowała się lepiej niż siostrzenica – która nie uwierzyła w prawdziwość nazwiska – i odgadła raczej, bo powiedzieć jej tego nie miał kto, że młody mąż jest prawdopodobnie spokrewniony z rodziną Giovanniego Toscano, który zbudował jedną z najpiękniejszych *casa-torre* w mieście: słynną miejską rezydencję z bajeczną wieżą, elegancką i silną, o której opowiadano od czasów jej prababki, niemal sto lat temu. Wiedziała więc też, że jego gałąź rodziny pochodzi nie ze Sieny czy Florencji, jak pierwotnie podejrzewała, lecz z Volterry, miasta, które dobrze znała.

Pogratulowała mu przodka, człowieka znanego z gustu oraz inteligencji, a także dość niezwykłej kariery. Giovanni wiele lat pracował jako skarbnik nieślubnego syna Fryderyka II, cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Król Enzo Sardyński podobno był ulubionym dzieckiem Fryderyka, pomimo nieprawego pochodzenia. Podobnie jak jego ojciec był poetą i sokolnikiem. Jacquetta przypomniała sobie jednak, że biedny król ponad dwadzieścia ostatnich lat swojego życia spędził w niewoli u gwelfów bolońskich. Skarbnik, nie mogąc odmienić losu swego pana, wrócił do rodzinnego miasta, gdzie osiedlił swoją rodzinę i zbudował sobie wspaniały dom, z dbałością o bezpieczeństwo, jak przystało na takie niespokojne czasy.

Czy to ze skromności, czy z pragnienia zachowania anonimowości młody człowiek tylko skinieniem głowy potwierdził domysły Jacquetty, i nic nie powiedział. Ale jej to nie zdziwiło. Chociaż Giovanni Toscano był w Volterze znamenitym mężem i zostawił w spadku donacje dla kościoła



oraz budynki, które poruszyły wielu ludzi, jeden z jego synów jakieś trzydzieści lat temu popadł w niełaskę. Podobnie jak bystry ojciec, Fortino Toscano był ważnym obywatelem miasta i pełnił też funkcję podesty. Obsypany zaszczytami, wychwalany był za swoje miłosierdzie, mądrość i oddanie dobru obywateli. Po pewnym czasie jednak musiał rozdrażnić współobywateli, choć Jacquetta nie pamiętała jakim sposobem, i stracił stanowisko, a wkrótce całkowicie odebrano mu, i jego dziedzicom, prawo do piastowania urzędów publicznych. Jacquetta wiedziała, że Volterra jakieś pokolenie temu przestała należeć do stronnictwa gibelinów – popleczników cesarza – a przystąpiła do papieskiej partii gwelfów. Wraz z tą zmianą w życiu politycznym zyskała na znaczeniu spragniona władzy i ambitna rodzina Belforte. Z tą rodziną Jacquetta miała spore doświadczenie. Była pewna, że to wrogość gwelfowskich Belfortich zasadniczo przyczyniła się do upadku fortuny gibelinowskiej rodziny Toscano. Te właśnie, bolesne i zabójcze, rodziły trwałe konsekwencje, a w tej chwili – po wielu ich zwrotach życiowych, które dla Belfortich oznaczały całe lata niepowodzeń – gwiazda tej rodziny weszła ponownie i obsadzili każdy ważny urząd w mieście. Jacquetta odczuwała ulgę, że wychowuje Mię w pewnym oddaleniu od chwiejnych fortun w Volterrze, gdy rodzina Ottaviana Belfortego pozostaje u władzy.

Nie pamiętała dlaczego, ale wiedziała, że drugiemu z synów Giovanniego powiodło się lepiej. Była też córka, która przyjaźniła się z babcią Jacquetty. Bodajże Finapietra. Wydano ją za mąż bardzo dobrze – weszła do rodziny hrabiów z Pannoccheschich, tokańskich właścicieli ziemskich, których majątki rozpościerały się od Sieny do Pizy i przez *contado* z powrotem do Volterry. Który z braci był przodkiem jej gościa, nie pytała. Jeśli rodzina signora Porphyriusa zdecydowała się zająć handlem – jak wielu przedstawicieli szlachty i członków klasy wyższej robiło – to także ich sprawa. Dla Jacquetty nic nie znaczyło, czy na drabinie klas społecznych przesuwali się w górę czy w dół; czy teraz należeli do gwelfów czy do gibelinów; ani czy mieli hrabiów za kuzynów

stąd po Jerozolimę. Wiedziała, że go lubi – że podoba się jej jego cierpliwość i miłe spojrzenie, jego staranny sposób mówienia i oczywiste wykształcenie – i lubiła jego uroczą żonę. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ktoś tak skutecznie wyciągnął rękę do Mii. Dopóki potrzebowali zakwaterowania, za które młody człowiek płacił rzetelnie co tydzień, dopóty ona chętnie będzie ich gościć.

Jacquetta musiała dzisiaj wybrać świnie do ubicia i chciała pozbyć się Mii, która spędzała czas w solarze w olśniewającej obecności swojej nowej towarzyszki. Nie o to chodzi, że Mia nie przyjmowała do wiadomości konieczności zarzynania zwierząt w razie potrzeby. Chociaż serce miała miękkie, rozumiała, skąd się wziął piękny daniel na ich stole. Sama w razie konieczności stawiała do skubania drobiu. Ale ostatniego wieczoru Mia weszła nagle do pokoju Jacquet ty z łomoczącym sercem, w szczerzej udręce. Słyszała – wyjaśniły jej dłonie, choć w panującym mroku nie bez trudu – straszliwe wycie sowy. Wycie, jak psa, tak właśnie pokazała ciotce, i to ją przeraziło. Jak Toskania długa i szeroka wszyscy wiedzieli, że wycie sowy nocą to straszliwy znak. A więc dzisiaj rano Jacquetta wolała zająć się świnie, nie mając Mii za świadka.

Jakiś czas temu dzwony w opactwie obwieściły godzinę dziesiątą, a Jacquetta cicho zajrzała do solaru, ale nie znalazła ani jednej, ani drugiej dziewczyny. Weszła szybko po schodach, sprawdzić, czy siedzą może w małej bibliotece, ale tam też ich nie znalazła. Jeszcze jeden bieg schodów i już dojrzała je przez otwarte drzwi izby Mii. Pracowały razem, mieszając barwniki z farbą, by stworzyć projekt ogrodu roślin leczniczych. Usłyszała głos signory i zobaczyła, że Mia ćwiczy kształty samogłosek, uśmiechając się jak zwykle; tak więc machnęła ręką i zostawiła je. Porphyrius i Cesaré wzięli wóz i wybrali się do Chiusdino po sól i inne produkty, tak więc chwila ta idealnie się nadawała, by Jacquetta zeszła szybko po schodach i wraz z przebojową Albą udała się do chlewika wybrać świnie.

Ale gdy skręcała na podeście, usłyszała na kamieniach stukot

podkutych kopyt. Wydawało się, że minęło wiele dni, odkąd opuścili ich pielgrzymi czy inni goście, od tygodni pogoda większość trzymała na dystans. Coś jednak w tych dźwiękach – jakaś niecierpliwość i ostrzejszy niż zwykle głos, wzmożony przez krzyki mężczyzn – przykuło uwagę Jacquetty. Jakby odruchowo obejrzała się na schody, zawahała się, po czym szybko wróciła na dół, żeby zająć się przybyszami.

Pod nieobecność Cesaręgo sama otworzyła ciężkie drzwi wejściowe. Zaskoczyły ją stukot kopyt i butów oraz ogólny ruch i zamęt. Na podwórzu zebrało się czterech mężczyzn – czy raczej pięciu, jak zobaczyła po chwili – w ciężkich skórzanych opończach. Ich oddechy zamarzały w mroźnym powietrzu. Dwóch już zsiadało z wierzchowców. Biły od nich pośpiech i szorstkość, a silny zapach skóry sugerował, że mają za sobą ciężką i długą jazdę. Chłopak Loredany truchtem nadbiegł od stajni zadbać o konie, ale stwierdził, że wobec takiej ich liczby będzie potrzebował pomocy.

– Pan w domu, *monna*?

To pytanie zadał potężny jeździec na przedzie, a podziałało ono Jacquette na nerwy. Choć zasadne i na miejscu, i choć *monna* stanowiła grzeczny skrót od zwykłego zwrotu kierowanego do gospodyni: „madonna”, nie wiedzieć czemu, wywołało odpowiedź trochę obcesową:

– Ja jestem panem tego domu, signor – odrzekła chłodno. – Może nie w każdej części kraju to zwyczajne, ale tutaj tak.

Mężczyzna miał przy boku ciężki miecz i grube skórzane rękawice. Jacquetta uznała, że jest on raczej nadętym przedstawicielem pospólstwa niż szlachcicem, ale jego ton wobec niej zmienił się na nieco bardziej uprzejmy.

– Doskonale, madonna – rzekł. Podał wodze chłopakowi, nie patrząc na niego. – Przybyliśmy tu w sprawie zleczonej przez biskupa Volterry. Możemy wejść?

Jacquetta wiedziała, że odpowiedź „nie” nie byłaby mile widziana. Znowu się jednak zjeżyła, a na dodatek panujący ziąb też działał jej na

nerwy.

– Trochę mi się myli – odparła. – O którym biskupie mówicie, panie? Tym, który legalnie wciąż piastuje urząd, ale jakiś czas temu został przemocą z niego usunięty? Czy też o uzurpatorze czekającym na przejęcie władzy, który już jednak objął tę funkcję?

Mężczyzna spojrział na nią, mimowolnie wykrzywając wargi. Z tych pytań jasno wyzierały poglądy polityczne rozmówczyni. Że jednak czegoś od niej chciał, nie bez trudu wykrzesał z siebie dobre maniery.

– Przybywam z polecenia biskupa Filippa, *monna*. Nie od wygnanego Ranuccia. A co ważniejsze może, przysyła mnie gonfalonier oraz gubernator ludu Volterry.

– Te dwa urzędy piastuje jeden i ten sam człowiek, signor. – Jacquetta wciąż mówiła spokojnie. – Ale oczywiście, jeśli mogę coś dla was zrobić... – Przesunęła się na progu tak, by zrobić im przejście. Zrozumiała, że nie zaszkodzi odrobina pragmatyzmu. – Możecie wejść wy i wasi ludzie i ogrzać się trochę. Zaprowadzę was do paleniska w kuchni, jeśli nie poczujecie się urażeni. Dzięki temu nie będziecie musieli zdejmować butów.

Uśmiechała się serdecznie pomimo odoru koni, potu, skóry, moczu, który poczuła, gdy przybysze wchodzili do środka.

Ze swoich oprawionych w ołów szyb dwa piętra wyżej Mia patrzyła w absolutnym bezruchu. Śledziła ruchy mężczyzn i nasłuchiwała, co mówią. Nękana ciekawością, wreszcie nie wytrzymała i jak najdelikatniej, wstrzymując dech, uchyliła okno, tylko odrobinę. Dzięki temu słyszała stłumione głosy jednego z mężczyzn i ciotki – ale niczego konkretnego nie rozumiała. Jej oczy przeskakiwały ukradkiem od jednego do drugiego, gdy próbowała zrozumieć, w jakim celu przybyli. I nagle jej wzrok padł na najniższego z nich. Stał nieco na uboczu – brodaty i posepny. Z twarzy Mii natychmiast zniknęły kolory.

Zdradzając niepokój, gestem poprosiła signorę Toscano, by do niej dołączyła. Ale chociaż sama była zdenerwowana, reakcja towarzyszki

całkowicie ją zaskoczyła. Młoda kobieta jakby dostrzegła coś, co wprawilo ją w panikę, szarpnęła się do tyłu, tak aby nikt nie zdołał jej zobaczyć. Ręką chwyciła się za serce, a wyglądała na bledszą niż Mia.

– Przyszli po mnie – wyszeptała. – Tak mi przykro. To moja wina, ja ich na was sprowadziłam.

Mia spojrzała na nią, niepewna, jak zareagować. Chciała powiedzieć coś w swoim imieniu i też się bardzo zatroskała, ale odłożyła to na bok, by pocieszyć towarzyszkę. Chwyciła jej rękę i ścisnęła mocno, by wyrazić solidarność. Jednocześnie jednak wyrazem twarzy błagała o wyjaśnienie.

– Uciekliśmy – wyznała Mii przyjaciółka przyciszonym głosem, przyciągając ją blisko. – Dokładnie tak, jak powiedziała twoja ciotka. Nie podporządkowałam się władzy rodziców, postąpiłam wbrew ich woli. – Odprowadziła Mię od okna i dodała: – Teraz za dużo tu do wyjaśniania, ale jeśli mnie tu znajdą, konsekwencje będą straszliwe. Zabiorą mnie z powrotem do Volterry.

Mia chwyciła ją pewnie za rękę i pokręciła głową, by jej przerwać, by powiedzieć, że ma nie brać tego pod uwagę. Zebrała zdumiewające siły, teraz gdy signora Toscano znalazła się w potrzebie, i poprowadziła ją szybko w dół stromymi schodami, przez dolne piętro, aż do kryjówki we wnęce za półką z książkami, gdzie służebne przechodziły z komórki przy kuchni, by dostać się do pokoiów. Miała nadzieję, że to bardziej ostrożność niż rzeczywista potrzeba.

Usadziwszy mężczyznę w kuchni, Jacquetta wyjęła żelazny pogrzebacz z paleniska i zanurzyła go po kolei w kubkach piwa, które stały rzędem na stole jadalnym. Powietrze wypełniło się zapachem egzotycznych korzeni – nieco tłumiąc woń niespodziewanych przybyszów. Nie miała chęci gościć ich choćby pięć minut, tak bardzo nie lubiła człowieka, który ich przysłał. Wiedziała jednak doskonale, że lepiej zachować ostrożność, póki nie pozna charakteru ich misji.

– Cóż sprowadza was w taki dzień – spytała lekko – gdy pogoda w każdej chwili może się załamać?

Mówiła tylko do mężczyzny, który wcześniej odezwał się do niej – uznała go za dowódcę straży. Nikt inny nie zasłużył sobie na jej uwagę.

– Pogoda rzeczywiście nas wstrzymuje, *monna*, od tygodni. Mamy zagadkę do rozwiązania. Zniknięcie.

– Doprawdy? – Jacquetta patrzyła nieruchomo, nie zdradzając cienia emocji, choć przez jej umysł przemykały myśli szybkie jak błyskawice.

– To dziwna opowieść – ciągnął mężczyzna, popijając między zdaniami ciepły napój. – O młodej kobiecie, która bezwzględnie oparła się woli drogich rodziców...

– My tu przyjmujemy pielgrzymów, signor – rzekła spokojnie Jacquetta. – Udających się do Rzymu czy do Jerozolimy, przystających w drodze do sanktuarium Galgana. Nie mamy interesu ukrywać dzieci ani uciekinierów.

– Opacznie mnie, pani, zrozumiałaś. – Spojrzał na nią. – Nie sugeruję, że świadomie pomagacie takiemu przestępcy. Sprawdzamy tylko, od gościńca do gościńca, przy drodze z Volterry, czy aby kogoś nie wystrychnęła na dudka uczciwa powierzchowność dziewicy, której szukamy.

– O ile nadal jest dziewicą! – Jeden z grupy roześmiał się jowialnie, rzucając to zdanie ku uciechu pozostałych.

– Przestępcy? – Jacquetta szeroko otworzyła oczy. – Chcecie powiedzieć, że ta młoda kobieta, której szukacie, dopuściła się kradzieży? Ukradła chleb, by wyżyć? Czy też monety rodzinie?

– Możecie, pani, usiąść, jeśli chcecie – nalegał dowódca. – To opowieść, której powinnaś wysłuchać uważnie. – Ogromem swego ciała dominował w pomieszczeniu, gdy jedną nogę postawił na ławie, ale nadal stał.

– Proszę, usiądźcie. Jesteście zmęczeni. A mnie jest wygodnie. – Jacquetta nie pozwoliła, by jej mówiono, co ma robić, i stała dalej. – Ale wasza historia mnie zainteresowała. Czy jedna dziewczyna – dziewica, jak ją nazwaliście – ma tyle władzy, by pięciu silnych mężów, zbrojnych w miecze, wyciągnąć z domu? Co też ona zrobiła? – Po czym namyśliła się

ułamek sekundy i dodała: – Przed kim to chcecie nas ostrzec? Na kogo mam mieć baczenie na drodze?

Odezwał się niski, brodaty mężczyzna.

– Borykamy się tu nie tylko z siłą jednej dziewczyny, signora.

– Proszę wybaczyć moim ludziom, *monna* – rzekł dowódca, miażdżąc wzrokiem kamrata, który przerwał mu wydumany wywód. – Ildebrando się zapomina. Wiele godzin spędziliśmy w siodle i przeczesaliśmy liczne trakty w drodze z miasta.

– Przychodzicie, by mnie ostrzec, panie? – spytała Jacquetta.

– Młoda niewiasta, której szukamy, może nie być sama. Może być z kimś... z młodym człowiekiem z bardzo dobrego rodu.

– Pobrali się wbrew życzeniu swoich rodzin? – Jacquetta złagodziła ton, by jej sympatie były trudniejsze do odczytania.

– Przeciwstawiła się wszystkiemu, co prawdziwe, pobożne i sprawiedliwe na tym świecie. Odmówiła wstąpienia do zakonu, zgodnie z ustaleniami rodziców. I z jakiego powodu, *monna*?

– Może się zakochała, signor? – Głos Jacquetty nadal był łagodny, gdyż zdała sobie sprawę, że wszelki ślad lekceważenia świadczyłby przeciwko niej. – Czyż nie każdy powinien oddawać cześć zgodnie ze swoimi możliwościami? Wszak nie wszyscy mogą ślubować czystość. Inaczej ludzkość przestałaby istnieć.

– Młoda kobieta odmówiła wstąpienia do domu świętych sióstr, *monna*, ponieważ jest heretyczką!

– Waldenską czy katarką? – pytała.

Interesująca koncepcja, uznała. We włoskich miastach wciąż była jeszcze garstka katarów – tych, którzy mieli tyle ostrożności, by nie obnosić się ze swoimi przekonaniem i unikać konfrontacji. O ile wiedziała, dołączyła tu do nich jakaś resztką ich współwyznawców z Francji. Czy na tym polegała tajemnica signory Toscano? Czy wyznawała religię potępioną przez Jego Świątobliwość?

– To czarownica, *monna*. – Na twarzy dowódcy odmalował się gniew,

ale też odrobina strachu. – Jest w zмовie z diabłem, wierzcie mi. W jasną noc kilka tygodni temu siła nieczysta – zamieć, która dotknęła tylko jedno miejsce na grzbiecie w kierunku zachodnim od miasta, ale widziana była przez ludzi z miejskich bram – całkowicie zniszczyła dom jej rodziców i zabiła wszystkich, którzy się tam znajdowali.

– Wśród nich i mojego brata – rzekł ostro Ildebrando. – Przebywał tam, by strzec dziewczyny w noc przed jej procesem i niechybnym straceniem.

Na te słowa Jacquetta siadła, powalona napływem nieoczekiwanych uczuć.

Dowódca podjął swoją opowieść.

– Myśleliśmy, że dziewczyna zginęła, zgnieciona przez zawałone ściany, wraz z rodzicami i strażnikami. Ale – głęboko zaczerpnął powietrza – gdy pogoda się poprawiła, zaczęliśmy uprzętać rumowisko, i choć znaleźliśmy pozostałe ciała, ona jakby zniknęła. Śladu po niej nie ma. To czary!

– A młody mężczyzna, któremu dała słowo jakiś rok temu, wbrew pozwoleniu rodziców, także zniknął – burknął inny mężczyzna. – Aczkolwiek jego rodzice utrzymują, że po prostu wyjechał w interesach.

– Uważamy, *monna*, że ta kobieta ma w środku diabła i użyła sił nieczystych przeciwko swojej matce i ojcu, by wykraść wolność, nie bacząc, że kosztem ludzkiego życia. Trzeba jej unikać jako wcielenia zła i grzechu...

– ...w ciele świętej – karłowaty Ildebrando dokończył zdanie dowódcy.

Szeroko otwarte oczy Jacquetty i zdumione spojrzenie jasno wyjaśniały przybyszom, że jej wstrząs był szczery. Wstała, by dopełnić kubki resztką ciepłego korzennego piwa. Po chwili odezwała się powoli i bardzo ostrożnie:

– Przestraszyliście mnie... I rozumiem już wagę waszej misji. Będę wypatrywała owej dziewczyny. Jeśli dowiem się czegoś, co byłoby dla was przydatne, dam wam znać.

Posłała do stajni po konie i nikt już nic nie powiedział, aż wyprowadziła



przybyszów z powrotem na podwórze. Zawiał lodowaty wiatr i znowu, po raz pierwszy od wielu dni, w chmurach pojawił się zwiastun śniegu. Jacquetta się uśmiechnęła.

– Chyba w dobrej chwili ruszacie w drogę, panowie – powiedziała. – Macie z godzinę czy dwie, by dostać się do Sieny, zanim pogoda stanie się naprawdę groźna. A ja oszczędzę wam drogi do San Galgano i sama zajrzę do opactwa. Choć z tego co mówicie, to chyba ostatnie miejsce, do którego ona by się udała.

Ludzie i konie oddalili się truchtem dróżką w stronę drogi na Maremmę. Jacquetta obejrzała się na okno sypialni siostrzenicy. Nikogo nie zobaczyła. Zastanawiała się chwilę, czy pójść do gościa. Potem cofnęła się do środka po opończę, wyszła na lodowaty wichur i sama ruszyła do stajni.

Po kilku chwilach galopowała traktem nad rzeką, przez własny las, do sąsiedniego opactwa.

# 12

## MAJ 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

Ukośne promienie porannego słońca odbite od żółtych boków tramwaju padły na owinięty w celofan bukiet kwiatów, który niosła Maddie. Całe jej ciało zalało się złotym blaskiem, więc z czupryną ciemnych włosów wyglądała jak wściekła pszczoła. Wysiadła z tramwaju w zatoczce na Powell Street i ruszyła do sklepu Jimeny. Wczoraj wieczorem bliska łez, dzisiaj rano była wściekła jak diabli. Oto po raz czwarty w ciągu czterech miesięcy otrzymała wielki bukiet z Las Floritas. Zawsze kwiaty pojawiały się bez bileciku, a gdy Maddie dzwoniła do Jimeny spytać, od kogo pochodzą, ta odpowiadała wymijająco, choć grzecznie.

Maddie na pewno nie życzyła sobie, by w życiu osobistym ktokolwiek tak się jej narzucał. Miała dość. Już i tak musiała się borykać z ciśnieniem w pracy i z niemal duszącym tłumieniem w sobie ciągłej żałoby, co było wyczerpujące. Na użeranie się z tajemniczym wielbicielem nie miała już sił – bez względu na to, kim był. Księżę czy żebrak, oddany zwolennik czy stalker, kobieta, której serce wciąż było pęknięte, nie życzyła sobie jego awansów. Dzisiaj rano postanowiła z tym skończyć.

Słońce właśnie padało na front sklepu, gdy Maddie pędziła ku niemu ulicą. Jimena, w jasnym wodoodpornym fartuchu w impresjonistyczne maki i w długich gumowych rękawicach, wyciągała na chodnik stojaki z kwiatami.

– Jimeno, co pani mi chce zrobić? – zaczęła Maddie, a gniew okazał się silniejszy niż zwykła uprzejmość wobec osoby, którą naprawdę lubiła. – Od kogo to jest? – spytała niecierpliwie, machając bukietem. – Musi mi pani powiedzieć, nie żartuję. To nieczule i okrutne przysyłać takie niechciane romantyczne prezenty kobiecie, która tonie w smutku i czuje się całkowicie odizolowana od świata. Czuję się skonsternowana, że pani

bierze w tym udział.

Inna ludzka istota poczułaby się tym znieważona. Jimena jednak, niewprawna w żadnym języku goryczy czy urazy, spojrzała na wściekły cyklon, który właśnie nadciągnął, gotowa stawić mu czoło, i tylko się roześmiała.

– *No mates al mensajero* – powiedziała. – Czy jak wy mówicie: Nie strzelaj do posłańca. To nie ja jestem wielbicielem, który nie chce zostawić nazwiska, panno Maddie. Ja tylko sprzedaję kwiaty. A czemu pani się tak złości? Czy kwiaty nie są piękne?

Maddie, która tak długo dławiała uczucia, teraz poczuła się zaskoczona własnym rozemocjonowaniem. A niezłomna słodycz Jimeny – której chyba nie sposób było przemienić w zły humor – rozbudziła w niej wyrzuty sumienia. Nadal jednak była roztrzęsiona sytuacją.

– Och, Jimeno, oczywiście, że pani kwiaty są piękne. Ale ilekroć przychodzą, myślę, kto ich nie przysłał i już nigdy nie przyśle. Rozumie pani?

Jimena zorientowała się, że Maddie jest bardzo zdenerwowana, i objęła ją w pasie.

– *Si*, wiem, rzeczywiście. Ale co ja mam zrobić? To ten pani Gray wysyłał pani piękne róże już tyle razy i dał mi sześćset dolarów gotówką. Mówił, że muszę to trzymać w tajemnicy, bo on chce tylko poprawić pani nastrój, a nie wie, co pani powie. Mam pani wysyłać co miesiąc najlepsze kwiaty przez pół roku. Miałam nadzieję, że to panią uszczęśliwi, bo pani należy do ludzi wrażliwych na piękno kwiatów. Więc się zgodziłam. Przykro mi, że panią to zasmuciło.

Maddie spojrzała na łzę formującą się w jednym z pięknych brązowych oczu Jimeny i trochę zmiękła:

– Mam taki pomysł: może pani te kwiaty wziąć ode mnie i wysłać komuś innemu?

Wygrzebała z torebki mały długopis i notes. Zaczęła zapisywać nazwisko Nevy i adres szpitala.

– Dobrze liczę, że zostały jeszcze dwa miesiące?

Jimena kiwnęła głową.

– Pokryję koszty dostawy – ciągnęła Maddie – a mogą być niemałe, bo adresatka jest aż w Jose. Zrobimy tak? – Zapisała jeszcze jedno nazwisko, nie podnosząc wzroku na Jimenę, i dodała: – Może pani w przyszłym miesiącu wysłać bukiet do Marilu Moreno na ten adres, a lipcowy do Samantha na adres mojego biura? Ona okazała mi dużo cierpliwości, odkąd straciłam Chrisa.

Jimena patrzyła nieufnie.

– Señorita Maddie, to mi może przysporzyć wielkich kłopotów z takim ważnym klientem jak pan Gray.

– Jimeno, proszę zrozumieć, ile to mi sprawia bólu. Proszę, żeby mi go pani oszczędziła. Nie musimy nikomu mówić. Niech pani napisze na nich moje nazwisko, jeśli pani chce, żeby adresatki wiedziały, od kogo te kwiaty dostają. Gdyby pani wiedziała, na ile te kobiety zasługują, na o wiele więcej niż kwiaty, a Pierce Gray odgrywa znaczną rolę w ich osobistych problemach i strapieniach. – Maddie uznała, że lepiej nic więcej nie mówić.

Twarz Jimeny się rozjaśniła, gdy dziewczyna uświadomiła sobie, że zrobi coś, co ucieszy jedną z jej ulubionych klientek.

– *Si, claro.* I proszę się nie przejmować kosztami dostawy. Enrique je podrzuci po drodze na naszą farmę, bo musi tam jeździć dwa razy w tygodniu.

Podczas gdy Maddie kończyła rozpiskę do kwiatów, Jimena zajmowała się wykładaniem fajansowo niebieskich ostrózek na zewnętrznym stojaku i obracaniem sąsiednich roślin na wszystkie strony, tak aby kwiaty jak najlepiej prezentowały się przechodniom. Łodygi fuksji i białych cętkowanych kamelii w artystycznym nieładzie tłoczyły się obok soczyście czerwonych róż, tworząc wizualną doskonałość. Potem kwiaciarka się wyprostowała, by spojrzeć na Maddie. Z wysokiego wazonu przy drzwiach wyjęła jeden egzotyczny kremowy kwiat. Roztaczał intensywny zapach,

który przyzywał przechodniów z chodnika. Podała go porannemu gościowi.

– Ten jest taki wyjątkowy, Maddie. Mam nadzieję, że przyjmie go pani ode mnie?

Maddie powąchała kwiat i zamknęła oczy.

– To coś jakby z raju, Jimeno. Co to jest i skąd pani bierze te nadzwyczajne rośliny?

– *Es bonita, verdad?* – odparła Jimena. – To tuberoza. Pochodzi z Dalekiego Wschodu, ale teraz, późną wiosną, hodujemy ją na farmie. Może któregoś dnia przyjedzie je pani obejrzyć? I mogę panią ugościć wspaniałym jedzeniem i kieliszkiem wina. Możemy tam wyhodować niemal wszystko, jeśli dobrze to zaplanujemy. Chroni nas święty Agrykola z Awinionu. On sprowadza dla mnie deszcz, zwłaszcza jeśli o niego poproszę. Czasami podczas suszy, rzecz jasna, nie daje rady. Dlatego łapiemy, co nam zsyła, przechowujemy zapasy deszczu w wielkich zbiornikach, które pobudowaliśmy. Mój dziadek mówi, że na placach miejskich w Hiszpanii i we Włoszech funkcjonowały takie starorzemiejskie studnie. Tak właśnie nawadniamy w porze suchej. Mamy dużo szczęścia, bo prowadzimy niewielką rodzinną firmę. Kiedy czasy są ciężkie, pracujemy więcej, mniej płacimy, i tak to idzie. Wielkie firmy muszą po prostu zwalniać pracowników.

Maddie uśmiechnęła się na deszczowego świętego Jimeny. Czemuż jej to nie zaskoczyło? Ale że wołała w tej chwili nie wdawać się w długą dyskusję o uprawie kwiatów, powiedziała:

– Z rozkoszą przyjadę popatrzeć pewnego dnia, tak, oczywiście. Ale teraz muszę lecieć do pracy, bo się spóźnię.

Z aktówką i tuberozą w ręku już prawie wyszła, gdy Jimena ją zawołała.

– *Ah, una cosa mas* – powiedziała. – Zapomniałam pani powiedzieć, señorita Maddie. Pani piękna orchidea, Paloma<sup>[3]</sup>, tak ją nazwałam, bo ma gołębi kolor, jest teraz bardzo szczęśliwa! Posadziłam ją z innymi roślinami, które są jej przyjazne, i potroszczę się o nią jeszcze trochę,

dobrze? Powoli już odżywa, ale ciągle potrzebuje być z przyjaciółmi *un poco mas de tiempo* – jeszcze trochę. Pewnego dnia, niedługo, wróci do pani.

Maddie nie mogła wydusić słowa. Zagryzła tylko wargę i uściskała Jimenę. Z jej ust dobyło się cichutkie „dziękuję” i Maddie wyszła szybko.

– *Adios, señorita Maddie.* – Jimena się uśmiechnęła i pomachała jej. Potem lekko obróciła się na palcach i w ślad za nowym klientem podążyła do środka kwiaciarni.

Myśl o storczyku nie opuszczała Maddie całą drogę do pracy, otwierając małe miejsce w jej sercu, puste od miesięcy. O dziewiątej siedziała, patrząc na stojący na biurku egzotyczny kwiatek – który zamieszkał w buteleczce po wodzie Perrier – i styropianowy kubek zimnej latte. Kawę wzięła na wynos po drodze, na Market Street, mając umysł i ręce zbyt zajęte, by ją wypić na miejscu. Może powinnam ją wyrzucić, myślała, i zabrać się do pracy. Ale zupełnie nie czuła się na siłach.

Wyciągnęła rękę, by sprzątnąć kawę, i wtedy zadzwoniła jej komórka. Maddie zerknęła na wyświetlacz: „Numer nieznany”. Otworzyła telefon nieufnie.

– Halo?

W końcu rozpoznała głos po drugiej stronie, ale dopiero po chwili. Nie tego głosu oczekiwała. Tylko kilka osób spoza kancelarii używało numeru jej komórki, a wszyscy należeli do rodziny lub kręgu bliskich przyjaciół. Skąd on wziął ten numer?

Głos na drugim końcu linii był władczy: czysty tenor, kalifornijski.

– Mam dwa bilety na operę w następną niedzielę. Myślałem, że potem moglibyśmy zjeść kolację.

– Sezon operowy zaczyna się dopiero w czerwcu – odpowiedziała nieufnie. – Ale i tak to bardzo miło z twojej strony, dziękuję. Niestety, jestem zajęta. – Zawahała się ułamek sekundy, po czym dodała: – Mam mnóstwo pracy.

Głos nalegał.

– Wiem, że Opera House jest zamknięta. Przedstawienia można też jednak oglądać w innych miejscach. Zdaję sobie sprawę, że jesteś bardzo zajęta, ale podobno uwielbiasz operę. Chyba to więc idealny prezent przedurodzinowy.

Maddie, choć zirytowana, trochę też chciała się dowiedzieć, jak wielki człowiek poradzi sobie z kalendarzem. Siły olbrzyma, pomyślała. Irytacja jednak zwyciężyła, więc Maddie podała kolejną, mocniejszą wymówkę.

– Cóż, to intrygujące, ale poczyniłam już inne ustalenia, których nie mogę zmienić.

– Tak. Praca. Wspomniałaś już. Na pewno jednak nie pracujesz we wszystkie niedziele, prawda?

Maddie się skrzywiła. Została przyłapana na rozbieżności pomiędzy pierwszą a drugą wymówką.

– Umówiłam się z kolegą i byłoby niegrzecznie... – próbowała nadrobić.

– Bzdura – przerwał jej szybko.

Ten ton zdradzał charakterystyczne nastawienie kogoś, kto nie był przyzwyczajony, że się go zbywa. Na przekór sobie Maddie w duchu poczuła fascynację jego szybką reakcją.

– Oboje wiemy, że konstruktywne pół godziny ze mną byłoby, a przynajmniej mogłoby być zbawienne dla twoich spraw służbowych. I postanowiłem się z tobą czymś podzielić. To w interesie wszystkich, żebyś się ze mną spotkała. A towarzyski aspekt tego wydarzenia na pewno ci się spodoba, zapewniam.

To było jak grom z jasnego nieba. O co mu chodziło? Czy to możliwe, że zamierza ją wybadać, by złożyć jakąś propozycję *ex iudice*?

Głos przeszedł w chłodny tenor.

– Madeline, za tydzień twoje urodziny. To będzie przygoda. Ostatnio życie nie obchodziło się z tobą najlepiej, ze mną zresztą też. I myślę, że moglibyśmy zaznać odrobiny radości. Chcę z tobą coś omówić, ponieważ uważam, że jesteś na tyle bystra, żeby dostrzec sens w tym, co myślę. I podam argument ostateczny: twoja ulubiona opera to *Cyganeria*,

prawda? I na to właśnie mam bilety. No, czy ani trochę nie jesteś skłonna dołączyć do mnie?

Maddie zaniemówiła. Targały nią przeciwstawne uczucia gniewu, fascynacji, zaskoczenia i nawet po części próżności. Ale zwycięzcą została ciekawość. Maddie chciała się dowiedzieć, co Gray ma na myśli pod pojęciem „spraw służbowych”.

– Tak, owszem – powiedziała, nie chcąc zdradzać żadnych emocji.

– Doskonale. Mój wóz odbierze cię z domu o dziewiątej w niedzielę rano. Czyli trzynastego.

Maddie zbiło to z tropu.

– To chyba wcześniej.

– To nie jest wieczorne przedstawienie. A mówiłem inaczej? Dziewiąta. Miłego weekendu.

Rozłączył się. Maddie siedziała zdumiona. Na co ona się zgodziła? Czy to był konflikt interesów?

Ależ ze mnie idiotka – pomyślała. Najpierw odmawiam przyjęcia kwiatów od tego człowieka, a potem przyjmuję zaproszenie na operę? Jakim cudem właśnie zgodziłam się spędzić czas w towarzystwie Pierce’a Graya? I czy muszę o tym mówić Samancie?

Te pytania nie opuszczały jej przez resztę tygodnia, a ona nie zrobiła nic, by odwołać spotkanie albo porozmawiać z szefową, albo chociaż głębiej zastanowić się nad swoją głupotą, i gdy w niedzielny poranek rozległ się dźwięk dzwonka, była gotowa do wyjścia. Prostą koronkową kremową sukienkę, która przyciągała uwagę do jej zbyt szczupłej talii, zestawiała z gładkimi butami i torebką, a także dobraną kolorystycznie paszminą. Nie wiadomo bowiem było, czy dzień będzie gorący czy zimny. Włosy upięła luźno, żeby prezentowały się zarówno skromnie, jak i odpowiednio do opery, i niemal się roześmiała do swojego odbicia, czując, że osiągnęła wygląd w sam raz na popołudniową herbatkę w epoce wiktoriańskiej. Nie miała pojęcia, czy to, co ma na sobie, jest strojem odpowiednim, ale pocieszała się świadomością, że to naprawdę nie ma znaczenia.



– Już schodzę – powiedziała do domofonu.

Otworzyła szklane drzwi prowadzące na ulicę i poczuła powiew idealnego wiosennego powietrza. Promienie słoneczne powoli zaczynały rozgrzewać ziemię. Usłyszała śpiew ptaka, a gdy spojrzała w bok, stwierdziła, że poranni żeglarze już wypłynęli na wody zatoki. Jaka szkoda, że w taki dzień nie umie wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu. Spojrzała na ulicę, spodziewając się zobaczyć Pierce' a Graya w jakimś kabriolecie, ale przed wejściem do jej budynku stał elegancki czarny czterodrzwiowy mercedes. Szofer w marynarce, ale bez krawata, czekał na nią przy tylnych drzwiach.

– Panno Moretti – powiedział grzecznie.

Maddie zauważyła, że to nie jest pytanie.

Kiwnęła głową i podeszła do otwartych drzwi, które przytrzymał.

– Zapowiada się kolejny piękny dzień – dodał szofer pogodnie.

– Chyba tak – zgodziła się. Padła na siedzenie i zaczęła szukać w torebce okularów przeciwsłonecznych. – Od tygodnia jest trochę za gorąco. Ale wydaje mi się, że nadchodzi zmiana – zasugerowała, nie wiedząc, co mówi.

– Mam nadzieję. – Szofer upewnił się, że nie przytrząśnie jej sukienki, i zamknął delikatnie drzwi. Wsiadając na swoje miejsce, dodał: – Przydałby się lekki wiaterek.

Maddie usadowiła się w klimatyzowanym wnętrzu.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– Och, przykro mi, proszę pani. Pan Gray zakazał mi cokolwiek mówić. Ma nadzieję sprawić pani niespodziankę. Proszę siedzieć wygodnie i cieszyć się widokami. Droga zajmie nam jakieś pół godziny, a potem wszystko stanie się jasne.

Samochód skierował się na południe, na krótką szosę 101 w kierunku San Jose, co oznaczało, że jej pierwotna koncepcja – obstawiała, że zorganizował niewielkie prywatne przedstawienie na własnych trawnikach w Napa – jest błędna. Och, cóż, pomyślała, nie jest aż tak

wytworny. Najwyraźniej coś na nich czekało w Jose. Ale ku jej zmieszaniu skręcili na drogę 380 i potem na obwodnicę lotniska, podążając północną drogą dojazdową. Zatrzymali się przed terminalem prywatnych lotów czarterowych.

Gdy szofer otworzył drzwi, powiedział:

– Jeśli pójdzie pani prosto do recepcji, panno Moretti, i powie, że dołącza do pana Graya, pokażą pani, gdzie iść. Ja zobaczę się z panią wieczorem. Czeka panią wspaniały dzień.

Maddie wysiadła z auta i ruszyła do przeszklonego budynku. Odetchnęła głęboko. Zastanawiała się znowu – nie po raz pierwszy – co robi. Czy musiała zachować daleko posuniętą ostrożność? Czy też zachowywała się z niezależnością właściwą biznesowej dojrzałości – chciała dowiedzieć się, co myśli druga strona?

Zsunęła okulary na głowę i nacisnęła klamkę. W recepcji Pierce Gray rozmawiał z drugim mężczyzną w bladokremowym letnim garniturze. Pierce miał na sobie lekki granatowy blezer i flanele, a Maddie musiała przyznać, że wygląda jak uosobienie niezobowiązującej elegancji. Stroju dopełniały niezwykle jasnozielony, niemal niebieski jedwabny krawat i dwubarwne buty. Kwiatek w butonierce stanowił interesujący akcent dopełniający, a cały strój idealnie pasował do jego niezbyt imponującej sylwetki.

Wyciągnął rękę.

– Wyglądasz pięknie, Madeline. Bardzo dziękuję, że przyjechałaś. W pojedynkę nie miałbym żadnej przyjemności z opery.

Mówiąc to, poświęcał jej całkowitą uwagę. Pomimo krytycznego nastawienia uznała, że jego słowa brzmią szczerze.

– To nasz prawnik, Gordon Hugo. Znacie się?

Maddie pokręciła głową.

– Był tak miły, że podrzucił mi pewne dokumenty, ale nie jedzie z nami – dodał Pierce.

Lekko uściśnęła dłoń podaną przez prawnika.

– Myśmy się chyba już poznali, panno Moretti – rzekł.

– Nie pamiętam.

Zastanawiała się, czy mężczyzna kłamie. Jego twarzy, z obwisłymi policzkami i nieco dziobatej, na pewno by nie zapomniała. Wysoki, z grzywą kręconych siwiejących włosów, pod oczami miał ciemne worki. Maddie wiele razy o nim słyszała: niejednokrotnie dzwonił do kancelarii, próbując negocjować z różnymi jej przedstawicielami. Szanowano go jako bystrego, ale konfliktowego.

– Innym razem przypomnę pani o tamtej okazji, a teraz pani nie zatrzymuję.

Mówił to tylko do niej, co jej się wydało dość niemiłe.

– Ja się zbieram, Pierce – dodał nagle. – Cieszę się, że znowu panią spotkałem. – I zwrócił się do szefa: – We wtorek przyjadę do ciebie do Napa, około południa, jeśli ten termin nadal ci pasuje.

– Nadal mi pasuje – odrzekł Pierce.

Patrzyli, jak odchodzi, a Maddie zaczęła coś mówić. Pierce jednak podniósł rękę dość tajemniczo.

– Chodź. Zaraz wszystko się wyjaśni.

Recepcjonistka poprowadziła ich przez budynek aż do punktu kontrolnego, a potem do końca drogi kołowania. Stał tam mercedes klasy M z otwartymi drzwiami, a przy nim szofer z pilotem i stewardesą w mundurze pogrążonymi w rozmowie. Maddie i Pierce' a Graya poprowadzono do tylnych drzwi, podczas gdy pilot, stewardesa i szofer wsiedli z przodu. Ruszyli wzdłuż długiej linii lśniących prywatnych odrzutowców.

– Dzień dobry, panie Gray – odezwał się pilot. – Wybrał pan piękny dzień. Wygląda na to, że całą drogę będziemy mieli czyste niebo. Drugi pilot, Richie Mayes, już jest na pokładzie i przygotowuje się do lotu. Panno Moretti, bardzo nam miło, że dzisiaj pani do nas dołączyła. Lot powinien potrwać mniej więcej godzinę czterdzieści minut, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

– Dziękuję, Jeff – odezwał się z tyłu Pierce. – Madeline, może chciałabyś się przywitać z kapitanem Jeffersonem Sandsem. Studiował bodajże astrofizykę. Ale teraz pracuje dla mnie.

Wszystko jasne, pomyślała Maddie.

– Witam pana – odezwała się, a pilot uśmiechnął się do niej szeroko ponad oparciem fotela. – Zrezygnował pan dla nas z niedzieli – dodała.

– Ależ to żaden problem – odrzekł mile. – To nasz personel pokładowy, a jednocześnie moja żona, Cat.

– Witam państwa. – Kobieta również sprawiała wrażenie, jakby w niedzielę nie miała nic innego do roboty. – Chyba mamy wszystko, o co pan prosił. Kiedy już się znajdziemy w powietrzu, przygotuję śniadanie. Na miejscu dzisiaj dzieje się coś specjalnego?

– Panna Moretti i ja udajemy się na pielgrzymkę, Cat. – Pierce zerknął na Maddie i dodał: – *Hic locus est*.

Maddie zaskoczyło łacińskie zdanie: „Oto miejsce”. Pamiętała, że miało oznaczać miejsce wyjątkowe, gdzie trzymano coś symbolicznego, w czym człowiek chciał uczestniczyć. To sobie przypominała ze swoich studiów o rozwoju prawa w średniowieczu. W szerszym kontekście, pomyślała, odnosiło się to do świątyni, gdzie trzymano szczególne relikwie. Tu jednak wyrażenie zabrzmiało osobliwie.

Pierce mówił coś do Cat, gdy mijali drugą flotyllę niewielkich prywatnych samolotów.

– Dzisiaj pielgrzymka zapewni nam leczenie odległością. – Uśmiechnął się.

Maddie pomyślała ubawiona, że dzień może się okazać jeszcze bardziej interesujący, niż sądziła.

Skreśli w lewo i zatrzymali się przy lśniącym dwusilnikowym odrzutowcu w barwach firmy Stormtree Components.

– To jedna z naszych maszyn – gulfstream V – wyjaśnił jej Pierce, gdy wysiedli z mercedesa.

Załoga naziemna wysunęła już trap i otworzyła drzwi, a Jeff wsiadł

pierwszy. Cat pomogła Maddie i Pierce'owi, a potem zasunęła za sobą drzwi, gdy silniki zaczęły budzić się do życia.

Maddie obiegła wzrokiem eleganckie wnętrze, wspaniale wyposażone, z kuchnią w ogonie i trzema wydzielonymi sektorami siedzeń. W jednym z nich z foteli można było chyba zrobić łóżka, a pozostałe dwa sektory tworzyły sale konferencyjną i rekreacyjną. W każdym stały stolik i cztery luksusowe skórzane fotele w odcieniach kości słoniowej.

Pierce gestem zasugerował, że Maddie może usiąść, gdzie chce.

– Jesteśmy jedynymi pasażerami, więc wybieraj.

Wybrała miejsce przy oknie, a on, ku jej zdumieniu, siadł przy oknie po drugiej stronie. Może nie chciał się narzucać, w każdym razie było to miłe i nieoczekiwane.

– Choćbym nie wiadomo ile latał, zawsze oglądałem start. To nieracjonalne, ale dzięki temu czuję, że wszystko musi się udać. – Uśmiechnął się do niej, a potem odwrócił się do okna, gdy samolot manewrował na pasie.

Maddie uśmiechnęła się pod nosem. Pomyślała, że Pierce Gray ze swoim strachem i przerośniętymi zabawkami trochę przypomina gorliwego chłopca. Potem sobie przypomniała Marni Van Roon sugerującą, że Pierce może mieć też miłe oblicze, i zastanawiała się, czy właśnie ma możliwość je oglądać.

Maddie zaczęła się odpręzać, gdy samolot wjechał na pas. Zamknęła oczy i poczuła, jak maszyna z wdziękiem wzbija się w niskiej mgłę często spowijającej San Francisco poniżej płynących po niebie złotych chmur. Gdy samolot się wznosił, zobaczyła wyraźną linię uskoku San Andreas, linię graniczną pomiędzy światami. Pewnego dnia, powtarzał jej ojciec, uśmiechając się absurdalnie, za rok albo za tysiąc lat, całe wybrzeże zsunie się do morza. „Żyjemy jak nasi przodkowie wychowani na Wezuwiuszu” – mawiał filozoficznie.

Wolałaby, żeby ten cudowny dzień przydarzył się jej z innym mężczyzną niż siedzący po drugiej stronie, ale może – jak zapewne

wiedzieli mieszkańcy San Francisco – o krok od niebezpieczeństwa, w poczuciu zagrożenia żyło się mocniej. A może dzisiaj dowie się czegoś zaskakującego? Czują, że nie ma nic do stracenia. Trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu czy spacer przez Pola Flegrejskie – ona nie ma się czego bać. Ile ryzykuje osoba, której ścieżka życiowa została tak nagle przerwana? Niech wiatr trochę poczochna mi włosy, postanowiła, i zobaczymy, czy to cokolwiek zmieni.

Samolot wrócił do Napa County Airport, a nie do San Francisco, a przy lądowaniu Pierce pomógł Maddie wsiąść do tego samego samochodu, który przywiózł ją rano.

– Zadzwoń do ciebie za jakiś tydzień, dam ci czas. Dziękuję, że dotrzymałaś mi towarzystwa. To był niezapomniany dzień.

Maddie też mu podziękowała, zapewniając, że cała przyjemność po jej stronie. Podał jej tylko rękę, nawet nie nadstawił policzka do pocałunku. Boże, pomyślała, albo jest w tym taki świetny, albo naprawdę bardziej skomplikowany, niż sędzę.

Gdy zamknęły się drzwi, zastanawiała się, co odmieniło Pierce'a a Graya. Przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie kilka lat temu – zanim poszła na studia podyplomowe. On odbierał nagrodę w Berkeley, gdzie ona studiowała i pracowała w gazetce uczelnianej. Od razu ją powiązał z ojcem i śliczną siostrą, i flirtował tak czarująco. Zaprosił ją na popołudniowe przyjęcie na jachcie, co dowodziło jego śmiałości, bo był sławny i akurat do wzięcia. Wtedy wywarł na niej zupełnie inne wrażenie. Wydawał się arogancki, zbyt pewny siebie i swojego uroku, a wspomnienie tamtej imprezy, nadzwyczajnej lawiny wydarzeń, które ich do siebie gwałtownie zbliżyły, nadal przyprawiało ją o zdenerwowanie.

Gdy jej samochód odjeżdżał, patrzyła, jak Pierce niczym dwudziestolatek przeskakuje przez ogrodzenie i kieruje się do sportowego wozu czekającego na parking. Jej samochód przystanął pod sygnalizacją, więc widziała, jak w aucie Pierce'a włączają się światła, a potem rusza ono w przeciwnym kierunku. Przed dziesiątą, zgodnie z obietnicą, dotarła do

domu.

Całą drogę siedziała w milczeniu, a kierowca szanował jej prywatność, ale teraz, otwierając drzwi, spytał:

– Miło spędziła pani dzień, panno Moretti?

– Tak. Dziękuję, było uroczo. – Co prawda zakładała, że jej słowa dotrą do szefa, ale i tak nie kłamała.

Obróciła klucz w zamku, rzuciła szal i torebkę na stół przy drzwiach i od razu ruszyła do szafki kuchennej. Tu przechowywała przysmaki, które nie doczekały się przyjazdu Chrisa. Otworzyła nieotwartą butelkę whisky Single Malt, kupioną dla niego kilka miesięcy temu, i w ułamku sekundy ją rozpieczętowała. Wyjęła szklanekę i nalała sobie spory łyk.

Maddie nie przepadała za whisky. To był ulubiony trunek Christophera – ona wolała wino – ale dzisiaj jej myśli pogrążyły się w chaosie. Upiła łyk płynu i poczuła, jak pali jej gardło. Wzięła ze sobą butelkę i przeniosła się do szklanego stolika, gdzie padła na wielki fotel. Chętnie by z kimś porozmawiała. W takich chwilach nieobecność Christophera powodowała fizyczny ból, bo potrzebowała jego chłodnego umysłu, by przeanalizować z nim miniony dzień. Straciła nie tylko ukochanego, lecz także najlepszego przyjaciela i najmądrzejszego doradcę. Szkocka nie mogła go zastąpić, ale chociaż jej się z nim kojarzyła.

Nastawienie Barbary do Pierce'a było jednoznaczne, pewnie uzasadnione, ale i jednowymiarowe. Maddie przełknęła kolejny łyk i w ramach ćwiczenia wyobraziła sobie stanowisko siostry. Powiedziałyby, że Pierce ma jeden cel: wykorzystać Maddie w każdy możliwy sposób, dowiedzieć się, co jej kancelaria ma na niego, potem przekonać jej szefów, że nie mają szans z nim wygrać i powinni odpuścić. W takim scenariuszu Maddie byłaby doskonałym pośrednikiem, a wprawny Pierce namąciłby jej w głowie tak, by wypaść korzystnie. I, dodałyby pewnie Barbara, gdyby zdołał przy okazji uwieść samą Maddie, to czemu nie?

Isabella służyła wnuczce za podporę i rozumiała każde niewypowiedziane słowo jej cierpienia, ale chociaż zawsze leżało jej na

sercu bezpieczeństwo Maddie, po prostu by nie zrozumiała implikacji wynikających z jej znajomości z Pierce'em, nie zdołałaby nic jej doradzić. A jej ojciec – niezaprzeczalnie wyjątkowo bystry i mądry człowiek – był za bardzo powiązany z Grayem, by zdobyć się na obiektywizm. Choć w każdej dyskusji starałby się zachować sprawiedliwie, nic by mu nie powiedziała o sprawie, którą prowadzi Harden Hammond Cohen przeciwko Stormtree, a gdyby to z kolei zrobiła, zachowałaby się nieuczciwie i nieprofesjonalnie. Tak więc wszelka rozmowa z ojcem musiałaby zawierać niedopowiedzenia, a zatem ojciec nic by jej nie mógł doradzić.

Naturalnie miała też Samanthę. Niewielu ludzi Maddie szanowała bardziej niż swoją szefową, ale już i tak ją trochę niepokoiło, że kwestia znajomości i powiązań rodzinnych z Pierce'em jest niejasna. Wiedziała, że musi przemyśleć głęboko wszelkie konsekwencje.

Trzymając w dłoni szkocką, wstała i przez drzwi balkonowe wyszła w łagodną noc. Teraz czuła zmianę pogody – może dalekie szczekanie psów wydawało się dziwne, a może to leciusienka bryza – ale ciągle było na tyle ciepło, by ten wieczór uchodził za początek lata, niemal miesiąc wcześniej, niż przewiduje kalendarz. Wyjęła grzebień z włosów i potrząsnęła nimi, żeby się rozpuściły, a wietrzyk okazał się na tyle silny, że potargał kilka pasm. Oparła się o poręcz i patrzyła w niebo w zamyśleniu, analizując miniony dzień.

Czy nadal uważa, że jej pierwsza myśl była słuszna – że Pierce próbuje tylko ją uwieść? Zawsze go kusiły kobiety trudne do zdobycia: i owszem, choć niezamierzenie, ona się do nich zaliczała. W wielkim kalifornijskim stawie pływało jednak tyle superatrakcyjnych ryb. Czy on akurat dla niej dokładałby tylu starań?

Musiała przyznać, że jako organizator rozrywek był świetny, chociaż w nastroju, jaki miała, tego rodzaju gesty jej nie imponowały. Mimowolnie jednak schlebiało jej to wszystko. Samochody i ludzie na nią czekający, zwracający się do niej z szacunkiem, wszystko gładko zorganizowane od



porannego przyjazdu po nią po powrót z Seattle. I wspaniała – nawet jeśli trochę niedoskonała – inscenizacja *Cyganerii* Pucciniego, po której nastąpiła wczesna kolacja w Volterze, restauracji w prawdziwie toskańskim stylu. Zdaniem Pierce’ a najlepszej na Zachodnim Wybrzeżu. Potem zaś z powrotem na lotnisko i do domu. A wyskoczyli tylko do opery!

Pierce przeproszał, że nie miał pojęcia, jaka będzie inscenizacja, ale się śmiał. „Optymistycznie patrząc, skoro Seattle Opera ma piękną nową siedzibę w centrum miasta, obejrzymy przy okazji stylową lokalizację, o której wszyscy mówią”.

Maddie zapewniła go, że tak czy owak uwielbia Pucciniego bez reszty, zna muzykę oraz libretto większości jego oper. Ale bardzo ją ucieszyło, a zarazem zdumiało, że Pierce też je zna. Nie liczyła na to – nie miała pojęcia, że on rzeczywiście się interesuje operą.

Gdy pomyślała o samym przedstawieniu, znowu poczuła powiew. Boże, tak, uwielbiała muzykę, a przedstawienie ją oczarowało. Jak zawsze partia solowa *Si, mi chamiano Mimi* przyprawiła ją o dreszcz, niemal doprowadziła do łez. Normalnie z przyjemnością by je uwolniła. Zauważyła, że Pierce’a to cieszy, ale do samego przedstawienia podchodzi bardziej krytycznie niż ona. W przerwie, nad szampanem, wyjaśnił, że większe opery w Seattle mają podwójną obsadę, tak aby można było dawać przedstawienia przez czternaście dni z rzędu, i on przeprosza, że śpiew tej drugiej obsady nie okazał się tak dobry jak on, Pierce, przewidywał.

Przy kolacji był bardzo zabawny. Jego zdaniem sopranowi daleko było do zabiedzonego wyglądu właściwego dla Mimi, ale przez większość pierwszego aktu jej głos wydawał się zbyt ostry i odrobinę rozstrojony. „Błąkała się po niektórych pasażach, bez powodzenia szukając melodii” – chichotał. I miał rację, rzeczywiście, w dodatku defekt ów uwidaczniał się w partiach śpiewanych przez sopranistkę z Rodolfem, którego występ oboje uznali za genialny. Rozkoszując się kieliszkiem vernacci i czując się, o dziwo, w swoim żywiole, Maddie podjęła pełną zapału obronę

przedstawienia, wskazując, że Mimi śpiewała melodyjnie w trzecim akcie i że każdy artysta miał parę słabszych momentów. Pierce odparował sugestią, że solistka śpiewała za głośno, do tego stopnia: „No, nie powinna iść w zawody z orkiestrą!”.

Oboje się roześmiali. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu Maddie zdała sobie sprawę, że jeszcze potrafi to robić. Wstrząsnęło to nią.

– Następnym razem na Pucciniego zabiorę cię do Lukki, prawdziwej ojczyzny muzyki.

Maddie spojrzała na niego zaskoczona.

– No, to zabrzmiało trochę surrealistycznie. Moja praprababcia miała na imię Mimi, wiesz? I przyjechała do San Francisco z Lukki.

Po czym zdumiała ją jego odpowiedź:

– Tak, wiem. Twój ojciec mówił, że przyjechała wraz z mężem w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku i była bardzo słynną i uwielbianą sopranistką. On jej akompaniował, tak?

Maddie powoli kiwnęła głową, niepewna, co o tym sądzić.

– Oboje od początku byli zaangażowani w operę, i tak już zostało. Dziadek raczej uczył, niż występował. Ale ja nigdy nie byłam w Lukce, z której pochodzili.

– No to naprawdę musimy się tam wybrać któregoś dnia – rzekł i zakończył tematy osobiste, zanim Maddie poczuła się niezręcznie.

Tak się odprężyła i tak dobrze się bawiła, że niemal zapomniała, dlaczego dała się skusić ciekawości i przyjęła zaproszenie Pierce'a. Potem nagle, przy deserze, podjęła temat, o którym wspomniał przez telefon. Musiała się przebić przez rozleniwiające opary wina, by słuchać bardzo uważnie. Nie odzywała się, tylko po prostu słuchała jego pomysłów. A gdy skończyli kolację, powiedziała, że będzie musiała przemyśleć jego sugestie. To był zły moment na poważne rozmowy biznesowe albo żeby przekazać Pierce'owi to, co miała do powiedzenia. Byłoby to niegrzeczne i niestosowne wobec raczej towarzyskiej natury ich spotkania.

Wiatr przybrał na sile i odświeżył ją. Podniósł jej włosy, ochłodził szyję

i oczyścić myśli. Wyrzała z balkonu na północno-wschodnie niebo i odnalazła zbiór siedmiu jasnych gwiazd, ulubienic ojca. Siedem Sióstr. Może napędzona drobnym nadmiarem szkockiej, Maddie uznała, że już wie, co robić. I z wawym krokiem weszła do środka.

---

<sup>[3]</sup> *Paloma* (hiszp.) – gołąb.

# 13

21 MAJA 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

Kilka minut przed dziewiątą Maddie spojrzała na swoje odbicie w szklanych dwuskrzydłowych drzwiach z nazwą firmy. Potem zerknęła dalej, w głąb holu z główną recepcją, a tam zobaczyła zakłopotaną Teresę Suarez. Recepcjonistka, zwykle nonszalancka, teraz zachowywała się bardzo powściągliwie i starała się nie patrzeć w lewo, gdzie coś musiało ją niepokoić. Maddie pokierowała tam wzrok i rzeczywiście – w rogu, tam gdzie stało kilka foteli, Jacinta pomagała czterdziestoparoletniemu mężczyźnie włożyć płaszcz. Maddie odnosiła wrażenie, że koleżanka uśmiecha się głupawo do gościa.

Teresa dostrzegła wchodzącą Maddie i gorączkowymi gestami dała jej znać, by coś zrobiła. Maddie zapłonęły uszy, gdy drzwi zamknęły się za nią i dosłyszała rozplywający się głos Jacinty.

– Tak mi przykro, że panna Harden nie mogła się z panem spotkać. Porozmawiam z nią później, a gdy będzie wolna, osobiście do pana zadzwonię. Może zechce pan przekazać panu Grayowi – zmieniła temat, ale nadskakującego tonu już nie – że niezwykle mi się podoba to, co zrobił dla galerii sztuki. W zeszłym tygodniu miałam okazję osobiście podziwiać efekt. Niesamowite, ta koncepcja nowego skrzydła, wykorzystanie przestrzeni – rozplywała się.

– Sama mu pani to powie. Jeśli zechce się pani z nim spotkać. Bardzo by się ucieszył z tych słów. Proszę do nas dołączyć któregoś dnia na lunch, a osobiście panią oprowadzi. Już ja to umówię.

Mówił do Jacinty, ale już przeniósł uwagę na nowego przybysza, widocznego za szklanymi drzwiami.

– Witaj, Madeline! Jakże miło, że znowu się widzimy, i to tak szybko! – Gordon Hugo chwycił swoją aktówkę i ruszył ku niej. – Zaszedłem przy

okazji, w nadziei że spotkam się z Samantha, ale piękna Jacinta mówi mi, że jeszcze nie przyszła. Nadrobimy to, jednak teraz muszę pędzić. Miłego dnia wszystkim życzę! – zawołał do niej i do pozostałych, pchając drzwi wejściowe.

Jacinta i Teresa odpowiedziały do jego pleców, jedna z nadmiernym entuzjazmem, druga grzecznie:

– Do widzenia, miłego dnia!

Ale gdy drzwi się na powrót zamknęły, Maddie powiedziała cicho:

– Dzięki, postoję. – Zastanawiała się, co takiego sprowadziło go tutaj, i to pytanie widać było w jej spojrzeniu.

– Ja wiem, dlaczego przyszedł. – Charles, niecodziennie poruszony, otworzył boczne drzwi do foyer i podszedł do nich. Jego mina zdradzała trochę ubawienia i dużo irytacji. – Dziękuję, moje panie, że go wyprowadziłyście. Pan Hugo próbował wpaść do Samantha niezapowiedziany. Na szczęście pojechała na weekend na wschód w sprawach służbowych i dzisiaj jej nie będzie. W przeciwnym wypadku padłyby ciosy. Co za arogancki człowiek.

Wyraz jego twarzy wydał się Maddie mocno przekonujący. Wyglądał, jakby przed nosem przemknęło mu coś smrodliwego. Postanowiła skorzystać z okazji.

– Charles – zaczęła. – Chciałam co prawda porozmawiać z Samantha, ale czy mogłabym tobie zająć z pół godziny?

– A jeśli tak? – Gestem wskazał drzwi własnego gabinetu i przybrał swój charakterystyczny dobrotliwy ton, ścisząc głos: – Wyjdźmy z tego cyrku.

Wielki gabinet Charlesa miał własny charakterystyczny styl. Przypominał Maddie zamożniejszą wersję pokoju wykładowcy w Oksfordzie – pełen pierwszych wydań i eleganckich druków, dowodził intelektualnego szyku, który nie był tylko pozą. Mogłaby tu się zatracić na całe godziny, pośród wykładanych dębową boazerią ścian, wygodnych foteli i żaluzjowego biurka ze starym drewnianym krzesłem z poręczami.

Kilka zdjęć na stoliku pomocniczym przedstawiało rodzinę i przyjaciół; odrobina tradycyjnych uścisków dłoni z bogatymi i sławnymi. Maddie uznała, że ci ostatni mieli zrobić wrażenie na klientach. Czuła, że on osobiście uznałby te fotki za ostentacyjne, chociaż niektórych ludzi z dumą nazywał przyjaciółmi. Zauważyła – nie po raz pierwszy – że Pierce Gray wśród nich się nie znajduje, chociaż panowie należeli do jednego klubu jachtowego, a w prasie kilka tygodni temu ukazało się ich wspólne zdjęcie.

Charles podsunął gościowi krzesło, po czym sam zajął miejsce naprzeciwko.

– Ależ poruszenie dzisiaj od rana – wyznał. – Ojca Samantha zabrano do szpitala w New Jersey na weekend, więc poleciała na wschód. Ja wpadłem na Hugo w holu, a niezbyt za nim przepadam. Chciał pogadać o nowej ugodzie, ale to wszystko trochę pokątne i nie powinien omawiać jej ze mną. Tak bez porządnego spotkania i dyskusji, wszystko jakieś podstępne. Nie poświęciłem mu zbyt wiele uwagi i powiedziałem, żeby spisał swoje pomysły.

Maddie była zaskoczona i trochę zdenerwowana. Po dyskusji z Pierce'em w minioną niedzielę rozważała kilka scenariuszy działania, ale teraz się zastanawiała, czy wydarzenia poranka nie rzucają aby nowego światła na sprawę. Czy on wiedział, że jego główny prawnik przyjdzie tu dzisiaj? Na pewno tak. Więc czy nie zmęczył się czekaniem, aż Maddie do niego zadzwoni?

– Właśnie o tym chciałam dzisiaj porozmawiać z Samanthą. Spotkałam Gordona Hugo dość przypadkowo, z Pierce'em Grayem, w poprzedni weekend. Oceniam go podobnie jak ty. To taki człowiek, co patrzy na ciebie i wydaje mu się, że już wszystko o tobie wie.

– Czy to nie dziwna wycieczka, Madeline, jak na ciebie? – spytał Charles żartobliwie. – Gordon Hugo i Pierce Gray? – Podeszedł szybko do drzwi i poprosił Yamunę o herbatę, uznawszy najwyraźniej, że spotkanie potrwa dłużej, niż sądził.

– Pierce zabrał mnie na operę w Seattle. Ale dochodzę do wniosku, że

zostałam tam zwabiona wymyślnym fortelem. Może chciał mnie przekonać do tego samego pomysłu, który Gordon Hugo chciał wyłożyć bezpośrednio Samancie. Wierzę, że Pierce szczerze konsultował ze mną szanse negocjacji – badał grunt, że tak powiem – ale pochlebiam też sobie, myśląc, że chciał wysłuchać tego, co ja mam do powiedzenia. A jego prawnik ma albo mniej cierpliwości, albo mniej taktu niż szef.

Wciąż się zastanawiając, czy jej „randka” była sprzeczna z zasadami albo może w złym tonie, Maddie ostrożnie powtórzyła słowa Pierce’a z niedzielnego wieczoru. Przerwało im tylko podanie herbaty, a brwi Charlesa uniosły się trochę, gdy słuchał bacznie jej opinii na temat człowieka, z którym mieli do czynienia. Uśmiechnął się współczująco, gdy wyraziła troskę, czy zrobiła z siebie idiotkę. Ale też wyznała, że podjęła decyzję, by wysłuchać Pierce’a bez uprzedzeń. Chętnie wysłuchałaby zresztą wszystkiego, co mogłoby się okazać pomocne dla ich powódek. Potem przeszła do sedna ich rozmowy po kolacji.

– Pierce chyba miał nastrój do refleksji. Ja wypiałam trochę wina, ale skupiłam się, gdy przyznał, że koszty obrony procesowej są niesamowite. Stormtree utworzyło ogromną rezerwę na ten cel. Ale, Charles, niemal mu uwierzyłam, gdy powiedział, że wolałby wydać to bezpośrednio na poszkodowanych. Oczywiście zapewniał, że jego prawnicy nie ocenili naszych szans wygranej w sądzie, ale uznałam, że to zagrywka pokerowa. Zastanawiałam się też, czy to nie on ma wątpliwości, że zdołają nas pokonać.

– On jest strategiem – przytaknął Charles. – A pomysł, że walka z nami to sumy, które wolałby wydać na swoje ofiary, miał obudzić w tobie poczucie winy. I znowu, Pierce doskonale umie sprawiać wrażenie łaskawego – jak go opisujesz – gdy jest przyparty do muru. Kto wie, na ile są pewni swego? Jakie było sedno jego sugestii?

Maddie się uśmiechnęła.

– Powiedziałam mu, że to nie moment na wdawanie się w szczegóły albo rozmowy o sumach, ale zasadniczo zaproponował, że jego firma

pieniądze, które odłożyła na sprawę, przeznaczy na zwiększenie świadczeń dla pracowników i ich rodzin. Jasno wyłożył, że kolejka chętnych do pracy u nich jest długa i że Stormtree Components nie musi składać takiej oferty. Ale dowodził, i trudno mu odmówić słuszności, że w ten sposób od razu ulżylibyśmy im w cierpieniu i przełamałibyśmy impas.

– Ach tak. – Charles splótł palce dłoni leżących na biurku. – Pierce nie chce patrzeć, jak pracownicy cierpią z powodu przedłużającego się postępowania. On jest pewien, że w warunkach pracy stworzonych w Stormtree nie ma nic nienormalnego w porównaniu z warunkami w podobnych firmach.

– Rozumiem tę ironię, Charles – powiedziała Maddie. – Delikatnie sugerujesz, że on mnie nakłania do zmiany strony i do obrony jego pozycji przed moimi szefami. Niewykluczone, że wypadam w tej sytuacji trochę naiwnie. Pomyślałam jednak, że może on naprawdę chce znaleźć rozwiązanie za plecami prawników, którzy narzucają mu swoją wolę. Uznałam, że to prawdopodobne. Jeśli uzgodnię warunki bezpośrednio, zmniejszą koszty firmy. Ale wiem, że to z Samanthą powinien rozmawiać.

– Może. – Charles westchnął w zamyśleniu. – Ale ona by z nim rozmawiała zupełnie inaczej.

Maddie uśmiechnęła się w duchu.

– Charles, mogłam go tylko zapewnić, że przemyślę jego słowa, pogadam z Samanthą i odwołam się jednocześnie do powiązań mojej rodziny z Pierce'em. Czekałam na właściwy moment, ale w ostatnim tygodniu ona była strasznie zajęta. Co myślisz? Jeśli Hugo przyszedł z tym samym scenariuszem, to jaki był sens dogadywać się ze mną?

– Cóż, argument Graya jest przekonujący, a ty, Maddie, nie jesteś ani trochę naiwna. – Charles dolał herbaty ze srebrnego imbryka. – Moim zdaniem wiele przemawia za negocjacjami, nie wspominając o tym, że oszczędzają czas. Wszystko zależy od rozmiaru ugody, którą on ma na myśli. Jeśli jest ograniczona do sumy, którą ma w rezerwie na rozprawę,



to nie ma co mówić o dyskusji. Ta suma musi być o wiele większa. Ale przede wszystkim ja bym go wysłuchał. Tyle że Samantha ma inne potrzeby.

– Myślisz, że ona naprawdę chce go sprawdzić w sądzie, choćbyśmy mieli przegrać?

– Ona jest świetna i zapalona do sprawy, i chce wygrać. Jej chodzi o stworzenie precedensu. Nie tylko walczy dla ludzi w tej konkretnej sprawie. Chce utworować drogę zmianom w sądzie i w ustawodawstwie federalnym, tak żeby skorzystali na tym wszyscy pracownicy branży high-tech. Taki cel można osiągnąć wyłącznie w sprawie przyciągającej uwagę publiczną.

– Rozumiem, że właśnie takiego precedensu Pierce chce uniknąć. – Maddie spojrzała na Charlesa z szerokim uśmiechem. – Wożenie mnie samolotem do Seattle na operę było warte jego zachodu, skoro miał szansę podkopać moją pewność w słuszność sprawy, prawda?

– Maddie, może ktoś by mnie nazwał pragmatycznym, a ktoś inny zarzuciłby mi wprost, że nie mam zasad. Ale tak jak ty korzystałem nieraz z gościnności Graya. Fascynują mnie pewne aspekty jego osobowości. Zauważyłaś, że to postać wyjęta żywcem z *Księcia Machiavellego*? Powiedziałbym nawet, że ma średniowieczny umysł. Jest przesądny, potężny, feudalny, a jednocześnie łaskawy, pełen erudycji i wytworny. Ale jest ślepy – i nie chce tego zmieniać – na wszelki światopogląd, który nie pasuje do jego własnego.

Maddie niemal się roześmiała.

– Moja siostra by się z tobą zgodziła i powiedziałyby, że w niedzielnym pokazie chodziło o zmianę mojego nastawienia w stosunku do samego Pierce'a i Stormtree Components Inc.

– Co więcej – dodał Charles – jestem pewien, że doskonale się bawił w towarzystwie błyskotliwej, szalenie atrakcyjnej młodej kobiety. On uwielbia operę i wydaje się, że ty również. Nie uznałbym więc, że to zmarnowany dzień. Większość ludzi wiele by dała za okazję, która ci się

przytrafiła, nawet jeśli nie udało mu się ciebie przekabacić. Zaufaj mu. To była wyszukana próba, a on na pewno nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Poza tym czegoś się dowiedzieliśmy o jego sposobie myślenia. Może nie do końca wierzy w swoich prawników. A może nie jest w stanie przekazać części uprawnień.

Maddie pokręciła głową.

– Niczym średniowieczny książe. Boże, Charles, nie uczyli tego na studiach prawniczych.

– Nie. – Roześmiał się. – Ale teraz pomyśl jak prawnik. Czy kapitulowanie w tej chwili leżałoby w interesie naszych klientów? Nie mamy im przewodzić, tylko im doradzać. Elastyczność to podstawa przetrwania. Daj mi swoją opinię jako prawnik, bez emocji.

– Nie wiem – odparła Maddie. – Widzę tyle cierpienia. Tych ludzi nikt nie słucha, nie mają władzy, a ich czas jest ograniczony. Może lepiej, żeby odpuścili i zyskali coś od ręki? Gdyby suma była uczciwa, wystarczyłaby im na pokrycie rachunków, nie musieliby się martwić o zabezpieczenie rodzin. – Maddie podniosła głowę i postanowiła coś dodać: – Moja babcia mówi, że jest takie stare włoskie przysłowie: Lepiej się zgiąć jak trawa, niż złamać jak dąb na wietrze.

– Mądra kobieta i nie sposób odmówić jej racji. Pozwolę sobie zastrzec, że twoje osobiste życie należy do ciebie. Bliskie związki z Grayem mogą wywołać konflikt interesów, ale jeśli będziesz nas informować na bieżąco o sytuacji i zobowiązesz się do całkowitej dyskrecji co do szczegółów sprawy, nie widzę problemów. Wręcz możesz pomóc, mając do niego dostęp zupełnie inny niż my wszyscy.

Maddie zastanawiała się, czy Charles aby nie myśli na głos, gdy on znowu spytał:

– Skoro tak się nad tym zastanawiasz, co twoim zdaniem należy zrobić?

– Cóż, muszę powiedzieć Samancie o naszej wycieczce, i to najważniejsze. Nie chcę być dwulicowa. Ale poza tym myślę, że mamy

spore szanse wygrać, i z powodów, którymi jak wspomniałeś, kieruje się Samantha, powinniśmy walczyć dalej. Dopóki są jakiekolwiek szanse.

– A jak oceniasz nasze szanse? – Charles pochylił się na krześle.

– Szczerze? Nie umiem w tej chwili ocenić. Mnóstwo zależy od tego, co znajdziemy w kolejnej partii dokumentów, które dostaliśmy od Stormtree. Wtedy będziemy mieli lepsze pojęcie. Ale pocieszam się, że Pierce rozważa ugodę. Może wcale nie jest taki pewien swego, jak twierdzi.

– Chyba masz swoją odpowiedź. – Charles się uśmiechnął.

– To może być kwestia miesięcy, roku. – Maddie była pełna obaw.

– Tak, i mogą umrzeć kolejni nasi klienci. Firma siedzi w tym od pięciu lat, a my mamy wygrać, ale nie jesteśmy głupcami.

Maddie podziękowała mu i wyszła, zamykając drzwi. Miała tylko jedną odpowiedź, tak. Ale wiedziała, że Pierce Gray coś kombinuje.

Był to łagodny, lecz smutny dzień, który dla Maddie zakończył się ponownym odwoływaniem drinków z rówieśnikami, bez podania powodów. Nawet Teresa – zawsze niezawodna, jeśli chodzi o radosne wiadomości – niczego nie zauważyła w dzisiejszej dacie, więc Maddie nie czuła się ani trochę winna, że nie zostaje. Teraz, wczesnym wieczorem, gdy się ochłodziło, cieszyła się, że ma na sobie trencz. Idąc, rzucała długi, dziwny cień. W jednym ręku trzymała aktówkę, w drugim piękny bukiet ze sklepu Jimeny, i tak szła na Beach Street w Marinie, gdzie mieszkała *nonna* Isabella.

Ostatnie trzęsienie ziemi przed dwudziestu laty poważnie uszkodziło rejon Mariny, ale z jakiegoś powodu nie tknęło domu babci. Ogród od frontu wypełniały powoje i lawenda, astry i magnolie, róże w pączkach, zioła różnej wysokości i rozmaite kwiaty późnowiosenne, teraz, w pełni swego sezonu, kaskadami spływające z doniczek. Czarne ogrodzenie zwieńczone złotymi liliami nadawało domowi wygląd nieco wiktoriański, ale to dlatego, że zbudowano go na wzór pierwszego domu rodziny w North Beach, gdy jej dziadek zarobił na nieruchomości w tym rejonie i niedaleko morza zbudował nowy dom dla swojej ukochanej Isabelli.

Wśród gęstej zieleni stała wanienska dla ptaków i właśnie gruchały w niej gołębie, które schładzały się tu niemal bez przerwy. Zawsze parami, krzyczały upiornie, a dzisiaj Maddie przypomniała sobie, jak ją budziły, gdy jako dziecko przebywała u babci. Leżała po przebudzeniu, słuchając gołębich krzyków na tle wołania mew szybujących w wietrze znad morza, aż reszta domu budziła się do życia. Dopiero wtedy wstawała.

Jako dziecko myślała, że *nonna* Isabella jest stara; zawsze pięknie ubrana, ale w wieku, który małej dziewczynce wydawał się niepojęty. Ale dzisiaj, w dniu swoich dwudziestych piątych urodzin, myślała o Isabelli jak o starszej przyjaciółce. O ile dziadkowie ze strony matki się starzeli, o tyle Isabella jakby wręcz przeciwnie. Maddie pomyślała, że w domu Isabelli nigdy nie pachniało jak „u staruszków”, jak to ujęła jako dziecko, chcąc określić zapach inny niż w domu rodzinnym jej matki. Tam meble, kuchnia, pościel – wszystko pachniało staro. Ale dom na Beach Street pachniał słonym powietrzem i słońcem, i czystością, i kwiatami. To częściowo dzięki charakterystycznemu mydłu irysowemu, którego *nonna* Isabella zawsze używała, sprowadzając je po rozsądnych cenach od aptekarza z Santa Maria Novella we Florencji. Rozrzutność ta mogła się wydawać dziwna, ale babcia twierdziła, że dzięki temu mydłu utrzymuje skórę w doskonałym stanie. I teraz, dobiegając osiemdziesiątki, *nonna* Isabella ciągle miała cerę kobiety młodszej o lat trzydzieści. Cieszyło to Maddie, tak jak cieszyła ją energia i elegancja babci.

Pchnęła bramę i weszła na podwórko. Brama skrzypnęła i Maddie wiedziała, że to dla Isabelli znak, by otworzyć drzwi wejściowe. I jak zawsze, ledwie sięgnęła do dzwonka, drzwi się otworzyły, ukazując gospodynię z ramionami szeroko otwartymi na powitanie. Już się zresztą odsuwała, by wpuścić gościa do holu, wziąć jej płaszcz i przyjąć kwiaty, a wszystko bez cienia zamieszania.

– Jakie piękne! Wejdz, *bella faccia!* Jest niespodzianka. Zgadnij, kto przyszedł? Czyż to nie wspaniale?

– Wszystkiego najlepszego, mała – powiedziała Barbara, biorąc siostrę

w objęcia.

– Ależ mi miło. Myślałam, że jesteś dzisiaj zajęta, bo umówiłabym się z tobą na lunch – odparła Maddie.

– Owszem, trochę miałam urwanie głowy. Przez wiele godzin bezowocnie szukałam igły w stogu siana. Ale ostatecznie mi się udało i postanowiłam do ciebie przyjechać.

Podawała Maddie kieliszek wina, a tymczasem babcia znalazła wazon. Potem wszystkie przeniosły się do salonu.

Ten przestronny pokój, centralny punkt domu, stanowił połączenie nowoczesności i antyku. Piękne wielkie sofy i wygodne krzesła ustawione tak, by odsłonić widok na wodę, podkreślały rozległość przestrzeni. Na dwóch stołach pyszniły się wyjątkowe wazony ze szkła z Murano. A w rogu przy zabytkowej lampie zawsze stał pysznie rzeźbiony biały marmurowy posąg rzymskiej bogini Diany. Pochodził ze starego kraju, od prapradziadków Maddie. Wszyscy wierzyli, że przynosi błogosławieństwo. A ci, którzy w to wątpili, robili to na własne ryzyko. Przetrwał trzęsienie ziemi i pożary, które zniszczyły North Beach na przełomie wieków. Pozostałe domy rozpadły się albo chociaż popękały, a ten stał – jak Isabella – niewzruszony, choć w czasie ostatniego kataklizmu musiał się znaleźć w epicentrum. Lorenzo mógł sobie drwić, ale Isabella złego słowa by nie powiedziała na swoją opiekuńczą boginię – nawet gdyby nie była przesądna.

Maddie przeszła na środek salonu i zobaczyła wielki okrągły stół z orzecha przyozdobiony świecidełkami. Babcia ustawiła dwadzieścia pięć świeczek w kunsztownych kryształowych świecznikach w wielkim półokręgu. Teraz, wczesnym wieczorem, zalewały pokój rozproszonym światłem.

– Ach, *nonna*, jak pięknie, dziękuję – powiedziała Maddie i odwróciła się uściskać babcię. Ale gdy odwróciła się z powrotem, zaintrygowana dojrzała kolejne przedmioty. Pośrodku kręgu, w otoczeniu świeczek, leżał zbiór osobliwości. Wielka paczka owinięta w brązowy papier,

zabezpieczona sznurkiem zawiązanym chyba w węzeł żeglarski i zapieczętowana czerwonym woskiem. Co było w środku? Obok dostrzegła kolekcję starych fotografii i odręcznych listów na wyblakłym papierze. Cały stos był obwiązany piękną różową wstążką; i wreszcie pod kokardę wsunięto kopertę z imieniem Maddie.

Przyłożyła dłonie do zarumienionych policzków.

– Co to jest? – spytała.

Isabella niezmiennie zdumiewała wnuczkę pomysłowością swoich podarków, ale to raczej przypominało instalację w galerii sztuki.

Isabella wyglądała na zadowoloną z reakcji wnuczki.

– *Mia Maddalena* – powiedziała – tyle przeszłaś w ostatnich miesiącach. Chciałabym przejąć od ciebie część bólu, żeby cię uwolnić, żebyś znowu mogła być młoda. Ale cóż, rozmawiałam ze swoją przyjaciółką, signorą Angelą...

– Kobieta, która robi kapelusze – przerwała Barbara, z wyrazem twarzy nieodgadnionym dla siostry.

– I ona mówi – podjęła Isabella – że jeśli masz odnaleźć siebie i swój cel, musisz przejść długą drogę. Twierdzi, że musisz dotrzymać złożonych obietnic.

Obie dziewczyny spojrzały po sobie, Maddie raczej nic nie rozumiejąc, ale poruszona emocjami babci. Barbarze zbierało się na śmiech, ale rozumiała, że gdyby to zrobiła, zachowałyby się bardzo nieuprzejmie i popsułaby jeden z wyjątkowych, choć niejasnych gestów *nonny* Isabelli.

– A więc to dla ciebie – powiedziała starsza pani. – I życzę ci *buon compleanno*.

Isabella sięgnęła do stołu i wzięła z niego kopertę. Zamiast jednak podać ją Maddie, wsadziła ją sobie do kieszeni.

– Możesz ją otworzyć za chwilę. Najpierw chciałabym coś powiedzieć. W żałobie stajemy się kimś innym. Stajemy się mroczni i samotni, tracimy jasność i humor. Przygnębienie wchodzi nam w krew. Gubimy drogę. Ludzie mówią o zamknięciu, ale to nie zamknięcia szukamy. Chcemy

zostawić drzwi otwarte – żeby ukochana osoba wciąż z nami była. Wiem to, Maddie. Pochowałam już kilka bliskich mi osób, w tym ledwie parę lat temu twojego dziadka. Jestem ostatnia ze swojego pokolenia, ale nie wszystko mam za sobą. Niektóre przeżycia dopiero nadejdą i chcę, żebyś znalazła drogę, by też w nich uczestniczyć.

Słyszając wyraz takiej troski babci, Maddie poczuła przeraźliwy smutek. Rozumiała, co babcia mówi, ale i tak czuła, że nie ma siły odrzucić straszliwej apatii. To były jej dwudzieste piąte urodziny. I o ile oglądała się za siebie, o tyle przed siebie nie patrzyła.

Z tkliwością przyglądała się, jak Isabella bierze ze stołu resztę rzeczy w różowej wstążce i siada na kanapie, poklepując miejsce obok siebie, zapraszając dziewczęta, by podeszły poprzeglądać zdjęcia. Maddie bardzo wzruszyły te wysiłki, dołączyła do siostry i babci na kanapie.

– Znacie mnie. – Isabella się roześmiała. – Wasza mama myśli, że miewam dziwne pomysły. Z nikim innym nie omawiałam twojego prezentu. Nie zrozumieliby. Nie jestem pewna, czy sama rozumiem. Przede wszystkim... – Przerwała, dla zwiększenia efektu dramatycznego, i zaprezentowała wnuczkom starą sepiową fotografię w oryginalnej oprawce.

– To wasza praprababcia, dziewczęta. Mimi. Na pewno słyszałyście, jak o niej czasami mówiłam. Maria Maddalena, moja babcia. Była śpiewaczką, głos miała taki, że oderwałaby Odyseusza od masztu, podobno. Prawdziwa syrena.

– Jeszcze nigdy nie widziałam tego zdjęcia – oznajmiła Barbara. – Na dole jest data, musiało być zrobione w Lukce, zanim wyjechali.

– Tak, spójrz na odwrocie – dołączyła Maddie. – „Signor Giuseppe Chiarella, Lukka, tysiąc osiemset siedemdziesiąt siedem”.

– Niedługo później babcia wyszła za mąż, a potem z dziadkiem wyjechali do Ameryki – dodała Isabella. – Musiała tu mieć siedemnaście albo osiemnaście lat. Znała Pucciniego. Śpiewała w operze w Oakland, zanim powstała opera tutaj, w San Francisco. I w Tivoli. I w Palace

Hotel, dla prezydenta Woodrowa Wilsona. Porządną operę zbudowano dopiero w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, niedługo przed moimi narodzinami.

– Boże! Przed twoimi narodzinami w ogóle były jakieś czasy, babciu! – zażartowała Barbara.

Isabella warknęła z udawanym niezadowoleniem, a Maddie wzięła od niej zdjęcie. Przyjrzała mu się, zwłaszcza badawczo młodej kobiecie, która uśmiechała się do niej porozumiewawczo. Jakie to dziwne, pomyślała Maddie, stanąć oko w oko z tą właśnie kobietą, która zaprzętała jej myśli non stop od wizyty w operze z Pierce'em Grayem tydzień temu. Teraz patrzyła na szczegóły jej plisowanej jedwabnej spódnicy, tradycyjnej zapinanej pod szyję bluzki i długich loków starannie upiętych i ufryzowanych, by odsłonić zgrabną szyję. Maddie zauważyła na tej szyi szeroką czarną wstążkę z przypiętą do niej finezyjnie rzeźbioną kameą przedstawiającą dwa gołębie unoszące w dziobach dwie girlandy kwiatów. Odniosła wrażenie, że już ją kiedyś widziała.

– Ależ ona była piękną damą – powiedziała niejako ze zdumieniem. – Dlaczego nigdy nam nie pokazałaś tego zdjęcia?

Isabella kiwnęła głową i założyła okulary do czytania, by przyjrzeć się zdjęciu uważniej.

– Pamiętam ją z czasów dzieciństwa. Odeszła, gdy miałam dziesięć lat, sama była po siedemdziesiątce, ale na zawsze pozostała w moich myślach. To była niesamowita kobieta, miała śliczną, dziewczęcą twarz, tak jak ty, Barbaro, i rozwichrzone loki, jak ty, Maddie. Z wiekiem te włosy ani jej nie rzedyły, ani nie siwiały. A tę kameę – Isabella zdjęła okulary – gdzieś mam, ale nie mogę jej znaleźć. Nie da mi to spokoju, dopóki sobie nie przypomnę, gdzie ją wsadziłam.

– Dziwne, *nonna* – powiedziała nagle Barbara, gdy wzrok jej padł na pocztówkę wśród pozostałych rzeczy. – Co to takiego?

– Tak, to ostatnia pocztówka, którą dostała od własnej matki, Marii Pii, z Włoch, zanim starsza pani zmarła. Dość dziwne zdjęcie, prawda?



Barbara wzięła pocztówką od babci i przyjrzała się zdjęciu, ignorując treść zapisaną po włosku.

– Co takiego, Bee?

Barbara badała sepiowe zdjęcie zrobione bardzo starym aparatem. Był to posążek z brązu. Chociaż go nie znała, ekscytował ją.

– Wygląda nowocześnie, prawda? – powiedziała. – Ale jestem niemal pewna, że to sztuka etruska i że ten przedmiot ma ponad dwa tysiące lat. – Podała kartkę Isabelli, by przeczytała włoską treść, bo sama ledwie władała tym językiem.

– Tak. Tak, masz rację. – Isabella ponownie założyła okulary. – Jej matka wyjaśnia *nonnie* Mii, że pewien rolnik używał tej figurki jako pogrzebacza. Wyorał ją na swoim polu pod Volterrą niedługo przed powstaniem tej kartki. I owszem, to chyba sztuka etruska. Posążek nazwano *Ombra della serra*, czyli *Cień wieczoru*. – Isabella zdjęła okulary i powiedziała niemal do siebie: – To dziwne, bo mam wrażenie, że gdzieś ostatnio o tym słyszałam.

– Zdziwisz się, kiedy ci powiem, że przez cały dzień przeczesywałam najbliższe aukcje i międzynarodowych handlarzy, szukając etruskich artefaktów dla klienta, który jest mocno specyficzny. Szuka przedmiotów, które muszą być etruskie, a nie rzymskie, i musi je mieć jak najszybciej, najlepiej jutro. – Barbara spojrzała na Maddie i uniosła brwi, jakby siostra знаła jej tajemnicę. – Jeszcze nigdy mnie o nic takiego nie proszono. Te przedmioty nie rosną przecież na drzewach!

– Nie, ale można je wykopać na polu – zażartowała Maddie.

– No to zanim siądziemy do jedzenia, dam ci tę *nipotię* – powiedziała Isabella do Maddie. Wzięła głęboki oddech, jakby oddawała klejnoty koronne, po czym wyciągnęła z kieszeni horoskop. – Musisz trochę nad sobą popracować.

– *Nonna?*

Maddie ostrożnie otworzyła kopertę. Dopiero po chwili zrozumiała sens słów, które babcia wypisała na kartce:

*Rodzice powinni dać dziecku dwie rzeczy. Korzenie, żeby rosło, i skrzydła, żeby latało. Twoje korzenie są mocne, Madeline, ale zapomniałaś, jak latać. Jeśli dzięki temu znajdziesz inne, starsze korzenie, może przypomnisz sobie, że masz również skrzydła.*

Maddie delikatnie wyjęła bilet lotniczy z koperty i kilka banknotów obcej waluty. Nie знаła ich, ale szybko się zorientowała, że to euro. Czytając napisy na bilecie, stwierdziła, że została obdarowana biletem powrotnym otwartym do Pizy przez Rzym. A z narożnika koperty jej palce wydobyły małe srebrny krążek na łańcuszku. Nawet bez sprawdzania wiedziała, że to medalik ze świętym Krzysztofem.

Gardło jej się ścisnęło tak, że dopiero po chwili zdołała wydobyć z siebie głos.

– *Nonna-bella!* – wydusiła bardzo wzruszona. – To taki szczodry prezent i cudowny pomysł, naprawdę. Ale co z moją pracą?

– Pojedziesz, kiedy będziesz gotowa, Madeline – odparła Isabella stanowczo. – A w Toskanii już na ciebie czekają.

Podniosła rękę na znak, że dość już gadania.

– Może przejdziemy do jadalni na urodzinową kolację? – spytała z uśmiechem.

# 14

## 28 LUTEGO 1347 ROKU, SAN GALGANO, TOSKANIA

Na ostatniej prostej drogi do opactwa cysterskich sąsiadów Jacquetta stwierdziła, że śnieg rzeczywiście znowu zaczyna wirować i tworzy na ziemi białe połacie. Ale jej klacz szła zwinnie, więc szybko minęły zakręt rzeki i wypadły na ostatnią otwartą przestrzeń łąk. Latem pokryją się obficie trawą, która wyżywi słynne owce i konie opactwa, a graniczne pola, rozciągające się jak okiem sięgnąć, kołysane ciepłym wiatrem, będą szemrać ziarnem o orzechowym smaku, które wykarmi braci.

Dzisiaj taki obraz wydawał się bardzo odległy. Wszystko było szare, ziemia zamarznięta i twarda. Dym unosił się z kuźni, w której bracia pracowali nad swoją tajemną alchemią, obracając skałę w żelazo; a młyn wodny obracał się, mieląc ziarno, robiąc piwo i ogrzewając budynki mieszkalne ciepłą wodą. Ale w srogiej porze roku większość czynności za murami opactwa ograniczała się do minimum. Za kilka tygodni, myślała Jacquetta, mnisi i ich równie ciężko pracujący świeccy bracia znowu przejadą wszystkie pola pługiem, pracując od świtu do zachodu słońca, by wznowić cykl uprawy, który tak szczerze zaopatrywał wielu mieszkańców opactwa i dostarczał nadwyżki do sprzedania na targach. Gdy dni się wydłużą, wszystko tu znowu będzie tętnić pracą.

Jacquetta przyhamowała konia przed łukowatą bramą oznaczającą główne wejście do przybytku cystersów. Nie nadeszło jeszcze południe, kiedy to bracia spożywali posiłek, ale ona wiedziała, że jako przyjaciel i sąsiadka zostanie życzliwie powitana nawet o tej porze. I rzeczywiście, furtian pospieszył, by ją wpuścić, skinieniem głowy ponaglając, by schroniła się przed pogarszającą się pogodą, aż oddał ją pod opiekę konwersa w brązowej szacie, który otworzył jej drzwi do domu gościnnego, a potem zabrał konia.

Piękno kompleksu klasztornego cystersów uderzało Jacquette za każdym razem, gdy tu przybywała. Było to piękno eleganckiej powściągliwości. Siła i prostota linii, czystość białych kamiennych budynków wydawały się ucieleśniać pierwotną doktrynę braci z Citeaux we Francji, którzy woleli prostą czystość pracy i medytacji niż wygody i brak umiaru, nieobce niektórym z bardziej światowych zakonników.

W domu gościnnym rozpalono ogień, ale Jacquetta stała przy oknie i patrzyła ponad budynkami na zgrabną sylwetkę kościoła. Szeptano, że murarze cysterscy zbudowali cały klasztor, a zwłaszcza kościół, na podstawie planów świętej i magicznej geometrii. Tylko wtajemniczeni słyszeli muzykę jego kamieni, czytali jego przesłanie i uczyli się jego duchowych sekretów. Ale Jacquetta czuła się urzeczona harmonią i spokojem klasztoru – chociaż w ogóle nie знаła historii jego murów.

– *Ma donna Jacquetta!* Witaj.

Odwróciła głowę od okna. Miała nadzieję zobaczyć się z przeorem, który często wychodził do niej niezwłocznie, chociaż obecność kobiet rzekomo raczej przerażała niektórych mnichów. Dzisiaj jednak od drzwi podążał ku niej z wdziękiem opat Angelo we własnej osobie.

– Przeszkadzam? – spytała.

W zakonie obowiązywała reguła milczenia, a w każdym razie zniechęcano do niepotrzebnych rozmów. Goście zawsze byli grzecznie witani, ale ona wiedziała, że lepiej nie marnować słów ani czasu z opatem czy jego zakonem.

Ale miły uścisk dłoni zapewnił ją, że jest mile widziana.

– Co was sprowadza w taką pogodę? – spytał, serdecznym gestem wskazując jej, by siadła przy ogniu. Sam siadł na krześle naprzeciwko niej.

– Niepokojąca wizyta z Volterry – odrzekła cicho.

Opat kiwnął głową i czekał. Znał całą smutną historię domu i sąsiadów, wiedział o ich powiązaniu z biskupami – starym i nowym, mianowanym i niemianowanym; był wtajemniczony w przemoc

i niesprawiedliwości, których zaznały Jacquetta i jej siostra. I jemu nieobca była zawila polityka Volterry, ponieważ opactwo i posiadłości kościelne jego sąsiadów należały do tamtejszej diecezji.

– Są wiadomości od biskupa Ranuccia?

– Nie widziałam się z nim. – Jacquetta pokręciła głową. – Ale wizyty z Volterry źle mi wróżą, gdy on pozostaje na wygnaniu.

– Reszta jego rodziny powróciła – rzekł opat Angelo, świadom, że to dla niej nie nowina. – Jego Ekscelencja jednak przyjedzie do nas tutaj, do Abbazii. Odmówił powrotu do Volterry, chociaż Belforte przestał go przynajmniej nękać. Od nas oczekuje, byśmy się za niego modlili, gdy nadejdzie czas.

Biskup Ranuccio Allegretti był dla Jacquetty jak ojciec i nienawidziła rozmawiać o jego końcu, pomimo oczywistego faktu, że musiał kiedyś nadejść ten moment. Ale wiedziała, że starzejący się człowiek ciężko przeżył ostatnie lata, wygnany przez złośliwość Belfortego. Mieli rachunki do wyrównania z Ranucciem, który został wybrany na biskupa, gdy sprawujący urząd, popierany przez Belfortich, Ranieri naraził się papieżowi i wiernym i został przepędzony z urzędu. Działo się to dwadzieścia lat przed tym, jak jego brat Ottaviano Belforte zdołał zorganizować zamach przeciwko Ranucciowi. Wendeta Belfortich sięgnęła daleko, a Ranuccio musiał w śmiertelnym strachu uciekać wraz z rodziną. W pierwszych tygodniach jego nieobecności klan Belfortich skonfiskował wszystkie dobra osobiste i rodzinne Allegrettich w Volterze, potem także ziemie podarowane urzędowi biskupiemu. Biskup Ranuccio żył na wygnaniu, choć wciąż namaszczony. Te wydarzenia dodały mu lat i zmienił się nie do poznania.

– Taką rozmowę pewnego dnia, i to niedługo, będę musiała odbyć z Marią Maddaleną – powiedziała do opata. – Ale nie dlatego dzisiaj przyjechałam.

– Z dzieckiem wszystko dobrze, mam nadzieję? Mamy dla niej wiele względów, ale chyba nie widziałem jej od wielu tygodni. Nie przychodzi

muzykować albo rysować z nowicjuszami.

– To przez pogodę – odparła Jacquetta z uśmiechem. – I dlatego ja przyjechałam.

Zerknęła na ogień, zbierając myśli. Takie przywileje płynęły z posiadania, jako sąsiadów i przyjaciół, najświetniejszych umysłów w kraju. Mnisi z San Galgano słynęli jako mądrzy i sprawiedliwi. Ich opactwo nie różniło się od uniwersytetu i – poza teologami – można tu było znaleźć przedstawicieli wszystkich profesji: prawników, architektów, inżynierów i medyków. Rozsądzali spory pomiędzy wielkimi tokańskimi miastami – choćby ostatnio pomiędzy Sieną a Volterrą. Od niemal stu lat dostarczali Sienie skarbników. Pomagali sąsiadom w przygotowaniu aktów własności. Ich inżynierowie usprawnili dostarczanie wody do Sieny i okolicznych miejscowości. A ich architekci nakreślili plany wspaniałej sieneńskiej Duomo. A teraz Jacquetta przyszła do swoich przyjaciół po radę.

– Myślicie, że Bóg może kontrolować pogodę? I robi to? – Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do opata niepewnie.

– Dziwne pytanie, *donna* Jacquetta! – odrzekł z mieszanką ubawienia i powagi. – Ale wobec głębszego pytania, które się zza niego wyłania, zastanowiłbym się. Czy mam jednak przybrać płaszcz Tomasza z Akwinu, by wam odpowiedzieć? A może lepiej byłoby sięgnąć po zapatrywania Williama Ockhama?

– Odpowiedzcie mi tylko jako opat Angelo z San Galgano – uśmiechnęła się łagodnie – a się zadowolę.

– Sprawy nigdy nie są tak proste – rzekł i wyciągnął dłonie z rękawów białej szaty, by złożyć je razem. – Przełożony naszego zakonu kilkadziesiąt lat temu nawoływał tych, którzy słuchali, by podążyli za jego wołaniem i dołączyli do wojsk w Ziemi Świętej. Bernard był wspaniałym mówcą, wzywał zwyczajnych ludzi, by wzięli swój krzyż i wystąpili przeciwko tym w innych krajach, z inną wiarą. Opustoszały całe wioski, młode żony zostały wdowami po wciąż żyjących mężach, a gdy kampania

poniosła klęskę, Bernard obwinił za to grzeszną naturę ludzi, którzy ją prowadzili. Ale – ciągnął powoli – czy tylko oni dopuścili się grzechu? Może on nie wziął pod uwagę punktu widzenia brata Bacona. Franciszkanin poznał nieco kulturę i naukę mahometan i uważał, że podjęcie takich środków przeciwko nim może wręcz budzić niezadowolenie Boga. Sugerował – i niewątpliwie z pewną mądrością – że ci, którzy przeżyli straszliwą rzeź, tym silniej będą nastawieni przeciwko chrześcijanom.

– Co mówi opat Angelo? – spytała Jacquetta.

– Ja się zgadzam z moim cysterskim bratem, opatem Izaakiem z Poitiers. Nie uważam, by chrześcijanie mogli stać się męczennikami z tego powodu, że umierają, grabiąc niechrześcijan. Ani że siłowe nawracanie na chrześcijaństwo wyznawców islamu jest pod jakimkolwiek względem właściwym działaniem.

– Ale czy mamy wolną wolę, by przeciwstawić się takiej wskazanej nam drodze? Gdy papież wzywa do walki, czy mamy prawo, my, zwyczajni ludzie, zastanawiać się nad tym?

– Jeśli przywódcy nas wzywający mają sztywne przekonania, zanim jeszcze rozpocznie się debata, to nasze pytanie nie jest bezstronne i staje się daremne. – Opat Angelo się uśmiechnął, wiedząc, że tego złożonego argumentu wielu duchownych by nie pochwaliło; ale wiedział, że Jacquette cieszy dysputa filozoficzna. – Ja uważam – ciągnął – że mamy obowiązek, bo to ważne dla naszej świadomości i naszych osobistych relacji z Bogiem, poddać te poglądy dokładnej analizie; a muszę być gotów, by żyć i umrzeć zgodnie ze swoimi przekonaniem.

– Pełniący obowiązki biskupa Volterry – powiedziała Jacquetta – młody Filippo Belforte może się z wami nie zgodzić. Myślę, że przede wszystkim jest politykiem, a potem dopiero świętym człowiekiem.

– Na pewno by się nie zgodził. – Opat Angelo aż się roześmiał. – A co to ma wspólnego z pogodą, można by spytać?

– Czy chcecie mi powiedzieć, że Bóg jest odpowiedzialny za pogodę wtedy, gdy nam to odpowiada? – stwierdziła raczej, niż spytała Jacquetta.

– Biblia mówi nam o wielu okazjach, gdy wola Boga została wyrażona przez pogodę – odrzekł opat. – Powodzie i klęski głodu; chmury zbierające się przy śmierci naszego Pana; straszliwe tragedie, które rozegrały się w rodzinie Hioba; Bóg karzący Egipcjan wschodnim wiatrem. Ale przypisywanie każdej nawałnicy i każdej śnieżycy działaniu Pana byłoby niebezpieczną praktyką.

Opat przybrał pytający wyraz twarzy, patrząc na Jacquette ze ściągniętymi nieco brwiami. Zdała sobie sprawę, że jest ciekaw, z czego wyniknęło jej pytanie.

– W moim domu – powiedziała cicho – pojawiła się młoda dziewczyna i została z nami. A ja dowiedziałam się od ludzi Belfortego, że ona odmówiła wstąpienia do klasztoru zgodnie z życzeniem rodziców, wyszła natomiast za mąż, a gdy rodzina i władze ją uwięziły, przygotowując się do egzekucji, wydarzyło się coś na kształt cudu. Wichura obróciła jej dom rodzinny w perzynę i zabiła wszystkich mieszkańców, w tym jej strażników, oszczędziła jednak dziewczynę, która odeszła wolno.

Opat Angelo oparł łokcie na poręczach i podniósł dłonie do brody, niemal w modlitwie. Rozmyślał kilka chwil nad słowami Jacquetty.

– Przypomniała mi się burza, która ocaliła świętą Agnieszkę od zgwałcenia w zamtuzie w Rzymie – rzekł w końcu. – Może jej pobożność nie musi być wyrażona życiem w zakonie, a Pan naprawdę przemówił poprzez takie działanie.

– Gdyby była pobożną chrześcijanką, czy powiedzielibyśmy bez wahania, że to Bóg ją oszczędził?

Opat ściągnął brwi i uśmiechnął się lekko.

– Powiedziałyście „gdyby”, *donna* Jacquetta. Czy ona nie jest pobożna?

– Nie umiem powiedzieć – wyznała szczerze. – Nie pytałam jej o to, a pogłoski zawsze brzmią groźnie. Rzekomo jest heretyczką, ale kim ja jestem, by to osądzać?

– Podobnie jak ja. Ale uważam, że prawa cywilne nie powinny stać na drodze jej małżeństwa. I że prawo kanoniczne powinno nalegać, by



związek szczerze zawarty pozostawał sprawą dwojga ludzi. Jest coś niemal boskiego w tym wydarzeniu. To jedna z takich opowieści, które przywodzą nam na myśl cuda czynione przez Pana i Jego świętych.

Gdy zamilkł, z kampanili na terenie opactwa poniosło się pojedyncze uderzenie dzwonu. Zaznaczyło po prostu rytm klasztornego życia, obwieszczając zbliżający się południowy posiłek, ale teraz, w trakcie tej rozmowy, Jacquetta odniosła wrażenie, że to dźwięk z innego świata.

– A jeśli naprawdę jest poganką? – spytała.

– Euzebiusz wyraża się jasno – odrzekł opat Angelo. – Cuda niezrodzone z rewerencji do Boga Ojca i Jezusa Chrystusa to dzieło demonów. Euzebiusz nie zawsze dobrze przyjmuje też cuda chrześcijańskie, uznając, że są niebezpiecznie bliskie dziełom „magii”. Z kolei – ciągnął – mamy do czynienia z intrygującym cudownym deszczem na Dunaju w drugim stuleciu po narodzeniu Chrystusa. Armia rzymska, walcząc z barbarzyńcami w skwarny letni dzień, nie mogła donieść rannych do rzeki, by się napili. Oczekiwali, że zginą, i tylko cud mógł ich uratować. W ciągu kilku chwil ich różnych modlitw – do rozmaitych bóstw, a niektórzy żołnierze byli chrześcijanami – zebrały się chmury i spadł ulewny deszcz, który pozwolił im zaspokoić pragnienie. Dokładnie w momencie gdy Swebowie przypuścili na nich atak, potężny grzmot, błyskawica i grad spadły na ich stronę rzeki, zabijając niektórych barbarzyńców. Podobno z jednej połowy nieba spadł ogień, a z drugiej zbawienny deszcz. Żadne źródło ówczesne nie może się zdecydować, czy cudu dokonał chrześcijański Bóg, czy Jowisz, czy też perski mag o imieniu Julian.

– Nic nie wiem o pogańskich cudach. – Jacquetta wyglądała na zaskoczoną.

– Niemal niemożliwe jest, byśmy zrozumieli wolę Boga, *donna* Jacquetta – rzekł opat Angelo. – Zaryzykuję tylko, że jakaś siła interweniowała na korzyść tej młodej kobiety. I osobiście ostrożnie bym prowadził spór z tą siłą, ponieważ nie jestem wtajemniczony w zamysł

Boży. Ten przywilej przysługuje wyłącznie mężczyznom po żarliwym poszczeniu.

– Nie proszę was o to, opacie Angelo. – Jacquetta wstała szybko. – Refektarz się wypełnia. Idźcie na posiłek, a ja gorąco dziękuję, że użyczyście mi czasu i mądrości.

W rytm cwału konia przez głowę Jacquetty przepływały myśli, którymi podzielił się z nią opat. Szanowała go za smak, szczodrość i silne poczucie obowiązku oraz świadomość własnych ograniczeń. Znała go już wiele lat i mogła ufać, że ma własne zdanie, nieograniczone żadnymi odgórnymi dyktatami. Wciąż dumiała nad jego chęcią dopatrzenia się jakiejś boskiej interwencji w wydarzeniach powiązanych z jej gościem, ujawnionych tego ranka przez ludzi z Volterry. Teraz czuła, że bardzo chce porozmawiać z signorą Toscano i usłyszeć jej wersję wydarzeń.

Szybko sama zaprowadziła konia do stajni, żeby w taką pogodę nie wywoływać z domu chłopaka Loredany, a potem odwiesiła płaszcz w sieni. Gdy jednak odwróciła się w stronę wejścia do izby służącej za niewielki pokój gościnny, ujrzała widok, na który zupełnie nie była przygotowana.

Przy ogniu stała bowiem trzyosobowa grupa: signor Porphyrius trzymał rękę na plecach żony, a ona – przycupnięta na skraju ławy – opiekuńczym gestem obejmowała Mię. Dziewczyna zaś płakała lekko, ale na głos!

Podniosła wzrok na ciotkę. Bardzo powoli, z rozwagą, starannie dobywała słowa.

– *Nano...* ten niski... patrzył... i ja patrzyłam. Jego brat zabił moją matkę.

Jacquetta błyskawicznie dopadła siostrzenicy, przyklękła przy niej i ujęła jej dłonie w swoje. Ale milczała, pozwoliła dziecku mówić powoli. Jej głos, choć cichy, rozbrzmiewał wyraźnie:

– Weszli do naszego domu w tamten majowy poranek. Światło było mętne i dziwne. Ja stałam za uchylonymi drzwiami. On mówił do swojego brata „Maurizio” i śmiał się, gdy ten człowiek wpychał się na moją matkę.

Krzyczała – ciągnęła Mia cicho – a kiedy było po wszystkim, on przerwał jej krzyki. Przeciął jej piękne gardło, ciociu. Potem wyciągnął jej język przez otwór. Słyszałam bulgot, jakby wody, i bełkot. A potem to ucichło. Wszystko ucichło.

# **CZEŚĆ DRUGA**

# 15

## PONIEDZIAŁEK 11 CZERWCA 2007 ROKU, OKOLICE SIENY, TOSKANIA

Po forsownej dwudziestominutowej jeździe krętą górską drogą przez gęsty las Maddie wreszcie wyjechała, i to z ulgą, na otwartą przestrzeń. Droga objeżdżała złotożółte miasto na szczycie wzgórza, połyskujące w upale doskonałego letniego dnia. Maddie otrząsnęła się z transu po długiej podróży, by podnieść na nie wzrok. Miasto strzegło biegnącego w dole szlaku. Czerwone dachówki i urokliwe kominy przypominające gołębniki tworzyły łagodny obrazek, chociaż samo miasto było stare i okazałe.

– *Non e lontano adesso!*

To odezwał się jej wiecznie radosny kierowca, Gori, który odebrał ją z lotniska w Pizie. Maddie nie posiadała się ze zdumienia, że uśmiech w zasadzie ani na chwilę nie schodził mu z ust, nawet w okrutnym czerwcowym ruchu na słynącej z imienia i zatłoczenia Via Aurelia. Ale po półtorej godzinie w samochodzie Maddie czuła coraz większe znużenie i żałowała, że w ostatnim samolocie, przed tymi milami krętej trasy, zjadła śniadanie. Z radością przyjęła informację, że już niedaleko.

Wyjechała ledwie przygotowana do podróży, na trzy tygodnie zostawiając Samanthę, Nevę i Stormtree. Racjonalny umysł kazał jej się zastanawiać, jakim cudem szefowa w ogóle tak chętnie się zgodziła na jej wyjazd. Ciągle zostało do przeanalizowania dużo materiału dowodowego w postaci dokumentów do sprawy Stormtree i tyleż mozolnej roboty polegającej na wyszukiwaniu błędów. Ale Samantha powiedziała, że urlop dobrze dziewczynie zrobi, wyostrzy jej umysł i rozbudzi wolę walki. No i przyjechała, ciągnąc za sobą wielką i małą torbę, skrywając oczy i myśli za wielkimi ciemnymi okularami, i nie mając pojęcia, co zastanie na

miejscu. Tu, w południowej Toskanii, miała ją przyjąć przyjaciółka jej babci, i chociaż Maddie nie знаła swojej gospodyni, bardzo chciała wyjechać. Zmienić powietrze i twarze – nawet jeśli zagadkowe sugestie *nonny* Isabelli o „odnalezieniu siebie” były zbyt niejasne, by się nimi przejmować.

Gori zjechał z szosy na nieciekawą drogę gruntową z jednej strony okoloną zaroślami oleandra, a z drugiej kilkoma wysokimi topolami. Droga zdawała się prowadzić donikąd. Nagle samochód skręcił nieoczekiwanie w prawo, w stronę bramy, która niegdyś musiała być okazała, a teraz pyszniła się lekko rdzewiejącym kutym żelazem. Maddie dojrzała łagodną ochrową kamieniarzkę i typową dla Toskanii linię wielkiego dachu z czerwonymi podwójnymi rzymskimi dachówkami, a potem nagle ujrzała dom. Gwałtownie wciągnęła powietrze. To renesansowy *palazzo*! – pomyślała. I poczuła drżenie rozkoszy, jakby znowu była małą dziewczynką. Wygląd przybytku napełnił ją nabożną czcią.

Gori zaparkował i już wyciągał torby Maddie z bagażnika, gdy ona sama wyskoczyła z auta. Powitał ją uroczy pies o bardzo ludzkim, pomarszczonym pysku, na próżno próbując całkowicie przykuć jej uwagę. Maddie nie mogła oderwać wzroku od stojącego przed nią budynku. Dwa piętra wielkich eleganckich okien podkreślone rzędem balkoników o żelaznych balustradach świadczyły o jego cichym dostojności. Zastanawiała się, jak to możliwe, by znajdował się tu zajazd.

– Eleanore – odezwał się Gori, wskazując psa.

Maddie kiwnęła głową i przyklęła, by poklepać zwierzaka, po czym podążyła za nim i za swoim kierowcą wzdłuż niskiego rzędu bukszpanu i wyższego żywopłotu wawrzynu. Weszła na podwórko, na którego środku rosło drzewo oliwne wyglądające, jakby rozkwitało tu od tysiąca lat. Pod stopami chrzęściły jej białe kamyki, gdy w ślad za Gorim i psem minęła stare donice pełne kwiatów i dotarła do drewnianych składanych drzwi, chyba osiemnastowiecznych. Zanim palce Goriego dosięgły klamki, drzwi

się otworzyły, a ku Maddie wyciągnęła ramiona elegancka blondynka około czterdziestki, szeroko się uśmiechając.

– Madeline! Nie masz pojęcia, jak się cieszę na twój widok – powiedziała ciepło. – Jestem Jeanette. Tacy jesteśmy szczęśliwi, że przyjechałaś!

Posługiwała się doskonałą angielszczyzną z delikatnym akcentem, który Maddie przyporządkowała do północnej Europy. Zupełnie tego nie oczekiwała.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie – odrzekła Maddie. – Jestem trochę oszołomiona pięknem tego domu.

– Cóż – Jeanette się roześmiała – kiedy go znaleźliśmy kilka lat temu, niezupełnie tak wyglądał. Ale bardzo się cieszę, że ci się podoba. I na jakiś czas jest też twoim domem. Mam nadzieję, że będziesz się tu czuć jak u siebie.

– To bardzo miłe z twojej strony – odparła Maddie grzecznie, choć czuła, że słowa gospodyni nie są zwykłą kurtuazją.

– Jeśli jesteś zmęczona, mogę ci pokazać twój pokój. A jeśli wolisz rozprostować nogi, może chciałabyś się ze mną przejść po ogrodach, a Gori zaniósłby na górę twoje bagaże.

– Zdecydowanie wolę rozprostować nogi – wybrała Maddie. – Trochę się nasiedziałam.

– Doskonale. Gori, *porta il bagaglio in „Pellegrino”, por favore* – powiedziała. – A my, Maddie, weźmiemy sobie coś do picia i się przejdziemy.

Gospodyni wprowadziła Maddie do wielkiego holu z chesterfieldem i dwoma skórzanymi fotelami ustawionymi wokół niskiego stolika przed starym kamiennym kominkiem. Lekka woń dymu drzewnego sugerowała, że pogoda ostatnio należała do zmiennych. Imponujące schody naprzeciwko drzwi podsycaly ciekawość Maddie. To właśnie u szczytu tych schodów zniknął teraz Gori z jej bagażem, podczas gdy ona z gospodynią przeszła krótkim korytarzem do ogromnej kuchni.

Maddie czuła nadzwyczajny spokój, a jednocześnie wokół niej trwała krzątanina. Elektryk właśnie dopasowywał i przygotowywał do powieszenia wielki żyrandol. Stolarz kończył szafkę. A przez szklane drzwi Maddie dojrzała szczupłego, ciemnowłosego mężczyznę z cygarem zwisającym z ust, w skupieniu nanoszącego pędzlem farbę na ścianę. Słyszała, że malarzowi do pracy przygrywa Jimi Hendrix.

– Prace trwają – wyjaśniła Jeanette, podchodząc do ekspresu do kawy o gabarytach przemysłowych. – Tak długo już w tym siedzę, że nie wiem, jak się poczuję, gdy wszystko się skończy!

– Kiedy go kupiłaś? – spytała Maddie, kiwnięciem głowy potwierdzając, że chce mleko do kawy.

– Już sześć lat mija. I byłam pewna, że po siedmiu latach będę otwierać doskonały hotelik. Ale zastanawiam się, czy dożyję!

– Dla mnie już wygląda niesamowicie. – Maddie wzrokiem pochłaniała wysoki sufit, przytulną francuską, czy nawet gustawowską atmosferę kuchni, z jej dziewiętnastowiecznym kredensem o przeszklonym froncie, na całą ścianę, skromny stół jadalny z zabytkowymi krzesłami. – Dużo jeszcze chcesz tu zrobić?

Jeanette się uśmiechnęła, a wzrokiem zasugerowała, że za długo by opowiadać na ten temat.

– Zanieśmy kawę do ogrodu – zarządziła.

Poprowadziła gościa przez kolejne dwuskrzydłowe szklane drzwi na szeroki kamienny taras, ciągnący się wzdłuż całego budynku. Maddie zaniemówiła. Już pierwsze wrażenie na widok niskich białych foteli ustawionych przy zewnętrznym palenisku i donic z owocującymi drzewkami cytrynowymi ustawionych na trawniku od frontu pozbawiło ją tchu, ale teraz przyblakło wobec pejzażu rozciągającego się hen, daleko, za krańcem ogrodu.

Jeanette zauważyła reakcję Maddie i bardzo ją ona ucieszyła.

– Ma dwie nazwy – powiedziała. – W najstarszych dokumentach znalazłam „Val di Cellole”, a mniej więcej od końca średniowiecza jest



notowany jako „Valle Serena”.

Maddie szła przez trawę z Jeanette. Dolina Spokoju. Kiwnęła głową, pojmując bez wyjaśnienia, skąd się wzięła ta nazwa. Wzgórza, wysokie niemal jak góry i niebieskie, przyciągały wzrok za falistymi zielonymi polami. Nigdzie nie było widać drogi, słupa elektrycznego czy telegraficznego. Wyglądało tu niewątpliwie tak samo jak przed wiekami.

– Może to dlatego, że naszymi sąsiadami byli mnisi w opactwie jakąś milę dalej wzdłuż rzeki. I podobno obowiązywała ich reguła milczenia. Ale dzisiaj jest dokładnie tak samo spokojnie!

– Owszem – przyznała Maddie. – I wyobrażam sobie, że przede wszystkim ten widok nakłonił cię do zakupu.

– To zabawne – Jeanette z uśmiechem potrząsnęła głową – ale myśmy w ogóle nie mieli pojęcia, że Valle Serena tu jest. Nikt nie wiedział.

Maddie spojrzała na nią, pytająco przechylając głowę.

– Kiedy przyjechaliśmy, cały tamten skraj ogrodu zajmowały chlewnie, i nic nie było za nimi widać. Dopiero gdy je rozebraliśmy, znaleźliśmy dolinę. Nawet miejscowi o niej nie wiedzieli. – Roześmiała się. – Świnie miały tu najlepszy widok.

Maddie porwały te widoki bez reszty. Razem z gospodynią przeszła przez cytrynowe trawniki do ogrodu w stylu angielskim. Minęły fontanny i strumyki, a Jeanette opowiadała o przedłużającej się realizacji projektu, który się zaczął tyle lat temu, gdy ona i jej mąż Claus znaleźli dom na miesiąc miodowy. Maddie nie mogła sobie wyobrazić, ile pieniędzy w to zainwestowano, ale widziała, że mnóstwo miłości i wizjonerstwa. Wyglądało tu jak w tajemniczym ogrodzie, miejscu, które od lat omijał i czas, i ludzie, dopóki Jeanette nie wyrąbała drogi przez ciernie i pocałunkiem nie obudziła domu do życia.

– Tam gdzie ustawiliśmy mur ogrodu różanego, znaleźliśmy nawet kilka pochowanych ciał – opowiadała Jeanette. – I nie byliśmy pewni, czy to robota dla policji czy dla archeologów. Ale to historia na później, przy kieliszku dobrego wina i kolacji.

Na twarzy Maddie odmalowało się zdumienie.

Jeanette znowu się roześmiała – cudownie rubasznym śmiechem.

– Myślę, że w tej chwili powinnam chyba ci pokazać twój pokój, a ty może odpoczniesz chwilę, zanim zjemy późny lunch?

– Z przyjemnością. – Maddie kiwnęła głową.

W ślad za gospodynią podążyła do środka, gdzie odebrała klucz z niewielkiego biura przy kuchni. Gdy wracały tą samą drogą, okazało się, że w holu Jimiego Hendrixa zastąpiły delikatne dźwięki opery. Maddie przywitała się z dziewczyną, podpinającą obrąb zasłony w ogromnym oknie, które oświetlało schody naprzeciwko głównego wejścia, i z malarzem pracującym teraz na dolnych stopniach schodów. Malował *trompe-l'oeil* przedstawiające poręcz z liny. Maddie uśmiechnęła się szeroko.

– To Peter – przedstawiła Jeanette. – Od miesiący maluje freski, które zobaczysz w niektórych pokojach. W twoim jest zupełnie wyjątkowy.

Maddie przywitała się uśmiechem.

– Podoba mi się pański gust muzyczny – powiedziała, a on z emfazą skinął jej głową.

Wkrótce dotarły do szczytu schodów, gdzie Jeanette wyjęła z kieszeni klucz z frędzlami. Maddie czekała, aż gospodyni przekręci go w zamku, a tymczasem czytała słowa wymalowane na nadprożu: „Via del Pellegrino”.

– O twoim pokoju jest kilka wspaniałych opowieści, Madeline – wyjaśniła Jeanette, przekręcając gałkę – ale nosi nazwę Drogi Pielgrzyma, ponieważ wychodzi na pradawną ścieżkę, która prowadzi zakosami do San Galgano.

Drzwi się otworzyły, a Maddie stanęła jak wryta. Jej usta otworzyły się w niemym „och”, choć o tym nie wiedziała. Najpierw omiotła wzrokiem pokój z łazienką, gdzie za przeszklonymi drzwiami pyszniła się wspaniała wolno stojąca wiktoriańska wanna na lwich łapach ze złoceniami. Szybki w drzwiach mieniły się jak kryształ. Potem zobaczyła piękne antyczne

łóżko, delikatnie, kobieco niebieskie, a naprzeciwko niego fresk, o którym wspomniała Jeanette. Przedstawiał mężczyznę prowadzącego obładowanego konia jucznego po trakcie obrosniętym strzelistymi cyprysami ku rotundzie na szczycie wzgórza. Wszystkie barwy były kremowo łagodne, z różanym nieco wschodem czy zachodem słońca, a gdy weszły razem do pokoju, całość wywarła na Maddie oszałamiające wrażenie.

– To niesamowite – powiedziała, przygryzając dolną wargę.

– Willa przez setki lat służyła pielgrzymom – wyjaśniła Jeanette – a ten pokój wychodzący na starą drogę od razu wydał mi się wyjątkowy. Wydał mi się idealnym miejscem, by się wyszorować do czysta, uwolnić od balastu i niepokoju. To miejsce do odświeżenia duszy. Dlatego widzisz wannę, gdy tylko otworzysz drzwi, i malowidło prowadzące cię do własnego celu pielgrzymki.

– Nie wiem, co powiedzieć. Po prostu dziękuję, że mnie przyjąłś. – Uściskała gospodynię.

– Zostawię cię, żebyś się odprężyła i rozpakowała, może wzięła prysznic, jeśli chcesz. Zejdź na dół, jak będziesz gotowa, to poszukamy czegoś do jedzenia.

Maddie weszła głębiej do pokoju i nagle na niewielkim biurku dostrzegła wielką kopertę ze swoim nazwiskiem.

– Ach, zapomniałam! – krzyknęła Jeanette. – To przyszło bodajże wczoraj, przesyłka specjalna. Musiałam podpisać odbiór! Ciekawe, co jest w środku. – Jej oczy zaiskrzyły się do Maddie. – W każdym razie niedługo się zobaczymy. Isabella uprzedzała, że świetnie mówisz po włosku, a więc *ci vediamo presto*.

– *Grazie mille, Jeanette* – odparła Maddie z powagą. A gdy drzwi się zamknęły, sięgnęła po kopertę i siadła na łóżku.

Przesyłka nadeszła ze Stanów Zjednoczonych, ekspresem. Otworzyła ją ostrożnie i zobaczyła folię bąbelkową oraz bibułkę chroniącą zawartość. W środku znalazła liścik i kolejną bibułkę spowijającą pudełeczko.

Przedarła się przez ostatnią warstwę opakowania i otworzyła pudełeczko, w którym leżała stara srebrna moneta o nieregularnym kształcie. Na niej widniały dwie twarze patrzące w przeciwne strony. Niewielka, wypisana na maszynie informacja głosiła: „Moneta Janusa, II w. p.n.e., prawdopodobnie etruska lub etrusko-rzymska, pochodząca z Volterra”.

Teraz Maddie odczytała liścik, który wprowadził ją w osłupienie.

„Ten gość to strażnik drzwi i bram. Mam nadzieję, że ten pobyt otworzy Ci coś interesującego. Spóźnione życzenia urodzinowe i serdeczności, P. G.”.

# 16

20 KWIETNIA 1347 ROKU,  
SANTO PIETRO IN CELLOLE, TOSKANIA

Zeszłej nocy pod baldachimem gwiazd Mia patrzyła, jak signora Toscano stoi w swoim specjalnym miejscu na skraju sadu, robiąc pomiary na niebie, rozciągając kciuk i palec wskazujący, a potem zapisując to z dziwnymi symbolami na planie ich ogrodu. Najwyraźniej wykreślała linie pod rośliny według księżyca i gwiazd. Jako że Mię Fra Silvestro w opactwie uczył sadzenia roślin zgodnie z fazami Księżyca, nie dojrzała w tym nic szczególnego. Z fascynacją jednak przyglądała się, jak przyjaciółka robi coś, czego ona jeszcze nigdy nie widziała. Szeroko otworzyła ramiona i podniosła palce wskazujące w niebo, na dwie strony, szukając – jak przypuszczała Mia – wiatru. Ponownie zanotowała coś na swoim szkicu, po czym wzięła Mię za rękę i wrócili do domu.

Przez siedem lat pracy u boku ciotki, wolno urodzonej gospodyni goszczącej pielgrzymów z każdego zakątka świata chrześcijańskiego, Mia czuła się zaszczycona, ilekroć otwierała drzwi, a także swój umysł na świat zarówno bogatych, jak i biednych. Hrabiowie i dworzanie, nawet król i dwie królowe odwiedzili willę podczas swoich wypraw. Ale także mniszki i mnisi, jałmużnicy, rycerze i ich damy, kupcy, urzędnicy i przedstawiciele pospólstwa. Wiedziała sporo o ich prostym życiu, o ich troskach, o poszukiwaniu na pielgrzymce ucieczki duchowej i oświecenia, o nadziejach na oczyszczenie duszy i ukojenie bólu przez uczciwą pracę i czystą wiarę. Często okazywało się, że w sprzeczności do zadeklarowanych zamiarów niektórzy żywią żarliwą zazdrość i uprzedzenia, a Mia odnosiła wrażenie, że irracjonalnie darzą nieufnością każdego, kto różni się od nich, przy czym są święcie przekonani o własnej wyższości. Inni, zarówno wysokiego, jak i niskiego urodzenia, mieli na względzie, że celem ich

podróży jest szukanie nieosiągalnego, odciążenie duszy przez współczucie i delikatne traktowanie współtowarzyszy. Mia uczyła się od nich, że życie często jest niesprawiedliwe i pełne niepokojących nierówności.

Przez te lata pomagania ciotce przy obsłudze pielgrzymów nigdy nie poznała nikogo takiego jak signora Toscano. Wciąż nazywała ją *la raggia*, pani światła, ale wiedziała, że służba mówi o niej *la bella pellegrina* – piękna pątniczka, przy czym to ona pierwsza użyła tego określenia. Cesaré, który był równie oczarowany jej blaskiem i słodkością, nazywał ją *La Toscana*, nie tylko tworząc żeńską formę nazwiska jej męża, ale także przekazując, że młoda kobieta jest ucieleśnieniem wszelkiego piękna i natury Toskanii. Jakby była duchem toskańskich wzgórz, słońcem i księżycem, i wsią – nie z Florencji, Pizy, Sieny czy Volterry, lecz z samej tutejszej ziemi. Ale w oczach Mii *la raggia* była mniej doczesna i miała gwiazdy w duszy. Imię jej pasowało, a ciotka Jacquetta nigdy nie spytała o prawdziwe. Po tym jak młoda signora straciła rodzinę w tak skomplikowanych okolicznościach, ciotka uznała, że drażliwe byłoby też pytanie o rodzinę. W jej życiu tutaj, w Villa Santo Pietro, nie miało to znaczenia.

I Mia wiedziała, że – podobnie jak ona – ciotka Jacquetta zaczęła się bardzo troszczyć o ich gościa, tę młodą kobietę, która – chociaż nikt z nich nie wypowiedział na ten temat ani słowa – została sierotą w absolutnie osobliwych okolicznościach, tak jak Mia. To, co usłyszała, w ogóle jej nie zaniepokoiło, ale stała się bardziej opiekuńcza wobec pary. Mia zdała sobie z tego sprawę, gdy ciotka wyznała siostrzenicy pewnego wieczoru, że „w ogóle sobie nie wyobraża, co ta dziewczyna przeżyła”. I natychmiast zapewniła młodych, że mogą zostać, jak długo zechcą. Potem przeniosła ich do najlepszego pokoju na piętrze, wychodzącego na drogę poniżej, tak żeby widzieli wszystko i wszystkich przybywających. Wychodził on też na piękny kawałek ogrodu przed starą kaplicą, gdzie wkrótce miały rozkwitnąć kwiaty i dwa cenne krzewy bzów damasceńskich, przywiezionych przez pielgrzymów. Był to zarazem ulubiony pokój Mii,

choć nie należał do największych.

Powód gościnności ciotki Jacquetty był oczywisty. Dzięki cierpliwości signory i dbałości o Mię dziewczyna odblokowała część swego ciała zamkniętą na głucho niemal przez siedem lat. Powstrzymując się od wydania głosu, chciała odciąć ból. Kochała swoją ciotkę, darzyła ją czułością, ale zauważyła, że zaczyna się w niej rodzić nowa siła. Zmierzyła się ze swoją przeszłością, ujawniając potworność śmierci, której szczegółów nie знаła nawet Jacquetta. Obraz matki zaczął ją nękać od nowa, całe tygodnie po tym, jak opowiedziała swój koszmar. Ale czuła się wolna do demona, niemego wewnętrznego oporu wobec opowiadania scen, których była świadkiem. Szczegóły umknęły, na przykład przyczyna, dla której jej matka padła ofiarą takiej przemocy, ale Mia była gotowa wysłuchać swojej historii, gdyby ciotka Jacquetta chciała z nią o tym rozmawiać.

Dzisiaj jednak, wczesnym rankiem dwudziestego dnia kwietnia – dokładnie trzy miesiące od przybycia przyjaciółki – miały już wiosnę, przyroda radośnie obudziła się do życia. Ostatni obfity śnieg spadł tego dnia, gdy pojawili się ludzie z Volterry – gdy namolna twarz z przeszłości chwyciła Mię za gardło niczym drapieżny ptak. Nowych i dawniejszych mieszkańców Villa Santo Pietro połączyła silna więź; i gdy dzielili swoje smutki i pielęgowali gwałtownie odsłonięte rany, niebiosa sypnęły nieustającym potokiem lodu. Tamtego popołudnia i wieczoru spadł taki śnieg, że jego pokrywa była grubsza niż długość ludzkiej nogi, czego najstarsi ludzie nie pamiętali. Starsza kobieta z gospodarstwa nieopodal willi powiedziała, że w życiu nie widziała takiego śniegu nocą ni za dnia – a miała lat ponad siedemdziesiąt. Ale zapobiegł on powrotowi straży volteriańskiej, ku uldze wszystkich; a Mia przypisała *la raggii* odpowiedzialność za tę pogodę.

W ciągu siedmiu następnych tygodni śnieg powoli topniał. Pola znowu się zazieleniły, głośnie od ptaków, a drzewa brzoskwiniowe i migdałowe pospieszyły z kwitnieniem. Pośród tej celebracji życia do willi powrócili

pielgrzymi i minstrele z wieściami i historiami z dalekich krajów. Najważniejszy dla Mii był moment realizacji ich projektu rajskiego ogrodu, miejsca, gdzie – jak powiedziała signora Toscano – mogło się wydarzyć nieoczekiwane.

Całymi tygodniami planowały i kreśliły, malując w najdrobniejszych szczegółach przestrzeń ogrodową o prostym planie i delikatnych kolorach, gdzie nie miał mieć dostępu ponury świat bólu i zgryzoty. Według słów signory Toscano tutaj mogły skupić umysł i zmobilizować swoją niestrudzoną energię dla wybranego celu.

– Nie możemy stworzyć lepszego świata – powiedziała do Mii, gdy malowały drzewka różane i irysy pośród ziół wszelkiego gatunku – dopóki go sobie nie wyobrazimy. To musi być miejsce piękne i czyste, ale także o najsubtelniejszym uroku. Spokojny punkt, który może w równej mierze gościć dziewicę, świętą czy boginię. Miejsce, w które ośmieli się wyprawić twój jednorozec.

Miał to więc być ogród, w którym mógł wyrosnąć lepszy świat, zarówno „święty, jak i czarowny”. Planetarny i ziemski. Astrologiczny, ale i religijny. Piękny i użyteczny. A w swej istocie tajemny.

Dopiero ostatniej nocy, godzinę przed spacerem na kres długich i nieuprawianych zewnętrznych ogrodów, dwie kobiety wreszcie ukończyły zawiły trzyczęściowy projekt. Było to istne dzieło sztuki, zdobione złotymi liśćmi, z olśniewającym niebieskim sklepieniem rozciągającym się przez górną część obrazu. Świat oświetlały stojące na lazurowym niebie słońce i księżyc pod postacią Porphyriusa i jego żony. Ich piękne oblicza patrzyły ze złoto-srebrnych orbit. Mia użyczyła twarzy wiatrowi. Jej włosy delikatnie roznosiły po okolicy płodne ziarna i chłodzącą bryzę. W tym rajku – otoczonym murem, okolonym strumykiem i zawierającym czterdzieści dwa gatunki starannie dobranych ziół i kwiatów – dominowały czerwienie, żółcie i barwa kremowa. Rośliny ciemnozielone i kwitnące na niebiesko znalazły miejsce przy granicy zewnętrznej, a w samym centrum signora Toscano wyznaczyła miejsce oznaczone pod stary kamień, który chciała



tam umieścić. Nad nim miało rosnąć drzewo morwowe, a wokół niego wszystkie białe rośliny, miały tam też znajdować się ścieżki, również białe. Zaplanowały szesnaście segmentów, odpowiadających działom nieba, z którego ich przodkowie odczytywali przesłania od bogów. Taki ogród signorze Toscano wydawał się święty i potężny.

Mia siadła promienna, dumna i oszołomiona pracą, którą wykonały, i pogrążone w dyskusji czekały, aż wyschnie ostatnia nałożona warstwa farb.

– Moja nauczycielka, *monna* Calogera, była również moją guwernantką – wyznała Mii signora Toscano. – Damą uczoną w mądrości przodków. Jej matka pochodziła z wysoko urodzonej rodziny mieszkającej w Volterze jeszcze przed czasami rzymskimi. A moja matka i ojciec chcieli, by ona ukształtowała mnie na sposób tradycyjny, żeby mnie uczyniła pobożnym i posłusznym stworzeniem. Nie mieli jednak pojęcia, że jej serce należy do innego świata. Ona uczyła się innych filozofii.

Mia, głosem wciąż cichym, ale nabierającym pewności, delikatnie wypytała przyjaciółkę:

– To ona nauczyła cię zastosowania ziół?

– Jej ojciec, Żyd, był chirurgiem – odpowiedziała tamta z uśmiechem. – Ów niezwykle człowiek pracował w *ospedale* franciszkanów w Volterze. I jak się domyśliła twoja ciotka, miał wiedzę o wiele szerszą niż ta dotycząca nastawiania kości. Podróżował i uczył się od mędrców w Aleksandrii i Granadzie, był szkolony w najbardziej tajemnych tradycjach swojego narodu. Nauczył swoją córkę myśleć i leczyć. A jej matka nauczyła ją innych pradawnych mądrości. Niektórymi *monna* Calogera podzieliła się ze mną.

Z tego skąpo zarysowanego obrazu Mia zrozumiała, że dla jej przyjaciółki guwernantka była bardziej matką niż ta rodzona. Mia nie wyobrażała sobie nawet bólu towarzyszącego świadomości, że rodzice pragną, by ich jedyne dziecko cierpiało i może umarło, byle tylko wykonało ich zalecenie. Pozbawienie jej pieniędzy albo wydziedziczenie – chociaż

straszne – stanowiłoby wystarczającą karę i nie należało do rzadkości. Prześladowanie i zagrożenie życia wydawało się Mii potworne i cieszyła się, że jej przyjaciółka miała bliższą i miłszą powiernicę i autorytet.

– A więc – powiedziała cicho – to idee *donny* Calogery będą rosły w naszym ogrodzie. Myślisz, że ona coś wiedziała o jednoroźcach?

Jej towarzyszka objęła ją delikatnie ramieniem i kiwnęła głową:

– Podejrzewam, że tak.

I teraz, w tym dniu nieskalanego wschodu słońca – pierwszego w znaku Byka, jak zauważyła signora Toscano – dwie kobiety zaniosły swój malowany plan w miejsce przeznaczone pod ogrody. Zostawiły za sobą *forno*, gdzie pieczono chleb, potem minęły niewielki budynek gospodarczy stojący w cieniu większego budynku; dalej kurnik, stajnie i stodoły, aż wzdłuż sadu i wielkiej łąki dotarły do granicy posiadłości. Tutaj, w godzinie przed zenitem słońca, trawa wciąż była wilgotna od rosy.

Dzwony w opactwie wzywały mnichów na modlitwę, gdy młode kobiety zaczęły na ziemi odmierzać krokami pierwszą część swojego planu. W ciągu mniej więcej godziny pokryły teren sznurkami i kamieniami, wyznaczając łukowate ścieżki i owalne przestrzenie o ściśle określonych wymiarach. Pierwszy segment miał być przygotowaniem do medytacji i refleksji, które miały nakarmić duszę w trzeciej części ogrodu, nieco dalej. Najważniejsze, że ten rejon był przeznaczony dla jednoroźca Mii. Ścieżka robiła pętlę i wiła się jak święty róg jednoroźca. Tę ścieżkę otaczać miały święte drzewa – w tym oliwne i granatowce, które podobno rosły zarówno w edenie, jak i Elizjum, i które wedle słów *la raggii* były magiczne i święte w każdym wyobrażeniu nieba, bez względu na religię. Całość miała się usadowić na kwiecistej łące, obrzeżonej roślinami poszukiwanymi przez jednoroźce. Starannie dobrały kolory. Signora Toscano wyjaśniła, że to labirynt, taki jak ten przedstawiony na ścianie katedry w Lukce, a jednocześnie o wiele prostszy. Z mocno pachnącymi narcyzami i orlikami, słodkimi fiołkami i rukolą oraz słodkim

marchewnikiem i przede wszystkim toskańskimi irysami, był to magiczny teren leśny ze studnią prawdy w samym sercu. Sad granatowców był poświęcony Dziewicy i Bogini. Mia te drzewa kojarzyła najsilniej ze swoją przyjaciółką. Cokolwiek jeszcze miały posadzić czy posiać, ten zagajnik lubiła najbardziej.

Zanim wyznaczyły kształty na surowym polu, słońce stało niemal w zenicie, i dziewczęta usiadły. Porphyrius przyniósł im zimną wodę, a Mia patrzyła wstydliwie, jak para obejmuje się i całuje. Próbowwała odwrócić wzrok, obserwując jaszczurkę połyskującą zielono pośród paru kamieni, wygrzewającą się w ciepłe. Ale signora Toscano zauważyła reakcję przyjaciółki, i gdy jej młody mąż odszedł, uśmiechnęła się do niej.

– Stąd zaczniemy, Mia, z pierwszego ogrodu gotowości. Jutro możemy go obsadzić, Porphyrius nam pomoże. Przywiózł sadzonki roślin z wielu ogrodów, w tym z Francji i z Lacjum. Ale zostawmy to na chwilę, podobnie jak maleńki drugi ogród, środkowy świat, miejsce odpoczynku. Ponieważ chcę cię zabrać od razu do trzeciego ogrodu, dopóki słońce jest w górze. Stąd wymierzmy krokami najważniejsze miejsce, nasz ogród najczystszej zachwyty i głębokiej religii. Będzie utkany z tajemnic, które wielu ludzi zapomniało, a niewielu umie powtórzyć. Słońce będzie tu ojcem, a Księżyc matką. Wiatr przyniesie dziecko, a Ziemia zostanie jego mamką. Każdy, kto się w nim choćby zdrzemnie, trafi we śnie na łono starych legend! I tam cicho zaśpiewamy pieśń najdawniejszej przeszłości, która przywoła twoją przyszłość. Utkamy ogród z utraconych tajemnic. To ogród rajski i ogród wieszczów. I alchemia wytworzy oszałamiającą moc. To, co teraz tu zrobimy, będzie spało, gdy każde nowe pokolenie będzie się bawiło w cieniu drzew. Ale nikt nie odczyni czaru ani nie cofnie odśpiewanej pieśni. Gdy przejdziemy od Barana do czuwania Byka, ze Słońcem w zenicie wiosennej mocy, z Księżycem w swoim najwyższym domu, w otoczeniu siedmiu służebnic niebios, to będzie właściwy czas.

ŚRODA 13 CZERWCA 2007 ROKU,  
BORGO SANTO PIETRO, TOSKANIA

Przez otwarte francuskie okno wpadał powiew, który poruszał szarozieloną jedwabną zasłoną. Maddie sięgnęła smukłymi palcami po zegarek na nocnym stoliku – dochodziła dziewiąta rano. Od pięciu miesięcy nie mogła porządnie zasnąć. Ale ostatnią noc spędziła tak samo jak pierwszą tutaj, w Borgo Santo Pietro. Gdy zwykle wyczerpanie połączyło się z pragnieniem poluzowania kontroli, którą tak długo sobie narzucała, całe jej ciało zanurzyło się w obłoku gęsiego puchu i pachnącego różami spokoju. I już nic do niej nie docierało, dopóki te same róże ponownie nie zawładnęły jej oddechem, napłynąwszy z ogrodu. Najpierw poczuła spokój, a potem otworzyła oczy i zobaczyła fresk z pielgrzymem posuwającym się powoli w stronę świątyni na wzgórzu, i już wiedziała dokładnie, gdzie się znajduje, choć pęd wydarzeń i długa podróż mogły ją zdezorientować. Od dwóch dni czuła się jak u siebie.

Woń dobrej kawy wyciągnęła ją z łóżka. Wsunęła stopy w miękkie kapcie z włókien bambusa, które ustawiła dla niej Jeanette. Włożyła szlafrok i ruszyła w stronę źródła zapachu. Różane światło wypełniało kuchnię, gdzie opadła na krzesło naprzeciwko dwóch obłoków blond włosów. Jaśniejsze należały do Jeanette, a ciemniejsze, złote, zdobiły głowę jej dwuletniego syna, Vincenta, który wraz z mamą radośnie spożywał śniadanie.

– Dzień dobry – powiedziała Maddie, a z chłopcem przywitała się delikatnym uściskiem dłoni.

– Dzisiejszego ranka twoja skóra wygląda pięknie – stwierdziła Jeanette – więc chyba dobrze spałaś.

– To prawda. Od miesięcy chodziłam zmęczona, a plany wycieczki do

Włoch zrodziły się w jednej chwili! Tyle było do dokończenia przed wyjazdem. Dopiero teraz pozwoliłam sobie na pełny luz.

– Ból wżera się w mnóstwo rzeczy, prawda? – Jeanette spojrzała na Maddie rzeczowo. – Zapominamy, że sen jest ważny. Zobaczysz, ten dom weźmie cię w objęcia, i poczujesz, jak mu się poddajesz.

Jeanette mówiła lekkim tonem, harmonizującym z delikatnością, z którą zwracała się do dziecka. I o ile Maddie zauważyła tę pierwszą aluzję do utraty Chrisa – do niewypowiedzanego powodu jej przyjazdu – o tyle nie odniosła wrażenia, że poproszono ją o jakieś tajemne wpisowe. Nie musiała niczego wyjaśniać. Odetchnęła z ulgą.

– Mogę ci przekazać łyżeczkę? – Jeanette poprosiła ją, by ponad stołem sięgnęła do Vincenta. – A ja zrobię ci poranne cappuccino.

Maddie obeszła długi stół, by się obok dziecka. Nigdy jej nie proszono o karmienie dziecka, a była młodsza z rodzeństwa i nie miała jeszcze siostrzeńców. Zastanawiała się, jakim językiem się posłużyć.

– *Ciao, Vincent!* – Uznała, że to dobry początek. – Mam do niego mówić po włosku? – Uśmiechnęła się szeroko do promiennej buzi malucha i natychmiast doszli do porozumienia.

– Ja na ogół mówię do niego po duńsku – poinformowała ją Jeanette, gdy strumień pary wystrzelił do mleka. – Ale jego pierwszym językiem powinien być angielski. I któregoś dnia zabierze się też do włoskiego. Dość dużo już rozumie, ale to dobrze mieć jasno określony język ojczysty, nie sądzisz?

Maddie z podziwem potrząsnęła głową.

– Żałuję, że babcia nie zaczęła mnie uczyć wcześniej. – Chłopczyk wziął pierwszą łyżeczkę, nie narzekając na zmianę karmicielki. – Gdy jako nastolatka pojechałam do Florencji, zrozumiałam, jak bardzo chcę się nauczyć włoskiego. Rodzice myślą, że mądrze zrobili, nie mieszając dziecku w głowie. Ale to zaleta mówić więcej niż jednym językiem. Myślę, że postępujesz absolutnie słusznie.

– Vincent musi być co najmniej dwujęzyczny – powiedziała

z delikatnym akcentem i roześmiała się. – Jego ojciec i ja mówimy do niego po angielsku, jak jego opiekunka. Ale musi znać równie dobrze duński, bo inaczej straci część siebie.

Jeanette postawiła przed Maddie jej kawę z kołyszącą się doskonałą pianką.

– Nie wiem czemu – powiedziała Maddie, nie przerywając karmienia malca – ale nie od razu zrozumiałam, że jesteś Dunką. Jak, na Boga, poznałaś moją *nonnę* Isabellę?

– Twoja babcia należy do tych cudownych ludzi, którzy jeśli kogoś polubią na tyle, by się z nim zaprzyjaźnić, biorą sprawy w swoje ręce. Do mnie los się uśmiechnął i miałam to szczęście, że się niejako odnalazłyśmy. Stała się moją wielką przyjaciółką tuż po śmierci mojej matki. Claus i ja poznaliśmy ją w Londynie przez włoskiego przyjaciela. A potem spotkałyśmy się nad Como, później we Florencji, gdzie mieszka zaprzyjaźniona z nią rodzina Ferragamo. Zawsze jakoś na siebie wpadałyśmy.

Maddie już wiedziała, o co chodzi. Jej babcia uważała, że dwa przypadkowe spotkania to znak, iż ludzie powinni się zaprzyjaźnić. Trzy to zgoła boska interwencja!

– Bardzo się cieszę. – Kiwnęła głową i podała gospodyni łyżeczkę.

Rozmowę przerwało pojawienie się Justiny, niani Vincenta. Świeżo wykąpana miała rozpocząć długi dzień pracy. Gdy wyciągała rozkosznego malca z krzesełka, Jeanette się roześmiała.

– Wygląda jak aniołek, prawda? Ale trzeba mieć kondycję komandosa, żeby za nim nadążyć!

Maddie patrzyła, jak blond głowa w akompaniamencie śmiechu znika z pokoju, i zajęła się swoją kawą, owocami i serami, które Jeanette wyłożyła na małym stoliku. Razem chwyciły talerze i wyniosły je na stół na tarasie, gdzie znajdowały się również naprzeciwko siebie dwie obite płótnem kanapy. Tu jadły też śniadanie poprzedniego dnia. Maddie przystanęła, by odetchnąć pięknem czerwcowego poranka nad Valle

Serena. Już się robiło ciepło i musiała się uszczyplnąć, by zrozumieć, że nie idzie tego dnia do pracy, nie będzie walczyć z tłumami w środkach komunikacji miejskiej San Francisco.

Jeanette usadowiła się na kanapie naprzeciwko Maddie.

– No to skoro miałaś dzień na złapanie oddechu i porządne rozpakowanie, zamierzam cię dzisiaj rano porwać do Chiusdino, które widać na wzgórzu. Pomyślałam, że chciałabyś zerknąć na autentyczne średniowieczne miasto, które nie jest tak eleganckie jak Siena i nie wystawia straganów dla turystów. Jeśli o nich chodzi, możesz ich zaakceptować lub nie, ja akurat turystów uwielbiam. Ale mam mnóstwo roboty, bo jutro wieczorem przyjeżdża z Londynu Claus. W tym tygodniu będzie wcześniej.

Z wczorajszych rozmów z Jeanette Maddie zrozumiała, że jej mąż pracuje w tygodniu w Londynie i na ogół przylatuje na weekend, ale w związku z tym mnóstwo pracy fizycznej i organizacji spada na Jeanette.

Spojrzała na nią znad filiżanki z kawą.

– Musisz za nim tęsknić.

– Uwielbiam mu pokazywać, co udało się zrobić w tygodniu – zachwycała się. – Ale tym razem przywozi coś dla mnie. Przyjeżdża z nim architekt, który może zrobić nasz średniowieczny ogród, jeśli zaakceptuję wybór. – Zmarszczyła nos jak mała dziewczynka.

– Planujesz jeszcze jeden ogród? – spytała Maddie zaskoczona. – Dla mnie te, które są, już wyglądają doskonale.

– O tak! Najważniejszy dopiero stworzymy!

Maddie z ciekawością przechyliła głowę i Jeanette pochyliła się nad trzcinowym stolikiem kawowym, by wyjaśnić.

– Najpierw zaprojektowaliśmy teren dokoła domu, a zanim w domu ktoś zamieszkał, minęło sześć lat. Zabawne, prawda? Powstał basen z bezkresną krawędzią, tak abyśmy mogli pływać; i fontanny, i sady. Ale żeby się położyć do łóżka, takie miejsce pojawiło się dopiero w zeszłym roku. Biwakowaliśmy z Vincentem w starej piekarni, spaliśmy nad

olbrzymim piecem, w którym pielgrzymi wypiekali chleb. Ale kiedy któreś nocy przyjechałam z nim z Mediolanu i znalazłam skorpiona w pościeli, uznałam, że może czas już zabrać się do przygotowania domu!

– Uch! – Twarz Maddie wykrzywiła się na wzmiankę o skorpionie. – W pościeli?

Jeanette roześmiała się głośno.

– Widziałam gorsze rzeczy, uwierz mi. Na przykład idę sobie z dzieckiem w wózku, a tu locha z młodymi! Skorpion to przy niej pikuś. I wcale nie w lesie. Nie trzeba się starać, żeby spotkać lochę w miasteczku, oczywiście o właściwej porze roku! W każdym razie – kiwnęła głową i skubnęła plaster gruszki – podjęłam szybką decyzję o wykończeniu domu i odłożeniu zakładania ogrodów na jakiś czas. Co oznacza, że ciągle mam do zrobienia coś ciekawego, z tego co słyszałam od najstarszych miejscowych.

Maddie pojadała lekkie śniadanie i nagle podniosła wzrok na Jeanette.

– Jakież to musi być ogromne przedsięwzięcie. Jakie śmiałe. Myślałaś czasami, że to cię przerasta?

– Poczułam się niepokonana, gdy wykopaliśmy granatowca, który zakorzenił się w domu. Jego konary sięgały aż do twojego pokoju! – Na jej twarzy odmalowało się rozbawienie. – I wielkim osiągnięciem była wymiana desek podłogowych, które wisiały nad pustą przestrzenią na górze. Wyobrażasz to sobie? Niemal czterdzieści osób spało na tym piętrze w czasie wojny, żywiąc się świniami i kurami, a ile mogli wyhodować na tych wszystkich hektarach?

Maddie potrząsnęła głową. Nie mogła sobie tego wyobrazić, naprawdę. Dom był teraz piękny, bardzo duży i wygodny, najwyraźniej kiedyś prezentował się świetnie. Ale tyle osób ledwo wiążących koniec z końcem na wsi w okresie takiej biedy i cierpienia przerastało doświadczenie Maddie.

– Jesteś silną kobietą, Jeanette – powiedziała. – Niesamowite, że cały czas masz w głowie to, co chcesz tu zrobić.



- Ach nie! – Odpowiedź padła tonem, który mówił: „Wręcz przeciwnie”.  
– Maddie, jakiś rok temu postawiłam tablicę „Na sprzedaż, 1 euro!”.

Maddie wybuchnęła śmiechem.

- Daj spokój! I jak długa była kolejka chętnych?

– Ani jeden się nie pojawił – odparła Jeanette z szerokim uśmiechem. –  
Wszyscy wiedzą, ile trwają starania o pozwolenia, czekanie na zgodę na  
usunięcie wychodka z podwórka. Ciągle nie znaleźliśmy dobrego źródła  
wody, co wymagało zatrudnienia różdżkarza. I pielęgnowania nadziei, że  
jest dobry. Jak powiedział Verdi: „Weźcie sobie cały świat, a mnie  
zostawcie Włochy”. I miał absolutną słuszność. Ale to nie jest takie proste  
i naprawdę można się wykończyć.

– Ach, a te kości, które odkopaliście – przypomniała sobie nagle  
Maddie. – Miałaś mi o nich opowiedzieć, ale padłam i wczoraj,  
i przedwczoraj, przepełniona twoim cudownym chianti.

– Ooo, przerwanie prac przez kości. – Jeanette kiwnęła głową  
i uśmiechnęła się figlarnie. – Zostawmy to na kolację jutro wieczorem, gdy  
przybędą panowie. Właśnie dotarło do mnie dużo nowych wiadomości na  
ten temat. Claus się zdziwi.

– Dobra, mogę poczekać. Na tę historię i na te tajemnicze, pociągające  
rzeczy, które opowiedzieli ci miejscowi. A może dzisiaj ci w czymś pomogę?  
Odciążę cię w obowiązkach przed ich przyjazdem?

Jeanette ucieszyła się jak dziecko.

– Oczywiście! Za pół godziny Peter i Milo przyjadą wykańczać te freski  
z drzewkami cytrynowymi w jadalni. Postarają się skończyć przed  
przyjazdem Clausa. A ja chcę pofarbować trochę tkanin tu, na tarasie,  
dopóki pogoda dopisuje. Co ty na to?

Maddie kiwnęła głową.

– Wygląda mi to na warsztaty ze średniowiecza. Już lecę wziąć  
prysznic, zanim przybędą twoi piękni Cyganie!???

– A kiedy będą schły po południu, zabiorę cię do miasteczka na kawę –  
dodała Jeanette, wstając. – Siena musi poczekać do weekendu, dobrze?

– Mam jeszcze niemal trzy tygodnie toskańskiego lata, dzięki twojej gościnności i uprzejmości mojej szefowej. A codziennie coś mnie absorbuje tu, na miejscu.

Powiedziała to z zarem i energią, a miała świadomość, że ostatnio to niecodzienna nuta w jej głosie. Właśnie zaczęła rozpoznawać odrobinę dawnej siebie. Gdy wyszła z tarasu i ruszyła do środka, usłyszała wesoły głos Jeanette.

– Borgo rzuca na ciebie zaklęcie. Mówiłam, że tak będzie.

# 18

21 MAJA 1347 ROKU,  
SANTO PIETRO IN CELLOLE, TOSKANIA

Ścieżka biegnąca przez zbocze od majestatycznej willi Santo Pietro in Cellole mijala niewielkie chłopskie chaty, przecinała stary pątniczny szlak, używany od czasów rzymskich, i wila się dalej delikatnie ku dzikim zielonym polom, które stanowiły granicę z włościami wioski Palazzetto. W każdą stronę rozciągał się stąd widok zapierający dech w piersiach, bez względu na porę roku i dnia, na sady, które ciągnęły się aż do rzeki i łączyły z sadami opactwa, kwitnąc obficie wiosną i owocując szczerze jesienią.

O szóstej wieczorem, przy świetle jeszcze delikatnym i różowym, lecz już pod strażą pierwszej gwiazdy, dwie młode kobiety wyprawiły się wyświęcić swój rajski ogród. Starsza mówiła do młodszej głosem, który szemrał słodko niczym płynąca woda.

– Nasz naród to żeglarze, panowie statków i fal. Rzymianie nadali im nazwę Tusci, Etruskowie – mówiła signora Toscano – ponieważ budowali wielowieżowe miasta na toskańskich wzgórzach niczym mieszkańcy Troi, skąd podobno przybyli dawno temu. Ale ja wiem, że stawiali te domy na najwyższych miejscach, ponieważ stanowiły one punkty połączenia królestwa niebieskiego i ziemskiego. Miejsce łączności tych na górze z tymi na dole. A nasi przodkowie z Volterra i innych miast ich ludu nadali sobie nazwę Rasenna. Legenda mówi, że jeszcze za Cezara żyli tacy, co słyszeli i pamiętali utracony akord. Podobno bowiem na początku świata w chaosie niebios złożono maleńkie jajo. Chociaż takie malutkie, jedną połowę miało w doskonałej złotej barwie, i ta lśniła jak klejnot w ciemności; druga połowa zaś miała kolor najgłębszego granatu. Nagle pośród chaosu czarnych wyziewów i lodowatej wody zbudził się potężny

grzmot. Dźwięki grzmotu były bezmierne, niezgłębione – a jednocześnie nieogłuszające ani straszne. Tylko głębokie, niczym głos najstarszego i najmądrzejszego człowieka wołającego gromko. Ten grzmiący głos sprawił, że jajo pękło i nastąpiły gwałtowne narodziny, ale to głos przywołał zawartość jaja do istnienia. Ty, Mia – powiedziała – nazwałabyś go głosem Boga. Ale nasi przodkowie dali mu imię Ani, Janus dla Rzymian. Był pierwszym bogiem, bogiem nieba najwyższego i konstelacji. Gdy skorupka się rozpadła, z wnętrza dobył się inny głos. Ten należał do kobiety, śpiewającej cichą kołysankę tak pięknie i wysoko, że ludzki głos mógłby tylko się zdumiewać takimi dźwiękami, nie mając szans na ich powtórzenie. Pierwsze głosy zmieszały się w harmonii, najwyższy i najniższy; z ich pieśni wyszły słońce i księżyc, wiatry i chmury. Burza szalała i kolejny huk piorunu obudził rozumne rośliny i zwierzęta, i wszystkie formy życia tutaj i w niebiosach wokół nas. Gdy jajo pękło szerzej, jedna połówka przeniosła się w najwyższe niebo, a druga w najgłębsze głębiny, a morze i niebo się oddzieliły. Mówiono mi, że jajko ciągle pęka w ten sposób, a co godzinę rodzą się nowe gwiazdy i królestwa poza zasięgiem naszego wzroku. Ale najjaśniejsze złoto i lazurowy błękit – przeciwne połówki jajka – użyczyły swoich barw, by odmalować naszą noc i dzień. Na początku muzyka tworzenia była znana wszystkim; nie było nikogo, kto by jej nie rozumiał, do kogo by nie dotarła, ponieważ to nie był język, lecz pieśń, która poruszała w równym stopniu duszę i umysł. A pamięć o jaju i o pieśni popłynęła na wschód i na południe, na północ i na zachód. Teraz jednak niewielu pamięta tę melodię. Niektórzy podobno byli na tyle błogosławieni, że zachowali więź z tym zapomnianym akordem, by pamiętać chociaż jakiś fragment jego harmonii. Ci zostali wybrani na augurów, którzy odczytywali przesłania jednego wszechświata z ruchu ptaków – niebiańskich posłańców – w szesnastu przedziałach boskiego nieba. Choć jednak pierwsze dźwięki zostały dawno zapomniane przez wszystkich prócz nielicznych, prawda o symbolu jaja przetrwała i towarzyszy nam wszystkim, Mia. Trwa w wielkim kościele Mądrości

Bożej w Konstantynopolu, i w świątyniach Egipcjan i Greków, i w grobach bohaterów i męczenników w Rzymie; a Wergiliusz pamiętał jego moc i osadził ją w Castel dell'Ovo w Zatoce Neapolitańskiej. A w okresie, który wy świętujecie jako Wielkanoc, piękne jajka uformowane z marmuru, srebra czy alabastru składano w ofierze w świątyniach.

Tak zachowujemy więc z naszymi przodkami, tymi, którzy żyli w Volterze przed nami. Wspominając zaklęcie pierwszej pieśni, rozumieli, że Ani był także Aną, w równej mierze mężczyzną, jak kobietą, o dwóch twarzach. I zachowali ten zrównoważony status mężczyzny i kobiety w swojej kulturze. Kobiety nigdy nie straciły więc głosu i zawsze ich słuchano. A w ich grobach i świątyniach, ich domach i ogrodach, umieścili i czcili jajo jako symbol początku wszelkiego życia i powrotu do jedności.

Signora Toscano i Maria Maddalena dotarły już do ogrodów, które zaprojektowały jako odzwierciedlenie raj. Jeden był labiryntem, królestwem medytacji poprzez chodzenie. I ten prowadził do drugiego, w którego otwartą przestrzeń wchodzi się w ciszy po wiedzę. Tu znajdowało się miejsce odpoczynku, przestrzeń, w której należało przystanąć i zastanowić się nad celem, by skoncentrować wolę. Trzeci ogród był święty, otoczony żywopłotem, a jednocześnie w powijkach. To było miejsce akcji, pępek ich świata. Tak wyglądał ogród w raj, gdzie boskie drzewo stanowiło centrum, a cztery rzeki wyznaczały cztery punkty kompasu.

Tu i teraz w świetle pierwszych muśnięć gwiazd na niebie wciąż przybranym w rozmaite barwy wczesnego wieczoru umieściły razem – i z wielkim wysiłkiem – stary kamień przywieziony przez Porphyriusa z ruin rodzinnego domu jego żony, w Volterze. Był to wielki owal – jajo, powiedziała signora Toscano – i widniały na nim jeszcze żłobienia biegnące w różnych kierunkach, układające się w zdobne wzory niczym węzły zawiązane na wielkiej sieci.

U stóp starannie wybranej morwy – kluczowego drzewa w ich ogrodzie – ustawiły jajo. Tu śpiewały kołysankę ze swoich wcześniejszych

wspomnień, gdy każda z nich miała matkę i czuła się bezpiecznie. Zaśpiewały kilka słów, ale lekki wiatr poruszył się w liściach, by do nich dołączyć.

CZWARTEK 14 CZERWCA 2007 ROKU,  
BORGO SANTO PIETRO, TOSKANIA

Maddie obudziło słońce, które wcześniej dotarło do jej okna. Uśmiechało się do niej, ale w porannym powietrzu dominował nieoczekiwany chłód. Przewróciła się na bok i naciągnęła kołdrę na głowę, by pospać choć chwilę dłużej. Słyszała charakterystyczne gruchanie gołębi na dachu, co skojarzyło się jej z domem *nonny* Isabelli.

Kojąca nierealność Borga i osobliwy wpływ całego otoczenia podnosiły ją na duchu. Jakby odsuwały od niej część poczucia pustki, które jej towarzyszyło od śmierci Chrisa, jakby odrobinę ją łączyły z bieżącym światem. Na pewno jej świadomość się wyostrzyła. Maddie czuła się pobudzona i ożywiona, na co przecież miała nadzieję jej babcia.

Nie było powodu, by cokolwiek ważnego wydarzyło się w Kalifornii, gdy ona spała po drugiej stronie globu. Wiedziała, że wszystko na świecie porusza się w swoim nieustająco powolnym tempie. Niemniej odnosiła wrażenie, że próbują do niej dotrzeć jakieś wiadomości. To właśnie ta ciekawość wreszcie wyгнаła ją z piernatów.

Wstała szybko, chwyciła laptop z parapetu, na którym się łądował, zadygotała, włączając go, i wskoczyła z powrotem do łóżka, sięgając po kołdrę. Z wygodnego legowiska patrzyła na ekran. W ciągu kilku sekund Vaio obudził się do życia, a Maddie kliknęła na ikonkę Safari, by patrzeć, jak pojawia się przeglądarka maili.

Dwie wiadomości przyciągnęły jej wzrok. Jedna od Harriet Taylor, matki Christophera, z którą nie miała kontaktu od kilku tygodni. Niejasno przeczuwała, co może zawierać, a gdy odniosła wrażenie, że jej żołądek podskakuje, uznała, że ta przesyłka może poczekać. Musi być całkowicie świadoma i zebrać się na emocjonalny cios, by sobie z nim poradzić. Ale

otwarcie drugiego maila wzbudziło w niej podobny opór, choć jednocześnie nie mogła się tego doczekać. Przyszedł z adresu yamchoud@hhc.com. Od razu zauważyła ikonkę załącznika wideo. To było coś nietypowego, ponieważ Yamuna w sumie nie należała do jej przyjaciółek korespondencyjnych. Ważne wieści przychodziły od Tylera, a komunikaty od Samantha – albo od niej samej, albo przez Jacintę.

Czy to złe wiadomości? – zastanawiała się Maddie, nim kliknęła na przesyłkę od Yamuny.

Powitała ją powiększona uśmiechnięta twarz, więc i ona się uśmiechnęła i odprężyła. Przeleciała wzrokiem obfitość wykrzykników, po czym zaczęła bardzo szybko czytać treść. Wyraz twarzy pełen zaintrygowania stopniowo przeradzał się w zmieszanie i niedowierzanie. Zanim dotarła do końca, postanowiła wrócić do początku i rozkoszować się całością jeszcze raz, czytając tym razem wolniej.

*Droga Maddie,*

*załącznik tylko dla Twoich oczu! Ależ podniecający dzień!*

*Wszystkiego dowiesz się z klipu, więc tą drogą nakreślę Ci tylko z grubsza, o co chodzi.*

*Dzisiaj rano przyszedłam wcześniej do biura. Zaraz po mnie wpadła Samantha w płóciennym garniturze koloru szatwii i pantoflach z wężowej skóry. Pomyślałam, że coś jest na rzeczy. Zapytała, czy mogę poprowadzić, i dodała, że dzisiaj muszę być Tobą. Stormtree wymusił na jakimś urzędniku sądowym specjalną rozprawę o 9.30, w Santa Clara – praktycznie bez uprzedzenia. Miała niecałą godzinę, żeby tam dotrzeć – a wiesz, jaki jest ruch o tej porze.*

*Zamieniłam się w Cagneya (a może to Lacey zawsze prowadzi?) i słuchałam, a Samantha mówiła szybko. Jak na kobietę, która nigdy nie traci kontroli, bardzo mnie zaskoczyła. Jeszcze nigdy nie słyszałam jej tak wkurzonej na Stormtree, przy wszystkich jej unikach i sztuczkach prawniczych. Umysł Samantha pracował szybko i perfekcyjnie – prawie jej para szła z uszu. Niemal jak przy spotkaniu Portii i Popeye'a!*



*Ledwo zdążyłyśmy do sądu – dosłownie ja się zatrzymałam z poślizgiem, a Samantha ruszyła pędem – Bóg jeden wie, jakim cudem wdrapała się na schody w tych obcasach. Po naszej stronie autostrady nie było chyba ani jednego patrolu, bo dostałabym wiadro mandatów.*

*Dobra, no więc kiedy wreszcie dotarłam na salę, Samantha przeproszała wysoki sąd za spóźnienie i wyjaśniała jego przyczyny. Potem nastąpiła półgodzinna czeza gadanina ze strony Stormtree – w wykonaniu twojego kolegi Gordona Hugo, ale więcej o nim później, LOL.*

*Ha, no! Zgadnij! Sędzia się po prostu WKURZYŁ! Podniósł wzrok i powiedział: „Widzę dziś pana w sądzie po raz setny, gdy mówi pan, że to, czego zażądała strona powoda, jest nieistotne dla sprawy i nieważne. Występowałem pańskich argumentów z pewną dozą cierpliwości. Nie widzę w nich żadnej wartości. Ostrzegałem pana przed takim postępowaniem. Dzisiaj więc nadszedł koniec tej gry na zwłokę i uników. Teraz marnujecie czas wysokiego sądu!”.*

*Maddie, trzy palce na sercu! Potem niemal wypluł to:*

*„Jeśli w ciągu dwóch godzin nie dostarczycie do sądu wszystkiego, o co wniosowała druga strona, poproszę biuro szeryfa Santa Clara, by wsadził pana do aresztu, dopóki osobiście nie zapoznam się wnikliwie z każdym dokumentem. Jestem bardzo zapracowanym człowiekiem, więc może mi to zająć kilka miesięcy. Czy wyraziłem się jasno? Koniec posiedzenia!”.*

*Rany, Maddie, myślałam, że Samantha go ucałuje! A to jeszcze nie wszystko. Kiedy wróciłyśmy do miasta, poszłyśmy coś przekąsić do Ferry Building, bo Samantha była w takim świetnym nastroju i uznała, że sobie zasłużyłyśmy. No i zgadnij tylko, kto już tam czekał przy Slanted Door? OMG – pooglądaj sobie! Przecież to wszystko Ty byś oglądała, bo pamiętasz: ja byłam Tobą. Możesz nadrobić, a mój telefon to Twoje oko! Lepiej się tym ciesz i może za bardzo nie analizuj.*

*PS Może powinnam to wrzucić na fejsa?*

*Mata Hari alias Yamuna*

*Całusy*

*Założę się, że Toskania powala!*

Maddie ten wstęp tak zaintrygował, że dwukrotnie nie trafiła kursorem w przycisk „Download”. Kiedy wreszcie film się zaczął ładować, o swoje dopomniął się pęcherz moczowy, który kazał jej wyskoczyć do łazienki. W pędzie chwyciła szklankę wody, potem wskoczyła z powrotem do łóżka i pod kołdrę, jak dziecko skrywające przed światem grzeszną tajemnicę.

Co ta Yamuna jej mogła przysłać?

Zmrużyła oczy, by skupić wzrok na pierwszym obrazku, nieco zamazanym, przedstawiającym damskie ucho paradujące z pięknym diamentowym kolczykiem. Potem niemal ukradkiem kamera się obróciła. Zupełnie jakby Yamuna rozmawiała przez telefon, a potem dyskretnie zaczęła filmować.

Kamera przesunęła się, by zaprezentować wnętrze wielkiej nowoczesnej restauracji, z prostymi stalowo-drewnianymi stołami i krzesłami, błyszczącym parkietem. Wszędzie czysto i świeżo. Maddie rozpoznała popularne miejsce na lunch, gdzie pomiędzy dwunastą a pierwszą wpadało wielu studentów prawa z pobliskich korporacji. Podawano tu dobre jedzenie, niezbyt drogie jak na lokalizację w porcie przy Ferry Building. Po wejściu człowiek widział wielki nowoczesny szklany front, który otwierał się też na ogródek zewnętrzny.

Dzisiaj nikt na zewnątrz nie siedział. Kamera zarejestrowała typowy dzień charakterystyczny dla San Francisco, z pięknym widokiem na Oakland Bridge spowity szarą chmurą. Przechodzień na promenadzie wydawał się dość ciepło ubrany jak na środek czerwca. A więc tam też jest chłodno, pomyślała Maddie, szczerzej opatulając się kołdrą i patrząc z ciekawością.

W głębi lokalu tłum przeredził się na tyle, że gdzieś tam pojawiły się wolne stoliki. Kelnerzy uwijali się pomiędzy pozostałymi klientami, przystając od czasu do czasu, jak czarno-białe sępy w swoich uniformach, z terminalami kart płatniczych w gotowości, szybcy w uśmiechu,

niezmiennie pełni nadziei na wysoki napiwek. Pastisz dobrego życia – pomyślała Maddie.

Gdy kamera się ustabilizowała, Maddie zauważyła, że pierwszy plan jest częściowo wypełniony tyłem głowy, zapewne Samantha. Nagle, ku niedowierzaniu Maddie, pojawił się tył głowy innej znajomej głowy. Były to niewątpliwie blond loki Jacinty Collins. Maddie zastanowiła się nad tym, analizując pełne napięcia zapowiedzi Yamuny – aż wreszcie kamera znalazła swojego prawdziwego bohatera. Nagle w środku kadru pojawiła się charakterystyczna sylwetka i twarz Gordona Hugo – i Maddie gwałtownie wciągnęła powietrze.

– O Boże! – powiedziała na głos. – To może być interesujące.

Siedział naprzeciwko Jacinty. W jednej ręce trzymał serwetkę, drugą właśnie miał nalać czerwonego wina z karafki. Maddie odniosła wrażenie, że jego lubieżny wzrok przylgnął trwale do głębokiego dekoltu Jacinty. Najwyraźniej jeszcze nie zauważył obecności Samantha ani Yamuny. Maddie roześmiała się głośno, po czym przygryzła dolną wargę. Trudno było sobie wyobrazić, co się działo w jego głowie, gdy podniósł wzrok i zobaczył nowo przybyłe, ale kamera utrwalała wyraz jego twarzy – a mówił on wszystko.

Oto człowiek przyłapany bez spodni, pomyślała, z cudzą żoną lub kochanką.

Na filmie prawnik Stormtree właśnie odwracał głowę, by spojrzeć w kamienną, poważną twarz szefowej Maddie. Widać było jak na dłoni, jak dociera do niego, że został przyłapany na gorącym uczynku, gdy zadaje się z szefową sekretariatu kancelarii przeciwnika. Maddie żałowała tylko, że w kadrze nie zmieściła się reakcja przyłapanej Jacinty.

Maddie niemal widziała, jak umysł Hugo pracuje gorączkowo, jak on sam nie panuje nad ciałem, gdy podnosi i natychmiast odstawia swój kieliszek. Ta sytuacja mogła być odrobinę krępująca, a na pewno doskonale umiał odczytać wyraz twarzy Samantha, wraz z tym, co się pod nim kryło. A mianowicie jakie ma zdanie na temat wcześniejszych

wydarzeń w sądzie Santa Clara.

Nagle uwagę Maddie rozproszył Vincent i jego niania, którzy przechodzili koło jej drzwi w drodze do kuchni. Uświadomiła sobie, że dawno już minęła siódma, a musi przecież pomóc Jeanette, zanim wieczorem przyjedzie jej mąż z architektem. Nie mogła się jednak oderwać od filmu Yamuny.

Gordon Hugo bawił się serwetką i drinkiem, a Maddie zrozumiała, że załatwienie nagłej rozprawy bez uprzedzenia drugiej strony odbyło się całkowicie niezgodnie z przepisami. Znowu się skupiła na jego błyskawicznie zmieniających się minach, ujawniających gniew, a może i frustrację, i poczucie winy, i jak zwykle nieco arogancji. Nie było szans, by wyznał prawdę o próbie zaskoczenia Samantha pospiesznym przesłuchaniem, do którego nie była przygotowana. W każdym razie, pomyślała Maddie z szerokim uśmiechem, teraz Samantha już jest przygotowana.

– Komuś w twojej firmie, kto musi oczywiście pozostać anonimowy, najwyraźniej należała się przysługa. Dzisiaj plan spalił na panewce, ale widzę, że nie odebrało ci to apetytu.

Głos Samantha nadpłynął spoza kadru. Maddie patrzyła oczarowana, jak czający się w Hugo rottweiler przechodzi w tryb ataku. Ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Samantha znów się odezwała, głosem zimnym i niezachwianym. Nawet nie zadała sobie trudu, by przyznać, że widzi Jacintę.

– Ale szczęśliwie się składa, że cię tu spotkałam, bo chcę ci coś powiedzieć.

Hugo ostrożnie odstawił kieliszek na stół, następnie odłożył serwetkę. Wstał raczej za szybko i otworzył usta, ale znowu Samantha była szybsza.

– Trzy słówka: Lista Ciężkich Zachorowań. Jak ci brzmią? Mile? Nie wiem, w co twoi ludzie grali dzisiaj rano, ale cieszę się, że zagrali, bo dzięki temu sędzia mógł przyspieszyć bieg sprawy. Choć to niezgodne z twoimi planami, w ciągu miesiąca będziemy mieli pełen raport i wtedy

wyślę ci kopię.

Twarz prawnika zsiniała.

– Nie znajdziesz tam nic przydatnego.

– Jesteś pewien? – spytał głos spoza kadru. – Czy dlatego twoi szefowie tak bardzo nie chcieli, żebyśmy ją zobaczyli? – Samantha mówiła cicho, ale stanowczo. – Panie Hugo, jedna z najcelniejszych uwag Normana Mailera na temat świadomości korporacyjnej mówi, że korporacja ze swej natury jest równie ślepa, jak potężna. Duchowo ślepa, moralnie ślepa. Jako byt zbiorowy jest gorsza niż każda z jednostek, które ją tworzą.

– Co by to miało znaczyć? – odwarknął Hugo.

Samantha zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

– Nie sądzę – odezwała się w końcu – by którakolwiek z osób na wysokim stanowisku w Stormtree wejrzała uważnie w ten problem. Ale Stormtree wie o stale rosnącej liczbie zachorowań pośród pracowników w pewnych działach firmy, a teraz także wśród dzieci pracowników. To nie jest dobra wiadomość dla żadnej korporacji, szczególnie jeśli wywęszy ją prasa.

Kamera w telefonie Yamuny właśnie skorzystała z funkcji zbliżenia i Maddie zobaczyła wyraz twarzy Hugo. Mój Boże, pomyślała. Tu go ma.

Prawnik spojrzał gniewnie, po czym się zebrał, by odeprzeć atak.

– Tego nie da się udowodnić. A w każdym razie na co to się przyda takim specom od odszkodowań medycznych jak wy? – Pochylił się do Samanthy, wypełniając kadr. Nie wiedzieć czemu nie zauważył, że kamera śledzi ten pojedynek. – Dorobiłaś się nazwiska, broniąc stada zachłannych wyrzutków społecznych, czystych frajerów, szumowin kalających etos pracy naszego kraju.

Samanthą musiał nieco wstrząsnąć jego wybuch, ponieważ milczała na tyle długo, by Hugo podjął tyradę, niemal krzycząc:

– Każdy spec od prawa korporacyjnego wie, że siedzisz w tym tylko po to, by jak najwięcej wycisnąć ze Stormtree Components. A gdzie byśmy byli, gdyby nie wielkie firmy, które zatrudniają połowę obywateli,

zarabiają miliony na handlu światowym, finansują szkoły i drogi w tym kraju, gdzie byśmy byli bez ich podatków?

– Honorarium twojej kancelarii – odpowiedziała Samantha z godnością, nie podnosząc głosu – za dzisiejszy mały burdel wystarczyłoby z nadwyżką na opłacenie lunchu wszystkim w tej restauracji przez tydzień. – Ruchem ręki wskazała przestrzeń dokoła siebie. – Nie próbuj mnie zawstydząć.

Maddie zauważyła, że spór zaczął przyciągać uwagę pozostałych gości. Kelnerzy się zatrzymali i stali w rzędzie, uśmiechając się do siebie. Wszystkie głowy na sali odwróciły się w stronę głosów dyskutantów. „Co za dramat, jakie Hollywood!” – powiedział głosu zza kadru.

Z mowy ciała Jacinty Maddie widziała, że ta wolałaby się zapaść pod ziemię. A Gordon Hugo wydawał się z każdą minutą czerwieńszy. Maddie zastanawiała się, czy aby nie dostanie bledaczek apopleksji albo czy – i to już pomyślała z uciechą – może widzi go ktoś, kto zna jego żonę.

– Jesteśmy warci każdego wydanego na nas centa – warknął cicho.

– Czy może masz na myśli, że im dłużej sprawa się ciągnie, tym więcej zarabiasz, bez względu na to, kto przegra? – Zdaniem Maddie Samantha zadała to pytanie osobliwie głośno, jakby zależało jej na tym, by wszyscy usłyszeli. – Nam zależy na jej zakończeniu, a więc to twoja firma napycha sobie kieszenie – zauważyła celnie.

– Zaproponowaliśmy ci negocjacje – warknął Hugo – ale zakończenie sprawy cię nie interesuje. Twój zespół nie raczył nawet odpowiedzieć. Mógłbym złożyć na ciebie raport.

– Do Kalifornijskiej Rady Prawniczej – dokończyła za niego Samantha. – Znam tę kwestię – ironizowała. – Zrób to! Sama dbam o swoje morale i swój związek ze światem, więc próbuj, panie Hugo.

– Jesteście niewiarygodni – padła odpowiedź. – Nie macie żadnych argumentów, a próbujecie sięgać po szantaż emocjonalny, żeby zwalić na nas odpowiedzialność za coś, za co ani trochę nie jesteśmy odpowiedzialni.

Tym razem Yamuna wycelowała obiektyw w Samanthę. Jej doskonale kontrolowany gniew był widoczny jak na dłoni.

– Cóż – zaczęła bezbarwnym tonem – konsekwencje waszego błędu dalej będą niszczyć życie nie tylko tego pokolenia, ale i dzieci z następnych pokoleń. Nie ma ceny, którą dałoby się zrekompensować uszkodzenie mózgu dziecka albo upośledzenie fizyczne. Bawicie się losem tych ludzi.

– Niczego nie udowodniono, i dobrze o tym wiesz – rzekł Hugo kategorycznie. – I dopóki to się nie zmieni, to nie jest problem Stormtree.

Samantha wytrzymała spojrzenie Hugo, on sam zaś rozejrzał się nerwowo.

– Jeśli udowodnimy, że wasi klienci świadomie zabijali ludzi, to zdecydowanie zacznie być problem Stormtree.

Kamera gwałtownie wróciła do prawnika, który uśmiechał się cokolwiek niestosownie.

– Wiemy oboje, że w tym stanie nigdy żaden szef firmy nie został skazany za zbiorowe pozbawienie życia. Zastanawiam się, co warto obstawiać?

– Czy w takim razie firma pana Graya poczuje się należycie połączona, jeśli przejdzie do historii w tej precedensowej sprawie? Nie sądzę. Ale nie trać ani na chwilę wiary w słusność tej sprawy. Żadna firma nie zyskała przyjaciół, pogrywając zdrowiem dzieci.

Maddie oglądała tę rozmowę już od kilku minut, a ciągle nie mogła w nią uwierzyć. Na pewno nie spodziewała się tego, co teraz miało nastąpić.

– Nigdy nie udowodnisz tego zarzutu – odrzekł spokojnie Hugo.

Tutaj Maddie zobaczyła, jak przez jego twarz przemyka wyniosły uśmiech, jakby wiedział coś, nieważne co, co może przechylić szalę na korzyść Stormtree. Co on wie? Dlaczego jest taki pewny siebie?

Teraz w kadrze pojawiła się Jacinta.

– Przepraszam – powiedziała. – Muszę wracać, późno się zrobiło.

Przepchnęła się obok Yamuny, więc kamera zachybotła. Spoza kadru dobiegł jej oddalający się głos:

– Nie zostanę na deser. Ten pan weźmie rachunek.

W kadrze ukazała się oszołomiona reakcja teraz niemal milczącej restauracji, z cichnącym stukotem szpilek Jacinty na drewnianej podłodze.

Samantha się odwróciła, zobaczyła przed sobą kamerę i uśmiechnęła się do obiektywu.

– Nagrywałaś to wszystko?

Kamera kiwnęła się trochę, najwyraźniej przytakując. Zrobiła zbliżenie miejsca za Samanthą, tam gdzie widać było Gordona Hugo rozglądającego się za kelnerami. Podniósł swoją serwetkę i rozsiadł się z powrotem, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. W kadrze pojawili się kelnerzy, by uprzątnąć opuszczone miejsce.

– Świetnie – zabrzmiał znowu głos Samanthy. – To mi przywróciło apetyt. Zjedzmy lunch.

Kamera obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, w stronę wejścia, gdzie właśnie oddawano płaszcz znikającej Jacincie Collins.

Znowu spoza kadru roześmiała się Samantha.

– Później się tym zajmę – brzmiały jej słowa, po czym obraz pociemniał i zgasł.

– Wow! – Maddie padła na poduszki, ledwie łapiąc dech. Częściowo czuła dumę z szefowej, której spokojne zachowanie i niezmiennie trzymanie się konkretów prezentowało się o wiele lepiej niż sapanie przeciwnika. I wiedziała, że sąd podzieli jej zdanie. Ale z drugiej strony czuła zimną pustkę, świadomość własnej niedawnej utraty wiary w ludzkość. Empatia dla innych wydawała się ją przerastać. Znowu pogrążyła się w przytłaczającym smutku, który poczuła, gdy Christopher zginął tak niepotrzebnie, a pijany kierowca, który go zabił, nawet nie wyraził skruchy. Wiedziała, że do tego wszystkiego będzie musiała wrócić, gdy otworzy maila Harriet.

W tej chwili Maddie ciągle się koncentrowała na Gordonie Hugo. Zastanawiała się, czy jest on odbiciem Pierce'a Graya, z jego urokiem i podszytą pieniędzmi ogładą.

Na chwilę powędrowała wzrokiem do pielgrzyma pokonującego trudną



drogę do sanktuarium. Jak można przetrwać smutek, niesprawiedliwości losu? Jakże naiwna wydawała się jej ta średniowieczna wiara – jakie to niemożliwe wierzyć w cokolwiek dobrego.

Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i podeszła do okna w pięknej łazience. Minęła wiktoriańską wannę i przesunęła palcami po jej zagłówku. Potem otworzyła okno, które wychodziło na ścieżkę pokrytą słonecznymi cętkami. Wychyliła się i spojrzała na prawo – na dach średniowiecznej piekarni i dalej, na starą drogę pielgrzyma – zupełnie jak na fresku. Dawna linia była widoczna bardzo wyraźnie – biegła hen, daleko przez pola i potem znikwała w lesie za nimi, gdzie znajdowały się ruiny opactwa San Galgano widoczne w oddali.

W co wierzyli tutejsi ludzie, pomyślała, że ich nadzieje nie umarły? Czy tym, którzy tu mieszkali, kiedykolwiek przytrafiły się jakieś cuda?

## 20

### PAŹDZIERNIK 1347 ROKU, SANTO PIETRO IN CELLOLE, TOSKANIA

Utrzymująca się od ponad miesiąca wysoka temperatura sprawiała, że willa, gospodarstwo i dwie małe chałupy za dnia stały puste. Każdy, wliczając mieszkańców głównego domu, uwijał się od świtu do kolacji. Mężczyźni wyruszyli na orkę, zaprzęgnawszy do pługów wielkie białe bydło doliny Chiana. Kobiety bosymi stopami deptały zebrane winogrona w wielkich drewnianych korytach, by potem przenieść je do beczek. Następnie, w pierwszych dniach października, przy najłżejszym ochłodzeniu zajęto się oliwkami. Pod elegancką linią drzew oliwnych na kilka dni rozłożono wielkie siatki. Wiele zwinnych rąk – w tym ręce ciotki Jacquetty i signory Toscano – zbierało owoce z niższych gałęzi do koszy przywiązanych w pasie. Ci na drabinach – jak Porphyrius i Mia – zrzucali oliwki na siatkę.

Minęła już połowa miesiąca, a ciągle nie było chwili wytchnienia po ciężkiej pracy fizycznej poprzednich tygodni, bo dojrzałych owoców dostarczyły schludne rzędy kasztanów jadalnych, ocieniających drogi i trakty. Mia ochoczo zasiliła szeregi zbieraczek, bo już nie mogła się doczekać zapachu pieczonych kasztanów w nadchodzących dniach. Ona i Loredana miały obolałe palce, ale palce Alby po tygodniach nieprzerwanego zbierania spękały i pokryły się pęcherzami. Praca musiała jednak trwać przez cały dzień, póki było światło, ponieważ mąka z kasztanów była cennym towarem i specjałem Toskanii. Drzewa jej ciotki prezentowały dwie odmiany, wonną *marroni* i cięższą *rossalina*, a Mia obie uwielbiała jednako. Od teraz do ciemnych zimowych dni jej ulubionym pokarmem będzie słodkie ciasto kasztanowe przyrządzone z obranych owoców namoczonych w mleku i utartych z miodem, jajkami

i migdałami. Pierwsze z radością przygotowuje sama i już za kilka dni ceremonialnie zanieś je do pieca w piekarni.

Przed spożyciem kasztany należało wysuszyć w szopach stojących na skraju posiadłości. A skoro słońce już nie stało nad głowami, tam właśnie teraz się skierowali Mia i pozostali, by spotkać ciotkę oraz *la raggie*, odpocząć w cieniu i coś zjeść. Na końcu długiej ścieżki pomiędzy polami a drogą osłoniła oczy przed silnym słońcem i zobaczyła, że ciotka Jacquetta wychodzi im naprzeciw, tuż przed Cesarém i Chiarą. Cała trójka niosła chleb, oliwki, figi i ser, dzbany wody i wina oraz smaczkowe danie z gotowanych grzybów, szpinaku i fasoli, przygotowane na oliwie i soku cytrynowym. Mia dołączyła do ciotki, by przejść ostatni kawałek do szop.

– Zaróżowiłaś się, Mia – marudziła Jacquetta. – Powinnaś osłonić głowę.

– Dobrze mi pod baldachimem kasztanowych gałęzi – odparła Mia teraz już pewnym głosem, choć jeszcze cichym. – Dopiero gdy idziemy ścieżką...

– Mhm. – Ciotka skarciła ją sceptycznym wyrazem twarzy. – Sama złapałam dzisiaj trochę słońca przy zbieraniu miodu, chociaż miałam na głowie kapelusz z muślinem, a ramiona szczelnie zakryte przed pszczołami. Jest bardzo gorąco, a jak sobie spalisz nos i policzki, będziesz wyglądała jak poganka.

Mia odpowiedziała ciotce uśmiechem i podobnym wyrazem twarzy. Wcześniej nie wkraczały na to terytorium, a prawdziwym problemem był upór Mii – jej niechęć, by zachowywać się, jak przystało na młodą kobietę, nie zaś jak dziecko. Od jej urodzin w maju w powietrzu wisiało pytanie, czy nie czas już rozważyć wyswatanie Mii. Jeśli w ogóle mają to robić. Ale Mia zupełnie nie chciała zmieniać swojego życia i w pewnym sensie na pewno wolała być siostrzenicą swojej ciotki tutaj, w Villa Santo Pietro, i żeby wszystko było jak dawniej. Wiedziała, że ciotka Jacquetta jest samotna z wyboru. A chociaż najgłębsze powody jej wyboru wciąż

stanowiły zagadkę, o której nigdy nie rozmawiały, Mia była pewna, że chodzi o sprawowanie kontroli nad własną posiadłością i o wolność osobistą. Mia wątpiła, by ciotka wymusiła na niej zrzekowiny albo cokolwiek innego, czego ona by nie chciała.

Gdy podeszły do kasztanowych szop, ujrzały signorę Toscano, która siedziała w cieniu i oddychała delikatnie. Jej sylwetka zmieniała się szybko i fakt, że nosi dziecko, był bardziej oczywisty niż wówczas, gdy im o tym powiedziała, czyli miesiąc temu. Mia pospieszyła do niej.

– Powinnaś wykonywać lekkie prace w domu. Tu jest za gorąco.

– Musiałam tylko usiąść. Nic mi nie jest, mogę wykonywać prace na zewnątrz.

Jacquetta wyłożyła jedzenie na największy stół do suszenia i niespiesznie podeszła do signory Toscano. Położyła jej dłoń na czole.

– Jesteś trochę rozgrzana – przyznała. – Przyda ci się coś do jedzenia i picia. Ale – dodała z szerszym uśmiechem – może to będzie najlepsze lekarstwo?

Wyciągnęła coś z kieszeni i podała signorze Toscano, której twarz od razu się rozjaśniła. Porphyrius wyjechał prawie dwa tygodnie temu na południe, do portu w Mesynie, po oliwkowych zniwach, żeby odebrać ładunek korzeni ze Wschodu. Jego misja obejmowała również odebranie jedwabiów dla żony i dziecka, przywiezionych z Samarkandy, oraz paru drzewek różanych i owocowych z Libanu do nowego ogrodu. Od dawna nie mieli odeń wiadomości, a żona tak się tym martwiła, że aż Mia i Jacquet ta to zauważyły.

– Dzisiaj rano dotarło z Chiusdino, gdy ja się zajmowałam pasieką – wyjaśniła Jacquetta, podając jej kubek wody napełniony przez Mię. – I posłaniec powiedział Cesarému, że jego pan – prawnik – wziął to z Volterry wczoraj późnym wieczorem.

– Ach – powiedziała, z pośpiechu niezdarnie łamiąc woskową pieczęć. – A więc przeszło przez ręce jego matki.

Mia pomagała wyłożyć jedzenie, ale mimowolnie zauważyła pięknie

uformowane pismo w liście, a także adres na nim. Jej łagodne brązowe oczy otworzyły się szeroko, gdy przeczytała: „Signora Agnesca Toscano. Villa Santo Pietro in Cellole, Chiusdino”.

Agnesca – pomyślała, ale imię ożyło na jej ustach, tak że odkryła, że wymówiła je cicho.

– Tak, tak on na mnie mówi – wyjaśniła signora Toscano. – Bardziej mi się to podoba niż „Agnese”, moje prawdziwe imię. – Mówiła bardzo cicho, a potem już swoją uwagę całkowicie poświęciła pierwszym liniom listu.

Mia spojrzała na ciotkę z pewnym zdumieniem, ale twarz Jacquetty zasugerowała jej, że powinna pilnować swoich spraw.

Grupa zbieraczy kasztanów zaczęła już posiłek, a Mia doniosła talerz swojej przyjaciółce i ciotce, po czym siadła i próbowała rozbudzić w sobie apetyt, pomimo wzmożonych emocji, które poczuła na skutek spontanicznego ujawnienia imienia signory Toscano. Po wszystkich tych miesiącach niewiedzy! Ledwie do niej docierało, czy je warzywa czy ser, czy oliwki, czy fasolkę. Od razu ją uderzył dziwny zbieg okoliczności, że piękna pątniczka przybyła w noc, gdy ona, Mia, przeprowadzała swoją ceremonię związaną z wigilią świętej Agnieszki – i dziewczyna to wydarzenie uważała za zdobycz cenniejszą niż poznanie tożsamości przyszłego męża. A tu proszę, okazuje się, że ona sama ma na imię Agnieszka. To imię zdradzało długie zrękowiny z Kościołem, przynajmniej w oczach rodziców signory Toscano. Agnieszka była patronką dziewic – cnotliwości i czystości, powołania do odmowy małżeństwa i złożenia życia w ofierze Bogu. Zrozumiała, że przeznaczenie przyjaciółki zostało jej wybrane w chwili narodzin, bez względu na to, jak mógł się potoczyć jej los.

Mia rozważała to wszystko z powagą. Na ironię zakrawało, że przyjaciółka mogła się pochwalić przymiotami, które wskazywały na pobożność i rozwiniętą duchowość, chociaż może ta duchowość nie należała do zwyczajnych. Różniła się od innych ludzi i biło od niej wewnętrzne światło wpływające na każdą osobę, która się do niej zbliżyła. Zawsze

mówiła mądrze i bez złej woli, okazując wszystkim życzliwość. I Mia czuła, że choć może signora Toscano nie wybrała Boga, to Bóg na pewno wybrał ją.

– Pisz o straszliwej chorobie, która spadła na port w Mesynie – odezwała się nagle signora Toscano z pobladłą twarzą.

– Ale jemu nic nie jest? – spytała Jacquetta.

– Mam nadzieję. – Kiwnęła powoli głową. – To opóźnia jego powrót, ponieważ w mieście panuje wielkie zamieszanie i nikt z lądu ani z innych miast Sycylii nie chce jechać do Mesyny. Pisz, że krążą pogłoski, jakoby ludzie nagle zaczęli wymiotować, nękani straszliwą gorączką, i padali na ulicy, kaszląc krwią. I że są ignorowani przez przyjaciół i sąsiadów. Wielu mieszkańców miasta wpadło w panikę i uciekło na wieś.

– On sam więc dotarł do Mesyny? Czy nie był w stanie przeprowić się przez cieśninę? – zastanawiała się Jacquetta.

Signora Toscano czytała szybko, odwróciwszy kartkę, zanim odpowiedziała na kilkanaście zaciekawionych spojrzeń, które ją teraz ponaglały.

– Przybył do Mesyny i zbierał się do powrotu, zanim te wieści do niego dotarły – wyjaśniła. – Miał problemy i dodatkowe wydatki, by znaleźć statek powrotny, i napisał mi o tym, by wyjaśnić opóźnienie. Ale – wróciła do lektury drugiej strony – miał nadzieję przeprowić się w najbliższych dniach, gdy to pisał, i dał list szlachcicowi powiązanemu z partią dworską, żeby zabrał go do Neapolu i stamtąd wysłał. Może...

Signora Toscano przerwała, nie wiedząc, co przypuszczać. Jej mąż mógł być wszędzie, nie mając szans na powrót. Ale Jacquetta dokończyła zdanie za nią:

– Może ludzie tylko gędzą z niewiedzy, a pogłoski są mocno przesadzone. W tej chwili już na pewno jest w połowie drogi do domu i w każdej chwili należy się go spodziewać.

– Tak – powiedziała spokojnie Mia i wstała, by położyć dłonie na ramionach signory Toscano. – Był w porcie, zanim zaczął się zamęt.

Wkrótce do nas wróci.

# 21

## CZWARTEK–PIĄTEK 14–15 CZERWCA 2007 ROKU, BORGO SANTO PIETRO, TOSKANIA

Dochodziła szesnasta, gdy nadciągnął wiatr, by spełnić zapowiedź chłodu, który klócił się z porannym słońcem. Zaczął trzepotać kartkami notatek, nad którymi pracowała Maddie. Silny prąd powietrza poniósł słodką woń pątniczego ogrodu przez loggię, gdzie siedziała z otwartym laptopem. Westchnęła i łyknęła mocnej kawy. Do tej pory był to nadzwyczajny dzień.

Kilka godzin temu pomogła swojej gospodynie w przygotowaniu kolacji, w oczekiwaniu na przybycie Clausa ze znajomym z Londynu, robiąc tartę z oliwek i orzeszków piniowych – jedno ze swoich popisowych dań. Potem upichciła szybkie danie makaronowe na lunch – za co doczekała się komplementów szczególnie od Mila, malarza. Zostawiając Jeanette sporządzanie listy licznych obowiązków, pozmywała i doprowadziła kuchnię do idealnego porządku, by rzemieślnicy mogli kontynuować zajęcia, póki nie pojawi się Claus, żeby sprawdzić postęp prac i może ich pochwalić. Jeanette powiedziała, że jest bezcenna, i podziękowała wylewnie. Maddie wiedziała jednak, że rozmyślnie szuka zajęcia, by opóźnić otwarcie maila od Harriet Taylor. Od rana nie dawał jej spokoju i niczym dzin w butelce raz uwolniony miał wystawić pieczołowicie uspokojony umysł Maddie na zamęt stresujących emocji. Gdy jednak umyła ostatni kieliszek i odstawiła go do zabytkowego kredensu, uznała, że już dłużej nie może grać na zwłokę. Wycofała się do swego pątniczego pokoju, by stawić czoło przesyłce.

Zbyt szybko znalazła kapryśny szerokopasmowy sygnał Borga i zalogowała się udostępnionym przez Jeanette hasłem. Zanim się połączyła, minęło trochę czasu, jakby jakaś siła sprawdzała jej



determinację. Następnie nawinęła się kolejna wymówka, bo oto okazało się, że skrzynkę mailową ma zapchaną po brzegi. Skasowała kilka reklam, które nadeszły nocą czasu Zachodniego Wybrzeża, w tym zaproszenie z Crocker Galleria i dwa z Bloomingdale'a na eventy; zostawiła oczywiście zestawienie transakcji z karty kredytowej. Potem zerknęła na kuszący tytuł liściku od Barbary: Dwulicowi oszuści przynoszą dary, nadanego około północy w San Francisco. Miała poczucie, że chodzi o Pierce'a Graya, ale uznała, że zostawi to na później, i ze stoicyzmem otworzyła jednak list od matki Christophera.

Tak jak podejrzewała, była to prośba o przygotowanie oświadczenia osoby poszkodowanej do raportu przedsądowego i pierwszego przesłuchania w sprawie śmierci Chrisa, które miało się odbyć za kilka tygodni. Miała przelać na papier – o ile to w ogóle było możliwe – opowieść o tym, co znaczyło być niewinną ofiarą tamtego styczniowego wypadku. Im bardziej przejmująco opowie o swojej stracie, uważała matka Chrisa, tym bardziej to może zaważyć na wyroku, który zostanie zasądzony pijanemu kierowcy.

„On nie dostanie nawet połowy z tego, co powinien, Maddie – pisała – ale postaraj się wyrazić choć część swojego cierpienia, tak jak umiesz. Ja zrobię to samo”.

Wyrazić? Jak? Nie była w stanie zwierzyć się nikomu z tego niemożliwie głębokiego bólu. Ale zacisnęła w dłoni medalik ze świętym Krzysztofem i zamknęła oczy. I po raz pierwszy od kilku miesięcy rzeczywiście zdołała usłyszeć głos Chrisa. W jej głowie zabrzmiała piękna preambuła jego oświadczyn: nadzwyczajne zakończenie dnia na tarasie Danieli w Wenecji. Żadnego padania na kolana, żadnego diamentu w kieliszku z koktajlem. Wybrał po prostu najdoskonalszą lokalizację, słoneczny dzień i zadał jej pytanie, którego się kompletnie nie spodziewała. I przeprosił za nieobecność skrzypiec.

„Proste słowa są najlepsze” – rzekł wówczas i uśmiechnął się szeroko, a potem w bardzo prosty sposób poprosił ją, by została jego żoną.

Maddie westchnęła głęboko.

– Proste słowa – powiedziała cicho do siebie. I zaczęła przelewać je na papier.

Pierwszą wersję skreśliła odręcznie, a teraz wstukiwała krótki list płynący z głębi serca. Wycinała wszystko, co wydawało się jej mniej istotne. Zostawiła opowieść o końcu najważniejszej przyjaźni jej życia, o utracie ludzkiej istoty, której jedynym pragnieniem było pomaganie innym o każdej porze dnia. O samotności, którą teraz czuje, wiedząc, że on już nigdy nie napisze, nie zadzwoni, nie przyśle esemesa. Wiedząc, że już nigdy nie usłyszy jego głosu. Opisywała, jak najprościej, potworność chwil, gdy pomagała jego matce w wyborze kwiatów na pogrzeb i garnitur, w którym miały go pochować – a przecież miała pomóc Christopherowi w wybraniu stroju na ich ślub. Wyważonymi słowami wyraziła ból towarzyszący świadomości, że wysłała ukochanego w nieznaną, samego, bez niej; swoje irracjonalne poczucie winy, że fizycznie jej zabrakło przy nim, gdy uciekało zeń życie. Napisała, że zmieniła się nieodwołalnie. Że jeszcze nie wyobraża sobie przyszłości.

Gdy skończyła, miała dwadzieścia wersów rozpaczy. Wiatr usiłował rozrzucić jej kartki, więc zebrała rzeczy i ruszyła do azylu swojego pokoju. Myślała, że może zdoła się rozplakać, ale tylko spowiła ją czerń, i zadrżała lekko. Wyraziła swój ból komuś, kogo nie знаła, i stwierdziła, że trudno jej oddychać. Położyła się na chwilę.

Obudziła się niemal dwie godziny później, nieświadoma, że w ogóle spała. Musiało być po szóstej, niebo pociemniało. Wydawało się jej, że słyszy w oddali grzmot. Nieco zakłopotana wstała i wygładziła ubranie, otworzyła drzwi i poszła szukać Jeanette.

Gdy ją znalazła, dowiedziała się, że lot z Londynu już jest opóźniony. Przylot maszyny do Londynu spóźnił się o dwie godziny, więc wylecą najpewniej najwcześniej o ósmej. Wobec godzinnej różnicy czasu pomiędzy Włochami a Londynem gdzieś o dziesiątej trzydzieści dotrą do Pizy, a bliżej północy do Borgo. Maddie, która czuła się skruszona z powodu

popołudniowej kapitulacji, zaproponowała Jeanette, że zaczeka z nią na przybyszów.

Dom był teraz cichy jak wymarłe miasto. Peter i jego dziewczyna skończyli jakieś dwie godziny temu i ruszyli na trzydniową przerwę, by zapewnić Clausowi i Jeanette trochę spokoju w weekend. Milo wrócił do Florencji, Justina wyjechała z przyjaciółmi i tylko Flora i Antoneta zostały, by sprzątać i pomagać w domu. Skoro Vincent leżał już w łóżku, w Borgo nastąpiła cisza – jeśli nie liczyć przetaczającego się w oddali grzmotu, który niósł się przez Valle Serena.

Jeanette zorientowała się, że Maddie jest dzisiaj myślami gdzie indziej, że nie ma nastroju do rozmowy. Nie dopytując się, odgadła przyczynę tego stanu rzeczy. Godziny mijały, a one siedziały razem, coś tam podjadając, popijając wino, a potem zszywając zasłonę z cudownej zabytkowej tkaniny, którą Jeanette zakupiła na wielkie okno na półpiętrze. W takim względnym milczeniu stanowiły dla siebie doskonałe towarzystwo.

– Pogoda się pogarsza – tylko tyle Jeanette powiedziała mniej więcej od godziny. Myślała o samolocie zdążającym do Pizy z jej mężem na pokładzie. I o górskiej drodze, którą musiał pokonać w deszczu mogącym się zmienić w ulewę.

Maddie podniosła wzrok znak drobnego ściegu, którym obrębiała, i kiwnęła głową. Ale że pogoda pasowała do jej nastroju, czuła się nią dziwnie pokrzepiona.

Ciszę przerwał esemes przychodzący na komórkę Jeanette – dowiedziały się, że samolot właśnie wylądował, a w Pizie mocno pada. Claus donosił też, że projektant ogrodów właśnie odbiera samochód z wypożyczalni i stawia się w domu, gdy tylko wypożyczalnia i kręte drogi pozwolą. Takie rozwiązanie ich podróży wydawało się z początku dobre, oszczędzało Goriemu nocnej jazdy na lotnisko. Ale teraz Jeanette się martwiła, że obaj są zmęczeni, a projektant nie zna drogi. Może Claus poprowadzi? Toteż Maddie siedziała z nią, dostarczając drobnej, ale jednak pociechy swoją obecnością, aż dawno minęła północ, zasłona była

ukończona, a Jeanette poczuła, że potrzebuje papierosa. Maddie wiedziała, że to coś, na co nie pozwala sobie zbyt często.

– Jesteś wykończona, Maddie – stwierdziła gospodyni. – Zabieraj się do łóżka, a ja tu sobie posiedzę bez poczucia winy i zapalę!

Maddie roześmiała się i oznajmiła, że zapali z nią, jeśli dzięki temu Jeanette poczuje się swobodniej. Uparła się, że poczekają razem. Ale Jeanette zwróciła uwagę, że w ten sposób, gdy panowie już dotrą – nie wiadomo o której – wszyscy, chcąc nie chcąc, postarają się być towarzyscy i komunikatywni, a naprawdę będą znużeni. Maddie dała się przekonać, posprzątała po szyciu skrawki i nożyczki, jak również kieliszki, i bez gadania uściskała Jeanette. Kwadrans później ruszyła na górę schodami oświetlonymi tylko przez dziwny blask błyskawicy. Była na piętrze, gdy usłyszała kroki na podwórku. Przystanęła i wyjrzała przez poręcz, i akurat otworzyły się drzwi wejściowe. Ujrzała tył złotej głowy Jeanette, która obejmowała męża, i drugą postać tuż za nim. Przez chwilę zastanawiała się, czy zejść i przywitać się. Uznała jednak, że lepiej cicho umknąć do pokoju. Już po paru chwilach jej głowa spoczęła na poduszce, a ona wspominała dzień, w którym przewędrowała od restauracji w San Francisco do tarasu weneckiego hotelu, i nim grzmot zatrzęsł szybami i spadł rześisty deszcz, zapadła w głęboki sen.

Po burzowej nocy, gdy Maddie czuła przez sen, jak cały czas szaleje wiatr, nastał złoty poranek. Obudziła się nieco po ósmej, a już się zapowiadał upał i czuła, że deszcz zmył niezdecydowanie czerwcowej toskańskiej pogody.

Wzięła prysznic, ubrała się lekko i wyszła z pokoju. Dom był pogrążony w ciszy. Wszyscy spali – trudno się dziwić – i Maddie poczuła, że musi poświęcić trochę czasu na rozmyślanie, zanim w Borgo nastanie zwykły gościnny dzień. Z takim postanowieniem z szafki Jeanette wybrała sobie buty do wędrowki i wyprawiła się do sanktuarium na swoim pątniczym wzgórzu. Był piątkowy poranek, ona przyjechała w poniedziałek, a jeszcze nie zdążyła odwiedzić tej słynnej kapliczki, która przyciągała turystów

z całych Włoch, pół mili odległej od Borgo. Pół godziny później buty miała uwalane błotem ze ścieżki, ale dotarła do znanej owalnej sylwetki starego jak świat przybytku.

Zdjęła buty i weszła do środka, swobodna, bo o tej porze raczej nikogo się tu nie spodziewała. Jej wzrok od razu padł na wypukłość w posadzce i uświadomiła sobie, że to właśnie przedmiot, który wciąż przyciąga pielgrzymów i turystów z najdalszych miejsc – ten słynny „miecz w kamieniu” – o którym czytała w przewodniku Jeanette, że większość postrzega go jako inspirację legendy o mieczu króla Artura. On jednak, chociaż fascynujący, przyciągnął jej uwagę o wiele mniej niż oszałamiające wnętrze. Nad głową ujrzała osobliwą romańską kopułę, pozbawioną żeber, za to składającą się z ceglano-kamiennych pasów – zliczyła ich dwadzieścia cztery – które kręgami obiegały rotundę od podłogi po sufit. Wielokrotność dwunastu, pomyślała. Dwunastu apostołów, dwanaście plemion Izraela. Była pewna, że to święte konotacje, a całą budowlę i nastrój w niej panujący uznała za zdumiewająco poruszające. Czy to naprawdę była kiedyś jaskinia? I czy naprawdę mieszkał tu człowiek, który za towarzystwo miał wyłącznie wilki?

Na Maddie nieoczekiwanie wywarła wrażenie przestrzeń tej niewielkiej pustelni. Poczowała się dziwnie bliska tym dawnym pielgrzymom, którzy przypisywali moc i potęgę samym kamieniom. *Hic locus est* – rzeczywiście, pomyślała, uśmiechając się do siebie. A ponieważ za główną atrakcję uznano *rocca de la spada*, posłusznie podeszła do miecza, teraz zabezpieczonego skrzynią z pleksi, w celu ochrony, jak się domyśliła, przed poszukiwaczami pamiątek i wandalami. I rzeczywiście robił wrażenie: prymitywny kształt dwunastowiecznej broni zwodniczo zagnieżdżony w skalistej posadzce niegdysiejszej jaskini Galgana. Ale nie zdziwiłaby się, gdyby to Kościół maczał palce w zamocowaniu go tutaj na przekór czasowi – za pomocą wszelkiej potrzebnej substancji – by przez wieki wabić pielgrzymów. Ten zachowany cud obwieszczał wyższość ofiary nad wojną, duchowości nad fizycznością, co wydawało się Maddie przedstawiać pewne

niezwykłe i sprzeczne komunikaty. Co, na Boga, zrobili z tego powracający z krucjat krzyżowcy?

Minęło może pół godziny, gdy w końcu wyszła na zewnątrz, na słońce. Zaskoczona stwierdziła, że ktoś przyszedł w ślad za nią, a ona go nawet nie zauważyła, tak ją pochłonęły miecz i grobowiec. Spojrzała z wysokości wzgórza nad romantyczny kształt ruin opactwa w dole, zanurzonego w łące polnych kwiatów. Niewątpliwie było piękne. I zauważyła, że na parkingu na dole pojawiło się już kilka samochodów. Po niezwyklej wczorajszej pogodzie Toskania znowu tonęła w czerwcowym upale i biznes też miał znowu normalnie funkcjonować.

Siadła na schodku i obejrzała buty, gotowa je włożyć, gdy ktoś się do niej odezwał czystą angielszczyzną, nieco ubawiony.

– Wygląda na to, że przeszła pani całą drogę pielgrzymą, by tu dotrzeć.

Maddie odwróciła się i zmrużyła oczy, by patrzeć pod słońce. Uśmiechnęła się do mężczyzny w dżinsach i świeżej białej koszuli, ale z tego kąta nie widziała dokładnie jego twarzy, w dodatku pod wschodzące słońce.

– Buty nie sprostały zadaniu. W drodze powrotnej moje stopy czeka starcie z warstwą błota w środku.

Uśmiechnął się i zszedł do niej kilka stopni. Maddie widziała teraz młodego mężczyznę, mniej więcej trzydziestoletniego, o ciemnobrązowych włosach, orzechowych oczach i wrażliwej twarzy.

– Jest pan Anglikiem? – spytała, wstając.

– Mam na imię Søren – odrzekł, wyciągając do niej rękę.

Maddie nie słyszała nawet cienia akcentu, chociaż słyszała, że architekt ogrodu jest mieszkającym w Londynie Duńczykiem, tak jak Jeanette i Claus.

– To pan przyjechał do Jeanette? – spytała, nieco zmieszana, odwzajemniając uścisk dłoni.

Kiwnął głową.

– We właściwym momencie, by oszczędzić pani powrotnego spaceru,

jak sędę.

Pomógł jej utrzymać równowagę, gdy wkładała buty, a jej widoczne zakłopotanie wywołało jego śmiech. Odprowadził ją do ustronnego parkingu tuż przy sanktuarium, gdzie w porannym cieniu stał samotny biały mini z opuszczonym dachem.

Maddie się roześmiała.

– To dowodzi nie lada optymizmu, biorąc pod uwagę pogodę, w jaką pan tu dotarł – powiedziała. – Jestem Madeline – dodała i zaczęła, aż Søren otworzy jej drzwi.

Z uznaniem kiwnął głową.

– Cóż, Madeline, może dołączymy do reszty na śniadanie? – I skierował mini w dół wzgórza, oddalając się od maleńkiej pustelni.

KONIEC PAŹDZIERNIKA 1347 ROKU,  
SANTO PIETRO IN CELLOLE, CHIUSDINO, TOSKANIA

Utrzymywała się ciepła pogoda, idealna do suszenia kasztanów i do kolejnego, późnego cięcia trawy na zimową paszę; ale dzięki chłodnym porankom lasy okalające willę przybrały nowe odcienie czerwieni i pomarańczowego, więc na wsi rządziło wyraziste piękno, które jak zawsze poruszało Mię. Zrozumiała, że wiąże się to z jej poczuciem bezpieczeństwa przy boku ciotki Jacquetty. Kolory wiejskiego *contado* kojarzyły się jej ze spokojną egzystencją, którą tu znalazła jako mała dziewczynka, w zauważalnym kontraście do jej życia w mieście, które ostatnio zaczęła sobie przypominać. Pamiętała z przepychem urządzoną wieżę rycerską, z tyłoma schodami; okno jej pokoju zakryte bladym pergaminem, a nie szybą, by wpuszczać przefiltrowane światło; pokoje ozdobione barwnymi draperiami. Ale pamiętała, że gdy mieszkała w Volterze, zawsze źle się czuła w dusznym upale, w hałasie i zapachach tłumów zebranych na pobliskim *piazza*. Coś czyniło ją wtedy nieufną. I próbowała zrozumieć, z czego brało się to poczucie zagrożenia.

Ale teraz, tutaj w *borgo*, nad każdym z pól rozciągających się wokół willi unosił się gwar pracujących. I przy takiej pięknej pogodzie w znajomym rytmie nadciągali i odchodzili goście w strojach pątniczych. Mia w tym sezonie sama była bardziej zajęta i bardziej niezależna w swoich powinnościach, na przykład bez ciotki doglądała robienia mydła. Latem ze zboczy i drózek zebrały z signorą Toscano irysy, a teraz ze sproszkowanych suchych kłaczy przygotowywały pełnotłuste jesienne mleko, znakomite do wyrobu mydła. Na ług Mia zebrała popiół z pierwszych o tej porze palenisk, a przez kilka ostatnich dni zajmowała się destylowaniem, mieszaniem mlecza ze świeżo wyciśniętą oliwą,



znowu mieszaniem, i wreszcie wlewaniem do gładkich drewnianych form zrobionych specjalnie dla nich przez signora Porphyriusa.

Formy codziennie przypominały, że on jeszcze nie wrócił.

Od straszliwej pustki i niepokoju, który rodziła ta świadomość, nie dało się uwolnić. Signora Toscano ciągle miała się jakichś prac. Godzinami wybierała zioła z nowo powstałego ogrodu, suszyła je i proszkowała, przygotowywała lekarstwa, maści i nalewki na nadchodzącą zimę. Szyła dziecięce ubranka z delikatnych płócien i adamaszku; spędzała godziny w ogrodzie w świetle księżyca i gwiazd – modląc się na swój sposób. Ale choć prezentowała im spokojne oblicze, Mia wiedziała, że jej serce ściska straszliwy lęk o Porphyriusa. Tydzień minął, odkąd przyszedł ostatni list. Żadne dalsze wieści nie nadeszły.

– Jeśli zachorował – powiedziała do Mii i Jacquetty – kto będzie wiedział, jak mnie tu znaleźć i zawiadomić?

– Powiadomiono by jego matkę, Agnesco – odparła Jacquetta. – A ona zdoła cię odnaleźć. Przecież przesłała jego list. Nie sądzę, żeby była złą kobietą.

– Zawsze była dla mnie miła. Ale czy będą wiedzieli, Jacquetto, jak do niej dotrzeć?

– Gdyby był chory i dochodził do zdrowia gdziekolwiek przy Via Romea, sam by wysłał do ciebie jakąś wiadomość. – Jacquetta objęła signorę Toscano. – Poza tym znamy wielu ludzi, którzy tak jak my oferują schronienie, większość przy drodze do Rzymu. Razem tworzymy całą sieć pomocy i opieki, dajemy sobie nawzajem wskazówki. Porphyrius musiałby tylko wspomnieć moje imię, żeby wiadomość do nas dotarła.

– Gdyby był w takim stanie, żeby to w ogóle zrobić – padła odpowiedź.

– On nie jest chory, *la raggia*. Niedługo wróci do domu.

Mia przemówiła stanowczo i zwróciła się do przyjaciółki specjalnym imieniem, które nadała jej tyle miesięcy temu, imieniem, które zrównało ją z promieniami i złotym światłem. Mówiło o jej pewności siebie, o przekonaniu, że wszystko się skończy po jej myśli.

Signora Toscano pocałowała Mię w policzek, wiedząc, co ta chce jej przekazać: musi być silna i pełna wiary, że jej siła woli sprowadzi do domu męża zdrowego i całego. Uśmiechnęła się do obu kobiet i kiwnęła głową.

– Tak, macie rację. – Próbowała sprawić wrażenie pokrzepionej. – Jednakże dawno powinien wrócić.

– Tym razem droga okazała się niełatwa – podsumowała Mia. – I tyle.

Ale następnego dnia z północy przybył pielgrzym i opowiedział o trudnościach w znalezieniu kwatery z powodu pogłosek o tajemniczej chorobie, o której donosili marynarze w porcie Genui.

– Cały ładunek ludzi, martwych i umierających, *monna* – mówił ciotce Jacquecie. – Podobno choroba ścigała marynarzy od genueńskiego portu handlowego Kaffa na wschodzie. Zarażeni mają okropne obrzmienia, które pękają, wówczas leci z nich cuchnąca czarna krew, powodując straszliwy odór, którego nie sposób znieść. Śmierć dopada tych, którzy zapadną na chorobę, w ciągu kilku godzin, a najpóźniej kilku dni. To kara od Boga. I nie da się przed nią uciec.

Już kolejnego dnia dwóch podróżnych, ojciec i syn, podążających z przeciwnego kierunku, bo wracających z Ziemi Świętej, doniosło kobietom o nieznannej chorobie, która nawiedziła port w Aleksandrii. Przemawiał starszy z mężczyzn, którego Mia uznała za rozsądnego i umiarkowanego w słowach. Nie wierzyła, by zajmował się powtarzaniem tych samych przesadzonych pogłosek co pielgrzym z poprzedniego dnia, który przedstawił opowieści o potwornościach przeczących zdrowemu rozsądkowi.

– Słyszałem, że choroba dotarła też na Cypr, signora – odrzekł na ostrożne pytania Jacquetty. – I nikt nie potrafi jej nazwać. Niektórzy powiadają, że znaki astrologiczne wskazują zarazę z powodu koniunkcji planet.

– Inni jednak – włączył się jego syn – uważają, że to z powodu wybuchów wulkanu na Sycylii, zatruwających powietrze.

Agnesca Toscano usłyszała to wszystko i ucichła. Nie podzieliła się

myślami z Mią ani Jacquetta, nie chciała wyszydzać doniesień ani wypytywać o kolejne sensacyjne szczegóły. Ale po kolejnej godzinie spędzonej na rozmyślaniach w ogrodzie, który założyła z Mią, odnalazła je obie w domu. Wymagało trochę zachodu odseparowanie ich od Loredany, Chiary i Alby, i od kwaterujących pielgrzymów, ale ostatecznie dopadła je na osobności w pokoju muzycznym. Zamknęła drzwi, żeby nikt im nie przeszkadzał.

– Jakakolwiek jest prawda o Porphyriusie, te wieści o chorobie powinnyśmy potraktować poważnie – powiedziała. – Podróżni nieustannie napływają do willi, Jacquetto, a nie mamy pojęcia, co to za choroba ani jak daleko może się roznieść. Może mądrze by było separować gości od domowników, dopóki się nie upewnimy, że nie są chorzy.

Jacquetta wysłuchiwała jej uważnie. Szanowała signorę Toscano za jej zdolność leczenia ran i chorób, bardziej może nawet niż mnichów z pobliskiego opactwa. Ale oddzielania pielgrzymów od domowników i – ostatecznie – opactwa na ustalone przez Kościół czterdzieści dni nie stosowano, odkąd pamiętała. A nie znały też jeszcze zasięgu choroby. Mówiono o niej w paru portach, ale stamtąd prowadziła do ich willi daleka droga. I zdaniem Jacquetty grozę zarazy wyolbrzymiali mężczyźni, z rozkoszą chwytając każdy pretekst do sięgnięcia po apokaliptyczną retorykę o Bogu karzącym grzeszny świat. Z drugiej strony, to prawda, że pierwsze wieści o zarazie pochodziły od Porphyriusa, który należał do ludzi rozsądnych. Jakaś choroba o nieznanym nazwie pojawiała się w portach morskich.

– Jeśli to wygląda tak, jak opowiadali ten ojciec z synem, jeśli ona pochodzi z cuchnącego powietrza albo wyziewów, czy oddzielenie podróżnych nam pomoże, Agnesco? – spytała.

– Nie wiem – odrzekła tamta szczerze. – Nigdy nie słyszałam o chorobie, która by pasowała do tych opisów. Ale moja guwernantka z przyzwyczajenia wykazałaby ostrożność w sprawie wszelkich doniesień o rosnącej liczbie ludzi zapadających na tę przypadłość. Nauczyła się od

ojca – i nauczyła mnie – trzymać wszystko w jak największej czystości, by uniknąć zakażenia. Uważała, że plagom nękającym lud Izraela można było zaradzić hizopem wieszanym w drzwiach domu. Podobnymi środkami uchroniła mnie od wielu chorób dziecięcych. Myślę, że powinniśmy przynajmniej upewniać się, że ludzie przybywający do nas z innych części kraju przychodzą bez oznak choroby.

– Sugerujesz, byśmy odprawiały pielgrzymów? – spytała Mia.

– Wręcz przeciwnie. Musimy proponować to samo wytchnienie, które zawsze zapewniała twoja ciotka. Ale mamy też obowiązek dbać o tych, którzy mieszkają tutaj, w willi i w *borgo*, i w Palazzetto, i chronić ich przed zachorowaniem.

– Ty masz obowiązek wobec swojego dziecka, *la raggia* – przypomniła jej Mia stanowczo. – Nie stykaj się z żadnymi chorymi gośćmi.

– Zgadza się z Mią, Agnesco – powiedziała Jacquetta. – Powinniśmy zachować rozsądek, trzeźwy osąd i cieszyć się, że do tej pory nikt nie zachorował. Zastanawiam się nad historiami, które słyszałyśmy, i coś mi się zdaje, że wiele w nich zabobonnych bzdur. Kara od Boga, rzeczywiście. Widzę jednak sens, by podjąć wyjątkowe kroki, utrzymać willę w czystości i nalegać, by goście się kąpali.

– W takim razie – zasugerowała signora Toscano – rozsypmy w pokojach wszystkie zioła, które wedle mojej wiedzy zwalczają zarazę. I przygotujmy pokoje ogrodowe dla gości przybywających z miejsc, w których zaobserwowano chorobę. Czyli z Genui, Sycylii i krajów z południowego brzegu Morza Śródziemnego. Z wszelkim prawdopodobieństwem także z Konstantynopola. Kwarantanna czterdziestodniowa może być przesadna, jeśli to prawda, że zarażeni szybko umierają. Ale może przez tydzień byśmy ich trzymały z dala od willi i chat chłopów, i z dala od mnichów z opactwa w ich ściśle zamkniętej społeczności.

Skoro to ustaliły, Jacquetta spędziła kolejne dwa dni, nadzorując właściwe przygotowanie osobnych kwater naprzeciwko stajni w ogrodzie.

Te pokoje miały paleniska i niewielką kuchnię, która kiedyś została zbudowana właśnie do celów kwarantanny, a później używano jej okazynie przy natłoku gości w letnich miesiącach, gdy drogi były suchsze i bezpieczniejsze do podróżowania. Signora Toscano z głębokim namysłem dobrała zioła, by je porozrzucić w domu i w dodatkowych kwaterach. Poprosiła Mię, by przygotowała jeszcze jedną partię mydła. Tym razem zaleciła użycie raczej mieszanki tymianku i lawendy, dla zapachu i wzmocnienia, niż bardziej luksusowego irysa, który z kolei lepiej działał na skórę, i pouczyła Mię, jak wmieszać odrobinę ałunu.

Wszystkie tkaniny wyprano, dywany wytrzepano, pościel przewietrzono i zmieniono, a podłogi zamiatano dwa razy dziennie. Mia obawiała się, że jej przyjaciółka zasłabnie od znoonej pracy w tak wysokich temperaturach: zbliżał się koniec miesiąca, ale wciąż panował znaczny upał. Signora Toscano, pomimo wyraźnie widocznej ciąży, zdecydowana była nadzorować przygotowania osobiście. A poza tym, wyznała swoim drogim przyjaciółkom, dzięki temu choć na chwilę przestawała myśleć o nieobecności męża.

Następnego dnia, w wigilię Wszystkich Świętych, Mia patrzyła wczesnym popołudniem, jak koń ciotki Jacquetty znika na trakcie prowadzącym do opactwa. Postanowiła ona odwiedzić opata Angela i skonsultować z nim oraz z Fra Silvestrem wieści o dziwnej przypadłości, i dowiedzieć się, co słyszeli. Ale już kilka chwil później Mia znowu usłyszała stukot kopyt, może nawet nie konia, lecz koni. Czyżby ciotka spotkała opata zdążającego do nich? Mia wyjrzała zmieszana przez okno, sprawdzić, czy Jacquetta o czymś zapomniała czy wraca.

Nie ujrzała jednak ani rudej klaczy, ani szczupłej sylwetki ciotki.

Wyjrzała na schody i zawołała niecierpliwie signorę Toscano, która odpoczywała w swoim pokoju na dole. Po chwili obie młode kobiety wypadły przez drzwi frontowe i biegły przez podwórko, aż bez tchu zatrzymały się przy stajniach.

Silna, wyprostowana postać zeskoczyła z konia i podeszła do nich.

– Nic mi nie jest – rzekł Porphyrius cicho.

Żona dopadła go w miejscu, gdzie głęboki cień i oślepiające światło łączyły się tuż przy kamiennym łuku wejścia do stajni, a on objął ją namiętnie i czule. Zerknął ponad jej ramieniem i dostrzegł Mię, która też już nadbiegła. Szybko wyciągnął ramię i ją również objął, ucieszony widocznym przywiązaniem dziewczyny. Ulga, którą poczuła na jego widok, przewyciężyła jej zwykłą powściągliwość.

– Nic mi nie jest, naprawdę – zapewnił je obie. – Ale, Agnesco – zajrzał w promienną twarz żony – mój przyjaciel potrzebuje pomocy.

Delikatnie uwolnił się z jej objęć i cofnął się w mrok, gdzie Mia właśnie dojrzała drugiego konia. Osłoniła oczy, by dostosowały się do ciemności, i patrzyła, jak Porphyrius pomaga młodemu mężczyźnie. Ten siedział niemal bez ruchu na koniu w pustej przegrodzie.

Pchana ciekawością, sama przestąpiła próg stajni. Porphyrius szedł do towarzysza, ale zanim do niego dotarł, mężczyzna gwałtownie wychylił się do przodu i byłby się zsunął z siodła, gdyby Porphyrius nie chwycił go w ramiona, osłabiając siłę upadku.

Mia odruchowo rzuciła się do pomocy, ale całkowicie ją zaskoczyło to, co zobaczyła: młody mężczyzna, chyba dwudziestoletni, z gęstwą jasnobrązowych loków, miał mokre od potu czoło. Ale od czego się wzdrygnęła mimowolnie, to od ohydneho obrzmienia na jego szyi. W jednej chwili przybysz o anielskiej aparycji wydał się jej straszny. Mężczyzna był chory.

PIĄTEK 15 CZERWCA 2007 ROKU,  
BORGO SANTO PIETRO

Claus od razu wzbudził zainteresowanie Maddie. Gdyby samym wyglądem nie zdobył jej aprobaty, na pewno wystarczyłoby jego zachowanie. Tryskał energią i entuzjazmem, podobnie jak Jeanette, a na jego ujmującej twarzy niezmiennie utrzymywał się pogodny wyraz. Później Maddie uzna, że to kwestia uśmiechu i błysku w oku, który kojarzy się jej z nordyckim Świętym Mikołajem. Obdarzał nimi wszystkich, ale Maddie po raz pierwszy je obserwowała, gdy Claus przez jakieś dziesięć minut bawił się z Vincentem.

Chociaż na pewno zmęczony, obył się bez śniadania, a tylko pognał swojego roześmianego syna w róg ogrodu, gdzie na poziomie trawnika zamontowano batut, a potem go obsadzono żywopłotem, żeby był zarówno bezpieczny, jak i miły dla oka. Maddie – a także Eleanore, biegnąca za nimi – dołączyła do zabawy i patrzyła, jak ojciec czule podnosi chłopca i sadza go na czarnym pokryciu batutu, po czym przetacza go na wszystkie strony w słońcu, łaskocząc i tuląc, a wreszcie skacze tuż obok niego, uważając, by nie stracić równowagi i nie zmiażdżyć maluszka. Okazało się to niełatwe, bo Claus był wysoki i potężny, batut zaś, chociaż wystarczająco mocny, przeznaczony był jednak dla dzieci. Ale odbijali się tak w doskonałej synergii – Claus z siłą tygrysa, ale z łagodnością owieczki.

Po półgodzinie – czyli w czasie zdecydowanie za krótkim, by zmęczyć Vincenta – cała trójka przeszła razem do domu i dołączyła do Jeanette i Søreny, pograżonych w ożywionej dyskusji na temat dzieła Mila i Petera w jadalni. Drzwi balkonowe były otwarte na ogród różany. Claus posadził sobie Vincenta na ramionach i skupił się na podziwianiu pomalowanych

ścian. Po chwili jego wzrok zakomunikował aprobatę.

– Świetny efekt – powiedział z miłym i lekko śpiewnym akcentem. – Myślę, że teraz ta część jadalni wygląda na większą. I doskonale uchwycił kolor drzewek cytrynowych.

Jeanette to ucieszyło, ale jej oczy – bardziej fajansowo niebieskie niż Clausa – wyrażały lekkie niezadowolenie.

– Tak, wiem. Ale Søren i ja właśnie myśleliśmy, że fajnie by było, gdyby drzewa na każdej ścianie przedstawiały inną porę roku – może na jednej z owocami, ale nie wszystkie takie same. Inaczej równie dobrze mogłaby to być kalkomania – a to zostało namalowane ręcznie, więc powinniśmy widzieć jakieś urozmaicenia.

Claus uśmiechnął się do żony, a Maddie zorientowała się, że to wyraz twarzy, który po wielekroć miał okazję ćwiczyć przez lata. Pełen uwielbienia i jednocześnie rezygnacji. Z odpowiedzią zwrócił się do Sørena, który uśmiechał się szeroko.

– To oznacza, że moja ukochana żona będzie chciała zamalować co najmniej trzy z fresków i zacząć wszystko od nowa. A ja nie wiem, co bym zrobił, żeby była zadowolona za pierwszym razem. – Uściskał Jeanette. – Ale Madeline, co ty myślisz na temat prac, które moja żona ukończyła w domu?

– Myślę, że twoja ukochana żona jest raczej w tym wszystkim dobra – odwzajemniła jego uśmiech – więc może mędrzec pozwala jej robić po swojemu.

– Właśnie takie mam zdanie – rzekł z miną Świętego Mikołaja, a Maddie utwierdziła się w swojej sympatii dla niego.

Jeanette była zadowolona, że tak łatwo przeforsowała swój punkt widzenia.

– No dobra – powiedziała. – Późno wstaliśmy, nie zjedliśmy śniadania, a już dawno po dwunastej. Na wczorajszą kolację przygotowaliśmy z Maddie prawdziwą ucztę, a dzisiaj jesteśmy sami, więc tylko od waszej dwójki zależy, czy urządzimy piknik z waszej niezjedzonej kolacji przy



basenie, czy w słońcu w ogrodzie różanym, czy w cieniu loggii.

Claus wskazał Søren i Maddie, by to oni zdecydowali.

Søren niezwłocznie zasugerował:

– Cóż, loggia, prawda? Jeśli utrwali mi się jej obraz, zabiorę go ze sobą.

– *Kan du lide hvad du ser?* – spytała Jeanette gościa z uśmiechem zainteresowania.

– *Alt er smukt* – padła pogodna odpowiedź.

Maddie z wyrazu jej twarzy – i z reakcji Sørena – zrozumiała, że gospodyni jest zadowolona z jego reakcji na jej piękną Valle Serena. Podczas gdy Jeanette poprowadziła Maddie do kuchni, by zorganizować jedzenie, Claus skorzystał z okazji, by wraz z Sørenem i Vincentem przejść się po ogrodach przy domu, tak jak Jeanette zrobiła z Maddie po jej przyjeździe.

– On ma świetne oko – powiedziała Jeanette do Maddie, wyciągając półmiski z lodówki.

– Bo takie jak twoje? – zażartowała dziewczyna.

Gospodyni zaśmiały się oczy.

– Nie, nie tylko o to chodzi. Zauważa wszystko. Rozglądał się ze mną po domu... nie wiem... przez godzinę? Gdy tylko zobaczył widok i obejrzał się na dom, stwierdził, że na pewno stał tu dom od czasów rzymskich – prawdopodobnie było to gospodarstwo wiejskie. I może mieć rację.

– A dlaczego tak myśli? – spytała Maddie zajęta robieniem sosu do sałaty.

– Wskazał pozycję obronną, górowanie nad doliną, ukształtowanie terenu. Znalazł trochę trawertynu z odzysku, jego zdaniem bardzo starego. Ale spytał mnie też o coś fascynującego. – Jeanette przerwała, myśląc o następstwie słów Sørena, a Maddie spojrzała na nią niecierpliwie. – Powiedziałam, że musieliśmy szukać wody, bo wyglądało na to, że nie ma tu starej studni ani nic. On na to, że jeśli to dom rzymski, to znajdował się pod nim zbiornik, który latem miał zapewniać chłód, a w deszczowe miesiące zbierał deszcz z dachu, by domownicy stale mieli

wodę. I wiesz, Maddie, jest, czy było, takie coś, kiedy tak teraz o tym myślę. Gdy kopaliśmy pod domem, by wzmocnić fundamenty, znaleźliśmy coś, co uznaliśmy za piwnicę. I pewnego dnia mamy nadzieję zbudować porządną przemysłową kuchnię w tym chłodzie na dole – jeśli Borgo stanie się hotelem i będzie miało wielu chętnych do stołowania się w restauracji. Søren chyba ma rację, że to zbiornik. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

– Ten dom to niewyczerpane źródło historyczne – powiedziała Maddie. – I ty też to czujesz. Czujesz, że jego część przetrwała, choćby taka wciąż obecna aura, że tylu ludzi tu znalazło schronienie, pielgrzymi i ci, którzy tu mieszkali. Przeżywali emocje i kłopoty, przychodzili z pełnymi nadziei sercami i umysłami, szukając czegoś... przez setki lat. To szalenie wyjątkowe, pouczające. A jeśli o mnie chodzi – patrzę na swój ból z nieco innej perspektywy.

Jeanette spojrzała na Maddie i powoli kiwnęła głową. Po raz pierwszy połączyła je taka poufałość. I poczuła, że Maddie powoli wraca do prawdziwej siebie – na tyle silnej, by przemyśleć i przeanalizować to, przez co przeszła. Pokonała kilka dzielących ich kroków i uściskała ją czule.

– Twoje cierpienie jest prawdziwe, Maddie – powiedziała. – Osobiste i bolesne. Ktoś, kto cierpi, nie widzi świata poza swoim bólem. Możesz tak czuć. Musisz. Ważne, czy dzięki temu uczysz się empatii czy obojętności wobec życia. Chyba wiem, które z tych dwóch leży w twojej naturze.

Maddie, czując gulę w gardle, odwzajemniła uścisk i nie wiedzieć czemu pomyślała o Nevie.

– Tak – odrzekła. – A teraz nakryję do stołu, zanim emocje mnie dopadną.

Wydobrzejesz, pomyślała Jeanette, gdy tylko je dopuścisz do głosu. Ale nie powiedziała tego Maddie, która dzisiaj dość już sobie uświadomiła. Uśmiechnęła się więc tylko do niej w swój zwykły sposób i podała jej sztucce oraz serwetki.

Søren zostawił Clausa i Vincenta obserwujących karpia w dużym stawie obok basenu i przyspieszył kroku, by dołączyć do Maddie i Jeanette w kuchni.

– W czym mogę pomóc? – spytał.

Jeanette uśmiechnęła się szeroko i wskazała mu kredens.

– Pięć talerzy i miseczka dla Vincenta – powiedziała. – Razem z Justiną zjedzą z nami przynajmniej trochę makaronu. Tobie zostawiam wybór, czy przyniesiesz większe kieliszki do chianti, bo jest też wysmienita schłodzona vernaccia z San Gimignano, jeśli masz chęć na białe.

Dwadzieścia minut później popijali vernaccię w chłodzie zadaszonego tarasu. Podawali sobie półmiski z jednego końca stołu na drugi i z powrotem. Z umiarkowaną energią poruszyli kilka tematów. Claus opowiedział krótko o początku swojego romansu z Włochami, gdy przed laty był instruktorem narciarskim w Dolomitach. Maddie bez trudu rozpoznała tamtego mężczyznę w wysportowanym Clausie siedzącym naprzeciwko niej. Potem Jeanette wyjaśniła, jak się poznali w Londynie – umówieni przez przyjaciół, którzy wiedzieli o ich wielkiej miłości do Włoch.

– Claus wychodził z trudnego rozwodu, a ja się zbierałam po stracie kogoś bardzo dla mnie bliskiego – mówiła. Maddie spojrzała na nią i zastanowiła się, dlaczego od swojego przyjazdu nie spytała o żadną z tych spraw. Justina także wspomniała o swojej miłości do Włoch i wyjaśniła, że uczyła się włoskiego na uniwersytecie na Litwie, ponieważ bardzo kocha sztukę. Zachwyciło ją, że dostała tu pracę, dzięki której może ćwiczyć język. A Søren po prostu zachwycił się Borgo: lokalizacją, atmosferą, zapachem cytryn, a zwłaszcza wybranymi przez Jeanette gustawowskimi wnętrzami, które jego zdaniem idealnie pasowały do klasycznego włoskiego domu. Twierdził, że wyjątkowo współgrają z tutejszym światłem, które odsłania nieskończone subtelności kremowego i bieli, srebra i szarości, i kredowego błękitu, i złotych akcentów mebli oraz

oświecenia.

– Przypomina mi się – mówił – dom mojej babci w Kopenhadze. Podobnie jak to popiersie tej tu waszej bardzo duńskiej damy – dodał, wskazując niewielką marmurową rzeźbę spoczywającą na stoliku na końcu loggii. – Opowiedzcie mi o niej?

Jeanette upiła wina i uśmiechnęła się szeroko. Ta kobieta nie była piękną. Twarz miała wręcz dość ponurą, może nawet pełną dezaprobaty. Ale towarzyszyła Jeanette od lat i wiele dla niej znaczyła. Zainteresowało ją, że Søren zwrócił na rzeźbę uwagę.

– Kiedy mieszkałam w Kopenhadze, w starym mieszkaniu, które przez jakiś rok wynajmowałam w domu na Store Kongensgade, patrzyłam na nią dniami i nocami. Stała samotnie w ogrodzie, często w deszczu. A mnie to jakoś nie dawało spokoju. Tyle musiałam myśleć o własnych zadaniach, że z czasem stała mi się dość bliska. Nie spuszczałam z niej oka – mówiła jakby z nieśmiałością – i gdy zbliżał się czas wyprowadzki, poruszyłam temat ze swoim gospodarzem. Powiedziałam mu, że to nie w porządku, że ona tak stoi na zimnie. „Mowy nie ma – on na to. – Absolutnie wykluczone, żebym ci ją dał, zapomnij”. Odpuściłam. Ale kilka tygodni później, kiedy już się spakowałam, a przed domem czekała ciężarówka, przyszedł do mnie. „Chyba coś zostawiłaś” – rzekł. I wsadził mi ją w rękę.

Jeanette, ożywiona i w świetnym nastroju, przyjrzała się Sørenowi uważnie i zastanowiła, jak wydobył z niej tę sentymentalną opowieść – o jej niezwykłej więzi z nieożywioną niewiastą. Ale Søren miał nieodgadniony wyraz twarzy. Uważne damskie oko przyjrzało się jego nosowi i delikatnej linii żuchwy; lśniącym ciemnym włosom, zaczesanym od czoła, i jasnoorzechowym oczom nieczęsto występującym u Skandynawów. Na pewno odbiegał od stereotypu. Był myślicielem o łagodnym usposobieniu. I miał rozmarzone oczy poety. Pojął to idealnie.

Søren patrzył na popiersie, dominujące na swoim zacienionym końcu tarasu. Potem uśmiechnął się do Jeanette.

– I teraz nie grozi jej wiatr ani chłód w kraju, gdzie cytryna dojrzewa.

Upał zasnuł dolinę mgiełką. Przy paru butelkach schłodzonego wina popołudnie szybko upłynęło. Vincent i Justina poszli się pobawić, a rozmowa między nimi wszystkimi dopiero się zaczęła. Claus spytał Maddie o jej pracę i o prawo w San Francisco. Zdziwiła się, jakie to wszystko wydało się odległe z perspektywy tego miejsca. Opowiedziała trójce słuchaczy o ludziach, których reprezentowała, o krzywdzie, którą im wyrządzono, o roli Maddie w zbieraniu dowodów zaniedbania ze strony ich pracodawcy, w przygotowaniu pozwu. Długo nikt się nie odzywał, aż wreszcie Jeanette zadała rozsądne pytanie:

– Dlaczego oni po prostu nie przyznają, że jest problem, i nie zabezpieczą tego?

– Oni tego nie widzą – odrzekł Søren. – Bo wcale nie patrzą.

Maddie mu przytaknęła.

– Tak. Myślę, że to najprostsza odpowiedź.

Pomyślała, jakie to cudowne i jakie uwalniające, tak siedzieć z nowymi przyjaciółmi i rozmawiać. W domu nikomu się nie zwierzała, więc napięcie związane z pracą, połączone z osobistymi przeżyciami, złożyło się na straszne zmęczenie. Oto trzy empatyczne, inteligentne osoby rozumiały jasno, co jest nie tak. Gdyby tylko mogła przekazać to Pierce'owi.

– Dość o mnie – rzekła, wypijając resztę wina. – Jedno pytanie do Sørena i jedna obietnica Jeanette?

– Pytaj – zachęcił.

– Najwyraźniej jesteś Duńczykiem jak Jeanette i Claus, a ja wiem, i jestem wdzięczna, że od kilku godzin ze względu na mnie rozmawiacie po angielsku. Ale – spojrzała na stół i potrząsnęła głową – wyjaśnij mi zagadkę, jakim cudem mówisz po angielsku, wymawiając samogłoski jak uczeń prywatnej szkoły?

Søren wybuchnął śmiechem.

– Ach! Prywatnej szkoły to może nie do końca. Ale to nie jest ani trochę interesujące. Może przejdziemy od razu do obietnicy Jeanette, zapewne o wiele bardziej interesującej?

– Nie, słuchamy – dołączyła gospodyni. – Mnie też interesuje odpowiedź.

Søren kiwnął głową.

– Okej, postaram się streszczać. Mój ojciec jest profesorem na uniwersytecie w Kopenhadze. Jest bardzo wykształcony i kulturalny, więc dzieciństwo spędziłem na podróżach po rozmaitych miastach i galeriach w całej Europie Północnej – Pradze, Berlinie, Paryżu, Wiedniu. Sztukę przyswajałem sobie bez trudu i miałem zdanie o każdym wielkim malarzu i kompozytorze. Niewiele natomiast czasu spędzałem na plaży.

Maddie oparła podbródek na dłoni i kiwnęła głową. Jej dzieciństwo wyglądało bardzo podobnie, a jednak wersja Sorena brzmiała jakoś zachwycająco, może dlatego, że dotyczyła słynnych europejskich miast.

– Moja matka pracowała w służbie zdrowia, ale w wolnym czasie malowała. Jej ojciec – mój dziadek Frederik – był poważnym artystą; ale był też trochę cyganem i nie za bardzo się poczuwał do odpowiedzialności za rodzinę. Opuścił ją i wyjechał do Australii, gdy mama była małą dziewczynką. Przysyłał piękne listy, ale pieniędzy nigdy. Mama cierpiała z tego powodu. Może dlatego malowanie pozostało jej hobby i nie zaryzykowała ściślejszej z nim więzi.

– Pewnie miała nadzieję, że pójdiesz w ślady ojca i poświęcisz się bezpiecznemu życiu akademickiemu. – Jeanette uśmiechnęła się współczująco.

– Masz rację w stu procentach. Ale gdy skończyłem szkołę, musiał się we mnie odezwać gen cygana. Złożyłem papiery na architekturę w Londynie, ponieważ wydawało mi się, że jeśli będę studiować z dala od domu, nikt nie zaingeruje w moje wybory. Chciałem zrobić coś, co by mi pozwoliło wyrazić siebie, zamiast oceniać innych. Kiedy wylądowałem w Londynie zupełnie sam i zetknąłem się z przedstawicielami tylu kultur, zacząłem lepiej siebie poznawać. Zacząłem ufać swoim instynktom twórczym, a przestałem się przejmować, że zestresuję nimi matkę. Zrobiłem dyplom u Bartletta, co było niezwykłym doświadczeniem.

I zanim skończyłem studia, wiedziałem, że nigdy nie wrócę.

– Ale ciągle masz łódkę zacumowaną w Danii, co bardzo mnie cieszy – dodał Claus entuzjastycznie. Mrugnął do Maddie. – Mężczyźnie, który żegluje, możesz zaufać, Madeline. To zawsze dobry kompan na czas burzy.

Maddie uśmiechnęła się słabo i zerknęła na Clausa. Ta uwaga wydała się jej bardzo dziwna i bardzo trafna jednocześnie.

– Ale projektujesz ogrody, a nie budynki? – spytała Sørenna.

– Lubię pobrudzić sobie ręce – odrzekł. – Dość już o mnie, co z tą obietnicą Jeanette?

Gospodyni przeszła do wiklinowego fotela na skraju tarasu i zapaliła papierosa.

– Maddie, wybaczysz, jeśli po duńsku uaktualnię trochę wiedzę tych gości?

Maddie kiwnęła głową, a Jeanette opowiedziała szybko Sørenowi o budowaniu ogrodu różanego, o pracach ziemnych pod mur i o znalezieniu szczątków. Wyjaśniła, że wezwano odpowiednie służby i że musieli zdecydować, czy wzywać policję czy archeologów.

– Archeologów, rzecz jasna – odparł Søren po angielsku. – Nie tylko ze względu na wiek posiadłości, ale też dlatego, że dawno temu był tu kościół.

– No, masz rację i mylisz się zarazem – przyznała – ponieważ okazało się, że to zdecydowanie robota dla archeologów i antropologów, a nie dla policji. Ale nie sądzę, żeby się to wiązało ze starym kościołem. Nawet nie mamy pewności, gdzie on stał.

– Chyba mówiłaś – wtrącił Claus – że niedługo oddadzą nam te szczątki?

– Skończyli badania – odparła, kiwając głową – i mam wam do przekazania coś osobliwego. Pamiętasz, Claus, znaleźliśmy dwa ciała z wyciągniętymi ku sobie ramionami, jakby byli to kochankowie trzymający się za ręce.

– Mieli na szyjach podobne łańcuchy i zastanawialiśmy się, czy nie popełnili samobójstwa – dodał z uśmiechem, który nie do końca licował

z powagą słów. – Mielіśmy rację?

Maddie bawiła się włosami, gdy mówili po duńsku, zwijając gęste loki w kok. Ale teraz przestała i pochyliła się ku Jeanette.

– Zbadali trzy ciała i wszystkie datowali na średniowiecze – ciągnęła Jeanette. – Powiedzieli, że znakowanie węglem umieszcza je gdzieś pomiędzy tysiąc dwieście pięćdziesiątym a tysiąc czterysta dwudziestym rokiem. Ale jeśli sięga aż do tysiąc czterechsetnego z hakiem, Søren, to nie może mieć nic wspólnego z kościołem. Kościół przestał istnieć w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych trzynastego wieku.

– A więc pielgrzymi? – spytał Søren. – Umarli tutaj, z dala od domu?

Jeanette pokręciła głową.

– Zbadano zęby, wszyscy żywili się miejscowym, tokańskim jedzeniem, prawdopodobnie pochodzili z klasy średniej, ponieważ spożywali ryby i mięso, a warstwy uboższe żywiły się głównie warzywami. Na Toskanię wskazuje też stężenie strontu pochodzącego z wody.

Teraz każdy pochylał się ku niej, a Maddie spytała:

– Kim byli?

– Metalowy przedmiot, który znaleziono w pobliżu jednego z ciał, okazał się bełtem kuszy. Prawdopodobnie to on spowodował śmierć tej osoby. I – dodała, otwierając szeroko piękne niebieskie oczy – wszystkie trzy szkielety są kobiece!



WIGILIA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH 1347 ROKU,  
SANTO PIETRO IN CELLOLE, TOSKANIA

– Dobrze się czuł. Miał dobry nastrój i świetny humor, kiedy dotarliśmy do Rzymu. To było pięć dni temu.

Porphyrius dźwignął towarzysza na przygotowane łóżko w pokojach gościnnych przy podwórzu. Sądząc po tym, że podniósł go jak dziecko, Mia mogłaby odnieść wrażenie, że mężczyzna nic nie waży, a przecież był wysoki i silnie zbudowany.

– Słyszałyśmy historie o takich opuchliznach – powiedziała. – Ale nie wyobrażałam sobie, że to coś tak straszego.

– Obudził się z tym dzisiaj – odrzekł.

Agnesca Toscano, umieściwszy poduszki pod głową chorego, przyjrzała się bacznie jego twarzy. Dotknęła czoła i zbadła grudę. Poluzowała mu ubranie pod szyją i odkryła trzy kolejne brzydkie obrzmienia, przy czym najgorsze miało wielkość jajka.

– Jest niebezpiecznie gorący w dotyku – powiedziała.

Mia kiwnęła głową i zniknęła w drzwiach.

Porphyrius spojrzał niespokojnie na żonę.

– Ta gorączka pojawiła się dwa, może trzy dni temu. Na pewno był chory, kiedy dotarliśmy do San Quirico, chociaż oszołomiony i nieswój czuł się już przy wyjeździe z Bolseny. Wtedy zaczęliśmy posuwać się wolniej. Trząśił się tak przemożnie, że obawiałem się, czy utrzyma się w siodle. I przez dwa gorące dni pozbył się całej treści żołądka. Nie miał apetytu, ale dzisiaj nawet woda mu się nie trzymała.

– Kim on jest, Porphyriusie? – spytała.

– To Gennaro, Agnesco – odrzekł cicho. – Wiele razy ci o nim opowiadałem. Od dzieciństwa jesteście sobie bliscy i to on dodawał mi

odwagi przy wszystkich naszych kłopotach, gdy mu wyznałem swoje uczucia do ciebie. Bóg świadkiem, że miał dość własnych kłopotów, ale i tak zawsze znalazł dla mnie mądre słowo, żebym się nie poddawał, choć twoja rodzina była nastawiona przeciwko nam.

– Tak, pamiętam. Jego rodzina musiała kilka lat temu opuścić Volterrę. – Czuła się rozdarta pomiędzy podziwem dla lojalności męża wobec przyjaciela a troską, że od tyłu dni przebywał tak blisko z kimś tak chorym jak ten biedak. – Jak to się stało, że podróżowaliście razem?

– Przypadek, Agnesco. Bez wielkiej nadziei czekałem na rejs z Mesyny, po tym jak w porcie wybuchła panika i zawracano statki. Nawet sobie nie wyobrażasz tego zamieszania. Wróciłem na stały ląd tylko dlatego, że pokonałem cieśninę przed nadejściem najgorszych wieści o chorobie, ale potem cały ruch został wstrzymany. Szczęście, że Gennaro podróżował dzień czy dwa za mną. Już się przeprawił do Salerno na małym statku. Na szczęście dla mnie ten statek przybył z Sycylii do kalabryjskiego portu, by wysadzić podróżnych, którzy znaleźli się w tarapatkach i drogo zapłacili za przeprawę. On mnie znalazł w porcie w Reggio, gdzie szukałem statku płynącego do Neapolu lub Ostii. To istny cud, że zdołał przekonać załogę, by mnie też zabrała. Gdyby on się nie pojawił, utknąłbym tam i musiałbym podjąć niebezpieczną podróż lądem.

Twarz jego żony złagodniała w uśmiechu.

– W takim razie cieszę się, że cię odnalazł, naprawdę. Nie wiem jednak, co sprowadził na nas wszystkich.

– Wierzę w twoje umiejętności medyka – odrzekł, dotykając jej włosów w pokrzepiającym geście.

– Tym razem moje umiejętności mogą nie wystarczyć, Porphyriusie.

W drzwiach pojawiła się Mia z niewielkim drewnianym wiaderkiem i czerpakiem, a także kilkom pasmami starego płótna.

– Zimna, *la raggia* – powiedziała. – Zaczepnęłam wody bezpośrednio ze zbiornika. I zebrałam złocenie z ogrodu jednoroźca.

– Dobrze, że o tym pomyślałaś, Mia – odrzekła przyjaciółka. –

Utłuczmy zioła i namoczmy, a potem spróbujemy go zmusić, żeby je połknął. Może to powstrzyma gorączkę.

– Poprosiłam Chiareę, by przyniosła w tym celu gorącą wodę – dodała Mia. – Zaraz przyjdzie.

Porphyrius pochylił się, by wziąć od niej wiadro, po czym odstawił je na zydelek obok przyjaciela.

– Schłódzimy mu ciało – powiedziała signora Toscano do Mii. – To najważniejsze. Nic nie wiem o wielkich obrzmieniach, ale spróbujemy ograniczyć poty.

Porphyrius pomógł żonie rozsznurować kubrak chorego, a potem elegancką koszulę. Agnesca i Mia ostrożnie osuszały mu klatkę piersiową i twarz wilgotnymi gałgankami. Mia od razu poczuła rozpalenie skóry i pomyślała, że człowiek z taką gorączką ma nikłe szanse na przeżycie następnej godziny. Przypomniała sobie, jak jej ciotka pielęgnowała kiedyś młodzieńca z podobną gorączką trawiącą ciało. Tamten szybko wpadł w delirium i już się nie obudził. Ale przyjaciel Porphyriusa jakby zaznał ulgi od chłodnego płótna. Drgawki złagodniały. Szczękanie zębów się zmniejszyło i chory oddychał nieco swobodniej. Ale skrzywił się i szarpnął ciałem, gdy Mia przesunęła gałganek pod jego pachą. Pomyślała, że niechcący za mocno przycisnęła. Delikatnie podniósłszy jego ramię, odkryła kolejne zgrubienie, większe niż to na szyi.

– Może by je naciąć, Agnesco? – zasugerował Porphyrius. – Dzisiaj skarżył się na wielki ból w szyi i straszliwy członków. Wątpił, czy da radę jechać, i namawiał mnie, bym sam ruszył w dalszą drogę.

– Nie wiem, co się znajduje w tych obrzmieniach – odparła – ale wątpię, by to była ropa. Nie jestem lekarzem i nic nie wiem o humorach. Może grzebanie w tych opuchlinach go osłabi, gdy ma tak wysoką gorączkę. Myślę, że teraz lepiej je zostawić w spokoju i obserwować go. Ale chciałabym, żeby połknął złocień. To może zmniejszyć gorączkę i bóle, o których mówisz.

Porphyrius podparł ciało przyjaciela, gdy kobiety dalej przykładały mu

na twarz kompresy, teraz starannie omijając wrażliwe miejsca na szyi i pod pachami. Signora Toscano poprosiła Mię, by podniosła skórzane kapy, które służyły za przesłonę w dwóch oknach pokoju, tak aby powietrze owionęło zwilżone ciało. Po chwili przybyła Chiara z dzbanem parującej wody i Mia natychmiast wrzuciła do niej zioła. Wkrótce zanurzyła w cieczy kopystkę i podniosła do warg chorego, zachęcając go do wypicia. Parsknął, ale trochę płynu przełknął.

Agnesca posłała męża po korę z wierzb, które rosły nad rzeką poniżej willi, a gdy ten wrócił po kwadransie, dodano jej do ciepłej wody, by wzmocnić napar. Cała trójka siadła, kobiety okładały skórę chorego świeżymi kompresami, a potem podały mu napar przygotowany z kory i maleńkich kwiatków złocienia. Minęło pół godziny i szczykanie zębów ustało. Potem jeszcze godzina i znacząco ustąpiła gorączka. Po kolejnej godzinie opuchnięte powieki otworzyły się na tyle, by chory dał znak, że przeszkadza mu światło z okien. Mia na powrót zaciemniła pomieszczenie, a wyczerpany młody mężczyzna zapadł w sen, gdy znalazła ich Jacquetta.

– Cudownie cię widzieć, Porphyriusie – powiedziała z radością. – Choć nigdy nie wątpiłam, że wrócisz do nas cały i zdrowy.

Niewielka grupa przeniosła się do kuchni, by zapewnić choremu spokój. Jacquetta wysłuchiwała raportu Porphyriusa, jej zdaniem sensownego i powściągliwego, w przeciwieństwie do plotek, których nasłuchiwała się od ludzi na drodze. Ale i te wiadomości ją zmartwiły. Cokolwiek to było, ta zaraza, której nikt nie umiał nazwać, dotarła właśnie do nich, tu do Santo Pietro in Cellole.

– Mężczyźni, którzy nas o niej powiadomili, wspomnieli o szybkości, z jaką nadchodzi, Porphyriusie – mówiła. – Ale ty opowiadasz o wielu dniach choroby przyjaciela. Gorączka zaczęła się dwa, trzy dni temu?

– Nie ociągaliśmy się w wędrowce z południa, Jacquetto – odrzekł. – Wiedziałem, że Agnesca się martwi, i bardzo już chciałem dotrzeć do domu. Statek złapał pomyślny wiatr, a w Salerno znaleźliśmy wolne konie. Tam nikt w ogóle nie mówił o chorobie. To nas ponaglało.

Myślałem, że może za mocno go popędzałem i że jest zmęczony. Dopiero gdy gorączka urosła niebezpiecznie i gdy zwymiotował całe jedzenie, zrozumiałem, że to inna przyczyna. A potem, dzisiaj, pojawiły się te obrzmienia. O tym mówili wszyscy w Mesynie: obrzmienia, z których wycieka zjełczała krew.

Jego żona próbowała podsumować przebieg choroby w czasie.

– Mówisz, że Gennaro był w Mesynie nieco ponad tydzień temu? – spytała.

– Nie, musiało to być dziesięć czy jedenaście dni – odrzekł Porphyrius.  
– Ja byłem w Reggio przez dwa dni, a w Mesynie dwa czy trzy dni przed nim.

Jacquetta policzyła na palcach i zdumiała się.

– Do czasu gorączki nie było żadnych objawów choroby?

– Powiedzmy, że tydzień po opuszczeniu Sycylii był rozpalony – odrzekł po głębokim namyśle. – I ten gorąc przybrał na sile w ciągu dnia, dwóch. Jednocześnie narzekał na mdłości, stracił apetyt i zwrócił wszystko, co zjadł. Może przedwczoraj zauważyłem, że jakby nie uświadamia sobie mojej obecności. Ja mówiłem, a on nie odpowiadał. Wyglądał słabo i martwiłem się, że spadnie z konia. Nie wiedział, dokąd jechać, więc wziąłem jego cugle i prowadziłem go jak dziecko, przez co jechaliśmy wolniej niż przez wszystkie wcześniejsze dni.

– Pielgrzymi z północy mówili o ludziach, u których objawy występowały po paru godzinach – przypomniała Mia.

– W takim razie może twój przyjaciel ma inną chorobę, Porphyriusie – podsunęła Jacquetta ze spokojem.

– Ale te opuchliny – odezwała się Agnesca – pojawiają się we wszystkich opowieściach, i on je ma.

Najważniejsze wydawało się ustalenie, co robić dalej. Każde z nich rozumiało, że liczy się czas i że leczenie choroby – cokolwiek to jest – będzie skuteczniejsze, jeśli się pospieszą. Agnesca Toscano próbowała także zdecydować, czy czas uznać, że Porphyriusowi nic już nie grozi.

– Co możesz nam o nim powiedzieć? – spytała męża. – Czy zawsze był silny i w dobrym zdrowiu? Gorączka nękała go przez dwa czy trzy dni, co jest bardzo ciężkie dla serca. Ale on próbuje wytrwać.

Porphyrius sięgnął po dłoń żony i uściskał ją czule.

– Jest silny tak na ciele, jak na umyśle – odrzekł. – O ile wiem, w każdej godzinie swego życia był zdrow. Od dziecka ćwiczył władanie mieczem i jest równie dobry w posługiwaniu się kuszą, jak łaciną. Bo on jest synem volteriańskiego szlachcica, Agnesco.

Porphyrius spojrział na Jacquette.

– Myślę, że jesteście spokrewnieni, a w każdym razie on i Mia – rzekł cicho.

Wszystkie trzy kobiety na to oświadczenie zareagowały wyrazem twarzy, który zastąpił wszelkie słowa. Wszystkie chciały informacji, czyim synem jest Gennaro.

– Czy nie zrozumiałem sugestii, Jacchetto – przepraszam, jeśli założyłem zbyt wiele – że Mia jest naturalną córką biskupa Ranuccia? – Porphyrius pytał tonem, który zdradzał ogrom powściągliwości.

Jacquetta i Mia zareagowały na to z całkowicie różnym wyrazem twarzy: jedna tajemniczym, druga zafascynowanym.

– A jeśli tak, to Gennaro jest jej kuzynem. – Porphyrius uśmiechnął się lekko. – On także jest Allegrettim, siostrzeńcem wygnanego biskupa.

WTOREK 19 CZERWCA 2007 ROKU,  
BORGO SANTO PIETRO I SIENA

Dyżur Søren w kuchni we wtorkowy rano zaowocował amerykańskimi plackami podanymi z bekonem z jednej strony i łyżeczką syropu klonowego z drugiej. Syrop Søren znalazł w zasobnej kuchni Jeanette. Gotowali na cześć Maddie i szczerze mówiąc, dla niej strawa była nieco ciężka, ale gest sam w sobie odebrała jako uroczy. Już przyznała przy kolacji poprzedniego wieczoru, że rozkoszne miejscowe wina chianti podbiły jej serce – choć czuła się lojalna wobec Napa – i szybko nabierała toskańskiego podniebienia, a w Borgo spędziła tydzień z niewielkim okładem. Połechtano więc jej patriotyzm, gdy Søren opowiadał o rozkoszach śniadania w jej części świata.

– W dzieciństwie dostawałem gotowane jajko i zimne przekąski. Ameryka robi śniadania jak nikt na świecie.

Gdy rozlali resztę kawy, spytał, czy może chciałaby, żeby zawieźć ją do Sieny. Miał spędzić poranek w bibliotece uniwersyteckiej i odwiedzić Orto Botanico dell'Università di Siena. Były to historyczne ogrody botaniczne miasta, doskonałe miejsce do poszukiwania roślin, które rozkwitały tu w średniowieczu, oraz inspiracji dla projektu ogrodu. W takim razie może by zjedli lunch? Szybko się zgodziła i pognęła do pokoju po kapelusz i mokasyny, żeby chodzić wygodnie po bruku. O wpół do dziesiątej Maddie, jednak nie w kapeluszu, lecz z włosami upchniętymi w starej płóciennej czapce Clausa, jechała usianą plamkami słońca szosą SS441 obok opactwa San Galgano, z Sørenem za kółkiem.

– Jedziesz niewłaściwą stroną! – krzyknęła, śmiejąc się na wiatr, gdy wyjechali z drogi podporządkowanej.

Na szczęście nie było innych samochodów, więc tylko się roześmiał

z całkowitym spokojem:

– Nic się nie martw! Zaraz to ogarnę.

Mały kabriolet okazał się doskonały na kręte tokańskie drogi pomiędzy Palazzetto a Sieną. Maddie zerknęła na kierowcę i patrzyła, jak w ciemnych okularach odbijają się cienie drzew. Teraz, kiedy jego umysł przestawił się na ruch prawostronny, poczuła się swobodnie, siedząc obok niego, gdy samochodzik dzielnie pokonywał zakręty. A wiatr i nawierzchnia drogi powodowały akurat tyle hałasu, że mogła patrzeć na wszystko i nie myśleć o niczym, nie czując też powinności prowadzenia konwersacji.

Maddie wiedziała, że Søren zaproszono na weekend do Borgo, żeby Jeanette rozważyła, czy zaaprobować go jako architekta nowego ogrodu. Przy tej okazji Duńczyk dostał jasny komunikat, że jeszcze nie zapadły żadne decyzje. Ale to było trzy dni temu. Teraz Jeanette sprawiała wrażenie zachwyconej i pewnej, że Søren jest właściwą osobą. Claus spytał go, czy może zostać kilka dni dłużej, by przejrzeć miejscowe rośliny i przeanalizować oryginalny projekt, potem wysunąć pomysły, które mogliby omówić i sporządzić wstępny kosztorys.

Po lunchu w niedzielę Maddie przeprosiła wszystkich, mówiąc, że ma do wysłania kilka maili, ale patrzyła, jak pozostała trójka wyrusza z domu – pogrążona w rozmowie po duńsku – ku dzikim obszarom niezagospodarowanego rejonu posiadłości. Zobaczyła, że Søren jest uzbrojony w taśmę mierniczą i kamerę, a także sakwę z niegarbowanej skóry, cudownie zadbaną i z lekką patyną wieku. Zastanawiała się, czy ta torba zawiera informacje o całym jego życiu.

Dopełniła obowiązków mailowych i, już całkowicie sama, ochoczo zajęła wielki wiklinowy fotel i zerknęła na angielską gazetę, którą przywiózł Søren z Londynu. Odłożyła gazetę na bok i spojrzała na wzgórza, *crete* – jak mówili o nich miejscowi. Patrząc na widoki aż po horyzont, zastanawiała się nad ruinami chyba starego zamku, wznoszącymi się nad pierwotnym lasem. Barwy doliny wydawały się stłumione od wilgoci



pozostawionej przez wiosenne deszcze i łagodziły światło nawet w olśniewający czerwcowy dzień. Czuła więc z tymi krajobrazami, a tego nie umiała wyjaśnić. Porównywała to ze swoją reakcją na światło w rodzinnej Kalifornii; dla kontrastu – tamto ostrzejsze światło często wdzierało się w jej myśli i zmysły, chociaż to też uwielbiała. Ale tu pejzaż karmił jej myśli, wydawał się częścią jej umysłu. To było zupełnie inne.

Podczas gdy zatraciła się w tych rozważaniach, towarzystwo miernicze wróciło w ożywionej rozmowie, nadal po duńsku, z którego bez trudu przestawili się na angielski, gdy tylko zobaczyli Maddie. Jeanette wspomniała o kawie i pięć minut później przeciskała się przez drzwi tarasowe z tacą w ręku.

– Søren uważa – powiedziała – że w przeszłości wokół domu istniało kilka rozwiniętych terenów uprawnych. Nim myśmy się pojawili, większość zmieniła się w zapuszczone zielone pustkowie. Ale zapoznaliśmy się odrobinę z zagadnieniami archeologii krajobrazu.

Maddie spojrzała na niego pytająco.

– Uważam, że wokół domu było kilka terenów przeznaczonych na ogrody. Każdy wyspecjalizowany, nie chodziło w nich o to, żeby uprawiać rośliny jadalne albo ozdobne. Większość ogrodów miała o wiele głębsze znaczenie. Wokół niektórych części zachowały się ślady linii granicznych, odwołujące się do koncepcji „raju”, która pochodzi bezpośrednio od Persów. To ich słowo, a oznaczono nim rodzaj parku myśliwskiego piękna i obfitości ogrodzonego murami – modne, ale także pełne religijnego znaczenia w wielkich średniowiecznych posiadłościach.

– Zaczarowany ogród – powiedziała Jeanette marzycielsko. – W okolicy opowiada się, że w tym miejscu zawsze było coś wyróżniającego się i nawet mistycznego, a także w ludziach, którzy tu mieszkali. Pewna staruszka w miasteczku mówiła mi, że pod koniec lat czterdziestych czternastego wieku Europę spustoszyła zaraza, zabijając ponad połowę mieszkańców Voltery i Sieny. Ale ludzi w Borgo oszczędziła.

– Może ta dolina to odpowiednik londyńskiej Vale of Health – podsunął

Søren. – Tam też nigdy nie zawitała żadna zaraza. Żadnych szczurów ani pcheł!

– Nie – odparła Jeanette. – Tu było inaczej. Podobno mieszkał tu ktoś w rodzaju maga, kto nie pozwolił, by pomór się zbliżył. Ale może to tylko takie legendy i zabobony.

Jechali SS73, gdy Maddie zauważyła tablicę ze znajomo brzmiącą nazwą miasta: Sovicill. Nagle słońce błysnęło na przednią szybę i oślepiło ją. Samochód skręcił ostro w wąski wąwóz wypełniony zdumiewająco wartkim strumieniem, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że było lato; a po prawej stronie drogi pojawił się dziwnie odosobniony most.

– Och – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Sørena. – Możemy się tu na chwilę zatrzymać? Staniesz gdzieś?

Chociaż turkot kół na nierównej nawierzchni wszystko zagłuszał, coś w jej głosie kazało zareagować szybko, więc natychmiast zjechał na skraj drogi. Most, przejmujący samotny łuk, bez żadnych balustrad, przecinał rzekę, której nazwę zdradzała tablica: Torrenta Rosia.

Søren kiwnął głową.

– Jeanette wspomniała, że go miniemy – rzekł. – Chyba nazywa się Ponte della Pia. Mówiła, że w średniowieczu była to ważna przeprawa na starożytnej drodze łączącej Sienę i dolinę Merse z Maremmy. Pochodzi bodajże z dwunastego wieku, ale wygląda na rzymski.

Maddie ledwie go słyszała. Prosta budowla zrobiła na niej niesamowite wrażenie. Na pewno niełatwo było z niej korzystać, ale jakoś mistycznie most spinał dwie strony otchłani.

– Możemy po nim przejść? – spytała.

Na twarzy Sørena odmalowało się zwątpienie i jednocześnie szacunek dla jej śmiałości, ale reakcja Maddie na most go zainteresowała. Zerknął na jej buty i przeszedł do istoty rzeczy.

– Jasne, czemu nie? – Sięgnął za fotel, wyjął z torby aparat i kieszonkowy przewodnik po Toskanii, po czym wyskoczył z auta.

Maddie cicho otworzyła, a następnie zamknęła drzwi samochodu,

niemal jakby pojazd nie pasował do tej sceny. Oparła się o niego na chwilę i tylko wpatrywała się w most. Słyszała głos Sorena czytającego fragmenty książki.

– Był rzymski, ale „w średniowieczu został przebudowany. Stał się nieprzejezdny, dopiero gdy Niemcy przeprowadzili przez niego czołgi w czterdziestym czwartym i zniszczyli rozpory. Legenda związana z mostem mówi, że w bezksiężycowe noce pojawia się tu często postać kobieca, z twarzą zakrytą białym welonem. Idzie przez most, nie dotykając ziemi. Miejscowi widują tu ją od setek lat. Mówią, że to duch Pii de Tolomei”.

– Kim była?

– Sieneńską arystokratką, która chyba poniosła śmierć w jakimś zupełnie innym miejscu – czytał. – Ale przecięła ten most w drodze ze Sieny, udając się na własny ślub, którego nie chciała. Jeśli wierzyć Dantemu, tylko mąż znał tajemnicę jej śmierci.

Maddie uśmiechnęła się smutno.

– Takie właśnie historie wzruszają moją siostrę – powiedziała. – Średniowieczne kobiety niemal pochowane żywcem w kamieniu.

– Nie jest mężatką? – spytał Soren z szerokim uśmiechem.

Maddie pokręciła głową.

– Ten świat jest taki stary. – Westchnęła.

– Starszy niż wasz świat, to chciałaś powiedzieć?

Soren przyglądał się jej uważnie. Od pierwszej chwili przypatrywanie się jej twarzy sprawiało mu niewysłowioną przyjemność: fantastyczne, niesamowite włosy, których pozazdrościłaby jej królowa balu; długa szyja rodem z quattroceto i wykwiłtne migdałowe oczy, które pewnie nie ekscytowały szkolnych kolegów, ale od pięciuset lat patrzyły ze złożonych ram obrazu, odpędzając sen od tych, którzy je zobaczyli.

– Nie widzisz, że to część ciebie? – spytał. – Na pewno w równej mierze, jak dwunastopasmowe autostrady i SUV-y. Może wyzbyłaś się tego. Ale wszyscy pochodzimy od garstki przodków, bez względu na to,

gdzie teraz mieszkamy. A twój rodowód, to, że pochodzisz od ludzi, którzy mieszkali niedaleko stąd, pewnie dokładnie w czasie, gdy naprawiono most, jest widoczny jak na dłoni.

Maddie kiwnęła głową. Ostrożnie wspięła się na kamienny łuk na jednym końcu mostu, przyjmując pomocną dłoń, by zachować równowagę. Rzeczka w dole nie była głęboka, nie wywołała w niej strachu, choć most, stosunkowo wąski i bez balustrad, wydawał się niebezpieczny. Z jednego końca można było odnieść wrażenie, że dziwnie się przechyla – dosłownie spadał na drugą stronę. Bardziej niż strachem przepełniał ją ten widok smutkiem. Ale historia o Pii nie pasowała do niej. Nie chodziło o duchy nieszczęśliwego małżeństwa z przeszłości. To była działka Barbary, nie jej. Nie mogła się otrząsnąć z czegoś intuicyjnego: może ze współczucia, choć nie wiedziała dla kogo. Na pewno nie chodziło o samą Pię, ale dotyczyło to pobożności. Tak sobie tłumaczyła włoskie słowo *pia* – pobożna. Dała kilka kroków do przodu, ale nie mogła się zebrać, by pójść dalej. Powstrzymywały ją raczej emocje niż niepokój. I Søren, który tuż za nią też szykował się do przejścia, wyciągnął jednak do niej rękę, żeby pomóc jej się cofnąć. Wydawał się rozumieć i o nic nie pytał.

Zrobił kilka zdjęć, a ona patrzyła i czekała. Ale dopiero gdy wrócili do auta i Maddie zapięła pas, jej reakcja na most ucichła. Nie odzywali się aż do maleńkiej wioski Rosia, gdzie zwolnili i stosunkowo słabo słychać było uderzenia kół o nawierzchnię.

– Przyglądałem ci się wczoraj, zanim zaczęliśmy rozmawiać – powiedział Søren i zredukował bieg. – Liczyłaś chyba kręgi na rotundzie w Montesiepi. Co z tego wywnioskowałaś? Ja naliczyłem dwadzieścia cztery białe i dwadzieścia cztery czerwone.

Maddie zsunęła swoje ray-bany i osłoniła oczy.

– Przyglądałeś mi się?

– Lubię patrzeć na przedmioty. I na ludzi.

Nie wiedzieć czemu, Maddie to ucieszyło, chociaż mogła zareagować wręcz przeciwnie. Zorientowała się, że Søren należy do uważnych

obserwatorów. Uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Co wywnioskowałam? – zażartowała. – Jeszcze nic. Ale moje wyliczenia zgadzają się z twoimi. Jeanette powiedziała mi, że podobno templariusze budowali kaplice dla każdego ze swoich. Należał do nich pobliski Castello di Frosini i mieli coś wspólnego z opactwem, jeśli wierzyć miejscowym legendom. Może Galgano był jednym z nich. Używali świętych liczb, no i myślałam o wielokrotności dwunastki, dwunastu apostołów, dwanaście plemion Izraela. Czy aby Jakub nie miał dwunastu synów? Myślisz, że to zamierzone?

Søren przyspieszył odrobinę, nim odpowiedział, a kiedy już to zrobił, jego słowa ją zdumiały. Nie mówił stanowczo, lecz raczej tonem zachęcającym do dyskusji.

– Rok ma dwanaście miesięcy, zodiak ma dwanaście znaków. W Babilonii, i chyba w większości kultur starożytnych, uważano dwunastkę za świętą liczbę. A dwanaście miast ligi etruskiej? Przekazali Rzymianom ideę liczby dwanaście łączonej z władzą, prawem. Mamy dwanaście tablic prawa rzymskiego. Albo – dodał w zamyśleniu – nawet siedem cykli po dwanaście lat, oznaczających długość życia u Etrusków. To dawało ich starszyźnie osiemdziesiąt cztery lata życia. Uważali, że później człowiek nie jest w stanie rozumieć przesłania bogów. – Przerwał jakby ubawiony. – To łaskawsze niż biblijna siedemdziesiątka.

Maddie spojrzała na niego.

– Ci Etruskowie – powiedziała – ciągle ostatnio gdzieś się pojawiają. Wcześniej w ogóle się nad nimi nie zastanawiałam. Ale owszem, to dowodzi szacunku dla wieku, prawda? – Zawahała się na ułamek sekundy i zażartowała z niego: – A ty co widziałeś w Montesiepi oprócz mnie?

– Skojarzyło mi się z etrusko-romańskimi sylwetkami kapliczek i grobów, a także z Panteonem, w którym za czasów studenckich spędziłem tydzień, oglądając go i rysując. Zastanawiam się więc, czy to możliwe, że jej rdzeń jest o wiele starszy, może to stanowisko przedchrześcijańskie, które zostało przebudowane? Pomyślałem, że jest

piękne i efektowne.

– Tak, ja też – odparła cicho.

Siedzieli pogrążeni w rozmyślaniach, Maddie patrząc prosto przed siebie, zatracona w osobistych odczuciach, Søren śledząc drogowskazy, które zapowiadały niewidoczną Sienę; aż jakieś dwie minuty później roześmiał się nagle, gdy samochód wspiał się na szczyt wzniesienia. Patrzyli na dwa wzgórza, na których zbudowano stare miasto.

– No, teraz rozumiem – rzekł. – To jak nagroda za pogoń.

Maddie powoli kiwnęła głową, wynurzając się z marzeń.

– Imponujące – powiedziała.

Samochodzik przeskoczył szczyt, a przed nimi rozpostarła się panorama o rozpiętości mniej więcej dwóch i pół mili. Miasto, ze swoimi wieżami i *palazzi* ze starej czerwonej cegły i dachówek, wyraźnie się oddzielało od rejonu rozległych przedmieść.

Maddie przypomniała sobie podróż do Wenecji z Christopherem, swój pierwszy niezależny i dorosły kontakt z Włochami. Ale Wenecja należała raczej do świata bajek. Tutaj miała do czynienia z osobliwym zestawieniem starego i nowego, osadzonym na okolicznych wzgórzach. Ta całkowicie inna energia budziła w niej ekscytację, a nawet pewną nerwowość.

Søren skręcił kilka razy, zmienił pas, po czym wybrał południowy zjazd oznaczony „Porta Tufi”.

– Znalezienie miejsca do parkowania w Sienie to wielkie wyzwanie – powiedział. – Szukaj więc niebieskiej tablicy ze znakiem „P” oznaczającej parking na Il Campo.

– Dobra – zgodziła się. – A myślałam, że jesteś tu po raz pierwszy.

– Owszem, tyle że Claus udzielił mi cennych wskazówek. Miejmy nadzieję, że damy radę z nich skorzystać.

Søren manewrował samochodem pośród uliczek prowadzących na starówkę, a Maddie patrzyła zafascynowana na mieszkańców zajętych własnymi sprawami. Podobały się jej modnie ubrane dziewczyny na

skuterach, śmigające między jadącymi samochodami. Pomimo ostrzeżeń o strefie wyłączenia ruchu samochodowego przejechali przez bramy starego miasta zgodnie z zaleceniami Clausa i ich oczom ukazał się widok jeszcze ciekawszy. Nedorzecznie wyglądający księża w sutannach kontrastowali z biznesmenami w garniturach. Starsze panie noszące swoje szale nawet latem harmonizowały z budynkami, ale wydawały się jakby wyparte przez nowoczesność otaczającego je życia. Wszyscy pogrążeni byli w namiętnej konwersacji z kimś innym, czy to przeciskając się przez tłum, czy przystając na skraju. Gdzieniegdzie grupki turystów tworzyły dziwne wyspy opływane przez morze ludzi.

– Tam! – Maddie zaśmiała się. – Jest „P” Il Campo! Szybko, w prawo.

Ale Søren akurat przyglądał się ludziom i spojrzał w drugą stronę.

– Skręcaj, skręcaj! – Piszcziała z uciechy i położyła dłoń na kierownicy.

Kilka osób na chodniku się roześmiało i machnięciem dłoni pokierowało ich w prawo. Ku własnemu zdumieniu Maddie im odmachnęła. Søren znalazł skręt pomiędzy autobusem przegubowym a starszą panią na vespie i śmignął w wąską uliczkę, też się śmiejąc. W tym wszystkim była nuta chaosu i elegancji, a nadzwyczajności scenie dodawał wir aktywności na tle cudownych, średniowiecznych ceglanych budynków. Starcie starego i nowoczesnego stanowiło esencję tutejszego życia. Maddie zastanowiła się nad tym, co jej towarzysz powiedział wcześniej. Ludzie mieszkali tu pośród co najmniej tysiącletniej historii widocznej na każdym kroku. Każdy z nich rozmawiał przez komórkę albo słuchał iPod'a, a wszystko to wydawało się spójne.

– Pewnie masz rację – powiedziała nagle. – Wszyscy mamy te same początki, ale stąd wiedzie daleka droga od ulic mojego miasta.

– Kopenhaga też jest zupełnie inna. Ale ja uwielbiam wszystkie różnice. – Wjechał na parking i uśmiechnął się szeroko. – Dotarliśmy na miejsce.

Informacje Clausa okazały się prześwietne. Chociaż samochodom nie wolno było wjeżdżać na stare miasto, „P” Il Campo był dobrze

umiejscowiony i okazało się, że stamtąd mają blisko do centralnego punktu starówki. Od Duomo i uniwersytetu ze wszystkimi różnymi wydziałami dzieliło ich kilka kroków, podobnie jak od samego Campo, najbardziej teatralnego tła światowej sławy wyścigu konnego, Palio delle Contrades.

Søren wyjął sakwy z tylnego siedzenia i opuścili parking.

– Najpierw najchętniej napiłbym się kawy, ale jeśli się zatrzymam, haniebnie się spóźnię. Będę wolny za jakieś dwie godziny, ale poszukiwania mogą mnie doprowadzić do Pinacoteca Nazionale di Siena, czyli również do wielkiego zbioru dokumentów. Moglibyśmy się umówić na lunch gdzieś koło trzeciej? Większość personelu do tego czasu wybędzie i latem wszystko się zamyka na jakieś dwie godziny. Jeśli nadal będę szukał inspiracji, później mogę wznowić poszukiwania.

– Brzmi kusząco – odrzekła Maddie, uwalniając włosy spod czapki i wsadzając ją do torby. – Może ja spróbuję coś zarezerwować? Mogłabym ci wysłać esemesa i spotkać się z tobą na miejscu. Daj mi numer swojej komórki. Jeanette załadowała mi swojego Michelina i mówiła, że jeśli chodzi o jedzenie, mogę się całkowicie zdać na niego.

– Uwielbiam kobiety, które wiedzą, gdzie jeść. Wyślij mi wiadomość, a ja cię znajdę. – Zapisał jej numer w notatniku, który wyjął z torby. – Co będziesz robić? – spytał, podając jej kartkę. Wyglądało na to, że wolałby iść z nią.

– *Vado a perdermi tra i fantasmi del passato* – odpowiedziała zagadkowo.

Spojrzał na nią, niepewny, jak to przetłumaczyć. Jego podstawowa znajomość włoskiego, typowa dla turysty, nie obejmowała wiedzy o *fantasmi*. Zorientował się natomiast, że Maddie zdecydowanie włada językiem tak, że nie zginie.

– Baw się dobrze – rzekł i ruszył w stronę uniwersytetu. Po drodze zastanawiał się głęboko i powtarzał sobie *Fantasmi del passato*. Wreszcie dotarło i uśmiechnął się. Tak, pomyślał. Duchy przeszłości. Wśród nich



będziesz u siebie.

Ciągle było jeszcze wcześniej, ale kolejki letnich turystów przed Duomo z każdą minutą się wydłużały, chociaż nie otwarto jeszcze drzwi budynku. Maddie postanowiła jednak i tak kupić bilet łączony i stanęła w ogonku. Czekaając, zajrzała do restauracji w czerwonym Michelinie. Zadzwoiła tam, a potem wysłała esemes do Søren, ruszając po swoje bilety.

Osteria le Logge, Via del Porrione 33. Zaryzykujemy? Poprosiłam o stolik na zewnątrz. Szukaj mnie o 13.30, przecznica od Campo. Stolik na nazwisko „Moretti”. A presto, M.

Gdy skończyła, usłyszała obok siebie głos:

– *Prego, signorina.*

Pokazała bilet w drzwiach wielkiego średniowiecznego kościoła i wstąpiła w inny świat.

Po kilku sekundach oczy przyzwyczyły się do przyćmionego światła dolnego poziomu katedry. Słońce wpadające przez kunsztowne rozetowe okno na końcu nawy głównej od razu przyciągnęło jej wzrok w górę, zgodnie z założeniem twórców, a czarno-białe marmurowe filary potęgowały wrażenie. Maddie uważała się za agnostyczkę, nie podpisywała się pod żadną konkretną religią, ale ten widok ją oszałamiał. Gdy przechadzała się po ogromnym wnętrzu, tłumy turystów zebrały się grupkami w co bardziej popularnych miejscach, z przewodnikami lub bez. Niczym stada owiec, pomyślała, sycąc oczy wizualną ucztą. Przewodnik książkowy dostarczył jej wszystkich niezbędnych informacji. Bardziej niż dołączenie do grupy cieszyło ją wylapywanie rzeczy, które ją interesowały, chociaż chwilami dla zabawy przystawała na obrzeżu wycieczki i słuchała, co ma do powiedzenia *cicerone*. Tak krążąc, zdała sobie sprawę, że ogromna podłoga jest w przeważającej części pokryta matą. Chyba tylko jedną część odsłonięto dzisiaj do oglądania, wydzieloną sznurem dla ochrony przed zniszczeniami dokonanymi przez masy ludzkie. Podśluchała, jak przewodnik jednej z grup mówi, że jeśli zobaczyć słynną podłogę w całości, jest pokryta pięćdziesięcioma sześcioma mozaikami

przedstawiającymi sceny ze Starego Testamentu. W całości odsłaniano ją tylko na kilka tygodni w roku.

Maddie przemieściła się ku odsłoniętemu fragmentowi. Pilnowało go dwóch kleryków w sutannach, pogrążonych w rozmowie. Od czasu do czasu jeden z nich przeganiał intruzów od mozaiki, podnosił palec do ust i przypominał im, że w kościele należy zachować ciszę, albo krótko i szeptem odpowiadał jakiemuś turyście na pytanie. Gdy zbliżyła się do odsłoniętego obszaru, zobaczyła imponująco inkrustowaną postać mężczyzny w sutannie, z wyciągniętą prawą ręką wskazującą zapisaną tablicę. W drugiej ręce postać trzymała dokument. Pomyślała, jak istotne – wtedy i teraz, w jej własnym życiu – jest słowo pisane, jaką w świetle prawa ma wagę to, co utrwalone. Dwie postacie mniejszego znaczenia składały hołd postaci centralnej, próbując odczytać trzymany przez nią dokument.

Maddie spojrzała na płytę i obraz przypomniał jej rozmowę z ojcem, podczas której powiedział, że jeden człowiek wysunął tezę o monoteizmie z czasów Mojżesza. Odezwała się do kleryków stojących przy ogrodzeniu:

– Czy to mędrzec Hermes Trismegistos?

Jeden z nich kiwnął głową leniwie, odwracając się i krzyżując ręce na przedzie sutanny. Maddie poczuła się urażona, że tak ją zbył. Spojrzała na postać na podłodze w całej jej chwale: Hermes Trismegistos zafascynował silnie średniowieczny świat po odkryciu jego tekstów z czasów egipskich, podobno pochodzących sprzed Mojżesza. Jego pisma zawierały pewne doktryny, które na pewno były nietypowe w jego czasach, takie jak wywoływanie duchów. Był też inspiratorem uprawiania alchemii. A jednak znajdował się tu, w tej bardzo chrześcijańskiej katedrze, całkowicie pogańska postać.

Tę ostatnią uwagę musiała wypowiedzieć na głos, ponieważ nagle otrzymała nieoczekiwaną odpowiedź.

– Nie, signorina, to był bardzo wczesny prorok, który przewidział nadejście Chrystusa, jak wieszczka z Kime. Zasłynął jako nauczyciel.

Mówił to młodszy wikary, który nagle odwrócił się, żeby obserwować tłum kłębiący się obok towarzysza.

– Ach. – Maddie uśmiechnęła się szeroko. Poczula się ośmielona i – jakby do siebie, ale na tyle wyraźnie, by ją usłyszano, dodała: – Tak, rozumiem. Chodzi o ten sam punkt widzenia, który przyjmują muzułmanie, widząc w Chrystusie proroka, ponieważ uważają, że przewidział nadejście Mohameta i powstanie islamu?

Mężczyźni odwrócili się i wbili w nią zdumiony wzrok, zastanawiając się nad odpowiedzią, ale Maddie odeszła powoli, zostawiając pytanie zawieszone w powietrzu, w świetle z witrażowego okna. Nie chciała być niegrzeczna. Ale zdenerwowało ją, że rozmaite religie wybierają z faktów dokładnie tyle, ile chcą, do wsparcia własnej sprawy. Słuszna dyskusja o całej reszcie zawsze jest niepożądana. Ta myśl – pomimo cudownego otoczenia – przypomniła jej o etosie Pierce’a Graya i jego niezdolności osądzenia, czy ofiary Stormtree mogą być słuszną sprawą. Każdy, pomyślała Maddie, jest na coś ślepy. I ja niewątpliwie również – doszła do wniosku.

Czas jej płynął niepostrzeżenie w bibliotece Piccolomini i muzeum, gdzie fascynowało ją wszystko, a jednocześnie pograżyła się w rozmyślaniach. Wydawało się jej niezręczne, że dobrze się bawi, zamiast odczuwać dotkliwy brak Christophera. Nadal czuła przy boku puste miejsce i niekiedy uciekała do niego myślami, ale powoli przypominała sobie, kim była, zanim go poznała. To było dziwne, ale nie do końca niepożądane. Głęboki ból był prawdziwy, ale już rozumiała, że jakoś go przeżyje.

Gdy stanęła na progu, upał i światło uderzyły ją jak ściana. Wychodząc z budynku, założyła okulary i zerknęła na zegarek. Zrobiło się dobrze po pierwszej, ruszyła więc w kierunku restauracji, mijając imponujący Palazzo Pubblico i wyciągając szyję, by zerknąć na sztywną wieżę. Potem przeszła na drugą stronę Palazzo i z pomocą planu miasta znalazła ustronną Via del Porrione.

*Trattoria* już się wypełniała gośćmi, ale stolik na zewnątrz był wolny i zastanowiła się, czy to ten czekający na nią. Młody mężczyzna podszedł ją usadzić i na nazwisko „Moretti” doprowadził ją do stolika, mówiąc tylko „signorina”. Nagrodził uśmiechem jej krótką spódniczkę i świetne nogi i spytał, czy przyjechała do miasta na studia. Uznawszy, że nie chce być traktowana jak turystka, odpowiedziała najlepszym włoskim:

– *Sono qui in vacanza da San Francisco. Sto con un' amica che ha una casa graziosa in Val di Merse.*

Kelner spojrzał na nią ze szczerym podziwem i uśmiechnął się.

– *Lei parla molto bene l'italiano, persino con accento toscano!*

To Maddie zaskoczyło – nie pochwała jej języka, ale konkretnie uwaga, że mówi po włosku jak miejscowa.

– *Grazie davvero, questo è un grande complimento. So che a Siena si parla il miglior italiano.*

Tak, odpowiedział chłopak. To prawda, że mieszkańcy Sieny i Toskanii w ogóle słynęli z posługiwania się najlepszym włoskim i z używania poprawnej gramatyki, wraz ze wszystkimi różnymi czasami. To z powodu Dantego, który miejscowy dialekt uczynił językiem narodowym. A jej wymowa, rzekł, była poprawnie toskańska – to jak powiedziała *casa* z niemal „h” na początku, jak *hasa*. To było charakterystyczne, powiedział. Może się urodziła w Sienie?

W tej chwili kelner zobaczył uniesioną brew właściciela restauracji. W lokalu kłębiło się od gości, a ten tu flirtował z piękną kobietą. Chłopak szybko spytał Maddie, czego chciałaby się napić w oczekiwaniu na znajomego. Poprosiła o białe wytrawne wino i wodę *con gas* i usadowiła się przy stoliku, by czekać na Søren. Wyciągnęła telefon, by sprawdzić, czy przysłał jej jakąś wiadomość – wcześniej, w katedrze, wyłączyła go. Telefon piknął i rzeczywiście okazało się, że nadszedł esemes, ale nie od Sørena. Była to informacja od Tylera, wyrażająca nadzieję, że dobrze się bawi i smakuje jej jedzenie. Meldował, że spotkał się z Nevą pod nieobecność Maddie, że nagrał ją, tak aby sąd mógł zobaczyć, że jest

przykuta do łóżka. Neva poprosiła, by wysłał coś Maddie, i to coś znalazła w załączniku.

„Napiszę więcej, jak coś więcej będzie. T jak Tyler” – zakończył.

Maddie zastanawiała się, czy technologia pokona granice i kordony, ale kliknęła na link z wideo, dłonią osłoniła ekran przed światłem i po chwili zobaczyła Nevę w szpitalnym łóżku. Jakie to dziwne, pomyślała, gdy ja jestem tutaj, w słonecznej Sienie. Neva opierała się na poduszkach, ale Maddie się uśmiechnęła, widząc, że tak zwykle się trzyma, jakby była zdystansowaną arystokratką, a nie chorą pacjentką z rakiem. Ręce wyciągała poza kadr, jakby chciała nakłonić kogoś, żeby zrobił sobie z nią zdjęcie. Wyglądała na jeszcze chudsza, stwierdziła Maddie wstrząśnięta, ale oczy miała jasne i śmiała się. Po żartobliwej szamotaninie przyciągnęła do siebie chłopca z grzywą czarnych włosów.

– Witam panią, Madeline, w tych pani Włoszech! Wiem, że spotyka się pani z przodkami. Myślmy o pani, w nadziei że czuje pani się coraz lepiej i dochodzi do siebie.

Maddie poczuła dziwny dreszcz, że to akurat Neva tak do niej mówi, tak bezinteresownie ją wita; ale nie miała czasu przeanalizować swojej reakcji, bo Neva kontynuowała.

– To mój syn, Aguila. Pani zna włoski, więc zna to słowo, a on jest naprawdę moim orłem, o najbystrzejszym oku. – Pogłaskała chłopca po głowie. – Widzi wszystko, to, czego inni nigdy nie zobaczą. Kiedy serce mu wydobreje, będzie doskonały.

Duma Nevy wywołała uśmiech Maddie. To prawda, że chłopiec wyglądał wyjątkowo, ze świetnym smukłym nosem i oczami niczym głębokie jeziora. Widok jego postaci przywodził na myśl niewinność ofiar Stormtree; przypomniał jej, że dziecko ma niewielką wadę serca, która jest prawdopodobnie związana z pracą jego matki dla Stormtree. Smutek na razie poległ w obliczu jej siły.

– A oto – ciągnęła Neva z małego ekranu i przyciągając drugą rękę – jest...

Obok niej zabrzmiał *basso profundo*.

– Czy to dla tej pani, która zna tajemnice śniegu?

– Tak, papa! – odparła Neva, po czym wybuchnęła wielkim śmiechem. Mężczyzna, około sześćdziesiątki, został wciągnięty w kadr po drugiej stronie łóżka. Maddie przechyliła telefon, żeby bardziej go osłonić przed słońcem, i zobaczyła twarz dziwnie podobną do Nevy – młodej i pięknej – ale pomarszczoną i ogorzałą. Ta twarz – pomyślała – sprawiała wrażenie, jakby naoglądała się wielu smutków, a jednak wciąż pamiętała o radości. W tej chwili właśnie okazywała radość.

– Ten naburmuszony stary Indianin – oznajmiła Neva – jest moim ojcem, który wolałby, aby nie robiono mu zdjęcia, bo się boi, że aparat ukradnie mu kawałek duszy. Tak mówi stary przesąd jego ludu. Ale choć ciągle powtarza, że w niego nie wierzy, panno Madeline, dodaje, że nie zaszkodzi odrobina ostrożności. Jeśli chodzi o pozdrowienia dla pani, zgodził się zaryzykować. To zaszczyt, naprawdę, ale pani już zaskarbiła sobie jego szacunek, a to niełatwe.

Maddie uśmiechnęła się i zauważyła, że Neva też się śmieje. Teraz trzymała ich obu mocno przy swoim delikatnym ciele, a Maddie pomyślała znowu, ile siły jest w tej wątłej osobie.

– To moja rodzina – mówiła Neva. – I wszyscy złożyliśmy obietnice. Wiem, że pani spełni swoje. Chciałam pani przypomnieć – dodała Neva cicho – że ja także dotrzymam swoich.

Oparła się na synu i ojcu i wszyscy pomachali, i krzyknęli na pożegnanie. Obraz zgasł.

Maddie na chwilę zamknęła oczy. Przecięły się dwie rzeczywistości: cudowny wzór starej ceglanej ściany *osterii*, pelargonie zwisające z okien u góry, zabytkowe latarnie sterczące z muru na okazałych żelaznych uchwytych, słońce wpływające w przefiltrowany cień przed restauracją. Majestat tych budynków oznaczał długowieczność, wdzięk, przetrwanie. A tam była Neva, przy swoim cyprysie, przykuta do łóżka tysiące mil stąd. Życie wydawało się niesprawiedliwe. Jedyne, czego Maddie chciała, to

zachwycać się wdziękiem i spokojem Nevy, które zachowywała pomimo okoliczności. I zrobiła to. Potem otworzyła oczy, by chłonąć piękno otoczenia. Chłodny powiew musnął jej czoło, jak pocałunek upału, który wydawał się suchy i dość nieruchomy, chociaż zewnętrzne stoliki stały częściowo w cieniu. Maddie zadygotała – nie jakby zrobiło jej się zimno, ale jakby ktoś podrażnił jej nerw.

– Śmierć cię powąchała? – usłyszała za plecami melodyjny głos Sørena.

– *Certo* – odparła. Jego uwaga była czysto konwersacyjna, ale Maddie poczuła, że jest zadziwiająco bliska prawdy. Przybrała miły wyraz twarzy.  
– Jak ci minęło przedpołudnie?

Zauważyła, że niesie wielki zwój, który wyglądał jak obraz zawinięty w papier pakowy i zabezpieczony gumką. Rzucił sakwę na puste krzesło, na wierzchu położył zwój, po czym z entuzjazmem zajrzał do wnętrza restauracji. Po chwili usadowił się naprzeciwko Maddie. Wydawał się w doskonałym nastroju.

– Świetny wybór – pochwalił. – Wygląda jak stara apteka. Cudowne szafki.

Zanim jednak zdołał odpowiedzieć na pytanie o przedpołudnie, pojawił się kelner z winem i butelką wody Maddie. Spojrzał na Sørena, czekając na jego zamówienie.

– Signor?

– *Lo stesso, per favore* – odrzekł. – *Vino bianco, ma non troppo. Sono la guida.*

Maddie się to spodobało. Od stycznia kwestia, czy ludzie piją, a potem wsiadają za kierownicę, nabrała dla niej ogromnego znaczenia. Uśmiechnęła się powoli i pochyliła głowę, czekając, aż jej powie, skąd się bierze jego wyśmienity nastrój. Zrozumiał i poklepał zwój.

– Co to? – spytała z ciekawością.

– Czekaj. Zobaczysz. Możemy najpierw zamówić jedzenie?

Maddie kiwnęła głową. Podała mu jedno z ręcznie wypisanych menu, na które ledwie zerknęła.

– Skupmy się na tym przez chwilę. Wszystko tutaj wydaje się nie z tego świata, zwłaszcza owoce morza.

Gdy kelner wrócił z napojem Søren, przystanął, by im coś doradzić. Zalecił *branzino marinato alle pesche* dla signoriny i okonia morskiego z brzoskwiniami, to samo danie, ale po angielsku – dla signora. Obie strony się na to uśmiechnęły, a Søren – świadom skomplementowania Maddie – ochoczo zaakceptował wybór. Ośmielił się jednak zamówić po włosku przystawki i na stole pojawiła się uczta złożona z *fagioli bianchi* – Maddie uwielbiała białą fasolę – oraz sałatki z gruszką i pecorino.

– *Salute* – powiedziała Maddie po odejściu kelnera, wznosząc kieliszek. Søren odplacił pięknym za nadobne.

– Wątpię, czy zdołałabyś znaleźć bardziej urocze otoczenie – dodał.

– *Dimmi*. – Uśmiechnęła się szeroko. Wskazała zwój.

– Olśniewający poranek na uniwersytecie – zaczął. – Cudowni ludzie zapewnili mi czarującą wycieczkę po ogrodach botanicznych. Gdy skończyłem z szukaniem, tamtejszy koleś wykonał telefon i wysłał mnie do kogoś w Pinacoteca Nazionale. Fascynująca starsza pani, idealnie ostrzyżona i ani trochę akademicka, archiwistka zbiorów średniowiecznych.

– Jakbym widziała swoją babcię. I ona ci to dała?

Søren łagodnie podniósł obie dłonie.

– Po kolei. – Zaśmiał się i podjął opowieść po swojemu. – Bardzo ją zainteresowało to, o co pytam. Rozmawialiśmy o Borgo Santo Pietro i opactwie San Galgano. Cały czas kiwała głową, jakbym nic więcej nie musiał jej mówić. Zabrała mnie do krypty pełnej skrzyń z materiałami z opactwa: bogactwo niezbadanych skarbów. Znalazła dla mnie rękawiczki i kawę, zostawiła mnie. Już po kwadransie znalazłem coś intrygującego.

– Czekał – przerwała mu Maddie. – Dokumenty z opactwa są tutaj?

Søren kiwnął głową.

– W dziale Biskupstwa Sieneńskiego. Chociaż pierwotnie opactwo podlegało pod diecezję w Volterze. Setki dokumentów, których nie



włączono do głównych zbiorów. Pieniądze i zasoby ludzkie to problem, który jest ekscytujący dla miejscowych doktorantów.

Ale – podjął po uzupełnieniu wody w szklance – moja pomocna signora opowiedziała pasjonującą historię o bandach zbrojnych, którzy przez wiele lat grabili wsie wokół Sieny w drugiej połowie czternastego wieku. Z ich powodu archiwa kościelne i jakieś kosztowności zostały dla bezpieczeństwa przeniesione do miast. Ona uważa, że opactwo zostało splądrowane, a mniej więcej w tym czasie złupiono gospodarstwa i domy, a opactwo nigdy się z tego nie podniosło.

– Dlatego dzisiaj nie ma dachu?

Søren posłał jej uśmiech.

– Ona tak uważa. I oczywiście willa Jeanette i Clausa stała w bezpośrednim sąsiedztwie, więc też musiała ucierpieć. W każdym razie – wziął do ręki zwój i ściągnął gumkę – zobacz, co znalazłem!

Poprosił Maddie, by chwyciła jeden koniec zwoju, i rozwinął go. Nagle zobaczyła przed sobą faksymile jakby strony z iluminowanego manuskryptu, ale był to jeden arkusz zdumiewającej wielkości.

– Och! – Trzymała jeden koniec kunsztownego średniowiecznego planu ogrodu, w stylu klasztornych iluminacji.

Od razu przyciągała wzrok rozpięta nad całością złota kopuła, niebiosa poniżej usiane złotymi gwiazdami i fajansowym błękitem. Po jednej stronie obrazu znajdował się wizerunek jasnego złotego słońca w czymś, co pierwotnie mogło być złotym liściem; a z przeciwnej strony widniał księżyc na srebrnym liściu. Słońce miało twarz młodego mężczyzny, a księżyc młodej kobiety, obie postacie połączono.

Maddie wypuściła powietrze, słów jej zabrakło. Obraz był piękny i wydawał się bardzo osobisty. Jej oczy powoli śledziły szczegóły szesnastu działów drobiazgowo spisanych upraw w ogrodzie, ponumerowanych cyframi rzymskimi. W jednym rejonie były drzewa i strumyki; w drugim grządki rozchodziły się wokół czegoś, co wyglądało jak kwitnące drzewo morwowe z dwoma gołąbkami na gałęziach. Obok, niejako w sąsiednim

sadzie, Maddie zobaczyła zagajnik drzew przedstawionych z różnymi owocami, rosnących wzdłuż wijącej się spiralnie ścieżki trawertynu; a u stóp jednego z nich – drzewa z drobnymi czerwonymi owocami podobnymi do jabłek – zauważyła pólleżącego jednorożca.

– Myślisz, że to ogród Madonny? – spytała Søren, nie odrywając oczu od arkusza.

– Tak sądziłem – odrzekł. – Ale kiedy popatrzyłem raz jeszcze, zauważyłem inne szczegóły, które mnie zdumiały. Na planie znajdują się znaki astrologiczne, ale wiem, że mnisi w swoich ogrodach kierowali się fazami Księżyca, więc może to nic dziwnego.

Maddie przyjrzała się uważniej rejonowi wskazanemu przez Søren. Przyszło jej do głowy, i wydawało się to upiorne, że może patrzy na twarze ludzi, którzy żyli pięćset czy sześćset lat temu. Kolor nieba wokół słońca przechodził z olśniewającej bieli przez lazur po granat wokół księżyca, sugerując przemianę dnia w noc, a pomiędzy niebem nocnym a dziennym, w strefie zmroku i świtu widniało siedem gwiazd z wypisanymi pod spodem symbolami planet.

– Myślę, że to są Plejady – powiedziała Maddie z namysłem.

Uśmiechnął się powoli i przytaknął.

– Kwoka i kurczęta – rzekł. – Tak je nazywamy w Skandynawii. Ale mnie się najbardziej podoba portret twarzy wiatru z wydętymi policzkami, otoczony lokami. – Jego palec znowu przeskoczył. – To nietypowe przedstawienie wiatru, zwykle jest rodzaju męskiego. To świeża twarz młodej dziewczyny z rozwianymi włosami. Raczej chłodny powiew w spokojnym ogrodzie, tyle by wystarczyło na zapalenie.

Maddie przyjrzała się uważnie i zobaczyła to, co tak go zachwyciło. Rzeczywiście, ten portret wydawał się nietypowy. Poczowała, że ten wiatr jest szczęśliwy, kierując ogrodem zamiast wskazówek kompasu czy nawet oblicza Boga.

– Zdumiewające – powiedziała cicho. – Czy to ogród z opactwa?

– Nasza signora uważa, że może to być jedna z iluminacji z zaginionej

serii ogrodów San Galgano. Mówi, że kolory są typowe dla dzieła z trzynastego czy początku czternastego wieku i że mogły tu przybyć, gdy opactwo było plądrowane w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych czternastego wieku. Ale – powiedział, potrząsając lekko głową – ja myślę, że choć jakość wykonania tego obrazu jest świetna, to jednak trochę niedojrzała. Mógł go wykonać nowicjusz, może w ramach ćwiczenia, zanim mu pozwolono pracować nad którąś ze świętych ksiąg. I – dodał jakby w tajemnicy – jakoś mimowolnie czuję, że jest w tym coś pogańskiego. Może to był jakiś wąpiący nowicjusz!

Maddie się roześmiała.

– Czemu nie? – powiedziała. – Na pewno nie wszyscy, którzy wstępowali do zakonu, w stu procentach tego chcieli. I owszem, zgadzam się, słońce i księżyc mają w sobie jakąś aurę.

– Doskonały punkt wyjścia do ogrodu Jeanette z odrobiną alchemii – rzekł Søren.

Przybyły przystawki, więc Søren ostrożnie zwinął arkusz. Gdy Maddie podniosła widelec, powiew poruszył jej włosami, a towarzysz przyjrzał się jej uważnie.

– W tej chwili wyglądasz jak ten wizerunek wiatru.

Maddie odrzuciła na ramię grzywę czarnych włosów.

– Z tego powodu? – spytała. – Gdy dorastałam, to była moja zmora. Możesz sobie wyobrazić problemy, które miałam w świecie blondynek ze *Słonecznego patrolu*? A kim ja jestem, żeby mieć siłę na odmienność? Moja siostra ma włosy proste i pięknie ostrzyżone wokół drobnej ślicznej twarzy. Dlaczego mnie przypadła rola czarnej owcy? Pewnie, kiedy przyjechałam do Europy, niektórzy zaczęli na mnie patrzeć inaczej, i dzisiaj nawet lubię swoje włosy. Nadal jednak czuję, że to jeden wielki chaos i nigdy nie będę idealnie ostrzyżona jak moja babcia albo twoja dzisiejsza signora.

Søren niepewnie dotknął jej włosów.

– Twoje włosy są bajeczne. Dlaczego miałabyś wyglądać jak twoja

babcia?

Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Pamiętała taką rozmowę z Christopherem.

– Dobra – odparła żartobliwie – więc moje włosy są świetne. Ale w całej reszcie znajdę aż za dużo do krytykowania.

Søren roześmiał się głośno.

– Dopominasz się o moją ocenę? – Spojrzał na nią, jakby pozowała mu do obrazu.

– Nie jestem pewna – odparła. – Gruszka z pecorino jest dobra. Może dla bezpieczeństwa porozmawiamy o jedzeniu?

– Nie teraz! Zaprosiłaś mnie, żebym się rozkoszował przypatrywaniem twojej osobie.

Nie podzielił się refleksją, że chętnie dałby jej najwyższą ocenę za figurę, jasną oliwkową skórę i ładnie opalone nogi. Jej głowa i ramiona były urzekające i Søren zamilkł na chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Wyczuł, że komplementy wprawiają ją w zakłopotanie.

– Myślę, że każdy by cię docenił, Maddie. W całej twojej reszcie nie ma nic złego. Twoje oczy... cóż, nie widziałem takich u żadnej kobiety. W każdym razie kobiety z naszych czasów. I masz rację co do gruszki i pecorino – dodał.

Maddie spojrzała na niego i stwierdziła, że chociaż wygląda poważnie, oczy mu się uśmiechają.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała zaciekawiona. Jego słowa pasowały do jej odczuć związanych z tym miejscem. Odnosiła wrażenie, że tu jest jej miejsce, tu należy w sposób, w jaki nigdy nie należała do Nowego Jorku albo San Francisco, choć oba miasta uwielbiała.

– Twoje oczy są bliskie tym duszom, między którymi chciałaś przemknąć dzisiaj rano – rzekł. – Mają niesamowity kształt. Odwrócone migdały, bardziej jak u perskiej bogini niż u włoskiej czy amerykańskiej piękności. Ale z kolei sztuka sieneńska miała silne wpływy bizantyjskie, o wiele większe niż florencka. Tutaj pasujesz idealnie.

– Odwrócone migdały? – spytała Maddie. W uszach innej osoby zabrzmiałoby to jak próba flirtu, ale ona ufała, że Søren – którego życie było sztuką – rozpoznał w niej coś, czego ona sama nie umiała uchwycić, coś, co teraz stało się dla niej ważne.

Odłożył sztucce na talerz i odpiął sakwę.

– Pokażę ci, o co mi chodzi – rzekł.

Z torby wyjął kilka przedmiotów, w tym telefon i kamerę cyfrową zawinięte w irchę, i położył je stole. Ze środka wychyliła się niewielka zniszczona książka, która przyciągnęła wzrok Maddie. Wyjęła ją i zobaczyła, że to tom poezji Keatsa w twardej oprawie. Uśmiechnęła się nie wiedzieć czemu. Nie spytała go o to jednak i czekała, aż w końcu wyjął ołówek kreślarski i niewielki szkicownik wypełniony rysunkami. Otworzył szybko i bezbłędnie na pustej stronie, naprzeciwko detalu twarzy Vincenta, na który i Maddie zwróciła uwagę, oraz kwiatów i kamieniarki na tarasie w Borgo. Podobało się jej, jak szybko i efektownie kreślił drobne linie szkicu.

Søren skończył sałatkę, odłożył nóż i widelec, po czym wytarł dłonie. Umieścił szkicownik między nimi i lewą ręką nakreślił oczy w kształcie migdałów pod zmysłowymi powiekami, które Maddie od razu się skojarzyły z rysunkami Leonarda czy Rafaela. Przypominały reprodukcję – studium *Zwiastowania* – która kiedyś wisiała w jej mieszkaniu.

– To oczy florentynki – rzekł. – Wspaniałe, wyglądają trochę tak. – Szybko nakreślił włosy i rysy kobiecej twarzy podobnej do Maddie. Roześmiała się. Ale potem zrobił kolejny rysunek, korygujący ten pierwszy, i tym razem nieco zsunął oczy, tak że migdał zwęzał się w pobliżu mostka nosa. – Widzisz – powiedział żartobliwie – to twoja twarz, pełna inteligencji i wrażliwości, z oczami, które bacznie przyglądają się światu od tysiąca lat z okładem. Efekt jest bardzo nietypowy. A życie modela nigdy nie będzie zwyczajne.

Podszedł kelner z talerzami.

– *Buono?* – spytał.

Gdy kiwnięciem głów potwierdzili zadowolenie z posiłku, pochylił się, by zajrzeć do pospiesznej pracy Sørena. Zerknął zaraz na Maddie i z powrotem na rysunek.

– *Si, e veramente la bella signorina* – rzekł, uśmiechając się do dziewczyny. – *Bella come la Madonna* – dodał i zabrał puste naczynia po przystawkach.

– *Come il vento* – rzekł Søren. – Jak wiatr.

WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH 1347 ROKU,  
SANTO PIETRO IN CELLOLE

Porphyrius spał głęboko w drugiej izbie urządzonej w stajni. Wcześniej pościelono tam dla tymczasowych gości, i tu, przytulona na wąskiej powierzchni obok niego, spała też jego żona. Pomimo wszystkich środków ostrożności, całej kwarantanny, nie rozstanie się z nim. Jaki miałyby to sens, przekonywała, skoro i tak już zetknęła się z chorobą? Wszyscy jednak zgodnie uznali, że on będzie tam kwaterował, dopóki nie postanowią, że nie grozi mu już choroba.

Mia – która zdała sobie sprawę, że sama teraz jest zagrożona – również pozostała w stajni. Zajrzała do śpiącej pary, dorzuciła do ognia i nakryła małżonków pledem. Przynajmniej wywalczyła, by jej przyjaciółka nie zbliżała się do posłania Gennara. Gdy tylko zapadł w głęboki sen, nalegała, że sama będzie przy nim siedzieć. Ponieważ do narodzin dziecka zostało tylko kilka tygodni, Agnesca Toscano potrzebowała porządnego odpoczynku i spokoju – co prawda na wąskim posłaniu przy mężu i tak go nie zaznawała zbyt wiele – ale przynajmniej Mia wypełniała powinności pielęgniarki Gennara. Miała instrukcje i wiedziała, czego wypatrywać, a tak się nie mogła doczekać, by poznać nowego krewnego, że ta niecierpliwość przewyciężyła strach przed chorobą. Przerazał ją straszliwy wygląd obrzmień, zwłaszcza w świetle tego, co o nich słyszała. Umiała jednak pominąć fizyczność, głęboko ją natomiast poruszyła przyjaźń Porphyriusa z Gennarem oraz ich wzajemna lojalność. Spać nie mogła, ponieważ nagle znalazła się tak blisko krewnego, kogoś, kogo nie znała i o kim jej ciotka nie mówiła. Uchyliły się drzwi do wiedzy o ojcu i matce Mii, a także o reszcie rodziny, która musiała wciąż mieszkać w Volterze, więc dziewczyna poczeka jeszcze te

parę chwil. Wreszcie pozna okoliczności swoich narodzin. Po rewelacjach dzisiejszego wieczoru zrozumiała w końcu, że jest jednak córką wygnanego biskupa. Od wielu lat służba o tym szeptała. Ale Porphyrius wydobył na światło dzienne domysły i oto ona wkrótce pozna prawdę. Nie czuła teraz wstydu z tego powodu i uważała, że jest gotowa stawić czoło przeszłości i powodom, dla których nosi nazwisko po najśłynniejszym pokutniku Kościoła.

W tym jednak dokładnie momencie, w cichych, powolnych godzinach przed świtem, chciała poświęcić całą uwagę pielęgnowaniu kuzyna. Odrzucała myśl, że znalazła go po tylu latach tylko po to, by go stracić tej samej nocy. Zarówno w starym kalendarzu Rzymian, jak i w tym Matki Kościoła dzisiaj wypadał święty, magiczny dzień, gdy święci i aniołowie patrzyli na żywych i umarłych. Poświęci każdą uncję swojej wiary i energii, by stanowczo przytrzymać Gennara Allegrettego po tej stronie, z żyjącymi. Słyszała wiatr w strzaskanym oknie i lodowaty deszcz przezeń niesiony, który stukotał o dach, wystawiając na próbę ich schronienie w letnich pokojach ogrodowych. Ale czuła spokój, siedząc przy nim, doglądając go. Myśli służyły jej za doskonałą kompanię.

Godzinę temu znowu zlał się potem, odrzucił nakrycie i siadł, by zwrócić nieznaczną zawartość żołądka. Wyszła tylko żółć, a Mia uspokoiła go i na powrót ułożyła na poduszkach z kompresem z zimnej wody na twarzy i łyżeczką naparu z wierzby. Trochę się opierał, ale dała radę. Teraz znowu zapadł w drzemkę, a ona siadła przy jego wezgiłowiu i przyglądała mu się. O dziwo, nie była zmęczona. Jakżeby mogła spać z tyloma myślami pędzącymi w głowie? Był o kilka lat starszy od niej, miał brązowozłote włosy niepodobne do jej włosów z koloru, ale z loków jak najbardziej. Pomyślała, że jest przystojny, chociaż od choroby blady, spocony i nieogolony. Był jednak jej rodziną i przyjacielem Porphyriusa, który opisał go jako rycerskiego i inteligentnego – „człowiek zupełnie pozbawiony uraz”. Mia uznała, że to znaczące, że on jest teraz z nią, pod jej opieką. Tak jak *la raggia* i Porphyrius przyszedł nieznany pod jej



drzwi. Nie wątpiła, że wkrótce będzie należał do tego miejsca, ale przede wszystkim trzeba było utrzymać go przy życiu. Mia rozumiała powagę jego choroby. Powalczy o każdą jego godzinę; jeśli rankiem zostanie go w dobrym stanie, to będzie można myśleć o przedpołudniu.

Ale o świcie chory nie był w dobrym stanie. Jego ciało wpadło w rodzaj spazmu i rzucało się silnie. Gorączka wróciła z większą intensywnością i znowu wymiotował. Mia na swoim krześle zbudziła się z leciutkiego snu i ruszyła pędem do wiaderka z wodą, wyjmując gałganki, by znowu go obmywać, a potem starała się wlać weń herbatkę z kory wierzby i złocienia. Odsunęła prześcieradła i zaczęła od klatki piersiowej, ale gdy się zbliżyła, dostrzegła, że obrzmienia się zmieniły. Największe znowu przybrało na wielkości i zaczęło samo się pocić. Zajrzała choremu pod ramię: guz urósł do wielkości rajskiego jabłuszka, i też był czerwienisty, i też coś się z niego sączyło. Przyłożyła dłoń do jego czoła i odsunęła ją natychmiast. Skóra parzyła.

Mia pomyślała o młodym mężczyźnie, który umarł pielęgnowany przez jej ciotkę, gdy utrzymywała mu się gorączka. Pobiegnęła do śpiących w sąsiedniej izbie i niechętnie ich obudziła.

– Gorączka bardzo wzrosła – wyszeptała. – Nie wiem, jak ją zmniejszyć. Nawet guzy mają własną gorączkę. Boję się, że on umiera.

Agnesca zerwała się szybko, a Porphyrius obudził się od jej ruchu. Oboje podążyli za Mią do chorego, który teraz rzucał się i skręcał na łóżku w oczywistej udręce.

– Mia, będziesz szybsza ode mnie – powiedziała Agnesca. – Możesz pobiec do domu i poprosić ciotkę albo Albę, jeśli nie śpi, o zwierzęcą skórę, w którą zawijają nowo narodzone owieczki po stracie matki?

Mia nie miała pojęcia, co Agnesca ma na myśli, ale wymknęła się przez drzwi i dalej na szare zimne światło. Niedługo pojawiła się z Jacquetą i wielką byczą skórą.

– Chcesz go zawinąć w zimny kompres – powiedziała Jacquetta głosem ochrypłym z niewyspania. – Ale nie łatwiej byłoby go wsadzić do balii?

– Nie jestem pewna, czy da radę w niej usiąść. I wolałabym całkiem go zanurzyć – odpowiedziała Agnesca. – Pomyślałam, że naciągniemy skórę i wypełnimy ją zimną wodą, tak żeby się zanurzył.

– Agnesca! – jęknęła Jacquetta z powagą. – Od wstrząsu może mu stanąć serce!

– To prawda. Ale jeśli nie spróbujemy, zabije go gorączka.

Naciągnęła szal na ramiona i z ciepłej stajni wyszła na chłodny poranek. Mia została z pacjentem i zaczęła znowu go obmywać, raczej bezskutecznie, wilgotnymi gałgankami. Porphyrius i Jacquetta tymczasem naciągnęli skórę na ramę pospiesznie zrobioną z rozłupanych polan i żelaznych prętów doniesionych do progu przez Cesarégo. Te zostały ze żniw, ale miały dźwigać ciężar oliwek, gdy tymczasem teraz musiały wytrzymać ciężar człowieka w basenie zimnej wody. Niemniej po półgodzinie zbudowali coś wystarczająco mocnego, a z domu doniesiono zimną wodę w głębokich beczkach, które postawiono przy drzwiach stajni.

Agnesca wróciła z ogrodu. Niosła łodygę i korzeń ulubionej rośliny Jacquetty – takiej z kołyszącymi się dzwonekami idealnie białymi, i delikatnym zapachem, który zgodnie z legendą miał zwabić słowika z żywopłotu w najciemniejszy las, by znalazł samiczkę. Miał tyle nazw, między innymi lilia zwyczajna i „kwiaty doliny”, ale Jacquetta wołała „łzy Matki Boskiej”, ponieważ ta piękna roślina stanowiła klejnot w koronie każdego ogrodu Maryi.

Jacquetta wsadziła rękę do wody, by sprawdzić jej temperaturę, i zadygotała. Porphyrius jednak podniósł przyjaciela, rozebrał go do naga i wsadził do wody. Ale woda była naprawdę lodowata, więc gdy tylko ciało Gennara jej dotknęło, zaczęły nim wstrząsać gwałtowne drgawki. Wzdrygnął się, zadygotał i młócił powietrze rękami i nogami, a woda przelała się bokiem i zmoczyła Porphyriusa. Ale ten jakoś wytrzymał z przyjacielem w ramionach i trzymał go w lodowatej wodzie, choć chory z całych swych sił z nim walczył. Biedny Gennaro dygotał i raz za razem miały nim torsje. W końcu opadł z sił wyczerpany.

Po dwudziestu, może trzydziestu minutach jednej z najbardziej stresujących kuracji, jaką Mia kiedykolwiek widziała, Agnesca przyniosła grube płótno, by owinąć i osuszyć chorego, i położyli go z powrotem na pośłaniu. Ale ostrzeżenie Jacquetty teraz się przypomniało Mii. Chory był śmiertelnie blady, a po jej twarzy mimowolnie spłynęły ciche łzy.

Agnesca ruszyła do sąsiedniej izby, po czym wróciła z chlebem pozostałym z kolacji. Oderwała kawałek, a następnie wsadziła do środka małej kawałek łydgi i trochę skruszonego korzenia. Mówiąc do niego jak do dziecka, podniosła mu głowę i otworzyła usta, by nakarmić go odrobiną chleba i ziół, masując mu szczękę i gardło i zachęcając do żucia. Była to ilość pokarmu jak dla ptaszka, ale Gennaro był w zasadzie nieświadomy. Już po chwili Agnesca się ucieszyła, bo coś przełknął.

– Gdy twarz jest blada, trzeba podnieść nogi – powiedziała niemal do siebie. Podłożyła podglówek pod stopy Gennara, po czym spojrzała na niespokojne twarze pozostałych. – To było wielkie wyzwanie dla serca – przyznała – ale myślę, że gorączka spadnie. I musimy mieć nadzieję, że Gennaro i kwiaty doliny dokonają reszty.

Mia spojrzała smętnie na przyjaciółkę. Zasadziły lilie pomiędzy aminkiem a kokoryczką w ich białym ogrodzie. *La raggia* powiedziała, że te trzy rośliny razem – dogłądane przez dwa gołąbki, które trzymały w niewielkim gołębniku obok morwy – sprowadzą miłość dla Mii. W tej chwili jednak dziewczyna postanowiła, że z radością porzuci wszelką myśl o znalezieniu miłości, jeśli tylko jej kuzyn przeżyje.

Gennaro – gdziekolwiek teraz przebywał świadomością – nigdy się nie dowiedział, jak bacznie był obserwowany przez cztery dobre dusze. Po godzinie nadal nie mógł się ruszyć, ale Agnesca sprawdziła jego klatkę piersiową i stwierdziła, że serce ciągle bije, a pomiędzy lekko rozchylonych ust dobywa się słaby oddech. Przyszła Jacquetta, starannie zachowując niewielką odległość od nich, po czym odeszła. Przyniosła im wszystkim śniadanie, a oni zjedli bez wielkiego apetytu i obserwowali. Minęła kolejna godzina. Agnesca uznała, że gorączka minęła. Nagle, blisko

północy, Gennaro się obudził. Daleko mu było od ozdrowienia, ale żył.

Agnesca i Mia przyjrzały mu się bacznie. Nadal wydawał się oszołomiony, ale wzrok miał skupiony i był świadom niewygód, tęsknił za ciepłem nakrycia, wysuszone usta przypomniały, że chce pić, skurcz żołądka – o braku jedzenia, od bólu w stawach wyglądał tak żałośnie. Był słaby, ale zdołał przekazać te wszystkie informacje. I w sąsiedniej izbie przygotowano mu lekki bulion, którego ledwie kilka łyżek zaspokoilo jego pragnienie. Potem znowu wyczerpany padł.

Porphyrius siedział przy nim jakiś czas, podczas gdy Mia spała, a jego żona notowała, co się działo z chorym i co zastosowała. Kiedy się poruszył, wlała mu do gardła trochę płynu, po czym patrzyła, jak znowu zapada w sen. O ile jego oddech w apogeum gorączki był ochryply i ciężki, o tyle teraz stał się ledwie zauważalny. Jej zdaniem to dzięki działaniu lekarstwa z rośliny. Po raz pierwszy odważyła się jej użyć, ponieważ jej działanie podobno należało do silnych, ale *donna Calogera* nauczyła ją, że odrobina białych dzwonków i łodyga rośliny spowolnią niespokojną akcję serca, kiedy będzie słabe, a jednocześnie podniosą jego moc. Drażniła żołądek, więc należało ją przyjąć z jakimś jedzeniem. Miała nadzieję, że spełniła wszystkie warunki, i czekała, by się przekonać, czy dała mu dawkę na tyle silną, by dał radę przetrwać zimną kąpiel. Czas pokaże.

Gennaro spał przez wiele godzin. Opiekunowie rzędem stali blisko niego i na próżno wypatrywali zmiany. Późnym popołudniem Porphyrius siadł przy stole jadalnym, by napisać list do jego rodziny – nagle się zawahał, nie wiedząc, o czym im donieść. O szóstej zapukała Alba i powiedziała, że zostawia im przy drzwiach coś do jedzenia. O ósmej usłyszeli, jak bicie dzwonów z opactwa płynie przez pola, wyznaczając kolejne nabożeństwo w dniu Wszystkich Świętych. A trochę później, gdy dołączyła do nich Jacquetta, rozmawiali o Gennarze i pechu, który prześladował rodzinę Allegrettich, odkąd Belforte wygnał ich z Volterry.

Mia słuchała spokojnie, podczas gdy omawiali spór, który podzielił Volterre i większość Toskanii – złożone relacje pomiędzy gwelfami

a gibelinami. Od ponad czterdziestu lat papież przebywał na wygnaniu w Awinionie, a jego zwolennicy, gwelfowie, którzy panowali w Volterze od czasów babki Mii, i dali miastu biskupa ze swojego stronnictwa, stracili kontrolę dwadzieścia parę lat temu, gdy wyznaczony przez papieża człowiek wszedł w otwarty konflikt z *comune*, rządem obywateli miasta. Gorąca rywalizacja pomiędzy dwiema z najpotężniejszych rodzin wybuchła, gdy biskup Allegretti zastąpił kandydata Belfortego, ale to się ponownie odwróciło, gdy Mia jako dziecko mieszkała z matką. Allegretti, dowiedziała się Mia, posiadali niektóre z najbardziej prestiżowych posiadłości w mieście, w tym wspaniałe pałac i wieżę stojące przy głównym *piazza*. Ale zostało im to odebrane przez Ottaviana Belfortego, gdy wygnał z urzędu biskupa Ranuccia, a Allegrettich z miasta.

– Nie rozumiem, jak on zdołał to zrobić – powiedziała Mia z wahaniem. Spojrzała na ciotkę pytająco, ale w głębi duszy miała nadzieję, że zachęci ją do mówienia o matce Mii i jej związku z biskupem. Ale to Porphyrius jej odpowiedział.

– Ottaviano Belforte czekał na odpowiedni moment – rzekł cicho. – Jeśli jakikolwiek człowieka pragnął signorii, władzy nad miastem, to właśnie Ottaviano. Jego siostra wyszła za Allegrettiego, aby wprowadzić między nimi pokój, ale polityki gwelfów i gibelinów nie da się tak łatwo ułagodzić, i zaczął nienawidzić ich wszystkich tym bardziej, im wyżej wschodziła ich gwiazda, a bladła gwiazda Belfortego. Jego brat był biskupem, Mia, jak może wiesz, i to złym, próbował układać się z innymi miastami, sprzedając zasoby Volterry, aby się samemu utrzymać przy władzy. Odmówiono mu dochodów, które biskupowi zapewniały przywileje nadane przez cesarza, więc próbował odzyskać biskupie zamki i inne ziemie, które przeszły do *comune* od tamtego czasu. Jedyłą jego nadzieją na sukces była pomoc Florencji, miasta gwelfów, ale wściekli mieszkańcy Volterry usunęli z urzędu brata Ottaviana, po czym znieważyli męzczyznę jeszcze bardziej, gdy jego siostrzeniec został nowym biskupem.

– Jego siostrzeniec? – spytała.

– Matka Ranuccia była siostrą Ottaviana – odrzekł Porphyrius. – A jako wuj nowego biskupa wyznaczonego po usunięciu jego brata, Ottaviana, poczuł bezgraniczną zazdrość. Skrycie przez dwadzieścia długich lat planował zemstę na rodzinie Gennara i pożądał zycia na miarę księcia. To on ostatecznie podburzył ludzi przeciwko Ranucciowi, obiecując im wolność od władzy biskupa. Ale tymczasem dał im tyrana – jako że był tyranem właśnie – i skutecznie ograniczył władzę ludu.

– O, a sam miał wielką władzę, Mia – dodała Agnesca, patrząc na nią z bólem w oczach. – Jego osobista kompania łuczników w całej Toskanii słynęła ze sprawności na turniejach. Obywatele Voltery wiedzieli, że tamci wygrywają każdy czerwcowy pojedynek na błoniach przed kościołem San Giusto. Ottaviano nie miał problemu z utrzymaniem władzy w mieście.

– Jego syn Paolo – Jacquetta uśmiechnęła się krzywo – kilka lat temu ożenił się z arystokratką, zdecydowanie wyższego stanu niż ród Belfortich. Należała do rodziny Aldobrandeschi z Santa Fiora. A ten cieszył się swoim triumfem, że zdobył żonę dla syna, i wydał bankiet, by obtrąbić okazję na wszystkie strony świata. Ponieważ piętnastodniowa uczta odbywała się na Piazza dei Priori, uczestniczyli w niej wysłannicy Florencji i Pizy, i Sieny, i Lukki. Ale to było za mało dla Ottaviana. Sprowadził więc też wszystkich najważniejszych panów z Lombardii i Viscontiego z Mediolanu, i synów Mastina Della Scali. Ale obchody zakończyły się zgrzytem, gdy jego synowie się pokłócili. Jeden z nich w tej chwili w zasadzie nie odzywa się do swojego ojca ani do braci.

– Ale tego syna tak imponująco wżenionego ojciec wyznaczył na swego następcę we władaniu Volterrą – dodał Porphyrius. – Syn jest bardziej zaciekły niż ojciec, za to z myśleniem nie nadąża. Gdy Paolo dojdzie do władzy, miasto czekają kłopoty. Jest znany jako „Bocchino” – Usteczka – ponieważ jest tylko tubą dla słów i ambicji swego ojca.

– Co się stało z biskupem Ranucciem?

Mia miała mało odwagi, a pragnęła odpowiedzi na swoje naglące

pytanie, które od jakiegoś czasu nie dawało jej spokoju. Na szyi nosiła – może od czasu, gdy miała sześć, siedem lat, a jej matka umarła – złotą monetę. Została wybita przez władze Volterry, widniała na niej twarz Ranuccia. Obywatele nierzadko nosili monety w ten sposób, zarówno ze względów praktycznych, jak i z racji swojej zasobności. Ale Mia nosiła swoją ze względu na uczucia do mężczyzny, którego nazywała swoim patronem albo strażnikiem, a który teraz okazał się jej ojcem.

– Gdzie on jest teraz, skoro nie w Volterze? – spytała znowu.

– Był w Berignone ze swoją rodziną – odrzekł Porphyrius. – Ale Ottaviano kilka tygodni oblegał zamek, gdy Gennaro miał dwanaście, może trzynaście lat. I straszliwie wówczas ucierpeli. Ottaviano nie zdołał zabić biskupa Ranuccia, ale wygnał go z Volterry i potem ekskomunikował, do wydania werdyktu wykorzystując swojego syna, Filippa, jako biskupa nominata.

Żona spojrzała na niego nagle.

– I to był ten sam ojciec, który uwięził mnie w wieży, ten sam syn, który skazał mnie za herezję – wyszeptała niemal.

Uwięził – pomyślała Mia i obejrzała się na przyjaciółkę. Nigdy wcześniej tego nie słyszała, i wiedziała tylko, że *la raggia* była trzymana w domu rodzinnym. Czy to znaczy, że więziono ją także w wieży w mieście? Ale po chwili, kiedy już nikt nic nie mówił i o nic nie pytał, Mia odpuściła i zajęła się innym zagadnieniem.

– A więc wszyscy mieszkają w zamku Berignone? Cała rodzina Allegrettich? – spytała.

Jacquetta spojrzała na Mię i uśmiechnęła się smętnie, wiedząc, dlaczego to dla niej takie ważne. Ale jeszcze nie była gotowa opowiedzieć jej całej historii, nie teraz i nie tutaj.

– Papież w końcu zmusił Ottaviana do uchylenia wyroku wygnania – odpowiedziała siostrzenicy, zanim Porphyrius zdołał to zrobić. – Pozostali wrócili do Volterry, bodajże trzy czy cztery lata temu, i tam żyją, choć gorzej niż wcześniej. Ale biskup nie chciał wprowadzić się z powrotem do

miasta. Ze względów bezpieczeństwa nigdy nikomu nie mówiłam o miejscu jego pobytu, ale tobie ufam bezgranicznie, więc powiem, że przebywa teraz w Montalcino.

Mia uśmiechnęła się zdumiona. Montalcino leżało niezbyt daleko od Santo Pietro in Cellole – wręcz znajdowało się na drodze Via Romea–Francigena. Usta jej zadrżały, gdy chciała zadać kolejne pytanie, ale ciotka pokręciła głową.

– To wszystko, co ci o tym dzisiaj powiem. – Spojrzała na dziewczynę twardym wzrokiem i celowo zmieniła temat. – Zajrzysz do Gennara, czy śpi spokojnie?

Mia pragnęła o wiele więcej. Ale zdała sobie sprawę, że ciotka nie zmieni w tej chwili decyzji, a także że od jakiegoś czasu nie sprawdzali, co u kuzyna, oddawszy się ważnej rozmowie. Posłusznie kiwnęła głową i wstała. Agnesca podniosła się wraz z nią i obie weszły do sąsiedniej izby, w której spał Gennaro.

Na zastany widok wydała mimowolny krzyk, który sprowadził pozostałą dwójkę.

Oczy Gennara, na bladej twarzy, były obramowane czarno i wyglądały na podsiniaczone, ale straszliwszy widok przedstawiało jego gardło. Mniejsze obrzmienie napuchło do wielkości cytryny, a większe, które wcześniej zaczęło ropieć, pękło. Odór był absolutnie odstręczający i Mia podniosła rękę, by zasłonić usta i nos. Z ogromnego pęcherza sączyła się ciemna krew, wręcz czarna, a także zielonkawa piana, podobna do śliny.

Agnesca się opanowała, niemal doprowadzona do wymiotów przez odór, ale także przyłożyła dłoń do ust i ostrożnie podniosła ramię chorego, gdzie mieścił się kolejny wielki obrzęk. Oczywiście on też pękł i bluznął tą samą lepłą potwornością czarnej krwi i zielonej ropy. Nie miała pojęcia, w jaki sposób to leczyć, ale czuła, że lepiej zrobić coś niewłaściwego, niż siedzieć bezczynnie.

Jacquetta wciąż trzymała się od Gennara z daleka, dzięki czemu mogła przychodzić i wychodzić, nie narażając na niebezpieczeństwo mieszkańców



willi. Ale i ona poczuła smród i spojrzała na Agnescę z pośpiechem.

– Nic nie wiem o upuszczaniu krwi ani o równowadze humorów – odpowiedziała tamta na to spojrzenie. – Jestem tylko znachorką i działam na podstawie doświadczenia. Ale z czymś takim stykam się po raz pierwszy i nie umiem odgadnąć, co moja nauczycielka by zrobiła dla tego biedaka.

Jacquetta współczująco kiwnęła głową. Też nigdy czegoś takiego nie widziała i było jasne, że upuszczanie krwi niewiele by dało, skoro choroba już osiągnęła ten etap. Ale, zastanawiała się, co ona by zrobiła, by opatrzyć miejscowo taką paskudną ranę? Widziała tylko coś równie straszego, paskudnego na zakażonej ranie ciętej, którą odniosła jej klacz po starciu z dzikiem ostatniej zimy. Tamtą opatrzyła miodem prosto z ula...

– Miód! – powiedziała głośno do Agneski. – Jest nowy, jeszcze nietknięty, wybrany prosto z pasieki tydzień czy dwa temu.

Agnesca spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Wspaniale. Tak. Nałóżmy miód na kataplazm z bardzo czystego płótna, ale, Jacquetto, myślę, że moglibyśmy użyć miękkich skórzanych rękawiczek, żeby go przytrzymać.

Jacquetta zrozumiała i kiwnęła głową. Oddaliła się, by przynieść to, co trzeba, z domu, i wróciła tak szybko, że zdaniem Mii musiała biec. Przyniosła też dwie srebrne pomandery, które dziewczyna od razu rozpoznała po zapachu: ulubione ciotki, z jej osobistej sypialni. Były wypełnione zbieranymi jesienią granatami i egzotycznym pieprzem, zmielonym korzeniem kosaćca i strużynami żywicy olibanowej oraz drzewa cedrowego. Zapach przyniósł miłą ulgę od ostrego odoru wypełniającego izbę.

Jacquetta podała Agnesce jedną parę delikatnych skórzanych rękawiczek, które przyniosła, a sama zaczęła nakładać drugą. Mia ją jednak powstrzymała.

– Potrzebujemy cię jako posłanniczki – powiedziała rozsądnie. – Ja się

nie boję posługi.

Jacquetta oddała siostrzenicy rękawiczki. Jej słowa dowodziły odwagi, poświęcenia i dojrzałości, więc poczuła dumę z dziewczyny.

Na te dwie otwarte rany Agnesca nie użyła wody, tylko nałożyła kataplazm nasączony miodem bezpośrednio na wrażliwe miejsce. Miód pachniał silnie ziołami, rozmarynem i lawendą, które rosły nieopodal uli. Miała nadzieję, modliła się, ufała, że to może wystarczy, by rozpocząć jakieś leczenie i powstrzymać krwawienie. Gennaro krzywił się rozpaczliwie pod każdym dotykiem i odsuwał głowę od świecy, którą kobiety przyniosły, by widzieć, co robią. Światło wyraźnie go raziło, a członki stały się tak bolesne, że każde poruszenie oznaczało dla niego torturę. Ale poddał się i w ciągu godziny opatrzyły nie tylko bolesne miejsca, ale także niepęknięte obrzmienia. Urosły do takich rozmiarów, że zdaniem Agneski też musiały wkrótce pęknąć.

Gdy już to zrobiono, Gennaro przełknął odrobinę ziołowego naparu, żeby zapobiec powrotowi gorączki. Potem mógł zasnąć – czego teraz chyba pragnął najbardziej na świecie.

– Proszę, niech to się skończy – wyszeptała Agnesca. Potem zdmuchnęła prawie wszystkie świece, zostawiając tylko jedną, i siadła z resztą, by obserwować pacjenta w nocnej godzinie.

PIĄTEK 22 CZERWCA 2007 ROKU,  
BORGO SANTO PIETRO, PALAZZETTO, TOSKANIA

Poranne słońce zalało czternastowieczne posągi dwojga świętych – kobiety i mężczyzny. Ze swojego posterunku na murze ogrodu doglądały świeżo wykopanego grobu, rzucając długie cienie na ziemię. Cztery postacie stały bez ruchu w milczeniu, a ich cienie podążały za cieniami świętych. Po chwili każda wzięła garść płatków różanych z koszyka trzymanego przez małego chłopca i wrzuciła je do dziury w ziemi. Tym samym ostatnia posługa dobiegła końca, oddano cześć, więc cała piątka odwróciła się w spokoju. Dwóch robotników wypełniło otwór ziemią i ułożyło na powrót darni. Musiało to stanowić odbicie podobnej sceny, która rozegrała się tu kilkaset lat temu.

Gdy Państwowy Urząd Archeologiczny datował kości i przekazał wiadomość, że „szczątki znalezione w ogrodzie Borgo Santo Pietro ich nie interesują”, bezceremonialnie zwrócili je do willi w kartonie. Jeanette była lekko skonsternowana, ale czuła, że kości należałoby pochować z pewną powagą. Po dwudziestu czterech godzinach spędzonych w starej piekarni z wotywami i różami do towarzystwa zostały zabrane w swoje miejsce spoczynku. Wykopano groby i szkielety złożono jak najbliżej drogi, przy której je znaleziono. Pierwsza para leżała, niemal dotykając się rękoma w jednym grobie, a obok nich umieszczono trzecią kobietę, ale teraz bez bełtu kuszy. Jeanette zasugerowała, że jeśli go wyjmą, będzie spoczywać już bez bólu.

Pięcioro żałobników, w tym Claus, który wrócił z Londynu poprzedniego dnia późnym wieczorem i spytał, czy może uczestniczyć w uroczystości, oraz Vincent, który zdawał się zadziwiająco doskonale rozumieć powagę wydarzenia. I kiedy cała piątka powoli powróciła do

domu, Jeanette naląła do kieliszków miejscowego wina, by uczcić okazję i wznieść toast za zmarłych, a Vincentowi dała soku.

– Dziękuję wam wszystkim za obecność – powiedziała. – Wierzę, że teraz szczątki mogą na powrót spocząć w pokoju. Jedną z postaci, które nad nimi czuwają, jest święty Piotr, a to wydaje się odpowiednie.

Søren nagle przechylił głowę i spojrzał na gospodynię.

– Nie myślałem o tym wcześniej, ale nazwa Santo Pietro może mieć jakieś powiązanie ze świętą skalą. To interesujące, w związku ze słynnym mieczem w skale za zakrętem rzeki.

Jeanette uśmiechnęła się szeroko.

– Dom został postawiony na skale. Może jest coś wyjątkowego we właściwościach kamienia.

Odwróciła się do Maddie, która myślała, jak wiedziała, wciąż była przy grobie. Jeanette zauważyła, że dla młodej Amerykanki to wydarzenie jest bardzo wzruszające. Może było dla niej dziwnie osobiste, skoro od miesięcy, od utraty narzeczonego, rozmyślała o śmierci.

– Jak myślisz, kim były te trzy kobiety? – spytała Amerykankę. – Czy twoje poszukiwania dały jakieś informacje o ludziach, którzy tu mieszkali?

Jeanette postawiła przed Maddie zadanie rozszyfrowania dwóch monet, które znaleziono przy szczątkach. Chociaż na pierwszy rzut oka wszyscy przyjęli, że muszą to być wisiorki, coś w rodzaju pielgrzymich medalików, po bliższym przyjrzeniu się odkryli, że to, co miały na łańcuszkach leżące razem kobiety, to były normalne bite monety. Najwyraźniej zmarłe zostały z nimi pogrzebane. Były to dwie różne monety. Na jednej widniała siedząca postać, z napisem, i ta była w dość dobrym stanie. Druga – którą Maddie pierwotnie uznała za podobną, chociaż zauważyła, że jest bardziej zniszczona i raczej srebrna niż złota – okazała się, ku jej zdumieniu, o wiele starsza i nie pasowała do średniowiecznego pogrzebu.

Przez szkło powiększające z przenośnego biura w sakwach Sørena uważnie przyjrzała się starszej monecie. Po delikatnym czyszczeniu

i w jasnym świetle okazało się, że widnieje na niej mężczyzna o dwóch twarzach zwróconych w przeciwnych kierunkach. Maddie zamurowało. Na pewno był to Janus; i czy była to moneta bliźniacza do tej, którą po przyjeździe dostała od Pierce'a? Gdy porównała je, okazało się, że ma rację. Natychmiast uderzyło ją, że czy jej się to podoba czy nie, Pierce Gray jest dziwnie powiązany z nimi wszystkimi tutaj, a to ją zarówno zdumiało, jak i zdenerwowało.

Do jej monety z Janusem o dwóch obliczach dołączono informację, że wybito ją w Volterze. Maddie przypuszczała, że siostrzana moneta też pochodziła z tego miasta. To jakby się potwierdziło, gdy zbadała tę drugą – korzystając z Internetu, a gdy to nic nie dało, ponownie zadzwoniła do muzeum w Sienie. Jeśli chodzi o trzecią, złotą monetę, z siedzącą postacią w szacie, Maddie kilka godzin odcyfrowywała inskrypcję i ostatecznie przekonała się, że napis brzmi: „Allegretti, Vescovo Volaterra”. Jeśli to była prawda, wszystkie monety prowadziły w jedno miejsce.

Oto było miasto, które w ogóle jej nie interesowało – nie miała z nim żadnych osobistych powiązań. Nie było tak sławne jak Florencja czy Siena, w historii jej rodziny nie zaznaczyło się tak jak Lukka. Ale kobiety w grobie nagle stały się jej bliskie i poczuła potrzebę dowiedzenia się, kim były i co je wiązało z owym okazałym średniowiecznym miastem warownym. Przez dwa dni czytała na tarasie każdy przewodnik po Toskanii, jaki miała Jeanette, nawet zmuszając Sørenę, by przerwał swoje szkice ogrodowe i przetłumaczył jej kilka stron z jakiegoś starego duńskiego bedekera. Gdy już wyczerpała to źródło informacji, przejrzała wszystkie wpisy o Volterze w Internecie: kilka od solidnych naukowców, garść z biur informacji turystycznej, i fragmenty blogów o mitach i podróżniczych, i pewnie też kilka opinii świadczących o niewiedzy piszącego.

Rozbudziła się w niej jednak fascynacja i podzieliła się z Sørenem tym, czego się dowiedziała, gdy on wyznaczał tereny pod grządki. Powiedziała mu, że najstarsze bramy miejskie pochodzą z czasów

etruskich – wiedziała, że go to zainteresuje. Porta all'Arco była najstarszą i najświetniejszą bramą miejską, zbudowaną kilkaset lat przed naszą erą, z trzema ciężkimi kamiennymi głowami, które patrzyły na przechodniów. Rysy tych twarzy były zniszczone i obecnie nierozpoznawalne, nie rozstrzygnięto też, co zostało tam wyrzeźbione: czy to głowy zdrajców, które miały służyć za ostrzeżenie? Czy miejskich bogów? Choćby nie wiadomo jak niszczały, Maddie podejrzewała, że jedna z głów musiała należeć do Janusa. Rzymianie zapożyczyli go od etruskiego boga Ani, a ze swoimi dwiema twarzami był pierwszym bogiem, Janus, bóg niebios, początku i końca, przeszłości i przyszłości; Janus nawet przyjął Janę, i był zarówno bogiem, jak i boginią. Janus o dwóch obliczach był patronem wszelkich bram i wejść i dał swoje imię pierwszemu miesiącowi, otwarciu roku.

Po dalszych lekturach znalazła biskupa z czternastego wieku o nazwisku Allegretti i poczuła, że inskrypcja na monecie dotyczy jego. Lata, w których żył, zgadzały się z okresem, z którego pochodził szkielet.

Wszystko to Maddie przekazała z wielkim entuzjazmem towarzyszom po ceremonii pogrzebowej, podczas śniadania w ogrodzie różanym. Jeanette jakoś nie wydawała się zaskoczona i powiedziała jej, że dom był kiedyś pod kontrolą biskupów Volterra – wcześniej nie przyszło jej do głowy o tym wspomnieć.

– Bodajże dopiero na początku piętnastego wieku przeszedł do diecezji sienneńskiej – dodała, obierając pomarańczę dla Vincenta.

Maddie spojrzała na nią zdumiona i zrobiło jej się trochę głupio. Zastanawiała się, dlaczego nie spytała po prostu gospodyni o powiązania pomiędzy domem a Volterrá, zamiast tracić tyle czasu na poszukiwaniach.

– Cóż. – Roześmiała się niemal do siebie. – Dojrzewam do decyzji, żeby odwiedzić Volterrá, zanim was opuszczę, nawet jeśli to oznacza, że nie pojedę do Lukki.

– Możesz skorzystać z mojego wozu – podsunął jej Claus – ale mam dzisiaj spotkanie w banku w Sienie, to później, i z burmistrzem

w Chiusdino za pół godziny. Może niedziela? Albo Jeanette mogłaby cię zawieźć na początku przyszłego tygodnia? – Po tych słowach uśmiechnął się do Maddie i przeprosiwszy wszystkich, oddalił się.

Søren wydawał się pogrążony w rozmyślaniach i podniósł swoją sakwę, by ruszyć w ślad za Clausem.

– Szkoda, że wszyscy nie jedziemy. Ale weź mini, jeśli chcesz. Ja go dzisiaj nie potrzebuję. – Potem zwrócił się do Jeanette: – Mam jeszcze godzinę pracy, ale jeśli potem jesteś wolna, może odszukasz mnie w ogrodzie, żebyśmy mogli przepracować parę rzeczy *in situ*?

Kiwnęła głową z entuzjazmem i Søren ruszył z aparatem oraz szpicownikiem starą ścieżką pielgrzymią w stronę terenu, który wyznaczyli na średniowieczny ogród. W poniedziałek miał wracać z Clausem do Londynu, a Jeanette z Maddie miały znowu zostać same, i już myślała, jak bardzo będzie jej go brakować.

Justina przyszła po Vincenta, i dwie kobiety z filizankami w dłoniach zeszły ze słońca w cień loggii.

– Myślę, że to bardzo fajny facet – rzuciła Jeanette.

Maddie kiwnęła głową z uśmiechem. Było to pieszczotliwe określenie, które nieraz słyszała z ust Jeanette – używała go w odniesieniu do uzdolnionych artystycznie ludzi, których naprawdę lubiła. Maddie traktowała je ostrożnie.

– Tak – powiedziała w zamyśleniu. Ale sama chętnie by go scharakteryzowała mniej zdawkowo. – Aż dziwne, że nie ma żadnej pani Søren – rzuciła leniwie.

– Mówił, że prawie rok temu odeszła od niego dziewczyna po długim związku. – Jeanette uśmiechnęła się do siebie leciutko. – Ale to nie moja sprawa, więc nie będę opowiadać. Jego powinnaś zapytać.

Wyraz twarzy Maddie pokazał, że zarejestrowała to, i jest przynajmniej lekko zainteresowana.

Ale Jeanette nie dała jej czasu na dalsze pytania.

– Zamierzam pozbierać resztę tkanin obciowych, które trzeba

poifarbować – powiedziała – tak żebym mogła dokończyć narzuty i zasłony do apartamentu Rinalda, wielkiej sypialni na parterze. Bardzo bym chciała, żebyś mi pomogła, kiedy będziesz gotowa, tak żebyś mogła ją zobaczyć ukończoną, zanim w przyszłym tygodniu polecisz do domu. Godzina powinna wystarczyć.

– Świetnie. Oczywiście, że ci pomogę! Daj mi dziesięć minut, żebym skoczyła się umyć, a potem przyjdę do piekarni.

Ledwie włożyła klucz do zamka pod napisem „Via del Pellegrino”, a usłyszała, jak w środku piszczy jej komórka. Weszła szybko i siadła na kamiennym parapecie, dotknięciem budząc aparat. Esemes: „Mam dwa bilety na operę, Festiwal Pucciniego w Lukce, na początku lipca. Dołączysz do mnie? Chyba jesteśmy po słowie. PG”.

Pierce Gray! Jesteś nieobliczalny! Czego ode mnie chcesz? I jak to się stało, że przysłałeś mi etruską monetę, której bliźniaczka znalazła się w średniowiecznym grobie pod moim oknem, przypadkiem odkrytym po siedmiuset latach?

Maddie nigdy się nad tym wcześniej nie zastanawiała i nie sądziła, że kiedykolwiek doświadczy poczucia „przeznaczenia” w odniesieniu do jakichkolwiek wydarzeń, które się jej przytrafiają. Uważała, że życie podsuwa zarówno okazje, jak i sprawdziany, i człowiek robi z nimi, co chce. Nie jest za to odpowiedzialna żadna siła wyższa. Nic nie jest „ustalone”. Dostała się na Columbię, bo ciężko pracowała. Starła się wyjechać na dwa semestry do Oksfordu, żeby zagraniczne studia wzmocniły jej CV. Przyjaciele nazywali to losem, ale ona zawsze odrzucała takie koncepcje jako ludzką głupotę wyrosłą z potrzeby poczucia, że nie jesteśmy sami na tym świecie. Teraz jednak zaczęła się zastanawiać, czy może istnieją jakieś wzorce – czy czeka na nas jakaś droga, czy kontrolujemy o wiele mniej, niż nam się wydaje. Nie wyznawała żadnej konkretnej wiary, nie miała żadnych odczuć związanych z przeznaczeniem, żadnych zabobonnych pomysłów, że jakiś rytuał przyciągnie konkretne wydarzenie. Ale to, że tutaj stąpała śladami jakichś



poprzedników, sprawiało, że czuła się o wiele silniej związana z przeszłością, że była bardziej wrażliwa na tych, którzy byli przed nią. I wzorce – no, zbiegi okoliczności – zdawały się leżeć uśpione w krajobrazie, wraz z duchami, cieniami i szkieletami.

Maddie znowu wyszła z pokoju, filtrując w głowie sprzeczne myśli. Tylnymi schodami dostała się na podwórko, które było bliżej starej piekarni, gdzie Jeanette miała zacząć pracę. Otwierając drzwi, zauważyła, jak ciepło jest w pomieszczeniu, i zobaczyła, że kadzie z kolorową kąpielą, podgrzewane na palnikach gazowych, zaczynają parować. Nauczyła się, że sztuka polega na tym, by roztwór rozgrzać na tyle, żeby zaszło farbowanie, ale jednocześnie nie za bardzo – by nie zniszczyć tkaniny. Jeanette właśnie regulowała temperaturę.

Podniosła wzrok i wytarła czoło wierzchem ufarbowanej gumowej rękawicy, i zauważyła od razu, że kolor, którego Maddie nabrała w czasie krótkiego pobytu w Borgo, jakby zniknął. Była blada i wymizerowana.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Coś się stało? – spytała z troską.

Maddie się uśmiechnęła. Nieustannie ją zdumiewało, jak myśli Jeanette tak doskonale harmonizują z jej własnymi, chociaż rzadko komukolwiek się zwierzała, o czym myśli.

– Ducha? No, w pewnym sensie. Dostałam esemes od człowieka, który mi przysłał monetę, gdy przyjechałam. To trochę skomplikowane, nie do końca wiem, jak sobie z nim poradzić.

Jeanette zanurzyła w kadzi kupon tkaniny zasłonowej, a Maddie szybko nałożyła rękawice i zbliżyła się, by jej pomóc.

– Jest szefem firmy, z którą mamy teraz proces, a właśnie mnie zaprosił na Festiwal Pucciniego w Lukce na początku przyszłego miesiąca.

– To trochę dziwne, nie sądzisz? Człowiek, z którym walczysz w sądzie? Ale to może też być cudowne – dodała pragmatycznie. – My się bardzo ucieszymy, jeśli zostaniesz dłużej, jeśli chcesz. Twój wyjazd mnie zasmuci.

Maddie kiwnęła głową, wiedząc, że jej gospodyni mówi szczerze.

I jakimż błogim wytchnieniem było przebywanie z nią tutaj – z nimi wszystkimi – w tym absolutnym raj, który tak szczerze odzwierciedlał słońce i łagodność osobowości Jeanette.

– Dziękuję – powiedziała, kładąc dłoń w rękawicy na jej nadgarstku. – Pozostanie tu jest szalenie kuszące, chociaż moja szefowa może nie podejść do tego z takim luzem jak ty. Ale... – Maddie starała się wyrazić sprzeczne emocje – ja nie wiem, co sądzić o tym człowieku, Jeanette... o tym, co mnie z nim łączy. Może on wzdycha do mnie, bo kiedyś już mu odmówiłam, jak byłam młodsza. Wtedy przeżyliśmy wypadek na łodzi. Łagodne wody Kalifornii w jednej chwili się zmieniły, w ciągu pół godziny. Wiatr nadciągnął tak nagle i tak silny, że jacht niemal się wywrócił dnem do góry. Nawet nie pamiętam szczegółów, ale na pewno omal się nie potopiliśmy. – Maddie spojrzała w fajansowo niebieskie oczy Jeanette i westchnęła. – To było coś dziwnego, trochę nas to wydarzenie oddaliło, ale trochę zjednoczyło. Nigdy nie powiedziałam o tym rodzicom, nikomu zresztą o tym nie powiedziałam.

Jeanette tylko kiwnęła głową i słuchała.

– Mam też świadomość, że w obecnej sytuacji, w związku z tym procesem on może próbować mnie wykorzystać – wyznała Maddie. – Może wyciągać jakieś informacje, chociaż jestem czujna. Może też robić ze mnie takiego jakby pośrednika, i w tej roli rzeczywiście, niewykluczone, że czegoś bym dokonała. Ale moje uczucia do gładkiego pana Graya są takie ambiwalentne. W głowie mieszają mi się myśli o ofiarach warunków pracy w jego firmie z uczuciami w sprawie tego samochodu pełnego pijaków w Oksfordzie, tego, który zabił Christophera. I tu, i tu nie było powodu, by stało się to, co się stało. Oni popełnili błąd, nie wzięli na siebie odpowiedzialności i nawet nie potrafią powiedzieć „przepraszam”.

Jeanette, przepełniona współczuciem, znowu kiwnęła głową. Czuła wagę tych osobistych zwierzeń o bólu i niepokoju Maddie.

– Tak – powiedziała łagodnie – ale jeśli chodzi o twojego Christophera, ból wywołany tą tragedią dotyka tylko jedną rodzinę i głęboko zranionych

przyjaciół. Pozew sądowy dotyka wielu rodzin. Cierpienie rozciąga się w czasie, a stawką są ogromne sumy i moralność.

Jeanette odwróciła się od kadzi, zdjęła rękawice i przytuliła Maddie. Spojrzała na jej bladą twarz.

– Trzeba mieć dużo siły, by dbać o to, co słuszne, i dużo energii do walki. A ty masz.

– Mam? – Maddie odpowiedziała niemal szeptem. – Nie jestem już pewna. Zanim tu przyjechałam, myślałam, że nigdy już nic nie poczuję. Myślałam, że będę tylko chodzić noga za nogą, robić to, czego się ode mnie oczekuje, a dni będą płynąć. Ale to miejsce, stulecia pielgrzymów, nadzieje tylu ludzi, wy wszyscy tutaj... sprawiliście, że przypomniałam sobie, kim jestem. Nie wiem jeszcze tylko, czy mam odwagę zainwestować swoje uczucia i mówić o nich. Nie chcę się zaangażować, a potem się zranić.

– Jestem pewna, że wiesz, co robić. Jak jednak zmusić ślepego, by widział? To może wymagać cudu. – Jeanette zgasła ogień pod kadziami, żeby tkaniny pomoczyły się jakiś czas i wystygły, po czym wzięła przyjaciółkę za rękę. – Chodź, poszukamy Søreny.

Wyszły ze średniowiecznego *forno* przez podwórko, minęły stare drzewo oliwne i starą ścieżkę, która niegdyś była drogą pielgrzymów.

– Słowo *pellegrino* po włosku oznacza więcej niż pielgrzym, wiedziałaś? – Jeanette trzymała Maddie za rękę, gdy podążały ścieżką. A gdy ta potrząsnęła głową, nie rozumiejąc, Jeanette wyjaśniła: – To słowo oznacza obcego, podróżnika. Pielgrzymka prowadzi cię do natchnionych źródeł wiary i cudów, ale też pozwala ci się uwolnić od ograniczeń twojego osobistego świata. – Uśmiechnęła się. – Wszyscy tu jesteśmy pielgrzymami, rozumiesz.

– *Hic locus est* – odpowiedziała Maddie nieco rozmarzonym głosem. – Magia miejsca.

Dostrzegły Sørenę usadowionego na plandece, plecami opartego o owalny kamień w rejonie polnych kwiatów. Rozwinął przed sobą faksymile z obrazem średniowiecznego ogrodu i przytrzymał czterema

kamieniami rozmieszczonymi po rogach. Jeanette i Clausa bardzo porwało jego znalezisko. Szkic zawierający wszystkie elementy, których szukała Jeanette. Nie mogli uwierzyć w swoje szczęście, że taki ogród prawdopodobnie rozkwitał w opactwie, ledwie milę od nich. Idealnie to pasowało do Borgo i zdaniem Jeanette teraz wystarczyło przenieść średniowieczny projekt na twór nowoczesny. Søren był pewien, że da radę to zrobić, chociaż Claus żartem zasugerował, że realizacja złotego nieboskłonu może, niestety, nie zmieścić się w budżecie. Søren przyznał, że w Borgo może będą musieli poprzestać na złotym firmamencie namalowanym przez tokańskie słońce i że pięknie wykuty księżyc i wiatr także zostaną dostarczone przez Boga.

– No chyba że Maddie zechce za nich robić.

– Możemy rozszyfrować wszystkie pozostałe elementy? – spytał Claus.

– Możemy i podejrzewam, że znajdziemy całą resztę poza, ewentualnie, jednorożcem. Trochę ich brak na rynku. – Tu jednak Claus miał ostatnie słowo. Zwrócił mianowicie uwagę, że jeśli chodzi o zaopatrzenie dla Borgo, jego żona potrafiła wynaleźć nadzwyczajne rzeczy.

Maddie myślała o tej wcześniejszej rozmowie, gdy z Jeanette u boku podeszła do postaci siedzącej po drugiej stronie łąki. Zauważyła szeptem, że wszystko wokół Sorena ma jakąś taką symetrię. Jego aparat, wielka zwinięta taśma miernicza, a obok zniszczony tomik wierszy Keatsa, szkicownik – wszystko wydawało się Maddie umieszczone niedbale, jakby do sesji zdjęciowej. W jego „chaosie” istniała jakaś rozkoszna estetyka. Oczy miał z pozoru zamknięte, ołówek zatknięty za ucho. Butelkę wody postawił w cieniu kamienia. Jeanette uśmiechnęła się i przez chwilę rozkoszowała się widokiem.

Lekki powiew obwieścił ich nadejście Sørenowi, który poczuł ruch powietrza na policzku i odwrócił się w ich stronę.

– Czekałem na was! – zawołał swobodnie i otworzył jedno oko.

– Przeszkadzamy ci w szukaniu natchnienia? – spytała Jeanette. – Bije od ciebie taki spokój i luz.

Kartki szkicownika zaszeleściły, jak upływ czasu pokazany w filmie za pomocą kalendarza. Sięgnął ręką i go zamknął, po czym rzekł:

– Z tobą, Maddie, zawsze nadchodzi powiew. Myślisz, że umiesz kontrolować wiatr?

Maddie spojrzała na niego zdumiona i odpowiedziała prawie gniewnie i nieuprzejmie:

– Nikt nie umie. – Nie wiedzieć czemu, taka sugestia wprawiła ją w zakłopotanie.

Søren uśmiechnął się, nieurazony, i wskazał kocyk.

– Usiądźcie, proszę. – Przesunął parę rzeczy, by zrobić dla nich miejsce. – Wąchałem zapachy i próbowałem sobie wyobrazić, jak ogród mógł kiedyś wyglądać i jak znowu będzie wyglądał, zanim spróbuję go narysować.

Jeanette przyjrzała mu się uważnie.

– Masz rację. Jeśli mamy uczynić świat lepszym, musimy go sobie najpierw wyobrazić.

– Już tak tu zrobiłaś – powiedziała Maddie. – Wyobrazilaś go sobie, a także zrealizowałaś.

Jeanette bardzo te słowa wzruszyły. Wiedziała, ile znaczą, skoro wypowiedziała je Maddie. Była tak zdruzgotana, gdy przyjechała. Ale postanowiła szybko zmienić temat, tak aby nie zniszczyć piękna chwili.

– A skoro mówimy o wietrze, Søren, jeśli dotrzesz do Volterry, musisz zrobić sobie krótką wycieczkę. Pewien mój przyjaciel, pisarz, opowiadał mi historię o miejscu Casa al Vento, zaraz pod miastem. To zagroda i chata zbudowana na średniowiecznych ruinach. Legenda mówi, że mieszkała tam kobieta, która naprawdę kontrolowała wiatr.

Søren uśmiechnął się szeroko, a Maddie wbiła w Jeanette zdumiony wzrok. Ale sama Jeanette tylko się uśmiechnęła zagadkowo i po duńsku zaczęła mówić do Sørena o planie ogrodu. Wskazali różne sektory i wstali na chwilę, by sprawdzić perspektywę i przemierzyć jedną część ogrodu. Maddie słuchała, rozkoszując się lirycznymi rytмами języka, aż myśli jej

przerwał trzepot wiatru i gołąb tuż nad jej głową. Wylądował kilka stóp od niej na kamieniu, o który wcześniej opierał się Søren. Maddie poderwała się zaskoczona.

Jeanette zauważyła jej reakcję i wróciła, przestawiając się na angielski.

– Nie przejmuj się. Sprawdź, czy mamy coś do jedzenia. Gołębie mieszkały tu, gdy przyjechaliśmy, pełno ich było w domu. Miejscowi mówią, że mamy szczęście w miłości, w życiu, w interesach. W każdym razie bardzo się cieszę, że zostały.

– Włosi na pewno przywiązują takie znaczenie do ptaków dzięki o wiele starszym wierzeniom etruskim – powiedział Søren. – Dla Etrusków i później dla Rzymian ruch ptaków przepowiadał przyszłość. Nazywali to auspicjum, i chociaż w dzisiejszych czasach oznacza to mniej więcej odczytanie woli bogów w ogóle, pierwotnie dotyczyło czytania z lotu ptaków.

– Słyszałam o tym – wtrąciła się Maddie. – Chyba od ojca. Czy nie tego słowa używa Hamlet? A potem zaraz coś o wróblu? – Uśmiechnęła się figlarnie i zmarszczyła nos.

– On był Duńczykiem. – Jeanette się roześmiała.

Søren usiadł, twarzą do Maddie. Całkowicie go to zaskoczyło.

– Tak, Maddie. Chodziło o wiarę w przeznaczenie. Cokolwiek ma nadejść, nadejdzie, prędzej czy później. – Uśmiechnął się do niej. – Według słów świętego Mateusza mamy nie bać się tych, którzy zabijają ciało, bo duszy zabić nie mogą. – Przez chwilę Søren wydawał się mówić poważnie. – Jakikolwiek masz światopogląd duchowy, to mocna filozofia, nie sądzisz?

Maddie nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć: od miesięcy bardzo się starała, żeby wierzyć w większość podstawowych idei – nawet w dobroć ludzi. Podejrzewała, że jej ojciec polubiłby Sørena – rośliny i poezja.

Myśli Jeanette pognały w innym kierunku.

– To mi przypomina o etruskich grobach w Volterze – powiedziała. – Maddie, ty chcesz jechać, więc może zrobimy wolne popołudnie? Możecie

jechać oboje, a w drodze powrotnej kupicie coś na obiad, co oszczędzi mi wypadu do Sieny z Clausem dzisiaj po południu.

– Doskonale – zgodził się Søren. – Ja dzisiaj będę gotował i zawiozę cię mini, Maddie.

– O nie – zażartowała Maddie. – Możesz jechać, ponieważ zaproponowałeś mi swój samochód, ale ja poprowadzę. Duńczyk czy nie, teraz jesteś przyzwyczajony do jazdy drugą stroną drogi.

Jeanette wstała z nimi, śmiejąc się.

– Żadnych *frikadeller* na obiad, Søren. Zostajemy przy włoskiej kuchni.

Volterra stała na swoim wzgórzu, zalana słońcem. Wały obronne starego miasta wznosiły się posępnie nad krętą drogą, nad nimi w upale wisiały nieruchome, zbite chmury burzowe. Było wczesne popołudnie, a z panującej ciszy było jakieś pierwotne piękno.

Małe mini Sørena z opuszczonym dachem i z Maddie za kółkiem zręcznie manewrowało po ostrych zakrętach prowadzących do miasta. Maddie mrużyła oczy, śledziła drogowskazy i ze szczęściem nowicjusza wjechała na wielki parking podziemny tuż pod wspaniałymi etruskimi murami. Nie wiedząc, czy wziąć okulary przeciwsłoneczne czy parasole, i uznawszy, że jedno i drugie, wyszli głównym wejściem, zamiast wspiąć się wewnętrznymi schodami na plac nad nimi. Ścieżką dotarli do nowoczesnej drogi i w górę podjazdem do potężnych murów obronnych.

Po niespełna stu jardach marszu doszli do imponującej budowli, która wabiła Maddie z przewodników i stron internetowych – sugestywnej Porta all'Arco. Tak zwana łukowa brama stała pod kątem do drogi, wyraźnie zaprojektowana tak, by wiszący nad nią mur umożliwiał obronę z blanków. Maddie wyczuwała bijącą od niej aurę: wydawało się jej, że brama jest świadoma ludzi i wydarzeń przewijających się tu przez wieki. Stała tu od czwartego wieku przed naszą erą, nieco zmieniona w trakcie renowacji. Fantastyczna personifikacja, którą Maddie jej przypisała, wydawała się uzasadniona w obliczu zdobiących konstrukcję kamiennych głów, zniszczonych przez wiatr i czas.

Już po raz drugi dzisiaj Maddie poczuła, że na obrzeżach jej egzystencji żyje przeszłość.

– Też to czujesz, prawda? – usłyszała cichy głos Sørena doskonale pasujący do jej nastroju.

Stali w pewnej odległości od siebie, przyglądając się bramie i ulicy prowadzącej w górę do centrum miasta.

Maddie niemal odebrało głos. Opanowały ją nowe doznania.

– Nie sądzę, żebym dała radę przez nią przejść – powiedziała słabo.

Søren przyglądał się jej uważnie.

– Déjà vu? – spytał.

– Nie... nie wiem. Nigdy mi się to jeszcze nie zdarzyło. – Maddie niemal czuła, jak włosy stają jej dęba, i ogarnął ją strach... albo jakieś inne emocje. Przesunęła dłonią po głowie.

Søren delikatnie położył jej rękę na ramieniu.

– Może po prostu odczuwasz do spółki z ludźmi, którzy przez tyle stuleci tędy przechodzili. Na pewno to potężna, sugestywna budowla. W każdym razie jest piękna. Coś do ciebie przemówiło.

Jeśli chodzi o Maddie, te odczucia ustały równie nagle, jak się pojawiły, jakby ta śmierć, która ją powąchała, zniknęła w jasnym słońcu.

– O, już minęło! – powiedziała, skręcając ciężkie włosy w węzeł. Podjęła wędrówkę, ale gdy zeszli z upału w mrok starej bramy, temperatura znacząco spadła. Maddie poczuła, jak spada jej też nastrój, i rozdrażniło ją to. A gdy wyłoniła się z cienia, znowu nastrój się poprawił.

Søren w milczeniu obserwował te przemiany i uśmiechnął się do niej. Jego zdaniem Maddie zbliżała się do uczuć, które w jego rozumieniu tłumiała, by przeżyć ból ostatnich sześciu miesięcy. Teraz coś w niej dało przyzwolenie, by się wzruszyła.

Na szczycie pochyłości skręcili w prawo, w wąską uliczkę, potem w lewo i dotarli do Piazza dei Priori, okazałego średniowiecznego placu. Po lewej wznosił się Palazzo Priori, który – jak Maddie wyczytała – był najstarszym ratuszem we Włoszech, a może i w Europie. W południowej



stronie przepięknego placu z jego stonowanymi budynkami z krenelazem i wieżyczkami dojrzeli znak informacji turystycznej.

– Informacja czy najpierw kawa? – spytał Søren, gdy szli w tamtym kierunku.

Maddie się uśmiechnęła, czując się nagle jak uczennica, która ma niespodziewanie dzień wolny od lekcji.

– Och, najpierw informacja, potem muzeum, a pomiędzy tym kawa, jeśli zdołasz jeszcze wytrzymać?

Pchnęli szklane drzwi informacji i Maddie uśmiechnęła się do młodej kobiety za biurkiem. Zaczęła swoim najlepszym włoskim:

– *Buon giorno*. Szukamy miejsca o nazwie Casa al Vento. Zna je pani? Powinno się znajdować gdzieś w okolicy.

– To bardzo nietypowe pytanie. Ja go nie znam, ale spytam kolegów.

Odwróciła się do dwóch mężczyzn i przekazała im problem. Z trójstronnej rozmowy Søren zrozumiał: „jeśli zadzwonisz do takiego a takiego, to on zna każdy centymetr wzgórza, jeśli takie coś istnieje, to on o tym wie”. Znalaziono numer tego znawcy okolicy, później zadzwoniono, po czym nastąpiły poszukiwania na mapie przyniesionej z sanktuarium w drugim pokoju. Zastąpiła ona zwykle wielojęzyczne darmówki ze stojaka dla turystów. Wszyscy stali dokoła i rozmawiali, aż drukarka na drugim końcu pokoju wyrzuciła cenną mapę Ordnance Survey, a młoda kobieta – która przedstawiła się jako Eva – uśmiechnęła się do nich i wyjęła żółty marker.

– *Allora* – zaczęła energicznie i zatoczyła kółko na kartce. Spojrzała na Maddie, a potem uważnie na Sorena. – Nie znam języków skandynawskich, więc zrobię to po angielsku. Wiele lat temu, *mille ottocento e settanta*, chyba w tysiąc osiemset siedemdziesiątym, Amerykanin o nazwisku Leland napisał książkę pod tytułem *Aradia*. Coś o włoskich czarach, a jedna z historii nazywała się *Dom wia tru*. Autor chciał pewnie udzielić informacji o włoskiej *strega*, czyli czarownicy, o imieniu Maddalena. Widzą państwo – roześmiała się – mieliśmy tu

w Volterze czarownicy na długo przed wampirami.

Kolega Evy powiedział coś do niej po włosku, a Eva sparafrazowała sedno:

– *A, si*. Znacie historię Lelanda, o tej młodej kobiecie, którą rodzina skazała na śmierć za nieposłuszeństwo. Ona chciała wyjść za mąż, a oni chcieli ją oddać do klasztoru.

– Prawo pozwalało ukarać ją śmiercią? – spytała Maddie oszołomiona.

– Tak, wtedy kobieta nie miała żadnych praw, dopóki mieszkała w domu rodzinnym. Ojciec, Kościół i prawa miejskie – to decydowało o wszystkim, co się wtedy działo z kobietą. – Eva kiwnęła głową. – Fajnie, że żyjemy teraz, prawda? Ale znacie tę książkę?

– Wydaje mi się, że coś o niej słyszałam – odparła Maddie.

– No – podjęła Eva – zgodnie ze słowami Lelanda w nocy przed egzekucją pozwolono jej przebywać w ogrodzie, gdzie modliła się do swojej bogini, Diany, którą wolała od Kościoła. Po drugiej stronie miasta ciągle stoi Porta Diana... – Przerwała na chwilę i postawiła kolejne kółko na mapie. – To jedna z naszych starożytnych bram z czasów etruskich i rzymskich, która prowadziła do świątyni. A więc historia opowiada, że Diana odpowiedziała jej trąbą powietrzną, która nadciągnęła z *balze* i całkowicie zniszczyła dom i zabiła wszystkich oprócz niej. I nikt nie wie, co się stało z nią później, oprócz tego że uciekła ze swoim ukochanym.

– Nie wierzy pani w tę historię? – spytał Søren.

Eva się roześmiała, a rękoma wykonała niewymagający tłumaczenia gest: kto wie?

– Nie ma żadnych pisanych podań na temat tej kobiety, które by potwierdziły jakkolwiek część tej historii. Długo szukał jej pewien Anglik o nazwisku Hutton, ale nic nie znalazł. My w Volterze też trochę szukaliśmy, ale nie ma zapisków na temat procesu czy chrztu ani aktu małżeństwa. Dopiero na początku szesnastego wieku pojawia się historia o kobiecie sądzonej za czary. Według niej, żeby sprawdzić, czy ktoś jest winien zbrodni, należy wsadzić go do więzienia i zobaczyć, czy nadciągnie

uwolnić go trąba powietrzna. To by więc wskazywało na jakieś wcześniejsze wydarzenie. Ale poza tym zupełnie jakby ona nie istniała. I może nie istniała.

– Ale istnieje legenda – powiedziała Maddie z namysłem.

Eva kiwnęła głową z pogodnym uśmiechem, a że do biura weszła kolejna para, spojrzała na nich i powiedziała po niemiecku:

– Zaraz się państwem zajmę.

Odwróciwszy się do Maddie i Søren, podała im mapę.

– Znam to miejsce, ale nie znałam jego nazwy. Tam jest przepięknie. Stojący tam dom w tej chwili nie jest za bardzo stary. Dzieli się na dwie części, ale zbudowano go z bardzo starego kamienia ciosanego. – Odwracając do nich mapę, dodała: – Jedźcie tą drogą, a jak opuścicie miasto, zwolnijcie, bo inaczej przeoczycie zjazd. To zaraz za takim nowoczesnym domem, trzeba wjechać na taki cypel, z którego rozciąga się widok na obie strony doliny i na miasto. Powodzenia!

– Bardzo dziękujemy – powiedziała Maddie. – Ach, a najpierw chcemy zajrzeć do Museo Guarnacci. Może nam pani pokazać na planie, gdzie to jest?

– *Si, certo* – odparła Eva. Postawiła na mapie kolejne kółeczko i kropkami wyznaczyła im pieszą trasę. – Jeśli chcecie gdzieś zajść na późny lunch, to polecam Osteria dei Poeti, mają tam dobrą kawę. To obok Guarnacciego, tutaj – postawiła dwa znaczki.

– Dziękujemy – dołączył Søren.

– Proszę bardzo! – I z tymi słowy odwróciła się, by poświęcić uwagę niemieckiej parze.

Søren i Maddie od razu znaleźli restaurację, gdzie schowali się przed niepewną pogodą. Zamówili szybkie danie, makaron z truflami, a gdy już złożyli zamówienie, Maddie zamyśliła się nad rozmową w informacji turystycznej.

– Skąd Eva wiedziała, że ci ludzie to Niemcy? – spytała Sorena, zdumiona zajściem.

– Skąd wiedziała, że chcemy kawy? – Zamigotały orzechowe oczy. – Ale powiedziałbym, że w tym wypadku zdradził ich klasyczny przewodnik Baedekera i może porządne sandały do marszu.

Maddie z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Ale wiedziała też, że jesteś Skandynawem, a ty nawet nie jesteś blondynem!

– Zgadza się. – Zaśmiał się. – Co dowodzi, że jest na tyle mądra, żeby nie dać się zwieść stereotypom.

– Albo tego, że w Volterze ciągle jest pełno pięknych czarownic.

Niespełna godzinę później stali przed Guarnaccim, pięknym pałacem o nieokreślonym wieku przemienionym w siedzibę niezwyklego zbioru zabytków etruskich i rzymskich przez gorliwego siedemnastowiecznego kolekcjonera, który miał nadzwyczajne szczęście tu mieszkać. Zerwał się zimny wiatr; gwizdał po wąskich ulicach, a niebo pociemniało – Maddie pomyślała, że często musiało się tu tak zdarzać – wydawało się, że zaraz lunie deszcz. Z ulgą dopadli wejścia i już w środku kupili sobie po przewodniku, plus dodatkowy dla Jeanette. Znaleźli w nim informację, że palazzo został подарowany obywatelom miasta Volterra przez Maria Guarnacciego w roku 1761. Szlachetnie urodzony opat – jak pisano – wykazał się taką przezornością, że zebrał, a następnie ofiarował *comune* ogromną liczbę etruskich artefaktów pogrzebowych i innych, a także pięćdziesiąt tysięcy książek. Dzięki temu nie dopuścił do rozproszenia eksponatów pomiędzy pozbawionych skrupułów zbieraczy, a teraz składały się one na wielką część dziedzictwa kulturowego Volterry.

Wiedząc, że pewna szczególnie słynna rzeźba znajduje się gdzieś w tym budynku, Maddie spytała o nią po włosku i otrzymała odpowiedź. Dzięki temu poszli na skróty przez bieżącą ekspozycję urn pogrzebowych na parterze, prosto na piętro.

Gdy szerokimi schodami wspinali się na górę – pod czujnym okiem nienaturalnej wielkości portretu szlachetnego opata – minęli strażnika u szczytu schodów, którego Maddie znowu o coś spytała. Kiwnął głową.

Maddie jednak wydawała się zmieszana i spojrzała na oznaczenie piętra: *Piano I*.

– To drugie piętro – powiedziała do Sørena.

– Nie, w całej Europie to pierwsze piętro – odrzekł ubawiony. – Pierwsze piętro jest pierwsze ponad poziomem ziemi, a poziom ziemi to *terra*. Jesteśmy we właściwym miejscu.

Maddie zaoponowała, mówiąc, że stary świat jest bardzo zacofany, ponieważ logika nakazuje, by „pierwsze” było tam, gdzie człowiek zaczyna, tak więc wspięli się na drugie piętro. On z kolei odrzekł, że już wiele stuleci temu Arabowie wskazali na istnienie czegoś takiego jak zero. Beztraska dysputa trwała, aż Maddie znalazła się w zaciemnionej sali, gdzie każdy z przedmiotów był oświetlony z osobna. To ją tak zaskoczyło, że aż wstrzymała oddech, a jej oczy powędrowały do gabloty z terakotową urną ozdobioną wyjątkowo realistycznymi podobiznami pomarszczonego męża i żony. Maddie podniosła rękę do ust: widziała te wizerunki w książkach, lecz wydały się jej bardziej nastrojowe, gdy miała je niemal na wyciągnięcie ręki. Wręcz w ogóle nie była przygotowana na takie wrażenie. Staruszkowie, poorani zmarszczkami, wyglądali jak żywi i patrząc na nich, można było odnieść wrażenie, że ich życie i dusze były powiązane ze sobą od początku do końca. Podpis informował: „Urna małżeństwa, II w. p.n.e.”. Maddie patrzyła na twarze tych dwojga, którzy musieli się całować, jeść razem, grozić sobie i wieść spory przez wiele lat na ziemi i później w wieczności. Mąż i żona wpatrywali się w swoje twarze, jakby nigdy się sobie nie znudzili. Maddie zebrało się na płacz, chociaż nie miała pojęcia, czy to z jakiegoś osobistego powodu, doznanej straty, czy też przez jakieś zrozumienie dla uczuć ludzi, którzy żyli tu i przechodzili pod tą samą bramą, gdy jej kamienie były świeżo wyciosane.

Znowu miała mętlik w głowie i chwilę przyglądała się Sørenowi, by powrócić do terażniejszości. Nagle odzyskała poczucie bezpieczeństwa. Przy jego boku stanęła pewnie na ziemi i obserwowała, po raz kolejny, jak jego oczy budzą się do życia i chłoną każdy szczegół przedmiotu, który

w oczywisty sposób mu się podobał – jakby się przygotowywał, by go później narysować i od nowa zaznać tego przeżycia. Uśmiechnęła się do siebie i odwróciła, dość spokojna, aż nagle dostrzegła przedmiot, którego szukała. Serce prawie przestało jej bić.

Stała w głębi, za terakotowymi figurkami, skąpana w świetle własnego wieczoru po przeciwnej stronie głównej sali. Maddie chwyciła odrobinę zdumionego Søren i pociągnęła go w stronę eksponatu.

– Poznaj *Cień wieczoru* – powiedziała z czcią.

Ombra de la Sera, na pewno najsłynniejszy na świecie były pogrzebacz, stał we własnej wnęce. Doskonała twarz chłopca wpatrywała się w nich z pleksiglasowej gabloty; ale ciało było wydłużone, jakby wyciągnięte przez grę padającego pod kątem światła. Maddie skojarzyło się to z cieniami nad grobem w Borgo tego ranka.

Søren spojrzał na miniaturową twarz smukłego ciała młodego chłopca wykutego w żelazie.

– Piękny. – Westchnął z podziwem. – Doskonały pomysł i doskonałe wykonanie. Jeśli to figura wotywna, to zupełnie jakby wyciągnięta ku bogom. Skąd go znasz, Maddie?

– Jeszcze kilka miesięcy temu o nim nie słyszałam. W moje urodziny, w zeszłym miesiącu, babcia wpadła w tę obsesję, że mam odszukać rodzinę, i pokazała mi pocztówkę, którą moja praprababcia Maria Pia przysłała swojej córce w San Francisco mniej więcej w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku. Musiała być właśnie tutaj, w Volterze, i patrzyła na tę rzeźbę, tak jak my teraz.

– *A la Recherche du Temps Perdu* – powiedział Søren. – Znajdowanie czasów zapomnianych pomaga nam dowiedzieć się czegoś więcej o tym, kim jesteśmy.

Wziął ją za ramię i poszli do schodów, znowu mijając strażnika. Nagle cały budynek zatrzęsł się pod ich stopami, gdy w górze przetoczył się grzmot. Wydawało się, że dochodzi gdzieś z głębi ziemi – ze skały, na której wznosiło się miasto – i niemal natychmiast rozległ się drugi

ogłuszający grzmot oraz pojawił oślepiający błysk, od którego aż podskoczyli.

– Mój Boże! – krzyknęła Maddie. – Zupełnie jakby budynek miał się rozpaść.

– W porządku, signorina. – Strażnik ze schodów dotknął jej ramienia i wyjaśnił po włosku: – To nie koniec świata. Często się tak zdarza w gorące dni, gdy niewielki deszcz zmyje ulice. Etruskowie to uwielbiali. W starożytnym świecie słynęli z tego, że ciskali dokoła grzmotami. Juliusz Cezar miał do nich dużo szacunku.

Søren zrozumiał go i roześmiał się.

– Nic dziwnego.

Grzmoty nie ustały – *piano* i *forte* – gdy przez następną godzinę oglądali zbiory. Twarz chłopca utrwaliła się w pamięci Maddie, a Søren znalazł swój eksponat, który przeniósł jego myśli w świat spekulacji. Wskazał Maddie wielki owalny kamień, który przewodnik opisywał jako *cippus*, czyli kamień nagrobny. Eksponatów tego typu stało kilka, niektóre sferyczne, osadzone na cokole, inne bardziej stożkowate. Przyciągnął go jeden, który został wycięty w kształt szyszki – w Anglii nazywany żołędziem albo anansem, a widywany często na bramach osiemnastowiecznych domów. Ale Sørenowi najbardziej skojarzył się ze zniszczonym owalnym kamieniem w ogrodzie Jeanette, pod którym siedział dzisiaj rano. Jaka jest twoja historia? – zastanawiał się.

Było po czwartej, i jeśli mieli zrobić przystanki sugerowane przez Evę i Jeanette, a jeszcze zadbać o zakupy na obiad, musieli się już zbierać.

– Jedziemy do Domu Wiatrów? – spytał Søren swoją towarzyszkę.

– Chętnie.

Maddie skierowała mini na zachód, ku nadzwyczajnemu niebu pełnemu różowawego światła i ciemnofioletowych chmur, wiszących po jednej stronie zachodzącego słońca. W jednym punkcie nieba dramatycznie zderzała się noc z dniem. Søren kierował ich po zboczu, z którego roztaczał się rozległy widok na północ i południe, ponad bezkresnymi

polami uprawnymi po jednej stronie i krajobrazem księżycowym, o którym miejscowi mówili *balze*, czyli granie, po drugiej. Myśleli, że pojechali za daleko; a potem, że to jeszcze za blisko, gdy nagle na zakręcie, na tle apokaliptycznego krajobrazu, ukazała się sylwetka budynku na cyplu. Søren ją wskazał, a Maddie szybko skręciła z drogi na otwartą przestrzeń po drugiej stronie zabudowania.

– Lokalizacja pasuje – powiedział Søren, obchodząc auto, by otworzyć Maddie drzwi – ale ten budynek potrzebowałby wnikliwego architektonicznego śledztwa, by ujawnić swoje tajemnice. Może jego rdzeń pochodzi ze średniowiecza. Był mocno zmieniany i w tej chwili nie jest ani trochę piękny.

– Nie – odparła Maddie nieśmiało. – Ale to miejsce sprawia wrażenie... nierealnego.

Przeszli przez drogę i znaleźli chatę: trochę zrujnowaną, zbudowaną blisko całkowicie nowoczesnej zagrody, z którą dzieliła ścianę. Maddie chciała zyskać pewność i znalazła w ogrodzie obok kobietę. Kilka słów po włosku wyjaśniło, że to rzeczywiście Casa al Vento.

Na parterze zobaczyli kilkoro drzwi, wiele od dawna zaryglowanych. I okno z zabytkową kutą kratą, a także całkiem nową dobudówkę oraz zewnętrzne schody prowadzące na piętro, pewnie do najstarszej części domu pierwotnie postawionego z surowego kamienia – jak przypuszczał Søren. Po jednej stronie podwórka leżał stos niepociętego drewna, a całość sprawiała wrażenie opuszczonej.

Maddie poczuła znowu tamten wcześniejszy strach i podeszła do schodów, na których siadła w milczeniu. Zgodnie z zapowiedzią Ewy widok na Volterre był dokładnie taki, jaki mógł być w czasach Etrusków, a na pewno jak w średniowieczu. Opowieść o dziewczynie docierała do niej, wnikała w nią. Usidlona przez rodzinę, religię i społeczeństwo, bez szans, by myśleć inaczej w świecie wymuszonego podporządkowania się normom. Ale chceć umrzeć, ponieważ nie możesz żyć tak, jak inni od ciebie chcą? Tego historia chrześcijańska nie mogłaby odnotować – pogańska



męczennica. Maddie zadygotała.

– Co z dziewczyną, z jej miłością? Czy naprawdę uciekli przed wicherą i doczekali się szczęśliwego zakończenia? Czy też zmiądzzyła ich machina społeczna i po prostu zniknęli z kart historii? – Nie wiedzieć czemu, Maddie pomyślała o Nevie, o Marilu, a nawet o Christopherze.

Søren podszedł i siadł obok niej na schodach, kładąc jej na plecach ciepłą dłoń. Odwróciła się do niego. Kiwnął głową, uśmiechając się ciepło.

*I poszli. Właśnie! Wieków temu parę*

*Uciekło w wichrze tych dwoje szczęśliwych<sup>[4]</sup>.*

Maddie podniosła na niego wzrok, a z jej wspaniałych migdałowych oczu nagle wytrysnęły łzy. Pływały po twarzy, chociaż sama nie wiedziała dlaczego.

Søren otworzył ramiona i zamknął ją w nich. I na zboczu pomiędzy łagodnymi polami a surowymi urwiskami, pod niebem ciemności i światła, w dniu, który zdawał się rozdzielony na pół, Maddie zapłakała tak, jak wcześniej nie mogła.

---

<sup>[4]</sup> J. Keats, *Wigilia świętej Agnieszki*, przeł. Z. Kierszys.

20 STYCZNIA 1348 ROKU,  
SANTO PIETRO IN CELLOLE, TOSKANIA

Po wczorajszych kilkakrotnych lekkich opadach śniegu surowy zimowy pejzaż nabrał łagodności. Kolejne śnieżycy nadciągały i dzisiaj. Około czwartej jednak, gdy popołudniowe światło przygasło i trzeba było zapalić świece, pogoda się poprawiła. Jasny, chłodny wieczór został ukoronowany olśniewającym księżycem, złocistym i niemal pełnym. Zalał on okolicę światłem idealnym do polowania. Mia pomyślała, że dlatego właśnie słyszy teraz sowę krążącą na zewnątrz, ze swoim dziwnym trzynutowym wołaniem, które było niemal ludzkie. Powtarzające się dźwięki przecięły ostatnie bicie dzwonu na kompletę w opactwie, co dało upiorny efekt. Ptasi krzyk często ją denerwował, ale zawsze budził jej szacunek. Obejrzała się na Porphyriusa.

On w pełni zdawał sobie sprawę z jej niepokoju i uśmiechnął się, sięgając po polano, by dorzucić do ognia. Tym wystudiowanym spokojnym gestem próbował oderwać jej myśli od czekania i zakomunikować, że wszystko jest w normie, choć wcale tego nie czuł. Niemniej na pełne napięcia spojrzenie Mii odpowiedział swobodnie:

– To nie jest krzyk alarmowy. Sowa używa tego dźwięku, by wywabić ofiarę z kryjówki – rzekł. – Ma nadzieję, że zaskoczy królika czy jakiegoś gryzonia w świetle księżyca. Przez ten śnieg musiała wczoraj zasnąć głodna.

Mia kiwnęła głową. Ale to wyjaśnienie ani trochę jej nie pocieszyło. Wszyscy wiedzieli, że sowy są powiązane z pogodą. I z czarownicami. Zdaniem Mii co najmniej trzy z tych rzeczy miały zastosowanie w obecnych okolicznościach i wolałaby, aby stworzenie zamilkło albo polowało bliżej opactwa.

– Sowy to także przyjaciele mądrości – powiedział łagodny głos po jej lewej stronie. – To dobry znak. Każdy inny ptak drapieżny jest męskiego rodzaju, ale sowa jest posłańcem najmądrzejszej bogini, przekazuje pozdrowienia od Diany łowczyni, jeśli wierzyć Wergiliuszowi.

Mia uśmiechnęła się i kiwnęła głową. W rzeczy samej, tak, pomyślała. To najbardziej pokrzepiający pomysł i równie odpowiedni. *Ave Maria, stella Diana* – tak śpiewały z Agnescą. Diana była dla niej przyjaciółką, tak samo jak dla Mii Maria.

– Masz rację Gennaro – powiedziała. – *A la raggia* zasługuje na takiego posłańca.

Gdy tylko jednak ta myśl zrodziła się w jej głowie, kolejny krzyk dobiegł klatką schodową z izby na górze, zmieniając nastrój trójki zebranej przed ogniem w głównej izbie. Porphyrius zacisnął splecione dłonie i znowu wstał, zastanawiając się, co mógłby zrobić. Mia nie miała pojęcia, jak go pocieszyć. Nigdy nie była obecna przy rodzącej, a poza rozmowami służących nie miała doświadczenia, dzięki któremu zdołałaby mu wytłumaczyć, co się zapewne właśnie dzieje, a co jeszcze nastąpi. Minęły godziny, odkąd zaczęły się bóle, jedynie to wiedziała. Dzień pociemniał, pogoda się poprawiła, dom ucichł, służba zajmowała się swoimi obowiązkami. Mię poproszono tylko, by zamiotła izbę i dostarczyła świeżego sitowia i przytulii, a potem położyła świeżą kapę na łóżku Agneski. Od tej chwili tylko ciotka Jacquetta i Alba chodziły na górę, a raz w drzwiach pojawił się Cesaré z gorącą wodą. Porphyriusa też wygnano z pokoju – miał czekać na dole z Mią i Gennarem i modlić się albo mieć nadzieję, albo myśleć sobie, co mu się podoba, aż kobiety i Matka Natura wykonają swoją robotę i dziecko się urodzi.

Przyszła do nich Loredana. Na ustawionym z boku stole zostawiła chleb, oliwki oraz niewielki dzban wina. Po chwili przeniosła to wszystko bliżej, tam gdzie siedziała cała trójka.

– Na kolację macie chyba za mały apetyt, panie Porphyriusie – powiedziała. – Mądrze byłoby jednak coś zjeść, bo może czeka pana jeszcze

wiele godzin. – Spojrzała w kierunku, z którego dochodził krzyk.

– Dziękuję, Loredano – odrzekła Mia.

Wiedziała, że to dobra rada, a także że sama zajęta porodem Agneski zapomniała o kolacji dla Gennara, który wciąż odzyskiwał siły i musiał jeść. Z wyglądu niesamowicie się poprawił przez ostatnie dwa tygodnie, ale ciągle był chudy i słaby po walce z chorobą, i ani ciotka Jacquetta, ani Porphyrius nie słyszeli, żeby zamierzał już siąść na konia i udać się w długą drogę do Volterry.

– Mam przynieść kilka plastrów zimnego mięsa, Mario? Przynajmniej dla ciebie i signora Allegrettiego? A potem pójdę się położyć, bo już nikomu dzisiaj w nocy do niczego się nie nadam – dodała.

– Tak, proszę. I gomółkę sera, Loredano. Może w końcu zgłodniejemy, gdy na górze coś się ruszy.

Loredana kiwnęła głową, ale wyglądała na nieprzekonaną. Nie była akuszerką, ale wiedziała, że do końca daleko, bo krzyki jeszcze nie następowały szybko po sobie, co by sugerowało rychły koniec. I zgodnie z jej przypuszczeniami, gdy wróciła później z mięsem i niewielkim krążkiem sera ze spiżarni, na górze panowała cisza.

– Jeśli chcecie pomóc, panie Porphyriusie, możecie pójść otworzyć skrzynię w waszej sypialni. – Uśmiechnęła się. – A ty, Mario Maddaleno, jeśli nie masz pomysłu na posługę dla przyjaciółki, to pobiegnij do swojego ogrodu i rozwiąż sznur, który zawiązałyście pod domkiem gołębi. Nic nie działa lepiej, by otworzyć łono i przyspieszyć narodziny.

Mia się zarumieniła. Nie wiedziała, że ktokolwiek o tym węźle wie. Zawiązały go pieczołowicie na lnianej linie, którą same z *la raggią* zrobiły, by sprowadzić silną magię do swojego ogrodu. Agnesca powiedziała jej, że taki węzeł jej przodkowie uważali za właściwy do uwiązania wiatru. Należało go rozwiązać tylko w chwili, gdy potrzebny był powiew. Wyznała jednak Mii, że był o wiele bardziej skuteczny od miłosnej magii. Jeśli go tam zostawiają, pod opieką gołabczków, przyniesie on dziewczynie męża.

Mia spojrzała na Loredanę i próbowała udawać ubawioną oraz

potraktować tę radę z lekceważeniem.

– Nie wierzysz chyba, że takie rzeczy cokolwiek zmieniają.

– Ale zawsze tak się robi, jeśli poród się przedłuża, Mario – odparła i wyszła, życząc im wszystkim dobrej nocy.

Mia i Gennaro skubnęli trochę jedzenia, ale Porphyrius nie mógł się skusić. Wypił kielich wina i kilka razy zmienił pozycję, a poza tym ruszał się tylko po to, by dopilnować ognia albo otworzyć drzwi na podwórze dla przewietrzenia. Gdy upłynęła jednak kolejna godzina, zrobił się niespokojny i spięty – a w takim stanie Mia jeszcze nigdy go nie widziała. Zawsze był uosobieniem spokoju, w każdej trudnej sytuacji.

– Nie martw się o nią, Porphyriusie – powiedziała. – Ciotka Jacquetta ma doświadczenie jako akuszerka. O ile wiem, tutaj, w willi, sama przyjęła czwórkę dzieci, a z tego dwójkę przed terminem, ale przeżyły. Pomagała też innym w miasteczku.

– To szczęśliwy przywilej martwić się, Mario Maddaleno – odrzekł jej Gennaro.

Uśmiech, który jej posłał, wyrażał wiele złożonych emocji, z których nie wszystkie umiała odczytać.

– On jest najbardziej błogosławionym z ludzi – dodał, zatrzymując resztę myśli dla siebie, i Mię zaintrygowały jego słowa.

Jakiś czas później Mia usłyszała kolejny przeszywający krzyk, a potem z piętra zawołano jej imię. Zdrzemnęła się do wołania sowy, głowę oparłszy niewygodnie na dłoni i rogu ławy. Choć zeszywniała, pobiegła schodami na górę do ciotki, zostawiając mężczyzn z troską odmalowaną na twarzach.

– Przeciąga się, bo dziecko źle się ułożyło w łonie – wyjaśniła jej Jacquetta.

Weszła do ładnego pokoju, któremu Cesaré nadał nazwę od *bella pellegrina*, a jej wzrok przyzwyczaił się do mroku. Światło dawała jedna tylko świeca i niewielkie palenisko. Zauważyła jednak, że księżyc wpada przez okno i rzuca blask na pokój, który wydaje się piękny. Zobaczyła, że

Agnesca siedzi na końcu łóżka i wygląda jak duch – ale jest przytomna.

– Chcę, żebyś ją pottrzymała za rękę, podczas gdy Alba i ja spróbujemy obrócić dziecko – powiedziała Jacquetta.

Mia przełknęła ślinę. Słyszała od podróżnych makabryczne opowieści o dzieciach ułożonych pośladkami w stronę wyjścia z łona. Niektóre z nich pochodziły od smutnych kobiet pielgrzymujących w nadziei, że zostaną pobłogosławione innymi, zdrowymi dziećmi. Tego najbardziej bały się babki i akuszerki – w skrajnych przypadkach można było wezwać lekarza, by wyciął płód z matki i próbował ją uratować, jeśli już nic innego nie można było zrobić. Zadygotała nieświadomie i pomyślała o przerażającej sowie.

Agnesca podciągnęła się i oparła o zagłówek, gdzie Mia spulchniła dla niej poduszkę.

– Nie patrz tak, Mia – powiedziała. – Ranek wstanie jasny i przyniesie dobre wieści.

Dziewczyna próbowała się uśmiechnąć do przyjaciółki. Ale gdy ciotka Jacquetta kiwnęła głową i Agnesca zebrała się w sobie, to ona musiała trzymać jej rękę, a nie odwrotnie. Gdy ciotka nacisnęła brzuch, Agnesca wciągnęła gwałtownie powietrze i wydała rozpaczliwy, zduszony krzyk, od którego Mii pękło serce.

– Nie przejmuj się mną – powiedziała ze skrucą do Jacquetty. – Wiem, że robisz tylko to, co musisz, i wytrzymam. Nie wydaję tego dźwięku z własnej woli.

– Następną próbą, Agnesco – odparła Jacquetta. – Dziecko ruszyło się trochę i muszę dalej naciskać.

Ale Mia dostrzegła spojrzenie oczu ciotki i wiedziała, że to połączenie smutku z powodu bólu Agneski, a także niepokoju, że sytuacja jest bardzo groźna. Kiedy parcie znowu się zaczęło i poczuła na dłoni miażdżący uścisk przyjaciółki, od którego na pewno zrobi się siniak, chciała uciec. Sama zniosłaby ten ból, ale nie mogła patrzeć, jak ktoś inny cierpi w takiej udręce. Ta myśl nabrała wyrazistości, gdy trzecia próba ułożenia

dziecka we właściwej pozycji – i ból zadany Agnesce – nie przyniosła efektu.

Mia spojrzała na twarz biedaczki, lśniąca od potu i pozbawioną zwykłych kolorów i światła. Wiedziała, że Agnesca nie liczy sobie jeszcze dziesiętnastu wiosen, ale teraz wyglądała na udręczoną i jej wieku nie dało się określić. Zerknęła na Albę, która blada odpowiedziała jej spojrzeniem. Nawet ciotce Jacquetcie brakowało zwykłej pewności siebie. Zagryzała wargę, nie zdając sobie z tego sprawy. Mia nie mogła tego znieść, czuła się bezużyteczna i głupia. Pomyślała o Loredanie, a potem o *la raggii*. Czy rozwiązanie węzła naprawdę mogło pomóc? Niewykluczone, gdyby Agnesca tak uważała. Wyszeptała coś do ucha przyjaciółki, a potem wybiegła z pokoju, obiecując ciotce, że szybko wróci.

Pokonała schody najszybciej w życiu i minęła spoglądających pytająco Gennara i Porphyriusa, nie przystając, by im odpowiedzieć. Oparła się całym ciężarem o drzwi i bez nakrycia wypadła na chłodną noc. Śnieg delikatnie chrzęścił, gdy bez chodaków dla osłony łapci biegła pod drzewami rosnącymi wzdłuż drogi pątniczej i goszczącymi sowę, której pohukiwanie odbijało się echem w jej uszach. Ale strach był luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić.

Gdy dotarła do ogrodu, poczuła, że świeże powietrze i światło pięknego księżyca dodały jej wigoru. Nie potrzebowała lampy, by pod drzewem morwowym znaleźć stary kamień w kształcie jaja i podważyć go z jednej strony. Wyjęła lniany sznur, który zwinęła w grubą linę w letnich miesiącach z *la raggia*. Przyjaciółkę nękał ból i potrzebowała wiatru albo cudu, toteż jej palce rozsuptały węzeł. Nie dbała o męża ani o ukochanego, ale oddałaby wszystko za przyjaciółkę i za tych, których kochała. Z czcią odłożyła rozwiązana linę przed kamień, tak jak zapewne zrobiłaby Agnesca, a potem wyszeptała kilka słów od siebie do Archaniola Michała, który kiedyś był tak blisko jej domu, milę od miejsca, gdzie zbudowano sanktuarium Galgana. Choć był to element jej własnej religii, nie kłócił się z przekonaniem, że jednorożce istnieją i pewnego dnia znajdzie je w swoim

ogrodzie. Wróciła do domu krokiem lekkim jak sarenka.

Palcem wymierzonym w Porphyriusa ostrzegła go, by nie zadawał jeszcze żadnych pytań. I po chwili stała z powrotem przy łóżku przyjaciółki, trochę zarumieniona od wysiłku.

– Pchnij raz jeszcze – powiedziała do ciotki pewnym głosem – bo teraz już nic nie opóźnia narodzin dziecka.

Agnesca uśmiechnęła się słabo i zgodziła się, by spróbowały raz jeszcze ustawić dziecko we właściwej pozycji. Z kamienną twarzą zgrzytnęła zębami i kiwnęła głową.

Na dole zgasł ogień, a mężczyźni patrzyli oszołomieni, zmieszani i wyczerpani. Ale pół godziny po pojawieniu się Mii, zniknięciu i ponownym pojawieniu usłyszeli krzyki, które zasugerowały Porphyriusowi, że jego żona jest w straszliwym niebezpieczeństwie. Potem następne, które powiedziały mu tylko, że ona ciągle żyje, ale że muszą się trzymać nadziei i próbować czegoś nowego. I wreszcie znowu nastąpiła cisza.

Gdy Maria Maddalena otworzyła drzwi izby, którą dzielił z żoną, zobaczyła ciało Porphyriusa przygarbione, twarz odwróconą do ognia. Gennaro odwrócił się do niej śmiertelnie pobladły – bardziej, o ile to możliwe, niż twarz kobiety, którą przed chwilą pozostawiła. Zeszła schodami o wiele wolniej niż poprzednio.

Gennaro śledził jej ruchy. Zobaczył, że niesie zawiniątko, bezwładne i ciche. Zawahał się, nim położył dłoń na ramieniu przyjaciela, by go ostrzec, a potem zobaczył oczy dziewczyny. Rozpoznał w nich zmęczenie i zdenerwowanie, ponieważ przyglądał się tej twarzy, gdy dziewczyna pielęgnowała go w walce o jego życie jeszcze kilka tygodni temu, gdy razem podróżowali do nieba i do piekła – i w każde miejsce pomiędzy jednym a drugim. Dzisiaj, jak wcześniej, jej piękne rysy wyrażały ostateczny triumf. I Gennaro dotknął ramienia Porphyriusa z ożywieniem.

Mia zdążyła już zejść ze schodów i uśmiechnęła się z trudem i zmęczeniem. Jeszcze nie świtało, ale niewiele czasu do świtu zostało.



– Jest ranek dnia świętej Agnieszki – przemówiła do Porphyriusa łagodnie. – Dokładnie rok temu tu przybyliście. Wiem, że to także urodziny twojego przyjaciela i że nosi on imię od tego miesiąca.

Spojrzała na Gennara. Wiedziała, że odegrała znaczącą rolę w tym, że dożył swoich urodzin po chorobie, która mogła zabrać go do Boga. Podeszła do Porphyriusa i złożyła mu w ramiona maleńkie, zawinięte w płótno dziecko.

– We wczesnych godzinach tego samego dnia, jak chciał los, twoja żona podarowała ci syna, Porphyriusie – ciągnęła. – Mam cię poprosić, Gennaro, byś zechciał być jego ojcem chrzestnym, bo mówi, że innego nie będzie chciała. Ciebie zaś – zwróciła się do przejętego lękiem ojca – prosi, byś zaniósł go do jej łóża i przedstawił syna jej imieniem, które nadacie pierworodnemu.

Sowa jednak ani nie odleciała, ani nie zaspokoila apetytu. Już za kilka godzin Mia połączy tę datę na zawsze z drapieżnym ptakiem i wszystkimi wydarzeniami, które zostały przepowiedziane.

# CZEŚĆ TRZECIA

## 23 CZERWCA 2007 ROKU, PIZA–SAN FRANCISCO

Od snów, z których Maddie nie w pełni zdawała sobie sprawę, ścisnęło jej żołądek i poczuła wokół siebie ruch. Ogólne szuranie, a po nim metaliczne zgrzyty. Przez opary zmęczenia z trudem usiłowała się rozeznaczyć w świecie dziwnie pozbawionym światła.

– Zaczęliśmy wpadać w turbulencje. Pilot włączył znak zapięcia pasów, toalety będą czasowo niedostępne. Proszę wrócić na swoje miejsca i zapiąć pasy. Dziękuję.

Pamiętam, pomyślała Maddie. Umysł zaczął się jej trochę przejaśniać. We śnie siedziała przy fortepianie w niemal ukończonym pokoju muzycznym w Borgo Santo Pietro, palcami powtarzając zapomniane pasażę Beethovena.

Samolot United Airways, w pełni obłożony, zmierzający z Londynu na lotnisko San Francisco International, czekało ją jeszcze siedem godzin lotu. Dopiero wtedy uwolni się od przesadnie uperfumowanego osobnika śpiącego na fotelu obok. Już była dwanaście godzin na nogach, a poprzedniej nocy prawie wcale nie spała. Wszystko od chwili porannego prysznicza było nierealną sekwencją działań i obcych twarzy. Musiała opuścić Borgo z Gorim, by złapać planowy lot z Pizy na Heathrow, jedyny, który mógł jej zapewnić dalsze połączenie. Pomiedzy snami a rzeczywistością zatrzymała cień złych przeczuć względem tego, co ją czekało. Nie miała żadnych punktów odniesienia, na które mogłaby się zdać tu i teraz. Dryfowała.

Poruszyła się, nie otwierając oczu, i złożyła fragmenty powrotu z Volterry przez dziwny księżycowy krajobraz i potem żyzne, oszalałymi wzgórzami Colle Val d'Elsa. Zobaczyła rząd cyprysów stojących na straży podjazdu do domu Jeanette i przypomniała sobie, jak

się kąpała w wannie na lwich łapach, a potem włożyła piękną suknię. Zarzuciła zielonkawoniebieską paszminę i wybrała torebkę z szuflad zabytkowej szarawej garderoby; wzięła kluczyki do mini i pomachała Sørenowi... Tak. Wtedy popełniła błąd. Wsadziła telefon do torebki, zamiast zostawić go w pokoju do naładowania. Dlaczego to zrobiła? Mogła go zostawić i pójść na dół bez niego.

W myślach prześledziła, jak schodzi tymi krętymi schodami, w milczeniu, uśmiechnięta, zaciekawiona, kto będzie na dole. Patrzy w głąb korytarza w stronę kuchni, potem odwraca się i stwierdza, że drzwi pokoju muzycznego są otwarte i zapraszają. Jeanette wstawiła butelkę szampana do wiaderka z lodem, a obok umieściła kieliszki dla nich czworga. Claus brał prysznic po parnym dniu w Sienie, Jeanette się ubierała, Søren gotował, a ona stawiała się pierwsza na drinki.

Mijając wielkie lustro, pomyślała, że wygląda jak plama zielononiebieskich tkanin i ciemnych loków wchodząca w domenę odcieni bursztynu i złota. Minęła stół z napojami i złożyła torebkę wraz z paszminą na jednym z wygodnych krzeseł. Uśmiechnęła się do siebie: „Mam tyle śmiałości?”, i usadowiła przy fortepianie, po czym złożyła dłonie na pokrywie. Sugestywny zapach przywiódł jej na myśl instrument prababci Mimi, teraz stojący u ojca. Podniosła pokrywę i spojrzała na klawisze.

Z uczuciami, których nie umiałyby wyrazić, bardzo powoli wyczarowała z klawiatury grę, potem wróciła z pewniejszym arpeggio. Prawa dłoń powędrowała w znajomą czterodźwiękową frazę kończącą się z nutą staccato. Wydawało się, że jej ręce szukały tej melodii. Stwierdziła, że ma zastępe stawy, i pogimnastykowała palce, po czym z wahaniem zaczęła grać sonatę Beethovena. Znała kilka na pamięć, ale ta była skomplikowana. Powtarzała ją po szkole, bo wymagała skrupulatnego ćwiczenia, poświęcała jej wakacyjne weekendy, aż miała ją wrytą w umysł i dłonie; i nawet kiedy już spełniła wymagania techniczne, pamiętała, z jakim trudem szukała przekonującej interpretacji.

Czy to była część jej snu? Czy naprawdę to się zdarzyło?

Maddie przełożyła głowę na syntetycznej poduszce samolotowej i zobaczyła, że jej palce zaczynają się poruszać pewniej z pierwszymi nutami. Allegretto, d-moll. Czy to było wczoraj, czy rok temu? Jak daleko się cofnęła w tej chwili? Do nacisków nauczyciela, by studiowała muzykę i zapomniała o prawie? I od ilu miesięcy nawet nie podniosła pokrywy swojego pianina? Ale tu, w ten dzień, głębsza potrzeba wzięła górę i jej serce było gdzie indziej. Oczy nie widziały, lecz palce znajdowały klawisze, by odblokować dźwięki, jakby znowu miała siedemnaście lat. Czuła się radosna i spragniona tego zaginionego kawałka siebie, który wydawał się obecny wszędzie dokoła, jeśli tylko zechciała spojrzeć. I tak jak w innych intensywnych chwilach w przeszłości, muzyka zmyła świat szybkimi pasażami, które przechodziły z błogiego piękna do niepokoju.

Gdy już całkiem ucichła, w pokoju pojawił się Søren, jak dziecko wywołane do kuchni, gdy ciastka wyjęto z piekarnika. Umysł Maddie towarzyszył palcom, ale zarejestrowała wyraz jego twarzy. Wyglądał na odprężonego, tak wtedy pomyślała, w świeżych spodniach i wyprasowanej białej koszuli. I ucieszyła się, gdy siadł, nie przeszkadzając jej. Pomyślała, że ta chwila przepelnia go rewerencją.

Zsunęła z oczu opaskę.

Stewardesa, która kręciła się po kabinie, sprawdzając, czy wszyscy pozapinali pasy, zauważyła, że Maddie się obudziła, i zaproponowała jej szklankę wody. Maddie wzięła ją z tacy ze zmęczonym uśmiechem i napiła się trochę, ze wszystkich sił starając się skoncentrować.

– *Der Sturm* – powiedział cicho Søren, gdy wykonała bajeczną skalę chromatyczną, by zakończyć ruch sonaty. Kręcił głową zaskoczony. Niewypowiedziane słowa wydawały się rezonować po pokoju wraz z ostatnimi akordami.

– *Burza?* Tak. Mój ojciec mówi, że była inspirowana sztuką. To jego ulubiona sonata, więc pewnie nauczyłam się od niego.

– Jesteś świetna. Mogę cię przekupić szampanem, żebyś jeszcze

zagrała?

Ruszył się z sofy, ale w ciszy, która zapadła po muzyce, wyraźnie zabrzmiał pikający dźwięk dobiegający z torebki Maddie. Søren się zawahał i podał ją jej.

– To ważne? – zastanowił się. Uśmiechnął się jakby z żalem, czując, że czar prysł. – Możesz to odłożyć?

Maddie spojrzała na wiadomość i pokręciła głową.

– Nie. Lepiej odbiorę – wstała i wyjaśniła: – Muszę zadzwonić. Schłodziś dla mnie kieliszek?

Kiwnął głową, a ona wzięła telefon i ruszyła do wyjścia. Zalała ją fala niepewności. Odwróciła się.

– Jeśli mi trochę zejdzie, poprosisz wszystkich, by zaczęli beze mnie? – spytała. – To może mi zająć pięć minut, a może więcej.

Maddie zastanawiała się, jaka katastrofa mogłaby sprawić, że Samantha, kobieta nieskłonna do przesadnych reakcji, wysłałaby taką wiadomość. Wzięła głęboki oddech, gdy jej myśli odwracały się od Sorena – teraz siedzącego samotnie w pokoju muzycznym – i płynęły do Stanów. I w holu przystanęła. Nie wiedzieć czemu, nie udała się na schody i dalej, do siebie. Nogi zaniósły ją na lewo od pokoju muzycznego, otworzyła masywne drzwi wejściowe i wyszła na ciepły czerwcowy wieczór, kończący najdłuższy dzień w roku. Przecięła podwórze i spojrzała wzdłuż podjazdu ku trawiastemu pagórkowi, na którym stała ławka. Patrzyła na nią kilkanaście razy, ale nigdy nie przystanęła, by rozejrzeć się, jak prezentują się widoki z tego miejsca. Teraz jednak przeszła nad niskim bukszpanowym żywopłotem, który dzielił przestrzeń ogrodu od wysypanych kamyczkami ścieżek, i ruszyła w górę. Nagle wyrosła przed nią ciemna postać.

– Och – westchnęła w przyływie paniki. Ale po chwili zdała sobie sprawę, że to Eleanore, shar pei, którego przodkowie o czarnych wargach od wieków strzegli Zakazanego Miasta przed intruzami i złymi duchami. Pomarszczony pies powąchał, rozpoznał Maddie i podbiegł do niej.

Ona się schyliła i uściskała go. Kilka dni wcześniej Jeanette opowiedziała jej smutną historię Eleanore – dlaczego tak często widziano ją na pagórku, jak siedzi sama w ciągu dnia albo wczesnym wieczorem.

– Balthasar był jej towarzyszem, starszym od niej. Prawie moim dzieckiem, zanim urodziłam Vincenta. Jakiś rok temu próbował ją uratować z utarczki z dzikiem, ale sam odniósł takie obrażenia, że zdechł. Pochowaliśmy go na wzgórzu, bo siedział przy moim boku w każdą niepogodę, gdy wytyczaliśmy wszystkie ogrody i naprawialiśmy każdy mur. Eleanore bardzo rozpaczała i myślałam, że serce jej pęknie. Całymi miesiącami nie chciała się ruszyć z miejsca, w którym go zostawiliśmy, ale ostatecznie trochę się jej poprawiło i dołączyła do nas. Myślałam, że jeśli sobie z tym poradzi, to już ze wszystkim. Ale – dodała smętnie – jeszcze teraz, gdy coś ją martwi, wraca w to miejsce i siedzi tam sama godzinami. Myślę, że bardzo mało wiemy o uczuciach zwierząt.

Teraz Eleanore wspięła się na wzgórze wraz z Maddie i przysiadła obok ławki, na której z kolei usiadła Maddie. Położyła dłoń na piaskowym łbie zwierzaka.

– Masz swoje zmartwienia? – spytała. – Czy przyszłaś tu dla mnie?

Eleanore odwróciła łeb, by spojrzeć na Maddie, i obie siedziały razem jakiś czas, słuchając sowy gdzieś w gałęziach drzew i patrząc na światła Chiusdino migoczące w oddali.

– Cóż, bardzo mi miło, że mi towarzyszysz, bez względu na przyczyny – wyznała Maddie psu, patrząc na esemes i ponownie czytając go uważnie.

Mamy problem, zapewne bardzo poważny. Wszyscy uważamy, że jesteś najlepiej przygotowana do jego rozwiązania – jeśli to w ogóle możliwe. Liczy się czas. Jak szybko mogłabyś wrócić? Zadzwoń do mnie, gdy tylko dostaniesz wiadomość, bez względu na porę. Musimy pilnie porozmawiać. Dziękuję, Samantha.

Poniżej widniał numer domowy Samantha, ponieważ latem często pracowała w domu w piątkowe popołudnie. Maddie wystukała cyfry i czekała na połączenie. Usłyszała amerykańskie dźwięki zestawienia

i niemal od razu głos Samantha. „Halo” było energiczne i Maddie zrozumiała, że szefowa czekała na jej telefon, i spięła się.

– Nasi powodowie się wycofują. Bez żadnego wyjaśnienia! Mamy w tym tygodniu ponad dwadzieścia rozmów, jedną z twoją dziewczyną w Jose, i wszyscy chcą zrezygnować ze sprawy. Pytanie: dlaczego. Nikt z nami nie chce o tym rozmawiać, Maddie. Wszyscy się czegoś boją. Możesz przełamać tę znowę milczenia, jak sądzisz?

W umyśle Maddie zawirowało kilkanaście szybkich pomysłów: przekupstwo, ugoda. Ale może działo się coś groźniejszego.

– Przyjadę – powiedziała po prostu.

– Wiedziałam.

Potem nastąpiło szybkie zapewnienie, że Jacinta zajmie się lotem, połączeniami i ewentualnymi dodatkowymi opłatami. Maddie miała pilnować telefonu i maili, wypatrując pełnego planu podróży w ciągu kilku godzin.

– Obdzwoni wszystkie możliwe linie, jeśli będzie trzeba – powiedziała Samantha sarkastycznie. – To część jej kary za przyłapanie z panem Hugo. Chyba o tym słyszałaś? W tej chwili żadna liczba nadgodzin jej nie przerasta – zaśmiała się – więc sprawdzaj przesyłki w ciągu nocy. Spróbuj cię wypchnąć jutro wczesnym rankiem twojego czasu.

Maddie złożyła telefon, kończąc rozmowę, a Eleanore odwróciła do niej łeb, patrząc pytająco.

– Panie i panowie, znak zapięcia pasów został wyłączony. Mogą się państwo poruszać po kabinie, my wkrótce przejdziemy z napojami, a następnie podamy posiłek.

Maddie zirytowana naciągnęła maskę z powrotem na oczy w nadziei, że jednak zaśnie ponownie. Musiała dochodzić ósma wieczorem czasu brytyjskiego, chociaż opuścili lotnisko przed paroma godzinami, i gdzie byli teraz, przez którą strefę czasową właśnie przelatywali – niewiele ją interesowało. Nie chciała jedzenia. Nie chciała wyjeżdżać z Borgo, w każdym razie nie w tamtej chwili, gdy nadszedł esemes Samantha. Nie



była gotowa, ale nie protestowała. Czuła się emocjonalnie rozdarta pomiędzy dwoma światami.

Pamiętała, że siedziała długo na pagórku, patrząc, jak rogalik księżycyca wspina się po niebie, które jeszcze nie pociemniało. Księżyc miał kształt hamaka, jak mawiał jej ojciec, kiedy była mała: możesz sobie wyobrazić, że drzemie tam sobie człowiek, ręce ma założone pod głowę, jedna noga mu zwisa, i przygląda się Ziemi ze swojego dogodnego punktu obserwacyjnego. Nagle, gdy jej myśli sprawiły, że mimowolnie zaczęła się uśmiechać, Eleanore się poruszyła. Z mroku wyłoniła się postać Sørena, który niósł jej paszminę i dwa kieliszki. Podszedł bez słowa, owinął ją szalem i siadł obok niej na ławce.

– Długo cię nie ma – powiedział po chwili, patrząc na Chiusdino z Maddie i psem. Poczuł, jak ona dygocze w chłodnym powietrzu, i swobodnie objął ją ramieniem. – Pomyślałem, że się z tego ucieszysz – i podał jej szampana.

Maddie przyjęła kieliszek i powoli przechyliła głowę na prawo, aż oparła się o jego ramię. Odczekała chwilę, nim mu powiedziała:

– Muszę wracać. Moi ludzie mnie potrzebują.

– Tak właśnie myśleliśmy, że to coś takiego. Będziemy tęsknić – rzekł łagodnie.

– Coś się dzieje w naszej sprawie i szefowa uważa, że zdołam pomóc. Jeszcze nie jestem gotowa do wyjazdu, Søren. Ale powiedziałam, że przyjadę.

– Nie musisz się tłumaczyć, Maddie – zapewnił ją.

– Ponieważ Samantha uważa, że ludzie, których reprezentujemy, zechcą rozmawiać ze mną i wyjaśnią mi, dlaczego nagle zwątpili w sens składania pozwu – dodała, jakby go nie słyszała albo jakby musiała to powiedzieć.

Søren spojrział na nią, opierającą głowę o niego; i nawet pod tak dziwnym kątem w słabym świetle widziała jego uśmiech. Pomyślała, że wie, co to znaczy – że ktoś gdzieś bardzo ciężko pracował, by podkopać ich

pewność w zasadność sprawy, i że ten ktoś zwyciężył.

Eleanore położyła łeb na kolanach Maddie, a Søren wyciągnął rękę i potargał sukę za uszy.

– Chcesz wierzyć, że ten człowiek, ich szef, ma jakąś elementarną dobroć, jakąś prawość. Ale niewykluczone, że jej nie ma.

– Pod moją nieobecność miał wolną drogę – odparła niemal gorzko – i myślę, że pograł naszymi klientami przeciwko nam. Zgadzam się, to nie jest człowiek moralny, wbrew temu, o czym próbuje mnie przekonać. A ja jestem idiotką. Miałam nadzieję, że stać go na honorowe zachowanie – zakończyła bezbarwnym tonem.

– Sami wybieramy, w co wierzyć, Maddie. I pozostajemy głusi na sprzeczności.

Czekała, czując, że jego umysł pracuje nad czymś jeszcze, i rzeczywiście, po chwili Søren dodał:

– Wiesz – jego ton odrobinę się zmienił – mieszkałem kiedyś z kobietą, która w moim przekonaniu była ciepła, mądra i piękna. Ale ostatecznie okazało się, że jest zainteresowana tylko pięknymi rzeczami, które można kupić. Zakochała się w mężczyźnie, o którym sądziła, że zostanie architektem w korporacji, będzie przyjmował najbardziej intratne zlecenia i zapewni jej szykowny dom w Londynie, gdzieś w zasięgu kodu SW3. Ale zawiodłem ją pod tym względem i kupiłem magazyn o mało obiecującym wyglądzie w Southwark. Chciałem przygody, jazdy bez trzymanki. Zrozumieliśmy, że bardzo się różnimy i nie możemy się uszczęśliwić.

Maddie podniosła głowę i przyjrzała mu się. Pomyślała, że w tym zgrabnym opisie może być ślad głębszej rany.

– Co się z nią stało? – spytała cicho.

– Och. – Uśmiechnął się. – Pracuje w City. Skończyła architekturę, ale kupuje kontrakty terminowe. Dostanie to, czego pragnie, a ja szczerze jej tego życzę.

– Tęsknisz za nią?

– Nie. Już nie. – Spojrzał w twarz Maddie i uśmiechnął się. – Pójdiesz

coś zjeść? Zrobiłem dobrą kolację i czekaliśmy na ciebie.

– Tak, klopsiki. – Maddie zdołała się roześmiać, wiedząc, że Søren zadał sobie o wiele więcej trudu. – Nie, no żartuję i dzięki za wszystkie uprzejmości. Ale nagle się okazuje, że muszę mnóstwo załatwić, żeby jutro rano wyjechać. Przepraszam kucharza w moim imieniu?

– Nie – odrzekł pogodnie. – Podwieźć cię do Pizy?

Ale Maddie nie chciała teraz o tym myśleć.

– Pożegnania na lotnisku to nie moja specjalność – odparła. Nie kłamała. Miała ich o jedno za dużo z Christopherem i na myśl o kolejnym oblatywał ją strach.

Wstała, by rozprostować nogi, obejrzała się na podjazd.

– Jeśli nasi klienci chcą zrezygnować z pozwu i podpisać ugody, pewnie za psi grosz, to co mogę zrobić, by zmienili zdanie? – Prawie myślała na głos. – Łudziłam się, że istnieją jakieś słowa, którymi przekonałabym Pierce'a, jak bardzo oni cierpią. Ale teraz rozumiem, że on by mnie nawet nie wysłuchał.

Søren wstał i przysunął się do niej. Wziął ją za rękę, zimną w dotyku, i zakrył ją swoją, cieplejszą.

– Pamiętaj, co powiedział Boccaccio, Maddie – mówił ze spokojną pewnością siebie. – Bardziej niż cokolwiek innego język ma moc zmienić bieg wydarzeń.

Stała twarzą do niego pod granatowym niebem. Delikatnie wysunęła dłoń, przyciągnęła jego głowę do swojej i pocałowała go. Czuł słodycz i przyprawy – coś jak pieprz i maliny, jakby użył ich w kuchni – a ona przedłużała pocałunek, rozkoszując się jego delikatnością. Dzieliło ich pół oddechu od absolutnej namiętności i zdała sobie sprawę, że ten moment wisi między nimi. Wystarczyłoby, żeby któreś z nich wykonało drobny, decydujący ruch. Søren już miał coś powiedzieć, ale ona się odezwała pierwsza.

– Spotkamy się, a do tego czasu masz przyjaciela w San Francisco.

Było późno, chociaż ciągle nadal nie do końca się ściemniło, i Søren na

powrót ujął jej dłoń. Lekkim krokiem podążyli ku willi, a Eleanore truchtała za nimi.

## 30

23–24 CZERWCA 2007 ROKU,  
SAN FRANCISCO I SAN JOSE

Zerknąwszy na niedawno przestawiony zegarek, Maddie dowiedziała się, że właśnie minęła piąta po południu czasu miejscowego, i dalej przesuwała się powoli w bezładnej kolejce do kontroli paszportowej.

Dostrzegła Barbarę – a raczej nie dała rady jej przeoczyć – machając energicznie, z wypełnionym helem balonem przywiązany do nadgarstka i jakimiś kwiatami w objęciach.

– Wyjechałam tylko na kilka tygodni – powiedziała Maddie trochę zakłopotana, gdy witały się uściskiem.

Barbara przejęła kontrolę nad wózkiem bagażowym, a siostrze dała do trzymania balonik.

– Tak, ale tęskniłam za tobą – odparła zgodnie z prawdą. Pospiesznie otaksowała ją wzrokiem i zauważyła, że przybrała nieco na wadze. – Wyglądasz świetnie! Myślałam, że się wynudzisz, skoro nie będziesz w mieście. Czy to kuchnia toskańska, czy jakiś inny powód?

Maddie uśmiechnęła się i westchnęła głęboko w sposób, który mógł sugerować wyczerpanie, ale też coś bardziej zagadkowego. Barbara nie umiała określić co.

– Nie, ani trochę się nie nudziłam. Było słońce, basen i fototapeta malowana przez bogów. Nadzwyczajnie – odpowiedziała z powagą. – U Jeanette jest jak w raju. Ale teraz jestem tak zmęczona, że nie mogę myśleć. Opowiem ci wszystko, jak odpocznę, dobra? Muszę jutro pracować, więc możesz mnie po prostu zawieźć do domu?

– Musisz pracować w niedzielę? – spytała Barbara.

Maddie kiwnęła głową.

– To połowa powodu nieplanowanego powrotu: pojechać w weekend do

Jose.

– Rany. Mama będzie rozczarowana. Już zaczęła ci coś gotować. – Barbara spojrzała na siostrę i uśmiechnęła się ironicznie, rozumiejąc, że może odczuć ulgę, iż oszczędzony jej będzie niedzielny lunch. – W każdym razie lepiej, żebyś spać poszła jak najpóźniej, a jak najdłużej wytrzymała na nogach.

Wyszły z terminalu i załadowały bagaże do nissana Barbary. Barbara ruszyła w kierunku miasta.

– Jak tam wszyscy? – Maddie odnosiła wrażenie, że nie było jej o wiele dłużej niż w rzeczywistości i że oddaliła się od tutejszego życia.

– Bez zmian. Te same zwyczaje, i ja to lubię. Ale u ciebie coś się chyba zmieniło. Wydajesz się inna, w pozytywnym znaczeniu. Jaka szkoda, że musiałaś wcześniej wyjechać.

Maddie kiwała głową w nieco przesadny sposób. Czuła, że powinna się cieszyć końcem późnej kolacji w loggii wychodzącej na Valle Serena.

– Wiem. Jest problem z częścią naszych klientów, którzy wycofują się z tego wielkiego pozwu. Samantha uważa, że ja się dowiem dlaczego.

Śmiech Barbary zawierał nutkę ironii.

– Czy aby na pewno pan Gray nie ma z tym nic wspólnego?

– Też tak uważam – odparła Maddie. – Ale nie będę wiedziała, dopóki nie porozmawiam z paroma osobami. Na pewno stoi za tym Stormtree.

Maddie spojrzała na siostrę, nagle przypomniałszy sobie o pytaniu, które nękało ją od tygodni.

– Ten etruski przedmiot, którego źródło miałaś znaleźć, Bee. Czy to było dla niego, dla Pierce'a?

Barbara przytaknęła trochę nerwowo. Nawet siostrze nie powinna ujawniać takich szczegółów. Ale ciekawiło ją, jak Maddie na to wpadła, i spytała o to.

– Możesz mi powiedzieć, co dla niego wyszukałaś? Bo podczas wyjazdu znalazłam kilka cudownych etruskich dzieł sztuki i zainteresowały mnie.

– Maddie nie miała pojęcia, dlaczego nie chce powiedzieć Barbarze

o prezencie.

– Nie powinnam. – Barbara uniosła brwi. – Ale spodoba ci się ten żart. Załatwiłam mu monetę z głową Janusa, pochodzącą mniej więcej z drugiego wieku przed naszą erą, cudownie zachowaną. Nie mogłam się oprzeć pokusie znalezienia przedmiotu z taką idealną symboliką.

Maddie pytająco przechyliła głowę.

– Bóg początku i końca?

– Och – odparła Barbara – nie, tego nie wiedziałam. Mnie ubawiło, że on ma dwa oblicza.

Maddie tylko kiwnęła głową.

– Wybierał się do Włoch w przyszłym tygodniu – ciągnęła Barbara – odwiedzić wytwórnię win w Chianti. Nagle się okazało, że nie mówi o niczym innym, tylko brunello i brunello, na każdym spotkaniu. Ale potem usłyszałam, że zmienił zdanie i odwołał wszystko. On jest nie tylko dwulicowy. On jest schizofreniczny.

– Nie jedzie? – Ale powstrzymała się od dalszych refleksji. Nie chciała wyjaśniać, dlaczego zna jego plany, wie o Lukce i o operze. Chciała – nie wiedzieć czemu – zachować pewien poziom tajemnicy, jeśli chodzi o Pierce'a. – Samantha też wspominała, że go nie będzie – dodała w próbie zatarcia śladów.

– Cóż – powiedziała Barbara tonem zwykle używanym do rozmów o Piersie Grayu – może zapewniał sobie alibi, na wypadek gdyby był podejrzany o jakiegokolwiek machinacje przy twoich klientach. Lepiej nie przebywać w mieście i udawać niezorientowanego?

– Niewykluczone – odparła Maddie. Jej siostra jak zawsze okazała się najwnikliwszym sędzią charakterów. Ale nie chciała już rozmawiać o Piersie. Myślami powędrowała do wieczoru w Borgo, pod doskonałym rozgwieżdżonym niebem, z migającymi światłami średniowiecznego Chiusdino. I – pomyślała teraz samotnie – dzisiaj pewnie rozmowa się toczy po duńsku. Odplłynawszy myślami, zadała pytanie, które Barbarze wydało się bez związku z rozmową.

– Wiedziałaś, że przyjaciółka *nonny* w ogóle nie jest Włoszką? – spytała zmęczonym głosem.

Siostra spojrzała na nią nie do końca pewna, co ona mówi, i potrząsnęła głową.

– Jest Dunką – podjęła Maddie. – Oni wszyscy są Duńczykami. I są cudowni.

Cokolwiek mówiły przez resztę drogi, Maddie wciąż myślała o tym kilka godzin później, gdy ładowała pranie do pralki i wciskała guzik, a potem z kawą w ręku siadła na balkonie. Wszystkie jej roś liny były w doskonałej kondycji. *Nonna* Isabella, pomyślała sobie, i pobłogosławiła ją w myślach za wielkie serce.

– Tak, myślę, że może mnie ocaliłaś – wyszeptała, patrząc ponad miastem na wczesne światło – nakłaniając mnie, bym została pielgrzymem. I tego nigdy bym się nie spodziewała.

W niedzielny poranek słońce wzeszło o 5.45, a Maddie – wciąż żyjąc w dziurze czasowej – była na nogach już po chwili. Barbara załadowała siostrze lodówkę jakimiś nadzwyczajnymi skarbami, więc Maddie uraczyła się świeżym owocowym smoothie i wyniosła go sobie na balkon. Wyrzała w stronę morza. Powietrze pachniało słono i wiedziała, że będzie to piękny dzień, może gorący.

Na porannym niebie nad głową dostrzegła dwa urubu różowogłowe, które wznosiły się na zachód od niej. Musiały wybrać się tu z Presidio, szukając śniadania. Zachwyciła się, jak pięknie wyglądają w locie wielkie ptaki. Na ziemi prezentowały się dość posepnie w swoim ciemnobrązowym czy niemal czarnym upierzeniu. Ich łyse głowy i czerwone twarze z wielkim podbródkiem były zakończone krótkim haczykowatym dziobem w kolorze kości słoniowej, a całościowy efekt był przerażający. Zawsze szukały padliny. Uśmiechnęła się pod nosem i zastanowiła, jaka to wróżba. Patrzyła, jak ptaki krążą i szybują lekko po niebie, niemal nie ruszając skrzydłami. Chciałaby, żeby naprawdę dało się odczytać przyszłość ze wzorów kreślonych przez nie na niebie.



Już całkiem dobudzona, zaczęła się porządnie rozpakowywać i zajmować jakimiś obowiązkami domowymi, przekładając nocne pranie do suszarki i nastawiając kolejne. Ustawiała Vaio na stacji dokującej i wysłała Jeanette mail, że dotarła bez problemu, i przeprasząc raz jeszcze, że wyjechała, nie dotrzymawszy obietnicy zabrania ich wszystkich na kolację do La Suvery, luksusowego hotelu z restauracją, niegdysiejszej rezydencji papieskiej, odległej od Borgo o parę mil. „Przyjadę choćby po to” – napisała, już tęskniąc za nimi wszystkimi. I zakarbowała w pamięci, by nazajutrz, gdy tylko Jimena otworzy, wysłać nowej przyjaciółce kwiaty.

Przegrała zdjęcia z podróży, głównie przedstawiające Borgo, a zwłaszcza jej piękny pokój pielgrzyma, i tę fotografię ustawiła sobie jako tapetę. Chciała przypomnienia nie tylko o swoim spokoju, ale też poczucia proporcji, które tam pochwyciła. Zaznała tam tylu nastrojów – cichych świtów, radosnych południ i rozmarzonych zachodów słońca – pogrążona w rozmyślaniach o swojej stracie i głębokim smutku. Niezliczeni goście przez długie wieki przywozili swoje troski do willi. Przywozili też swoje nadzieje i wiarę w szansę na cud. Zazdrościła im, ale czuła też, że czegoś się od nich nauczyła.

Sprawdziła ostatni mail od Jacinty, żeby poznać swój plan na niedzielę i dowiedzieć się, co ją czeka w przyszłym tygodniu. Oczywiście znalazła długi załącznik wymieniający wszystkich wątpiących powodów – tych, którzy zrezygnowali z pozwu, tych, którzy się wykręcali – wraz z ich adresami. Jacinta dodała, że dzwoniła do Marilu i Nevy, tak jak ją Maddie prosiła, i że one jej oczekują gdzieś pomiędzy dziesiątą rano a dwunastą. Maddie uśmiechnęła się na myśl o wielogodzinnej pracy Jacinty, która niemal ją zrehabilitowała za uchybienie w doborze towarzysza na lunch.

Marilu i Neva będą rzeczywiście świetnym punktem wyjścia, by się dowiedzieć, co tak wystraszyło tylu ich klientów. Wydawało się prawie niemożliwe, żeby Marilu bez powodu zrezygnowała z walki ze Stormtree. To gniew na nich utrzymywał ją przy życiu. Ale Neva... to martwiło Maddie. Naprawdę myślała o rezygnacji z pozwu? Wytrwałość Nevy była

skierowana przeciwko Stormtree z pragnienia dojścia sprawiedliwości i zapewnienia bytu synowi, gdyby wymagał dłuższego leczenia. Obiecała Maddie, że nie umrze, dopóki nie zobaczy, jak sprawa trafia do sądu. Czy to ktokolwiek mógł podkopać?

Z tymi myślami udała się pod prysznic i około dziewiątej przekręcała kluczyk w drzwiach swojego cougara. Pokryty był solą i odchodami mew, ale tym razem nie szukała w tym znaku. Poczowała natomiast ulgę, że silnik od razu zaskoczył. Postanowiła, że przejedzie przez myjnię, zanim ruszy na południe autostradą do San Jose, i zaczęła szukać w torbie ciemnych okularów. Gdy odpięła futerał, wyskoczył numer komórki Sorena – zapisany tamtego dnia spędzonego w Sienie – i uśmiechnęła się, ostrożnie umieszczając go z powrotem. Wyobrażała go sobie w tej chwili w ogrodzie Jeanette, ze szkicownikami i taśmami mierniczymi, ale jutro z Clausem ruszy w drogę powrotną do Londynu. Tęskniła za czymś, za byciem tam ze wszystkimi. Zapięła pas i odbiła od stromego krawężnika.

– No to po wakacjach – powiedziała na głos do lusterka wstecznego – a teraz masz ważną robotę do wykonania.

Radio samochodowe dostarczyło jej tyłu lokalnych wiadomości, że poczuła się na bieżąco i szybko dotarła do drogi na lotnisko, która biegła na lewo od niej. Myśli o wypadzie z Pierce'em do Seattle wdarły się w te o milszych chwilach i sprawiły, że poczuła rozgoryczenie i irytację. Nagle zaczęła się bać tego, co miała odkryć w San Jose, ale dojechała tam na tyle szybko, że niepokój nie zaburzył jej dobrego nastroju. Zajechała prosto pod dom Marilu, gdzie czekała na nią otwarta brama. Ze względu na wczesną niedzielą porę cicho zamknęła samochód i zauważyła gospodynię, która wyszła po nią na ganek. Maddie zauważyła, że włosy jej się przerzedziły – znak wznowionej chemioterapii.

Gospodyni ze swej strony sprawiała wrażenie zaskoczonej widokiem młodej kobiety podążającej ku niej w niebieskawobiałych dżinsach i jasnożółtym topie, który podkreślał jej lekką opaleniznę. Taką Madeline Moretti pamiętała z pierwszego spotkania, nie taką, która ostatnio gościła

u niej w domu. Z radością podzieliła się z gościem tą myślą.

– *Hola, Madeline. Qué tal!*

– *Mejor que antes* – odpowiedziała: lepiej niż ostatnio.

– Tak, to widzę. – Marilu ucałowała Maddie w policzki i wyciągnęła ramię, zapraszając ją do domu. – Tak się cieszę, że dobrze pani wygląda, i silniej, bo potrzebujemy pani siły.

– Nadal jest pani gotowa do walki? – spytała Maddie, częściowo, by zachęcić ją do rozmowy, lecz jednocześnie świadoma, że kobieta może się czuć zmęczona i w ogóle nie najlepiej.

Ale zadziorna starsza pani kiwnęła głową i zamknęła siatkowe drzwi za gościem.

– No, mam nadzieję, że tak. Ale strategia się zmieniała.

Marilu wskazała piękną orchideę w kolorze szampana, stojącą na stole. Podziękowała Maddie za prezent, a ta przypomniała sobie, że to najpewniej wybrany przez Jimenę czerwcowy bukiet od Pierce'a. Piękna długa łądyga najwyraźniej ucieszyła Marilu i Maddie uznała, że w pewnym sensie to dobry znak – lepiej wykorzystać zasoby Pierce'a, aczkolwiek on sam był nieświadom swej szczodrości.

Dzisiaj Marilu podała Maddie coś zimnego do picia, a nie kawę, po czym zrelacjonowała wydarzenia sprzed czterech dni.

– Właśnie kończyłam myć włosy, panno Madeline, gdy usłyszałam, że pod bramę ktoś podjeżdża. Wybierałam się na wizytę do szpitala, ale wyjrzałam przez okno. Samochodu nie rozpoznałam, więc od razu się zdenerwowałam.

Zobaczyłam mężczyznę, niezbyt wysokiego, i takiego trochę rudego, i z włosów, i ze skóry. Miał na sobie lekki garnitur, ale nie radził sobie dobrze w upale – tak od razu pomyślałam. Wysiadł z ciasnego czarnego porsche i ruszył otwierać moją bramę, pomyślałam wtedy, że ten wóz jest wart więcej niż mój dom. Wyglądał na niezłego pozera, gdy tak podsunął okulary przeciwsłoneczne na głowę i popatrzył na dom.

Maddie to zaskoczyło. Zdecydowanie ten opis nie pasował do Pierce'a;

ale kolor włosów podsunął jej pewną koncepcję.

– Wyjął z kieszonki chusteczkę – ciągnęła Marilu – i otarł czoło. No, panno Madeline, temperatura na dworze wynosiła jakieś dwadzieścia siedem stopni, chociaż nie było jeszcze wpół do dziewiątej. Pomyślałam, że ten człowiek nie czuje się dobrze w Kalifornii. Musiał niedawno przyjechać z jakiegoś chłodniejszego miejsca.

Maddie kiwnęła głową, zdradzając ubawienie.

– Patrzyłam, jak odchyła oparcie fotela kierowcy i wyciąga bardzo chudą aktówkę. Potem zamknął drzwi, głośno trzaskając zamkami i piskając alarmem, i znowu ruszył do mojej bramy. Widziałam, że ma wielki drogi zegarek ze złotą bransoletą i pierścień bractwa na palcu, próbował sobie poradzić ze starym zamkiem mojej bramy, jednak pomimo całego tego bogactwa nie wiedział, jak działają takie bramy jak moja. Ale z pieniędzmi się obnosił, rozumie pani.

Maddie spodobał się obrazek z mężczyzną, który nie może sforsować bramy. Pomyślała, że wie, kto to jest, i ubawiło ją, że Janus tego dnia nie stanął po jego stronie.

– Przyszło mi do głowy słowo *yanqui*, jankes. To ktoś z innej części kraju, ale i tak dumny obywatel Stanów Zjednoczonych! Moi przyjaciele pochodzą zewsząd, Madeline, mają wszystkie kolory skóry i wyznają wszystkie religie, a ja się z nimi dogaduję. Ale umiem też osądzić charakter. Do niego od razu się zraziłam. Bardziej pasowało do niego określenie *gringo*. Wie pani, to, co to znaczy dla nas, nie jest zbyt miłe – arogancki biały Anglik, który czegoś chce. Madeline, wyszłam na ganek i zamknęłam za sobą drzwi. Ten człowiek ściągnął okulary z czoła, tak żebym nie widziała jego oczu. „Maria Luisa!” – zaczął. Nie pytał, panno Maddie. „Señora Moreno” – poprawiłam go. I podeszłam do żelaznej bramy z kluczem do zamka, ale nie otworzyłam jej.

– Zaraz przyjedzie po mnie kolega, żeby zawieźć mnie do szpitala – powiedziałam do niego bardzo grzecznie. – Czym mogę służyć?

Wtedy on do mnie ruszył z całą przemową, panno Madeline.

„Reprezentuję Stormtree Components i chcemy z panią porozmawiać. Mamy problemy finansowe i rozważamy wycofanie bieżącej pomocy materialnej dla pracowników, którzy są zaangażowani w spór prawny z naszą firmą”.

– O Boże – wyszeptała Maddie.

– Zatkano mnie, Madeline. Po prostu otworzyłam bramę, wyszłam na ścieżkę i spojrzałam mu w okulary. Czułam te oczy za ciemnymi szklami, niemal uśmiechające się z wyższością. Wyczułam mężczyznę za tymi szklami, słabego, spoconego. *No tiene corazon* – pomyślałam. On nie ma serca. Ale uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że tylko samochód i garnitur różnią go ode mnie, ale ten *hombre* chciał o tym zapomnieć. Jakies dwa pokolenia temu jego przodkowie musieli tępić szczury w wynajętym mieszkaniu gdzieś na obczyźnie.

Ale zgodnie z surowym prawem przetrwania, señorita Maddie, jeśli jego przodkowie jakoś znaleźli wolę i pieniądze, żeby wsiąść na łódkę i dotrzeć do Ameryki, to należy się im szacunek. I jego rodzina musiała znaleźć sposób, żeby dać mu wykształcenie. Ale ja też chcę pomóc swojej rodzinie. I poczułam, że ten człowiek mnie w tym nie wyręczy. Bez względu na to, ile stracą inni, on nie odpuści. I przez chwilę prawie mi się go żal zrobiło. Tak sobie myślę, że nie mieć duszy to chyba najgorsza rzecz w życiu.

– Tak, Marilu. – Maddie kiwnęła głową. Uśmiechnęła się do gospodyni.

– Powiedział coś jeszcze czy tylko o tym wycofaniu funduszu zdrowotnego?

– *Si, Maddie*. Nie certolił się: „Jeśli wycofa pani skargę, firma nie będzie musiała tego robić” – tak powiedział. „Nadal będziemy wspierać pani udział własny w ubezpieczeniu oraz inne wydatki”.

– Muszę zajrzeć do ich zobowiązań, Marilu – powiedziała Maddie, w której walczyły gniew i silny sentyment do tej kobiety. – Bardzo bym się zdziwiła, gdyby ta groźba była realna. Gdyby naprawdę mogli się wycofać z pokrycia pani rachunków za leczenie.

– Rozumiem, Madeline. Ale to jest bardzo przerażające dla mnie,

pewnie dla wszystkich. Wiem, że to jak gra w pokera, a pani nic nie mówi ludziom, z którymi walczy, ale powiem pani, że serce mi stanęło. Uśmiech zamarł mi na twarzy. Na szczęście buick mojego kolegi zajechał właśnie i zatrafił, więc powiedziałam mu: „Jest mój kierowca”. Potem zastanowiłam się szybko i spytałam: „Ma pan wizytówkę, señor?”.

„Tak, proszę pani!” – on na to i przeleciał przez portfel, żeby mi jedną dać. I dodał, żebym zadzwoniła, jak tylko będę mogła. Kiwnęłam mu głową, Madeline, ale pobiegłam do samochodu kolegi i kiedy otworzyłam drzwi, powiedziałam tylko: *Hijo de la chingada Madre*. Siadłam i przeżegnałam się. „Właśnie spotkałam diabła” – powiedziałam. A potem wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam do pani, señorita Maddie. Ale co ja mam zrobić? – ciągnęła Marilu. Wstała i przeszła przez pokój. – To było trzy dni temu, a ja do niego nie zadzwoniłam. Chcę mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale jestem pewna, że i u diabła sobie wykupi wygody, a mnie nie stać na rachunki za leczenie.

Marilu wzięła wizytówkę z kąta lustra i podała ją Maddie. Słowa na kartoniku nie zdumiały dziewczyny: „Gordon J. Hugo. Adwokat”.

– Pani opis nie pozostawił mi wątpliwości. – Uśmiechnęła się ponuro. – W każdym razie teraz mam pewność. Chciałabym to zatrzymać, mogę? I zadzwonię do pani jutro z biura, jak zdołam sprawdzić realność tych ich gróźb.

Maddie uściskała Marilu i wyszła na ganek.

– Niech się pani jeszcze nie martwi – powiedziała. – Na pewno nie są w stanie działać tak szybko, a i tak sądzę, że to tylko straszenie. Myślę, że się wypłoszyli.

– Wytrwam, señorita Maddie. – Marilu próbowała się uśmiechnąć. – Ale niech pani zadzwoni, jak będzie pewna naszej pozycji.

Trzy dni wcześniej na korytarzach Mater Misericordiae Hospital niosły się kroki Gordona Hugo. Znał to miejsce na długo przedtem, zanim Stormtree zaangażowało jego firmę. Jako młody prawnik Hugo wyszukiwał ofiary wypadków i inne, żeby sprawdzić, ile można na tym

zarobić. On sam nie miał z tego wiele pożytku, ponieważ chciał wielkich pieniędzy i wyższego statusu. Ale jego dyplom z niewielkiego środkowozachodniego uniwersytetu nie dawał mu zbyt wielu punktów w wyścigu o posadę w uznanych kancelariach Wschodniego Wybrzeża. Z tego powodu ruszył na zachód od razu po szkole i wszedł w interes z kolesiem z bractwa, którego ojciec był sędzią. Ustosunkowani przyjaciele rodziny Dwighta wyznaczali im kierunek, a oni ciężko pracowali. Po latach trudów głośna wygrana dla małej firmy ubezpieczeniowej sprawiła, że krzywa finansów kancelarii ruszyła ostro w górę, a zwieńczenie tego stanowiło wielomilionowe wynagrodzenie od Stormtree.

Gordon Hugo lubił Pierce'a Graya. Podziwiał jego śmiałość, naśladował styl. Uważał go za otwartego i pionierskiego – i wiedział, że Gray zawsze chce wygrać. Zdaniem Hugo to było w nim szczere, ponieważ każdy chce wygrać, a ci, którzy twierdzą inaczej, oszukują się po prostu. W Waszyngtonie i w Maine, i Massachusetts Stormtree oczywiście korzystało z usług zasłużonych kancelarii z ich WASP-owymi sieciami lobbystów i kontaktów. Ale tu, w Kalifornii, gdzie sprawy można było załatwiać inaczej, styl działania Hugo doskonale odpowiadał firmie Stormtree.

Wiedział, że firma założona przez ojca Pierce'a w latach osiemdziesiątych ledwie przetrwała upadek dot-comów i młody Gray przejął ją od ojca na początku lat dziewięćdziesiątych. Pierce jednak parł do przodu. Dobrze przewidywał przyszłe trendy na rynku i firma rozwijała się szybko. Teraz, gdy Pierce odziedziczył po dziadku posiadłość w Napa, zdobywał coraz więcej funduszy do inwestowania w winiarstwo. Po co wszystko robić samemu? – spytał Hugo. Kancelaria Hugo mogła odwalać za niego czarną robotę, a on by miał więcej czasu dla swoich winorośli.

Strategia, którą Dwight i Gordon opracowali dla Stormtree, była cynicznie prosta, ale zaskakująco skuteczna. Opóźniać, opóźniać i jeszcze raz opóźniać. Do tego czasu a nuż większość problemów zniknie albo wrażliwi przeciwnicy upadną na duchu, albo skończą im się finanse na

walkę. Hugo nie docenił jednak wytrwałości kancelarii Harden Hammond Cohen. Ponieważ coraz częściej wyglądało na to, że dojdzie do przesłuchań, należało wdrożyć plan awaryjny i nacisnąć przeciwnika jak najmocniej, by zredukować liczbę roszczeń. W ten sposób, jeśli jakiś dowód sprawi, że sytuacja stanie się naprawdę niewygodna dla Stormtree, pewnie będą mogli sobie pozwolić na ugodę w ostatniej chwili. Zwycięstwo byłoby świetne, ale dobry interes zawsze jest lepszy.

Ta Moreno to była łatwizna, pomyślał Hugo pewien, że lada dzień ją usłyszy. Nie zamierzała tracić domu na rzecz kilku rachunków za leczenie i była na tyle bystra, by zrozumieć, o co chodzi. Pozytywnie załatwił już pięć spraw, a teraz czekała go rozprawa z tą Walker. Miał poczucie, że tu będzie trudniej. W końcu ona nie miała w perspektywie długiej hospitalizacji, a wiedział, że ma dziecko, dla którego walczy. Może się nie ugiąć.

Mniej więcej o wpół do dwunastej w niedzielę twarz Nevy rozjaśniła się, gdy Maddie weszła do jej pokoju. Po bokach łóżka siedzieli Aguila i Wyman Walker, a Maddie uśmiechnęła się do nich wszystkich, udając, że nie zauważa straszliwego siniaka na ramieniu chorej, owocu wielomiesięcznych kroplówek.

– Ach, witaj, Maddie. – Chora uśmiechnęła się promiennie. – Świetnie wyglądasz. Może na trochę zmęczoną. Przebyłaś długą podróż, żeby dotrzeć do nas dzisiaj. – Neva ujęła dłoń prawniczki i pogłaskała ją, a potem zamyśliła się na chwilę. – Przykro mi, że odciągnęliśmy cię od ludzi, przy których byłaś taka szczęśliwa, ale też samolubnie się cieszę, że cię widzę.

– Nie, wróciłam tylko kilka dni wcześniej – odparła Maddie nieśmiało.  
– To o wiele ważniejsze od moich wakacji.

– Wręcz przeciwnie! Ta podróż miała przywrócić ci duszę, i tylko to się liczy.

Nagle jej ton się zmienił na beztrosko szczęśliwy.

– To mój ojciec Wyman, a to mój syn Aguila. Poznałaś ich już,



oczywiście, gdziekolwiek byłaś.

Maddie przywitała się z chłopcem, a potem uśmiechnęła się do ojca Nevy i podała mu rękę. Był to potężnie zbudowany mężczyzna w dżinsowej koszuli i spodniach, z paskiem o srebrnej klamrze wysadzonej turkusami. Maddie zauważyła też kowbojki. Bardzo silnie poczuła jego obecność w pomieszczeniu. Sama takiej właśnie otuchy szukała.

– Witam – powiedział. – To pani rozumie śnieg. To zaszczyt panią poznać.

– Mój ojciec chce ci opowiedzieć o panu Hugo – odezwała się znowu Neva. – On nie rzuca cienia. A naszym zdaniem to oznacza, że nie ma duszy.

Maddie usadowiła się na krześle i zaczęła na ojca Nevy. Nie spieszył się, odczekał chwilę, by uporządkować myśli, i potem zaczął opowieść, która miała podążać za Maddie przez wiele mil drogi powrotnej do San Francisco i wiele długich godzin bezsennej nocy.

– Buty tego człowieka słyhać było na korytarzu na długo, zanim tu wszedł. „Muszę zamienić słowo z Nevą Walker” – powiedział. Ale chyba go zaskoczyło to, co tu zobaczył. Obejrzał mnie od stóp do głów i wtedy ja wstałem. „Dzień dobry – mówię. – Jestem ojcem Nevy. W czym mogę pomóc?” To mu się nie spodobało, ale wskazałem na córkę w łóżku i mówię, że ona śpi i żeby jej nie budzić. Podeszliśmy do drzwi. Musiałem zmobilizować całą wolę, żeby zobaczył, że musi wyjść.

„Możemy porozmawiać na zewnątrz” – mówię. Pan Hugo to człowiek, który nigdy nie przebywał w obecności Indianina. Nie wiedział, jak zareagować. Biedni Meksykanie i czarni, oni są częścią tego świata. Nawet ich nie za bardzo rozróżnia, tak myślę. Ale tu był z człowiekiem, który nie jest za bardzo wysoki. Nie stał na pewnym gruncie i okazał jakiś szacunek tylko dlatego, że mój lud nie jest mu znajomy. Zaczął do mnie mówić i był nerwowy. „Jestem Gordon J. Hugo. Reprezentuję Stormtree Components. Muszę porozmawiać z Nevą o rosnących kosztach jej leczenia”. Patrzyłem na niego z kamienną twarzą, tak że nie mógł poznać,

co myślę. „Widzi pan, firma nie może sobie pozwolić na dalsze opłacanie rosnących kosztów rachunków medycznych w świetle nadciągającego procesu” – mówi. Stałem bardzo spokojnie i patrzyłem na niego. To mogło trwać jakiś czas. „Panie Hugo – mówię w końcu. – Przewożę drewno. Prowadzę ciężarówkę. Nie zarabiam dużo. Ale czytam dużo gazet. Czyż nie czytałem, że Stormtree Components wykazało jedenastostopniowy wzrost zysków w tym kwartale? Całkowita suma wyniosła wieleset milionów”. Twarz mu się zrobiła bardzo różowa. Nic nie powiedział, więc znowu ja zabrałem głos. „Może pan wyjaśnić takiemu prostemu kierowcy, dlaczego takiej firmy nie stać na lekarstwa dla mojej córki i wnuka?” – spytałem. Ale on dalej nic nie mówił, proszę pani. No to ja znowu: „Panie Hugo. Pan rozumie, kto to jest indiański ofiarodawca?”. No to wtedy pan Hugo wyglądał już swobodniej. Był pewien, że wie dokładnie, co to znaczy. „Ten, kto daje i odbiera. Ktoś, kto daje dary, a potem chce je z powrotem” – mówi. „Tak myślałem – ja mu na to. – Ale pan nie rozumie. Jeśli Indianin daje podarek, to ze szczerego serca i towarzyszy temu powinność. Dar Indianina to nie jest jakaś rzecz ani pożytek. To coś głębszego, znak szacunku i pokoju, którym wszyscy mają się cieszyć. Kiedy już się nim nacieszą, należy go zwrócić ofiarodawcy albo przekazać następnej osobie, która może się nim nacieszyć. To nie jest coś na półkę, jak trofeum. To nie jest do odłożenia, jak zysk. To właśnie jest podarunek Indianina”. Pan Hugo nie miał nic do powiedzenia. Machał swoją teczką jak uczeń. Przeszł z nogi na nogę i rozglądał się po korytarzu. Ponieważ dopiero co przyjechał, pomyślałem, że chce iść. „Moja córka – mówię – dała pańskiej firmie dar swojego istnienia. Dała swoją lojalność. Pracowała w firmie pana Graya przez wiele lat, a oni ją w zamian okaleczyli, wyczerpali i zatruli mojego wnuka”. A ten różowy na to: „Nie możecie tego udowodnić”. „Nie – ja na to. – Ale obaj wiemy, że to prawda”. Pan Hugo nie miał mi już nic do powiedzenia, Madeline. „Wrócę tu jeszcze, jak ona nie będzie spała” – dodał tylko. I wtedy zabrał się ze swoją moką twarzą. Patrzyłem, jak idzie, i zauważyłem, jak przechodzi między światłem

a cieniem. Mówiłem na próżno. Ten człowiek nic nie wie o podarunkach i obowiązkach.

– Nie – powiedziała Maddie bardzo cicho. – Dla Gordona Hugo ludzie żyją i umierają, i nic poza tym. Jest synem szkockiego protestanta, który przyjechał do tego kraju, i myślę, że dla niego sukces to znak, że Bóg mu sprzyja. Ale pewien przyjaciel właśnie mi przypomniał, że język ma moc wpływać na rozwój wydarzeń, panie Walker. Nie uważam, że mówił pan na próżno.

STYCZEŃ–LUTY 1348 ROKU,  
SANTO PIETRO IN CELLOLE, TOSKANIA

Wczesnym rankiem w Dniu Świętej Agnieszki niewielka grupa mężczyzn niosących swoje pielgrzymie kije i kapelusze podążała drogą ku sanktuarium Galgana, a mieszkańcy Villa Santo Pietro udali się do łóżek na kilka godzin snu. Przez jakiś czas pod dachem Jacquetty kwitło drzewo ciszy i rodziło owoce pokoju. Porphyrius, jego żona i dziecko spali w błogim wyczerpaniu w swoim pokoju z widokiem na północ i zachód, ponad pobieloną lodem drogą pielgrzymów. I nawet Jacquetta udała się na spoczynek do swoich pokoi wychodzących na Valle Serena, zostawiając prowadzenie domu Loredanie i Chiarze, które zaznały w nocy trochę snu. Gdy Mia wąskimi schodami wspięła się do swojej izdebki pod dachem, szarawe światło właśnie zaczęło obwieszczać nowy dzień, a także opad śniegu. A dzwon wzywał mnichów na laudes. Ale gdy tylko przymknęła powieki, słyszała sowę gdzieś w drzewach pod swoim oknem.

Przed południem obudziło ją delikatne pukanie do drzwi, więc niechętnie opuściła ciepłe łóżko. Chiara przyniosła ciepłą wodę i polecenie od ciotki, żeby się umyła i przygotowała na sekstę w opactwie. Ominęli wcześniejsze nabożeństwo w miasteczku, ale wolno im było stanąć na tyłach mniszego kościoła i dołączyć w milczeniu do świeckich braci w ich nabożeństwie przed południowym posiłkiem. Musiała szybko i bez ociągania ułożyć włosy – dodała Loredana.

I tak zaraz po trzeciej po południu w Dniu Świętej Agnieszki – gdy posilili się nieco i odpoczywali przy ogniu w pokoju muzycznym – ciotka Jacquetta zniknęła na chwilę, po czym wróciła, niosąc scarsellę, sakwę używaną przez posłańców na listy i paczki. Podała to Gennarowi.

– Bardzo przepraszam – powiedziała. – Wczoraj dostarczył to posłaniec,

który podążał z Pizy. Przez poród Agneski zupełnie mi to wyleciało z głowy.

Uśmiechnął się w podziękowaniu i odwiązał torbę. W środku zobaczył wodoodporne płótno zawiązane sznurkiem. Gdy rozłożył je, Mia z ciotką westchnęły z uznaniem. Gennaro trzymał przepięknie wykonany płaski drewniany przedmiot, prawie kwadratowy, o długości niemal przedramienia. Posrebrzony, miał malunki na środku i w rogach, przedstawiające postacie i symbole. Mia podeszła usiąść obok Gennara, by przyjrzeć się uważniej, i zobaczyła, że przedmiot jest rzeźbiony symetrycznym wzorem składającym się z rowków i przerw. Pośrodku przedstawiono młyn wodny. Każdy róg prezentował punkt kierunkowy, żywioły i twarz każdego z czterech wiatrów. Całość wyglądała olśniewająco pięknie, ale jej przeznaczenia Mia nie umiała odgadnąć. Spojrzała pytająco na mężczyznę.

– To tablica do gry w *Il Mulino* – wyjaśnił. – Ale nigdy nie widziałem tak świetnej.

– Nie znam tej gry. – Mia przeniosła wzrok z Gennara na ciotkę. Poczula się zawstydzona, jakby ta niewiedza czyniła z niej ciemną wieśniaczkę.

– A więc czas, byś się nauczyła grać – powiedział i odwrócił się do Jacquetty po błogosławieństwo.

– Tak, dlaczego nie? – odparła tamta, a na jej twarzy pojawił się uśmiech zmieszany z czymś sekretniejszym. – Moja francuska babka nazywała tę grę *Merrelles* i zawsze powtarzała, że każda dziewczyna powinna się nauczyć w nią grać.

Gennaro uśmiechnął się szeroko i Mia odniosła wrażenie, że ta dwójka sobie potajemnie z niej żartuje. Gennaro odwrócił się bez dalszych wyjaśnień i znowu poświęcił uwagę zawartości scarselli. Wyjął z niej papier, który okazał się listem składającym się z kilku kartek złożonych na trzy, zabezpieczono go sznureczkiem, który przechodził przez otwory na krawędziach i na każdym końcu był zapieczętowany. Złamawszy

pieczęć, Gennaro rozłożył list i zaczął czytać pięknie wypisane kartki, które – jak powiedział paniom – zawierały pozdrowienia z okazji rocznicy jego urodzin tego właśnie dnia, dwadzieścia lat temu.

Nagle wrócił do pisma i Mia poczuła, że należałoby mu zapewnić chwilę prywatności. Wstała, a że zrobiła mu poprzedniego dnia słodkie ciasto kasztanowe, zastanawiała się, czy może teraz nadszedł właściwy moment, by je podać. Miała nadzieję, że zaczekają na Porphyriusa i *la raggie*, by podkreślić doniosłość dnia, który nagle stał się dniem podwójnego świętowania podwójnych narodzin. Oni jednak ciągle odpoczywali na górze z dzieckiem i na pewno nie powinna im przeszkadzać. Wyszeptała do ciotki, że czas najwyższy już przyznać, że pamiętają o urodzinach Gennara, i zasugerowała, że odebranie подарunku jest idealnym momentem. Jacquetta zgodziła się skinieniem głowy, lecz gdy Mia ruszyła do spiżarni po ciasto, Gennaro położył jej dłoń na ramieniu.

– W moim liście znajduje się drugi, Mario Maddaleno – powiedział. Podał jej złożony arkusz z osobną pieczęcią. – I jest przeznaczony dla ciebie.

– Ale od kogo on może być? – spytała.

Na pewno wiedziała, od kogo mógłby być. Od kogo by chciała dostać list. Jej umysł był zajęty dniem i nocą – odkąd przyjazd Gennara otworzył drogę do cichej rozmowy o jej rodzinie – pragnieniem poznania prawdy o jej istnieniu i tożsamości, o powodach, dla których straciła matkę i przybyła do ciotki. Rzeki pytań nie dało się teraz przetoczyć w jasne myśli, ale konieczność poznania sprawiła, że zapłonęły jej policzki. Mia odnosiła wrażenie, że Gennaro i ciotka już znają jej tajemnice i od nich zależy, czy dostanie ten list czy nie.

Ale gdy spojrzała w oczy Gennarowi, zobaczyła w nich grzeczność, i to ją zachęciło.

– Tak, Mario – rzekł.

Spojrzał na śliczną dziewczynę, odzianą z prostą elegancją na święty dzień. Włosy miała zaplecione i związane wstążką, a bladozieloną

spódnicę ściągniętą w talii, tak że odsłaniała jej kobiece kształty. Wydawała się młoda i pełna nadziei, i pociągająca; ale też bezgranicznie wrażliwa. Jakiegokolwiek wieści znajdzie po złamaniu pieczęci, wiedział, że czeka na nie. Żadna ostrożność nie powstrzyma jej niecierpliwości.

– To od mojego wuja.

Mia wzięła od niego list, ostrożnie, jakby miał wybuchnąć płomieniem od gorąca jej palców, gdyby chwyciła go niewłaściwie. Spojrzała na ciotkę, ale czy po aprobatę, czy aby podzielić się radością – czy choćby po wyjaśnienie, dlaczego coś takiego trafia do niej przez Gennara – nie umiała powiedzieć.

– Zostawię go więc na później – oznajmiła. – Muszę iść po ciasto.

– Mia! – krzyknęła Jacquetta. – Od tygodni czekałaś na tę przesyłkę. Otwórz ją, na miłość boską, a ja przyniosę ciasto.

Jacquetta wyszła, a Gennaro kiwnął głową Mii, która wzięła zapieczętowany list i podeszła do krzesła stojącego bliżej ognia. Odwróciła go i przeczytała imię – swoje imię. Uświadomiła sobie ironię sytuacji: oto tak długo czekała na list, a teraz nie była w stanie złamać pieczęci. Ale list zawierał wyrok i nagle poczuła, że nie jest pewna, czy znajdzie odwagę, by zmierzyć się z falą emocji, która na pewno będzie się z tym wiązać.

Siedziała tak z nim jakiś czas, gdy Gennaro uśmiechnął się i powiedział:

– Mario, w tym liście nie ma nic, co zmieniłoby uczucia twoich przyjaciół do ciebie. Nie ma nic, za co musiałabyś przeproszać. Może jednak uspokoić twoje myśli i rozwiać wątpliwości.

Przyglądała się twarzy Gennara. Nie była pewna, dlaczego akurat te słowa dla niej tyle znaczyły, ale pomogły jej odsunąć lęk na bok, rozcięła więc pieczęć kciukiem i odwiązała sznurek. Oczy wpiły się w czarny atrament i od razu zdała sobie sprawę, że list liczy stosunkowo niewiele wersów i ma mało słów. To ją zmieszało. I czytała powoli.

*Nadobna Mario Maddaleno,*

*pozdrawiam Cię w wigilię tego świętego dnia. Jacquetta przypomina mi, że mam do wypełnienia powinności rodzinne wobec Ciebie, skoro osiągnęłaś już wiek rozumienia. Zdaję sobie z tego sprawę, jak również z faktu, że winien Ci jestem szczerą. W tych warunkach muszę jednak być zwięzły, w przeciwnym bowiem razie musiałbym napisać Psalterz.*

*Przyjadę do Villa Santo Pietro in Cellole, by porozmawiać z Tobą. Przy tej okazji przywiozę Ci podarunek z okazji Epifanii. Jedna sprawa sprowadziła mnie ostatnio do Pizy i nie pozwala mi przyjechać do Ciebie teraz, ale spodziewaj się mojej wizyty w każdej chwili, może nawet w ciągu tygodnia, gdy sprawy, które pilnie sprowadziły mnie do tego miasta, zostaną zakończone.*

*W tych kilku słowach dziękuję Ci również za pomoc przy uzdrowieniu mojego bratanka, który jak słyszałem, dotarł do Was bliski śmierci. Od niego bezpośrednio się dowiedziałem, jaką rolę odegrałaś w jego powrocie do zdrowia.*

*Powierzam Cię opiece Boga i przyjadę jak najszybciej.*

*Ranuccio, Vescovo, Volterra*

Mia siedziała pogrążona w rozmyślaniach. Gdy podniosła wzrok, stwierdziła, że ciotka wróciła z ciastem dla Gennara, i spogląda na nią z ciekawością. Ale nie wiedziała, co jej powiedzieć, więc wsadziła jej tylko list w dłoń.

Jacquetta przeczytała go dwukrotnie, zanim wygłosiła opinię.

– Za dużo ma do powiedzenia, żeby to się zmieściło w liście, Mia. Przyjazd do ciebie to najmądrzejsze i najmiłsze, co może zrobić. Przygotujemy mu pokój.

Tydzień później w domu nadal było spokojnie, ponieważ w zimową pogodę drogami wędrowali tylko nieliczni pielgrzymi. Mia bardzo się starała nie wypatrywać niecierpliwie swojego gościa. Czas jej upływał na robieniu octu, czytaniu lekcji i chętnym przesiadywaniu z Lucciem, pięknym dzieckiem Agneski, nazwanym na cześć swoich narodzin w noc tak jasnego księżyca i w chwili pierwszego blasku dnia. Zajmowała się też



zwykłymi zimowymi porządkami, utrzymywała świeżość w pokojach za pomocą nowych ziół co rano, i siadała w świetle świec na długie wieczory z Gennarem, który uczył ją gry w młynek. Wkrótce poznała strategię ustawienia trzech kamyków – ciemnych albo jasnych – w rzędzie, wykonując po jednym ruchu naraz, tylko po liniach prostych i tylko przesuwając je o jedno miejsce. Wreszcie umiała przechwycić każdy pionek Gennara z planszy, aż zostało mu mniej niż trzy i nie miał szans ustawić własnego rządka. Na początku tygodnia przegrała kilkanaście razy, ale na koniec już wygrała. Ale uśmiechnęła się, gdy jej miejsce na krześle zajął Porphyrius i gra pomiędzy nimi dwoma potoczyła się w takim tempie, że Mia nie nadążała ze śledzeniem ruchów. Zrozumiała, że kuzyn pozwalał jej wygrać.

Zaczęła go poznawać lepiej, śmiać się z powagi ich rywalizacji, podziwiać rozsądek, z którym mówił o tylu rzeczach, i dzielić jego przyjemność z dobrego towarzystwa i przyjaciół. Z natury był bardzo łagodny, opinie wygłaszał zawsze umiarkowane, był życzliwy i cierpliwy do innych. Wiedziała, że to wyuczona poza, do której doszedł przez poważne tarapaty rodziny. Byli rodziną, która cieszyła się wszelkimi przywilejami, a potem niemal wszystkie straciła. Zawsze jednak ją rozśmieszał – był mniej poważny niż Porphyrius. Nie mogła zaprzeczyć, że ostatnie dni upływały jej przyjemnie. Żaden gość jednak do niej nie przyjechał.

Gdy ostatnie dni stycznia przeszły w luty i doczekali się święta Matki Bożej Gromnicznej, Gennaro podsunął powody niepojawienia się wuja.

– Drogami z Pizy, Mario, powolnie się jedzie zimową porą i może sprawy mu się przeciągają.

Kiwnęła głową. Niewykluczone, że pilne sprawy, które wezwały go do Pizy, jeszcze nie zostały zamknięte, ale pogoda na pewno nie była przyczyną opóźnienia. Śniegu nie leżało za wiele i każdy, kto naprawdę chciał podróżować i znał drogi, bez wątpienia mógł to zrobić.

Pod koniec pierwszego tygodnia lutego musieli patrzeć, jak odjeżdża

Gennaro. Stwierdził, że nadaje się do podróży i nie chce być dla nich dłużej ciężarem. Jacquetta próbowała go jeszcze zatrzymać: jego towarzystwo było czystą przyjemnością, dostrzegła też, że coraz większym uczuciem darzy Mię, nawet jeśli ona nie jest tego świadoma. On jednak czuł, że powinien wrócić i pracować. Chciał należycie odpłacić za jej uprzejmość i zdobyć wieści o rodzinie, skoro spędził kilka tygodni z dala od nich. Jacquetta to rozumiała.

– Jeszcze się zobaczymy – powiedział – bo pośród innych spraw, które muszę załatwić, chciałbym znaleźć prezent dla mojego chrześniaka. A tymczasem masz przyjaciela w Volterze – jakiś ci się przyda.

Okazało się jednak, że Jacquetta miała rację. Jego wyjazd był dla Mii straszliwą stratą. Tęskniła za nim, bo pewnie był pierwszą osobą, o której mogła myśleć w kategorii rodziny, jeśli nie liczyć ciotki Jacquetty. A może dlatego, że *la raggia* i Porphyrius byli tak zajęci swoim dzieckiem, a o tej porze roku Mia miała mniej spraw, które by ją absorbowały. Ogród spał pod iskrzącym się śniegiem; ścieżka do opactwa była zbyt śliska, by ją pokonywać bez ważnego powodu; mniej wędrowało po drogach pielgrzymów. Głównym powodem jej apatii była jednak chęć poznania biskupa Ranuccia. Ale niespełna tydzień później otrzymała wiadomości.

Nadjeżdżający wierzchowiec należał do przyjaciela. Agnesca właśnie odkładała synka do kołyski wczesnym popołudniem, gdy zobaczyła, że jeździec zbliża się znajomym traktem. Zawołała Porphyriusa, który szedł do stodoły; a kilka chwil później Jacquetta grzała piwo z korzeniami na kuchennym ogniu dla młodego mężczyzny, który opuścił ich ledwie kilka dni temu.

– Nie dotarłeś do Volterry? – spytała Jacquetta, zatroskana o jego zdrowie.

Gennaro pokręcił głową.

– W ogóle się tam nie wybierałem. Ruszyłem na północny zachód, do Pizy.

Jacquetta chwilę się zastanawiała, co ta informacja oznacza.

– Żeby się dowiedzieć, co się stało z biskupem Ranuccim. Dlaczego nie zgadłam, że taki jest cel twojego wyjazdu? A jednak jakoś nie jestem zaskoczona, Gennaro.

– Oczywiście. On nie mógł wiedzieć, jak poważnie Maria Maddalena potraktowała zapowiedź wizyty. Ale my rozumiemy. Musiałem mu powiedzieć. Jednak – westchnął – nie dotarłem do Pizy.

Postawiła napitki na tacy i zaprowadziła Gennara i Porphyriusa do solaru, gdzie było napalone, aby porozmawiać na osobności. Mia była w piekarni z Albą, a Jacquetta chciała wysłuchać Gennara, zanim ją zawołają. Gdy Agnesca uśpiła dziecko, dołączyła do nich.

– Tak się cieszę, że cię widzę, ale stało się coś niedobrego – powiedziała do Gennara, całując go w policzki. – Znowu jesteś chory?

– Nie – odrzekł kategorycznie. – Jesteś cudownym lekarzem, a ja cieszę się dobrym zdrowiem. Inni jednak mają problemy.

– Z powodu choroby? – spytała.

Jej twarz zyskała blask od dnia porodu przed trzema tygodniami i Gennaro zachwycił się, jakże pięknie znowu wygląda. Gdy jednak Agnesca wypowiedziała to pytanie, jej twarz pobladła. On z powagą kiwnął głową i zaczął opowieść.

W roli posłańca wypełniającego misję dla Mii ruszył z willi na zachód starożytną drogą Massetana, by uniknąć bardziej oblodzonych przejść przez górzystą Val d'Elsa. Potem skręcił na północ, znajdując mieszkanie u przyjaciół w Pomerance, którzy wciąż byli lojalni wobec jego wuja oraz rodziny Allegrettich, chociaż Ottaviano zagarnął tamtejszy zamek biskupa dla swojego syna. Drugi długi dzień na koniu zaprowadził go do Montecatini w dolinie Ceciny, gdzie pomyślał, że problemy ma już za sobą po tym, jak nic złego mu się nie przydarzyło w mieście znanym jako bastion Belfortich. Następnego dnia jednak zwolnił, padał gęściejszy śnieg i zdołał dojechać tylko do Ponsacco, chociaż miał nadzieję dotrzeć aż do Pizy. W oberży od florenckiego kupca zwiedziało się o chorobie, która pustoszy nadbrzeżne miasto. Kupiec nie zdołał wjechać do Pizy, by

odebrać towary z portu, a wrócił do Ponsacco z pustym wozem, by raczyć przejęty lękiem tłum opowieściami o zarazie tak zjadłej, że śmierci nie zdoła uniknąć nawet człowiek, który choćby porozmawia z osobą zarazoną.

– Uważa się, że choroba przyszła do Pizy z Sardynii albo Elby – opowiadał Gennaro – może na pokładzie galer, takich jak ta, na której myśmy z Porphyriusem przeprawili się do Salerno. Żeglarze chyba wyładowują katastrofę wraz z korzeniami i sukrem. Od połowy stycznia podjęła swoją morderczą drogę przez miasto. Mówi się, że ktoś kaszłał krwią z wnętrzości; ale z jego doniesień o gorączce, czerniejących obrzmieniach, o ludziach, którzy padają na ulicy i nie mają siły wstać, wnioskuję, że to ponad wszelką wątpliwość ta sama straszna choroba, którą ja miałem. Zastanawiam się tylko dziesięciokrotnie nad cudem mojego wyzdrowienia.

Po długim doświadczeniu życia bez głosu Mia była cichą istotą i dotarła do drzwi solaru tak, że nikt nie zauważył jej nadejścia. Usłyszała tę ostatnią opowieść z ust samego Gennara i odebrała jej ona radość z jego przybycia, a tylko przyprawiła o drżenie. Zupełnie jakby przywrócił do życia potworności własnej choroby. Ruszyła ku niemu z wahaniem. Zanim zdołał wstać, by ją powitać, klękła przed nim przy jego krześle przy ogniu i ścisnęła mu dłonie, po czym położyła na nich policzek.

– Czy mój ojciec...? – zaczęła.

– Mario, nie wiem, czy jest chory czy nie – odrzekł. – Ale w tej chwili podróż do tego miasta i z niego może być wręcz niemożliwa. Nie mogłem nawet do niego napisać, bo nikt by się nie podjął zawiezienia listu do Pizy.

Jacquetta bardzo martwiła się o Ranuccia, którego bardzo lubiła, jak również dalszymi następstwami raportów z Pizy.

– Musimy ufać, że się nie zaraził, dopytywać się, ile można, i zaostrzyć czujność tutaj, tak jak Agnesca naciskała z początku, gdy choroba napływała z południa, a Porphyrius i Gennaro się z nią zetknęli. Pielgrzymi wędrują nieustannie i właśnie się zaczął *Car nevale*. Kiedy

tylko pogoda się poprawi, dom się wypełni, musimy więc wprowadzić w życie te same środki ostrożności, które kilka tygodni temu doradzała Agnesca.

– Zastanawiam się, czy Gennaro jest może niewrażliwy na zarażenie, skoro przebył już chorobę – rzekła Agnesca niepewnie. – Doniesienia o innych chorujących natomiast przeczą naszemu doświadczeniu z Gennarem. A Porphyrius wręcz z jakiegoś powodu w ogóle nie zachorował.

– Ale niczego nie możemy być pewni, Agnesco – odparła Jacquetta. – Mamy liczne opowieści o tej zarazie w południowych portach Morza Śródziemnego, w Genui i Pizie. Szerzy się ona niepowstrzymanie.

– I podąża przez porty – dodał Porphyrius.

Agnesca przyznała im rację. W wyniku tej dyskusji Jacquetta zdecydowała, że ponownie zorganizuje kwarantannę w pokojach ogrodowych dla gości – zasadniczo zrezygnowali z niej w okresie po Bożym Narodzeniu, ponieważ w tych kwaterach nie było zbyt ciepło, a nie mówiło się już o chorobie. Dodatkowo Agnesca uważała, że higiena osobista oraz kontrola liczby gości powinny być najważniejsze i że psy z gospodarstwa należy trzymać z dala od domu pomimo przywiązania do nich Mii. To mogło im dać jakąś szansę na ograniczenie zimowego brudu i błota i obronę przed nieznaną chorobą.

Gennaro uśmiechnął się ponuro.

– Myślisz, że zapomniałem o potworności tych kąpiel, którym mnie poddaliście? Albo tej nędzy, jak Maria myła mi włosy jakimś cuchnącym paskudztwem, gdy nie chciałem niczego dotykać i zamarzałem na śmierć?

Agnesca posłała mu spojrzenie zdecydowanie nieprzeprasające.

– We włosach miałeś pełno wszy, Gennaro. A kąpiele zapewne ocaliły ci życie.

– Kiedy podróżujesz po portach, Agnesco – odrzekł drwiąco – wszy i pchły oraz, owszem, czasami nawet szczury to twoi towarzysze łoża. Niewiele noclegowni jest tak dokładnie sprzątanym czy tak wygodnym

jak Villa Santo Pietro.

Porphyrius zerknął ukradkiem na żonę, a potem powiedział coś, czego Mia miała nigdy nie zapomnieć.

– Od dni uwięzienia w wieży w Volterze ma wstręt do robactwa. Wtedy szczury i pchły służyły jej za towarzyszy i od tego czasu bardzo dba, żeby się ich pozbyć z każdej naszej izby i ze wszystkich ubrań. Dlatego zawsze pachnie kruszonym pieprzem i lawendą.

– Więzienie! Agnesca! – krzyknęła Mia, sama używając imienia, którym Porphyrius nazywał swoją żonę bardzo rzadko.

– Nie chciałabym dzisiaj tego opowiadać, Mia – powiedziała stanowczo jej przyjaciółka. – Zostawię to może na wieczór, kiedy będziemy ubawieni na tyle, by pofolgować którejś żalności. Ale teraz pozwól, żebyśmy odświeżyli pokoje w stajni. A Gennaro może by zechciał wypróbować inne środki, by zdobyć wieści o biskupie?

Gennaro trzymał dłoń na głowie Mii, ale podniósł wzrok na to żądanie żony przyjaciela.

– Wymyślę inny sposób, by dotrzeć do Pizy – rzekł.

Do połowy następnego tygodnia jednak, gdy Gennaro napisał cały stos listów skierowanych na zachód od willi, przybyła wiadomość z przeciwnika. Tym razem zaadresowana do Jacquetty. Był to zapieczętowany list, krótki, składający się z kilku tylko wersów.

*Od dwóch tygodni w Montalcino, ale od tego czasu mamy w domu chorobę. Wielu z nas dotknęła dziwna zaraza. W Bogu nadzieja, że niezwłocznie podejmem podróż.*

*R. Allegretti*

Dwa dni później – zanim po karnawale nastał Wielki Post – przybyła niewielka kompania. Nie było ceremonii, żadnych oznak orszaku. Żaden pewny siebie i wciąż przystojny biskup nie podążał na smukłym rumaku przykrytym czaprakiem z przodu swego orszaku. Dwóch mężczyzn okrakiem siedziało na dzianetach, a towarzyszyła im lektyka niesiona przez konia i jeźdźca z przodu i z tyłu. Jacquetta nigdy nie widziała, żeby

biskup podróżował w ten sposób – nie w żadnej kawalkadzie, bez ceremonii czy okazałości. Był dumnym jeźdźcem i sprawnym myśliwym. Od jednego spojrzenia zorientowała się, że najgorsze jest nie tylko możliwe, lecz pewne.

Słudzy wygnanego biskupa zostali zakwaterowani w pokojach przy stajniach zgodnie z ustaleniami, ale Jacquetta nie dała rady nałożyć tych samych ograniczeń na ukochanego Ranuccia. Był wyraźnie chory i cierpiący. Pomyślała, w przypiływie trzeźwości, że nie pożyje już długo, ale przegoniła Agnescę od opieki nad nim, wiedząc, że to naraża na niebezpieczeństwo zarówno ją, jak i dziecko. Uparła się, że sama go będzie pielęgnować, bez względu na koszty, i umieściła go w osobnym, wygodnym pokoju na parterze willi, wychodzącym na ogród ziołowy. Ten pokój, pamiętała Mia, od dawna stał pusty – gotowy na jednego gościa, tylko na niego, no chyba że zajechałby do nich król. Jacquetta ustawiła swoisty kordon, oddzielając pomieszczenie od reszty domu, ograniczając ruch pomiędzy nim a każdą inną izbą. Ale pod tym pokojem teraz Mia podjęła czuwanie w oczekiwaniu, że zobaczy jej mieszkańca lub z nim porozmawia. I żarliwie zanosila modlitwy do anioła miłosierdzia o jego wyzdrowienie.

Jacquetta tymczasem radziła się Agneski. Biskup przybył z wysoką gorączką, od wielu dni zwracał zawartość żołądka. Miał obrzmienia w wielu częściach ciała: na szyi i pod pachami, jak Gennaro, ale też w kroczu, do którego obejrzenia i leczenia musiała pokonać skromność. Wiedziała, że obrzmienia prawdopodobnie pękna, ale w przeciwieństwie do młodego siostrzeńca, który wykazywał się znaczną wytrzymałością, starszy mężczyzna miał niewielkie szanse przetrwać terapię w lodowatej wodzie dla zbicia gorączki. Trzymała pod ręką wszystko, na czele z kataplazmami miodowymi i herbatką z tymianku i złocieniem, ale nawet tego nie mógł utrzymać w żołądku.

– Pogarsza mu się tak szybko – powiedziała do Agneski przez niemal zamknięte drzwi. – Obrzmienia są ciemne, już mają wielkość jabłka,

a mocno zsiniałe punkty pojawiają się na całej skórze. Przez dwa dni wypróbowałam wszystkiego, po co ty sięgnęłaś, i nie mam pojęcia, co jeszcze mogę zrobić.

– Może to postać bardziej zjadliwa niż u Gennara – odpowiedziała tamta. – Jacquetta, przyjdę do niego, jeśli mnie poprosisz.

Ale wiedziała, że gospodyni nigdy jej nie dopuści do łóżka chorego, i rzeczywiście tak właśnie brzmiała odpowiedź Jacquetty.

– W takim razie uważam, że można zrobić tylko jedno – poradziła Agnesca. – Wysłać do niego Gennara, żeby z nim siedział i zapewniał mu towarzystwo. Mam nadzieję, że nie grozi mu już zarażenie. Z tego co opisujesz, wnoszę, że musimy zapewnić biskupowi wygodę, na ile się da, ale mądrze byłoby posłać po opata Angela, gdyby potrzebował rozgrzeszenia.

Jacquetta, zwykle dostojna i wyprostowana, na te słowa opadła na drzwi Agneski. Młodsza kobieta otworzyła je i odłożyła na bok inne względy, by pocieszyć przyjaciółkę i opiekunkę. Otoczyła ją ramionami.

– Dlaczego myślisz, że nie zdołam tego odwrócić?

– Myślę, że to już starszy człowiek i może nasza pomoc nadeszła za późno, by go wyleczyć.

Jacquetta westchnęła i z wdzięcznością przyjęła uścisk przyjaciółki. Po chwili dodała:

– A Mia?

– Jeśli on stracił kontakt ze światem tak jak Gennaro, to na ciebie spada opowiedzenie Mii jego historii.

Późną nocą Jacquetta podążyła za radą Agneski i posłała po opata Angela. Mia miała oczy podpuchnięte od płaczu, gdy około północy wszedł on do nieskazitelnie czystej izby, w której pomimo wszelkich kosztownych ziół i *pomo d'ambra* unosił się wyraźny odór śmierci. Tam od wielu godzin siedzieli Gennaro i Jacquetta. Inaczej niż w noc narodzin małego Luccia, gdy sowa przestrzegała przed trudnym rozwiązaniem, na dworze nie rozlegał się żaden dźwięk. Mia pozostała na posterunku przy drzwiach.



Z piekącymi powiekami patrzyła, jak opat wychodzi w cichych godzinach nocnych. I właśnie jakiś czas później Agnesca, która wstała na chwilę do syna, zeszła na dół, by do niej dołączyć. Przyciągnęła drugie krzesło i siadła, trzymając ją za rękę.

O świcie Gennaro otworzył drzwi na korytarz.

– Jeśli chcesz zaryzykować i wejść – rzekł do Mii ochryplym głosem – on jest świadomy i chciałby cię widzieć.

Na szczęście dla Mii odraza do straszliwych widoków i odorów bąbli już przytępiała po wielodniowym pielęgnowaniu Gennara. Oto bowiem ujrzała twarz człowieka, z którym najbardziej chciała się spotkać. Oczy miał żółte i wytrzeszczone; z pękniętych obrzmień wydostawał się dławiący odór; a twarz miał tak zniekształconą, czerwoną i spuchniętą, że nie sposób było sobie wyobrazić, jak wyglądał wcześniej. Przy rzadkich okazjach, kiedy Jacquetta rozmawiała o biskupie – gdy przybył podarek dla Mii albo gdy docierały jakieś wieści od niego – zawsze opisywała go jako przystojnego i mądrego mężczyznę o łagodnych oczach. Ten właśnie wizerunek Mia rozpoznała w Gennarze po jego ozdrowieniu.

Teraz jednak mężczyzna, który tak bardzo starał się skupić na twarzy Mii, ani trochę nie pasował do opisu, który dziewczyna pielęgnowała w myśli. Nigdy świadomie nie patrzyła śmierci w twarz, ale wiedziała, że teraz właśnie spogląda.

Skinął ręką, by się zbliżyła, i przemówił głosem ledwie głośniejszym niż oddech. Przeszedł ją dreszcz, bo przypomniała sobie dziwaczne dźwięki, które jej matka wydawała w chwili śmierci, jakby krew bulgotała na zimnej stali.

– Za długo z tym zwlekałem, Mario.

Urywane słowa były tak ciche, że trafiały tylko do jej ucha.

– Ufam, że ustalenia, które podjąłem w twojej sprawie, spodobają ci się. Jeśli nie – ciągnął z trudem – nie trzymaj się ich. Masz zgodę, by robić to, co chcesz, z poradą ciotki.

Gennaro podszedł do niego i podniósł mu poduszkę, by pomóc mu

w mówieniu. Następnie odsunął się od łóżka, by dać Mii ostatnią chwilę nieuświęconej poufności z mężczyzną.

– Twoja ciotka i opat Angelo mogą ci powiedzieć wszystko, co musisz wiedzieć, ale z moich ust musisz się dowiedzieć jednego.

Chwytał jej dłoń, i choć bliskość człowieka w tak żalnym stanie – cuchnącego i ohydneho z wyglądu – pokonałaby niejednego, Mia nie cofnęła dłoni, a nawet oddała uścisk.

– Twoja matka była najśłodszym stworzeniem w moim świecie – powiedział z wysiłkiem. – Ale nigdy nie byłem jej kochankiem, Mario. Jestem twoim strażnikiem i zawsze byłem. Ale ojcem twoim nie jestem.

Oczy Mii otworzyły się szeroko, słyszała, jak krew tętni jej w uszach. Patrzyła na nieszczęśnika i czuła, że musi majaczyć. To na pewno nie była prawda.

– Jestem ojcem twego serca – wydyszał. – Ojcem ciała jednak jest człowiek, który twoją matkę odarł z cnoty i możliwości zamęścia.

– Kto, Wasza Wielbność? – spytała cicho, patrząc mu w oczy.

Odpowiedział w zasadzie bezdźwięcznie, ale Mia nie miała wątpliwości, jakie słowo zatrzymało mu się na ustach.

– Ottaviano.

## 25 CZERWCA 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

Maddie nie zdziwiła się na widok całunu mgły, który zobaczyła z okna sypialni o siódmej rano. Dziwne było to, że pokrywa zasnuwała budynki tylko do wysokości mniej więcej drugiego piętra. Mgła zostawiła jej trochę słońca, podczas gdy ci poniżej byli nią spowici. Wyższe budynki wystające z warstwy chmur nadawały surrealistyczny efekt widokowi w dole. To przypominało, że w San Francisco nigdy się nie da powiedzieć, co się zaraz stanie, jeśli chodzi o pogodę.

Tego ranka Maddie czuła się tak, jakby szła do pracy po raz pierwszy. Musiała przeanalizować to, czego się dowiedziała w czasie niedzielnych wizyt, zanim stanie przed kolegami. Była bardzo zdenerwowana – aczkolwiek nie wstrząśnięta – całkowitą amoralnością ze strony Gordona Hugo. Musiała przed wyjściem do pracy uściślić własne nastawienie do tych poczynań w sposób pozbawiony emocji, a także oczyścić głowę z tylu innych myśli, które ciągle wirowały jej w głowie.

W ciepłym słońcu wyruszyła do biura. Gdy szła w dół ku Embarcadero, mgła zaczęła się zamykać wokół niej. Poczowała się, jakby wchodziła w inny czas, gdy mgła tak gęstniała z każdym jej krokiem w dół zbocza. Kontury pojazdów i pieszych się zamazały, odgłosy ruchu ulicznego były przytłumione. Gdy mijiała róg nieopodal biura, nad brzegiem zatoki, mgła bardzo zgęstniała. Ledwo zauważyła furgonetkę kwiaciarki mijającą jej budynek, co przypomniało jej, że w drodze do domu ma zajść do Jimeny i zorganizować kwiaty dla Jeanette.

Dzisiejsza pogoda skojarzyła się jej z własnymi uczuciami sprzed pięciu miesięcy, gdy wróciła do pracy po śmierci Chrisa. Wtedy czuła przygnębiający efekt mgły, która podążała za nią pod same drzwi biura, spowiła ją całunem i przytępiła. Dzisiaj mgła nie wydawała się ani

przygnębiająca, ani osobista, i porzuciła ją przy wejściu do budynku. Roześmiała się do siebie, uznając, że jej sposób myślenia mocno się zmienił. Zastanawiała się, czy to połączony efekt żartu Sørensa – że ona jest wiatrem – i słów ojca Nevy, że rozumie śnieg. Kiedy jesteście szczęśliwi – pomyślała – zauważamy blask słońca, a gdy upadamy na duchu, deszcz bardziej uderza w naszą świadomość.

Przeszła przez szklane drzwi i podeszła do uśmiechniętej Teresy, która wyglądała, jakby spędziła weekend na plaży.

– Cześć, Maddie, świetnie wyglądasz – powiedziała tamta z absolutną szczerością. – Nawet na włoskim jedzeniu chyba nie przybrałaś ani funta. Jak to możliwe?

– Owszem, niejeden – odparła z uśmiechem. – Ale to nie najgorsze, co mogło się przydarzyć. Wszyscy już są?

Teresa kiwnęła głową.

– Samantha chce, by „główni gracze”, jak to określiła, pojawili się jak najszybciej w sali konferencyjnej. Dzisiaj nie jest najbardziej pobłażliwa – dodała – więc nie zwlekaj. – Kolejnym uśmiechem zakomunikowała: „fajnie, że wróciłaś”, a potem wyszczebiotała do telefonu: – Harden Hammond Cohen, słucham.

Samantha rzeczywiście najwyraźniej cierpiała na brak poczucia humoru, gdy Maddie zadzwoniła do niej, żeby podzielić się wieściami z weekendowych wizyt. Nie tylko rozmawiała z Nevą i Marilu, ale też z innymi głównymi klientami, którzy zgłaszali wątpliwości, i kolejnymi pięcioma, którzy nagle wycofali się z walki bez wyjaśnienia. Słuszne oburzenie Samantha właśnie emanowało na całą ekipę, gdy Maddie dołączyła do nich w sali konferencyjnej.

Kiedy wchodziła, Charles i Tyler przeglądali stos książek prawniczych rozłożonych przed nimi na stole. Charles postukał w jedną palcem:

– Sprawdziłem *Cornell University Law School*, tom *The Book of American Legal Ethics* i zerknąłem na dział *California Rules of Professional Conduct*, i powiedziałbym, że prawnicy Stormtree stąpają po

bardzo cienkim lodzie. Ale jeszcze nic pod nimi nie pękło, nie skąpali się w lodowatej wodzie niegodziwych postępków.

– Cześć, Maddie – powiedział Tyler, podnosząc wzrok. – Ładnie się opaliłaś!

Charles uśmiechnął się do niej szeroko.

– Pewnie nam nie przywiozłaś chianti?

Maddie pokręciła głową.

– Nie wolno wozić alkoholu w podręcznym, jeśli się przesiadasz – wyjaśniła. – Ale myślałam o tobie, Charles. Zasmakowałyby ci wino i białe trufle! – Szybko przestawiła się na tryb pracy i siadła. – Co mówiłeś o legalności taktyki nacisku Gordona Hugo?

– Może powiesz nam dokładnie, jak rozumiesz to, co on powiedział tym ludziom – odparł. – To by wyjaśniło, jakie stanowisko możemy zająć.

Maddie spojrzała na zaniepokojone twarze Charlotte, Yamuny i Daisy. Potem na młodą i przystojną Davida Cohena, który dołączył do nich dzisiaj. Na Marni, w rogu. I wreszcie na Samanthę, która za wszelką cenę starała się nie powiedzieć, co myśli o prawnikach przeciwnika.

– Tak, Maddie. – Westchnęła. – Przedstaw nam podsumowanie, jeśli możesz.

Maddie westchnęła głęboko i przez następne pół godziny wspominała w szczegółach, co jej powiedzieli wszyscy, z którymi rozmawiała. Wspomagała się przy tym w razie konieczności notatkami, gdzie zapisała słowo w słowo wypowiedzi. Umysł pracował jej jasno, przekazywała informacje z siłą i emocjami – szczególnie gdy przedstawiała sprawę Walkerów. Na koniec Samantha i koledzy nagrodzili ją oklaskami.

– Dziękuję i cieszę się, że wróciłaś – powiedziała szefowa. Po tonie jej głosu znać było, że ma na myśli powrót nie tylko z Toskanii. – Wydawało mi się, że wygadanie się przed dobrym słuchaczem może im przynieść ulgę.

Charles słuchał Maddie uważnie jednym uchem, czytając książkę, która przed nim leżała.

– Wyrażenia, które przychodzą na myśl – odezwał się teraz – to „zastraszanie świadków”, „oszustwo”, „nękanie” i różne formy „dokuczliwego zachowania”. Ale – ściągnął okulary – może być trudno udowodnić zamiar. Na pewno zaprzeczą, jakoby za ich poczynaniami stał jakiś cel.

Charlotte słuchała raportu Maddie, od czasu do czasu kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Hugo oznajmi, że działał na podstawie instrukcji Stormtree w najlepszym interesie wszystkich zainteresowanych – odezwała się z irytacją. – Powie, że był to krok w kierunku szczerzej próby omówienia, a może i przyspieszenia zawarcia umowy, w interesie osób zainteresowanych.

– Oczywiście – David Cohen uśmiechnął się cynicznie – to nie była formalna propozycja ugody. Będzie więc twierdził, że nie musiał nas powiadamiać o swoich działaniach. Gdyby Stormtree zamierzało złożyć taką propozycję, on naturalnie przedstawiłby ją na piśmie, z zachowaniem procedur. I bardzo byłoby mu przykro, że źle odczytaliśmy jego intencje.

Tyler dał upust swojej frustracji.

– Tymczasem w Gotham City Joker terroryzuje wszystkich mieszkańców. Taktyka była bardzo skuteczna i kilka osób dało się zastraszyć, że tracą opiekę medyczną, więc właściwie zrezygnowało ze sprawy.

– Właśnie – powiedziała Samantha. – Musimy to powstrzymać. Na szczęście dzięki Maddie wiemy, jak podszedł powodów, ale podkopał ich pewność siebie i ich nastraszył. – Spojrzała na Charlesa. – Ty i ja napiszemy stanowczo sformułowane żądanie zaniechania tych poczynąń, sugerujące, że jeśli będą je kontynuować, złożymy oficjalną skargę do Izby Adwokackiej, z wnioskiem o zawieszenie Gordona Hugo do czasu przesłuchania w sprawie naruszenia zasad etyki zawodowej.

– Z perspektywą wykluczenia go na długo – dodał Charles. – To powinno dać mu do myślenia.

– Ale ja nie rozumiem. – Daisy westchnęła. – Macie przewagę, więc po co go ranić, skoro możecie go po prostu zabić?

– Nie kuś. Chętnie bym go pogoniła – przyznała Samantha – ale jeśli Charles ma rację i nie zdołamy udowodnić zamiaru, cała sytuacja okaże się tylko stratą czasu i nic nam nie da. Myślę, że dzięki ostrzeżeniu się wycofa, bo nie zaryzykuje zawieszenia. Musimy się skupić na reszcie. Maddie, myślę, że przed tobą jakaś godzina taktownych rozmów, żebyś uspokoiła zastraszonych powodów i zachęciła tych, którzy się wycofali, by się jeszcze zastanowili.

Tyler podniósł głowę znad strony, którą przeglądał.

– A jak w świetle prawa wygląda kwestia odcięcia ich od ubezpieczenia medycznego? Wolno im tak?

David Cohen był specjalistą na tym polu i teraz z zapałem potrząsnął głową.

– Niemal na pewno nie mogą wycofać się ze zobowiązania do pokrywania rachunków. Sprawę reguluje konkretny zapis w pracowniczym pakiecie odszkodowawczym w ich umowach o pracę. Mogą jednak, i Gordon o tym wie, znacznie wycofać wsparcie w najbliższej przyszłości i sprawić, że ofiary będą się musiały odwoływać, żeby odzyskać te środki.

– To strata czasu w życiu chorych ludzi – dodał Charles – i do tego czasu nie będą wiedzieli, czy stać ich na opiekę medyczną. Brutalna taktyka.

Wszyscy zaczęli coś mówić, ale Samantha podniosła dłoń.

– Mam też dobre wieści. – Uśmiechnęła się. – Rozmawiałam w piątek z toksykologiem. Prawie skończył swój wstępny raport na podstawie Listy Ciężkich Zachorowań. Jest gotów do następnego etapu, ale już zwraca uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze, jego zdaniem – na podstawie kartotek medycznych w bazie danych – rodzi się podejrzenie, że coś w czystych pomieszczeniach od lat powoduje u ludzi zachorowania czy też powoli ich zabija.

Samantha przyjęła ze spokojem aplauz Tylera, Charlotte i Yamuny.

– Czy oni wiedzą, że my właśnie otrzymujemy tę informację? – spytała cicho Maddie. – Czy dlatego Stormtree próbuje innej taktyki?

Samantha w odpowiedzi uniosła brwi.

– Trzeba by to rozważyć. To by znaczyło, że istnieje przeciek. To interesujące i może warto się tym zająć. Ale równie prawdopodobne jest to, że zdają sobie sprawę, co możemy wywnioskować z ich kartotek – po prostu dlatego, że je mamy.

Na kilku twarzach odmalował się niepokój, i nawet Maddie przez chwilę przeszła przez myśl Jacinta. Ale uznała, że to niesprawiedliwe i Samantha pewnie miała rację, że Stormtree denerwuje się, czego to Harden Hammond Cohen może się dowiedzieć z ich bazy danych.

– Ale druga jego sugestia – podjęła szefowa – brzmi, że Stormtree jest winne w najwyższym stopniu. Jeśli jego domysły są słuszne, to może udowodnić, że skumulowany efekt wdychania niewielkich ilości substancji rakotwórczych w długim okresie daje ten sam efekt, co znaczne spożycie w o wiele krótszym czasie. Po prostu dłużej trwa zatrucie jednostki, a objawy mogą się wydawać nieoczywiste.

– Dlatego nie ma nic w raportach medycznych, które sprawdzaliśmy wcześniej pod kątem objawów zatrucia? – spytała Charlotte.

– Tak – odparła Samantha. – Ktoś może zachorować, ale okazuje się to dopiero po dłuższym czasie. Hipoteza profesjonalisty mówi, że chociaż toksyny w powietrzu czystych pomieszczeń oscylują wokół prawnie dopuszczalnego poziomu przemysłowego, są i tak znacznie wyższe niż normy dopuszczane przez BHP.

– Chodzi mu o to – spytał David – że jego zdaniem nikt nie bierze pod uwagę efektu kumulacji?

Samantha kiwnęła głową.

Wszyscy patrzyli w milczeniu. Właśnie doczekali się swojego wielkiego przełomu.

Charles przeszedł teraz do wcześniejszej myśli Maddie.



– Oczywiście Stormtree ma dostęp do tej samej informacji co my. Można więc przyjąć, że dlatego próbują wpływać na naszych klientów. Widzą, że grozi im jakiś problem, i rozważają, jak by go obejść.

– Niemniej – odezwała się Maddie – wyobrażam sobie, że to może być część ich ogólnej strategii. Pierce Gray jest na tyle bystry, żeby próbować wyłgać się jak najmniejszym kosztem, jeśli myśli, że jego firma może być uznana za winną. Ta taktyka już zredukowała liczbę roszczeń. Ale odpowiada też przed swoimi akcjonariuszami, a oni nie chcą czytać w gazetach, że ich inwestycja zabija dzieci. Ten argument pojawi się w sądzie, a jeśli akcjonariusze uwielbiają dywidendy, nie będą chcieli ryzykować swojej reputacji.

– Prawda – przyznał Charles.

– Jest coś jeszcze. – Samantha uśmiechnęła się krzywo. – Każdy, kto jest wrażliwy, może zasłonić uszy. Toksykolog przestrzega, że pewnie zabije mnóstwo szczurów laboratoryjnych, by udowodnić swoją koncepcję, ale przeprowadzenie kontrolowanych badań, które utrzymają się w sądzie, może zająć sześć czy siedem miesięcy. Naciskamy na wyznaczenie daty posiedzenia, więc nie możemy się nagle cofnąć. To oznacza, że musimy wesprzeć te badania finansowo.

– A więc nie ma ciasta na święta – powiedział Charles. Ale jego słowa posłużyły raczej za wsparcie niż za ubolewanie.

– Jeśli wygramy – odrzekła Samantha – obiecuję, że wszyscy to odczują. Charles, mamy list do napisania. Dziękuję wszystkim.

Po ich wyjściu przy stole wybuchła wrzawa, a Tyler najbardziej dał upust swojemu entuzjazmowi.

– Mamy ich! – niemal krzyknął.

Ale podczas gdy wszyscy byli dość optymistyczni w swoich reakcjach, Yamuna zapytała:

– A co jeśli przegramy? Firma może upaść!

Marni Van Roon siedziała cicho przy stole po lewej od Davida Cohena, ani głośno nie reagowała, ani się nie wypowiadała.

– Tak – odezwała się teraz. – Musicie jeszcze przekonać dwunastu gniewnych ludzi.

Jej słowa trochę ostudziły zapał i wszyscy się rozeszli do swoich biur, zdając sobie sprawę, że do wygranej jeszcze daleka droga.

Maddie, pogrążona w rozmyślaniach, czy Stormtree zna pierwsze odkrycia ich toksykologa, otworzyła drzwi swojego pokoju i serce jej niemal stanęło. Na biurku, w przezroczystym celofanie, w tej samej charakterystycznej doniczce co za pierwszym razem, stała biała orchidea Christophera. Cudownie przywrócona do życia, miała trzy stopy wysokości. Kilka delikatnych kwiatów się rozwinęło, ale kilkanaście kolejnych czekało w pączkach na każdej łodydze. Na maleńkim bileciku, który Maddie znalazła w opakowaniu, widniały słowa: „Paloma. Obiecałam, że ją wyleczę, i oto wita Panią po powrocie. Całuski, Jimena”.

Maddie opadła na krzesło. Wpatrywała się we wspaniałe kremowe kwiaty, nie wiedząc, czy płakać, czy śpiewać. Storczyk tak właśnie wyglądał pierwszego dnia jej nowej pracy i niemal tak jak tego dnia, gdy zamknęła drzwi, udając się na tygodniowy urlop w styczniu. By powitać Chrisa. Mgła i teraz storczyk przywiodły jej na myśl Dzień Świstaka. Zupełnie jakby stanęła nad krawędzią i coś właśnie ją przeniosło nad nią, dając jej cień nadziei. Ale nagle ktoś, lub coś, jakby nakręcił wstecz zegar do czasu, gdy wszystko było doskonałe, pełne obietnic i bez bólu. Była młodą dziewczyną czekającą na spotkanie z ukochanym mężczyzną. Przez całe miesiące zegar stał, podczas gdy jej życie trwało w zawieszeniu. Teraz zegar znowu ruszył, a choć ona nie mogła zmniejszyć swojej traumy, to powracała do życia.

Wyszła stąd, poleciała do Borgo Santo Pietro, a gdy wróciła, zastała orchideę od Christophera w pełni sił. Maddie uszczypnęła się, bo sama uważała się za najbardziej racjonalną istotę na świecie, ale wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Pomyślała o Janusie, bogu drzwi i bram, przeszłości i przyszłości; i zastanawiała się, skąd orchidea znalazła się akurat w tym momencie na jej biurku, skoro Jimena nie mogła wiedzieć o powrocie

Maddie.

Bardzo długo przyglądała się roślinie – straciła poczucie czasu – jakby chciała utrwalić w głowie jej piękno. Nagle podjęła decyzję. Z czułością podniosła Palomę i zaniósła ją do recepcji, gdzie ostrożnie postawiła ją obok Teresy.

Ta spojrzała na roślinę ogromnymi brązowymi oczyma i uśmiechnęła się niepewna, co Maddie robi.

– W życiu nie widziałam piękniejszej – powiedziała. – Tu jest chyba ze trzydzieści pączków.

Maddie wiedziała, że Teresie pękło serce, iż przyczyniła się do zabicia storczyka kilka miesięcy temu. Przez jakiś czas ledwie mogła spojrzeć w oczy koleżance.

– To ta sama orchidea, którą prawie pogrzebałyśmy – wyjaśniła. – Ktoś wlał w nią miłość, dla mnie, i myślę teraz, że ona chce być obok ciebie, tu gdzie wszyscy będą mogli się nią cieszyć.

Oczy Teresy wypełniły się łzami, wyszła z za biurka, by uściskać Maddie.

– Dziękuję – zdołała z siebie wykrztusić, dopiero po chwili dodała: – Będzie tu stała taka piękna, dopóki nie zechcesz zabrać jej do domu. Obiecuję, że tym razem zadbam o nią jak należy.

Maddie uściskała ją z uśmiechem.

– A tak z ciekawości – dodała – kiedy ją dostarczono?

– Dzisiaj rano przywieziono ją z Florintas, parę minut po tym, jak weszłaś na spotkanie. Dostawca przedstawił się jako Enrique i prosił, żeby cię pozdrowić. Powiedział po hiszpańsku, że jego siostra wie, że wróciłaś, i uparła się, żeby przyniósł storczyk w pierwszej kolejności, przed wszystkimi innymi dostawami. Zaproponowałam mu pięć dolarów napiwku, ale odmówił.

Maddie kiwnęła głową i ruszyła z powrotem do swojego biura, ale jeszcze się odwróciła.

– Nazwała ją Paloma, tak swoją drogą, bo ma gołębi kolor.

– No i gołąb to ptak Marii Magdaleny – odparła Teresa.

– A tego nie wiedziałam – powiedziała Maddie cicho.

Do oficjalnego końca dnia pracy jeszcze trochę zostało, ale Maddie uznała, że może już wyjść, skoro wszyscy zaczęli tak wcześnie. Zadzwoiła do Marilu, Nevy oraz pozostałych klientów, których w weekend odwiedziła, i zapewniła, że nie powinni panikować z powodu ubezpieczenia zdrowotnego, a Samantha i Charles zakończyli pismo do kancelarii Gordona Hugo. Samantha chyba potrzebowała łyku świeżego powietrza, bo udała się na spotkanie z siostrą, zaznaczając, że Maddie może pojechać do domu dokończyć rozpakowywanie, jeśli chce.

Dziwnie zamyślona Maddie szła przez Market Street, ze słońcem, a nie z mgłą w głowie. Wiedziała doskonale, dokąd się kieruje. Minęła Montgomery, Trzecią ulicę, ciągnęło ją do tego małego sanktuarium, które zawsze podnosiło ją na duchu, choćby nie wiadomo jak czuła się przybita. Dzisiaj była w niezwykłym nastroju i chciała odetchnąć zapachem bzów i irysów Jimeny.

Widząc właścicielkę przed wejściem do zakątka rozkoszy, pomachała jej z uśmiechem. Kwiaciarka też jej pomachała, ale gdy Maddie dzielił od niej tylko krok, ta odwróciła tabliczkę z „Otwarte” na „Zamknięte” i ściągnęła żaluzję. Maddie się zmieszala, aż nagle drzwi się otworzyły, a Jimena chwyciła ją za rękę, wciągnęła do środka i zamknęła za nią. I teraz uściskała z całej siły.

– Zamykam specjalnie, w tej chwili, bo pani tu jest. Może mi pani wszystko opowiedzieć. – Jimena uśmiechała się szeroko do swojej klientki, odsuwając ją na odległość wyciągniętych ramion. – Wygląda pani jak nowo narodzona. Coś się zdarzyło we Włoszech.

Maddie nie była gotowa na rozmowę o sprzecznościach, które nią targaly. Wciąż żywo i silnie odczuwała stratę Christophera, chociaż przyznawała przed sobą, że nie jest zupełnie ślepa na rodzące się przywiązanie do Sorena. Ale Jimena jakby miała moce osoby nad wyraz spostrzegawczej i pełnej empatii.

– Tak, dusił mnie pewien ciężar – odparła z uśmiechem – i Włochy, wszyscy ludzie, których tam poznałam, i sam ten kraj, sprawiły, że trochę się zmniejszył. Podobno w dolinie, w której gościłam, setki lat temu ukazał się Archanioł Michał i wydarzyły się tam wówczas cuda. Nie wiem, czy w to wierzę, Jimeno, ale jeśli chodzi o Palomę... to cud. Skąd wiedziała pani, że wróciłam? Nawet nie umiem wyrazić, jak to na mnie wpłynęło, że ona się dzisiaj pojawiła w moim biurze. Tak bardzo pani dziękuję, że ją pani uratowała.

– Cuda? Nie! No, może małe – odparła kwiaciarka. – Musi pani wierzyć. Mówiłam, że wsadziłam ją między przyjazne rośliny, które pomogą jej odzyskać siły. Nie wiem czemu, ale wiem, że jeśli wsadzę razem właściwe rośliny i odmówię modlitwę, to one jakby się robią szczęśliwe i o wiele lepiej rosną.

Maddie mgliście przypomniała sobie, jak jej ojciec wspominał o allelopatii. Magia czy nauka? – zadała sobie pytanie. Rozejrzała się po sklepie i zastanowiła, czy istnieje też ludzki odpowiednik allelopatii. Pomyślała, że Jeanette nazwałaby to efektem Borgo: tam wszystko wydawało się takie żywe i wspaniałe, jakby pomiędzy ludźmi i miejscem oddziaływała jakaś alchemia.

– Jimeno, chcę wysłać kwiaty przyjaciółce, u której się zatrzymałam we Włoszech. Rozumiem, że nie mogą pochodzić od pani, ale może wie pani, jak znaleźć właściwego agenta po drugiej stronie?

– Nie wiem, co jest najlepsze ani co jest dostępne, señorita Maddie, ale podzwonię i może pogadam na necie z przyjaciółmi, i zobaczymy. Ile chce pani wydać?

– Nieważne. Oni poniekąd ocalili mi życie! Wydam, ile trzeba, żeby znaleźć dla nich coś wyjątkowego. Jeanette uwielbia kwiaty. Zastanawiam się... może znalazłaby pani coś, co by się nadawało do ogrodu jednoroźca? – Maddie zadała to pytanie trochę z zakłopotaniem.

– *Seguro*, oczywiście – padła odpowiedź. – Chodzi pani o bardzo naturalne kwiaty. Nie jestem pewna, czy o tej porze znajdę kwiaty

granatowca, które tradycyjnie by się nadawały, ale może jakieś irysy, które reprezentują Marię Dziewicę i bodajże Florencję. Znajdę pani coś magicznego dla pani znajomych – entuzjasmowała się Jimena.

Maddie była zdumiona jej sugestią. Pomysł, że istnieje cokolwiek tradycyjnego, jeśli chodzi o ogród jednorożca, całkowicie ją zaskoczył. Uśmiechnęła się jednak tylko, otworzyła portfel i wyciągnęła kartę kredytową.

Jimena powstrzymała ją ruchem dłoni.

– Proszę się nie martwić, następnym razem powiem, ile to kosztuje. Załatwię wszystko wieczorem z domu. Kwiaty powinny dotrzeć na miejsce w środę.

– A co z orchideą? – spytała Maddie. – Muszę za nią jakoś zapłacić, tyle czasu jej pani poświęciła.

– *Nada*. – Jimena pokręciła głową. – To była pomoc, żeby zagoić pani serce. To było *regalo*, prezent ode mnie i od pani Chrisa, którego na pewno nigdy pani nie zapomni, nawet gdy nadejdzie czas pomyśleć o innych rzeczach. Niech pani weźmie wszystko co najlepsze z tego, czego miała szczęście doświadczyć, ale w końcu zostawi ból i idzie dalej.

Maddie w zamyśleniu kiwnęła głową, a potem spytała:

– Skąd wiedziała pani, że dzisiaj wracam?

– Maddie – powiedziała natomiast Jimena – ma pani stracha, że stanie się coś złego, jeśli będzie pani tego za bardzo chciała. *Querida*, musi pani mieć trochę wiary, i siły, żeby próbować tego, co chce. Po bolesnym przeżyciu, zawodzie miłosnym najważniejsza ze wszystkiego jest nadzieja. A pani nikt nie porzucił, Maddie, pani była naprawdę kochana. Gdyby miłość sama w sobie wystarczała, nadal by pani miała swojego Chrisa. Ale pani nie może czekać, aż coś się przydarzy w pani życiu. Musi być pani gotowa wyjść mu naprzeciw, chcieć tego.

Jak na jeden dzień Maddie poczuła się przeciążona, więc powróciła do swojego przyjemnego pytania.

– Daj spokój, Jimena, powiedz mi. Zaczynam myśleć, że ma pani szósty

zmysł. – Próbowala się roześmiać, gdy kwiaciarka delikatnie wypychala ją na dwór.

– No bo mam, Maddie – odparła. – Oczywiście, że mam. Ale w tym akurat nie ma żadnej zagadki. Pan Gray mi powiedział.

## 24 LUTEGO 1348 ROKU, SAN GALGANO, TOSKANIA

Dwa szykowne, niemal czarne hiszpańskie konie ruszyły oblodzonym szlakiem pielgrzymiej drogi, wijącej się ku opactwu San Galgano. Ciągnęły niewielki wóz, który wiozł ciało Ranuccia Allegrettiiego, biskupa Volterry.

Chociaż lekki śnieg, który spadł w nocy, sprawił, że grunt był trochę trudniejszy do przebycia pieszo, kondukt oddanych żałobników podążał za karawanem o zachodzie słońca. Jacquetta i Gennaro na przedzie, Porphyrius z Agnescą i Mią kilka kroków za nimi, a Cesaré i dwóch innych ludzi biskupa zamykało grupę. Pozostali służący odbywali kwarantannę w pokojach przy stajni, mały Luccio zaś pozostał w willi pod opieką Alby.

Nikt nie wypowiadał ani słowa, a Mia wręcz od trzech dni, od śmierci biskupa, nie odezwała się chyba ani razu. Nie była w stanie unieść zwieszanej głowy. Mogłaby to wyjaśnić tak, że śledziła przeszkody na śliskiej drodze; ale gdyby chciała być szczerą, przyznałaby, że to rozpacz. Tak niewiele brakowało do pogodzenia się z prawdą o sobie, jakby odsłonięcie przeszłości mogło zmienić jej przyszłość. Teraz poczuła przerażenie, że wie, lęk przed wiedzą, jak to się stało, że jest córką wroga jej rodziny, tyrana Volterry, jak wielu go nazywało. Trwogą napełniała Mię myśl, że jest fizycznie związana z kimś takim, a to nasunęło podejrzenia co do śmierci jej matki z rąk miejskiego strażnika. Wszystko, co wcześniej dawało nadzieję, teraz zostało wymazane, a pełnego wyjaśnienia pewnie nigdy nie pozna. Czekala całe lata na posłuchanie u człowieka, który był jej opiekunem – jak się wydawało, jej ojcem. Teraz sposobność nadeszła zbyt późno i już nigdy go lepiej nie pozna.

Gdy pokonywali zakręt, Mia pomyślała ze smutkiem, że jednorożce ją



opuścili. Już nigdy ich nie zobaczy w lesie pomiędzy domem a opactwem. Wiedziała, że jednorożce ukazują się tylko osobom zacnym, cnotliwym i może komuś, kogo sobie wybiorą. Teraz to już nie może być ona. A jej poczucie, że jest zdolna unieść wszystko, co ją czeka, zostało podkopane, jej siła się załamała. Rozumiała doskonale, dlaczego dostała imię po grzesznej Magdalenie. Jej celem będzie życie w posłuszeństwie i pobożności; resztę swoich dni musi poświęcić powinności wobec innych. Jej nastrój w końcu się poprawi, nie wątpiła w to, ale prawdy o tym, kim jest, nie da się zmienić. Jakkolwiek mili mogą być inni ludzie, ona będzie walczyć z tą obcą częścią siebie i świadomością, że jest nieprawym dzieckiem Ottaviana Belfortego.

Te myśli nacierały na nią z taką siłą, że nie zauważyła, iż wszyscy się zatrzymali. Konie na przedzie zwolniły, a ona stwierdziła nagle, że szepcze. Zastanawiała się, czy któryś z koni zgubił podkowę, czy też koło utknęło w zaspie śniegu na zakręcie.

– Patrz, Mia!

To głos *la raggii*, która podeszła do niej, chwyciła ją za ramię i wyciągnęła rękę w górę, by i Mia tam spojrziała.

Powoli podniosła głowę. Z początku widziała tylko światło. Niedawno minęła trzecia po południu, więc w zimowy dzień, taki jak ten, za godzinę powinno się zacząć ściemniać. Ale Mia stwierdziła, że świat wokół niej wydaje się bardzo jasny, od śniegu odbija się różowy poblask, gdy spojrziała poprzez drzewa w kierunku opactwa. Następnie spojrziała w twarz Agneski, która wydawała się zarumieniona, i wzrokiem podążyła za jej wyciągniętym palcem w stronę willi, skąd nadeszli. Gdy całkiem się odwróciła, zobaczyła słońce w białopomarańczowej kuli intensywnej jasności właśnie chowające się za horyzontem. Ale widok, który przyciągnął wzrok wszystkich obecnych, rozpościerał się po obu stronach tej kuli. Po lewej i prawej, na tej samej wysokości co słońce, widać było dwa inne słońca, każde niemal równie silne, promienne i piękne jak prawdziwe słońce. Wszystkie ukazywały się zza cienkiej jasnioletowej

chmury, która wisiała pomiędzy ziemią a niebem. A wielkie halo – widoczne jak na dłoni – rozpinało się pomiędzy pomarańczową kulą po jednej stronie a pomarańczową kulą po drugiej. Tworzyło to piękny krąg wokół lśniącej kuli pośrodku. Ale które słońce było prawdziwe? – zastanawiała się Mia.

– Arystoteles wspomina o dwóch fałszywych słońcach wznoszących się z prawdziwym i pozostających cały dzień do zachodu – Gennaro wyraził na głos niedowierzenie Mii. I jego, jak wszystkich, ten widok tak zaskoczył, że nie potrafił oderwać wzroku od zjawiska.

– Słyszałem, że to zły znak – rzekł jeden z ludzi biskupa głosem zdradzającym przerażenie – albo że pogoda się zmieni, że nadejdzie burza.

– Ale ja myślę – odezwała się Agnesca łagodniej, kierując swoje słowa do Mii – że to znak, że wasza Trójca Święta czuwa nad biskupem. I że przeszłość, terażniejszość i przyszłość są jednym. – Ścisnęła ramię przyjaciółki. – To dobry znak, Mia. Coś się kończy, ale toruje drogę czemuś promiennemu.

Mia uśmiechnęła się do Agneski. Nie wyjawiała swoich wątpliwości, samoudręczenia i bólu. Ale Agnesca zawsze wykazywała się niesamowitym współczuciem, jeśli chodzi o nią, i świadomością tego, co ją nęka. Uścisnęła jej ramię i odwróciła się, by ponownie spojrzeć na trzy lśniące słońca, dłonią osłaniając oczy przed blaskiem. Rzeczywiście były piękne, strzegły podejścia do Valle Serena, poczuła, że to błogosławieństwo móc je oglądać. Ale najdziwniejsze wydało się jej, że to zjawisko pojawiło się akurat tego dnia. Był 24 lutego roku 1348, dzień, który zdarzał się dwa razy. Nazajutrz wypadał dodatkowy dzień, gdy data była taka sama, i oto trzy słońca patrzyły na ostatnią ziemską obecność człowieka Kościoła. Mia poczuła, że stoją poza czasem, w miejscu, w którym nie da się przyłożyć ani kalendarza, ani fizycznej miary świata, i choć nie do końca ten znak rozumiała, wierzyła głęboko, że obwieszcza on coś bardzo ważnego.

– To Janus dla ciebie, *la raggia* – wyszeptała. – To zjawisko to pan nieba, który patrzy przed siebie i za siebie; strażnik początku i końca.

Agnesca kiwnęła głową.

– Zastanawiam się – dodała – czy jego żona pojawi się na nocnym niebie.

W końcu grupa ruszyła powoli w ślad za końmi, kontynuując drogę do opactwa.

O wpół do czwartej 24 lutego ciało Ranuccia z Volterry zostało złożone w ziemi, wielce uroczystie, w opactwie San Galgano. Tutaj, na koniec życia naznaczonego wygnaniem i zamętem politycznym, znajdowało się miejsce pokoju, w którym biskup pragnął się znaleźć. Prostota budynku stanowiła wymowne tło dla poważnych żałobników. Choć żaden z mieszkańców Villa Santo Pietro nigdy nie widział w kościele Agneski Toscano, teraz dołączyła ona do przyjaciół z szacunku dla człowieka, którego właściwie nie znała, ale który tyle znaczył dla jej przyjaciół. Wszyscy się zebrali z brodatymi *conversi* w chórze braci świeckich w nawie głównej. Podzieleni we własnych stallach mnisi śpiewali pełne requiem i *Nunc dimittis*, by Pan uwolnił Ranuccia od więzów, które łączyły go z tym światem. W czasie całej ceremonii pogrzebowej upierne światło z trzech słońc oświetlało różowe okno po zachodniej stronie kościoła i rzucało w nawie długie cienie. Mię, choć serce miała złamane, poruszyło melodyjne piękno kantyku i nieziemskiego światła i wierzyła, że Archanioł Michał obwieścił swą obecność im wszystkim i patrzył, gotów unieść duszę biskupa do nieba.

Godzinę później trio słońc rozplynęło się w krwistoczerwony horyzont.

Jacquetta, wraz z Mią i Gennarem, siadła przed ogniem w domu dla gości, czekając, aż zgodnie z obietnicą dołączy do nich opat Angelo. Był obecny przez część mszy żałobnej, ale wyszedł w trakcie *Pie Jesu Domine*, co Jacquetta uznała za niezwykle. Ranuccio był dobroczyńcą opactwa i przyjacielem opata i jego wyjście w trakcie nabożeństwa żałobnego za duszę biskupa zatroskało ją.

Agnesca i Porphyrius przez jakiś czas stali przy oknie, chcąc okazać grzeczność opatowi, ale też bardzo już chcieli wrócić do Luccia. W końcu

odeszli. Porphyrius pomógł żonie włożyć płaszcz i wyszli z domu gościnnego, by ścieżką wrócić do willi, zanim nastanie mrok. Gdy jednak dotarli do furty, usłyszeli dzwon dobiegający natarczywie z kampanili. Po nim nastąpił pospieszny tupot stóp w miejscu, z którego właśnie wyszli. Spojrzeli po sobie, bez słów zawrócili i popędzili z powrotem do domu dla gości, oddzielającego przybyszów od tych, którzy swoje życie poświęcili opactwu.

Agnesca podniosła zasuwę i pchnęła drzwi akurat, by zobaczyć, że przeor rozmawia z Jacquetą. Ktoś z zewnątrz może nie uznałby jego wieści za zbyt niepokojące: opat źle się czuł, zdjęła go gorączka, miał zawroty głowy i musiał się położyć. Prosił grzecznie, by jego goście dali mu ze dwa dni, nie żywiąc urazy. Zimą takie dolegliwości były na porządku dziennym, niemniej przesyłał przeprosiny.

Mieszkańcy Villa Santo Pietro spojrzeli po sobie, w przeciwieństwie do przeora zdawali sobie sprawę, co się stało.

– Wiem, że nie jest przyjęte w waszym opactwie, przeorze Lodovico – odezwała się grzecznie Jacquetta – by kobiety wchodziły do klasztoru czy do dormitorium ani żeby zatrzymywały się na noc, chyba że w obliczu zagrożenia. Ale opat Angelo zapadł być może na tę samą chorobę, która zabiła biskupa Ranuccia. I jeśli będziecie mądrzy i elastyczni, w interesie wszystkich braci będzie, by signorę Toscano lub mnie dopuszczono do opata, byśmy zbadały jego stan.

Przeor osłupiał. Mieli własnych medyków. Surowe reguły zakazywały obecności kobiet w obrębie klasztoru, i on ciągle pamiętał, jak to kobietom nie było wolno wchodzić do kościoła nawet na modlitwę ani spożywać mięsa w opactwie. Opat Angelo przyjął zmianę i ustąpił Jacquetcie i innym szlachtetnym damom z majątków wokół opactwa. W ogóle pozwolił kobietom na wstęp do kościoła. Pewnej granicy jednak nie należało przekraczać. Swoją opinię przeor Lodovico przedstawił Jacquetcie, cały czas zwracając się również do Gennara, jakby odwoływanie się do jego zdrowego rozsądku miało zwyciężyć. Jacquetty

jednak nie dało się odwieść. Przekonywała łagodnie, jakiej pomocy opat potrzebuje – co może zapewnić, powiedzmy sobie szczerze, zdrowie wszystkim mnichom i braciom świeckim, jeśli ona ma rację i opat zapadł na zarazę z portów. Przypomniała przeorowi ich spotkanie kilka miesięcy temu, gdy rozmawiali na temat tej choroby. Uzgodnili wówczas, że może do jej zwalczenia należy przedsięwziąć wyjątkowe środki ostrożności. W końcu go przekonała i gdy pozostali żałobnicy wrócili do Villi Santo Pietro, ona wraz z Agnescą zostały zaprowadzone do domu opata.

I tak w wigilię dodatkowego dnia i w dniu ukazania się trzech krwawych słońc opactwo stało się świadkiem wizyty dwóch kobiet w strefie zamkniętej i w prywatnych apartamentach opata.

Nikt do końca nie wiedział, jak i dlaczego opat zaraził się chorobą. Agnesca wysuwała teorię, że musiało się to zdarzyć w czasie wizyty u umierającego biskupa albo u któregoś z jego chorych sług – może przez oddech. Ale w tym wypadku, zastanawiała się, dlaczego choroba nie dopadła ich wszystkich?

Niezwykłe ją zainteresowało świadectwo jednego z medyków zakonnych, brata Melaniego. Opowiedział, że ledwie dzień wcześniej podał opatowi maść na szczególnie zjadliwie wyglądające ukąszenie owada. Opat Angelo narzekał, że jest nadzwyczaj swędzące i opuchnięte. A że nie była pełnia lata, gdy grząskie pola poniżej opactwa przynoszą im kłopot w postaci komarów, opat uważał, że został ugryziony przez coś po otwarciu pakunku cennych szat, które biskup Ranuccio powierzył mu tej nocy, gdy leżał umierający. Były to jedwabie nabyte w Pizie, a miały się składać na wiano i ślubne szaty Marii Maddaleny, a także na trzy kolejne wiana dla biedniejszych dziewcząt z okolic Chiusdino i Monticiano. Szlachta i duchowni występowali w roli takich dobroczyńców, tak aby niemajątkne młode kobiety mogły wyjść za mąż. Ranuccio, zbyt chory, by odegrać tę rolę, pozostawił opatowi obowiązek znalezienia odpowiednich beneficjentek. Brata Melaniego uderzyło to, że nałożył maść na rejon bliski temu, gdzie teraz pojawiły się krosty na łokciu opata.

Jacquetta i Agnesca niewiele mogły braciom doradzić w kwestii czystości w klasztorze: ich kwatery były niemal równie surowo przygotowane jak te w Villa Santo Pietro. Ale postarały się uleczyć gorączkę opata, wzmocnić jego serce odpowiednim środkiem i opatrzyć obrzmienia, tak jak im się udało u Gennara, lecz nie u biskupa Ranuccia. O dziwo zdołały także przekonać przeora i brata Melaniego, by dom opata poddać kwarantannie.

Przez tydzień dzieliły obowiązek pielęgnowania go z dwoma medykami zakonnymi, którzy nigdy nie odchodzili. Udawały się tylko na spoczynek do domu gościnnego – dla zachowania przyzwoitości – i Agnesca chodziła rano i wieczorem karmić Luccia. Wreszcie opat zaczął wykazywać oznaki powolnego zdrowienia. Jego siły wydawały się poważnie nadwątlone, więc w drugim tygodniu Agnesca wprawiała braci w osłupienie, żądając, by przestrzeganie postu, który właśnie się rozpoczynał, odłożyć do chwili wyzdrowienia opata. Upierała się, że potrzeba mu czegoś więcej niż bulionu warzywnego, ażeby nabrał sił. I chociaż przeor i szafarz klasztorny byli przerażeni, ostatecznie się zgodzili.

Dwa tygodnie od dnia ukazania się trzech słońc można było uznać, że opatowi nic nie grozi. Cztery dzwony zabiły dziękczynnie z kampanili, a Agnesca opuściła opactwo, by wrócić do męża i syna.

#### KWIECIEŃ 1348 ROKU, SAN GALGANO, TOSKANIA

Ostatni tydzień marca był łagodny, potwierdzał starą mądrość ludową, że jeśli początkowa część miesiąca jest łagodna jak owieczka, to koniec będzie gwałtowny niczym lew – i odwrotnie.

Pogodny Gennaro wyjechał do Voltery na początku miesiąca, by załatwić sprawy rodzinne po śmierci wuja. Nie zdążyli jednak za nim zatęsknić, ponieważ w dniach przed Wielkim Tygodniem do willi zaczęli napływać pielgrzymi szukający noclegu. Podróżnicy pojawiali się na drogach, pomimo pogłosek o strasznej chorobie, która nękała nadbrzeżne miasta od północy Włoch po południe, a teraz dotarła do Marsylii. Zarówno kupcy, jak i zwykli obywatele padali ofiarą pełzającej zarazy: choroba

zaatakowała bramy dumnych grodów Lukka i Bolonia i wyladowana została z kupieckich wozów w Modenie i Pistoii. Na traktach szerzyła się pogłoska, że do Wenecji wdarła się zaraza tak zabójcza, iż matki porzucały dzieci, a żony mężów, że stosy martwych ciał leżały w rowach, a choroba przenosi się przez oddech i spojrzenie. Ale co mogą zrobić podróżujący, jeśli już są w drodze?

Jacquetta i jej domownicy zaostrzyli środki ostrożności. Gości poddawali kwarantannie w pokojach przy stajniach i przerobili kolejne dwa pomieszczenia, które na co dzień służyły służbie, teraz przeniesionej na poddasze willi, obok Mii. Wyciągali balie dla wszystkich przybywających i nalegali na użycie do mycia ostrzejszych mydeł na sodzie; zmieniali posłanie i dodawali hizopu do cedrowych ostrużyn na podłogach, jakby spodziewali się, że zapukają do ich drzwi wszystkie głowy panujące Europy.

W dzień przed Wielkim Czwartkiem – w tym roku wypadającym późno – rankiem przybyła wiosna w pełni, drzewa obsypały się pąkami. W nadzwyczajnym geście opat Angelo wysłał do Jacquetty jednego z braci świeckich, żeby zaprosić na uroczystość ją i Marię Maddalę, a Porphyriusa Toscano i oskarżoną o herezję panią Agnescę, jego żonę, do domu gościnnego opactwa na jutro, by spożyli z nim obiad i świętowali koniec Wielkiego Postu. Może Jacquetta sama rozumiała, co to zaproszenie oznacza: gest najwyższej tolerancji i uprzejmości ze strony człowieka, który zawdzięczał życie oskarżonej młodej kobiecie z Volterry.

Gdy przybyli tuż po dwunastej w Wielki Czwartek, bicie dzwonów opactwa niosło się przez Valle Serena, kończąc sekstę i zwołując braci do refektarza. Łuki bram i drzwi do gościńca były obwieszane białym kwieciami grusz i drzew brzoskwiniowych.

– Wspaniały grób cesarza Hadriana na brzegach Tybru – zaczął opat Angelo, witając ich przy drzwiach – osiemset lat temu stał się miejscem cudu. W scenie, której świadkiem były tłumy Rzymian, pojawił się Archanioł Michał, tańcząc w kręgach światła i ognia na dachu mauzoleum.

Widziano, jak chowa miecz do pochwy i przynosi łaskę Rzymowi, kończąc straszliwą plagę Justyniana, która zabiła niemal połowę mieszkańców. Od tego dnia budynek ów nosi nazwę Zamku Świętego Anioła.

Opat zatrzymał konwersa czekającego na uboczu i sam przyniósł wino na tacy ze stołu refektarzowego. Wskazał swoim gościom, by siedli przy wielkim palenisku – zbyt gorącym jak na ten dzień – a gdy Mia wzięła swój puchar, podniosła wzrok, by spojrzeć na opata Angela, który stał przed nią. Pomyślała, że wygląda na zmęczonego, ale zdecydowanie żywo; a w jego uśmiechu znać było dobry humor.

– Ja chyba zostałem równie zaszczycony – ciągnął tonem, który Mię zaintrygował – odwiedzinami trzech słońc i pojawieniem się dwóch miejscowych świętych, które dopilnowały mojego wyzdrowienia.

Wziął kielich wina z tacy i własnymi dłońmi podał go Agnesce, dodając:

– Witaj i przyjmij moje podziękowania.

Sugestia nie umknęła Agnesce.

Mia uśmiechnęła się do siebie, gdy podano do stołu pierwsze danie. To, co konwersi nazywali daniem biesiadnym, było zwykłym gotowanym drobiem bez przypraw czy sosu, przybranym galaretką z nieszpułki i kilkoma warzywami korzeniowymi. Refektarz cystersów był zupełnie pozbawiony ozdób. Mia patrzyła na to ze zdziwieniem, bo przecież mnisi posiadali wiele ziemi, opat winnicę, z której właśnie pili wino, pola uprawne, piece do wytopu żelaza i dostęp do wody, dzięki której świetnie prosperowali. Konie mnichów były cenione i sprzedawane arystokracji i wyższym sferom w całym kraju; a ich bydło – okazała biała chianina hodowana tu, na wzgórzach wokół Sieny – słynęło poza włoskim półwyspem. A jednak bracia jakby woleli żyć wstrzemięźliwie. Mia długo będzie pamiętała wspaniałość stołu ciotki – wyśmienite jedzenie przygotowane przez Loredanę i Albę – w porównaniu z obiadem u takiego gospodarza jak opat San Galgano. Ale tacy właśnie byli cystersi, i wcale nie okazywali braku szczodrości ze swej strony.

Gdy świecki brat zaczął uprzętać ze stołu półmiski z drobiem, drzwi



ponownie się otwarły i Mia uśmiechnęła się mimowolnie, albowiem pojawiła się w nich umiłowana twarz.

– Proszę mi wybaczyć, wasza miłość. Pogoda jest wyjątkowo piękna i myślałem, że podróż z Volterra okaże się łatwa.

Ubrany w odzienie świetniejsze, niż Mia kiedykolwiek na nim widziała, Gennaro podszedł do opata i skłonił głowę, po czym zwrócił się do Jacquetty przeprosić, że im przeszkadza, skoro posiłek już się zaczął. Dyskretnie ucałował Agnescę i Mię, po czym przyniesiono mu wodę do obmycia rąk. Zajął miejsce naprzeciwko opata, po drugiej stronie stołu.

– Nie odpoczywałem i szybko dotarłem do Casole – powiedział, biorąc niewielką porcję drobiu, którą mu podano. – Ale tam się dowiedziałem, że pomór dotarł do Florencji, gdzie sieje straszliwe spustoszenie. Z tego powodu są nieufni wobec wszystkich podróżnych w Val d’Elsa; ale od przyjaciela dowiedziałem się, że choroba mogła też dotrzeć do San Gimignano.

– W takim razie niedaleko jej do Volterra albo i do Sieny – powiedziała cicho Jacquetta. – Co możemy zrobić, by ją powstrzymać?

– I cóż to jest za nienazwane szkaradziejstwo? – spytał Gennaro. – Zupełnie jakbyśmy stali na skraju wielkiej przepaści.

Cała ryba w cieście pojawiła się na stole i wszyscy czekali, aż zostanie pocięta i podana przez braciszków.

– Trudno ją do czegoś przyrównać – odezwał się opat Angelo po tym, jak tamci opuścili pomieszczenie. – Jeśli to gniew zesłany na nas przez Boga, jak sugeruje opat Claudio z Pizy – i z czym zgadza się przeor – to czy cierpimy za osobiste grzechy, czy za zbiorową grzeszność? Jeśli to prawda, to dlaczego Ranuccio, dobry człowiek, poświęcił swoje życie za bezbożny lud, a mnie oszczędzono?

Agnescę zafascynował pomysł, że Bóg się gniewa na swój lud i karze go. Nigdy nie czuła solidarności z Bogiem, którego nie mogła zobaczyć ani na którego istnienie nie widziała żadnego dowodu; Boga, którego nie chciała wychwalać, gdyby rzeczywiście zrobił wszystko, co mu

przypisywano, który uważał kobiety za mało ważne. Jeśli wszyscy ludzie byli Jego dziećmi i zostali Przezeń stworzeni, to bardzo chciała zrozumieć, dlaczego tyłu zaniedbuje. Żaden rodzic tak faworyzujący wybranków nie zasłużyłby na pochwałę.

Chociaż kobieta wyrażająca swoje zdanie przy stole gospodarza była zjawiskiem niespotykanym, Agnesca poczuła się ośmielona, by podzielić się swą myślą z opatem.

– A więc to przez wiarołomstwo, wasza miłość? – spytała delikatnie. – Jak u Filistynów, którzy wedle Biblii zostali dotknięci plagą myszy i guzów, całe miasta zdają się teraz cierpieć? Czy to jakaś do tej pory nieokreślona wina w sercu chrześcijaństwa? Bo jeśli o mnie chodzi, nie wierzę, że choroba to próba, na którą ludzi wystawia Bóg, by sprawdzić ich wiarę, ani kara za odstępcze zachowanie. Uczyła mnie znachorka, która starała się obserwować pacjentów i która wykluczała nadnaturalne przyczyny chorób.

Opat Angelo spojrział na ślicznego adwersarza. Signora Toscano dość go interesowała, świadom był aury tajemniczości, która ją otacza. I jako żywo pamiętał swoją rozmowę z Jacquetą sprzed roku, która jej dotyczyła. Nigdy świadomie nie podejmował nikogo, kto by wyznawał religię tak inną niż jego własna albo nie wyznawałby wręcz żadnej, ale przyciągała go jej uroda, szczerść i inteligencja, jak również łagodność i determinacja. Nie podobał mu się system społeczny, który pozwalał rodzicom narzucać dzieciom duchową dewocję, na której narzucenie sobie pozwalał zbyt słaby charakter. Domy cysterskie nigdy nie przyjmowały dzieci. I od dawna się zastanawiał, dlaczego dyktaty prawa kanonicznego, że dwoje ludzi może wybrać siebie nawzajem na męża i żonę, mogą być tak rażąco lekceważone przez cywilny zwyczaj i zawiść rodziny. Uważał zatem, że ta kobieta ucierpiała niesłusznie.

Jeśli chodzi o jej wybór religii, jeśli Bóg ją wyznaczył jako swoją znachorkę, jak on, Angelo, mógł krytykować wolę Bożą? Jeśli ona błagała o uwolnienie z uwięzienia i tortur w imię naszego Pana, a wiatry się

zerwały i odpowiedziały jej, śpiewajmy jej modlitwy i uznajmy ją za kolejną Agnieszkę lub Barbarę.

– Może nie mamy tyle racji, ile nam się wydaje – odrzekł jej w końcu – a nasze widzenie świata nie jest ani doskonalsze, ani mniej heretyckie niż to ze Wschodu, które zagorzale potępiamy. Zamknęliśmy swój umysłowy świat, odkąd ludzie wyruszyli na krucjatę, i trzeba nam przypomnieć o pokorze. Kto zna boski zamysł? Bo jeśli nasi pobratymcy reprezentują ostatni bastion prawdziwej wiary, to jak mamy rozumieć gniew Boży skierowany tak wyraźnie przeciwko nam?

Agnescce zamknęły usta jego szczere wątpliwości i pytania. Od jakiegoś czasu czuła rozgoryczenie, że ci, którzy próbowali ją nagiąć do doktryny chrześcijańskiej – jej rodzice i kapłani, i miasto Volterra – grozili jej i ją torturowali. Ich przesłanie o miłości Chrystusa było skalane zapowiedzią bólu i śmierci, w razie gdyby się nie podporządkowała. Nie było innego języka niż nienawiść, a pewność ich stanowiska Agnesca odbierała jako przygniatającą. Ale opat mógł – jak Mia i Jacquetta – służyć za przykład tym, których religia zachęcała do aktów dobroci, a nie tworzenia podziałów.

Po łososiu podano owoce, a gdy ucichł brzęk sprzątaných naczyń, Agnesca postanowiła udzielić odpowiedzi opatowi. Tymczasem to on się jednak odezwał.

– Żeby wyrazić szacunek dla pani, *monna* Agnesca – zaczął niepewnie – czy mógłbym przeprowadzić uroczystość zawarcia małżeństwa pani i signora Toscano?

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na niego. Mia odłożyła gotowaną gruszkę i patrzyła to na Agnescę, to na Porphyriusa. Coś takiego każdy z nich rozważał, ale nikt o tym głośno nie mówił.

– Jako że czuję pewność – dodał opat taktownie – że żaden kapłan ani notariusz w Volterze nie ośmielił się zlekceważyć władzy ani woli waszych rodziców, by sformalizować wasze osobiste śluby.

W kąciuku oka signory Toscano zaczęła się tworzyć ła. Ta propozycja

mogła jej śluby z Porphyriusem uczynić prawnie wiążącymi – a ona by chciała to dla niego zrobić. Niemal niezauważalnie kiwnęła głową. Tak: zgadza się!

W ospałym popołudniowym słońcu Wielkiego Czwartku Agnesca – niosąc naręcze niebieskich irysów zebranych tam, gdzie się od nich roilo w ogrodach opactwa – wspięła się na wzgórze z Porphyriusem i przyjaciółmi do maleńkiej kapliczki San Galgano. Na wypadek gdyby tę uroczystość odbierała jako ustępstwo wobec moralności, pocieszyła się, że niewielka pustelnia miała wiele wspólnego z etruską świątynią, co doskonale odpowiadało jej religii. I wobec Jacquetty i Mii jako jej świadków, a Gennara jako świadka Porphyriusa, opat pobłogosławił ich związek w trakcie krótkiego nabożeństwa. Gennaro, który w tajemnicy przygotował się na tę okazję, wyjął pierścionek przywieziony przezeń z Volterry. Nagle Porphyrius pocałował pannę młodą. Na koniec para wyszła na trawiasty taras, gdzie Jacquetta i Mia zasypały ich kwieciami z sadu opata.

Agnesca uśmiechnęła się promiennie do Mii – najbliższej siostry, jaką miała na świecie – i z czcią podała jej irysy.

– Zapewniam cię, że ty będziesz następna – powiedziała.

Niewzruszona pewność przyjaciółki przyprawiła Mię o rumieniec. Ale żadna z kobiet nie wiedziała, że to, co miało wydarzyć się w opactwie w ciągu najbliższej godziny, sprawi, że udadzą się w podróż, która zmieni ich życie i związek na lata.

6–7 WRZEŚNIA 2007 ROKU, OKSFORD, ANGLIA

Z okien pociągu plamy mgły wyglądały jak zawieszane w gniazdach pomiędzy połaciami dębów i buków, właśnie przybierających barwy złotordzawe. Maddie uznała, że widoki te są równie piękne, jeśli nie równie dramatyczne, jak pierwszy oddech jesieni w Nowej Anglii. Ale późne popołudnie wciąż było zalane słońcem, gdy wysiadła na peronie dworca kolejowego w Oksfordzie.

Samantha dała jej krótki urlop, by mogła pojechać do Anglii złożyć zeznania w sądzie i wysłuchać wyroku na kierowcę, który zabił Christophera. Dała Maddie te wolne dni przeszczęśliwa, mając nadzieję, że pomogą jej zamknąć okres żałoby. Ale widziała też w tym okazję do odpłacenia za skrócony urlop we Włoszech. Informacje, które Maddie zebrała od klientów, pozwoliły kancelarii powstrzymać prawników Stormtree przed dalszym zastraszaniem powodów, a Gordon Hugo oddalił się chyłkiem z podkulonym ogonem. Maddie należało się też uznanie za jej wysiłki, podejmowane wspólnie z Tylerem, w przekonaniu niemal wszystkich klientów, których Hugo wcześniej zastraszył, by nie rezygnowali ze sprawy. To była dobrze wykonana robota.

Harriet Taylor wysłała Maddie mail, że posiedzenie sądu odbędzie się 7 września w Oksfordzie. Tak długie, od stycznia do września, oczekiwanie na rozprawę było nietypowe, ale jeden z pasażerów w samochodzie pijanego kierowcy odniósł poważne obrażenia w wypadku i dopiero teraz wyzdrowiał na tyle, by stawić się w sądzie. Na koniec rozprawy sędzia miał zdecydować, jaki powinien wydać wyrok na pijanego kierowcę, i obecność drugiej osoby poszkodowanej na pewno była pomocna. Wiadomość kończyła się stwierdzeniem, że Taylorowie mają nadzieję, iż oskarżony spędzi mnóstwo swojego młodego życia za kratkami, ale nic nie

mogło im zwrócić syna.

Maddie wiedziała, że udaje się w tę podróż częściowo po to, by wesprzeć rodziców Chrisa, jako że prosili ją o przyjazd. Gdy jednak jej taksówka pokonywała znajome uliczki, zrozumiała, że ona także musi się pozbyć upiorów przeszłości. Patrzyła na college'ę i złotawe budynki starego miasta za oknem, przypominając sobie spędzone tu szczęśliwe chwile. Uśmiechnęła się na wspomnienie śniegu, który towarzyszył jej pierwszemu spotkaniu z Chrisem. Gdyby Neva знаła tę historię, na pewno powiedziała by jej, że to ona zamówiła śnieg celowo. Ale myśląc o tym, poczuła, że cały czar jej wspaniałej oksfordzkiej „bańki” ograniczył się do stosunkowo dawnego okresu.

Był to czas takiej intensywności, radości i śmiechu. Połączenie ciężkiej pracy i trudnych wyborów, gdy wszystko co angielskie wydawało się czarujące. W styczniu pojechała do Oksfordu na wymianę, a w lutym jej życie jakby nabrało pełni wraz ze spotkaniem Chrisa. To był taki krótki czas: prawdziwa bajka, ale z pokrętnym zakończeniem. Nadal nie miała pojęcia, jak się ta bajka skończy dla głównej bohaterki. Rozumiała jednak, bez podważania ważności uczuć do Chrisa, że to fala romantycznych wydarzeń zachwiała nią, a potem porwała ze sobą. Nie było jej tu od ponad roku, ale czuła, że dojrzała przez ten czas o wiele bardziej. Po części wydawało się to dobre, a po części bardzo smutne. To jednak prawda, że ból ją zmienił, sprawił, że zaczęła się zastanawiać, czy każda młoda kobieta zasługuje na bajkę. Pomyślała o tym, co powiedziała Jimena – że ma nie czekać, aż coś do niej przyjdzie, ale że ma wyjść naprzeciw i sprawić, by coś się stało. Kiedy georgiańska fasada Worcester College mignęła jej po lewej, a potem edwardiański gmach Randolpha zamajaczył po prawej, zastanowiła się od nowa nad dziwnie pociągającym pomysłem, że teraz ma czas wziąć w swoje ręce własne przeznaczenie. Poczuła, że w przeszłości nie za bardzo to robiła.

Przypomniała sobie dreszcz, z którym czekała na niedoszłe spotkanie z Chrisem w San Francisco. Ale właśnie to nierzeczywiste miasto było ich

miejszem; i może ich duchy wciąż gdzieś tu były, wraz z niezliczonymi duchami innych ludzi, których życie związało się z Oksfordem lub zostało przez niego ukształtowane. Dotkliwie poczuła nieobecność Chrisa, gdy przez okno taksówki spojrzała najpierw na Brasenose, a potem na Queen's. Jakaż to była krótka chwila... Jakże nonszalancko do niej podchodziła. Prawie pękło jej serce od pragnienia, by cofnąć czas, ale wiedziała doskonale, że nie może i że jej życie zostanie określone przez to, co zdecyduje się teraz zrobić... i co się wydarzy.

Taksówka skręciła w uliczkę odchodzącą od High Street, oszczędzając jej widoku na college Chrisa. Natomiast dudnienie opon jadących po bruku sprawił, że nagle wróciła do terażniejszości. W końcu wysiadła przy tylnym wejściu do Old Bank, gdzie znajdowała się recepcja. Zapłaciła za kurs i podeszła do schodów prowadzących na taras, z jego ławkami i podgrzewaczami, i do recepcji.

Przez szklane drzwi patia widziała Quod, restaurację, która stanowiła część hotelu. Pamiętała ją dobrze. Stołowanie się tu przy studenckim budżecie stanowiło nie lada wyzwanie, ale jedzenie było zawsze dobre, a atmosfera beztroska i swobodna. Wiele razy zaczęli tu z Chrisem wieczór, zanim poszli tańczyć do późnej nocy. Pamiętała też doskonale, jak siedziała w sukni balowej na śniadaniu w czerwcowy poranek ledwie rok temu, pod sam koniec pobytu w Oksfordzie, gdy wraz z Chrisem znaleźli się wśród tak zwanych ocalałych – czyli tych, którzy dotrwali do świtu – z ich balu w college'u.

Dzisiaj, w porze podwieczorku, restauracja była niemal pusta. W innym miesiącu tętniłaby życiem od studentów i ich rodziców, ale teraz lokal odpoczywał od turystów i studentów. Maddie uśmiechnęła się na widok jednego samotnego nauczyciela akademickiego, sądząc z wyglądu, który może przyjechał na konferencję albo wakacyjne kursy. Robił notatki przy resztkach popołudniowej herbaty.

Maddie się zameldowała i starymi schodami zaniósła bagaż do pokoju na piętrze. Rozwiesiła kostium do sądu na rano i otworzyła okno od frontu

budynku. Wyrzała na High Street i powędrowała wzrokiem ku St Mary's University Church, a potem dalej, na wieże i dachy Radcliffe Camera oraz Bibliotekę Bodleian. Jakże dziwnie czuła się tu sama, w tych nadzwyczajnych okolicznościach, w oczekiwaniu na przesłuchanie o dziesiątej rano, które znowu przypomni jej, że straciła miłość swego życia. Przydałby się ktoś, z kim mogłaby pójść na drinka – ale wszyscy już wyjechali. Wymieniła maile z koleżanką z New College, która robiła studia podyplomowe, ale nie pojawiła się jeszcze. Przed wyruszeniem w podróż napisała esemesa do Jeanette, na wypadek gdyby ta była w Londynie i mogłaby się z nią spotkać, może nawet umówić na lunch. Niestety, razem z Clausem ciągle byli we Włoszech. Zadzwoiła do Søren, lecz i on wciąż był poza Anglią, na dodatek urobiony po łokcie, jak lubił mówić. Niedługo wracał do Londynu, ale miną się. Smutna, że nie spotka się z przyjaciółmi, tak zorganizowała podróż, by trwała jak najkrócej i nie przeciągnęła się na weekend. Przynajmniej dzięki temu zyskiwała dzień w domu, żeby się pozbierać, zanim w poniedziałek pójdzie do pracy. Jutro o wpół do dziesiątej miała się przed sądem spotkać z rodzicami Christophera.

Maddie westchnęła i wzięła się w garść. Uznała, że po ponadszesnastogodzinnej podróży zdecydowanie należy się jej prysznic. Ale nieco później, gdy wróciła do pokoju zawinięta tylko w ręcznik, popełniła błąd i położyła się na chwilę. Obudziło ją zimno, a w pokoju panował mrok. Po krótkiej chwili dla uporządkowania myśli włączyła lampkę nocną. Na zegarku wciąż miała godzinę z San Francisco, świadomie, żeby zmniejszyć efekt zmiany czasu po powrocie. Wyliczyła, że tutaj dochodzi ósma wieczorem. Owijając się na powrót ręcznikiem, otworzyła torbę i wyjęła sztywne skórzane buty do biegania z podeszwą na tyle mocną, by chroniła przed brukiem Oksfordu, a do tego lekki kaszmirowy sweter, dzinsy i kamizelkę od Abercrombiego.

Latarniowy kolor ulic zachwycał pod jesiennym wieczornym niebem. Maddie wyszła z hotelu na High Street i ruszyła na wprost, w uliczkę



obok kościoła. Rozważyła pomysł, by Madeline Moretti wyprawiła się w krótką, lecz ważną podróż do dawnej siebie. Na Radcliffe Square i na Catted Street duch Chrisa wydawał się blisko niej. Maddie pragnęła jego towarzystwa, chciała doznać bolesnej świadomości, że on już zawsze tu z nią będzie, a jednocześnie nie będzie z nią nigdy. Pragnęła dotkliwej emocjonalnej traumy i chciała ją przekuć w jakieś zakończenie.

Dotarła pod Most Westchnień do New College Lane, który był jej domem przez kilka miesięcy, i przypomniała sobie urodę bżowego żywopłotu wiosną. Ale teraz, jesienią, kwiatów nie było. Uliczka zniknęła w wąskim przejściu, którym Maddie dotarła do Turf Tavern, gdzie tyle razy jadła z Chrisem. Przeszła znajomą ścieżką, wspominając, że trzynastowieczna piwiarnia stanowiła ulubiony lokal Chrisa i jego kolegów z medycyny. Pomyślała, że to zabawne, iż czekali tam, wypijając najwyżej jedno piwo, do chwili zakończenia meczu rugby, a potem wychodzili razem do szpitala, żeby czekać, aż się nadarzy ktoś do szycia. Pracowali ciężko, zawsze chcieli się przyglądać zabiegom i opatrywaniu ran, i konkurowali ze sobą, i pili, i imprezowali bardziej niż ktokolwiek na uniwersytecie.

Wchodząc dzisiaj do środka, Maddie myślała, że z natury nie należy do wielbicieli pubów, chociaż stary przybytek miał nieodparty urok i klimat. Pijali tu, bo dzban margarity kosztował tylko czternaście funtów – mniej niż gdzie indziej – więc przez wzgląd na dawne czasy zamówiła margaritę i jakieś przekąski. Zniosła sobie drinka do stolika i czekała na jedzenie. Chociaż we własnym mieście była niezależna, tutaj ogarniała ją dziwna obawa, zwłaszcza że podróżowała samotnie. Dzisiejszy wieczór był chyba jednym wielkim sprawdzianem. Nic z jej wcześniejszego życia nie nauczyło jej, jak sobie radzić z poczuciem zagubienia. Teraz widziała, że odzyskuje siłę i znowu zaczyna pragnąć różnych rzeczy: sprawiedliwego wyroku dla klientów w sprawie przeciwko Stormtree, osiągnięć w pracy, z których byłaby dumna, przygód w nowych miejscach, i owszem, nawet towarzystwa ukochanego w odpowiednim czasie. Podarowana przez Isabellę podróż do Jeanette i Clausa dała jej właśnie taki obiektywizm,

którego potrzebowała, i wyciągnęła ją z otchłani. Ale ciągle przypominała świeżo opierzone pisklę i miała jeszcze wiele mil do pokonania.

Zanim podano jedzenie, Maddie straciła apetyt. Dała kelnerce napiwek i podziękowała, po czym wyszła, nie tknąwszy jedzenia i nie dokończywszy drinka. Wyszła z Turf na bezksiężycową oksfordzką noc, pod pięknym, usianym gwiazdami niebem. Zawsze uwielbiała spacerować po Oksfordzie. Późną nocą, o pewnej porze, zamieniał się w wyludnione miasto, w którym trudno było spotkać samochód, a jeszcze trudniej – ludzi. W tym momencie i w nastroju zaczęła powracać do dawniej często odwiedzanych miejsc. Minęła zamknięte bramy słynnych kolegiów, biblioteki i muzea, które mieściły stulecia wiedzy. Potem minęła budynek towarzystwa dyskusyjnego o nazwie Oxford Union, gdzie poznała Chrisa. Przeszła się nad rzeką i z powrotem. Słyszała, jak kilkanaście dzwonów wybija kolejne godziny, i zalały ją wspomnienia. Spacer jakby ustalił jej stan istnienia. Musiała odwiedzić każde miejsce, które znała i kochała, pragnąc utrwalić w pamięci obrazy niezatarte, by zachować każdy szczegół. Wiedziała, że chce zapakować te wspomnienia, by zabrać je ze sobą w przyszłość.

Gdy wreszcie położyła głowę na poduszce około trzeciej nad ranem, wyraźnie funkcjonowała w czasie kalifornijskim. Obudzono ją o siódmej trzydzieści, czyli zdecydowanie za wcześnie. Maddie musiała wyrwać się ze skomplikowanego snu z udziałem swojej osoby, Pierce'a Graya i czegoś wspólnego z wodą. Sen ją zaniepokoił, siadła na łóżku niemal we łzach. Rozpaczliwie próbowała powiązać sen z czymkolwiek, co się rzeczywiście zdarzyło. To było coś, co próbowała zepchnąć do nieświadomości – szczegóły, które niemal wymazała z pamięci. Na pół rozbudzona napiła się wody ze szklanki stojącej na nocnym stoliku, a potem napłynęła rzeczywistość. Zaczęła spinać szczegóły wydarzenia, o którym śniła w mieście Chrisa, chociaż należało ono do dalekiej przeszłości.

Zdarzyło się to, gdy miała dziewiętnaście lat. Właśnie wypłynęła na morze z Pierce'em Grayem na pokładzie jego żaglówki *Santana*. Wyszli z przystani San Francisco Yacht Club w Belvedere Cove. Nie mogła sobie

przypomnieć, dlaczego tam była, choć próbowała wycisnąć z mózgu te informacje. Nagle zobaczyła idylliczny dzień, łagodny, z niezwykle lekką bryzą wiejącą w stronę lądu. Nad drinkami w kampusie w Berkeley dowiedziała się, że na pokładzie łódki Pierce'a odbędzie się niewielkie przyjęcie, i przyjęła zaproszenie, by udowodnić sobie swoją niezależność. Matka przekonywała, że jest za młoda, by studiować z dala od domu – za młoda, by znać własny umysł. Pierce zaprosił ją na imprezę ciotowatych dorosłych i postanowiła się wykazać towarzyskim obyciem i pójść, tylko żeby udowodnić sobie, że umie włączyć się do socjety. Jak się okazało, Pierce był jej jedynym towarzyszem.

Sen Maddie uruchomił wspomnienie wydarzeń w szczegółach – wydarzeń, o których próbowała zapomnieć od sześciu lat. Pamiętała jakieś duże fragmenty, ale teraz widziała dokładnie następstwo poszczególnych zdarzeń tamtego dnia.

Wyruszyli na krótki rejs po zatoce, a gdy rzucili cumy i wyszli z portu, Pierce włożył jej na głowę swoją marynarską czapkę i oddał rumpel. Wyjął szampana z lodówki w kabinie i przyniósł dwa kieliszki, mówiąc, że powinni się zabawić, przepraszając, że nikt inny nie znalazł czasu w ostatniej chwili. Siadł koło niej, otworzył butelkę i nalał. Maddie doskonale zdawała sobie sprawę, że została wrobiona, i poczuła się osaczona, ale nie wiedziała, co robić.

Po kwadransie Pierce chyba przysunął się bliżej, dolewając jej do kieliszka – nie pamiętała dokładnie, co powiedział. Pamiętała natomiast jasny podtekst seksualny, swój gniew i zakłopotanie, i że odsunęła się od niego, by oddać mu rumpel. Wstała i przeszła do drzwi kabiny, gdzie odwróciła się do niego twarzą, próbując znaleźć słowa odpowiednie do wyrażenia wzgardy, i by go zawstydzić, że się nie zachowuje jak dżentelmen. Myślała, że wybuchnie tyradą przeciwko niemu, ale gdy słowa zaczęły nadchodzić, uświadomiła sobie obecność niesamowitej – z pozoru nieszkodliwej – mgiełki wody na zatoce tuż za głową Pierce'a. Napędzana wiatrem, zbliżała się ku nim tanecznie, jakby wyczarowana

ręką iluzjonisty.

Wyglądała oszałamiająco. Pomimo rosnącego gniewu wyraz twarzy Maddie zmienił się do tego stopnia, że w Piersie przeważała ciekawość. Odwrócił się i podążył za jej wzrokiem. Pióropusz mgiełki poruszał się ku nim z rosnącą prędkością, i to taką, że Pierce krzyknął zdziwiony, a jednocześnie równie gwałtownie zmienił się wyraz jego twarzy na zatroskany, a potem przerażony.

– Trzymaj się mocno – wrzasnął do niej, przekrzykując rosnący świst wiatru. – Uderzy w nas! – Minęło ledwie kilka sekund. Spowiła ich ściana wody, wznosząc się na wysokość niemal połowy masztu. Zupełnie jakby łódkę pochwyciła ogromna pięść i zakręciła nią potężnie, rozrywając żagle niczym bibułkę. Maddie krzyknęła. I jeszcze teraz, po tylu latach, pamiętała krzyk, który nie zabrzmiał żadnym dźwiękiem. Miała wrażenie, że coś uniosło ich z morza, a po sekundzie siła wiatru się odwróciła, ciskając łódkę w dół i niemal zanurzając pod powierzchnię. Ciemnozielona ściana wody przetoczyła się przez rufę. Pierce krzyknął i chwycił kurczowo poręcz z boku kokpitu, żeby go nie zmyło z pokładu. Ster się urwał, a rumpel roztrzaskał jak zapałka. Maddie znowu usłyszała własny krzyk – pusty dźwięk w uszach – gdy też przylgnęła do relingu na dachu kabiny. Była pewna, że utoną, że nie dadzą rady pływać w kłębiących się wodach, które w ciągu pięciu minut zmieniły się z pięknych na brutalne. Nagle, w kolejnym momencie wyrzutu adrenaliny, wiatr i mgiełka zniknęły.

Cały epizod trwał kilka minut. Maddie wiedziała, że gdyby trwał choć minutę dłużej, to łódka by się rozpadła, a ani utonęliby bez śladu. Kokpit i kabina zostały zalane. Ster zwisał z roztrzaskanego jarzma, żagle były w strzępach. Elektryka nie działała, radio i wyposażenie nawigujące zostały zniszczone, a silnik awaryjny zalany.

Pamiętała, że Pierce zareagował szybko, gdy tylko otrząsnął się z szoku. Wyciągnął raketnicę i kapoki z zalanej wodą szafki i zwinnie pomógł jej nałożyć kamizelkę, zanim odpalił flarę. Potem wskoczył do

kabiny, a Maddie usłyszała, jak miota się tam chwilę, zanim wyłonił się z komórką w dłoni i nerwowym uśmiechem na twarzy. Ocalała z powodzi wraz z kluczykami w siateczce zawieszanej nad poziomem wody. Chwilę rozmawiał przez telefon, a potem był bardzo pocieszający, objął ją skromnie ramieniem i zapewnił, że pomoc jest w drodze. Łódka wydawała się stabilna, chociaż woda sięgała im powyżej kolan, żagle nad głowami zwisały w strzępach, a aluminiowy bom wygiął się jak spinka do włosów.

– Musimy szybko zrzucić żagle – warknął nagle Pierce – bo następny powiew może wciągnąć całą łódkę pod wodę.

Kierowana jakimś instynktem, Maddie odparła:

– Nie będzie następnego powiewu.

W pokoju hotelowym Maddie naciągnęła na siebie kołdrę, przypominając sobie jasno, z jak wielkim trudem zrzucali żagle. Po upływie wieczności chyba pojawił się tuż nad nimi śmigłowiec straży przybrzeżnej. Po chwili zobaczyli na horyzoncie dwie szybkie łodzie ratownicze, a gdy te się do nich zbliżyły, śmigłowiec odleciał.

Przypomniała sobie bezproblemowe przejście na jedną z łodzi, koce, którymi ich owinięto, szybką jazdę z powrotem do jachtklubu. Gdy wspomniała przybycie do przystani, poczuła jak żywy smak soli morskiej na ustach. Mężczyzna, którego nie rozpoznała, zajął się nią niemal natychmiast, gdy dotknęła stopą lądu, zaprowadził do damskiej szatni w klubie i pokierował pod prysznic. Przypilnował, żeby dostała ręczniki i suche ubrania z klubowego sklepu. Dopiero gdy się przebrała, ogrzała i wypła małą kawę, spytał, czy czuje się na tyle dobrze, by prowadzić samochód. Gdy przytaknęła, odprowadził ją do wozu, upewnił się, że może się ona skupić, i powiedział, żeby pojechała do domu odpocząć. Zasugerował, że może być lepiej, jeśli uniknie niepożądanego nagłośnienia sprawy i paniki i nie powie nikomu o wypadku. Wtedy właśnie spojrzała na niego jak trzeba i zdała sobie sprawę, że on dba o reputację Pierce'a, a nie o jej samopoczucie po przeżytych wstrząsach. Nie powinna była sama jechać do domu w tym stanie. Ale Pierce na łódce z długonogą

dziewiętnastolatką – taki obraz nie wyglądałby dobrze, jeśli chodzi o PR mężczyzny, który był fotografowany wszędzie, dokądkolwiek się ruszył.

– O mój Boże – powiedziała nagle Maddie do siebie, wyłaniając się spod koca. Odrzuciła włosy i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w zabytkowe listwy sufitowe w oksfordzkim pokoju. – To był on. Gordon Hugo! Miał rację, widział mnie już kiedyś.

Wstała i włożyła szlafrok, mimowolnie dygocząc na to wspomnienie. Doskonale sobie przypomniała poranną gazetę z następnego dnia. „Słynny przedsiębiorca – donosiła prasa – pan Pierce Gray wraz z jednym członkiem załogi został uratowany z jachtu Santana 22, który niemal się wywrócił uderzony przez trąbę wodną”. Gazeta relacjonowała, że nie wiadomo było, z jakich przyczyn zaistniało to zjawisko. Naukowcy sugerowali, że powstaje w wyjątkowych okolicznościach połączonych z pewnym nieoczekiwanym czynnikiem zewnętrznym, który je uruchamia. To oznaczało, że pan Gray i jego „członek załogi” mieli wyjątkowe szczęście.

Maddie siadła na łóżku. Teraz wyraźnie wszystko pamiętała, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego tak długo wypierała to wspomnienie. Może dlatego, że wtedy czuła się poniekąd współwinna albo zakłopotana, że się znalazła w takiej krępującej sytuacji z Pierce’em.

Pukanie do drzwi powitała z ulgą, zwłaszcza że oznaczało pojawienie się śniadania.

Panie Hugo, myślała Maddie, podchodząc do drzwi, był pan wtedy drobnym kombinatorem, a teraz jest pan jeszcze paskudniejszym, niemoralnym gnojkiem. Jeśli ja będę miała na to jakikolwiek wpływ, nie wywinie się pan, gdyby naszym ludziom coś się stało.

Tuż po dziesiątej Maddie znowu zerknęła na zegarek i zdała sobie sprawę, że już prawie pół godziny czeka pod sądem w St Aldates. Z punktu obserwacyjnego na rogu patrzyła, jak rodzice Christophera podchodzą do niej powoli. Nie wspomniała ani słowem o czasie i uściskała ich, rozumiejąc, że podobnie jak ona woleliby w tej chwili się znaleźć

w każdym innym miejscu planety, tylko nie w tym, do którego sprowadził ich los. Wszyscy rozumieli, że dzisiejsze wydarzenia nie zmienią niczego, co już się stało. Dla Maddie rodzice Christophera wyglądali smutno i o wiele starzej, gdy ucałowała ich w milczeniu. Kilka minut później całą trójką stali w pierwszym rzędzie galerii dla publiczności wydziału IV sądu.

Patrzyli, jak woźny sądowy wprowadza na teren dostępny dla publiczności młodego człowieka na wózku inwalidzkim. Towarzyszyła mu rodzina i śliczna dziewczyna zalana łzami. Wózek postawiono w przejściu przed miejscem dla oskarżonego, a Edward Taylor powiedział – patrząc na stan tego skręconego ciała – że myślał, iż młody mężczyzna nigdy już nie będzie chodził. Harriet dodała, że wygląda jak wrak człowieka, a Maddie widziała, że kobieta sama jest bliska łez.

Chłopak obejrzał się na nich i uśmiechnął nerwowo, co dla Maddie równało się informacji „Ja też cierpię”. Tak – pomyślała – ale ty nie powstrzymałeś swojego kumpla przed jazdą po pijaku, prawda? Miał jednak, rzeczywiście, prawo być wysłuchany i chciał znaleźć się w sądzie w tym momencie. Wprowadzono dwie kolejne rodziny – rodziny, jak się miała dowiedzieć, pozostałych pasażerów. Wszyscy ci ludzie chcieli być obecni na tym przesłuchaniu, pomyślała, gdy usłyszała głos woźnego.

– Proszę wstać, sąd Jej Królewskiej Mości rozpoczyna posiedzenie.

Wstali, gdy sędzia w peruce i todze podszedł na swoje miejsce; i wszyscy na powrót usiedli. Woźny odwrócił się do sędziego, podając numer sprawy.

– Wysoki Sądzie, sprawa dwóch zarzutów, z czego jeden to „spowodowanie śmierci przez niebezpieczne prowadzenie pojazdu”, drugi to „prowadzenie w stanie pod wpływem alkoholu” – woźny umieścił przed sędzią teczkę.

Maddie słuchała oszołomiona raportu przedsądowego, po którym dodano, że oskarżony przyznaje się do winy.

– Gdzie jest oskarżony? – spytał sędzia.

Znajdował się w celi.

– Proszę przyprowadzić oskarżonego – zarządził sędzia.

Nastąpiła przerwa, która zdawała się trwać bez końca, a w jej trakcie Maddie to patrzyła na Taylorów, to rozglądała się po sali. Sędzia otworzył leżące przed nim akta i zaczął studiować zawartość. Cisza zapadła, gdy woźny wprowadził schludnie ubranego młodego człowieka w szarych spodniach i czystej białej koszuli i towarzyszył mu do ławy oskarżonych. Cała galeria widzów jak jeden mąż odwróciła się do niego. Młody mężczyzna zajął swoje miejsce i patrzył prosto przed siebie z kamiennym wyrazem twarzy. Maddie pomyślała, że w jego niebieskich oczach nie widać śladu emocji. Powiedziano mu, że ma pozostać na stojąco.

Dopiero po sekundzie wszystko do niej dotarło. Poczowała cios w żołądek – mdłości i fizyczne doznanie krzywdy, którą jej wyrządzono. Nie wiadomo skąd. Oto stał przed nią mężczyzna, który zabił Christophera, w zasadzie morderca, ale wydawał się tak zwyczajny, że na ulicy minęłaby go, nie zwracając nań uwagi. Ktoś w rzędzie zakaszłał nerwowo, poczuła, że Harriet Taylor zachwiała się lekko, a za ich plecami cicho otworzyły się i zamknęły drzwi na galerię dla publiczności. Ona jednak skupiona była na posępnym chłopaku na ławie oskarżonych. Może po prostu się bał? Chciała, żeby na nią spojrzeł, tak żeby mogła sobie wyobrazić, co się działo w jego głowie w noc wypadku.

Dlaczego to zrobiłeś? – rzuciła milcząco przez salę sądową. Ale chłopak na ławie oskarżonych nie nawiązał z nią nawet kontaktu wzrokowego.

– Proszę się przedstawić – odezwał się sędzia.

– Jonathan Gilbert – padła odpowiedź.

– Może pan usiąść.

Sędzia spojrzeł w dokumenty, podczas gdy urzędnik odczytywał szczegóły sprawy, i w końcu zabrał głos.

– Panie Gilbert. Przyznał się pan, że spowodował śmierć przez niebezpieczne prowadzenie pojazdu. Ponadto dwukrotnie przekroczył pan dopuszczalny poziom spożycia alkoholu, nim wsiadł pan za kierownicę swojego samochodu, przez co zabił pan całkowicie niewinną osobę



i poważnie ranił kolegę. Zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów, wpływu na życie innych ludzi, których wielu znajduje się dzisiaj na tej sali?

Maddie przyglądała mu się uważnie, ale na jego twarzy nie pojawił się ani jeden ślad uczucia. No dalej – pomyślała – powiedz coś. I próbowała go nakłonić do mówienia. Daremnie.

Sędzia podsumowywał:

– Widzę z raportu, że zdobył pan rzetelne wykształcenie. Ma pan stałe zatrudnienie w firmie handlowej, wciąż to samo od zakończenia szkoły. Wydaje się też, że pochodzi pan z troskliwej rodziny. Osoba sporządzająca ten raport pisze też jednak, że pański ulubiony czas spędzania czasu to – cytuję – „upijanie się w sobotnie wieczory z kumplami”. Pisze ona, że pan się do tego przyznaje. Pisząca dodaje też – ciągnął sędzia – że kiedy powiedziano panu o śmierci pańskiej ofiary – i tu sędzia przerwał, by zerknąć do akt – powiedział pan, i tu przytoczone są pańskie słowa: „To nadęty palant z uniwerku, który wszystko miał podane na tacy, a pani myśli, że jego życie jest warte więcej niż moje”.

Maddie szeroko otworzyła oczy zdumiona i patrzyła na sędziego, żeby się zorientować, jaki to na niego wywarło wpływ. On jednak pewnie słyszał i widział już niejedno, i niewiele mogło nim wstrząsnąć.

– Tak pan właśnie powiedział? – spytał sędzia. – Tak pan uważa?

Z ławy oskarżonych nie padła żadna odpowiedź, ale mężczyzna kiwnął głową trochę wyzywająco.

Maddie poczuła obok siebie ból nieszczęsnej Harriet Taylor i chwyciła ją za zimną rękę. Widziała kobietę na skraju załamania nerwowego i zastanawiała się, czy może powinna wyprowadzić ją na zewnątrz. Harriet z wdzięcznością odpowiedziała uściskiem i Maddie znowu spojrzała na Jonathana Gilberta stojącego niewzruszenie w ławie oskarżonych. Zaświtało jej, że albo wydarzenia, za które ponosi odpowiedzialność, tak silnie na niego wpłynęły, że jest teraz w szoku, albo nie chce zobaczyć w doktorze Christopherze Taylorze człowieka. Skupiła

się na nieodgadnionej twarzy wpatrującej się piorunującym wzrokiem w sędziego i aż nie mogła oddychać, gdy intuicyjnie zrozumiała jedną rzecz. To prawda – pomyślała. On nie uważa, że ma cokolwiek do powiedzenia albo że ma za co przeproszać. Czy problem Pierce'a też na tym właśnie polega? Dla ludzi ich pokroju to nic więcej niż niefortunny wypadek?

Edward Taylor poruszył się na swoim miejscu, jakby chciał wstać, a Maddie pomyślała, że powie coś na głos. Gdy jednak spojrzała mu w oczy, zobaczyła, że jest osłupiały, fizycznie przygnębiony i odjęło mu mowę.

Sędzia patrzył na chłopaka przed sobą – bo w sumie wydawał się on chłopakiem.

– Nie widzę w panu cienia skruchy za ból i cierpienie, którego przysporzył pan rodzinie doktora Taylora. Ani rodzinom pozostałych pańskich ofiar. Choć pański wyuczony obrońca ma rację, że przypomina mi o pańskim wcześniejszym dobrym zachowaniu i o przyznaniu się do winy, nie znajduję okoliczności łagodzących dla pańskich czynów. Przeczytałem zeznania rodziny poszkodowanego, ludzi, którym odebrano bez powodu jedyne dziecko, którzy zostali z posępną i pustą przyszłością, nie mając więcej dzieci, nie mając szans na wnuki. Nie zaznają też radości z więzi z młodą kobietą, która miała zostać ich synową. Ta młoda kobieta – mówił z powagą – której opowieść o stracie poruszyła mnie do granic rozpacz, też ma zrujnowane życie. Mam nadzieję, że zdoła je odbudować.

Maddie głośno przełknęła ślinę.

– Panie Gilbert, ma pan w ogóle coś do powiedzenia, zanim ogłoszę wyrok?

Maddie chciałyby obrzucić chłopaka obelgami, ale on był tak żałosny i pozbawiony poczucia odpowiedzialności, że jego życie wydawało się kompletnie nieznaczące. Nic, na co można by go skazać, nie mogło przywrócić Chrisa, i żadne jego słowa nie mogły zmniejszyć bólu Taylorów ani jej. Zauważyła po raz pierwszy, że może jakaś świadomość ogromu

popelnionego czynu przemknęła przez jego twarz, ale po sekundzie była pewna, że niemal mrugnął do kumpla na wózku inwalidzkim, jakby mówił do niego „To się niedługo skończy i pośmiejemy się z tego”.

Maddie patrzyła, jak chłopak na wózku pochyła głowę i odwraca wzrok. On wiedział, że nic nie będzie już dobrze i że w tym nigdy nie będzie nic śmiesznego. Ta fizyczna reakcja jakby wywarła na Jonathanie Gilbercie większe wrażenie niż cokolwiek, co się dzisiaj wydarzyło, i bezgłośnie wypowiedział „przepraszam”. Skierowane to było do kolegi, ale już do nikogo innego na sali.

– Wydając wyrok na pana – kontynuował sędzia – jestem ograniczony przepisami prawa, które ustanawia maksymalną karę więzienia za takie przestępstwo na czternaście lat. Muszę jednak wziąć pod uwagę, że nie był pan do tej pory karany i muszę obniżyć ten wyrok ze względu na fakt, że przyznał się pan do winy. Sąd skazuje pana zatem na pięć lat więzienia, z jednoczesnym wyrokiem pięciu miesięcy więzienia za drugi zarzut. Przez taki sam okres nie wolno panu prowadzić pojazdów. Biorąc pod uwagę, że już jakiś czas spędził pan w areszcie śledczym, i biorąc pod uwagę pańskie dobre sprawowanie w celi, mógłby się pan starać o warunkowe zwolnienie za niespełna dwa lata. Biorąc pod uwagę nastawienie, które pan tu dzisiaj zademonstrował, ustaliam, że warunkowe zwolnienie przysługuje panu najwcześniej za dwa lata. Mam nadzieję, że w czasie spędzonym w więzieniu pomyśli pan o ludziach, którzy codziennie cierpią na skutek pańskiej fatalnej decyzji, i nauczy się pan brać pod uwagę trwałe efekty pańskich czynów.

Maddie usłyszała, że sędzia kończy, a woźny każe wszystkim powstać. Sąd zakończył obrady przed następną sprawą. Sędzia opuścił salę, a cały proces trwał niespełna czterdzieści pięć minut.

Harriet Taylor wstała chwiejnie i oparła się o ramię Maddie. Ta zauważyła jej śmiertelnie pobladłą twarz i zastanawiała się, czy mama Chrisa nie zemdleje.

– Madeline, bardzo ci dziękuję, że przyjechałaś tak daleko, i to dla tak

straszliwego obowiązku. Chcieliśmy cię zabrać na lunch, ale muszę prosić o wybaczenie. Ja po prostu nie dam rady. Edwardzie – powiedziała, odwracając się do męża – możesz mnie odwieźć do domu?

Maddie była wręcz bardziej przejęta Taylorami niż Chrisem. Jego już nie było, nie dotyczył go ból ani wózek inwalidzki. Ostatnie godziny życia spędził, wykonując pracę, która była jego pasją. Jego rodzice natomiast musieli żyć bez niego do końca swoich dni i wydali się Maddie tacy zagubieni, że mogła tylko kiwnąć głową na znak, iż wszystko rozumie. Odwróciła się, by podążyć za nimi przez rząd siedzeń, do przejścia prowadzącego do drzwi. Jej rozumienie osiągnęło teraz wyższy poziom. Nocne wędrówki w połączeniu z dzisiejszym ogłoszeniem wyroku dały jej punkt końcowy, od którego mogła zacząć myśleć o sobie znowu jako osobnej istocie, z przyszłością. Ale Taylorów nic takiego nie czeka, a i lata całe może czekać na to będzie Aguila, Wyman i krąg ludzi bliskich Marilu. Jej dodawała otuchy myśl, że może zrobić coś dobrego, może dać przejmujący głos tym, którzy cierpią z powodu niesprawiedliwości i – jak powiedział Søren – może pomóc zmienić bieg wydarzeń.

Nagle nastrój Maddie zmienił się w jednej chwili. Dostrzegła znajomą twarz milcząco obserwującą wydarzenia z głębi galerii; na ławce obok leżała zniszczona skórzana sakwa. Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

Przeprosiła Taylorów na chwilę.

– Właśnie zobaczyłam znajomego i chciałabym z nim zamienić słowo. Może się spotkamy przy wyjściu i odprowadzę państwa do samochodu?

Potem przeszła między ławkami, a on odezwał się pierwszy.

– Pomyślałem, że może przyda ci się w Anglii przyjaciel – powiedział ze zdumiewającą powagą. – Ale może też wolisz być teraz sama.

Maddie pokręciła głową.

– Niezmiernie się cieszę, że cię widzę. I nie – dodała łagodnie – mam już dość bycia samą. Potrzebuję jakieś pół godziny. Możesz znaleźć Quod in the High i zająć stolik na słońcu? Dołączę do ciebie jak najszybciej.

– Oczywiście. *Vado a perdermi tra i fantasmi del passato* – dodał. – Do

zobaczenia.

Maddie uśmiechnęła się pomimo całego smutku.

– Tutejsze duchy powinny być interesującym towarzystwem! – I odwróciła się do wyjścia, gdzie dogoniła Taylorów wychodzących przez główne drzwi sądu.

Søren siedział na podwórku Quod, plecami do budynku, twarz wystawiając do słońca, by załapać się na niewielką plamę ciepła. Założył ciemne okulary, oczy miał zamknięte, gdy Maddie zaskoczyła go od tyłu. Wstał i ucałował ją w oba policzki, w swoim europejskim powitaniu. Potem potrzymał ją chwilę za ręce i wreszcie podsunął jej krzesło.

– Zamówiłem nam kawę – oznajmił. – Nie będzie taka dobra jak u Jeanette.

– Postrzegam cię w kategoriach cudu – powiedziała Maddie z niedowierzaniem. – Nie spodziewałam się spotkać nikogo w Anglii. Myślałam, że jesteś w Toskanii.

– Byłem – rzekł Søren po swoim, swobodnie – ale wczoraj wyjechałem. To dużo by nie zmieniło, gdybyś mnie dzisiaj nie zobaczyła, ale chciałem tu być dla ciebie. Przyleciałem wieczorem i rano przyjechałem.

– Zmieniłoby – odparła. – Bardzo się cieszę, że przyjechałeś. Przykro mi, ale nie mogę przebukować biletu, a odlatuję dzisiaj z Londynu wczesnym wieczorem. Koło trzeciej muszę wyjechać z Oksfordu.

Søren spojrzał na jej twarz i pomyślał, że Maddie ma za sobą kawał drogi, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Rozprawa musiała być dla niej męką.

– No to mamy kilka godzin. I słońce. Może masz jakieś konkretne potrzeby? Postawię ci lunch, jeśli pozwolisz.

Powoli kiwnęła głową.

– Rzeczywiście, to by mi się bardzo spodobało. Od wyjazdu z domu zjadłam może z pół croissanta.

Przyniesiono im kawę, a Søren zasugerował, żeby zjedli w Old

Parsonage na Banbury Road.

– Moglibyśmy się na dworze pod bluszczem.

– Ach, trochę się tu orientujesz! – odparła Maddie. Na każdym kroku dowiadywała się o Sørenie czegoś nowego. – Tak, tam jest pięknie. Ale chciałabym pójść dokądś indziej w taki dzień jak dziś. To dziesięć minut drogi, a ty pewnie masz samochód.

Kiwnął głową.

– Okej, brzmi kusząco. I chociaż nie lubisz pożegnań na lotniskach, potem odwiozę cię na Heathrow. To ci oszczędzi czasu, a jesteś zmęczona. A ja mam po drodze do Londynu.

– To mi się podoba – zgodziła się.

– Nie chcę ci się narzucać w twojej żałobie – rzekł łagodnie – ale może chcesz o tym pogadać?

– Nie – wyszeptała. – Nie teraz. Opowiedz mi natomiast o naszym ogrodzie.

Søren pomyślał, że Maddie powinna pogadać, chociaż trochę. Ale uszanował jej wybór i nie naciskał. Znalazł pocieszenie w fakcie, że powiedziała „nasz” ogród. To znaczyło, że trochę z siebie zostawiła u Jeanette.

– Już bardzo mało zostało prac budowlanych. W głównym ogrodzie są gotowe wszystkie grządki ziołowe i musimy sprawdzić, czy rośliny całoroczne przetrwają zimę i jak się przyjmą. Jeanette trochę się martwi o rząd granatowców, które nasadziłem, bo wiatr już jej jedno zniszczył. Ale dobrze je zapalikotałem i teraz trzymamy kciuki. Wrócę wczesną wiosną, zanim hotel otworzy podwoje, dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Maddie wypijała kawę i spojrzała na Sørena. Cieszyła się, że widzi jego słońce w taki mroczny emocjonalnie dzień. Zawsze im się dobrze rozmawiało, a jego obecność uwolniła ją z mroku spowijającego Taylorów. Utożsamiała się uczuciowo z ich niedolą, ale z radością dała się wyprowadzić z ich zdruzgotanego świata.

Søren opowiadał wesoło o Ogrodzie Jednorożca.

– Jeanette po namyśle uznała, że jednorożce, gdyby przyszły, byłyby szczęśliwsze na polu. Postanowiliśmy zostawić większą przestrzeń w rodzaju łąki. – Uśmiechnął się szeroko. – Wyciąłem taki jakby labirynt w trawie, żeby miały przejście.

Maddie zachichotała.

– Rozumiem.

Søren bardzo się ucieszył, że słyszy jej śmiech.

– To się trochę wymknęło spod kontroli, jak Jeanette powiedziała, że chce zostawić otwartą na noc boczną bramę, tak aby jednorożce mogły wejść z lasu. Claus trochę się podenerwował kwestiami bezpieczeństwa i powiedział jej, że bardziej prawdopodobnym gościem jest dzik. No więc zrezygnowali z tego pomysłu. W każdym razie do dzisiaj żadne jednorożce się w ogrodzie nie rozgościły, ale Jeanette i Vincent pilnie ich wypatrują.

– Ciekawe, czy są przekonani, że się zjawią? – spytała, wciąż się śmiejąc.

Orzechowe oczy Sørena uśmiechnęły się do niej, gdy spojrzał na nią wzrokiem współwłaściciela sekretu.

– *Mezzo, mezzo* – rzekł. – Jeanette wskazała Clausowi, że nadzieja nadaje życiu więcej sensu. Przypomniała mu, że z ich ruiny powstał skromny pałac wyłącznie dzięki nadziei. I mówi, że to pewność siebie Clausa sprawia, że ona jest taka oddana pracy.

– Jeśli ktokolwiek potrafi zwabić do siebie jednorożce, to tylko Jeanette.

Oboje się uśmiechali, a Søren poprosił do stolika kelnera, by zapłacić rachunek. Parę minut później odebrali z recepcji torbę Maddie, a Søren zaniósł ją na parking na tyłach hotelu i restauracji. Maddie ani trochę się nie zdziwiła, ale rozbawiło ją, że idą do garbusa w kolorze błękitu, z opuszczonym dachem. Na desce rozdzielczej zobaczyła różę w wazoniku.

– Angielski samochód we Włoszech, niemiecki tutaj – zażartowała. – Nie wydaje ci się, że jak na tutejszy klimat on się trochę nie nadaje?

Wsadził jej torbę do bagażnika.

– Ani trochę – odrzekł. – Lubię wiatr.

Kwadrans później zajechali na parking przed Trout Inn, na górnej Thames at Lower Wolvercote. Maddie porozmawiała z gospodynią przy drzwiach, a ta zaprowadziła ich po łupkowej posadzce do stolika na tarasie, pomiędzy siedemnastowiecznym pubem a brzegiem rzeki. Słońce świeciło na tyle mocno, by otworzyć parasol, a otoczenie prezentowało się idyllicznie z rzeką płynącą ledwie kilka stóp od stolika.

Maddie dopadł zalew emocji. Zmęczenie spowodowane różnicą czasu, zarwana noc, a do tego niepokój związany z uczuciami wobec pamięci o Chrisie. Boże, jak ona go kochała. Ale jego nie było. W pracy też się przekonała, jak daleko ludzie są w stanie się posunąć, by chronić własne interesy, nieważne złe czy dobre. A nadąsany pan Gilbert w sądzie dzisiaj rano udowodnił, że świat może być całkowicie nieczuły na cierpienie człowieka. Trzeba jednak jakoś przetrwać, znajdując miejsce, gdzie można się otoczyć ludźmi, którzy coś znaczą, i stworzyć własną rzeczywistość.

Założyła ciemne okulary i podniosła twarz do słońca. Oto była tu z Sørenem, który jeszcze wczoraj przebywał w Toskanii, podczas gdy ona w Kalifornii. Teraz mieli jeść lunch nad Tamizą, kilka mil od Oksfordu. Życie czasami naprawdę bywało niezwykle i pełne niespodzianek.

Usłyszała, że Søren wstaje, by zamówić drinki z baru, i pyta, co by chciała.

Odsunęła okulary i odwróciła się, by mu odpowiedzieć, a on zobaczył twarz pełną zagadkowości i emocji. Siadł z powrotem.

– Możesz mi powiedzieć, co się dzieje w twojej głowie?

Maddie oparła się o jego ramię i próbowała mu powiedzieć, ale nie potrafiła wyrazić złożoności swoich doznań.

Søren dał jej chwilę, a potem sam przemówił.

– Właśnie byłem świadkiem rozprawy, która dotyczyła śmierci kogoś, kogo kochałaś. Patrzyłem, jak pocieszasz rodziców tej ukochanej osoby. Napisałaś w ostatnim mailu o mocnych dowodach na to, że człowiek, którego twoja rodzina darzy szacunkiem, prowadzi firmę wplątaną w coś,



co określa się mianem „cichego mordowania” pracowników. Dzisiaj razem doświadczyliśmy okropieństwa oglądania osoby odpowiedzialnej za to, że straciłaś mężczyznę, którego miałaś poślubić; facet odcinał się od swoich czynów. Jak na jedną osobę to dużo, musisz się tym podzielić.

Maddie chwyciła rękę Sørena i poczuła się zdumiewająco silna. Nie zamierzała dzisiaj płakać – teraz to wiedziała – a wręcz wykrzesiła słaby uśmiech.

– Będę patrzeć do przodu – powiedziała – co jeszcze kilka miesięcy temu było dla mnie niemożliwe. Wtedy największy mój wysiłek sprowadzał się do przetrwania bieżącego dnia. Teraz czekam, aż wiosną Jeanette otworzy w Borgo hotel. Chcę zobaczyć, jak zrobiłeś ogród alchemika. Chcę iść labiryntem jednorożca, w miejsce, gdzie wyobrażono lepszy świat.

Søren kiwnął głową.

– I myślę – dodała, uśmiechając się już bardziej naturalnie – że chciałabym, żebyś mnie zabrał na żagle do Danii. Nigdy nie byłam w Skandynawii i od lat nie żeglowałam. Ale chciałabym znowu... kiedyś.

Søren się roześmiał.

– Pamiętasz o łódce! – powiedział. – Ja też jej od jakiegoś czasu nie wyciągałem. Ale oczywiście, chciałbym cię zabrać, gdy tylko Plejady pojawią się na niebie.

– Kwoka i kurczęta? – spytała i wesoło, i ze zdumieniem.

Wstał, by pójść po napoje, ale przystanął, by jej odpowiedzieć.

– Tak, Siedem Sióstr. One wyznaczają czas żniwiarzom i żeglarzom też. Kiedy pojawią się znowu wiosną, możemy płynąć.

## KONIEC MAJA 1348 ROKU, VOLTERRA

U stóp wzgórza Agnesca odchyliła się w siodle i delikatnie pociągnęła za wodze, by jej dzianet stanął. Przed nią wznosił się ogrom Volterry. Przyglądała mu się spod półprzymkniętych powiek, nie mając śmiałości podnieść głowy.

– Chyba nie dam rady – powiedziała prawie bezgłośnie.

Ogrom miasta ją przytłaczał, poczuła, że jest niezdolna do ruchu. Jako dziecko myślała, że Volterra jest taka piękna – była dumna z jej bladozłotych kamieni i jej niezależności, z jej górowania nad pofałdowanymi wzgórzami, rzędami cyprysów, pól pszenicznych i pastwisk. Metale i sól wydobywane z okolicznych terenów uczyniły miasto bogatym. Mieszkańcy Volterry podnieśli głos przeciwko tyranii biskupów-ksiąząt i wszechmocnych arystokratów. Stworzyli rząd ze swoimi przedstawicielami i zbudowali pierwszy ratusz na tej ziemi. Gdy Agnesca była dzieckiem, te wartości ją zachwyciły i sprawiały, że czuła się uprzywilejowana, skoro należy do dzieci tego miasta. Teraz czuła się tylko wywłaszczona i „oskarżona”.

Co ona tu robiła, na progu tego grodu? Poprawiła Luccia w zawiniątku przymocowanym do swojego ciała i przyciągnęła go bliżej. Potem odwróciła się do męża.

– Uduszę się, jeśli tam wejdem.

Porphyrus podprowadził do niej konia. Jej drobne dłonie mocno ściskające wodze zakrył swoimi, większymi.

– Masz przekonujący list polecający od opata, Agnesco, a biskup Filippo potrzebuje teraz wsparcia od potężnego opata San Galgano. Poza tym nie jesteś sama.

Mia siedziała na koniu u drugiego boku przyjaciółki i także

podprowadziła blisko swoją klacz.

– To prawda, *la raggia*. Zaufaj dyplomacji opata Angela. On uważa, że zarzuty ci postawione są bezpodstawne, a jego mocne świadectwo na temat twojego charakteru będzie dużo znaczyło dla sądu.

Agnesca podniosła wzrok na warowne miasto, okazałe blanki, które jeszcze przed Chrystusem całymi miesiącami opierały się imponującym rzymskim wojskom. Patrzyła na nie, by nie spojrzeć w oczy swoim towarzyszom, gdy im odpowiedziała.

– Odkąd tu ostatnio byłam, zarzut herezji, przed którym niejeden nie zdołałby się obronić, stał się nieznaczny wobec o wiele gorszego. Teraz jestem oskarżona o ojco- i matkobójstwo. A mordercę własnych rodziców czeka wyrok nieunikniony.

– Agnese – odezwał się Gennaro, siląc się na pokrzepiający ton – nie jesteś oskarżona o handel eliksirami ani truciznami. A o herezję oskarżyła cię własna rozgoryczona matka. Z tego co wiem, jeszcze nie podjęto żadnego formalnego śledztwa. Rada podesty na pewno chętnie rozważy, jakich czynów się w istocie dopuściłaś, a co jest ewidentnym oszustwem. Nie sądzę, żeby dali się przekonać, że wznieciłaś burzę, by zabić ojca i matkę. List opata z wielką elokwencją broni cię przed biskupem Filippem. I jak mówi Porphyrius, po śmierci mojego wuja nowemu biskupowi zależy na lojalności potężnych cystersów.

– A ja uważam wręcz przeciwnie, Gennaro. – Agnesca powoli pokręciła głową. – Teraz, gdy nie ma już wygnanego, ale wciąż wyświęconego biskupa, który mu się sprzeciwiał, Filippo Belforte ma władzę nieograniczoną. Może z nami robić, co mu się podoba, może mnie uznać za winną herezji, a wcześniej wszcząć przeciwko mnie śledztwo. Co więcej – mówiła, koncentrując się na niezdoytych murach nad sobą – to nie biskup Filippo zdecyduje o moim losie. Władzę dzierży Ottaviano i on zdecyduje, co się ze mną stanie. Z rozkoszą uczyni odstraszący przykład z samowolnej córki, która nie poddała się indoktrynacji religijnej państwa. Dla niego to to samo co wicherzyciel.

– Ale jeśli on podniesie na ciebie rękę – wtrąciła Mia, patrząc w oczy Agnesce – ja oskarżę go publicznie. Mam słuszny powód do skargi. I musi mnie wysłuchać.

Agnesca spojrzała w twarz wszystkim po kolei – mężowi i przyjaciółom – próbując znaleźć pociechę. Gdyby słuchała impulsu, zawróciłaby konia i umknęła wraz z dzieckiem w bezpieczne miejsce. Ale dostrzegła nikłą nadzieję na odzyskanie praw obywatelskich, dzięki czemu nie musiałyby już się ukrywać i zapewniłyby dziecku godne życie. Bała się o wiele bardziej, niż mogła im powiedzieć, ale wciągnęła głęboko powietrze i zgodziła się wspiąć na okazałe wzgórze.

Jakieś trzydzieści kroków od wielkiej wschodniej bramy, która od czasów najdawniejszych obserwowała podróżnych, handlarzy i obywateli przybywających i oddalających się, Agnesca znowu przystanęła. Spojrzała na górujące nad nią trzy kamienne głowy pradawnych bogów miasta.

– Zastanawiam się, co robię – powiedziała dziwnym głosem. – Bo gdy mnie widziały ostatnim razem, uciekałam z Porphyriusem.

Jeźdźcy przystanęli w majowym słońcu, gorącym pomimo chmur przemieszczających się szybko w górze i zasłaniających co chwila słońce, i znowu się do niej przysunęli. Wysłuchali jej słów i Mia nigdy ich nie zapomni.

– Przeprowadzono mnie przez tę bramę do podesty pod zarzutem nieposłuszeństwa wobec rodziców, rzekomo z powodu braku szacunku córki wobec ojca, ale to moja matka była oskarżycielem. W pobożności, jak powiedziała, mnie poczęła, i do pobożności byłam zobowiązana. Szczęście wyobrażała sobie tylko w taki sposób, że jej dziecko stanie się oblubienicą Chrystusa i będzie śpiewać zimne hymny niewidzialnemu Bogu. Ale moje serce nie należało do Boga. Nie wiem nic o tym, co się z nami stanie, gdy już umrzemy – nie mam pewności, dokąd idziemy – ale uważam, że w tym życiu mamy prawo do szczęścia, o ile potrafimy je znaleźć. Mamy prawo traktować innych z szacunkiem i uprzejmością i rozliczać się przed sobą. Jeśli Bóg istnieje, musi być też bogini – matka, mam nadzieję, bardziej

kochająca niż moja – i to do niej powinnam kierować swoje modlitwy. Dla mnie to nie jest Maria, Królowa Niebios, ale o wiele starsza od niej Ana albo Diana, małżonka niebios i patronka łowów. Najgorszym moim grzechem jednak była herezja – o której moja matka wówczas nie wspomniała. To dlatego, że serce oddałam mężczyźnie, a nie czystości. Był to dobry człowiek ze szlachtetnej rodziny, o wiele lepszej niż moja, której żaden rodzic mający na względzie szczęście dziecka nie mógłby odmówić. Jak należy przyszedł do domu mego ojca prosić o moją rękę, gdy miałam piętnaście lat, ponieważ w ciągu roku miałam być odesłana do sióstr. Megego ojca może dałoby się przekonać, albowiem w swej pysze dostrzegał korzystną partię i perspektywę nieśmiertelności zapewnionej przez wnuki, ale matka była nieustępliwa. Nie zadowolila się zamknięciem mnie w pokoju, zaciągnęła mnie tutaj, do miasta. Postawiła mnie przed księżmi i podestą, którzy przekonają mnie, jak powiedziała, bym zrozumiała swój przywilej i nauczyła się, że muszę się podporządkować woli rodziców i Boga. Taki obowiązek należy do córki, która jest bezwartościowa dla świata, przypominała mi. Zaprowadzono mnie do więzienia w Palazzo Pretorio i wrzucono jak żebraka do tej samej wieży, nad którą króluje kamienna figura dzika – znak dobrobytu naszego miasta, jego samodzielności, odwagi i nieustraszoneści. Myślałam, że to po to, aby mnie nastraszyć, pozbawić krnąbrności, zatrwożyć, żebym zrezygnowała ze swojej miłości. Ale Porphyrius może poręczyć, jak bezwzględne systemu użyto, by mnie złamać.

Najpierw przez kilka nocy spałam na kamiennej podłodze w izbie wysoko w wieży. To niewielkie cierpienie, jeśli masz determinację; chociaż byłam głodna. Ale trzeciej nocy wprowadzono mnie do dusznej izby położonej niżej, gdzie siano i towarzystwo szczurów dzieliłam z innymi więźniami. Jednym z nich była dziewczka służebna, była niewolnica, którą postawiono przed *anziani* pod zarzutem usiłowania rzucenia uroku na pana. Nie tylko była kobietą, ale też nisko urodzoną i osobą z zewnątrz, obcą, co również silnie przemawiało przeciwko niej. Rzucono na nią

falszywe oskarżenie, że wzywała diabła do magii. Do palców przywiązano jej świece i zapalono, tak aby paliły się od wosku. Po trzech takich dniach przyznała się i spędziła noc w niewymownym cierpieniu blisko mnie w wieży. Zaklęciami chciała tylko odwieść swego pana od ciągłego gwałcenia jej i bicia. Ale nasza sprawiedliwość to barbarzyństwo. Rano zabrano ją do pomieszczenia na dole, służącego za kaplicę. Później otwarto klapę w podłodze i słyszeliśmy bicie dzwonu na wieży, obwieszczające jej egzekucję. Dowiedziałam się, że jej ciało wrzucono do posępnej wody pod wieżą.

Porphyrius znalazł mnie po tygodniu. Dopiero po nieustępliwym tropieniu mnie, wykorzystaniu umiejętności godnych złoczyńcy, rozdaniu wielu florenów dla zdobycia informacji, przyszedł do mnie z chlebem i czystą wodą i powiedział, bym tej nocy wyglądała pomocy Janusa. Przeniesiono mnie do pierwszej izby i tamtej nocy, przy zimnym jasnym księżycu rzeczywiście stwierdziłam, że drzwi są otwarte. Monety wsunięte w dłoń dozorczy posłużyły za mój klucz, ale on później zeznał, że zaczarowałam zamek!

Uciekliśmy konno przez tę właśnie bramę, gdy odźwierny liczył swoją opłatę, a bogowie naszych przodków odprowadzali nas wzrokiem. Przysięgam, że nigdy przed nimi już nie przejdę.

Agnesca milczała kilka chwil, patrząc przed siebie, na bramę z jej kratą, odźwiernymi i kamiennymi bogami oglądającymi jej powrót.

– Chyba nie dam rady przez nią przejść – powiedziała.

Mia siedziała na swojej klaczy w milczeniu, ledwie zważając na drętwienie pośladków i pleców. Od miesięcy pragnęła poznać tę historię. Dowiedzieć się, co spotkało Agnescę, i przeżyć to z nią. Teraz żałowała, że to usłyszała, bo sama się przeraziła. Jej własne wspomnienia z Volterry były równie pełne cierpienia i zastanawiała się, czy ich podróż tutaj nie była jednak nierozsądna.

– Myślałam – powiedziała cicho – że przyszedł do nas z więzienia w domu rodziców, z którego uciekłaś w burzową noc.

– Matka wysłała za nami oddział ludzi i po wielu miesiącach mnie złapali. Wtedy umieścili mnie w areszcie domowym. A rankiem tego dnia, gdy mnie poznałaś w Villa Santo Pietro, Mio, miałam być oddana księżom i torturami zmuszona do przyznania się do herezji. Zamiast się obudzić na chłóście i torturach tak okropnych, że dech zapiera, obudziłam się u ciebie i Jacquetty, z twoim ciepłem i łagodnością, nowym życiem i rodziną.

Stali długo w upale, Agnesca osłaniała dziecku twarz. Nikt nie przechodził, żaden podróżny ich nie minął ani o nic nie zapytał. Wszyscy doskonale wiedzieli, co ich może czekać za murami, i Gennaro już miał zaproponować Agnesce eskortę, gdyby zechciała wrócić do Santo Pietro.

Ale ona wszystkich zaskoczyła. Wyprostowana w siodle, powiedziała:

– Zobaczmy, czy wsparcie jednego dobrego duchownego przeważy wrogość bardzo złego.

Gennaro i Porphyrius wciąż byli wysoko postawionymi obywatelami Volterry – a tego pierwszego łatwo też było rozpoznać. Przejeżdżając pod ogromnym łukiem starożytnej bramy, zostali więc gestem zachęcani do przejścia, ale nie bez ostrzeżenia ze strony jednego ze strażników.

– Wielka gorączka padła na obywateli miasta, nikt nie podróżuje za granicę, signor Gennaro – rzekł mężczyzna. – Nie wiadomo już od ilu dni wielu zapadło na tę samą chorobę, która spowodowała straszliwe zniszczenia w Pistoii i Florencji. Tam poumierwały całe setki. Zaraza uderza chyba, gdzie chce – czy to przez studnie, czy przez dotknięcie zarażonego, nikt nie wie. Teraz jest tu, pośród nas. Najpierw powstaje guz na udzie albo na ramieniu, potem się wymiotuje krwią. Ze strachu, że u nas zdarzy się to samo co we Florencji, żaden ksiądz nie chce odprawić nabożeństwa za umierających i niektórzy odchodzą bez ostatniego namaszczenia. Wkrótce obywatele będą musieli nieść własnych zmarłych do pochowania, tak jak w innych częściach Toskanii, gdzie kościoły wykopały głębokie doły aż do poziomu wody, a zmarłych nieszczęśników zawijano nocą w płótno i wrzucano do tych dołów. Grabarze biorą trochę ziemi i rzucają na nich, przygotowując drogę dla ciał na następny ranek – bo kładzie się ich

warstwami, jedną na drugiej, tak jak w lasagne przekłada się makaron i ser. Na nas to też musi przyjść, bo podobno niewielu uniknęło potworności pomoru.

Mężczyzna urwał i spojrzał na cztery twarze, nie zwracając szczególnej uwagi na Mię czy Agnescę, i zastanawiając się, po co w ogóle ktoś by chciał wjeżdzać do miasta.

Chociaż mrok i chłód gęstej zabudowy już Mię zdenerwowały, te słowa przejęły ją dreszczem. Wszyscy oni wiedzieli, co to oznacza. Teraz podróż do Voltery wydawała się feralna.

– Powinniście wrócić do San Galgano – powiedział Gennaro pozostałym. – Ale ja muszę wjechać do miasta i spotkać się z rodziną.

– Wszyscy wjeżdżamy – postanowiła stanowczo Agnesca, a Mii wydała się pełna odwagi i zdecydowania, całkowicie pozbawiona strachu. Kierując się jej przykładem, i ku niedowierzaniu strażnika, poprowadzili swoje konie pod łukiem i przez bramę weszli do miasta.

Mię od razu uderzyły odgłosy Voltery. Nie zdziwiła się, że nie słyszy ptasiego śpiewu, który towarzyszył wszystkiemu, co robiła w ciągu dnia w Villa Santo Pietro. Doskonale pamiętała gwar miasta z czasów, gdy była jeszcze dzieckiem, w wyraźnym kontraście do ciszy lasu i pól w *contado*. Wstrząsem była śmiertelna cisza panująca dokoła. Kakofonia nawołujących handlarzy i wozów jadących po bruku, rozmowy wykrzykiwane na ulicy między przyjaciółmi, i rzemieślnicy, od bednarzy wyrabiających beczki do kowali podkuwających konie – to wszystko słyszała od dzieciństwa, dźwięki zahartowane jak pogrzebacz zanurzony w wodzie. Teraz najwyżej rozlegał się cichy syk pary: słaby ślad głosów w dalszych ulicach, samotny wóz przetaczający się w zaułku, szczekanie psa. Było to denerwujące i całkowicie nienaturalne.

Tak samo zaskoczył ją nieomylny odór choroby, który tężał w miarę, jak zagłębiali się w ciasne ulice. Okna były otwarte z powodu upału, a z wnętrza napływał odór, który znała. Tu jednak był silniejszy i bardziej intensywny, ponieważ liczba chorych ludzi przekraczała wszystko, co



widziała w domu. Treść żołądka podjechała jej do gardła i mało nie wymiotowała, ale się powstrzymała. Niewątpliwie strażnik miał rację – pomyślała – i śmierć zbierze tutaj znaczne żniwo.

Gennaro i Porphyrius jechali, nie zwracając uwagi na swoje konie, a rozglądając się uważnie dokoła po mieście, którego wygląd musiał się znacznie zmienić. Ulice były wyludnione, tylko jeden służący spieszył do pralni, a inny człowiek niósł chleb. Ciała kilku zwierząt leżały w rynsztoku albo pod ścianą domu, gdzie musiały się doczołgać, by zdechnąć. Niewiele dojrzeli otwartych sklepów czy też rozstawionych kramów. Miasto zmieniło się nie do poznania.

W milczeniu dojechali do placu i tu musieli podjąć decyzję. Obaj mężczyźni chcieli się spotkać ze swoimi rodzinami, by dowiedzieć się, jak sprawy stoją i czy doszło do najgorszego. Agnesca jednak zmartwiła się, że przywiozła Luccia do zamkniętej przestrzeni, gdzie już szalała zaraza. Woląла towarzyszyć Mii w spotkaniu z ojcem, w Mii sprawach, jak najszybciej. Potem, miała nadzieję, list od opata Angela zapewni jej dostęp do biskupa Filippa, gdzie zajęłaby się swoimi sprawami. Ale Porphyrius nie chciał, by którakolwiek z nich składała te wizyty bez niego.

Z nich wszystkich Gennaro stosunkowo niedawno wymieniał listy z rodziną i niczego nie dowiedział się z nich o chorobie, więc uzgodniono, że zajrzy do domu niedaleko *piazza*, a potem dołączy do pozostałych w domu rodziny Porphyriusa nieopodal kościoła San Michele, gdzie Agnesca zawsze była mile widziana. Jeśli wszyscy są zdrowi, spotka się z przyjaciółmi w ciągu godziny.

Dołączył do nich jednak już po chwili na ulicy biegnącej do kościoła. Jedynym mieszkańcem miejskiego domu Allegrettich był służący, bo rodzina uciekła przed chorobą kilka dni temu do wiejskiej posiadłości przy drodze do Pomerance. Gennaro chciał tam jechać, gdy tylko zakończą sprawy w mieście, ale teraz nic już nie mógł zrobić.

Domem ojca Porphyriusa, w którym ten spędził lata chłopięce, była majestatyczna Casa-Torre Toscano. Właśnie truchtem mijali jej cień po

prawej. Po tym jak ojciec Porphyriusa przeciwstawił się woli rodziny Belforte, gdy brat Ottaviana, Ranieri, był biskupem, został skreślony z listy osób, które mogą piastować w mieście urzędy publiczne. Uznano też, że powinni się wyprowadzić ze wspianiałej wieży rycerskiej, która została sprzedana Rapuccim, a rodzina Porphyriusa przeniosła się do skromniejszego lokalu dalej przy drodze po drugiej stronie kościoła, i tam właśnie on się urodził. To tutaj uwiązali konie i zastukali do drzwi.

Trochę czasu upłynęło, nim doczekali się reakcji, ale po kolejnym i bardziej natarczywym stukocie kołatki w kształcie lilii pojawiła się znajoma twarz klucznika Ugolino. Od razu przybrała wyraz zdumienia na widok syna marnotrawnego. Czwórkę podróżnych usadzono w wielkiej izbie na dole, w której zwykle prowadził interesy ojciec Porphyriusa, Fortino. Już po paru chwilach syna witała matka.

Mia uśmiechnęła się do drobnej kobiety, o ciemnych włosach splecionych starannie i zagarniętych pod czepek. Próbowwała odwrócić wzrok, jakby zafascynowana wielkimi workami korzeni i towarów ze Wschodu, by dać szczęśliwej rodzicielce i jej dziecku odrobinę prywatności. Szybko i ona jednak została porwana w powitalny uścisk, zaraz po Gennarze – najwyraźniej dobrze tu znanym – a następnie równie szybko usadzona z powrotem, i gospodyni już radośnie witała żonę syna i piękne dziecko, które było jej blondwłosym wnukiem, a spało cały czas. Babcia podniosła je i tuliła hałaśliwie. Po upiornych widokach na ulicach miasta podenerwowanie i zamieszanie w domu Toscanich wydawały się pokrzepiająco ludzkie i Mia się odprężyła.

Wprowadzono ich do okazałej izby na piętrze ozdobionej draperiami, a Ugolino przyniósł poczęstunek. Potem *monna* Elisabetta, matka Porphyriusa, powiedziała im wszystkim o nadejściu wielkiego pomoru – jak mówiono w Volterze – i o jego wpływie na miasto i na ich rodzinę.

– Nie znajdziesz tu swoich rodziców ani sióstr, Gennaro – powiedziała – ponieważ większość rodzin posiadających domy na wsi tam uciekła przed chorobą. A twój ojciec i brat – zwróciła się do Porphyriusa – też się

zatrzymali w Lukce w drodze z Marsylii. Pomór dotarł i tam, ale na razie nic im nie jest, zatrzymali się z przyjaciółmi w ich willi pod miastem. Dlaczego, drogie dzieci, wybraliście ten straszny czas na powrót do domu? – spytała wystraszona. – Sama przyjechałabym odwiedzić wnuka i oszczędziłabym wam zagrożenia związanego z przyjazdem do miasta.

– Ile rodzin dotknęła choroba, *monna* Elisabetta? – spytała Agnesca.

– Może i co trzecią – odrzekła tamta. Ledwie usłyszeli jej odpowiedź, tak była cicha. Jakby w ten sposób dało się zmniejszyć zagrożenie kolejnymi zachorowaniami. – I z tego co słyszeliśmy od lekarzy i kapłanów, wielu umrze. My mieliśmy szczęście i nie zachorowaliśmy, ale nie wychodzimy z domu. Ugolino i ja jesteśmy sami tutaj z Pascualą jako nianią dla twoich siostrzenic, i cała nasza piątka żyje tym, co mamy w spiżarni. Wyprawiamy się tylko do jednego sklepu po mięso i nie odwiedzamy przyjaciół.

Porphyrus wyjaśnił teraz matce pełniej historię, którą jego listy tylko z grubsza nakreśliły: o długiej i potwornej walce Gennara z chorobą; o jego ostatecznym wyzdrowieniu pod opieką Agneski i Mii; i o własnej ucieczce przed potwornością z portu w Mesynie kilka miesięcy temu. Twarz nieszczęsnej kobiety skrzywiła się kilkanaście razy, gdy opowieść się ciągnęła, aż Mia myślała, że serce kobiety nie wytrzyma, gdy zdała sobie sprawę, że jej syn mógł się zarazić chorobą na Sycylii. Na tle raportu z Florencji i tego, co się działo w zastraszającym tempie w Volterrze, zrozumieli, że śmierć ominęła ich cudem. Ale na koniec tej opowieści signora Toscano spytała znowu, dlaczego ryzykowali teraz, gdy bezwzględna choroba uderza w Volterrę z biblijną mocą.

– Maria Maddalena – odrzekł Porphyrius – jest córką signory Barbariny, siostrzenicą signoriny Jacquetty, które na pewno pamiętasz, *mia madre*. Chce porozmawiać z Ottavianem. Agnesca też ma list od opata z San Galgano, któremu również uratowała życie w chorobie. Prosi on biskupa Filipa, by ją ułaskawił i uchylił oskarżenia jej matki. I udzielił nam ślubu.

*Monna* Elisabetta Toscano siedziała zaskoczona. Zastanawiała się chwilę, rozważała każdy punkt po kolei, od początku do końca, szczególnie. Zerwała się z krzesła, jakby była o połowę młodsza, i znowu uściskała syna, a potem córkę jeszcze mocniej niż poprzednio, tak że biedny Luccio został ściśnięty między nimi i po raz pierwszy zapłakał.

– Macie moje błogosławieństwo, choć wiem, że liczy się tylko dla matczynej uciechy, ale ważniejsza aprobata nadejdzie od twojego ojca, a on nie będzie dla was ani niemiły, ani nieszczodry.

Agnescę bardzo poruszyła ta emocjonalna reakcja. Chociaż rodzice Porphyriusa byli dla niej uprzejmi przy każdym spotkaniu, nadal była kobietą o niepewnym statusie prawnym, no i bez wiana. To aż nadto powodów, by się jej wyrzec. Wiele małżeństw niezwłocznie anulowano w razie niezapłacenia posagu.

– A teraz, nareszcie, może sprzyja ci szczęście, Agnesco. – *Monna* Elisabetta wróciła do pozostałych punktów. – Ponieważ ja siedzę zamknięta w domu, nie mam bieżących wiadomości. Ale Pascuala dowiedziała się wczoraj od rzeźnika, że biskup pozostaje w Palazzo Vescovile, gdzie go zatrzymały interesy Kościoła. Ty jednak, Mario – zwróciła się przeproszająco do Mii – nie będziesz miała tyle szczęścia. Ottaviano i jego pozostali synowie, oraz żona, na pewno pojechali do Montecatini. Na pierwszą oznakę zagrożenia zniknęli, i nie mam pojęcia, kiedy wrócą. Skoro ciągle go otaczają łucznicy, pewnie pan naszego miasta nie należy do najdzielniejszych.

Mia zwiesiła ramiona i zakryła twarz szczupłymi palcami. Zakłopotało ją, że tak okazuje emocje przed signorą Toscano, ale od kilku tygodni czekała, by zdobyć informacje o swojej matce i spytać, jak Ottaviano wyjaśni swoje postępowanie wobec swojej rodzonej córki. Miała pytania i czelność zakładać, że otrzyma na nie odpowiedzi. A tymczasem okazało się, że podróżowała tutaj na próżno. Zbierze się dla przyjaciółki i pójdzie do biskupa, ale w obecnym momencie nie mogła być tak bezinteresowna. Straciła szansę, by spojrzeć na swojego ojca i powiedzieć to, co ma do

powiedzenia.

Gennaro podszedł i ukląkł przy niej.

– Mario, Ottaviano nie jest twoją rodziną – rzekł, delikatnie odsuwając jej dłonie od twarzy. – To miano należy się tym, którzy przyjęli tę rolę, czyli twojej ciotce i twoim przyjaciółom, których kochasz. Rozumienie, którego jesteś spragniona, może być ci dane, przynajmniej w części, przez Jacqueline. Ona nie zna wszystkich szczegółów tej historii, ale wie dużo. Wrócę z tobą do Chiusdino i razem jej wysłuchamy.

Agnesca, smutna z powodu Mii, nie mogła powstrzymać delikatnego uśmiechu. Tylko ty, Mia – pomyślała – nie umiesz dostrzec jego uczuć do ciebie. Ale o niczym nawet nie napomknęła, powiedziała natomiast coś, co nie dawało jej teraz spokoju.

– Wybaczcie mi w takim razie, ale nie powinnam tracić czasu, tylko natychmiast prosić o posłuchanie u biskupa Filippa. Serce mi się do tego nie wyrywa i obawiam się wielce, ale po to przyjechałam i to muszę skończyć tak czy inaczej. Może – próbowała wykrzesać odrobinę nadziei – będzie on lepiej do mnie usposobiony pod nieobecność ojca, który by nim kierował.

Ich sprawy w Casa Toscano zakończyły się radą dotyczącą lekarstw na pomór – gdyby okazały się potrzebne – której Agnesca udzieliła nowej matce, i wskazówkami co do wysprzątania domu.

– Nie wiadomo, skąd choroba się bierze, *monna Elisabetta* – powiedziała – ale mogą ją powodować, albo i pogarszać, ugryzienia wszy lub komarów, czy nawet zwierzęcych kleszczy i pcheł. Trzymajcie psy na samym dole i obficie rozrzucajcie zioła.

Stary pałac biskupi mieścił się w miejskiej katedrze, przylegając do Piazza dei Priori; ale w miarę jak *comune* rosła w siłę i zdobywała większość w tym centrum władzy, sto lat temu biskupi się przenieśli i zbudowali nowy *castello* w rejonie dawnego akropolu etruskiego i rzymskiego.

Mia podniosła wzrok na okazały budynek i poczuła się bardzo mała.

Wysoka wieża prezentowała wielką siłę i swoiste piękno; od frontu przez budynek biegła loggia. Kaplica nawet z zewnątrz wyglądała zbyt kownie. Czuła przepych i wystawność urzędu biskupiego, o których właśnie została napomniana, i to ją przerażało. Była wiejską dziewczyną bez urodzenia i władzy. W swej arogancji oczekiwała, że powinna tu zostać przyjęta, ale teraz straciła już pewność siebie.

To Gennaro doprowadził ich wszystkich do majordomusa i zażądał wpuszczenia. Pomimo trwającej dłużej niż pokolenie wrogości z Belfortimi, miał pierścień biskupa od wuja i przynosił szczególne słowa przeznaczone wyłącznie dla ucha Filippa. I rzeczywiście, z tego powodu ich konie zaprowadzono do wodopoju i zatroszczono się o nie, podczas gdy ich wpuszczono do poczekalni biskupa Volterry. Mia kręciła głową, oglądając olbrzymie kamienne wnętrza, gdy dwóch służących ruszyło na wyższe piętra pałacu. Oddychała wiszącym w powietrzu kadzidłem i patrzyła na bezszelestną paradę kleryków i innych domowników wchodzących do budynku i przechodzących przez niego. Posrebrzana skrzynia, tak wyszukanie zdobiona, że jeszcze takiej nie widziała w życiu, najbardziej rzucała się w oczy w tej części. I wielkie arrasowe kołyszające się łagodnie, gdy ponownie otwarto drzwi wejściowe. O ile na zewnątrz wszystko pograżyło się w chaosie, o tyle wewnątrz królestwa jej przyrodniego brata wyglądało równie onieśmielająco i nieprzystępnie jak zawsze.

Po kilku minutach nadszedł sekretarz w sutannie, jak każdy inny kleryk. Polecono mu doprowadzić tylko signora Allegrettiego, i Gennaro, posyłając im uspokajający gest, opuścił przyjaciół i wspiał się kamiennymi schodami do świata poza zasięgiem ich wzroku.

Minął mniej więcej kwadrans i tylko jeden człowiek ubrany w czarno-białą strój medyka przyszedł z zewnętrznego pomieszczenia, po czym zniknął w innym korytarzu. Na wieży zegarowej raz uderzył dzwon, obwieszczając wpół do którejś, ale Mia straciła orientację której. Dawno minęła pora południowego posiłku, może więc było wpół do trzeciej, ale jasne światło i żar długiego dnia nie dawały żadnej wskazówki. Agnesca

uspokajała wierzące się i protestujące dziecko. Powiedziała, że zabrałaby je na bok do karmienia, i już miała spytać odźwiernego, gdzie mogłaby to uczynić, gdy u szczytu schodów pojawił się Gennaro i zszedł do nich w towarzystwie służącego.

– Spotka się z wami obiema – rzekł władcym tonem, którego Mia nigdy u niego wcześniej nie słyszała. – Maria Maddalena i Agnese. Służący wskaże wam drogę, a my, Porphyriusie, zaczekamy.

Oczy Agneski otworzyły się szeroko, ale Mia chwyciła ją za rękę i kiwnęła głową. Luccio trafił w objęcia ojca, a dwie kobiety razem podążyły za mężczyzną, który dopiero co zszedł z Gennarem, z powrotem w górę schodów.

Gdy otworzyły się rzeźbione drzwi, Mia rozchyliła usta ze zdziwienia. Komnata biskupa była tak gęsto obwieszona pięknymi draperiami i jedwabiami, że nie pozostawiono między nimi szczeliny. Okno skrzynkowe, wysokie i o potrójnym łuku, z małymi szybami, rzucało plamy czerwonego światła na jej twarz i podłogę. Rzeźbione owoce i kwiaty zdobiły każdy filar. To pomieszczenie dzielił cały świat od prostoty kościoła ich sąsiadów w opactwie, a to był tylko gabinet.

Biskup Filippo wstał i podał im do ucałowania rękę z pierścieniem, a Mia, napomniawszy się, uklękła i musnęła ustami kamień. Agnesca tylko skinęła głową z miejsca, w którym stała, za Mią, i zaczęła, aż biskup przemówi.

– A więc ty jesteś dzieckiem tej Capobianchi – rzekł z przesadnym zainteresowaniem, patrząc na Mię niczym na konia na targu.

Przez zasłonę zmieszania Mia nie mogła odpowiedzieć. Czy takie nazwisko nosiła jej matka? Ciotka zawsze mówiła o sobie Jacquetta di Benedetto, korzystając z imienia ojca; nigdy nie słyszała nazwiska, które właśnie padło, i przechyliła głowę, nie znajdując słów.

– Kobiety – ciągnął powoli – która najpierw zniszczyła morale i reputację mojego poprzednika, a potem zastawiła sidła na mojego ojca.

Kalambur oparty na nazwisku zaniepokoił Mię. Faktycznie, nie

poznała całej prawdy o historii swej nieszczęsnej matki, ale to na pewno jest kłamstwo. Przypomniała sobie ostatnie słowa biskupa Ranuccia skierowane do niej i twarz jej poczerwieniała na oskarżenie Filippa Belfortego. Nagle wydał się jej nie miłościwym prałatem i szlachcicem, który przewyższał ją pod każdym względem, lecz kłamliwym synem haniebnego ojca, którym miała prawo pogardzać. Zebrała się i wyprostowała na całą wysokość.

– Choć wcale sobie tego nie życzę, pański ojciec i mój to jedna i ta sama osoba – powiedziała absolutnie spokojnie. Jej głos, przy całej swojej delikatności, domagał się posłuchu.

Wypowiedziawszy te słowa, Mia poczuła przypływ pewności siebie i zareagowała na dotkliwą niesprawiedliwość.

– Biskup Ranuccio, niech spoczywa w pokoju – ciągnęła – dał mi pełne świadectwo na łożu śmierci, gdy jego dusza była w niebezpieczeństwie; a czy wy to przyznacie, czy nie, to wasz ojciec pozbawił moją matkę szans na szczęście, płodząc mnie. W ten sposób zniszczył też życie mojej ciotki. To jego ludzie, wiem o tym, są winni śmierci mojej matki. Bo ja tam byłam, Filippo, i widziałam.

Mia się zdenerwowała, oddychała głęboko. Ale dla tych, którzy ją słyszeli, brzmiało to tylko jak słuszny gniew i emocje, i pozwolono jej mówić dalej.

– Kobiety, która przychodzi ze mną, strzeże reputacja biskupa Ranuccia, który działał wiernie jako mój opiekun przez wszystkie te lata nieprawości twojego ojca, nie otrzymawszy od niego żadnego odszkodowania. Ma ona list od opata Angela z San Galgano, sąsiada i przyjaciela mojej ciotki. Wysłuchaj jej z należytą godnością, jak przystało. Okaż jej grzeczność, która przystoi twojemu urzędowi, a oszczędzisz mi potrzeby publicznego wyrażenia krzywdy. Bo nawet jeśli sam dobierasz prezbiterów i uznasz moją skargę za nieuzasadnioną, to oskarżenie o morderstwo się rozniesie, ludzie będą gadać i osądzać twojego ojca wedle własnej woli.



Filippo Belforte milczał, a Agnesca nie miała nic do dodania; ale śmiałość Mii nikogo tak nie oszołomiła jak ją samą. Nikt nie siadł, nikt się nie poruszył. Mia widziała, jak pracują trybiki w głowie jej przyrodniego brata, i zdała sobie sprawę, że zrobiła na nim wrażenie. Wyciągnął rękę.

– Dajcie mi list, signora Toscano – rzekł bezbarwnym głosem.

Siadł przy swoim biurku i nie zapraszając gości do zajęcia miejsc siedzących, przeczytał długi wywód od opata z San Galgano. Siedział jakiś czas, złożył dłonie, strzelił stawami palców, ku obrzydzeniu Mii. Już go miała zapytać, czy mogą usiąść, gdy nagle Filippo Belforte podniósł wzrok na Agnescę.

– Opat dowodzi, że jesteście świętą, której maski, z powodu swej niedoskonałości, nie jesteśmy w stanie rozpoznać. Uważa, że nie potrafimy rozpoznać woli Boga i że to Bóg was ocalił własnoręcznie.

Z jego oczu nie dało się nic wyczytać, Agnesca nie odpowiedziała mu, ponieważ nie postawiono jej żadnego pytania. Nieco wyzywająco patrzyli na siebie może pół minuty, aż biskup wezwał służącego i szeptem coś mu powiedział, tak by nie słyszały go Mia i Agnesca. Służący wyszedł, a biskup Filippo zmierzył kobiety wzrokiem.

– Siadać! – usłyszała wreszcie Mia, wypowiedziane niczym komenda wydana psu.

Czekały w absolutnej ciszy i chyba całą wieczność. Mia mogłaby z pamięci narysować jedną ze scen myśliwskich przedstawionych na draperii, tak długo się w nią wpatrywała. Ostatecznie służący wrócił, niosąc sakwę z jeleniej skóry, którą biskup otworzył. Wyciągnął ze środka dokumenty i przejrzał je, głośno wzdychając, do jednego się cofnął, na drugim uważnie przeczytał sporządzoną na marginesie notatkę.

– Signora Lucini – rzekł wreszcie. – Wasza matka wniosła chyba przeciwko wam wszystkie skargi. Widzę, że nie znaleziono żadnych świadków pośród waszych sąsiadów, którzy by zeznawali przeciwko wam, i że wasz ojciec zachował milczenie. Uciekłyście jednak – spojrzał na nią chłodno – z celi, a to jest występki przeciwko prawu państwowemu.

– Państwo zapomniało mnie nakarmić – odrzekł Agnesca bezbarwnym głosem – i to instynkt nakazuje człowiekowi jeść i żyć na wolności, jeśli można. Jestem posłuszna prawom natury.

Biskup Filippo wydał wargi w uśmiechu pozbawionym ciepła, ale nie bez rozbawienia. Raz jeszcze zerknął do listu od opata Angela, potem uporządkował dokumenty i położył je przed sobą na biurku.

– Widzę, że Kościół jeszcze nie zbadał waszych przekonań religijnych – rzekł – i że to były tylko oskarżenia postawione przez waszą matkę, co zmusiło mnie do uznania was za zagrożoną przez herezję i za możliwe zagrożenie dla państwa. Co więcej – mówił wyważonym głosem – notka na marginesie mówi mi, że umieszczono was w więzieniu miejskim na prośbę waszych rodziców, abyś łatwiej zrozumiała powinności wynikające z obowiązku córki. Nie jest to obraza państwa ani Kościoła w ścisłym tego słowa znaczeniu. Gdyby jednak postawiono wam kiedykolwiek zarzut ojcobójstwa czy przywoływania demonów, nie zdołałbym wam pomóc.

Teraz spojrzał na Mię, której wzrok koncentrował się na jego twarzy. Gdy przypomniała sobie później jego wyraz, pomyślała, że zdawał się mówić: „Ta dziewczyna może przysporzyć kłopotów. Ta dziewczyna – choć jest nikiem – budzi współczucie i należałoby jej założyć kaganiec”. I Mia nie odwróciła od niego wzroku, jakby poddawano próbie siłę jej woli.

Agnesca i Mia patrzyły, jak Filippo Belforte, biskup Volterry, ściska dokumenty w ręku i idzie do ściany na zewnątrz gabinetu przy oknie, tam gdzie kadzielnica uwalnia wonny dym do izby. Sięgnął po cienką świeczkę z półki poniżej i zapalił ją od łojowej świecy w lichtarzu naściennym. Potem powoli i z rozwagą przeszedł do kominka, gdzie dzisiaj, w gorący majowy dzień, nie rozpalono. W milczeniu i pewnym zdumieniu, i trochę może w strachu, patrzyły, jak pali wszystkie dokumenty, w tym list od opata.

Agnese Lucini – której pełne nazwisko Mia poznała dopiero dzisiaj i nigdy więcej go nie usłyszy – patrzyła, jak jej historia strzela płomieniami, jak papier zwija się w kamiennym kominku. Obie patrzyły,

jak Agnese Lucini znika z kart historii.

Filippo stanął teraz nad siedzącą Agnescą i podał jej pustą sakwę, którą ona od niego przyjęła. Ale choć kwestia, która ją tu sprowadziła, została dość niespodziewanie rozwiązana, jego ciekawość nie została zaspokojona. Łypnął na nią i pochylił się do niej.

– Wezwałaś swoich bogów, by wywołali burzę i cię uwolnili? – wyszeptał jej pytanie do ucha.

Agnesca rozpoznała ulotny moment swojej władzy. Dokumenty zniknęły, ale on wciąż uważał ją za czarownicę i bał się jej. Mieszanka zdumienia i przyjemności wywołała na jej ustach uśmiezek. Wstała, nim udzieliła mu odpowiedzi.

– To miasto zostało założone przez starożytnych bogów, którzy wciąż patrzą ze swojego świętego miejsca nad bramą. Mieszkamy w domach zbudowanych na tych, które zamieszkiwali nasi przodkowie. Twój pałac powstał z kamieni, które tworzyły ich świątynie, teatry i budynki rządowe. Może ci przodkowie, śpiący w grobach pod naszymi wałami obronnymi, otaczający nas w swoich wzgórzach, jednak nas słyszą. A gdy nasze emocje nie są na uwieży i krzyczymy w rozpacz przeciwko niesprawiedliwości, może pozwalają nam wezwać – tak jak podobno sami robili – grzmot, deszcz i wiatr? Dla każdego pokolenia myśli rodziców są błędne; każdy nowy wiek okazuje wzdarcę wierzeniom tego, który minął. Ale ten wiek będzie wyszydzony przez tych, którzy przyjdą po nas, ich z kolei zostanie wyparty w bliżej nieokreślonym czasie w przyszłości. Uwielbiamy mieć rację: ale kto ma pewność, że to, co zostało zapomniane, nie miało wartości? Ja wierzę, że moi przodkowie znali taniec deszczu. Może mnie usłyszeli, a może to była po prostu burzowa noc, przecież mieszkamy w miejscu nękanym przez wichry.

Biskup Filippo wpatrywał się w jej źrenice, szukając odpowiedzi. Jego pytanie zaskoczyło Mię.

– Czy ja wymknę się pomorowi? Przeżyję to?

– Wieszczenia zabrania prawo tego miasta, mogę więc tylko

zaryzykować domysły. Pilnuj, żeby nie lęły się tu robaki, żeby twoi domownicy i służba się myli, a przeżyjesz.

Wysłuchał jej i Mia widziała, jak na jego twarzy pojawia się ulga i gniew jednocześnie, nim wyciągnął prawe ramię i wskazał drzwi.

– Idź stąd – rzekł z jawną groźbą w głosie. – I nie pojawiaj się w żadnym miejscu podległym diecezji Volterra. Niech twoja noga nie postanie u żadnego z naszych sojuszników: w Pizie ani we Florencji. Zabieraj się do Sieny, z którą wiemy spory, lub do Lukki. Ale już nigdy nie wchodź mi w drogę. Jeśli usłyszę o tobie w jakiegokolwiek części Toskanii, sam postawię ci zarzuty i zmobilizuję przeciwko tobie wszystkie siły domu mojego ojca, a także moich braci.

Agnesca skłoniła się i chwyciła Mię za rękę. Ale w drzwiach przystanęła.

– Ty przeżyjesz, Filippie Belforte – powiedziała – ale twojemu ojcu może nie dopisze szczęście. A i twój brat winien uważać na wiatry zmian, gdy przygnają go do tego miasta.

Znowu się skłoniła i wyszły.

## CZWARTEK 22 LISTOPADA 2007 ROKU, SAN FRANCISCO

Enzo zawsze mówił, że to tradycja rodzinna. Na koniec uczyty w Święto Dziękczynienia gospodarz i goście powinni wznieść toast za nieobecnych przyjaciół.

Przy stole zebrała się rodzina, a wraz z nią Tyler i Charlotte, których Maddie zaprosiła, zastrzegając stanowczo, że nie będzie żadnych rozmów o pracy. Nie zabrakło Barbary i jej przyjaciela Drew oraz *nonny* Isabelli.

Wszyscy wzniesli kieliszki z jednym z gorszych win Pierce' a Graya – nie, jak poradził profesor Moretti, szeroko reklamowanym Gray Lady – i wszyscy też wstali. Słowa Enza wywołały wzruszenie nie mniejsze niż powiedziane na tyłu już Świętach Dziękczynienia: „Za nieobecnych przyjaciół”, i zebrani powtórzyli toast, podnosząc kieliszki i pijąc.

Każdy chwilę się zastanowił.

Maddie najpierw pomyślała o Christopherze, a potem o jego rodzinie. I chociaż Taylorowie nie obchodzili Święta Dziękczynienia, wiedziała, że wyglądają ponurego okresu świątecznego – pierwszego bez syna. Wyszepiała coś na kształt modlitwy, a w każdym razie błogosławieństwa dla nich. A potem popłynęła myślami do Borgo. Oczyma wyobraźni zobaczyła jak żywe twarze Jeanette, Clausa i pięknego małego Vincenta. Potem doszła wreszcie do Sørenna i usłyszała jego melodyjny głos, z lekkim śladem akcentu, jak mówi te ostatnie słowa przed rozstaniem w Anglii. Miała nadzieję, że najbliższa wiosna nadejdzie wcześniej i że Plejady znowu jasno zabłysną na północnym niebie. Oczywiście wiedziała, że gwiazdy pojawią się we właściwym czasie bez względu na jej nadzieje, ale dzięki nadziei czuła się lepiej przygotowana do starcia ze światem i napięciami w pracy.

Myśli jej sformułowały się w pytanie, które postawiła ojcu.

– Papo, myślisz, że nadzieja i wiara są zapisane w DNA?

– Oto filozoficzny kierunek właściwy na to święto – rzekł, niezbyt zaskoczony. – Nie sądzę, by nadzieja ani wiara, ani nawet wiara były jednym i tym samym. Nadzieja to jakby lista życzeń, których spełnienia chcemy. Myślę, że nadzieja daje istocie ludzkiej zdolność do starcia z przeciwnościami losu i przezwyciężenia ich. Jeśli pomyślimy o chorobach i problemach, z którymi ludzie się dzisiaj borykają – dodał po chwili namysłu – wydają się nam one straszne. Ale pomyślimy o czasach średniowiecznych, gdy nadzieja decydowała o przetrwaniu. Tak, Maddie, myślę, że to nadzieja doprowadziła ludzkość do miejsca, w którym się ona dzisiaj znajduje. Tym samym bez dowodów naukowych możesz mieć rację, że nadzieja jest zasadniczym składnikiem ludzkiego genomu.

Barbara jęknęła, częściowo żartem, ale nie do końca.

– Tato, nie pozwalaj Maddie wpakować się w jakieś mrzonki. Zanudzisz nas wszystkich na śmierć!

Wszyscy roześmiali się jak na komendę, ale Enzo kontynuował swoje rozmyślenia pomimo pouczenia Barbary. Maddie podsunęła mu coś interesującego.

– Wierzyć i wiara to dwie różne rzeczy, moim zdaniem. Wierzyć to także możliwości płynące z przesądów, wierzyć w siebie i wierzyć w Boga. Dzieci wierzą we wróżki i w Świętego Mikołaja; wielu ludzi wierzy w Boga i w osobę pełnego miłości Jezusa Chrystusa, który troszczy się o każdego z osobna. Naukowcy powszechnie wierzą w obojętny wszechświat.

Tyler, Drew i Charlotte teraz w pełni się wciągnęli w to, co mówił Enzo. Tyler kiwnął głową.

– Ja zdecydowanie wierzę w pozytywne myślenie. Na tym wyrosłem, można powiedzieć – oznajmił szczerze.

Enzo kiwnął mu głową z głębokim namysłem, a potem znowu zwrócił się do młodszej córki:

– Jestem przekonany, że ludzie w czasach przednowoczesnych bez reszty wierzyli w potęgę modlitwy, w możliwość lepszego życia po śmierci

i nawet w to, że zdarzają się cuda, które czasami poprawiają ich sytuację, o ile właściwie sformułują prośby. A ja wierzę, że wiara w te wierzenia czasami rzeczywiście je urzeczywistnia. To ta dziwna prawda, która stoi za efektem placebo, jak to mówią lekarze.

Uśmiechnął się do Barbary, której wyraz twarzy przedstawiający lekką irytację był świetnie znany rodzinie. Myślała niewątpliwie, że on dopiero się rozkręca.

Zażartowała w swoim wyjątkowym stylu:

– A teraz wejdziemy na drogę trudności metafizycznych naukowców, którzy muszą ogarnąć realia Boga, stworzenie i opatrność w taki sposób, żeby to wszystko dopasować do znanej sobie prawdy.

Wszyscy się uśmieali. Barbara myślała, że zna swego ojca. Ku jej zaskoczeniu jednak Enzo zachował lekki ton i goście przy stole nie okazali w ogóle chęci, by kończył.

– Żyjemy w dobie postmetafizycznej – rzekł lekko – i nauka wykazała, że świat żywy nie jest zależny od żadnego innego królestwa, nie wywodzi się od niego. To, co wiemy, czy też czego się dowiedzieliśmy, zmieniło nasze postrzeganie rzeczywistości, i nie możemy się tego odwiedzić. Ale mamy wielkie szczęście, wszyscy jak tu siedzimy przy tym stole. Nie ma żadnego przymusu wiary i możemy myśleć, co chcemy, a także wierzyć, w co chcemy. Aczkolwiek i w Ameryce, i na całym świecie są tacy, którzy nie mają takiej możliwości. Cudowny powód do dziękczynienia, nie sądzicie?

I znowu podniesiono kieliszki.

WTOREK 25 GRUDNIA 2007 ROKU

Carol Moretti, w fartuchu i gumowych rękawicach, stała przy zlewie w kuchni przy Wildcat Canyon, zmywając ostatnie naczynia po świątecznym obiedzie. Dwie siostry – trzymając ściereczki ze sklepu Williams-Sonoma, składające się na błękitny w tonacji prezent Maddie dla matki – wycierały najlepsze szkła i srebra, których zdaniem Carol nie należało myć w zmywarce. Podawała je dziewczętom ze zlewu, a w tle

przeładowana zmywarka jęczała nieustępliwie, realizując program.

– Wasza zmywarka chyba już ledwo zipie – zauważyła Barbara, biorąc kolejny kieliszek. – Wydaje dźwięki zgodne z moim samopoczuciem, jakby miała wszystkiego po uszy. Ale jaka piękna świąteczna uczta – dodała, ponieważ wszyscy w duchu cieszyli się swoim towarzystwem. Barbara uściskała zwłaszcza swoją młodszą siostrę, która wyglądała o wiele lepiej niż kilka miesięcy temu. Czekala ją jednak jeszcze rocznica śmierci Chrisa.

Wcześniej na osobności powiedziała Maddie, że świętowała przesilenie w tym roku z jakimiś przyjaciółmi Drew i że wylądowała w łóżku z druidem – „żeby nie mylić z Drew”, roześmiała się. Ciągle jeszcze fatalnie wyglądała, ale nastrój miała wyśmienity.

– Wiecie – powiedziała Carol, podając Maddie srebrną łoatkę do ciasta – szkoda, że was nie było na pasterce z chórem w St Mary of the Assumption. Było cudownie. Taka uroczystość dociera do głębi duszy i odrywa od banału. Myślę, że nawet wasz ojciec był wzruszony. Wiem, że katedra jest bardzo nowoczesna, ale wypełniona muzyką i tymi cudownymi oparami kadzidła budzi taki niesamowity podziw.

– Tata zabrał cię w nocy do kościoła? Do miasta? – spytała Barbara. – Nikt nic nie mówił przy lunchu.

– Och, mnóstwa rzeczy nie wiecie o swoim ojcu – odpowiedziała Carol z lekką satysfakcją. – Owszem, wzięliśmy też Isabelle. Nawet taki duet starych sceptyków jak wasz ojciec i babka czasami daje się ponieść nastrojowi i muzyce. I właśnie tak się zdarzyło wczoraj. Wszystkich bardzo to poruszyło. Może to kwestia naszego DNA, jak ty to mówisz, Maddie.

WTOREK 1 STYCZNIA 2008 ROKU

Poniedziałek 31 grudnia 2007

Stormtree Components Inc.

zaprasza

Panią Madeline Moretti



na  
uroczyste powitanie Nowego Roku  
w San Francisco Yacht Club  
RSVP

Zaproszenie spadło z lodówki, gdy ją otworzyła, szukając soku pomarańczowego. Nie czuła się dobrze, ani trochę.

Kilka dni temu napisała do Søren'a mail o treści „Miłych ferii”. On odpowiedział jej życzeniami szczęśliwego Nowego Roku i dołączył zdjęcia z jarmarku świątecznego w Kopenhadze, isticie bajkowe. Niezrównane widoki z Tivoli zalane blaskiem lampek na drzewach, miniaturowe miasteczka ze sklepami pełnymi prezentów i zaczarowanym jeziorem zamienionym w lodowisko, a cała scena dopełniona lekkim migotaniem śniegu, który przywodził na myśl wszelkie bożonarodzeniowe skojarzenia od dzieciństwa po dziś. Maddie wydało się to wspaniałe.

Wysłał jej też pudełko pięknie zapakowanych mydeł irysowych z drogerii Santa Maria Novella we Florencji. Dowiedział się od Jeanette, że Maddie bardzo chciała je kupić, ale nie dała rady z powodu nagłego skrócenia urlopu. Paczka doszła dopiero w piątek, a towarzyszył jej liścik: „Może tego sam bym dla Ciebie nie wybrał, ale ten prawie fiołkowy zapach jest miły i cieszę się, że to coś, co Ci się podoba. Søren”.

– Ach, chciałam je kupić dla *nonny* – powiedziała głośno do siebie, gdy podniosła pokrywkę pudełka i poczuła zapach. I tak jednak była zdumiona, że zadał sobie tyle trudu.

Z jego maila dowiedziała się, że poleciał do Danii, żeby po raz pierwszy od lat spędzić Boże Narodzenie z rodzicami, bratem i siostrą. Zdradził, że chciałby uporządkować pewne sprawy z matką. Wcześniej tego unikał i dlatego tak długo przebywał z dala od rodziców, ale teraz cieszył się, że wreszcie to załatwił. Podziękował Maddie za jej nieświadomy współudział, bo uważał, że to dzięki niej zrozumiał, że musi poczynić pewne kroki.

Maddie pomyślała, że chyba się domyśla, o co może chodzić – i że wiąże się to z jego pragnieniem niezależności, o którym wspomniał tamtego dnia

w loggii w Borgo. Ale i jarmarki, i mężczyzna wydawały się bardzo daleko.

Pierce Gray zadzwonił parę dni temu spytać, dlaczego nie zadzwoniła od swojego powrotu z Włoch ani nie potwierdziła zaproszenia na sylwestra. Obeszła się z nim dość bezwzględnie, twierdząc, że jest zbyt zajęta naprawianiem szkód dokonanych w sercach i umysłach jej klientów przez niejakiego Gordona Hugo. Jego pawian – jak dosłownie go nazwała – zupełnie zdziczał. Przez chwilę Pierce nietypowo milczał, ale wreszcie poprosił, by zadzwoniła do niego, gdy znajdzie czas, ponieważ chciałby ponownie się z nią spotkać i dać jej drobny prezent. Ale prezenty Pierce'a były denerwujące i niepożądane.

Odłożyła więc na później odpowiedź na jego zaproszenie, a teraz musiała przyznać, że wyszło to niegrzecznie. Jak wielu mieszkańców San Francisco, poszła potańczyć i skończyła absurdalnie pijana na gejowskim przyjęciu w Castro z Barbarą i Drew. Zadziwiająco świetnie się bawiła, ale impreza trwała do świtu, więc dopiero kilka godzin temu dowlokła się do łóżka.

Podniosła zaproszenie i patrzyła na nie, pijąc sok. Miała wrażenie, że jej głowa zupełnie oddzieliła się od ciała. Siadała na minutę, żeby zebrać myśli. Dzisiaj zaczął się nowy rok, przypomniała sobie. Odstawiła sok, odłożyła zaproszenie, wzięła z pudełka mydło i ruszyła pod prysznic.

#### SOBOTA 5 STYCZNIA 2008 ROKU

Isabella zaprosiła Maddie do siebie na świętowanie Objawienia Pańskiego w sobotni wieczór. Maddie co prawda odnosiła wrażenie, że w ostatnim miesiącu za dużo świętuje, ale ta akurat okazja wiązała się z dziecięcym wspomnieniem opowieści o czarownicy Befanie, którą uwielbiała.

Według włoskiej legendy La Befana była starą wiedźmą, którą pominięto, gdy Trzech Mędrców podążało z darami do Dzieciątka Jezus. Mędrcy zatrzymali się u niej po drodze na noc, ale nazajutrz nie chciała się z nimi udać. Potem podobno zmieniła zamiar, ale było za późno, więc nie zdążyła i nigdy nie poznała Jezusa. Żeby naprawić swoje zachowanie,

Befana lata po świecie na miotle w noc z 5 na 6 stycznia i wypełnia zabawkami i łakociami skarpety grzecznych dzieci, a bryłkami węgla niegrzecznych.

Maddie nigdy nie dostała węgielków, a jako dziecko bezproblemowo godziła tę postać z Bożym Narodzeniem. Uważała Befanę za postać o wiele bardziej interesującą niż Święty Mikołaj, ale tak czy owak, liczył się fakt, że dostawała podwójną dawkę prezentów do skarpety. Nikt w rodzinie nie obchodził Epifanii, odkąd Maddie skończyła dziewięć lat, więc zastanawiała się, co teraz knuje Isabella.

Zwykle u babci było wesoło, a w dodatku miała do niej niedaleko na piechotę. Nim jednak pchnęła furtkę ogrodu około siódmej wieczorem, zrobiło się zupełnie ciemno. Furtka skrzypnęła i *non na* Isabella otworzyła drzwi wejściowe, zanim Maddie dotknęła dzwonka. Czyli jak zwykle.

Gdy Maddie weszła do salonu, zobaczyła, że biały marmurowy posążek Diany ma na głowie czarny kapelusz wiedźmy z Halloween. Na jej szyi wisiała skarpeta. Dokładnie tak jak za każdym razem od wczesnego dzieciństwa. Maddie poczuła przypływ nostalgii.

Isabella gestem zachęciła wnuczkę, by wzięła sobie skarpetę. I o dziwo wydawała się bardziej podekscytowana niż ona. Patrzyła na nią jak jastrzęb, jakby przewidywała jakąś wyjątkową reakcję.

Maddie zdjęła skarpetę i wytrząsnęła z niej pudełeczko na biżuterię, przewiązane starą białą wstążeczką. Otworzyła je ostrożnie i odsunęła materiał, który skrywał zawartość. Uśmiech zakwitł na jej twarzy.

W tym momencie Isabella nie mogła się już powstrzymać i wybuchnęła:

– Od twoich urodzin przetrząsałam dom, żeby to znaleźć. W końcu w zeszły weekend znalazłam na dnie szuflady. Piękna?

Maddie patrzyła na śliczną kameę przedstawiającą dwa gołębie podnoszące girlandę kwiatów zawiązaną w węzeł kochanków. Wciąż była przypięta do czarnej jedwabnej wstążki, tak jak na fotografii praprababci.

Poczuła łzy pod powiekami, a potem kiwnęła głową. Tak, była piękna.

– To dla ciebie – powiedziała Isabella. – Wiedziałam to, odkąd zobaczyłam wyraz twojej twarzy, gdy patrzyłaś na zdjęcia w swoje urodziny.

Maddie spojrzała na *nonnę* Isabellę, jakby chciała ją o coś spytać, ale nie dobytek z siebie głosu.

– Och, czy ja nie uważam, że Barbara powinna ją dostać? – domyśliła się Isabella. – Nie, nie uważam. Ona by tego w życiu nie nosiła. Ale myślę, że ty tak, że będziesz nosić. Barbara zbyt przypomina swoją patronkę. Jeśli za bardzo z nią zadrzesz, oberwiesz piorunem.

Maddie uznała, że to jedna z najdziwniejszych rzeczy, jaką usłyszała z ust *nonny*, i znowu spojrzała na nią pytająco.

– Znasz historię świętej Barbary? Świętej, która nie umarła, chociaż ją bardzo poranili? Za każdym razem jej rany się leczyły. W końcu jej ojciec miał dość, poszedł ściąć jej głowę, a gdy tylko zamachnął się toporem, uderzył go piorun. Myślę o tym za każdym razem, gdy twoja siostra przerywa waszemu ojcu, gdy on coś opowiada. Nie – powtórzyła – to dla ciebie. To ty jesteś zakorzeniona w przeszłości. Ty ją czujesz jak ja, chociaż nie do końca rozumiesz.

Maddie uściskała babcię. Musiała przyznać, patrząc na kameę, że miała wrażenie, iż gdzieś już ten portrecik widziała. I to nie na zdjęciu babci Mimi.

## SOBOTA 20 STYCZNIA 2008 ROKU

Dzień zaczął się od lekkiego deszczu.

Nie dało się uniknąć kalendarza. Żadnej ucieczki od rocznicy tragedii, od dnia, w którym bez ostrzeżenia doznała bolesnych przeżyć i potem ośpienia. Teraz odnosiła wrażenie, że to tak, jakby została wrzucona do głębokiej wody, ciemnej i nieprzejrzystej, która zmroziła ją do szpiku kości, zaparła dech, ukołysała do stanu martwoty i beznadziejności, tak że walka o własne przetrwanie wydawała się nie na temat. Nie chciała umrzeć, ale też nie chciała pływać. Przez całe miesiące żyła w stanie

zawieszenia. Ale rok minął, a ona nadal żyła.

W bardzo osobisty sposób chciała dzisiaj uczcić życie Christophera, a nie koncentrować się na jego śmierci. Nie chodziło jej o upiorność, po prostu potrzebowała czasu dla siebie. Wczoraj zadzwoniła Barbara, martwiąc się, że Maddie nie powinna być sama. Ale Maddie upierała się, że nic jej nie jest i że właśnie potrzebuje samotności. Zapali świece i pozwoli sobie na odrobinę rozmyślań – rozmyślań, przed którymi zamykała drzwi przez większość minionego roku. Powiedziała siostrze, że woli milczące czuwanie.

I tak poranek spędziła nad albumem fotografii z Oksfordu, przeżywając ponownie chwile na każdym zdjęciu – z przyjaciółmi na rzece, w zabawie na trawnikach przed Merton College, z Chrisem w majowy poranek na Magdalen Bridge. Każde wspomnienie było czułe, ale mniej bezpośrednie niż emocje, których zaznała w tamtą wrześnie noc przed rozprawą w oksfordzkim sądzie. Chrisa na zdjęciach nie było, ale był – zawsze będzie – z nią na trawnikach i w budynkach ich miasta, i jeszcze w Wenecji. Wciąż czuła stratę, ale coraz mniej dotkliwie niż choćby kilka miesięcy temu.

Chociaż brutalnie, śmierć Chrisa zmusiła ją do podróży ku pełnemu, samodzielnemu życiu. Do końca podróży dużo jej jeszcze zostało – wręcz dopiero ją zaczynała – ale widziała siebie coraz bardziej jako pielgrzymka, w taki sposób, jak to opisała Jeanette: szukającego wyzwolenia z ograniczeń własnego świata i oczyszczenia się w tym procesie.

Ale około trzeciej dołączyło do tych myśli wspomnienie o samym telefonie. Spojrzała na aparat w kuchni i znowu usłyszała w uchu głos Harriet Taylor. Żołądek jej się ścisnął i poczuła przyływ lekkiej paniki.

Jak najwolniej i jak najspokojniej Maddie siadła na dywaniku na podłodze swojego mieszkania, z komputerem otwartym na stoliku. Zaczęła przeglądać zbiór swoich zdjęć z Borgo, szukając w nich pocieszenia. Na jednym z nich Vincent z mamą śmiali się w ogrodzie różanym. Na innym kusił ją jej pątniczy pokój, z niepościelonym łóżkiem, jakby właśnie się

obudziła. I zatrzymała się nad takim, na którym uchwyciła Sorena w trzech czwartych profilu. Prawa strona jego twarzy zawsze wyglądała tak doskonale i przystojnie – niemal drażniąco. Lewej, pamiętała, natura już nie wykonała tak perfekcyjnie, i z tego kąta wyglądał jak zwykły śmiertelnik. Janus, uśmiechnęła się do siebie. I nagle przeskoczyła do kolejnego zdjęcia, tym razem przedstawiającego widok na Valle Serena z loggii, na pierwszym planie znajdowały się wielkie donice Jeanette, w których rosły drzewka cytrynowe. Niemal poczuła zapach ich kwiatów.

Zdjęcia wykonały swoje zadanie i pomogły jej znaleźć pocieszenie w myśli, że ktoś miał ochotę i próbował sobie wyobrazić lepszy świat.

Zrobiła się piąta, a choć wcześniej zanosilo się na przejaśnienie, deszcz znowu zaczął padać i sprawił, że wcześniej się ściemniło. Maddie zobaczyła, która jest godzina, i wstała. Stawy jej zeszywniały. Przeciągnęła się i uznała, że przyda się jej prysznic, pod którym spędzi też trochę czasu. Zapaliła świeże świece i wybrała Pucciniego do słuchania. Nie nastawiła za głośno, ale ucieszyła się, że muzyka od razu pomogła uwolnić pewne uczucia. Jakąś godzinę później na dworze było już całkiem ciemno, chociaż nie do końca zimno, ale ona drżała lekko. Może powinna coś zjeść, mimo że nie czuła głodu.

Gdy Maddie ruszyła do okna z widokiem na zatokę, śpiewała Mimi, a ona objęła się ramionami i zadrżała, patrząc, jak pada deszcz. Teraz czuła się o wiele mniej dzielna niż wcześniej.

I wtedy to usłyszała. Cichutko, gdzieś za nią, ktoś pukał do drzwi. Ponieważ wcześniej nie dzwonił domofon, musiał to być sąsiad. Może muzyka grała za głośno? Albo może to *nonna* czy Barbara – obie miały klucze. No, jeśli to *nonna* lub siostra, to wbrew zapowiedziom ucieszy się na ich widok. Otworzyła.

– Nic nie mów – powiedział, delikatnie kładąc palce na jej ustach zamiast pocałunku. – Nie chciałem ci przeszkadzać w twoim dniu. Ale chociaż sam w sobie jest łagodny, pomyślałem, że to jeden z najzimniejszych dni w roku.

Z oczu Maddie popłynęły łzy. Nie mogła zapytać, skąd się tu wziął ani dlaczego. Wiedziała, że ona go do siebie przywołała.

– To tylko opera doprowadza mnie do łez – zdołała wykrztusić.

– Wiem – odrzekł. I zamknął ją w ramionach.

## SCHYŁEK MAJA 1348 ROKU, VOLTERRA, TOSKANIA

Pod koniec drażniącego upalnego dnia, jaki często zdarza się latem, chmury burzowe zebrały się nad wieżami i dachami miasta i zerwał się silny wiatr, by przelecieć przez niemal puste ulice. Mię pocieszał tylko fakt, że dzięki niemu okropny smród choroby popłynął w drugim kierunku.

Już docierali do etruskiej bramy, gdy Mia przystanąła.

– Musisz pojechać do domu chociaż po swoje rzeczy! – krzyknęła do Agneski jadącej przed nią.

Łzy utrudniały jej mówienie. Skrywała się właśnie w bramie pod głowami miejskich bóstw; ale wiatr nadciągający od czoła wzgórza chwycił za kaptur jej płaszcza i szarpnął za długie włosy, uwalniając je po chwili z luźnej wstążki, która nie dawała rady ogarnąć ich obfitości. Pasma długich ciemnych loków wymknęły się na twarz i prąd zimnego powietrza osuszył łzy na policzkach. Chciałaby cofnąć czas do tamtego leniwego poranka, gdy wyruszali z Santo Pietro; trudno było pojąć, że działo się to ledwie wczoraj.

– Przyjechaliśmy prawie z niczym – Agnesca mówiła z trudem, jej gardło też było ściśnięte – więc nasze rzeczy niewiele dla mnie znaczą. Ale musimy odjechać, bo on będzie pilnował Santo Pietro – musiała niemal przekrzykiwać wiatr – i na wszystkich was sprowadzilibyśmy nieszczęście. – Sądząc po głosie, można by uznać ją za stanowczą, ale to był pozór. Po prostu trzymała się postanowienia, że musi być silna ze względu na Mię.

Mia rzeczywiście płakała; zupełnie jakby uwolniły się z niej łzy, które więziła, odkąd opuściła te bramy jako dziecko. Wtedy głos jej zamarł i nikomu nie była w stanie opowiedzieć o swoim nieszczęściu. Dzisiaj już



mówiła, ale w tej chwili poza nielicznymi wyraźnymi słowami dobywała z siebie jedynie jęki.

Gennaro przysunął do niej swego konia i chwycił ją za płaszcz, który wydał się z jednej strony. Pomógł go uwiązać, tak aby ją chronił przed wiatrem.

– Możemy przeczekać pogodę – rzekł do wszystkich – bo na pewno nadciąga burza. Ale masz rację, że najbezpieczniej wracać innymi drogami.

Agnesca kiwnęła głową i nagle stała się dziwnie spokojna. Odwróciła konia tyłem do żywiołów i stanęła twarzą do Mii, chwytając ją mocno za ramię i zmuszając się do uśmiechu, który całkowicie licował – tak Mia pomyślała później – z siłą i promiennością jej charakteru.

– Dzisiaj nasze drogi się rozdzielają – przyznała – ale jeśli zwiążesz węzeł w naszym ogrodzie pod gołębiami, Mio, pewnego dnia, obiecuję, doprowadzą mnie do ciebie z powrotem.

Z twarzą równie mokrą od łez uściskała przyjaciółkę tak mocno, że konie prawie się siebie wystraszyły, a klacz Mii się zatoczyła. Gennaro wychylił się po uzdę, by uspokoić zwierzę, i powiedział coś do Porphyriusa, słowa, których Mia nie usłyszała, bo porwał je wiatr.

Mia ręką przytrzymała rozpuszczone włosy i patrzyła na uśmiech Agneski, a potem jej klacz znowu się obróciła. Ale chwila już uleciała i wraz z Lucciem zawiniętym w ojcowski płaszcz niczym jedwabnik w kokon ruszyli w dół wzgórza. Końskie podkowy krzeszały iskry na kamieniach, a stukot kopyt niósł się za nimi.

– Dokąd pójdziesz, *la raggia*?! – zawołała Mia w bólu. Ale pytanie nadeszło za późno, by doczekała się odpowiedzi.

– Porphyrius ma swoje miejsca, Mia, tak jak ja – powiedział Gennaro, patrząc, jak jeźdźcy znikają z ich pola widzenia. Wciąż stanowczo trzymał jej wodze. – Może powinienem zabrać cię do rodziny w Pomerance, skoro niebo robi się groźne. Ale ta burza jest pewnie lokalna – próbował ją uspokoić – i jeśli usiedzisz w siodle i będziesz się trzymać blisko mnie,

dojedziemy do domu, do Jacquetty, przed zmrokiem.

Łzy płynęły niepowstrzymanie po policzkach Mii, ale słowo „dom” wypowiedziała wyraźnie. Gennaro ścisnął jej dłonie i kiwnął głową.

Jacquetta do późnego wieczoru wyszywała przy dwóch świecach. To rzadko się jej zdarzało – nie należała do kobiet poświęcających czas robótkom ręcznym. Zawsze powtarzała, że to domena szlachetnie urodzonych kobiet, które nie miały gospodarstwa do prowadzenia, zbiorów do doglądania, rachunków do spisania na koniec każdego tygodnia, gości do nakarmienia. Dzisiaj jednak wszystko to już zrobiła i pozostawało jej tylko czekać. Z tego powodu kilka godzin temu weszła do pokoju muzycznego, rozstawiła ramki i wykonała już część wzoru, który wyrysowała dla niej Mia – jednorożca odpoczywającego w sadzie granatowców. W słabym świetle oczy jej się męczyły, chętnie by się już położyła, ale niepokoiła się o Mię i Agnescę i wiedziała, że umysł dalej będzie rozważał rozmaite możliwości, czy to w łóżku, czy też poza nim.

Alba przyniosła puchar wina i spojrzała na nią łagodnym okiem kobiety, która służy komuś od czasów swej i jej młodości. Mając lat dwadzieścia cztery, Alba była o dwa lata młodsza od swojej pani; ale choć różniły je majątek i urodzenie, Alba była bliższa Jacquetcie, niż nakazywał zwyczaj, z powodu przeciwności losu, które dzieliły. Nieraz rozmawiały w sekrecie o swoich uczuciach.

Podawała jej kielich. Ponieważ wszyscy inni już spali, Jacquetta zdjęła czepek, odsłaniając łagodną linię rudozłotych włosów, wyskubanych nad czołem, by podkreślić arystokratyczne czoło. Alba pomyślała, że pani jest ciągle piękna, ze smukłą figurą i granatowymi oczami odziedziczonymi po francuskiej babci, po której też dostała imię. Dzisiaj jednak wyglądała na zmęczoną i samotną. I chociaż Alba wiedziała, co ją trapi, mogła zaoferować jej tylko skromne pocieszenie.

– Pani na nich czeka – powiedziała współczująco – ale oni może zostaną w mieście na kolejną noc. Rodzina signora Gennara ma w Volterze dom, a przed nimi daleka droga.

Jacquetta podniosła brwi, w jej policzkach pojawiły się dołeczki. Nie odrywając oczu od igły, odparła:

– Jeśli to wypowiedziałas, by podnieść mnie na duchu, Albo, to próżne twoje wysiłki. Obie wiemy, że droga z Volterry o tej porze roku, przy księżycu, nie jest trudna. To nie jest kwestia podróży ani noclegu.

– Signora Toscano to najbardziej opanowana kobieta, jaką w życiu widziałam. – Alba uśmiechnęła się optymistycznie. – Myślę, że nic się jej nie stanie. Ma dwóch mężczyzn do ochrony i obaj oddaliby za nią życie.

Alba powiedziała to, by przekonać samą siebie, że zagrożenia miasta są mniej niepokojące niż za czasów matki Mii. Wtedy panowała tam anarchia, gdy rodzina Belfortich zajęła pozycję rodziny Gennara. Ale trzy lata po przyjeździe Mii do Santo Pietro Walter z Brienny, władca księstwa Aten, przejął rządy w mieście na rozkaz Florencji. Interweniował papież i naciskał Belfortich, by przestrzegali prawa i pozwolili swoim przeciwnikom żyć w Volterze spokojnie – jeśli nie świetnie. Ottaviano uszanował to niechętnie, gdy wrócił do władzy, a Alba postanowiła uwierzyć, że młody biskup elekt zachowa się szlachetnie, a w każdym razie nieagresywnie.

– Opat Angelo to delikatny dyskutant – powiedziała Jacquetta do Alby – ale ja z przyzwyczajenia jestem nieufna w swoich oczekiwaniach. Zasłużona sprawiedliwość często nie jest wymierzana.

Minęła już północ, nim Jacquetta odłożyła haftowanie, wzięła świeczkę i ruszyła schodami do siebie. Ale gdy mijała pokój Agneski i Porphyriusa, usłyszała na drodze konie: chyba mniej niż cztery, pomyślała. Podkasła suknię i zawróciła, czując ulgę, ale też niepokój. Czuła, że to Mia, ale jej powrót o tej porze w jakiś sposób źle wróżył. Czy spieszyli do domu? Nie pasowałyby to do zadowolonych suplikantów świętujących swój sukces. Albo może przez pomór wielu właścicieli gospód w drodze do Volterry nie chciało przyjmować podróżnych.

Już była przy ciężkich drzwiach, odsunęła rygle i wyciągnęła świeczkę przed siebie w ciemnościach. Księżyc świecił jasno, choć nie był w pełni,

a o tej porze w stajniach nie paliły się pochodnie. Mający świetny słuch Cesaré jednak ubrał się pospiesznie i przyniósł lampę i teraz Jacquetta go wypchnęła, by pomógł nocnym przybyszom. Niewiele minut później Jacquetta rozpałała ponownie świece w kinkietach przy kominku w sieni, a na podwórku rozległy się kroki. Znowu stanęła przy drzwiach, patrząc na cienie poruszające się pod drzewem oliwkowym, aż nagle w ramiona jej padła siostrzenica zalana łzami. Za nią stał zrozpaczony Gennaro.

– Odzyskała wolność, Mia – powiedziała Jacquetta, po tym jak zagrzała w kuchni wino z korzeniami i wysłuchiwała żywej relacji z wydarzeń dnia. – Musi wybrać ostrożnie, gdzie będzie mieszkać. Ale jest mężatką i żaden wyrok nie wisi jej nad głową.

– Nie ma też nadziei na odzyskanie majątku – dodał Gennaro z ironią. – Wygnanie oznacza, że rodzinna ziemia i dom, cokolwiek z niego zostało, przechodzą na Belfortich. Ale owszem, teraz ma w końcu przyszłość.

– Wygnanie to nie najgorsze, co mogło się zdarzyć – zauważyła mądrze Jacquetta.

– Ale ja już nigdy jej nie zobaczę. – Mia westchnęła, patrząc bez apetytu na stojący przed nią chleb. – I nie pożegnałyśmy się.

Spojrzała na ciotkę żałośnie, a potem coś postanowiła. Dzień już nie mógł być gorszy: oderwano ją od osoby, którą zaraz po ciotce ukochała najbardziej na świecie; wróciła do miejsc, w których rozegrał się koszmar jej dzieciństwa. Zaraza wisiała jak kir nad miastem i zdawała się mówić Mii, że na świat nadciąga zagłada, która dotknie więcej ludzi niż obecna choroba. Po raz drugi w życiu nic nie było pewne: jej światu zabrakło tej odrobiny bezpieczeństwa, którą odbudowała, odkąd została porzucona jako dziewczynka.

Wyłożyła to Jacquetcie i dodała:

– Mój przyrodni brat obraził pamięć mojej matki wzmianką, której nie umiałam do końca obalić, chociaż udawałam, że owszem. Nazwał ją „tą Capobianchi” – nigdy nie słyszałam od ciebie tego nazwiska. Czas, bym się dowiedziała wszystkiego, bez względu na to, jakie to okropne.

– Późno jest – ostrzegła Jacquetta – a to zbyt smutna historia, by słuchać jej przed snem.

Mia jednak była zdecydowana, że musi się to stać już – w jeden z najgorszych dni, jakie pamiętała. Tak więc, zachęcona skinieniem głowy przez młodego mężczyznę, który wiernie dowiózł jej siostrzenicę do domu, Jacquetta się zgodziła.

– Opowiem to jak najkrócej – zastrzegła. – Rzeczywiście jesteśmy gałęzią rodu Allegrettich – uśmiechnęła się łagodnie – chociaż to w pokoleniu mojej prababki byliśmy bliskimi kuzynami. A twoja matka, Barbarina Capobianco, była dumą naszej rodziny. Bezdyskusyjnie należała do miejskich piękności – i mówię to nie z zazdrością, lecz zgodnie z prawdą. Oczy miała wielkie i migdałowe pod ciężkimi powiekami, włosy układały się w gęste sploty – podobnie jak u ciebie, chociaż nie tak ciemne. Ale jej twarz, Mia, była wyrzeźbiona przez anioła. Usta miały barwę moreli, policzki wydatnie zarysowane, ale zmysłowe. Jeśli miała skazę, to tę, że wiedziała, jaką ma władzę nad innymi, i czasami ją wykorzystywała. Ale dla wielu mężczyzn była przez to bardziej fascynująca i podnosiło to jej cenę. Nasz ojciec żywił ogromne nadzieje, że znajdzie jej wspaniałą partię i dzięki ostrożnym plotkom i zabiegom zdołał skusić syna rodziny Aldobrandeschi, żeby się jej oświadczył. Gdy dobito targu, miała czternaście lat, a miała zostać hrabiną.

Ale zdaniem Ottaviana ambicje naszego ojca sięgnęły za wysoko. Taka potężna rodzina hrabiowska wzmocniłaby klan Allegrettich. A Ottaviano był wobec nich nieprzejednany. W wigilię objęcia urzędu podesty Bolonii znalazł sposobność, by zniszczyć nadzieje i marzenia wszystkich. Podążając za nią do domu z kościoła, gdzie się modliła w burzowe popołudnie – gdy deszcz i wiatr wypędziły z ulic świadków – napadł ją i jej służącą z trzema zbrojnymi, obie kobiety zostały zaatakowane, zaciągnięte do sklepu ze zbożem i zgwałcone. Ona miała piętnaście lat, Mia, tyle co ty teraz.

Mój ojciec widział tylko to, że pohańbiono mu córkę, i zastanawiał się,

czy ona aby nie poszła z własnej woli z ambitnym wrogiem naszej rodziny. Tak strasznie się wstydził, że nie słuchał jej obrony. Błagania mojej matki pozostały słabe, bo jej plany też pokrzyżowano, i zaręczyny unieważniono. Ottaviano uciekł do Bolonii, nie można mu było postawić żadnego oskarżenia. Ale nasz ojciec nie wysunął żadnego oskarżenia, Mia, tak strasznie nie chciał, by wszyscy się o tym dowiedzieli, i wiedział, że to będzie wymagało wendety, na którą nie miał sił. Wiele lat później Ottaviano miał twierdzić, że moja siostra oddała cnotę zbyt łatwo.

Skoro ojciec jej nie wspierał, a miasto plotkowało, byłaby zgubiona, gdyby nie biskup Ranuccio, najwyższy stanowiskiem członek szerzej pojętej rodziny. Kochał twoją matkę, Mia, w każdy dobry sposób. Nie dał posłuchu opinii gawiedzi ani plotkom i zapewnił jej dom i służbę, a o ciebie zadbał. Oczywiście to było Ottavianowi na rękę i po latach opowiadał, że teraz ona została kochanką biskupa Ranuccia. Szybko wszyscy uznali, że niechybnie jesteś córką biskupa i że kłamstwa Ottaviana musiały być prawdą: bo kto by miał odwagę spierać się z panem miasta, którym on tymczasem się stał?

Reszta to był już drobiazg. Kiedy sam objął władzę i wygnał Ranuccia, skonfiskował wszystkie posiadłości Allegrettich i mściwie chciał, by twoją matkę wyrzucono z domu, który dostała. Dał swoim ludziom wolną rękę, byle się jej pozbyli; zawsze wierzyłam, że zginęła przypadkiem, w szamotaninie, nie chcąc zrezygnować ze swoich praw. Dopiero rok temu, gdy przemówiłaś, dowiedziałam się prawdy o tym, co wydarzyło się w domu tamtego dnia. Zdecydowałam, że musisz trafić do nas, żyć pod ochroną dachu swoich dziadków, ale oni nie chcieli o tym słyszeć. Z niewyobrażalną dla ciebie radością zbuntowałam się, zrezygnowałam z rodowego nazwiska i przybrałam nazwisko dziadka. Przywiozłam ciebie, Loredanę i jej syna ze sobą do tego domu, który dostałam od biskupa Ranuccia, by zarządzać nim w twoim imieniu. I od tego czasu zawsze byliśmy tu szczęśliwi, nie sądzisz?

Po policzkach Mii płynęły łzy. Nie jakaś szczególna część opowieści ją

do nich doprowadziła, lecz całość: dziadek, który odwrócił się od jej matki; obłuda Ottaviana; powód, dla którego Loredana żyje jako matka bez męża; brak współczucia ze strony innych.

– Musiałaś zrezygnować z nadziei na zamążpójście przez hańbę mojej matki? A potem przeciwstawiłaś się swojemu ojcu? – wyszeptała.

– To był mój wybór – odparła śmiało Jacquetta. – A ty się mylisz. Kochałam, i powiem o nim tylko tyle, że należał do rodziny Rapucci, która kupiła Casa-Torre Toscano od rodziny Porphyriusa. Dlatego tyle o nim wiedziałam. Nasz ślub się opóźnił ze względu na komplikacje w życiu mojej siostry i ugodę posagową. Gdy zabito twoją matkę, miałam siedemnaście lat i szykowałam się do ślubu i przeprowadzki do jego domu. Bez żadnego poczucia straty, Mia, wybrałam ciebie, i zrobiłabym to raz jeszcze bez wahania.

Mia otworzyła usta, szukając stosownych słów, ale ich nie znalazła. To było niesamowite odkrycie! Jej ciotka poświęciła małżeństwo wyłącznie po to, by zostać jej matką. Nie trzeba było żadnych wyjaśnień: przyjęcie odpowiedzialności za nieślubną córkę siostry przekreśliło jej szanse na poślubienie zalotnika. Bez względu na to, ile dla niego znaczyła, prawo zwyczajowe obowiązujące szlacheckie rodziny nigdy by do tego nie dopuściło.

– Wybrałaś mnie. – Tylko tyle zdołała wykrztusić, chwyciła ciotkę w objęcia i wtuliła twarz w jej pierś.

Nagle się wyprostowała.

– Wybrałaś mnie – powtórzyła – a ja wybieram ciebie. Pójdę za tobą wszędzie, nawet do grobu. Gdy nadejdzie mój czas, zostanę pochowana obok ciebie, choćby nie wiadomo co.

Odkąd przybyła do Villa Santo Pietro, dopiero drugi raz spała tamtej nocy z ciotką w wielkim pokoju wychodzącym na Valle Serena. Pierwsza taka okazja zdarzyła się, gdy Agnesca i Porphyrius przybyli do domu przepelnionego gośćmi. Groził jej zalew uczuć. Wciąż boleśnie odczuwała stratę przyjaciółki, ale też delikatnie pogłębiła się jej miłość do ciotki, jeśli

to w ogóle było możliwe. Mia zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała siłę zrobić coś tak bezinteresownego, jak przyjęcie dziecka zrodzonego z innej kobiety zamiast zamęścia i założenia własnej rodziny. Przypominało to raczej złożenie ślubów zakonnych, pomyślała. Czyli coś wręcz przeciwnego niż wybór Agneski.

Gennaro tymczasem poszedł do swojego pokoju z głową pełną kłębiących się myśli. Wcześniej wysłuchał w milczeniu opowieści Jacquetty. Zgadzała się ona z informacjami, które już wcześniej miał od biskupa Ranuccia, ale gdy słyszał je z jej ust, uderzyła go siła charakteru tej kobiety, która sprzeciwiła się swoim rodzicom dla dobra Mii. I poruszyła go też gorąca lojalność Mii wobec ciotki. Te dwie kobiety były oddane sobie, i słusznie. Gennaro od tych myśli nie mógł zasnąć. Od jakiegoś czasu zaczął myśleć o sobie, że jest pod delikatnym zaklęciem – a jeśli tak, z największą ochotą się mu poddawał. Tak więc teraz rozważał, czy – i jak – nadal jest możliwe, żeby zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju, odkąd w wigilię Świętej Agnieszki przyszedł na świat maleńki Luccio.

Po nocy całkowicie bezsennej o świtaniu podszedł na pola opata do maleńkiej rotundy, gdzie leżał pochowany święty Galgano. Tutaj siadł, pomyślał i pomodlił się. I po jakimś czasie wrócił do willi. Znalazł Jacquettę tylko z Juliettą, praczką, i po szybkim pytaniu poprowadził Jacquettę za rękę do stóp wielkiego majątku, gdzie Agnesca i Mia założyły swój ogród z ziołami, zaklęciami i magicznym węzłem. Tam znaleźli Mię siedzącą pod drzewem morwowym z parą gołębi.

– Całą noc się zadręczałem – powiedział do obu kobiet – i szanuję cię, Mario, za uczucia, które wyraziłaś na koniec długiego wieczoru.

Siadł na kamiennej ławce obok Mii, delikatnie pociągnął Jacquettę, by i ona usiadła. Jego brązowe oczy były tak pełne uczucia, że obie kobiety chciały zrobić coś czy powiedzieć, by ulżyć mu w bólu.

– Masz rację z przyrzeczeniem, które złożyłaś ciotce – rzekł, kiwając Mii głową. – Ale może byście na jakiś czas odłożyły pogrzeby – próbował



się zaśmiać, patrząc to na ciotkę, to na siostrzenicę – tak że bym spytał Mię, czy zechce przyjąć nazwisko mojej rodziny?

Jacquetta czekała na pytanie od zimy, od gry w młynek. Położyła tylko swoją drobną dłoń na jego ramieniu i uśmiechnęła się.

Ale Mia odkryła, że zaznaje nieoczekiwanej przyjemności w słuchaniu, jak Gennaro nazywa ją pełnym imieniem, po raz pierwszy; i po dwóch dniach zalewu emocji zdumiała się siłą uczuć do niego, które właśnie sobie uświadomiła. Kiedy to nastąpiło, że on stał się częścią mojego szczęścia? – zastanawiała się.

Gest jej ciotki był jedynym błogosławieństwem, którego pragnęła, by podjąć decyzję, więc uśmiechnęła się do Jacquetty, jakby dzieliły tajemnicę.

– Tak – powiedziały obie i roześmiały się.

– Tak, poproszę – dodała sama Mia. Wplotła palce w jego brązowe loki i pocałowała go w czoło.

KONIEC ZIMY–POCZĄTEK WIOSNY 2008 ROKU,  
SAN FRANCISCO

Poza delikatniutką mgłą poranek był raczej doskonały: ale Maddie czuła się oszołomiona, gdy schodziła wzgórzem w stronę wody. Ciągle była w dżinsach i wiedziała, że się spóźni, ale musiała odetchnąć świeżym powietrzem, które – jeśli szczęście jej dopisze – będzie pachniało plumerią. Pragnęła oczyścić umysł i zrozumieć, co się stało ostatniej nocy. Cały ubiegły wieczór wydawał się nierzeczywisty i gdyby nie obecność kwiatów – charakterystyczny zapach fiołków w jej mieszkaniu, co jego zdaniem miało znaczenie – powiedziałyby, że nic z tego się nie zdarzyło i że była pod wpływem środków odurzających albo śniła.

Stała kilka minut, patrząc, jak mewy krążą, jak ktoś pływa w oddali; i oddychała oceanem – nie tylko jego zapachem, ale bezmiarem, dzięki któremu zawsze się czuła żywa i wolna. On był jak zjawą, niemal anioł; tylko czy tego właśnie chciała? Ale to, co do niej powiedział... rozumiała aż za dobrze mądrość tych słów.

Oddychała teraz głębiej i wyjęła komórkę z kieszeni. Musiała pogadać, choćby trochę. Zadzwoiła do biura, w którym, ciut po ósmej, wciąż odzywała się automatyczna sekretarka, i zostawiła wiadomość dla Teresy, żeby powiadomiła wszystkich, że ona dotrze około południa.

– Muszę coś zrobić – powiedziała – i przez kilka godzin nie będzie się można ze mną skontaktować.

Przeszła przez mieszkanie i ubrała się do pracy. Tylko wilgotny ręcznik wiszący na niewłaściwym uchwycie i zawiązany ręcznie bukiet róż i fiołków w szklanym wazonie potwierdzały, że rzeczywiście miała gościa. Niecałą godzinę temu znowu wyjechał, zabierając orzechowe oczy, które czuwały nad nią całą noc.

W końcu wsiadła do tramwaju jadącego przez wzgórze, bo najpierw chciała wpaść do Jimeny. Na miejscu stwierdziła, że żaluzje są jeszcze opuszczone, a tabliczka obrócona na „Zamknięte”, ale zapukała do szklanych drzwi, ponieważ widziała w środku sylwetkę kwiaciarki stojącą plecami do okna. Jimena pomachała, nie podnosząc wzroku, jakby mówiła „Odejdź, jeszcze zamknięte”, nagle jednak obejrzała się i uśmiechnęła szeroko, gdy zobaczyła najpewniej tyle włosów i profilu Maddie, żeby się zorientować, któż to puka.

Drzwi otworzyły się na tyle, by wpuścić gościa, po czym natychmiast zostały zamknięte.

– Wygląda pani dzisiaj *curiosa* – powiedziała Jimena, trochę zdumiona.

– I tak właśnie się czuję – odparła Maddie niezwykle głębokim głosem.

– Muszę zanieść trochę kwiatów do katedry. Chcę zapalić świeczkę za Christophera, bo jeszcze tego nie robiłam. W nocy zrozumiałam, że muszę się z nim pożegnać. Nie miałam na to szansy, ale muszę spróbować w jakikolwiek sposób. Jak pani myśli, jakie kwiaty byłyby do tego najlepsze?

Jimenę jej słowa bardzo wzruszyły. Wiedziała, że Maddie nie jest pobożna, ale to, co powiedziała, było przejmujące i prawdziwe. Straciła go, nim zdążyli się pożegnać, i na pewno wielu rzeczy sobie nie powiedzieli.

– Tak, Maddie, rozumiem – powiedziała łagodnie. – Myślę, że białe róże są doskonałe do wyrażenia głębokiej miłości, a nie czerwone, które symbolizują tylko namiętność. Wskazują też na coś sekretnego – i słusznie, prawda? Bo zostawia mu pani jakąś poufną wiadomość, przeznaczoną tylko dla niego. I podobno to były pierwsze róże w raju. Lubię je najbardziej ze wszystkich kolorów.

Jimena zaczęła uważnie wybierać dwanaście białych kwiatów z bukietu z wystawy. Maddie patrzyła oczarowana, jak kwiaciarka wybiera najlepsze okazy, wacha co którąś, owija je przezroczystym celofanem i przewiązuje rafią.

– Jimeno, wie pani, co oznacza bukiet fiołków i białych róż?

Dłonie wiążące rafię zatrzymały się na chwilę, a Jimena podniosła głowę, by spojrzeć na Maddie. Znaleźć fiołki o tej porze roku było wyjątkowo trudno w San Francisco; ale ona trochę miała, ze dwa dni temu. Uśmiechnęła się do siebie. Ach, señorita Maddie! Wiem, że ma pani wielbiciela, ponieważ w sobotnie popołudnie przyszedł do mnie mężczyzna po taki właśnie bukiet. W całym mieście szukał właściwych kwiatów i ktoś mu powiedział, że tylko ja mogę mieć fiołki przed sezonem. I wykupił wszystkie!

Nic z tego jednak nie powiedziała – wolała po cichu cieszyć się swoją wiedzą.

– Białe róże, jak powiedziałam, to głęboka miłość, a także sekret albo niewyrażone uczucia – wyjaśniła, z dyskretnym uśmiechem wracając do wiązania. – Fiołki natomiast tradycyjnie oznaczają współczucie, a nawet czujność. Myślę, że to się zgadza. Każdy, kto by zestawił razem te kwiaty, zdecydowanie miałby coś do powiedzenia.

Podawała róże Maddie, ciesząc się, że te, które sprzedawała z fiołkami, też były doskonałe, ale trochę mniejsze, i jeszcze w pączkach. Wybornie się połączyły z fiołkami, a co najważniejsze – musiały mieć silny zapach, tak powiedział. Nie zawsze to było możliwe u kwiatów hodowlanych, ale róże Jimeny miały zapach, a klient był nimi zachwycony.

– Dwadzieścia dolarów plus podatek, jak dla pani – powiedziała, nie chcąc brać więcej, choć kwiaty były warte co najmniej dwa razy tyle. Przytrzymała Maddie drzwi i dodała: – Cieszę się, że ktoś przyniósł pani fiołki, Maddie. Tylko gdzie on je znalazł? To dopiero zagadka. – Uśmiechnęła się, bardzo z siebie zadowolona.

– Dziękuję – odparła Maddie, wyczuwając w tej uwadze tajemnicę.

Enzo Moretti cieszył się słonecznym dniem lutego – ostatnim dniem miesiąca, a jeszcze dodatkowym. Wiosna czekała za rogiem.

Gdy stał przy swoim stole laboratoryjnym na uniwersytecie, stwierdził nagle, że nuci części znakomitej wielogłosowej mszy Palestriny, która dała mu tyle radości w Boże Narodzenie. Nie odrywał wzroku od mikroskopu,

gdy obserwował bakterie *Xylella fastidiosa* poruszające się w preparacie przygotowanym przez jednego ze studentów, w ramach badań nad chorobą Pierce'a. Uśmiechnął się do siebie, wiedząc, że to, na co patrzy, pochodzi sprzed wielu milionów lat. Jakież to było niewiarygodne w zestawieniu z systemem religijnym, który natchnął muzykę wzruszającą go tak mocno – powstałym dwa tysiące lat temu.

Na chwilę zbłądził myślami, by prześledzić od dawna prowadzoną dyskusję z sobą samym. Muzyka i architektura kościelna zawsze dostarczały mu głębokich osobistych doznań. Rozwahał, czy żyć według standardów etycznych tradycyjnie łączonych z chrześcijaństwem, które mu się podobały. Nie mógł się jednak zmusić do wiary w istnienie fundamentalnych metafizycznych bytów, nie wspominając o dogmatycznej wierze, która uczyniła tylu ludzi niemiłosiernymi. Nazwałby siebie poetycznym chrześcijaninem: pielgrzymującym do piękna, ale uciekającym przed sztywną doktryną.

W sąsiednim pomieszczeniu zadzwonił telefon, przerywając ciąg myśli Morettiego. Usłyszał, że odbiera jedna z jego studentek.

– Panie profesorze, dzwoni pańska córka – powiedziała.

– Która? – spytał Enzo, nie odrywając głowy od mikroskopu.

Po chwili nadeszła odpowiedź.

– Madeline. Pyta, czy może przyjechać i spotkać się z panem, gdy będzie pan wolny, ale dzisiaj.

Nagle Enzo się zmartwił. Żadna z jego córek nie zwykła dzwonić i prosić o spotkanie w college'u, chyba że w ważnej sprawie. Uniósł głowę znad okularu.

– No dobrze. Proszę jej przekazać, że spotkam się z nią w swoim gabinecie o dwunastej trzydzieści, zjemy na miejscu lunch. Jestem wolny do drugiej, potem mam wykład. Dziękuję, panno Chang – dodał, a potem powrócił do pracy. Ale skoncentrować się już nie mógł.

Gabinet Enza był stosunkowo duży i dzięki iście królewskiej maszynie stojącej w rogu pachniał dobrą kawą. Poza tym urządzone go raczej

funkcjonalne, niewiele widać tu było akcentów osobistych. Ściany zastawione półkami na książki, od podłogi po sufit. Wielki stół seminaryjny obstawiony dwunastoma krzesłami, na spotkania wydziałowe i ze studentami. Nieformalny kącik z niskim stolikiem, fotelami i kanapą. Stacja dokująca do iPoda – prezent od Maddie – zdradzała trochę jedną z jego pasji.

Dokładnie o dwunastej trzydzieści Maddie wetknęła w drzwi głowę. Niosła wielką szarą kopertę i odrobinę była zdenerwowana. Po raz pierwszy przyszła do ojca po poradę zawodową i miała nadzieję, że nie pomyliła się w osądzie. Wiedziała jednak, że potrzebuje opinii drugiej osoby.

Enzo wyszedł zza biurka i uściskał ją na powitanie. Pomyślał, że jego córka wygląda wyjątkowo pięknie, zupełnie jak Anioł Zwiastowania, w chmurze burzy loków i z twarzą tajemniczą i inteligentną. Dorosła przez ostatni rok, przy tym całym swoim bólu. Przyjrzał się jej uważnie.

– Wyglądasz, jakby cię sprowadzała ważna sprawa. – Uśmiechnął się i zaprosił ją na kanapę.

Jego spostrzegawczość wzbudziła jej podziw.

– Masz rację, papo, chodzi o pracę. – Podała mu przyniesioną kopertę. – To raport z badań naukowych zleconych przez moją kancelarię. Jest to analiza bazy danych i zapis serii badań laboratoryjnych. Badania wykonano dla potwierdzenia hipotezy na temat zatrucia w fabryce mikroprocesorów.

Ojciec spojrział na nią wzrokiem bez wyrazu.

– To ważne, papo. I absolutnie poufne. Ale pilnie potrzebuję twojej porady i żebyś mi powiedział, co myślisz. To pod pewnymi względami sprawa osobista.

Enzo uniósł brwi z udawaną powagą, a jej serce zamarło. Miała nadzieję, że ojciec potraktuje ją poważnie. Uśmiechnęła się jednak do niego i położyła palec na wargach, zanim otworzył usta, a potem wepchnęła mu kopertę w rękę.

– *Segreto* – podjęła grę, zmuszając go do odwzajemnienia uśmiechu. – A teraz pojedę kupić nam coś na lunch w tych ulubionych delikatesach mamy. Pogadamy, jak wrócę, ty możesz w tym czasie to obejrzeć.

Odwróciła się i wyszła. Pół godziny później na stole seminaryjnym stały same smakołyki: salami, oliwki, antipasti, chleb i butelka San Pellegrino, tymczasem Enzo powoli przewracał kartki raportu.

– Papo – powiedziała – zjedzmy coś.

Widziała z jego twarzy, że nastrój mu się zmienił i że pochłonęła go lektura. Pomyślała także, że wydaje się nią zdenerwowany.

– Tak – rzekł i podsunął krzesło do stołu. – Jak długo to trwa?

– Ja o tym wiem, odkąd zaczęłam pracę w kancelarii. – Nalała mu wody. – Ale o ile się orientuję, zaczęło się to chyba jakieś sześć lat przed moim przyjściem.

Enzo zastanawiał się chwilę, nim odpowiedział.

– Jako naukowiec mogę ci powiedzieć, że te materiały wydają się bardzo starannie i dobrze przygotowane – zaczął. – Najpierw analizują raporty zdrowotne obejmujące okres dwudziestu pięciu lat, dla wszystkich zatrudnionych w firmie o niepodanej nazwie. Wyodrębniają pewną grupę pracowników pod kątem wykonywanej pracy.

Maddie napiła się wody, ale ojciec zignorował szklankę i mówił dalej:

– W raporcie twierdzi się, że jedna grupa pracuje w otoczeniu, które jest wypełnione toksycznymi chemikaliami. Szczegółowo wymieniono, o które chemikalia chodzi i co o nich wiadomo z istniejących i rzetelnych opracowań naukowych: te substancje mogą wywoływać u kobiet poronienie, stwierdzono również ich działanie rakotwórcze. Mogą powodować wady genetyczne w pierwszym, a może i w drugim pokoleniu potomków osób, które były narażone na ich działanie.

Maddie kiwnęła głową.

– Po drugie przeprowadzono serię badań laboratoryjnych na szczurach w okresie siedmiu miesięcy, badania te zakończyły się w tym miesiącu. Próbowano w nich sztucznie powielić, w miarę możliwości, wszystkie

zmiany w powietrzu tego środowiska pracy. Istnieje także grupa kontrolna, która egzystuje w normalnych warunkach. Chciałbym przejrzeć te materiały uważniej – ciągnął – ale z tego co widzę, eksperymenty zostały bardzo dobrze przeprowadzone – chociaż przypuszczalnie można twierdzić, że nie prowadzono ich na tyle długo, by rozstrzygały wątpliwości w stu procentach. Sugerowałbym, że przy tym czasie trwania eksperymentu zyskujemy jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt procent dokładności.

– Mogę ci to zostawić, papo, jeśli chcesz – powiedziała Maddie, wysłuchawszy jego uwag. – Będę wdzięczna za twoją obiektywną opinię.

– Fascynujące jest porównanie badań na szczurach i danych o zdrowiu ludzi w tej anonimowej firmie. Stan zdrowia zwierząt laboratoryjnych oddaje niemal dokładnie stan zdrowia pracowników w każdej grupie – w tym w grupie kontrolnej. Jeśli mam wydać natychmiastową opinię, to uważam, że dałoby się uniknąć zachorowalności na choroby śmiertelne, gdyby ktoś mówił otwarcie o problemie, a pracowników przenoszono by z tego środowiska po pewnym okresie, żeby uniknąć nagromadzenia się toksyn. Fakt, że ci ludzie prawdopodobnie nie musieli ucierpieć, budzi mój gniew.

Maddie przyglądała się ojcu. Wyglądał na zatroskanego.

– Maddie – mówił dalej – zdaję sobie sprawę, w miarę jak się starzeję, że zawsze podchodziłem do świata – poza światem mojej dziedziny nauki – mniej krytycznie niż ty czy twoja siostra. Wychowałem się w innym etosie, gdzie osoby zajmujące wysokie stanowiska w świecie biznesu były bohaterami, i to zapewne bez skazy. Oczywiście wiem, że to głupie. Balzac mówi, że za każdą wielką fortuną stoi wielka zbrodnia. Ale ja także mam swój portfel inwestycyjny. Czekam na dywidendy, dzięki którym zapewnię sobie byt na starość. To jednak, co sugerują te dokumenty, jest całkowicie lekceważącym brakiem szacunku dla istoty ludzkiej, co może dotknąć przyszłe pokolenia. Brak zastanowienia i refleksji widoczny w tym raporcie jest nie lepszy niż traktowanie niewolników w Europie tysiąc lat



temu. To moralnie skandaliczne na gruncie ludzkim i nieuzasadnione nawet w kategoriach ekonomicznych. Maddie – odetchnął głęboko – czy ty rozumiesz, dlaczego tak się dzieje?

Patrząc na ojca, po prostu pokręciła głową.

– Przypuszczam, że ten raport ma coś wspólnego z firmą w rodzaju Stormtree albo którymś z jej konkurentów. Czeka ich straszliwie niemiła pobudka, sądząc z zaprezentowanych tu informacji. To może brutalnie wpłynąć na ceny ich akcji – dodał ponuro.

– Dzięki, papo – powiedziała Maddie z czułością. – A teraz zjesz ze mną lunch?

Jedli w milczeniu przez jakiś czas, a Enzo złożył właściwy hołd piknikowej uczcie, którą zapewniła córka, jednak na jego apetyt źle wpłynęły informacje, które właśnie poznał. Po pewnym czasie Maddie powiedziała, że odbierze raport później z domu, tak aby mógł nad nim pomyśleć. Następnie uśmiechnęła się smutno i zadała mu pytanie z zupełnie innej dziedziny.

– Jako poetyczny naukowiec – zażartowała – albo naukowy poeta daj mi, proszę, poradę.

– To chyba będzie coś miłszego. W czym mogę pomóc?

To, co usłyszał, zaskoczyło go i ucieszyło.

– Mój przyjaciel, ktoś, kogo szanuję, zwrócił moją uwagę na fakt, że nie pożegnałam się z Christopherem. Myślę, że w sensie emocjonalnym zaczęłam to robić, ale nie do końca chcę się z nim rozstać ani próbować udawać, że nie był częścią naszej rodziny – powiedziała z powagą. – Chciałabym zasadzić drzewo w naszym ogrodzie i poświęcić jego pamięci. Jeśli sądzisz, że to by nie przeszkadzało tobie i mamie, to chciałabym, żebyś mi powiedział, jakie to powinno być drzewo.

– Maddie... jak Isabella i doniczka bazylii. – Pogłaskał ją po włosach.

– Nie, papo, nie jestem ckliwa. Nie będę płakać i usychać z tęsknoty, ale drzewo będzie silne i będzie rosło cicho obok nas wszystkich.

– Tak, oczywiście. Twoja matka też się zgodzi – kiwnął głową – a ja

rozumiem. Więc... coś może niebanalnego; może jakiś symbol pokoju... Co to miałyby być? – Enzo wstał i podszedł do półek, szukając konkretnego tomu, który otworzył z zadowoleniem. – Ach! Doskonale! Chciałem sprawdzić, czy rośnie w strefie szóstej, i mamy szczęście. Co powiesz na *Davidia involucrata*?

Maddie się uśmieła.

– No jasne, posadźmy od razu trzy – powiedziała i zaczęła pakować lunch.

Enzo też się uśmiechnął, po czym pokazał jej barwne zdjęcie.

– Jest znana jako drzewo gołębie ze względu na swoje nadzwyczajne falujące kwiaty pojawiające się w maju. Wyglądają jak gołębie unoszące się na wietrze. Znana jest też jako drzewo chusteczkowe – ale to bardziej prozaiczne niż gołębie, nie sądzisz? Twojej matce na pewno się spodoba i to ona będzie je podlewać i przypilnuje, żeby się przyjęło.

– Jest piękne, papo. – Maddie prawie się rozplakała. – Nie wiem, dlaczego wydaje się jakoś tak szczególnie doskonale. Ale – spojrzała z troską – czy ono nie umrze? Serce by mi pękło.

– Nie, kiedy już się przyjmie i ukorzeni, rośnie bardzo dobrze. Może znieść nasze zimy w górach. Strefa szósta oznacza chłodną temperaturę, a kiedy już poczuje grunt, twoje wnuki będą na nie włączyć. Wszyscy sąsiedzi przyjdą popatrzeć na nie, jak pojawią się te kremowe kwiaty, zobaczysz.

Maddie uśmiechnęła się i spakowała resztki lunchu do różnych toreb, po czym odwróciła się, by ucałować ojca, na co on wstał. Przy swoich staromodnych manierach przeszedł do drzwi, by je przed nią otworzyć. Ona, chociaż taka wyzwolona, ucieszyła się, że jej ojciec pamięta o kurtuazji.

Przed wyjściem jeszcze raz się do niego odwróciła.

– Możesz mi rozwiązać zagadkę? – spytała. – Czy białe róże i fiołki mają jakieś odniesienie w poezji?

– Sypiesz dzisiaj zagadkami, Maddie. – Uśmiechnął się szeroko. –

Pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to wiersze o Lucy Wordswortha. „Fiołek co spod głazu błyska<sup>[5]</sup>...” Coś płochliwego i ukrytego, ale tym bardziej wyjątkowe, że tak osobiste. Albo Dorothy Parker nazywa fiołki niebiańskimi arcydziełami, o ile pamiętam. Ale daj mi się zastanowić. To fiołki i róże razem?

Kiwnęła głową, gdy przytrzymał jej drzwi.

– A Keats ma coś do powiedzenia o różach i fiołkach? – spytała, wiedząc doskonale, że to Keats pomógł w wyborze bukietu.

– O, na pewno. Doskonale – rzekł, odpowiadając czymś więcej niż potwierdzeniem. – Zastanowię się trochę i niedługo się zobaczymy. Mam nadzieję, że wszystko się uda.

– Dziękuję, papo.

Znowu go ucałowała i poszła.

W połowie marca zapowiedź wiosny była już wyraźna, ale wśród sosen na zboczu za Wild Cat Canyon wciąż podnosiła się mgła. Od spodu oświetlało ją słońce, rozciągając długopalce promienie przez las.

Maddie stała przy końcu rodzicielskiego ogrodu, o tej porze lekko ocienionego, i przyglądała się Gołębiemu Drzewu, które Jimena jej znalazła w specjalnej szkółce. Właśnie je uwolniła z wielkiego kubła i ostrożnie umieściła w dole, który wcześniej przygotował ojciec. Enzo, na kolanach, wypełnił przestrzeń wokół korzeni kompostem z taczki, po czym wstał i podniósł konewkę. Rozlał jej zawartość wokół dawidii i objął młodszą córkę. Był to cichy, pełen refleksji moment. Cofnęli się, by podziwiać swoją pracę.

W domu nikogo nie było. Barbara zabrała Carol do Berkley na zakupy. Dzięki temu Maddie miała chwilę spokoju, bez komentarzy i gadania matki czy nawet Barbary, która mogła całkiem nie zrozumieć.

– Mam nadzieję, że to na całe lata zapewni ci miłe wspomnienia – powiedział Enzo, przyciągając do siebie córkę – i przykro mi, że go nie poznaliśmy.

– Mnie też – rzekła z pewną siłą. – Był naprawdę dobrym, miłym,

inteligentnym człowiekiem. I zawsze będzie częścią mnie.

– Gołębi w starożytności używano do przesyłania wiadomości pomiędzy wyroczniami, Maddie – powiedział Enzo łagodnie – więc miejmy nadzieję, że Christopher otrzyma twoją wiadomość.

Kiwnęła głową i uściskała ojca, zagubiona w natłoku myśli. Ale czuła się zadziwiająco mało zdenerwowana.

Ruszyli z powrotem do domu, a Enzo uścisnął ją jeszcze mocniej. Nagle coś mu przyszło do głowy i obrócił się do córki z ciepłym uśmiechem. Może jeszcze nie czas to mówić, ale teraz o tym pomyślał, więc posłucha intuicji.

– Zanim twoja matka z siostrą wrócą, powiem ci, że twoje fiołki i róże rzeczywiście pochodzą od Keatsa, tak jak sugerowałaś – oznajmił.

– Znalazłeś coś? – spytała ostrożnie.

– Coś bardzo odpowiedniego. Przypomniałem sobie o tym wczoraj, i sprawdziłem dokładnie. Wsadziłem ci wiersz do raportu toksykologicznego, więc nie zapomnij wziąć tych materiałów przed wyjściem.

– Dziękuję.

---

[5] W. Wordsworth, *Lucy*, przeł. S. Barańczak.

## PAŹDZIERNIK 1365 ROKU, TOSKANIA

W dumnym Palazzo Pubblico w Sienie mistrz Simone namalował Maryję Dziewicę intronizowaną w całej swej chwale jako niebieską patronkę miasta i jego *contado*. Wioski i mniejsze miasta pod jej życzliwym okiem miały się cieszyć specjalną ochroną i przychylnością Królowej Niebios, miała także wpłynąć na mądre rządy władz.

Ale prawda była taka, że siedemnaście wiosen od ślubu Mii i Gennara wydawało się im zupełnie inne.

Wielki pomór zebrał żniwo tak olbrzymie, że żaden żywy świadek nie mógł dokładnie wyrazić cierpienia. Na idyllicznej wsi ludzie umierali tysiącami. Bracia opuszczali siostry, a żony mężów leżących na łożu boleści, obiecując wrócić z jedzeniem i piciem, tymczasem zamykali za sobą drzwi i nigdy nie wracali. Dzieci głodowały po śmierci rodziców, a truchła zwierząt leżały w stosach obok nich. W Sienie umarło niemal osiemdziesiąt tysięcy ludzi. A w *contado* straty przedstawiały się podobnie. Na zielonych zboczach stały opuszczone domostwa, schludne rzędy drzew i winnic rosły niestrzyżone, a w dolinach zarosły kwitnące pastwiska i starannie utrzymane pola.

W Villa Santo Pietro stracili pięciu pielgrzymów – aż pielgrzymi niemal przestali przybywać. Potem trzech mieszkańców gospodarstwa; a później śmierć weszła do domu, zabierając Giuliettę, praczkę. Każdy wysiłek ku wyleczeniu szedł na marne. W przeciwieństwie do Gennara wszyscy nieśli chorobę w płucach i kasłali krwią, zanim pojawiły się obrznięcia. Śliczna Giulietta jeszcze w piątek wieczorem jadła kolację, a w sobotni poranek już nie żyła.

Ale mieszkańcy Santo Pietro mieli szczęście, że tak niewielu spośród swoich stracili. Volterra pochowała niemal połowę mieszkańców, w tym

siostrę i siostrzenicę Gennara, jak również Ottaviana Belfortego, zgodnie z zapowiedzią Agneski. A jeszcze większa klęska dotknęła ich sąsiadów. W opactwie San Galgano choroba zabrała ponad połowę mnichów i świeckich braci. W kuźni wygasł ogień, piec szklarski stał beczynny. Pola klasztorne leżały odłogiem, a wielu pamiętało trzy krwawe słońca w dniu, gdy choroba zabrała opata.

W pierwszych latach małżeństwa Mia i Gennaro nie mieli nic pewnego prócz pracy. Temu byli oddani od rana do nocy, a że do pomocy na polach mieli mniej rąk, większość zadań musieli wykonać mieszkańcy Santo Pietro. Prócz braku ludzi przez kilka sezonów niełaskawa okazała się pogoda, a w efekcie ucierpiały zbiory. Mia nie donosiła dwójki dzieci. Ale niewielka rodzina przetrwała. Jacquetta powiedziała, że umrzeć można na wiele sposobów, ale oni muszą znaleźć sposób na życie.

Latem siedemnastego roku ich małżeństwa zbiory wyglądały lepiej. Równowaga między słońcem a wiosennym deszczem wspierała falujące pola ziarna; ruch owsa i orkiszu kołysanych wiatrem przypominał Mii dzieciństwo. Winogrona też się dobrze zapowiadały, a zbiór oliwek wyglądał lepiej niż podczas poprzednich dwóch, trzech sezonów.

Ale pod koniec lata dotarł ze Sieny rozkaz skierowany do ludzi na jej wiejskim zapleczu. Zbrojne bandy znowu pojawiły się w *contado*, a żeby nie czuły się tak swobodnie, całe siano i trawę należało spalić pod okiem urzędników. Dodatkowo wszelkie zapasy ziarna, wina, mięsa, drobiu i nawet drzewa należało przywieźć do miasta do przechowania, w przeciwnym bowiem razie mogły zwabić bezbożników, którzy już nieraz w ostatnich latach najeżdżali okolicę. Przed dwoma lata straszliwa Kompania Czapki obróciła w zgliszcza ledwie odradzające się terytorium, paląc plony i domy, porywając zwierzęta i obywateli, a jeśli właściciele czy rodziny chcieli ich odzyskać, musieli ich wykupić za floreny. Jeśli okupu nie zapłacono, jeńcy umierali w ciągu kilku miesięcy. Rabusie spustoszyli tereny w promieniu dwudziestu mil od Sieny.

W starej kuchni Villa Santo Pietro Gennaro zdjął z kolan synka

i ponownie przeczytał rozkaz. Większość plonów już zebrano i trzeba było podjąć decyzję. Ale potrząsał głową nieszczęśliwie.

– Wyobraźcie sobie ten szlak, ciągnący się stąd do miasta! – powiedział z niedowierzaniem do Mii i Jacquetty. – Długa karawana plonów to zaproszenie dla *condottiere*. Na otwartej przestrzeni ci maruderzy zgarną nas jak szakale, po czym ukradną mięso i inne zapasy dla tysięcy swoich żołnierzy.

Jacquetta siedziała z napiętą twarzą.

– A jeśli wyznaczeni ludzie ze Sieny spalą też naszą paszę, to jak, na Boga, wykarmimy zimą bydło?

– Musimy się podporządkować – powiedziała Mia, chwytając rękę dziecka i podając mu pocięte jabłko. – Poza tym czytaliście, że zrezygnują z podatków na wszystkie towary u bram. Nasz zysk może być wart tej drogi.

– Kto to, papa, *condottieri*? – dobiegł ich niepewny głos z suszarni ziół przy spiżarni.

Gennaro odwrócił się, by odpowiedzieć Isabelli, młodszej córce. Przyszła usiąść z rodziną przy stole w kuchni i posadziła sobie braciszka na kolanach. Ojciec spojrzał w jej inteligentne migdałowe oczy. Choć imię dostała po jego matce, oczy miała po własnej. Przypomniała mu się uroczą Mia, którą poznał jako czternastolatkę. Isabella miała teraz o rok mniej.

– To żołnierze, którzy nie mają zajęcia i szukają wojny – wyjaśnił łagodnie. – Gdy angielski król Edward rozpuścił żołnierzy po bitwie pod Crecy i pod Poitiers – ze wszystkimi łupami, po które przyszli – hordy jego rycerzy i ich ludzi zostały we Francji, szukając łupu. Żołnierzom pokój się nie opłaca, Isabello.

– Ale my nie walczymy z Anglią – zauważyła zmieszana.

– Ci ludzie prowadzą z nami wojnę, bo mogą – odrzekł. – Dołączyli do nich szukający przygód i bogactwa członkowie rodziny Visconti z Mediolanu, a także z Niemiec. Ale najgorsi z nich są Anglicy. Gdy jakiś czas temu podróżowałem do Awinionu z jedwabiem i korzeniami,

słyszałem o bezwzględnych najazdach tych ludzi, którzy walczyli jako Biała Kompania, chociaż teraz jeżdżą pod chorągwią świętego Jerzego i dowodzeni przez Johna Hawkwooda, którego nazywają Giovanni Acuto. W Arpajon we Francji tysiące ludzi uciekło przed nimi w trwodze, znajdując schronienie w klasztorze Benedyktynów. Uwięzieni tam, zaproponowali wojsku kapitulację, ale rycerze woleli podpalić klasztor i wszystkich w środku. Wszyscy zginęli w ogniu, ale z setka szczęściarzy zdołała umknąć. Na linach opuścili się z klasztornych murów. Nie zdołali jednak oszukać Anglików, którzy czekali na dole i wyrznęli wszystkich, gdy tylko dotknęli ziemi.

– Proszę, Gennaro! – ostrzegła Mia. Chociaż zawsze byli szczerzy, takie historie mogły wystraszyć dzieci.

– Ale papo – naciskała Isabella – dlaczego oni przyjechali do Toskanii?

– Włoskie państwa to łakomy kąsek – odparł jej ojciec – ponieważ dzięki handlowi jesteśmy stosunkowo bogaci. Ale choć wszelkie luksusowe towary płyną do Europy przez naszych kupców, a nasze spichlerze i winnice błogosławią deszcz i słońce, nie mamy tyle rozsądku, by zebrać wojsko i chronić należycie obywateli. Zamiast tego od dziesięcioleci walczymy ze sobą. Stronictwo papieskie z cesarskim, Florencja ze Sieną, Piza z Genuą. Wszyscy się nawzajem osłabiliśmy, i chyba nie jesteśmy w stanie się z tego wyplątać.

– Oni chcą tylko pieniędzy, Isabello – dodała cicho Jacquetta. Widziała, że druga córka Mii, Barbara, bardziej ciekawska i niezależna, ale też o żywszej wyobraźni, przejęła się słowami ojca. – Nie opłaca im się zabijać wieśniaków i rolników. Chcą nas złupić, jeśli zdołają, i żądać, byśmy odkupili swoje dobra za złoto.

– Nas też zaatakują? – spytało dziecko.

– Siena zawrze pakt, Isabello – powiedziała córce Mia. Pogłaskała ją po włosach i próbowała podnieść na duchu. – Miasto potrzebuje zboża, wina i oliwy, które my mamy. Potrzebują żelaza i koni opata i naszych świń, i drewna z lasu. Raczej zostaną przekupieni przez grabieżców, niż stracą



swój chleb i podatki.

Isabella przypominała sobie jeszcze tę rozmowę wieczorem, gdy niosąc świecę do pokoju pod krokwiami, usłyszała łomotanie do drzwi i niemal wyskoczyła ze skóry. Wróciła i zerknęła na gości, a że Barbara w sieni zdmuchiwała świecę, to ona otworzyła ogromne drzwi wejściowe. Rodzice nadeszli z solaru, by dołączyć, a Isabella siedziała na schodach i patrzyła.

– *Monna Maria* – powiedział głos w ciemnościach do kogoś za Barbarą – opat mnie przysłał, bym was ostrzegł.

Był to świecki braciszek z opactwa. Isabella usłyszała, że jej matka woła go, by siadł przy słabnącym ogniu. Dźwięk bijącego dzwonu opactwa dobiegał przez otwarte drzwi, niesiony wiatrem.

– Dowiedzieliśmy się, że główna część Kompanii Świętego Jerzego, pod wodzą *Acuta*, wyrusza przez *Via Marittima* z zamku *Frosini*, gdzie także zostawiają ludzi – mówił braciszek. – Opat uważa, że kierują się do opactwa, by złupić co się da i zmienić konie. Radzi wam ukryć zwierzęta, żeby ich nie ukradli lub nie zarżnęli.

– Nasi sąsiedzi poszukają schronienia za waszymi murami – powiedział *Gennaro*.

– Wielu to zrobiło, ale opat *Angelo* uważa, że lepiej nie zawierać bram przed łupieżcami. Przy naszych skromnych środkach możemy się obronić przed kilkoma złodziejami, ale nie przed całą armią. Nasz żaloszny opór może tylko rozwścieczyć żołnierzy. Opat prosi, żebyśmy posłuchali jego rady.

– Rozumuje słusznie – przyznał *Gennaro* – ale to w żaden sposób nie chroni wieśniaków.

– Co zrobimy, *Gennaro*?

To była *Jacquetta*, która wróciła do sieni ze swojego pokoju. Teraz zajmowała pomieszczenie przy przejściu, niegdyś przeznaczone dla biskupa *Ranuccia*. Podśluchiwała słowa posłańca o daremności oporu.

– Weźmiecie dzieci i służbę, z wyjątkiem *Cesarégo*, do starego zbiornika pod domem? – spytał. – A my przyprowadzimy wieśniaków z ich

chat. Zamkniemy bramy, ale przygotowujemy się na odparcie najścia. Mia i ja będziemy się z nimi układać i zapłacimy, jeśli będzie trzeba.

– Mia powinna się zająć dziećmi i służbą, i mieszkańcami *borgo* – sprzeciwiła mu się Jacquetta. – Ja zostanę z tobą i stawimy im czoło.

Mia krótko spierała się z ciotką. Od pięciu miesięcy nosiła kolejne dziecko i wiedziała, że Gennaro szybko zgodzi się, by schroniła się z pozostałymi.

– Cokolwiek zrobimy, za późno, by przewieźć produkty do Sieny – powiedziała Mia.

Ale mąż się nie zgodził.

– Wiemy, że oni się przemieszczają nocą i śpią za dnia – rzekł. – Możemy się przemknąć z dobrami.

Mia spojrzała na niego karcąco, bardzo niewprawnie przy jej słodkiej naturze.

– Nie bądź bohaterem. Złapią cię na drodze i zażądają wyższego okupu, niż możemy zapłacić po tylu chudych latach. Bądź ojcem dla swoich dzieci, to wystarczające bohaterstwo.

Gennaro rozumiał, że jego żonie brakuje ojca – najpierw pomór zabrał tego, którego kochała, potem nawet tego, którym pogardzała. Nie знаła żadnego, i dla własnych dzieci chciała innego losu. Gennaro przekonywał jednak, że warto podjąć takie ryzyko, że niewiele straci.

– Potrzebujemy pieniędzy, Mia – nalegał. – I tak zabiorą nasze plony i bydło, albo spalą. Pozbędziemy się ich tylko dzięki florenom.

– Do następnego roku – odparła Mia.

Okolica niewielkiego borgo i rodzina Gennara i Mii spali tamtej nocy – i dwie kolejne – pod willą w obecnie nieużywanym zbiorniku zbudowanym przez Rzymian. Czuć go było wilgocią, ale zapewniał bezpieczeństwo. Pierwszej nocy Gennaro zostawił Jacquetę na straży w domu, a sam z Cesarém udał się szlakiem nad rzeką do opactwa. Razem przez kilka godzin obserwowali zza linii drzew wszystkie ruchy. Po północy pojawiła się spora armia, która zaszła do opactwa i zajęła budynki na kwatery.

Współczując opatowi, Gennaro zdał sobie sprawę, że teraz mają pod nosem Villa Santo Pietro. Zastanawiał się, jak długo żołnierze zostaną i kiedy pojawią się u ich bram.

Następnego dnia Mia wstała o pierwszym brzasku – spała godzinę, najwyżej dwie – i wzięła córki, Albę oraz Chiareę, do szop kasztanowych, by przynieść jak najwięcej plonów. Kasztany jeszcze schły, ale zostawić ich tam nie mogli, jako że w latach słabych zbiorów z kasztanowej mąki wypiekali chleb.

Zanim jednak słońce wzeszło wyżej, Gennaro przyszedł szukać młodszej córki, by przydzielić jej specjalne zadanie.

Isabella podjęła się wcześniej obowiązku hodowania gołębi matki w świętym ogrodzie i opiekowała się nimi od lat, teraz było ich już wiele – ciągle białych i nieskalanych. Co trzy czy cztery lata ojciec przynosił jej młode ptaszęta, by dodała je do własnych. Te nowe dodatkowe to były cukrówki, z charakterystycznym ciemnym pierścieniem na szyi, kontrastującym z białym upierzeniem. Te Isabella miała trzymać w pierwotnych parach, tak aby samce ze sobą nie walczyły. Trzymali je w gołębnikach wśród granatowców, podczas gdy całkiem białe ptaki, urodzone tutaj, pozostały w środkowej części głównego ogrodu, blisko morwy. Ich odchodów używali do nawożenia, ale w przeciwieństwie do leśnych gołębi żaden z tych ptaków nigdy nie trafił na stół. To dlatego, o ile wiedziała Isabella, że były cenne dla jej matki. Powiedziano jej, że gołębie znajdowały się w godle Marii z Magdali. Z miejsca jej urodzenia pochodziły święte białe ptaki używane w rytuale oczyszczania świątyń jeszcze przed Chrystusem. I były równie święte dla ich przodków, Etrusków, którzy żyli na tutejszych wzgórzach całe stulecia przed Rzymianami. Isabella uważała, że z tego to powodu jej matka wybrała na swoje godło parę gołębi połączonych girlandą. Ojciec podarował jej skrzynię na ślub, a gdy urodziła się Isabella – *desco da parto*, tacę narodzinową, gdzie związane gołębie przedstawiono jako najważniejszy motyw. Ptaki, jak jej wyjaśniono, symbolizowały ich miłość i więź.

Isabella nie wiedziała, która dokładnie jest godzina, ponieważ dzisiaj nie zabił dzwon na kampanili. Z wysokości słońca wywnioskowała, że jest wcześnie, gdy szła z ojcem z nieznaną misją. Siedli w sadzie granatowców i teraz Gennaro naradził się z córką.

– Która para jest najstarsza i najsilniejsza? – spytał.

Isabella spojrzała niepewnie. Najstarsza para umarła, w odstępie kilku miesięcy, dwie czy trzy zimy temu. Ale dwie inne pary żyły tu, odkąd Isabella była mała, i teraz miały co najmniej po osiem, dziewięć lat. Powiedziała to ojcu.

Kiwnął głową.

– Możesz wybrać jedno z nich?

Choć umierająca z ciekawości, wykonała polecenie i wróciła z ptakami – siedzącymi jej na ramionach.

– Te dwa są najlepsze i najmądrzejsze, papo.

Ojciec wyjął dwa maleńkie skrawki złożonego pergaminu i kawałek sznurka, po czym związał je ciasno, najpierw jeden, potem drugi, w parę maleńkich sakiewek. Isabella patrzyła zafascynowana, jak wiąże każdą sakiewkę na szyi ptaka. Jedną ręką gładził mu pióra, drugą sprawdzał mocowanie paczuski. Wydawało się, że ptaki nie za bardzo będą mogły poruszać głową.

– Mogą tak lecieć? – spytała.

– Miejmy nadzieję – odrzekł i uwolnił ptaki. Patrzyli, jak kręgami wznoszą się w niebo i wbrew oczekiwaniom Isabelli kierują się na zachód, po czym znikają z oczu.

– Dokąd one lecą, papo?

– Do swojego pierwszego domu.

Drugiego dnia wszyscy się zastanawiali, dlaczego u ich bram nie pojawili się jeszcze niepożądani goście. Alba sugerowała, by dziękowali Bogu i dalej znosili owoce i bydło do domu. Mia jednak była przekonana, że cisza może źle wróżyć, że żołnierze planują coś o wiele gorszego. Tak więc drugiej nocy, gdy mieszkańcy *borgo* i willi drzemali, Gennaro wziął

syna Loredany, Roberta, i poszedł znowu obserwować opactwo. Ukryci w ciemnościach, pośród konarów dębu, na całych murach opactwa nie dostrzegli żadnego ruchu, i przy ogólnym spokoju zastanawiali się, czy mężczyźni nie przybyli aby tylko po to, żeby odpocząć parę dni i nabrać sił.

Ale trzeciej nocy, w tym samym miejscu i o tej samej porze, Gennaro – w towarzystwie Cesarégo – zobaczył gorączkowe poruszenie. Z kominów kuźni unosił się dym i wiele koni – Gennaro naliczył ich setki, ale mniej niż tysiąc – podkuwano, czesano i przygotowywano ani chybi do wypadu.

Gdy Gennaro wrócił do willi przed wschodem słońca, był sztywny od mgły i zimna.

– Odjechali – rzekł. – Nie cała grupa, ale kilkuset jeźdźców i piechota niosąca kopie. Tyle samo rycerzy i żołnierzy zostało w opactwie, gdzie założyli obóz. Brzęk podków oddalił się na wschód, za Eremo di Galgano.

– A więc dokąd jadą? – spytała Jacquetta.

Mia patrzyła na twarz ciotki, przepełnioną troską, czy Gennaro spróbuje za dnia załadować wozy i ruszyć do Sieny. Ale nawet na osobności, z dala od Alby i pozostałych, wszyscy wydawali się albo zbyt zmęczeni, albo zbyt zmartwieni, by zgadywać. Po chwili Mia przyniosła z kuchni grubą chustę i owinęła nią ramiona. Potem podeszła do skrzyni w sieni i wyjęła cenny rysunek przedstawiający projekt ogrodu, który przed laty stworzyła z Agnescą. Zwinęła go ostrożnie i wsunęła pod chustę.

– Udam, że szukam porady w sadzeniu roślin i pójdę do Fra Silvestra. Dowiem się jak najwięcej – powiedziała stanowczo, po czym wybiegła przez drzwi na drogę pielgrzymią, nim ktokolwiek zdołał ją zatrzymać.

Zmęczony i zaskoczony Gennaro zbyt późno rzucił się, by podążyć za nią, Jacquetta położyła mu dłoń na ramieniu i zatrzymała go przy drzwiach.

– Samej jej się może uda – powiedziała. – Fra Silvestro zawsze mógł się z nią widywać, nie naruszając ślubów, ponieważ całymi latami rozmawiali tylko gestami. Jeśli się z nim skomunikuje tym dawnym

sposobem, może jej wiele powiedzieć, i to na osobności.

Zgodnie z jej nadziejami siostrzenica wróciła już po godzinie – bez zdobionego rysunku, ale z informacjami, których potrzebowali, cała i zdrowa. Żołnierze teraz spali, wystawiwszy tylko paru wartowników. Dowiedziała się, że wojsko zajęło opactwo – i nawet dom biskupa – na kwatery, z zamiarem zostania przez tydzień czy więcej. Pielęgnują paru chorych, a ci, którzy odeszli nocą, to oddział, który ruszył na opactwo Roccastrada, pół dnia drogi na południe. Ale wzięli wozy na łupy, co ich spowolni. Inna spora grupa jest jeszcze na wschód od Sieny – w opactwie Berengaria, zdaniem Fra Silvestra. Opactwa stanowią łatwy łup i doskonałą bazę do wypadów na wioski. Ale to oznacza, że w San Galgano jest teraz stosunkowo niewielka grupa. Mało mówią o swoich planach, żeby wywołać większy strach i niepewność wśród ofiar, ale jest pewien, że gdy odejdą, spalą to, co zostało na polach. – To Mia powiedziała mężowi i ciotce z dala od dzieci. – Fra Silvestro podzielił się ze mną ich ponurym hasłem: wojna bez ognia jest jak kiełbasa bez musztardy, a Anglicy zawsze mają swoją musztardę.

– W takim razie muszę natychmiast jechać do miasta z naszymi płonami – powiedział Gennaro bezbarwnym tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Mia podeszła, by wziąć ją w ramiona, szukając już tylko pocieszenia, a on uściskał ją mocno.

– Kiedy będą spali – powiedział spokojnym i pewnym głosem – spakuję tylko dwa wozy, żeby jechać szybciej. Poproszę chłopca z synami, by ze mną pojechali, a Roberto i Cesaré zostaną z wami. Ruszę zaraz, żeby minąć Frosini, zanim słońce zajdzie, a jeśli zostawię wozy w mieście, żeby przyspieszyć nasz powrót, wrócę za dwa dni. Nasze towary będą bezpieczne w Sienie, a większość pieniędzy spocznie w banku. Resztę przywiozę jako zabezpieczenie dla nas i *borgo*.

Mia chciała błagać, by został. Ale wiedziała, że ma rację i że nie ma sensu się spierać. Rozum jej podpowiadał, że człowiek, który umknął

śmierci, jakoś umknie też kondotierom, ale serce jej podsuwało bardzo ludzkie zastrzeżenia.

Niemniej wraz ze wszystkimi trudziła się przy pakowaniu dwóch lżejszych wozów, których Gennaro używał normalnie w handlu korzeniami, najcenniejszymi towarami z ich majątku, i w południe były gotowe do drogi.

W zgiełku związanym z odjazdem i przygotowaniem ładunku tylko Isabella dostrzegła sześciu konnych wjeżdżających przez bramę, którą Roberto musiał otworzyć dla wozów. Zbliżyli się tempem spacerowym, a ona wstrzymała oddech. Dotknęła ramienia ojca, wskazując nadciągających jeźdźców. Gdy osłonił oczy i wyprostował się, wszyscy pozostali zadrżeli.

– Tak mało brakowało – powiedział Gennaro, występując przed rodzinę. Potem odrobinę przechylił głowę. Gdy jeźdźcy ruszyli ku nim niespiesznym truchtem, z jego twarzy zniknęło napięcie.

– Owiń koła tkaniną, żeby stłumić ich turkot na drodze! – zawołał świetnie ubrany mężczyzna na przedzie grupy, a potem zatrzymał konia.

– Ach, zapomniałem o twojej starej sztuczce. – Gennaro uśmiechnął się szeroko i po chwili pomógł zsiąść jednemu z przybyszów.

Isabella patrzyła wstrząśnięta, jak ten odrzuca wielki kaptur płaszcza i ukazuje się piękna kobieta, o włosach mieniących się srebrem i związanych luźno, jak u młodej dziewczyny. Uściskała ojca Isabelli, a potem, z promienną twarzą, podeszła do jej matki. Twarz Mii wyrażała niedowierzanie.

– Chyba zawiązałaś nasz węzeł – powiedziała kobieta – bo wróciliśmy.

Isabella jeszcze nigdy nie widziała, żeby jej matka tak płakała. Jej ramiona i ciało połączyło się z kobietą tak silnie, że wyglądały jak jedna istota.

– Zostaniecie? – spytała.

Kobieta kiwnęła głową.

Agnesca powitała w domu gołębie wykarmione jej własną ręką

w gospodarstwie, które od lat zajmowali w okolicach Lucchese. Gdy tylko odebrali wiadomość od Gennara, zostawili na posterunku drugiego syna, Fortina, wraz z jego młodą żoną, i od razu wyruszyli do Chiusdino z najstarszym synem i najmłodszym oraz dwoma sługami. Poruszali się szybko pod osłoną nocy, nie korzystając z Via Romea przy San Gimignano, a obierając te same kręte boczne drogi wokół wzgórz Volterra, z których skorzystali za pierwszym razem, ponad osiemnaście lat temu.

Isabella dziwnie ucichła, nie mogąc oderwać wzroku od kobiety, do której jej matka mówiła *la raggia*. Najpierw wydawała się jej taka, a po chwili inna. Aura spokoju wokół niej mieszała się z ruchliwością. Mówiła niewiele, głosem jak muzyka, ale zważali na nią wszyscy dzięki temu, że mówiła rozumnie. I z pewnością księżyc barwił jej włosy, podczas gdy najstarszemu synowi raczej słońce. Nawet ciotka Jacquetta zdawała się ją darzyć nabożną czcią.

– Będziemy jeszcze mieli wiele nocy na rozmowy, ale teraz jedźcie – powiedziała Agnesca do Gennara i męża – a ja bym was wysłała jak najmniej, tyle żeby miał kto prowadzić wóz. W ten sposób mniej rzucacie się w oczy i robicie niewiele hałasu.

– Pomódl się za nas po swojemu – powiedział jej mąż, obejmując ją, jakby właśnie się w sobie zakochali.

Agnesca odpowiedziała mu, ściskając dłoń Mii.

– Gdybym to zrobiła, pomodliłabym się, aby te kilka chmur nad nami pociemniało i stężało na następne parę godzin, po czym lunęło przed zmierzchem. Wtedy wy już może będziecie w mieście, ale mokre drogi spowolnią większe grupy koni i mężczyzn, którzy by próbowali szybko się nimi przemieszczać.

Porphyrius się roześmiał i pomachał, a potem zniknęli zaskakująco szybko przez główną bramę, którą Roberto za nimi zamknął.

Isabella położyła się tej nocy pod domem, nie spodziewając się zaśnięcia. Jednym z powodów było to, że jej ojciec znajdował się w drodze gdzieś pomiędzy domem a Sieną, a ona nie miała pojęcia, czy nic mu nie



grozi. A drugim był fakt, że jej matka się denerwowała, słuchając krzyku ptaka w nocy, co często ją niepokoiło. W głowie dziewczyny roilo się też od myśli o przybyszach: piękno i charakter przyjaciółki matki, przystojna twarz najstarszego jej syna, Luccia, który jak się okazało, był także chrześniakiem jej ojca. Isabella od razu zwróciła uwagę na jego wąski nos i oliwkowej barwy oczy. Ale Barbara także, więc Isabella obiecała sobie, że nic nie powie o swoim zainteresowaniu młodzieńcem.

Najgorszą jednak do tej pory przeszkodą w spaniu było kapanie w zbiorniku. Choć ojciec wiele lat temu odwrócił spusty, które zbierały deszcz z wielkiego dachu willi do zbiornika, by zmniejszyć wilgoć w domu, woda zawsze miarowo kapiała w jednym miejscu, gdy mocno padało. I dzisiaj – ptaki, nie ptaki – deszcz właśnie padał, i to tak intensywnie, jak Isabella dawno nie widziała.

Po godzinie signora Toscano siadła i powiedziała najpierw do Mii, a potem do wszystkich pozostałych:

– Dzisiaj pogoda nie pozwoli im wyruszyć z wypadem. Nieżęte pola nie zajmą się ogniem, a drogi zamienią się w błoto i uczynią jazdę niebezpieczną. Śpijmy na górze.

Tak więc chłopci i wieśniacy wrócili do swoich łóżek, podczas gdy Isabella, Barbara i mały Ranuccio spali w łóżku matki, własnych ustąpiwszy synom signory Toscano. Agnesca natomiast otworzyła drzwi swego dawnego pokoju, w którym urodził się Luccio. Przez wszystkie lata swego małżeństwa Mia nie wpuściła tam żadnych gości, codziennie go zamiatając, sprzątając i rozsypując w nim zioła. Nie ruszyła w nim nic, ani jednego mebla. I po raz pierwszy od kilku nocy wszyscy spali. A gdy się obudzili, dalej padało.

– Masz nosa do pogody, Agnesca – zażartowała Jacquetta, gdy zastała ich przy śniadaniu w jadalni.

– Rozpadało się w samą porę – roześmiała się tamta – ale jeśli popada zbyt długo, obróci się przeciwko nam, bo żołnierze zaczną się denerwować.

Isabella bardzo chciała spytać signorę Toscano, jakich modlitw użyła,

by osiągnąć taki skutek, ale nikogo innego to nie zajmowało, a sama straciła okazję, gdy odezwała się jej matka.

– Fra Silvestro mówił, że ci ludzie tak się opijają opatowym winem, że co najmniej przez tydzień będą niezdolni do walki.

– Niezdolni do bitwy, Mia – poprawiła ją Agnesca – ale będą się wściekle awanturować.

Dużo później, wczesnym wieczorem, Isabella wyszła do ogrodu, szukając matki. Zastała ją z signorą Toscano siedzące na kamieniu niedaleko willi. Rozciągał się stamtąd dobry widok na rząd szop, sad i winnice, które zaczynały się przy bramie; a jeśli się nieco wychylić, można było stamtąd zobaczyć Chiusdino na wzgórzu. Gdy Isabella podeszła do kobiet, zauważyła, że przyglądają się czemuś na ciemniejącym niebie.

Matka wyciągnęła ku niej zapraszające ramię, a Isabella skorzystała. Po chwili, gdy jej wzrok oswoił się z innym światłem, zobaczyła to co one. Na horyzoncie coś jaśniało, a wiatr niósł delikatny zapach dymu. Zrozumiała, że to pożar w oddali. Odwracając głowę na prawo i lewo, pojęła, że to nie jeden, a kilkanaście pożarów.

– To wioski Luriano i Ciciano – powiedziała jej matka. – Zaczęły się ataki.

# 40

## MARZEC–MAJ 2008 ROKU, SAN JOSE I SAN FRANCISCO

Maddie niemal się zadławiła wyziewami z rur wydechowych przejeżdżających samochodów. Stała na parkingu głównego budynku sądowego na rogu Market Street i St James w San Jose i oczy ją szczypały.

O jedenastej rano podejrzewała, że seria nowych początków, których doświadczyła – a które ostatnio zachęcały ją do uśmiechu – musi ustać. Jeszcze godzinę temu wszystko wydawało się wspaniałe. W kancelarii panował nastrój optymistyczny po tym, jak przekazała im uwagi ojca na temat badań toksykologicznych i raportu, autentyczne poczucie, że sprawa może jednak zakończyć się korzystnie dla ofiar. Ale teraz wydawało się, że los manewruje wydarzeniami w sposób zupełnie niekontrolowany.

Maddie zrobiło się niedobrze, gdy słuchała, jak Samantha rozmawia z Charlesem przez komórkę. Strasznie trudno było pojąć, co się w zasadzie stało, a Samantha, zupełnie dla siebie nietypowo, niemal krzyczała do telefonu.

– Zgadza się, Charles! Sędzia właśnie odrzucił badania i raport toksykologiczny i zakazał nam przedstawienia ławie przysięgłych naszego najważniejszego dowodu.

Po chwili do głosu dołączyły przerysowane gesty, których Charles nie widział.

– Możemy wykorzystać akta o umieralności w korporacjach, ale on twierdzi, że studium porównawcze jest nieistotne. Według prawa kalifornijskiego pracownicy mogą pozwać pracodawcę tylko w wyjątkowych okolicznościach, takich jak „nieuczciwe zatajanie”. Musimy udowodnić to w każdym przypadku po kolei, a badania tylko

wykazują, że w takim środowisku u pracowników rośnie prawdopodobieństwo zachorowania na raka. Nie dowodzą, że jakakolwiek konkretna osoba zachorowała na raka w czystych pomieszczeniach. To najbardziej nielogiczny argument, jaki w życiu słyszałam.

Maddie przyglądała się szefowej, bardzo jej współczując. Sama od miesięcy, również w weekendy, pracowała nad zestawieniem materiałów, ale ilość czasu i pieniędzy zainwestowanych przez Samanthę była niewyobrażalna.

– Wiem – mówiła w odpowiedzi na jakieś pytanie Charlesa. – To bardzo sztywna interpretacja prawa. Ale on nie zmieni zdania, Charles. To jego opinia... i nic nie możemy zrobić, tylko kontynuować. W ten sposób nie zdołamy skorzystać z ogólnej zasady, by ustalić konkretny przypadek.

Tak, będziemy musieli spróbować z rękami związanymi na plecach – ciągnęła. – Wyznaczył termin rozprawy za dwa tygodnie, i nie ma co się oglądać – zakończyła.

Poza tym, że pod koniec marca zwiększyło się napięcie w pracy, Maddie też czuła się, jakby właśnie przeżyła głęboki wstrząs. Co ją czekało? Postawiła parę kroków do przodu, żeby jej życie osobiste wreszcie się znalazło w lepszej sytuacji, zwłaszcza jeśli chodzi o Christophera. Rozumiała, że wszelka szansa na coś więcej niż przetrwanie – ewentualnie szczęśliwe budowanie przyszłości – zależy od jej zdolności pokonania bólu. Chris był radością. Ból nie mógł być ostatnim słowem w ich związku. Nie musiała udawać, że smutek jest mniejszy niż wcześniej, nie musiała marginalizować tego, jak był ważny w jej życiu, ale nie mogła pozwolić, by jego śmierć rzucała cień na wszystko, co przyszło potem. Musiała przekuć ten ból w siłę i głębsze rozumienie tego, kim jest, i świata, w którym żyje. To samo – zdała sobie sprawę – dotyczyło każdej osoby, która doświadczyła ogromnej straty i bólu.

Wracał jej apetyt, także na uczucia. Miała ochotę przeżyć coś z mężczyzną z krwi i kości, będącym kimś więcej niż anioł stróż. Ciągle nie do końca wiedziała, jak zrozumieć Søren, który pokonuje północną

półkulę, by trzymać ją przez noc, cnotliwie, podczas gdy ona przeżywała swoje czuwanie dla Chrisa. To było nadzwyczajne – niemal denerwujące; wyraz niesamowitej empatii dla drugiej osoby. Ale jak ona chciała to rozumieć? Kto by trzymał bliską osobę całą noc – żywą, oddychającą, wrażliwą osobę w stanie silnego napięcia – i nie zbłądziłby ręką w jakieś miejsce bardziej intymne?

A jednak jemu się udało. Może na szczęście, natłok pracy w tej chwili nie zostawiał jej dużo czasu na refleksje ani na jakiegokolwiek sensowne analizy.

Gdy miesiąc dobiegł końca, pracownicy kancelarii Harden Hammond Cohen pracowali po godzinach, by ponownie sprawdzić, czy wszystkie dokumenty i dowody zostały właściwie wprowadzone do sądowej bazy danych skomplikowanych spraw. Zbiór reprezentował siedem lat zebranych informacji i dokumentów, niektórych sprzed dziesięciu lat. Wydział sądu, który zajmował się wyłącznie sprawami „skomplikowanymi”, szykował się pełną parą i sprawa się miała wlec w nieskończoność. Maddie po raz pierwszy miała być uwikłana we właściwy proces. Czuła lekki napływ adrenaliny związany z rywalizacją, ale po wysłuchaniu rozmowy telefonicznej Samantha wszystko to mieszało się ze strachem, że mogą przegrać.

Sam ogrom przedsięwzięcia hipnotyzował Maddie. Lista prawników i osób zaangażowanych sięgała piętnastu stron, a ona się zastanawiała, kim są ci wszyscy ludzie albo czego oni wszyscy chcą. Rzucając okiem na kartki, zauważyła prawników reprezentujących trzecie strony, innych, którzy mogli być zaangażowani później, zespół adwokatów pozwanych, zespół prawników powodów, roszczeniodawców i ich przedstawicieli. Lista obejmowała firmy chemiczne, wytwórców komponentów, producentów odzieży ochronnej. Wszyscy oni czekali na rozwój wypadków, chroniąc własne interesy. Wszyscy gotowali się do walki, by w razie potrzeby wskoczyć na karuzelę sporu sądowego lub żeby z niej zeskoczyć. Wszyscy byli na czyjejs liście płac, a na czele tych band najemników stał jej słynny

hershzt, Gordon J. Hugo. Niewątpliwie był pewien, że Stormtree wygra.

W przeddzień procesu bardziej niż kiedykolwiek martwiła się o konsekwencje swojej ewentualnej pomyłki. Ten strach przybrał na sile, gdy wysoki urzędnik sądowy odpowiedział na jej pytanie dotyczące procedury: „Powinna pani znać odpowiedź. Od adwokatów oczekuje się znajomości odpowiednich regulacji sądu Kalifornii, miejscowych regulacji dla Sądu Okręgowego Kalifornii, Hrabstwa Santa Clara, i pełnej znajomości »Notatnika« Kierowania Złożonymi Sporami Sądowymi”.

Maddie chciała się zapaść pod ziemię. Urzędnik zarejestrował jej zakłopotanie i dodał: „To wymaga czasu. Da pani radę”. Wtedy do niej dotarło, co musi wiedzieć. Ale od tamtej chwili każdą noc spędzała na czytaniu.

A potem, pod koniec marca, zaczęło się. W sądzie panował stosunkowy spokój, zwłaszcza w porównaniu z zamętem na zewnątrz. Maddie patrzyła, jak zaczyna się bitwa. Na starcie obie strony zgłosiły sprzeciw – zaczynając od każdego członka ławy przysięgłych; każda strona rywalizowała, by się upewnić, że wybrali osoby, które mają największą szansę przekonać. Pilnując każdej sposobności, Maddie uznała, że to nie jest nierówny pojedynek. Adwokat Hugo atakował wściekle, a Charles elokwentnie odparowywał ciosy. Każdy z nich zadał sporo razów, gdy pojawiły się dowody i świadkowie, a dni mijały. Czasami było fascynująco, często nużąco, zawsze wyczerpująco.

We wtorkowy wieczór, jakieś trzy tygodnie po rozpoczęciu procesu, Maddie po powrocie do domu zastała gorączkowe wiadomości od Isabelli. Przez większość dnia, gdy była w sądzie, komórkę miała wyłączoną i nie pamiętała, żeby ją włączyć po wyjściu z gmachu. Teraz odsłuchiwała wiadomości i trochę ją zaskoczyły. *Nonna* koniecznie musiała ją poinformować, że signora Angela, pani, która przygotowała horoskop Maddie w dniu jej narodzin, dzwoniła z pilną wiadomością, że jeśli Maddie tego horoskopu jeszcze nie otworzyła, to dzisiejszej nocy jest idealny moment. Księżyc, jak powiedziała, jest bardzo blisko Siedmiu Sióstr,

Plejad. Ludzie tutaj, w Ameryce Północnej, a zwłaszcza za oceanem, mają największe szanse je zobaczyć.

Co za nonsens! Brakowało jej i sił, i ciekawości, by oglądać astrologiczne przepowiednie poczynione, gdy była dzieckiem. Ale wzmianka o Plejadach zatrzymała ją na chwilę. Kto mógł wiedzieć, z jaką obietnicą się wiązały, do czego odmierzały czas?

Pod koniec kwietnia – w piątym tygodniu procesu – Maddie czuła, że wszelki urok tego przedsięwzięcia znika. Sprowadzało się ono do ciężkiej pracy i na pewno brakowało w nim momentów w stylu Ally McBeal, które ludzie oglądali w telewizji, a które ona też miała nadzieję pooglądać. Dopiero parę dni później usłyszała, jak mówi „TGI Friday” do własnych drzwi frontowych – wypowiedziane z całkowitym wyczerpaniem, gdy obracała klucz w zamku. Oparła głowę o wewnętrzną stronę drzwi w niewymownej uldze. Przez najbliższe dwie doby miała nadzieję nadgonić trochę życie osobiste.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, ale przynajmniej Maddie nie musiała rano wstawać o wpół do siódmej. Otworzyła drzwi na balkon, by przewietrzyć mieszkanie i wpuścić zapach morza; potem sięgnęła po telefon, by zamówić chińszczyznę, i wdusiła przycisk START w swoim Vaio. Dziesięć minut później stała pod prysznicem, a pół godziny później usadowiła się przy stoliku kawowym. Była gotowa nawiązać kontakt z innym światem, tam gdzie było jej serce.

Pierwszy na jej serwerze znalazł się mail od Jaenette, ozdobiony buźkami w ciemnych okularach. Dowiedziała się z niego, że pogoda już jest piękna i że wysłała osobiste zaproszenie pocztą analogową z Borgo na oficjalne otwarcie hotelu i odsłonięcie średniowiecznego ogrodu alchemika. Isabella, dodała, też takie dostanie. O ile nie dojdzie do żadnej katastrofy, Borgo zostanie otwarte zgodnie z planem, a ona i Claus będą zachwyceni, jeśli obie panie znajdą w czerwcu czas na przyjazd. Maddie z westchnieniem odpisała, że bardzo chętnie, ale to zależy od zakończenia procesu. Nie wiedziała, czy Isabella będzie chciała wyruszyć w długą

podróż, ale spyta.

Po garści nieistotnych wiadomości przeszła do maila Barbary, która pytała, co słyhać. Donosiła, że była na ranchu na pieczeniu prosiaka, ale nie jadła go, ponieważ biedak wyglądał jak dzieło Damiena Hirsta przed umieszczeniem w formaldehydzie i sprzedaniem za milion dolarów. Dodała, że druid ciągle odprawia swoje czary i na koniec, że Lord Gray zniknął, ale świat sztuki jakoś sobie bez niego radzi.

Maddie odpowiedziała radością na temat druida, ale nie komentując kwestii Pierce'a.

Dwa maile od Søreny zostawiła sobie na koniec. W jednym z radością przeczytała, że na nocnym niebie powoli pokazują się Plejady. Urabiał się po łokcie z kolegą nad ogrodem na londyński Chelsea Flower Show, ale w ostatni weekend poleciał do Borgo. Jego „raj” przezimował dobrze, ciągle jednak zostało dużo do zrobienia, zwłaszcza w staromodnym korycie. Przez większość maja, aż do otwarcia Chelsea, musiał być w Londynie, ale potem – gdyby Maddie znalazła tenisówki i nadal chciała pozeglować – pojedzie do Danii przygotować łódź na czerwiec albo lipiec. Kiedy miała urlop? Zanim powita gości, czeka go trochę pracy.

Drugi mail, wysłany dzień później, zawierał załącznik z jednym z jego odręcznych rysunków, na którego widok Maddie się uśmiechnęła. To w odpowiedzi na zaległe pytanie, które mu zadała z związku z kameą od Isabelli. Wiedząc o jego świetnej pamięci wzrokowej, wysłała mu zdjęcie z telefonu i spytała, czy widział gdzieś coś podobnego – może w Borgo, a może w Sienie tamtego dnia? Zanim odjechał na lotnisko tamtego styczniowego dnia, uważnie obejrzał samą kameę, kiwając głową w zasadzie bez słowa. Ale oto miała przed oczami jego rysunek przedstawiający wyrzeźbione dwa gołębie trzymające girlandę, z drewnianej skrzyni w pokoju Pellegrino w Borgo. Uznał, że są bardzo podobne do kamei. Maddie przeszły ciarki.

W mailu Søren przekazywał opowieść Jeanette: znaleźli skrzynię w podłym stanie w głębi starej piekarni, gdy kupili Borgo. Odrestaurowali



ją, chociaż była stosunkowo nowoczesna – miała najwyżej ze sto lat. Jeanette powiedziała, że nigdy wcześniej nawet nie zauważyła gołębi. To jej przypomniało o siedemnastowiecznej inwentaryzacji zawartości domu, w której znajdowała się pozycja „stara skrzynia z gołębiami złączonymi girlandą kwiatów”. Søren wyjaśniał jej, że albo był to motyw popularny w renesansie – może symbolizujący wierność w związku – albo że istniało głębsze powiązanie pomiędzy rodziną Maddie a Villa Santo Pietro.

Poczuła się, jakby ktoś dotknął jej głowy: niemal przestała oddychać. Kobiety w Borgo niewątpliwie były czyimiś przodkami; a Maddie i Jeanette miały delikatne, duchowe powiązania z nimi i z tymi wszystkimi duszami, które znalazły schronienie w murach tego domu. Ale jeśli rzeczywiście to nie wszystko? To by dodało sprawie dreszczyku, a może głębszej tożsamości. Ale Maddie odnosiła wrażenie, że ma z nimi powiązanie dość uniwersalne, nie osobiste. Jakoś nie miało chyba znaczenia, czy to jej rodzina. Tamte szkielety uświadomiły jej, że los często bywa okrutny i nieprzewidywalny; ale to uczucie do innych było znaczącym elementem w ludzkim życiu.

Maddie ogarnęło takie zmęczenie, że nie była w stanie zmagać się z żadną kolejną informacją od Sørena, ani refleksjami, na które się odważył. Zniosła w dużej części nietknięte jedzenie do kuchni, wyrzuciła je, po czym wróciła zamknąć laptop i zasnęła na siedząco na kanapie. Gdy pół godziny później się ocknęła, miała tyle siły, by doczołgać się do łóżka, a po zajęciach typu pranie i pisanie notatek na proces weekend się skończył.

Podczas gdy proces rozgrywał się w całym swoim dramatyzmie na sali sądowej, Maddie odwiedziła w szpitalu Nevę i kilka innych osób, żeby przekazać im bieżące informacje. Ale dzisiaj odebrała Marilu z domu i zabrała ją do sądu po raz pierwszy w roli kluczowego świadka, a nie widza obserwującego innych powodów. Denerwowała się. Nawet piękna majowa pogoda nie mogła podnieść na duchu tych, którzy patrzyli, jak wszystko się powoli toczy już siódmy tydzień. Syn Marilu musiał w tym

tygodniu wrócić do pracy i nie mógł towarzyszyć matce, ale Maddie z chęcią się nią zajęła.

W piękny poranek zajęli swoje miejsca. Wygłaszając wstęp do zeznań Marilu, Charles próbował ponownie znaleźć sposób, by powołać się na szczegóły warunków pracy bez uciekania się do niedozwolonych danych toksykologicznych. Za każdym razem jednak adwokat Stormtree krzyżował mu szyki, zgłaszając sprzeciw. Takie przerywanie zaburzyło płynność opowieści Charlesa i wzbudziło niepokój Maddie. Wtedy jednak wybuchła bomba. Charles odwoływał się do Raportu o Ciężkich Zachorowaniach, by pobudzić pamięć Marilu na temat jednego z lekarzy, gdy Maddie zobaczyła, jak Gordon Hugo szaleńczo coś szepcze do innego adwokata Stormtree – a potem rozległo się bardzo głośne „Sprzeciw!”. Wyglądało na to, że teraz sprzeciwiają się wykorzystaniu samej listy!

Charles właśnie zaczął sugerować sędziom, że samo istnienie raportu pokazuje, iż firma monitorowała pogarszający się stan zdrowia pracowników czystych pomieszczeń.

– Samo istnienie tej listy nie dowodzi, że choćby jedna osoba zauważyła cokolwiek niezwykłego w stanie zdrowia pracowników. To rzecz zwyczajna w każdej firmie opłacającej pracownikom ubezpieczenie zdrowotne – powiedział stanowczo Hugo. – Trzeba udowodnić, że pracodawca ukrył wiadome mu szkody, a z samych list nie da się nic takiego wywnioskować.

Charles był zaprawionym w boju adwokatem o zasłużonej reputacji, ale osłupiał. A Marilu wyglądała na przerażoną.

– Czy ktokolwiek opłacany za wykonywanie tej pracy mógłby nie zauważyć rosnącej liczby chorób nowotworowych, a jednocześnie zasłużyć na swoje wynagrodzenie? – spytał Charles. – Jakim cudem?

Ale Hugo i jego ludzie stanowczo twierdzili, że z samego istnienia listy nie da się wyciągnąć żadnych wniosków, a sędzia ostatecznie się z nimi zgodził. Teraz zwrócił ławie uwagę, że „kwestia, czy pracodawca ma niebezpieczne miejsce pracy albo utrzymuje pracowników w niewiedzy, nie

jest przedmiotem tej sprawy, a obrona słusznie utrzymuje, że należy udowodnić, że pracodawca świadomie ukrywał zagrożenie. Listę Ciężkich Zachorowań należy usunąć z materiałów dowodowych”.

Charlesowi odebrało mowę. Maddie była przerażona. I dostrzegła, że przysięgli są skołowani i wyczerpani. Jakby tracili wycucie, co się liczy, a co nie. W czasie przerwy próbowała wyjaśnić Marilu, że – z tego co ona rozumie – prawo Kalifornii jest rygorystyczne co do pozwów odszkodowawczych pracowników. Prawnik powoda musi nie tylko udowodnić, że obiekty Stormtree wywołały raka u każdego powoda z osobna, ale również że firma wiedziała o takim zagrożeniu i zataiła te informacje przed pracownikami. Przyznała, że sędzia robi, co do niego należy, ale Marilu była wściekła, i nic dziwnego. Podobnie jak reszta powodów zdawała sobie sprawę z wagi dokumentu. Rozumiała wyjaśnienia Maddie, a nawet racjonalne uzasadnienie stojące za zastosowaniem prawa. Nie mogła jednak pojąć zasadniczej różnicy pomiędzy tym, co pojmowała jako sprawiedliwość, a prawem. Wydawało się, że to są dwie różne rzeczy.

Tego wieczoru Maddie dotarła do domu, czując się jak zbity pies. Wątpiła, czy bez danych z Listy Ciężkich Zachorowań kiedykolwiek udowodnią, że Stormtree Components Inc. wiedziało – i zawsze monitorowało – dokładnie, na co są narażeni jego pracownicy. Życie nie zawsze było sprawiedliwe.

Ale przy drzwiach znalazła zostawioną przez portiera niewielką paczkę, i to ją trochę ucieszyło. Wysłał ją z Londynu Søren. Weszła do środka, zrzuciła eleganckie pantofle i nalała sobie pół kieliszka wina, po czym przecięła taśmę na paczce i wyciągnęła zapakowaną w folię bąbelkową książkę. Towarzyszyła jej złożona biała kartka, na której Søren czarnym tuszem naszkicował Eleanore w jej punkcie obserwacyjnym, na wzgórzu w Borgo.

„Powodzenia w urodziny – napisał. – Wszyscy czekamy na Twój powrót”.

Maddie się roześmiała, kompletnie zaskoczona. Moje urodziny są za kilka dni – pomyślała. W ogóle o nich zapomniałam.

Na innej kartce, cieńszego papieru, znalazła coś jeszcze: informację, że załączoną książkę Søren znalazł u antykwariusza na Cecil Court, w zaułku nieopodal St Martin-in-the-Fields. Był to numerowany egzemplarz *Aradii* Lelanda, wydanie z 1968 roku – o tej książce mówiły Jeanette i Eva w Volterze. Krótka opowieść o dziewczynie – *La Pellegrina della Casa al Vento* – znajdowała się w rozdziale jedenastym. Maddie przeczytała go w ciągu kilku minut. Sorena najbardziej uderzyła mnogość cytatów z Keatsa, którymi Leland usiał całą książkę.

„Mimowolnie zastanawiam się, czy kilka szczegółów z wiersza Madeline trafiło do tego fragmentu! Ale może to część zagadki. S”.

Wiersz Madeline – pomyślała. Więc papa jednak miał rację.

Minął tydzień od dwudziestych szóstych urodzin Maddie, gdy ta trafiła do Mater Misericordiae Hospital. Nawet nie zauważyła nowego ogródka bufetowego na dworze, z parasolkami, który ustawiono obok pięknych cyprysów. Była skupiona na czymś zupełnie innym, co jej nagle przyszło do głowy. Dotyczyło to uwag Gordona Hugo na nagraniu z restauracji. Nagle wydały się jej powiązane z faktem, że Listy Ciężkich Zachorowań i wyników zamówionych przez kancelarię badań toksykologicznych nie dopuszczono jako dowodów.

Jego arogancka pewność siebie coś wyzwoliła w umyśle Maddie. Mogło to być trochę złośliwe, ale zastanawiała się, czy szykują się może jakieś wybory, a Pierce Gray finansowo wspomaga w nich którąś ze stron. Ale to na pewno nie wchodzi w rachubę – pomyślała – to tylko moja paranoja. Jeszcze teraz, po tylu tygodniach procesu, trudno było zrozumieć, dlaczego nie dopuszczono wyników badań i Listy Ciężkich Zachorowań. Ale musiała zapomnieć o swoim cynizmie i przypomnieć sobie wiarę w proces sądowy. W każdym razie teraz miała pilniejsze sprawy.

Gdy weszła do pokoju Nevy, Wyman Walker spojrzał jej prosto w oczy. Nie zobaczyła na jego twarzy gniewu, tylko współczucie i smutek.

W rozczarowaniu i napięciu widocznych na jej obliczu znalazł informacje.

– Przegraliśmy – powiedział cicho. I z jej reakcji zrozumiał, że to prawda. – Widzę to w pani oczach i bardzo mi przykro z powodu was wszystkich.

– Tak – odrzekła Maddie ze zwieszoną głową. – Tak mi przykro. Nie zdołaliśmy przekonać ławy przysięgłych. Po prawie trzymiesięcznym procesie nie wydali werdyktu.

Maddie i cała kancelaria byli załamani, rozczarowani i wyczerpani, ale Wyman uszanował decyzję ławy, przychodząc od razu do szpitala, gdy tylko przewodniczący ławy przekazał sędziemu ich decyzję.

Neva Walker wyglądała dzisiaj nieziemsko pięknie. Ciemne jedwabiste włosy odgarnęła z twarzy. Cienka skóra napinała się na pięknych kościach policzkowych. Oczy wyglądały jak ciemne otchłanie bólu osadzone w świetlanej powierzchowności. Ale pod pewnymi względami wyglądała tak jak zawsze – mądry i piękny duch błogosławiący Maddie z poduszek. Maddie nie miała pojęcia, jak te wiadomości wpłyną na Nevę: doskonale wiedziała, że igra z czasem, by poznać werdykt.

Wyman stał przy łóżku za Aguilą, obejmując wnuka. Chłopak oburącz trzymał dłoń matki, gdy Maddie podeszła do łóżka. Cała trójka patrzyła na nią jakiś czas. Jak może ująłby to Wyman, czuli, jak opada ich wielki smutek.

Neva ciągle miała siłę się uśmiechnąć, od czego Maddie zbierało się na płacz w proteście przeciwko losowi, albo bogom, albo komukolwiek, kto słuchał.

– Pada na mnie cień czasu, Maddie – powiedziała po prostu. – Poprowadzą mnie duchy przodków i wierz mi, nie boję się. – Przerwała, by oblizać wargi i zebrać siły. – Za kilka dni moje prochy zostaną zawiezione do Nevady, a Walkerowie dopilnują, by mój syn wyrósł na wspaniałego mężczyznę.

Ścisnęła ręce Aguili, a chłopiec jakimś cudem się nie rozplakał. Głos jego matki przez chwilę pozostał jasny i silny.

– To nie koniec – powiedziała. – Ty dotrzymasz obietnicy, a mojemu chłopcu naprawię serce. Jeszcze nie słyszeli, jak Madeline przemawia, a gdy to nastąpi, powieje wicher zmian. Czas to klucz do wszystkiego, Maddie. Niektórych rzeczy nie da się przyspieszyć; ale odkładać innych też nie można. Wykorzystaj swoją szansę i bądź szczęśliwa.

Wyman spojrzał na swoją córkę, wypuścił wnuka z objęć, przysunął się na koniec łóżka, gdzie stała Maddie, i delikatnie wziął ją za ramię, wiedząc, że ona potrzebuje jego wsparcia. Odprowadził ją do drzwi, ale tu Maddie odwróciła się i spojrzała na twarz Nevy, oświetloną ostatnim uśmiechem, jaki dane jej było zobaczyć. Maddie też się uśmiechnęła, chociaż w gardle ją ścisnęło. Nadzwyczajna odwaga Nevy złamała jej serce.

Maddie chciała już wyjść. Nie chciała przeszkadzać w osobistych momentach, które należały do ojca i syna. Nacisnęła klamkę, ale Wyman, który jej jeszcze nie odstąpił, powiedział cicho:

– Pani, która rozumiesz śnieg, cieszymy się, że przyszłaś osobiście z nami porozmawiać.

Nie wiedząc czemu, Wyman ruszył korytarzem wraz z Maddie ku głównemu wejściu, towarzyszył im zapach basenów i środków odkażających.

– Dla wielu ludzi to zwyczajny piątek – rzekł – ale dla nas to piątek, który mój wnuk zapamięta na całe życie. Pan Gray wcześniej wyjeżdża z miasta na weekend.

Maddie nie znalazła słów, by odpowiedzieć, ale zrozumiała aż za dobrze to zestawienie osobistego bólu z obojętnym światem. Współczująco kiwnęła głową.

Dotarli do wyjścia. Na zewnątrz zaczął padać lekki deszcz. W rudym pyłe na szklanej fasadzie szpitala pozostawiał głębokie strużki, jak długie łyżki.

– Widzi pani – Wyman ruchem głowy wskazał deszcz – przodkowie kazali niebu zapłakać po mojej córce.

Drzwi otworzyły się automatycznie, wpuszczając do foyer poryw wiatru, który wniósł mieszankę suchych liści, drobnego piasku i deszczu.

– Bez względu na to, co dzieli nas od innych, jak różne religie ludzie wyznają – mówił Wyman – wszyscy czują wiatr.

I odszedł.

Maddie stała wystawiona na działanie żywiołów, gdy drzwi cicho zamknęły się za nią. Wiatr porwał jedną z parasolek ogródka kawiarnianego i rzucił ją na parking. Potem szarpnął Maddie za włosy. Oparła się o ścianę, drżąc z emocji, gdy wiatr chłostał ją, by uczynić jej ból fizycznym.

Potem pobięła do samochodu.

## ZIMA 1365–1366, TOSKANIA

Mia obudziła się na zimnej szerokiej półce zbiornika pod domem, gdzie schroniła się wraz z mieszkańcami Santo Pietro in Cellole. Przez dwa otwory wpadało niewiele światła, więc nie miała pojęcia, jaka jest pora i ile godzin spała.

Zdjęła sobie z klatki piersiowej ramię synka i wsunęła je pod ciało starszej córki, nie budząc nikogo. Zajrzała do Isabelli, która również spała spokojnie, i zauważyła, że kilkunastu chłopów leży spokojnie na prowizorycznych posłaniach rozłożonych w zbiorniku. Wstała bezszelestnie i poszukała *la raggii*, ale nie było jej z nimi. Jej młodszy syn, Federico, leżał kilka stóp od Barbary, ale ani anielskiego Luccia, ani jego matki nigdzie nie dostrzegła. Owinęła się chustą i stromymi schodami wydostała się z kryjówki na parter willi. Po wyjściu stwierdziła, że słońce stoi tuż nad horyzontem, czyli że musi być gdzieś pomiędzy szóstą a siódmą. Rozejrzała się po podwórku, szukając śladów życia, ale zanim zdołała kogokolwiek znaleźć, dotarł do niej gryzący zapach wiszący w powietrzu, napływający chyba od północy z lekkim porannym wiatrem. Odniosła wrażenie, że nie leciał aż z Luriano.

Obeszła budynki i zauważyła siedzącą postać, która przypominała sylwetką jej ciotkę, ale coś w tym widoku jej się nie spodobało. Podeszła bliżej i stwierdziła, że ciało Jacquetty opadło bezsilnie na górny stopień schodów. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem ponad ogrodem warzywnym w drogę pielgrzyma, w kierunku, z którego napływał silny zapach. Zauważywszy, że jej suknia jest pokryta smugami sadzy, Mia położyła ciotce dłoń na plecach, by upewnić się, że jest ciepła. Jacquetta wyglądała bowiem, jakby zamarzła. Ledwie się poruszyła, nawet pod dotykiem siostrzenicy. Mia odwróciła głowę, by podążyć za wzrokiem



ciotki, a gdy zobaczyła to co ona, też padła na stopień i dłonią zakryła usta w rozpacz.

W miejscu ich niegdyś nieskalanego rajskiego ogrodu – róż i bżów, majeranku i rozmarynu, irysów w donicach – zobaczyła rzeźnię. Kury, których nie ukryto w koszykach pod domem, leżały rozrzucone bez łbów pośród jesiennego szafranu i jeżówek. Maciora w ciąży została przeszyta mieczem i wykrwawiła się tam, gdzie padła. Gałęzie owocujących grusz i moreli odcięto od pni, z różanych krzewów zrzucono pąki, donice rozbito, a ich zawartość rozrzucono. Na krańcu posiadłości tliły się szopy kasztanowe i bele siana, a po drugiej stronie drogi zobaczyła, że płonie stajnia.

Mia nie mogła wydusić słowa. Siedziała tylko obok Jacquetty i położyła jej na ramieniu drugą rękę, a przy tym stwierdziła, że obie dygoczą.

– Przeskoczyli przez mur – powiedziała Jacquetta słabo – a ja wyszłam im na spotkanie. Kilku ich było. Chcieli mnie tylko ostrzec.

Mia chciała zadać pytanie, które nadałoby sens temu marnotrawstwu i zniszczeniu, ale nic jej nie przyszło do głowy. Mogła tylko patrzeć na spustoszenia i zastanawiać się, kto tak robi – zostawiać zwierzęta na miejscu, zarżnięte, ale nie zabrać ich do jedzenia dla żołnierzy? Cały ten rozgardiasz nie miał sensu, chyba że tylko miał ich poskromić.

– Oszczędzili dom? – wydusiła wreszcie.

– Przekupiłam ich – odparła Jacquetta głucho.

Głos miała ochryply od dymu, ale mówiła z jakąś dziwną obojętnością, tak że Mia się zaniepokoiła. Jeszcze nigdy nie widziała ciotki Jacquetty załamanej.

– Kosztowało to tylko pięćdziesiąt florenów i dwie beczki naszego najlepszego wina – wyjaśniła. – Tym razem wystarczyło: już wracali z ciekawszej hulanki na wzgórzach. Przekonałam ich, że jestem wdową, a syn wyjechał ze sprawami do rady w Sienie. Nie chcieli zrażać do siebie człowieka z rady, bo to rada musi im dać prawdziwą zapłatę. Ale oni wrócą.

Mia uściskała ciotkę.

– Nie wiedzieli, że śpimy na dole?

Jacquetta pokręciła głową.

– Ciociu, oni mogli cię zabić. Albo zgwałcić, jak moją matkę.

Od stajni dobiegł odgłos kroków. Mia podniosła głowę i zobaczyła Agnescę. Twarz miała brudną od dymu, a ręce czerwone i w pęcherzach, ale szła ku nim stanowczym krokiem.

– Luccio patrzył z góry – wyjaśniła Jacquetta Mii, nie odrywając wzroku od spustoszenia. – Trzymał napięty łuk ojca i strzeliłby do nich, jestem pewna, gdyby mnie zaatakowali.

– Luccio i Roberto ciągle dogaszają pożar stajni – powiedziała Agnesca – ale wyłapali spłoszone konie. Musimy je zabrać do środka i wyczyścić, Jacquetto. Chociaż wygląda to okropnie, straty są niewielkie. I mamy szczęście.

Delikatnie podniosła Jacquettę ze schodka i wprowadziła do domu. Mia podążyła za nimi.

– Idź na dół i obudź ludzi z *borgo* i służbę – poleciła jej przyjaciółka. – Jest dużo do sprzątnia.

Po czterech czy pięciu godzinach pracy pod jasnym słońcem, w zimnym wietrze, chaos w Villa Santo Pietro został nieco opanowany, ale nastrój Jacquetty poprawił się nieznacznie. To nie bezsensowna ruina, marnowanie drobiu i maciory ją tak zabolalo. To niemożliwość znalezienia jakiegokolwiek zadowalającego sposobu pokonania żołnierzy. Mieszkańcy willi i służba byli bezsilni, nieliczni w stosunku do sił przeciwnika, a żadne władze nie chciały albo nie były w stanie zdyscyplinować rabusiów. Nie bali się Boga; nie poważali życia i nawet między nimi nie obowiązywał żaden kodeks. Po raz pierwszy w życiu Jacquetcie zabrakło optymizmu, wiary, że można sobie jakoś poradzić z tą plagą szarańczy. Gdy zechcą, spustoszą *contado* do cna. Co ich powstrzyma?

Słońce już prawie stało w zenicie, gdy Roberto otworzył bramę gospodarzowi, swojemu drugiemu synowi i Claudiowi, jednemu ze sług

przybyłych z rodziną Toscano. To Luccio – wciąż naprawiający uszkodzenia w stajniach – odszukał Mię i matkę i zameldował, że wrócili, podczas gdy tamci się myli i jedli.

– Przywieźli złe wieści o twoim ojcu – powiedziała rzeczowo Agnesca do syna.

– Może nie są tak złe – odrzekł młodzieniec z ufnym uśmiechem.

Jacquetta i Mia poszły do nich do sieni, a Luccio starał się mówić spokojnie, ze względu na Mię.

– Mój ojciec i ojciec chrzestny bez przeszkód dotarli z wozami do Sieny – zaczął. – Pokonali ponad połowę drogi powrotnej, zanim zostali pojmani jako zakładnicy – wraz z drugim synem gospodarza – i zabrani do klasztoru Santa Lucia, nieopodal Rosii. Podobno nic im nie jest i dobrze się czują, a ja mam przyjechać z florenami i ich wykupić.

– A więc nie mieli przy sobie pieniędzy? – spytała Mia zmieszana.

– Wcześniej sprytnie podzielili to, co wieźli, pomiędzy wszystkich – odrzekł Luccio. – Wiedząc, że najpewniej to oni zostaną porwani dla okupu, umieścili większość pieniędzy pod siodłami gospodarza i Claudia. To za najskromniejszą sakiewkę Gennaro kupił wolność dla pozostałych, przekonawszy bandytów, że to wszystko, co ma. Tak więc przetrzymują ich i mamy przywieźć więcej za ich uwolnienie. Ale to Claudio i gospodarz przywieźli nam pieniądze. Jeśli pozwolicie mi je wziąć, wyjadę w ciągu godziny – dodał.

– Zdołamy zebrać odpowiednią sumę? – spytała Jacquetta głosem ciągle zachrypniętym. – Ile oni chcą?

Luccio niemal się roześmiał.

– Claudio mówi, że wszyscy byli tacy brudni, po długiej drodze w deszczu i błocie, że wyglądali niemal jak żebracy. Ustalono sumę wykupu na sto pięćdziesiąt florenów za całą trójkę, a ambasador Sieny, który został pojmany wraz z nimi, musi się wykupić za trzysta florenów.

– Za każdego z wieśniaków uwięzionych w San Galgano żądają po czternaście. – Jacquetta kiwnęła głową. – Suma jest znośna. I to ja ją

zawiozę do Rosii.

– W takim razie jadę z tobą – rzekł Luccio.

Mia próbowała się dołączyć, żeby ratować Gennara. Ale nikt na to nie zamierzał pozwolić. Agnesca zachęciła ją natomiast, by przyjęła rolę negocjatora w opactwie. Jacquetta pokierowała ją do schowka w swojej sypialni, gdzie spoczywały ostatnie przychody z obsługi pielgrzymów w chudych latach. Były tam floreny, a także półnoble, i nawet kilka guldenów od podróżnych z północy. Była pewna, że złodzieje je przyjmą.

W piękny październikowy wieczór, znowu obserwując horyzont, Mia zwróciła Agnesce uwagę na niestosowność tego, że lazur nieba ani trochę nie oddaje brzydoty, która znaczy ten dzień. Zachód słońca był raczej purpurowy niż krwistoczerwony, a swąd dymu osłabł.

– Ale nie widzę Siedmiu Sióstr – dodała Mia – a ich zniknięcie zawsze mi się kojarzy ze smutkiem. Zostawcie nas, *la raggia*, gdy żołnierze opuszczą opactwo i niebezpieczeństwo minie?

– Nie, kochana. Mówiłam szczerze. – Ścisnęła chłodną rękę przyjaciółki. – Wróciłam do domu. Ty i Jacquetta jesteście moją rodziną. Ale czasami muszę odwiedzić dzieci w Lukce!

Mia pragnęła uwierzyć w to zapewnienie, ale wydawało się zbyt piękne.

– A ostrzeżenia mojego brata nie dzwonią ci już w uszach? – spytała.

Agnesca spojrzała na nią. Czy to możliwe, że Mia nie wie, co się wydarzyło w Volterze?

– Władza i poparcie dla twojego brata nie są już takie jak kiedyś – powiedziała ostrożnie.

– Bo Ottaviano zmarł w czasie zarazy, tak jak przewidywałaś. – Mia kiwnęła głową. – Ale słyszałam, że mój brat Paolo, o którym mówią Bocchino, jest jeszcze gorszym tyranem niż jego ojciec. Żaden z naszych gości dobrego słowa o nim nie powiedział. Może być brutalniejszy od Ottaviana, a ja nie chcę go widzieć na oczy. Żałuję, że łączą nas więzy krwi.

– Moja droga – westchnęła Agnesca ze smutkiem – nie mam pojęcia, dlaczego Jacquetta i Gennaro ci o tym nie powiedzieli, ale uwolnię cię od trosk. Wybaczysz swojej przyjaciółce, jeśli nieumyślnie powiem coś, co sprawi ci ból?

Mia spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

– Bocchino uwikłał się w spór pomiędzy starymi rodami oligarchów w Volterze, od pokoleń piastujących urzędy, a nerwowymi florentyńczykami, którzy nie chcą, by Volterra za bardzo rosła w siłę. Skoro poślubił córkę hrabiego, miał tylko jedno życzenie: zwiększyć swoją władzę i zostać suwerenem. Ale przyciśnięto go z obu stron. Był bardzo niepopularny, dzierżył całą władzę w swoich rękach. I tak jak jego ojciec nie wahał się wykorzystywać młodych kobiet dla własnej przyjemności. Aby utrzymać się przy władzy, poprosił o pomoc Pizę i wpuścił do miasta jej zbrojny garnizon. Od tej chwili arystokraci stali się jego przeciwnikami numer jeden.

– A więc on już nie jest przy władzy? – spytała Mia z niedowierzaniem. Od siedemnastu lat unikała powrotu do Volterry, żeby się tam spotkać z rodziną Gennara, nie chciała również natknąć się na żadnego ze swoich braci. Czyżby te zabiegi nie były konieczne?

– Bocchino popełnił ten błąd, że zaoferował Pizie kupno Volterry – podjęła Agnesca. – Gdy to się rozniosło, próbował uciec przed pospólstwem, ale złapali go przy bramie etruskiej. Ścięto go na stopniach Palazzo dei Priori cztery lata temu.

Mia patrzyła niewidzącym wzrokiem. Ścięty? Przez pospólstwo? Chciałaby wykrzesać z siebie odrobinę współczucia dla tego człowieka. I rzeczywiście, żałowała, że upadł w taki sposób. Ale ci ludzie zniszczyli jej życie, życie jej matki, rodziny Gennara. Potępili Agnescę, odebrali jej majątek, i żyli jak możnowładcy na koszt tylu ludzi. Czowała przede wszystkim ulgę.

– A więc naprawdę nic ci u mnie nie grozi – powiedziała, a przyjaciółka kiwnęła głową.

Ta rozmowa sprawiła, że Mia poczuła się dziwnie ukontentowana i bezpieczna, i nieco później zaczęła śpiewać synkowi podczas kąpieli. Znajdowali się w największej sypialni, z jej osobną szafą. Wprowadzili się tu z Gennarem po ślubie. W porównaniu z ich poprzednimi izbami ta była luksusowa: znajdowała się u szczytu zewnętrznych schodów, wychodziła na podwórze i dalej na dolinę. Isabella śpiewała wraz z nią, gdy usłyszały psy szczekające na dole i zastanawiały się, czy to Gennaro i Porphyrius wracają. Rzeczywiście do szczekania dołączył stukot kopyt – wolniejszy, niżby się spodziewała – ale na pewno tylu koni, ilu trzeba. Poprosiła córkę, by zapukała do drzwi signory Toscano i powitała przybyszów, podczas gdy ona wytrze synka.

– Ty też idź, Isabello – uśmiechnęła się kpiąco – bo na pewno chcesz sprawdzić, czy Lucciowi Toscano nic się nie stało.

Isabella zarumieniła się, a potem kiwnęła głową. Pobiegnęła szukać signory Toscano. Ale po chwili, gdy Mia już wytarła i ubrała synka, zaczęła się martwić: nie słyszała, by ktoś szedł przez podwórze. Na Boga, pomyślała, chyba nie wrócili żołnierze, żeby znowu wszystko splądrować?

Usadziła chłopca na biodrze i po zewnętrznych schodach zbiegła na dół niebezpiecznie szybko. Jeśli to oni wrócili, każe im odejść: odzyskała głos i użyje go w obronie swoich dzieci. Ale gdy minęła drzewo oliwne, kierując się ku stajniom, stanęła jak wryta. Do domu niesiono nosze tak wolno, że ledwie było słyhać kroki na kamieniach. Czy to Gennaro? – pomyślała. Niemożliwe, żeby to był któryś z nich.

Rozpoznała sylwetkę swojej córki i Agneski. Potem wysokiego Luccia o złotych włosach, w których odbijało się światło pochodni, i pulchną postać starego Cesarégo. Uznała, że jednak mężczyźni niosą Gennara. Zrobiła w tył zwrot i otworzyła szerokie drzwi wejściowe, by wpuścić mężczyzn z ich brzemieniem. A gdy zbliżyli się na tyle, by światło pochodni zapewniło jej potwierdzenie przypuszczeń, dech jej zaparło.

– Szybko, Mia – odezwała się Agnesca. – Uprzątnij stół jadalny przed ogniem, a potem pomóż mi przygotować maści i nalewki.

Przed nią leżało skręcone ciało jej ciotki, z górą sukni nasiąkniętą krwią. Nakryto ją płaszczem Gennara i tkaniną, której Mia nie rozpoznała. Pobieгла przed nimi, tak jak ją Agnesca poprosiła, i przytrzymała drzwi, a potem po kamiennej podłodze do kuchni. Gennaro i Porphyrius delikatnie podnieśli mary na stół.

– Jechaliśmy do domu – powiedział Gennaro do ukochanej, której twarz była bledsza niż Jacquetty. – Właśnie mijaliśmy most Pii od strony klasztoru, gdy Jacquetta obejrzała się przez ramię. Usłyszała coś, czego myśmy nie usłyszeli.

Agnesca podniosła nakrycia i spojrzała na krwawiące miejsce. Była to rana szersza niż długość kciuka. Z makabrycznego rozdarcia odsłaniającego mięśnie i kość na długość paznokcia sterczał brudny stalowy belt kuszy. Widząc, że z Mii nie ma żadnego pożytku, Agnesca wysłała Isabellę do destylarni po olejek tymiankowy i szczypce, których użyła przed laty do wyciągnięcia gwoździa ze stopy pielgrzyma.

– Co usłyszała? – Mia w końcu odzyskała głos.

Gennaro popatrzył na żonę, wziął od niej synka, który przylgnął do matki oszołomiony.

– Dwaj żołnierze gonili w lesie dziewczynę i jeden właśnie ją dopadł. Sądząc ze stanu jej odzieży, dopadł ją nieraz. Była młodsza od Isabelli. Jacquetta zawróciła konia i najechała na nich.

Porphyrius pokrótce wyjaśnił resztę.

– Twoja ciotka chciała porwać dziewczynę na konia i uciec z nią, ale dwóch mężczyzn z kompanii Hawkwooda przyglądało się temu z murów i wystrzelili. Myślę, że dla rozrywki.

Reszty Mia prawie nie słyszała: jak przez mgłę przyjęła do wiadomości, że jeden z dowódców Hawkwooda – niejaki Beaumont – się wtrącił, powstrzymał zabawę i pomógł im zabrać Jacquettę na nosze, proponując też pomoc medyka, który mógłby wyjąć belt. Oszołomiona Jacquetta błagała tylko, by zabrać ją do domu, żeby Agnesca ją leczyła. I wyjechali dwie godziny temu, starając się za bardzo nią nie szarpać.

– Chyba budziła się i zasypiała – powiedział Porphyrius do żony.

– Bełt utkwił głęboko – stwierdziła Agnesca ponuro. Palcami badała ranę, z nieszczęśliwą miną. – Zmiażdżył kość ramienia, a jeśli go wyciągnę, ona straci mnóstwo krwi.

Zostawiwszy Mii zadanie ocierania twarzy rannej wodą lawendową, w sąsiedniej izbie Agnesca szybko wykonała mieszaninę z najsilniejszymi substancjami. W tym, jak zauważyła Mia kątem oka, niebezpiecznym *aconitum*, używanym tylko w ostrych stanach, gdy już nic innego nie mogło złagodzić bólu.

Ale Agnesca cicho wyznała Gennarowi, że jej wysiłki są z pewnością próżne.

– Przydałoby się sprowadzić któregoś z medyków klasztornych – wyszeptała. – Nie zdołam wyciągnąć bełtu, bo ma zadziory, więc spowodowałabym krwotok, którego nie zdołałabym zatrzymać. Rana jest za szeroka, bym ją zszyła. Nie mogę go też przepchnąć, bo utknął w najgrubszym miejscu strzaskanej kości.

– Mnisi wiedzą mniej niż ty, Agnesco – odparł w rozpaczy. – Nic nie możemy dla niej zrobić?

– Tylko zmniejszyć ból.

Mia, Alba i Agnesca siedziały z Jacquetą kolejne godziny. Mia ledwie zauważyła, że Luccio i jej córka rzeczywiście poszli do opactwa po pomoc, tak jak chciała *la raggia*. Odstąpiwszy w tych okolicznościach od ślubów Fra Sandro wrócił z nimi wraz z jednym z medyków Hawkwooda, bo Beaumont złożył raport z tego, co się wydarzyło przy Ponte della Pia. Wynikł z tego spory zamęt, ponieważ żołnierzom stanowczo zakazano strzelania do kobiet szlacheckiego urodzenia. Z winnym srogo się rozprawiono.

– Przede wszystkim trzeba to wyciągnąć – rzekł po francusku medyk wojskowy do Gennara. – Z gorączką i uszkodzeniem tkanek można sobie poradzić, ale nie ma którejdy usunąć bełtu, a wlot znajduje się tak blisko szyi, że nie można odciąć ramienia.



Fra Sandro przyniósł lulek czarny i pokrzyk wilczą jagodę i te silne zioła dodano do tymianku i tojadu Agneski. Wszyscy prócz Mii zdawali się świadomi, że jedyne, co mogą zdziałać te maści, to uśmierzyć fizyczne cierpienie Jacquetty.

Jacquetta odchodziła dwa dni i dwie noce. Nie cierpiała zbyt wiele, zdaniem Agneski. Nie do końca też miała świadomość świata. Rankiem trzeciego dnia jej palce zdołały pogłodzić włosy siostrzenicy. Mia tylko drzemała obok niej, ale ocknęła się, czując dotyk na głowie.

– Nie zabierajcie mnie do krypty, w której leżą moi rodzice w Volterze – powiedziała cicho.

Mia siadła, zauważyła, że ciotka mówi płynnie. Odkąd ją przyniesiono, nie mówiła prawie nic.

– To było nasze schronienie, nasz raj – powiedziała powoli, wciąż sunąc palcami po włosach Mii. – Miałam życie pełne radości. Nic nie było poświęceniem. – Uśmiechnęła się. – Złóżcie mnie tu do ziemi, stopami do Val di Cellole, gdzie będziesz miała do mnie blisko. Żołnierze odejdą – dodała wyraźnie – i chociaż wrócą, wam nic się nie stanie. Dom cię chroni i nawet gdy twoje dzieci odejdą, niektóre znajdą drogę powrotną.

Mia czuła, jak łzy zbierają się jej pod powiekami, ale chciała pozostać silna.

– Przygotuję grób rodzinny, ciociu – powiedziała. – A gdy nadejdzie moja kolej, spocznę obok ciebie.

– Ja też – dodała Agnesca. Właśnie weszła, usłyszawszy cichą rozmowę. – Jesteście moją matką i siostrą i zostaną pochowana przy was, jeśli pozwolicie.

– Agnesco. – Jacquetta spojrzała na nią przytomnie przez chwilę. Wydawało się, że myśli nad czymś długo, nim podjęła: – Nigdy nie zapomniałam tego, co powiedziałaś mi dawno temu. Twoje dzieci będą miały prawo i siłę, by zmieniać losy ludzi.

Może po kwadransie Jacquetta otworzyła oczy po raz ostatni i spojrzała na Mię, która nie odstępowała od jej boku.

– Myślę, że jednorożce jednak istnieją – wyszeptała.

I już nic nie powiedziała. Środki przeciwbólowe zabrały jej świadomość gdzieś daleko, a kilka godzin później i ona odeszła. Mia tak była przejęta stratą, że nie do końca uświadomiła sobie, iż Kompania Świętego Jerzego opuściła bardzo zrujnowane opactwo. A że nikt z San Galgano nie odprawił posługi, Gennaro z Porphyriusem wykopali grób, tam gdzie kwitł kiedyś stary kościelny ogród Santo Pietro in Cellole. Gdzie jego bzy przyniesione przez pielgrzymów będą kwitły wiosną obok irysów, ukochanych roślin Jacquetty i Mii.

Trzy miesiące później – w zawsze znaczącym miesiącu styczniu, jak uznała Mia – urodziło się jej ostatnie dziecko. Dokładnie w chwili, gdy Loredana zarządziła odryglowanie drzwi i otwarcie szaf, podmuch lodowatego powietrza otworzył okiennice i na świat przyszła mała dziewczynka. Stało się to trzy tygodnie przed spodziewanym terminem, a poród był długi i ciężki. Agnesca – teraz już bardzo wprawiona akuszerka – musiała wypłatać dziecko z pępowiny zaraz po porodzie, by uchronić je przed uduszeniem. W rękach mniej wprawnych dziecko niechybnie by nie przeżyło.

– Ona na pewno jest nasza. – Roześmiała się. – Urodziła się na wietrze i z prawdziwym węzłem na pępowinie.

W pierwszej chwili Mia pomyślała, żeby małą nazwać po ciotce, ale po długiej naradzie z mężem i *la raggią* postanowiła dać jej jednak imię Maria Pia, ku czci poświęcenia ciotki przy moście Pii. W długiej historii Mii to imię powróci niemal w każdym pokoleniu.

KONIEC MAJA–POCZĄTEK CZERWCA 2008,  
SAN JOSE, SAN FRANCISCO I TOSKANIA

Lekki deszcz zmieszany z czerwonym pyłem wypełnił powietrze, podniesiony z drogi przez gęsty ruch. Wycieraczki rozsmarowały go na szybie i zasłoniły Maddie widok, gdy jechała na północ autostradą Nimitza w kierunku Berkeley.

Pół godziny dalej drogą zjechała na Fremont, żeby zatankować i kupić butelkę wody na stacji Chevron. Poprosiła chłopaka od dystrybutora, by zerknął pod maskę na poziom oleju i upewnił się, że nie kończy się płyn do spryskiwaczy. Poszła do kasy zapłacić, ale w obecnym stanie umysłu zapomniała o wodzie i zostawiła ją na ladzie.

Gdy ruszyła dalej na północ, pogoda się poprawiła, mżawka ustępowała jasnemu niebu, gdy mijała Bay Bridge tuż przed Berkeley. Tu droga zmieniła nazwę na autostradę Eastshore, ale nadal była głównym traktem prowadzącym na północ. Pomyślała, że mogłaby się zatrzymać i porozmawiać z ojcem, ale zanim ta myśl się skonkretyzowała, minęła już stosowny zjazd. Zbliżała się do bramki, zerknęła więc na fotel pasażera i zepchnęła kopertę z raportem toksykologicznym, by poszukać drobnych w torebce. Gdy zbliżała się do miasta Vallejo, zobaczyła zbierający się na horyzoncie wał wysokich chmur. Po kolejnej półgodzinie wspinała się w górach i wyglądało na to, że pogoda znowu się pogorszy.

Deszcz zaczął padać akurat, gdy zjeżdżała z autostrady St Helena i wjeżdżała na Oakville Grade. Tu znalazła to, czego szukała: tłuczniową drogę prowadzącą do imponującej bramy elektrycznej. Przed nią widniała obsadzona drzewami aleja kończąca się pętlą do zawracania przed parterowym domem w stylu nowoangielskim o szerokim ganku. Po obu stronach alei rozciągały się malownicze szeregi cudownie utrzymanych

winorośli z pierwszymi oznakami kiści. Winorośle defilowały w doskonałym porządku ku lasowi, który porastał zbocza góry w oddali.

Na jednym końcu winnicy stały budynki wyglądające na wytwórnię win, zaopatrzone w wielką tablicę:

Storm Tree Estates  
Najlepsze wina Apelacji Napa  
AD 1889

Gdy Maddie patrzyła, widok stopniowo nikił, w miarę jak lekki deszcz przybierał na sile, a potem zamienił się w ulewę. Zawahała się, nim ruszyła dalej, ponieważ deszcz szybko przemienił się w grad, który łomotał w karoserię tysiącami młoteczków i zagłuszał dźwięk jej bijącego niespokojnie serca. Biała płachta sprawiła, że widoczność zmaląa do zera.

Przez ogłuszającą perkusję gradu przebił się najbardziej przerażający dźwięk, jaki Maddie chyba w życiu słyszała. Przybierał na sile jak krzyk, jak nadjeżdżający pociąg ekspresowy i wreszcie minął jej samochód. Wydawało się, że jakaś ręka chwyciła mały pojazd i potrząsnęła nim tak silnie, że Maddie była pewna, iż coś w nią uderzyło. Zupełnie jakby auto było za słabo umocowane na przyspieszającym pociągu i tym samym skazane na zassanie przez strumień powietrza.

Maddie, przerażona, ze wszystkich sił wcisnęła hamulec. Odruchowo schyliła się pod osłonę deski rozdzielczej, mając nadzieję, że samochód nie zostanie przewrócony przez to potężne coś, co go pochwyliło. Wiatr był niemal pięć minut, a deszcz i grad łomotały w auto. Potem ni z tego, ni z owego zrobiło się ciszej, zostało tylko bębnienie wiosennego deszczu. Maddie nawet słyszała znowu szum pracy silnika. Nie powinien już pracować – pomyślała. Powinno mnie poderwać i rzucić. Z pewną trwogą podniosła głowę, by się rozejrzeć. To, co jeszcze dziesięć minut temu było sceną sielankowego spokoju, zamieniło się w obraz spustoszenia. Po lewej stronie drogi nie ocalała ani jedna winorośl, od winnicy aż po dalekie wzgórza. Po prawej w zasadzie nic nie zakłóciło nieskazitelnych rzędów, które zdobiły trawniki wielkiego ogrodu.

Podczas gdy Maddie siedziała i patrzyła, z domu na ganek wyszła postać i rozglądała się po szczątkach tego, co miało być rocznikiem 2008 Gray Lady. Mężczyzna stał i podniósł ręce do twarzy zaszokowany, nic nie rozumiejąc, a potem truchtem zbiegł po schodkach ganku. Na dole jednak jakby stracił władzę w nogach i padł w lekkim deszczu. Schował głowę w dłoniach.

Z punktu widzenia Maddie, bezpiecznej i suchej w swoim aucie, Pierce Gray wyglądał jak dziecko, które straciło całą rodzinę w apokaliptycznej tragedii.

Zwolniła hamulec i opony samochodu zachrzęściły na tłuczniu, gdy powoli ruszyła do przodu. Było ślisko, musiała więc jechać powolutku obsadzoną drzewami aleją, manewrując między spadłymi konarami i innymi szczątkami, aż dotarła do pętli przed domem.

Wysiadła z samochodu i ledwie się zastanawiając, po co przyjechała, wzięła kopertę z fotela kierowcy.

Pierce podniósł głowę, przez chwilę patrzył na nią, nie rozpoznając jej i nic nie mówiąc. W końcu odzyskał głos.

– Moi przodkowie założyli tę winnicę w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Trzeba było ją zamknąć w okresie prohibicji, ale potem mój pradziadek wszedł w przemysł drzewny i mieliśmy dość pieniędzy.

Maddie podeszła powoli do niego, rozumiejąc, że on musi mówić. Kiwnięciem głowy dała mu znak, by kontynuował.

– Gdy dziadek tu mieszkał jako chłopiec, tam rósł las sekwoi. – Wskazał palcem na skraj winnicy i Maddie podążyła wzrokiem w tym kierunku. – Pewnego dnia nie wiadomo skąd nadciągnęła burza z piorunami, a mały chłopiec pobiegł szukać schronienia pod drzewami. Nikt mu nigdy nie powiedział, że to najgorsze, co może zrobić. Piorun uderzył w drzewo i rozłupał je na pół. Mój dziadek pod nim stał, ono umarło, on nie. Padło obok niego i tylko gałąź go musnęła. Dlatego właśnie jego syn, a mój ojciec, nazwał firmę Storm Tree, Burzowe Drzewo. A kiedy

uruchomił ponownie winnicę, uznał, że to opatrność. Że ona przeżyje wszystko, co ją dosięgnie.

Maddie podeszła do schodków i siadła obok niego, chroniąc się przed deszczem.

– Przykro mi, że straciłeś winogrona, Pierce – powiedziała. – Naprawdę mi przykro, bo wiem, że je kochasz. – Ruszyła głową raz jeszcze, by podkreślić, jak ważna jest dla niego cała posiadłość. Miał już za sobą dwie długonogie żony, a żadnego syna ani dziedzica. I ta posiadłość nadawała sens jego życiu. Nagle zrozumiała jej znaczenie i pomyślała, że może jej dobry stan łączy go z niewidocznym źródłem patriarchalnej aprobaty. – Ale jesteś bardzo bogaty – ciągnęła łagodnie – a także świetnie ubezpieczony i odszkodowanie na pewno pokryje większość strat. Masz zdrowie, masz swoją pasję, a winogrona odrosną.

– Ty nie rozumiesz, Maddie – powiedział, nie oglądając się na nią. – Dla mnie to jak znak, ta burza. One nie są ze mnie zadowolone.

Pierce przechylił się i jak mały chłopiec położył głowę na kolanach Maddie. Przyszła tu przepełniona gniewem na Pierce'a Graya, ale nie chciała jego bólu. Delikatnie pogłaskała go po włosach.

– To są twoje winorośle, nie dzieci – powiedziała tylko.

W tym momencie zrobiło się jej go żal, ale wiedziała też, że musi powiedzieć to, po co przyszła – co zdominowało wszystkie jej myśli.

– Przyjechałam tutaj od przyjaciółki, która umierała na moich oczach. Była piękną młodą kobietą, parę lat starszą ode mnie, a umarła na raka mózgu i wątroby w obecności swojego synka i ojca – mówiła silnym głosem. – Ty odczuwasz ostro tę stratę, a ja rozumiem, że na marne poszła twoja ciężka i trudna praca. Ale to nie były żywe istoty, Pierce. Kobieta, o której mówię, pracowała w twojej firmie, a jej śmierci należało uniknąć.

Pierce powoli podniósł głowę i spojrzał na nią. Jej twarz zawsze budziła w nim niezwykły zachwyt. Nie chciał jej słuchać, ale też nie mógł odwrócić od niej wzroku.

Maddie chyba to wyczuła. Mówiła ostrożnie, jako że chciała dobrze dobrać słowa.

– Szekspir mówi, że to wspaniale mieć siłę olbrzymia, ale źle jej używać jak olbrzym. Twoja firma jest takim olbrzymem, a ludzie, którzy pracują w twoich fabrykach, nie mają siły walczyć z taką siłą jak kierownictwo Stormtree. Ich słowa nie docierają do twoich prawników, którzy krzyczą jak generałowie. Są przegrani, Pierce. To nie są winorośle, które można posadzić od nowa. Nie widzisz, że dla nich to ty jesteś wiatrem?

Wstała i położyła kopertę na suchym stopniu obok niego.

– Zejdz z deszczu – powiedziała z czułością, a potem dotknęła jego ramienia, minęła go i wróciła do auta.

Poniedziałek po spotkaniu Maddie z Pierce'em Grayem był pierwszym poniedziałkiem czerwca. Dotarła do biura spóźniona kwadrans. Autobus z Cow Hollow utknął w korku, a Maddie dzisiaj brakło energii, by biec. Przez cały weekend nie ruszała się ze swojego mieszkania ani z nikim nie rozmawiała. Zamierzała wysłać Sørenowi esemes, że przegrali sprawę, ale on zdobył srebrny medal za swój ogród na wystawie w Chelsea i nie chciała mu psuć radości. Była jakby w stanie szoku z powodu Nevy i procesu, a także spóźnionego stresu na wieść, jak blisko była wypadku, gdy w wiadomościach obejrzała materiał, że tamtego wieczoru cyklon ściął cały kawał Napa. Patrząc na materiał filmowy, uświadomiła sobie, że wiatr minął jej samochód dosłownie o kilkadziesiąt cali, a jednak ją oszczędził. Jakiś anioł musiał nad nią czuwać.

Paloma kwitła całą mocą jako samotny strażnik w wejściu do kancelarii Harden Hammond Cohen. O dziwo, Teresy nie było na posterunku. Maddie szła korytarzem, mijając główne gabinety, i żywej duszy nie widziała. Pustymi korytarzami dotarła do swojego pokoju, zostawiła płaszcz, i ciągle nikogo. Zdumiona, sprawdziła po drugiej stronie holu, czy jest Tyler albo Charlotte. Gdzie są wszyscy? – zastanawiała się. Zupełnie jakby się znalazła na *Marii Celeste*. Wreszcie – w ostateczności – otworzyła drzwi sali konferencyjnej i pokręciła głową w zadziwieniu. Nie

mogła sobie przypomnieć, żeby zwoływano spotkanie, ale zebrali się tu absolutnie wszyscy. Wszyscy w firmie wcisnęli się do pomieszczenia, opierali się nawet o stoły.

Samantha właśnie przemawiała. Głos miała dziwny – ton niemal nieznoszący sprzeciwu – co się zdarzało tak rzadko, że Maddie nie pamiętała, kiedy ostatnio go słyszała.

– Czekaliśmy na ciebie! – oznajmiła. – Co powiedziałaś w piątek Pierce’owi Grayowi w Napa?

– A co? – spytała Maddie. Zrobiła coś niezgodnego z etyką?

– Bo zwołał nas tu wszystkich na dzisiaj na ósmą raną na nieplanowane spotkanie – odparła Samantha. – Wczoraj cały dzień do ciebie wydzwaniałam, ale nie odbierałaś.

Maddie stanęło serce. Tym razem posunęła się za daleko. Zwolnią ją?

– Zrobiłam coś bardzo złego? – spytała nieśmiało. Dzisiaj nie miała siły przez to przechodzić, za bardzo była obolała.

Samantha wstała i mówiła dalej nieodgadzionym głosem.

– Przeczytaj to głośno. Nikt tu, oprócz Charlesa, jeszcze tego nie słyszał. – Podała Maddie kartkę papieru.

Maddie odchrząknęła i zaczęła nerwowo.

– „Pozew grupowy wniesiony przez kancelarię Harden Hammond Cohen w imieniu jej klientów przeciwko Stormtree Components Inc. dzisiaj został rozstrzygnięty”.

Tu przerwała i rozejrzała się, bliska płaczu.

– Co? – Zauważyła, że Charles ma wielki uśmiech na twarzy, jak zresztą wszyscy.

– Czytaj dalej – ponagliła ją Samantha.

Maddie spojrzała na trzymaną w rękę kartkę i zagryzła wargę. Zaczęła pojmować, że to może szczęśliwe zakończenie.

Warunki ugody są objęte tajemnicą i nie zostaną dołączone. Żadna ze stron nie będzie wydawać żadnych oświadczeń w tej kwestii. Firma Stormtree uważa, opierając się na faktach i dowodach, że nie ponosi



odpowiedzialności w tej sprawie i że jej miejsce pracy nie spowodowało uszczerbku na zdrowiu powodów. Żadna ze stron nie będzie niczego komentować poza niniejszym dokumentem.

P. Gray

Prezes Stormtree Components Inc

C. Hammond

pełnomocnik powodów

J. M. Clemente

pełnomocnik Stormtree Components Inc

S. Harden

pełnomocnik powodów

Dopiero po dłuższej chwili Maddie przetrawiła znaczenie tego, co przeczytała. Jeszcze raz spojrzała na podpisy i przełknęła łyżę ulgi.

– Dlaczego nie Gordon Hugo? – spytała Samanthę.

– Chyba już dla nich nie pracuje – odrzekł Charles, wpychając język w policzek.

Wszyscy zaczęli klaskać.

– Wisimy z Charlesem na telefonie od sobotniego popołudnia. – Napięcie zniknęło z twarzy Samanthy. – Gray przyszedł rano z tymi nowymi prawnikami podpisać ugodę tymczasową. Cokolwiek sprawiło, że się rozmyślił, wszyscy jesteście zadowoleni. Wspomniał w szczególności, że ty z nim rozmawiałaś, Maddie. Powiedziałaś coś, co spowodowałyby taką zmianę?

Maddie zdecydowanie pokręciła głową, nie chcąc nic mówić.

Charles uśmiechnął się szeroko i pomyślał, że rozumie jej milczenie.

– Więc możemy przyjąć, że to może rada nadzorcza doradziła Grayowi taki krok, widząc początek końca.

Włączył się Tyler:

– A koniec i tak nadejdzie!

– To prawda – przyznał Charles. – W piątkowe popołudnie przekazaliśmy opinii publicznej informację, że złożymy pozew przeciwko Stormtree w Massachusetts, gdzie obowiązuje inne prawo stanowe. Informacje toksykologiczne zostaną opublikowane w Internecie, więc staną się powszechnie dostępne, nie można więc będzie ich zablokować w przyszłości.

Maddie zachowała przemyślenia dla siebie. Pragmatyzmu Pierce'a nie należało lekceważyć, ale uznała, że to jego zabobonność mogła dojść do głosu.

Razem z Tylerem miała się teraz skontaktować ze wszystkimi klientami i przekazać im, co się stało. W ciągu tygodnia dostaną pieniądze.

– Nie mogę wam powiedzieć, ile uzgodniliśmy – zastrzegła Samantha – ale nieujawniona suma jest na tyle duża, że trzeba ją przelać w kilku transzach.

– Pieniądze nie zwrócą matki małemu Agui Walkerowi – powiedziała Maddie w uniesieniu.

– Nie – przyznał Tyler – ale opłacą jego operacje kardiologiczne i pozwolą mu na dłuższą naukę, a tego chciała jego matka.

Po chwili radosnego uniesienia prawda słów Tylera dotarła do Maddie i wróciła do swojego gabinetu trochę przybita. Ale w miarę jak dzwoniła, okazywało się, że wszyscy się cieszą. Mogli sobie porobić plany na życie.

Z pudełka na biurku wyjęła monetę z Janusem. Obróciła ją powoli w palcach, przyglądając się jej uważnie, i przez chwilę zastanawiała się, czy zwrócić ją Pierce'owi. Uznała jednak, że to dobry znak – nowy kierunek – i odłożyła ją do pudełka obok dwóch monet z Borgo, które dała jej Jeanette. Może na niego też podziałają jakieś czary.

– Weź sobie tydzień wolnego, Maddie. – W jej drzwiach nagle stanęła Samantha. Zaskoczyła ją tym kompletnie. – Wiem więcej niż reszta, wiem, że miałaś w tym wielki udział. Wszyscy dostaną małą premię, więc może polecisz dokończyć swoje włoskie wakacje? – Uśmiechnęła się i na powrót zamknęła drzwi.

Maddie wpatrywała się w nie chwilę, a potem wyciągnęła telefon z torebki i wybrała numer. Odebrał zaskoczony głos.

– Madeline?

– Dziękuję – powiedziała z naciskiem. – Bardzo ci dziękuję.

– To nie ja, prawda? – spytał zdumiewająco niepewnie. – Nigdy nie będę tym jedynym?

– Nie, Pierce – odparła. – I nie chcesz być. Ale dzisiaj zasłużyłeś sobie na mój dozgonny szacunek.

Rozłączyła się i siadła, opierając podbródek na dłoni. Czuła się dziwnie rozproszona.

Gdy reszta kancelarii była w hałaśliwym nastroju, Maddie zadzwoniła do ojca, żeby zaprosił ją na kolację pod koniec tygodnia – „tylko my dwoje”. Zapewnił, że zrobi to z przyjemnością. Potem napisała mail do Jeanette, że jednak będzie wolna na uroczystość otwarcia Borgo Santo Pietro – jeśli jeszcze znajdzie się dla niej miejsce. Ostatni mail, który napisała tego nadzwyczajnego dnia, zaadresowany był do Søren. Czy on też będzie w Borgo? Choć w Londynie była późna noc, odpowiedź przyszła natychmiast, ale dziwnie niekonkretna. Chętnie by się z nią zobaczył, ale rozrysowywał plany dla angielskiego klienta do ogrodu dachowego w Nowym Jorku. Postara się to załatwić, poza tym Plejady tego lata później pojawiają się nad Bałtykiem. Wstrząśnięta stwierdziła, że odbiera tę odpowiedź jako bardzo głębokie rozczarowanie.

– Za długo to odkładałam – powiedziała do siebie.

Tamtego czerwcowego wieczoru, sama w mieszkaniu, nałała sobie kieliszek chianti do kolacji i stała na swoim maleńkim balkonie, by otworzyć drugi prezent od *nonny* sprzed roku. Ze swoimi sznurkami, węzłami i woskowymi pieczęciami kojarzył się z osobliwą celebracją nadzwyczajnego zakończenia procesu, który przegrali kilka dni wcześniej. Ale czy dowie się z tego czegoś o swojej przyszłości?

Horoskop był iście bizantyjską plątaniną symboli i wyliczeń, niewiele z niego zrozumiała. Sześć lat było obrysowanych symbolami planet – to rozpoznała – tam gdzie powinny być w konkretnych momentach jej życia. Wybrała dwa, które miały większe znaczenie. „21 lat – Księżyc mija Jowisza na rogu 9. i 10. domu. Wyjazd z domu na studia – prawo?” No, to się zgadza, przyznała Maddie. I to zmieniło jej życie. Drugie miejsce było jeszcze dziwniejsze: „23–24 lata – Przybierający Księżyc spotyka się z Wenus i urodzeniowym Marsem, w Plejadach. Wielka miłość, ale

falstart. Madeline płacze”.

Dobra, niezła robota, naprawdę, pomyślała, przełykając spory łyk wina. Ale to się poprawi?

„25 lat – ostatni wpis – Włóż właściwe buty, żeby przejść przez most?”

Pod spodem widniała dziwna, odręczna wiadomość od kobiety, która zrobiła wykres. Napisana została po włosku, a Maddie pobieżnie ją przetłumaczyła:

*Urodzona w koniunkcji Słońca z Księżycem w Plejadach, dziecko „gołębic”, „córek żniw”, „pań żagli”. Plejady to córki starego Atlasa – nieunikniona podróż. Często powiązana z problemami ze wzrokiem – czego nie widzisz? Łzy bólu mogą się zmienić w łzy radości. Ty musisz zdecydować, czy przez te pierwsze dojrzysz drugie.*

Maddie niewiele z tego rozumiała, ale spodobały się jej gołębie. Ostatnio stały się jakby jej godłem.

Pod koniec tygodnia spotkała się z ojcem na kolacji. Wybrał Cafe Tiramisu w Belden Place, jednym z wyjątkowych zakątków w mieście, przy którym znajdowały się lokalne knajpki, takie, jakie można znaleźć w bocznych uliczkach Marsylii czy nawet Sieny. Pomimo nowoczesnego świata biurokracji, zarządzeń i zezwoleń ta enklawa ciągle się trzymała, a ogródek kawiarniany w zaułku sam stanowił jedno z najlepszych miejsc do gapienia się na ludzi w San Francisco.

Enzo właśnie oddawał się tej rozrywce, gdy Maddie podeszła do stolika. Ku jej uciesze, czekały już dwa kieliszki szampana, a ojciec wstał, by ją ucałować. Kelner odsunął dla niej krzesło, po czym podał im karty. Gdy już się usadowili, Enzo wznosił toast.

– Za zwycięstwo! Te ostatnie tygodnie musiały być dla ciebie szalone. Widziałem gazety i myślałem, że przegraliście, ale z radością przeczytałem we wtorek o ugodzie. Zresztą wiadomość była enigmatyczna, delikatnie mówiąc. Jakiś spory czek?

– Tak. – Maddie roześmiała się łagodnie. – Bardzo spory. Ale nawet ja nie wiem jak bardzo. Sumy nie podano. Ale i tak straty są nie do

odrobienia. A co więcej, ugoda nie oznacza żadnych wniosków. Ludzie kierujący firmą nie ponieśli konsekwencji. Mogą dalej robić swoje.

Enzo uśmiechnął się do córki.

– Armie przemysłu złupiły pracowników jednego kraju i zostawiły ich, żeby się wyleczyli z ran, jeśli potrafią. Potem armie przechodzą do następnego, biedniejszego kraju. To się nazywa chyba outsourcing.

Maddie kiwnęła głową.

– Tak, papo. Ale chcę rozmawiać o czymś weselszym. – Uśmiechnęła się, zastanawiając się, co ojciec myśli, teraz gdy już wie, że jednak chodziło o firmę Pierce’a Graya.

– No cóż. – Enzo wyglądał jak spiskowiec. – Czy ty wiesz, że twoja siostra przyprowadziła w weekend do domu prawdziwego druida? Myślałem, że wasza matka dostanie apopleksji. – Zachichotał. – Ona jest taka uprzedzona. Myślę, że jej zdaniem Barbara zadaje się z satanistą, ale ostatecznie on się okazał bardzo interesującym człowiekiem. Skończył fizykę na Stanfordzie i pracuje nad technologią alternatywnych źródeł energii. Jest dobry dla Barbary, a jej w tej chwili odpowiada magia.

– Świetnie – powiedziała Maddie szczerze.

– „Mniejsza jednak o to! Jest tu panienka myślami daleka”<sup>[6]</sup> – wyrecytował Enzo lekko. – Co tam u mojej Madeline?

– Nie jestem pewna – odrzekła niejasno. – Poczekamy, zobaczymy.

Zamówili, jedzenie podano i zjedli, rozmawiając i śmiejąc się. W połowie pappardelli Maddie wyznała ojcu, że wybiera się znowu do Włoch, w niedzielę, na kilka dni, i może w drodze powrotnej zatrzyma się w Londynie. Ojciec uniósł nieco brwi.

– Czy to ma jakiś związek z różami i fiołkami? – spytał.

– Ależ, papo, co się dzieje na koniec tego wiersza? – zapytała niepewnie. – Czy to o dziewczynie, która jest łatwowierna i oddaje wianek wyidealizowanemu kochankowi, a ten zaciąga ją na sztorm i zawieruchę?

– Można to tak interpretować – uśmiechnął się smutno – i rzeczywiście niektórzy tak robią. Ale można też przyjąć, że to pochwała

witalności i nadziei młodej miłości. Madeline i Porphyro uwalniają się od zimna i pozbawionego miłości nienawistnego miejsca, wywołują burzę, która chroni ich i pozwala na ucieczkę. Na koniec poematu Keats daje nam tylko początek. Musisz zdecydować, czy ich miłość ma szansę na zniszczenie czy na ekstatyczne szczęście.

Maddie kiwnęła głową pogrążona w rozmyślaniach. Chwilę później, drażąc pomysł, spytała:

– Sądzisz, papo, że ludzie mogą kontrolować pogodę?

– Co masz na myśli? Jeśli wywoływanie burzy czy deszczu, czy powiedzmy „Wietrze, wiej im, o hej”... Och, być Prosperem!

– Nie wygłupiaj się. – Zaśmiała się. – Mówię poważnie. Nie da się kontrolować pogody, prawda?

Oczy Enza zamigotały psotnie.

– Pamiętasz moje ulubione glony? Te, które się zbierają, żeby wywołać chmurę? Robią to, żeby się uchronić przed oparzeniami słonecznymi. Mam swoje pomysły, ale jeśli nie chcę zakończyć kariery jako szalony naukowiec oskarżony o uprawianie pseudonauki... – Uśmiechnął się szeroko. – Moi koledzy po fachu bardzo przywiązali się do dowodów i zapomnieli chyba, że każda nauka zaczyna się od wyobraźni. Ale publicznie powiem, że nie, nie da się.

– A teraz słucham wersji szalonego naukowca.

– Niektórzy ludzie uważają, że potrafią kontrolować żywioły. Nazywają ich świętymi albo bogami, albo zaklinaczami deszczu – uśmiechnął się pod nosem – a jeśli to działa, mówimy o cudach. Niejaki Ted Owens, tak zwany PK Man, oświadczył publicznie, że wyczaruje fenomenalną pogodę. I chociaż nie cieszył się wielką sympatią, ma związki z kilkoma bardzo dziwnymi wydarzeniami. Rekordowe opady śniegu w San Francisco w połowie lat siedemdziesiątych nastąpiły dokładnie zgodnie z jego zapowiedzią – w środku długiej suszy. Miał też w zanadrzu imprezową sztuczkę z demonstrowaniem piorunów. Tak więc mnogość dowodów empirycznych mówi nam, że takie wydarzenia mogły nastąpić,

ale że nie można ich wywołać na życzenie ani przez powtarzane doświadczenia, większość naukowców odrzuca ten pomysł. Gwoli sprawiedliwości muszę powiedzieć, że cud z definicji zdarza się poza królestwem praw natury. To oznacza, że gdyby cud powtórzyć dla eksperymentu, przestałby być cudem. Może część z tych rzeczy, które się zdarzają, są unikatowymi, niepowtarzalnymi wydarzeniami, a nie prawdziwymi cudami; ale niewyjaśnione fuksy są takim polem popisu dla wyobraźni.

Maddie spojrzała na ojca.

– A twoje idee?

– Podoba mi się idea równowagi. I tego jednego. Przy moich glonach musi to być ten jeden – chociaż miliony pływają sobie, żeby utworzyć grupę, tak że nie wyizolujesz ani nie zidentyfikujesz delikwenta, to dokładnie jeden organizm okazał się jednostką, która przechyliła równowagę i sprowadziła chmurę albo wiatr.

– Gdyby osoba albo grupa osób funkcjonowała jak pan Glon, to wszystko inne mogłoby być w idealnym stanie gotowości. Indianie i ich taniec deszczu mogą sprawić, że będzie padać, albo można sprawić, że wiatr zawieje. Potrzeba tylko wiary.

Maddie przyszła na myśl Neva i jej śniegowy dzień.

– Wiesz, papo... myślę... – urwała. – To tajemnica. – Uśmiechnęła się.

Jako agent podróży Maddie Jeanette wyznaczyła jej trasę przez Gatwick, a nie przez Rzym, dzięki czemu spotkała się na londyńskim lotnisku z Clausem i w poniedziałek wczesnym wieczorem razem polecili do Pizy. Szczęśliwie tym razem pogoda okazała się wierna latu i Claus swoim porządnym mercedesem tak jechał do Borgo, że Maddie nawet nie zauważała zakrętów. Minęli bramę przed dziewiątą, czyli jeszcze się nie ściemniło.

Chociaż zmęczona po długiej podróży, raczej czuła się odprężona niż wyczerpana. Żelazna brama otworzyła się na niewidzialny rozkaz i wjechali na nową aleję cyprysów, ciągnącą się od głównego wejścia, które

teraz znajdowało się przy drodze do Palazzetto. Uśmiechnęła się z aprobatą: nowa perspektywa dodawała miejscu pielgrzymki perfekcji.

Utonęła w objęciach Jeanette i poczuła ten sam spokój co za pierwszym razem, rok temu. Ledwie zaczęła drugą wizytę, już stała się jednym z dzieci Borgo.

– Taka zmęczona nie będziesz dzisiaj oglądać wszystkich zmian – zdecydowała gospodyni. – Zabieram cię prosto do twojego pokoju.

Maddie zatrzymała ją na chwilę.

– Część mnie – powiedziała z uśmiechem – wróciła do domu, gdy tylko tu dotarłam.

Jeanette kiwnęła głową, nie okazując zaskoczenia.

– Mówiłam dawno temu, że Borgo otoczy cię ramionami.

Eleanore powitała Maddie leniwie, jakby ta wyjechała tydzień temu, a Jeanette poprowadziła ją na górę za rękę ze znajomym kluczem z frędzlami przeplecionymi przez palce. Matteo, przystojny włoski dwudziestoparolatek, wziął jej torbę i ruszył za nimi.

U szczytu schodów Maddie się zawahała, czekając, aż Jeanette otworzy drzwi do domu pielgrzyma.

– Nie. Tym razem umieściłam cię gdzie indziej – powiedziała.

Maddie otworzyła usta. Była rozczarowana, zaczęła myśleć o tym pokoju jak o swoim. Ale nie chciała sprawiać wrażenia nieuprzejmej.

– Och – powiedziała tylko.

Jeanette za bardzo jednak była nastawiona na odbiór nastroju gości, by nie usłyszeć smutku w tym westchnieniu.

– Myślę, że dość się już naoczyszczając. – Roześmiała się. – Teraz możesz odpocząć.

Przecięły hol na piętrze, z jego zabytkowymi szezlongami, witrynami i fiolkami perfum, oprawionymi w skórę książkami. Doszły do drzwi we wnęce, których Maddie jeszcze nie widziała. Tu stanęły i przeczytała nazwę na nadprożu:

– Valle Serena.



Jeanette odczyniała swoje czary ze staromodnym kluczem, a wyraz twarzy Maddie zmienił się z rozczarowanego na euforyczny. Weszła do pokoju urządzonego w delikatnych odcieniach błękitu i złota; „jak kolory toskańskiego słońca” – wyjaśniła gospodyni. W porównaniu z Pellegrino wydawał się urządzony z przepychem i Maddie poczuła zakłopotanie, że najwyraźniej przydzielono jej najświetniejszy pokój w hotelu.

– To apartament nowożeńców – powiedziała, znowu nie znajdując słów dla artyzmu Jeanette. Stworzyła tu przestrzeń pełną luksusu i światła, z bzami wylewającymi się z wazonu na dwa stoły, i złoconą wolno stojącą wanną, tym razem umieszczoną dokładnie na środku pokoju. Na wielkim płótnie nad rokokowym łóżkiem rezydowała Wenus.

– To wanna, w której się tylko zanurzasz i popijając szampana, patrzysz na ogień. Albo możesz patrzeć na Valle Serena. To ulubiony widok Sørrena.

Matteo odstawił torbę Maddie na krzesło i w milczeniu odwrócił się do wyjścia, gdy Jeanette spytała go po włosku o butelkę szampana, która miała czekać w wiaderku na przybycie gościa. Kiwnął głową i wyszedł.

– Jesteś niesamowita. – Maddie westchnęła.

– Rozpakuj się – odparła Jeanette rozpromieniona – i zejdź, ale tylko jeśli chcesz. Ja idę poszukać męża, bo spędził ostatni weekend w Londynie i trochę go nie widziałam.

Maddie uśmiechnęła się trochę nieśmiało.

– Jeanette, a on przyjeżdża?

– Myślę, że tak. – Podała Maddie klucz i wyszła.

Maddie siadła przy oknie wychodzącym na piękną Dolinę Spokoju i oddychała ciepłym wieczornym powietrzem. Coś było w tej przestrzeni... w tym miejscu... Była mieszkanką San Francisco do szpiku kości, ale Borgo przemawiało do niej językiem, którego jeszcze nikt nie używał.

– *Room service!* – zawołał od progu Matteo.

– *Si, e aperto* – odpowiedziała, a on wszedł z niewielką tacą, na której niósł szampana w srebrnym wiaderku i kieliszki.

– Mam otworzyć teraz, signorina? – spytał.

– Nie, dziękuję, może później.

– Zaraz przyniosę owoce i wodę, ale może chce pani czegoś jeszcze?

Pokręciła głową i podała mu kilka monet z kieszeni.

– *Allora, buonasera, signorina.* – Uśmiechnął się i wyszedł, nie domykając drzwi.

Maddie rozwiesiła najlepsze ubrania i zastanawiała się, czy wejść do wielkiej wanny, gdy pukanie obwieściło nadejście owoców.

– *Si, grazie* – rzuciła przez ramię, ledwie zauważając, że ktoś przemknął za nią z drugą tacą i odstawił ją na stół.

*Gdy on stertami przynosi od razu*

*Pigwy i śliwki, jabłka w cukrze, banie*

*I sorbet gładszy niż twaróg w śmietanie.*

*Jeszcze syropu z cynamonem dzban da,*

*Daktyle z Fezu, mannę w marcepanie –*

*Czym tylko darzy w cedrowych girlandach*

*Liban albo jedwabna hojna Samarkanda<sup>[7]</sup>.*

Znieruchomiała z głową w szafie, a potem powoli się cofnęła.

– Przeleciałeś przez cały glob – powiedziała, nie patrząc na niego, nie ufając swoim wzbierającym emocjom – żeby ze mną pobyc jedną noc, a rano wyszedłeś i nawet mnie nie pocałowałeś.

Mówiła tonem lekkim i niejednoznacznym: mogły to być żarty, ale mógł być i wyrzut. Wydawała się raczej drażliwa, i niepewna.

– To nie była nasza noc – powiedział szczerze. – Należała do innego mężczyzny. Ale bardzo się postarałem, żeby ta była nasza.

Pokonał dzielącą ich przestrzeń i objął ją tak zwyczajnie, jakby czynił to co wieczór. Wsunął palce w jej włosy i przyciągnął do siebie jej twarz, a potem w końcu ją pocałował: powoli, swobodnie i czule. Maddie ten pocałunek wydał się równie naturalny jak śmiech, tyle że towarzyszyła mu delikatna pasja. Wiedziała, że za mocno się zaangażowała w Sørenę, by się odsuwać, a jej ciało już się w nim zatraciło. Ale usłyszała cichy głos

przestrogi i musiała się pozbyć wątpliwości.

– Jeśli trafię z tobą naga do tego łóżka – powiedziała – nie będę chciała tego kończyć. I nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

Zsunął rękę na jej talię i przyciągnął ją mocno.

– Bo ty jesteś tam, a ja tu? – spytał.

Kiwnęła głową.

– Nie mogę czekać, aż wysiądziesz z samolotu. Mogę latać do ciebie, ale nie mogę odliczać dni, aż odbiorę cię z lotniska. Po prostu nie mogę.

Pokręcił głową i zmysłowo musnął kciukiem jej usta.

– Chcesz już poznać środek, a nawet koniec. Ale nie znamy tej części. – Uśmiechnął się łagodnie. – Mamy dopiero początek i poczucie możliwości.

Po chwili w jej oczach błysnęła odpowiedź, a on przeniósł ją na piękną pościel eleganckiego łóżka. Potem przeszedł do drzwi, otworzył je i powiesił na klamce tabliczkę „Nie przeszkadzać”.

Jeśli tej nocy gdzieś na zewnątrz były jakieś sowy, gołębie lub psy, para w apartamencie Valle Serena ich nie słyszała ani nie widziała. Drugi pocałunek od pierwszego dzielił cały rok kalendarzowy: i jedna noc nie wystarczyła, żeby odrobić stracony czas. Przy oknach otwartych szeroko tylko zapach z ogrodu czasami wdzierał się w ich prywatność.

Maddie obudziła się jakiś czas po wschodzie słońca, mgliście sobie uświadamiając, w której strefie czasowej się znajduje. Przeciągnęła się, przesunęła ramię Sorena i delikatnie wymknęła się z łóżka, by odsunąć ciężką zasłonę z wielkiego okna wychodzącego na dolinę. Powiew letniego powietrza zagonił ją z powrotem do łóżka, gdzie wsparta na ramieniu patrzyła, jak Søren śpi. Długie pasmo jej włosów poruszało się na wietrze, połaskotało mu policzek i wreszcie go obudziło.

– Jesteś głodna. – Uśmiechnął się, prawie nie otwierając oczu.

Kiwnęła głową, ale po jej minie – dla niego niewidocznej – można było poznać, że nie ma na myśli jajecznicy i croissantów.

– A gdy ty czegoś chcesz, zawsze obwieszcza to wiatr. – Wreszcie odwrócił do niej uśmiechniętą szeroko twarz.

Położyła się nad nim i zajrzała mu w orzechowe oczy, pełne zaangażowania i fantazji, o których Jeanette mówiła „poetyczne i marzycielskie”.

– Naprawdę sądzisz, że umiem robić takie rzeczy? – spytała ubawiona.

– Jakie? Wzywanie wiatru? – Uśmiechnął się leniwie. – Oczywiście. W końcu jesteś Etruską, masz to w DNA.

Bez słowa, które mogłoby zniszczyć czar ich intymności, owoce, naleśniki i kawa zostały przyniesione do stołu nakrytego specjalnie dla nich przy fontannach w ogrodzie różanym. Był delikatny czerwcowy dzień.

Jeanette chciała im zapewnić mnóstwo czasu i przestrzeni dla siebie. Ale też pragnęła im coś pokazać. Gdy Matteo wreszcie zameldował, że wypili kawę i proszą o drugi dzbanek, uznała, że już może im przerwać.

– Dzień dobry – powiedziała głosem znajomo pogodnym i ucałowała oboje.

Søren wstał i też ucałował ją ciepło.

– Dołącz do nas – rzekł, a ona kiwnęła głową i siadła. I Maddie, i Søren zauważyli, że na jej twarzy widnieje nie jakiś tam zwykły uśmiech, tylko szeroki i promienny. – Dobra, o co chodzi?

Wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną, gdy podała im poranną włoską gazetę, którą wcześniej przytrzymywała ramieniem. Maddie wychyliła się, by zobaczyć, co jest takie ważne.

Na środku pierwszej strony widniał tytuł oznajmiający, że w Prato nieopodal Florencji znaleziono *unicorno*. Artykułowi towarzyszyło czarujące zdjęcie z wielkooką małą sarenką, która centralnie pośrodku czoła miała piękny skręcony spiralnie róg. „To dowód, że mityczny jednorożec, uwieczniony legendą, prawdopodobnie nie jest stworzeniem fantastycznym, ale prawdziwym zwierzęciem, z anomalią podobną do tej” – podsumowywał artykuł. Nadzwyczajny „jednorożec” wywołał u nich wszystkich uśmiech niedowierzania.

– Poczucie możliwości – powiedział Søren do Maddie.

– Widzicie – zauważyła Jeanette – tu wszędzie są same wspaniałości.

– A jeśli w nie uwierzimy – Maddie wzięła Søreną za rękę – może się urzeczywistnić.

---

[6] J. Keats, *Wigilia świętej Agnieszki*, przeł. Z. Kierszys.

[7] J. Keats, *Wigilia świętej Agnieszki*, przeł. Z. Kierszys.

# Od Autorki

Przed laty dostałam egzemplarz książki C. G. Lelanda *Aradia, or the Gospel of the Witches* i od razu mnie zaintrygowało to pomieszczenie mitu i folkloru, jak również kuszące, podobno zapomniane przekazy ustne, które się tam znalazły. Praca Lelanda, wydana pod koniec dziewiętnastego wieku, miała utrwalić tradycje folklorystyczne zarówno w ojczystej Ameryce, jak i w Europie – zwłaszcza w Toskanii – i od dawna fascynuje różnych badaczy oraz ludzi zainteresowanych pogańską tradycją.

Źródłem Lelanda dla tej książki, która zasadniczo jest zbiorem rytuałów i tak zwanych ewangelii średniowiecznego włoskiego czarownictwa, była młoda kobieta o imieniu Maddalena, pochodząca z regionu Emilia-Romania. Zatrudnił ją, by pomogła mu w szukaniu zachowanych po kryjomu czarów i zaklęć, przekleństw, inwokacji i rytuałów uzdrawiających, które pozostały, obok chrześcijaństwa, z ludźmi jej ojczystej Romanii. Lelanda fascynowała możliwość, że te popularne praktyki mogą pochodzić ze starożytności, zwłaszcza od Etrusków, czyli przodków Toskańczyków. Podarowali mu wtedy – a nam podarowują i dziś – kuszącą zagadkę: mnóstwo zabytków wspaniałej etruskiej kultury zachowało się w grobach, kamieniarstwie i artefaktach, ale do dzisiaj nie potrafimy zasadniczo odczytać ich języka i nie wiemy dokładnie, w co wierzyli.

Rytuały naszkicowane w *Aradii*, poświęcone bogini Dianie, sprawiają, że naukowcy muszą się zmierzyć z pytaniem, na ile można ufać, że źródło Lelanda, Maddalena, przekazało mu prawdziwą tradycję. Muszą też pytać o jego metody badawcze, skoro tak ochoczo znalazł w materiale konkretne powiązanie z Etruskami. Raven Grimassi, który miał przewagę w postaci własnej ustnej tradycji rodzinnej, pisze, że przodkowie od strony matki uczyli go, że *Aradia* była rzeczywistą postacią z czternastego wieku i że

zachowała rzadkie i fascynujące dziedzictwo włoskiego czarownictwa, które ostatecznie przekazała innym.

Nie wchodzę w debatę na temat historycznej prawdziwości badań Lelanda, a rozdział, który mnie najbardziej interesuje w jego książce, to prowokujący fragment *Piękna pątniczka z Domu Wiatru*, który wydaje się dorzucony od niechcienia. Ta postać, nakreślona w moim Prologu, stanowiła oczywiście inspirację dla postaci Agneski; ale zawsze byłam ciekawa elementów powieści, która przypomina mi silnie kochanków *Wigilii świętej Agnieszki* Keatsa. Oni także uciekli, gdy rodzina sprzeciwiła się ich miłości, w noc pod osłoną burzy, i umknęli ku nieznannej historii – bardzo podobnie jak nieznaną z imienia *bella pellegrina* w *Aradii*. Leland w swojej książce cytuje obszerne fragmenty poezji Keatsa, i to ta ciekawostka zachęciła mnie do wyznaczenia punktu początkowego *Domu wiatru*.

# Podziękowania

Kiedy zaczęłam pracę nad tą książką, nagle uświadomiłam sobie, że dotarłam do miejsca, w które już od dawna chciałam dotrzeć w swojej wspinaczce; i wtedy popełniłam błąd, spoglądając w dół. Wymienione tu wyjątkowe osoby pomogły mi pokonać zawrót głowy:

Dziękuję Fran Slater za to, że podzieliła się ze mną osobistymi przeżyciami o stracie bardzo podobnej do tej, która dotknęła Maddie, i że pomogła mi zrozumieć własny charakter. I mojej córce – Maddie – która gościła mnie pomimo przedłużonego najścia weekendowego. Bardzo jestem wdzięczna Janet Opie, Fionie Donaldson i Philipowi Whelanowi za to, że przeczytali rękopis w odcinkach. Wasze uwagi i inteligentne analizy pomogły mi przeogromnie – jak zawsze. Jeanette i Claus Thottrup szczerze otworzyli przede mną swój dom i swoje życie. Przyjechałam tylko, żeby znaleźć miejsce akcji dla toskańskiego zakończenia książki, a znalazłam sedno historii w prawdziwym raj, który stworzyli na ruinie. Wasza nieustanna walka o doskonałość to dla mnie ważna lekcja. John Harmshaw był na tyle miły, że przeczytał i poprawił rozdział dotyczący rozprawy sądowej w Oksfordzie.

Dla niestrudzonej Evy, Biura Informacji Turystycznej w Volterze i jej kolegów, Claudii i Lorenza – *molte grazie*. Żadne biuro we Włoszech nie mogłoby być chyba bardziej pomocne niż Wy, odpowiadając na moje kolejne maile z pytaniami o średniowieczne fakty i historię Waszego znamienitego miasta. Dziękuję także Loli i wspaniałemu umysłowi Alessandra Furiesiego, za doskonałe wprowadzenie w obraz życia w średniowiecznym mieście i za to, że oprowadzał mnie po kolejnych budynkach. Dziękuję dla Sergia, Mattea, Maxa, Ivana, Appollonia, Simony, Sabriny, Goriego, Petera, Mila i Justiny w Borgo Santo Pietro. Świetnie wykonujecie swoją pracę. W Sydney moja siostra, Wendy Charell, spędziła



godziny na początkowych rozmowach o kilku punktach planowanej przeze mnie historii, i generalnie wyrażała się bardzo zachęcająco. Dziękuję także za ostatnio mi przysłaną cudowną książkę ogrodniczą Judyth McLeod, *W ogrodzie jednoroźca*, która duchowo ma tyle wspólnego z *Domem wiatru*.

Wreszcie mam bezgraniczny dług wobec zawodowców w moim życiu. Wobec Flory Rees, mojego wydawcy, za nieupadanie na duchu pomimo moich utyskiwań: dziękuję, kochana Floro. Za wszystkie pozostałe błędy ponoszę winę wyłącznie ja, i to na przekór Tobie! Mam też świadomość, jaką wspaniałą, wnikliwą pracę redakcyjną wykonała Yvonne Holland. Dziękuję mojemu hiszpańskiemu wydawcy z Santillany – Gonzalowi Albertowi z Madrytu, za pomoc przy Waszym pięknym języku i za nieustającą uprzejmość. To samo dotyczy Julietty, Pabla i Marii. Maria-Giulia w Piemme w Mediolanie była na tyle miła, że pojechała do Borgo Santo Pietro i dała się oczarować temu miejscu i historii: dziękuję Ci za Twój entuzjizm. Wielkie uściski i podziękowania dla architekta Chrisa Boehma za rysunek jednoroźca, który zdobi koniec opowieści: szlachetny odpowiednik lewej ręki Sørensa! Za słońce, język, relacje i badania ślę pochwały dla Daniela Petracco, Giulii Mignani, Vicky Mark i Lisy Brännström z agencji Andrew Nurnberg and Associates. I chociaż już nie ma jej w tej firmie – a wszyscy za nią bardzo tęsknią – wyrazy miłości i podziękowania kieruję do Barbary Taylor. Robin Straus, Sarah Branham i Judith Curr w NYC – dziękuję Wam z całego serca. Jeśli chodzi o moich agentów, Andrew Nurnberga i Sarah Nundy – cóż mogę powiedzieć? Jesteście nadzwyczajni, byliście przy mnie w najtrudniejszych momentach. Skorzystam z Twoich słów, Andrew, i powiem ze szczerego serca: „Nie zasługuję na to”. Wreszcie na pewno niedostateczne podziękowania kieruję do osoby, która spędziła całe miesiące, wyszukując rozmaite rzeczy do całej książki, i która mocno trzymała mnie za rękę przy skoku w otchłań – do mojego męża, Gavrika Loseya. Dziękuję, że dzielisz się ze mną poczuciem możliwości.



